

DRÓŻNIK

Maciej Głowacki



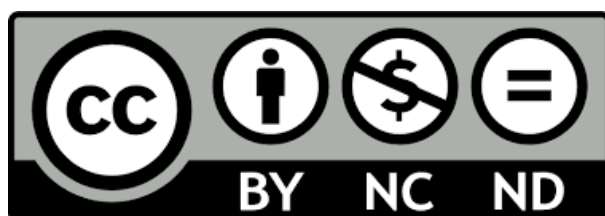
Maciej Głowacki

Dróżnik

Projekt okładki: Adam Kozak
Korekta i Redakcja: Magda Jarzębska
Łamanie i skład: Jakub Rogala

Wydanie 1

COPYRIGHT BY MACIEJ GŁOWACKI 2024



Wrocław 2024

Spis treści:

Prolog.....	5
Szepty w śniegu.....	7
Nasza wielka ziemia.....	33
Skazani na postęp.....	64
Kosmiczny szum.....	102
Wszystkie szczyty są puste.....	149
Pociągi donikąd, listy do nikogo.....	219
Pionierzy i pionierki.....	262
Wielkie, wspólne nic.....	294
Epilog.....	326

*„Powitać mróz gdy tobie ptakom
wyjmuje wprawnym dziobem serce
jak gniazda łamie ślad na drodze
i rozkazuje iść po rzece
z czarnego pnia z ciężkiego ciała
wyrasta gałąź biały oddech
by marzeń wszystkich naszych atom
z powietrzem znowu się połączył”*

~Zbigniew Herbert

Prolog

Śmierć zaszła mi drogę, zalewając się łzami.

Zluzowałem chwyt na kierownicy. Skuter mruczał wśród ciszy bezdroży, przeciągłymi, długimi pochrapywaniami silnika. Odbiłem w bok i zatrzymałem się zaledwie metry przed olbrzymką.

Jej pochylona, szara sylwetka odcinała się na tle śnieżnej zadymki. Nieforemna głowa wystawała ponad linie wysokiego napięcia, rozciągnięte wzdłuż zasypanej drogi. Długa grzywa srebrnych włosów ciągnęła się od zmarszczonego czoła po garbaty grzbiet. Gdyby mogła się wyprostować, zapewne sięgałaby niskich partii wszechobecnego smogu.

Coś przybiło ją do ziemi – żal i rozpacz. Jakby dźwigała na plecach wielki ciężar, znacząc głębokie ślady wśród zamarzniętych pustkowi.

– Nie możesz tu zostać – powiedziałem, lecz nazbyt cicho. Sam ledwie słyszałem własne słowa wśród jej potępienniczego wycia.

Kobieta zerknęła na mnie przez palce i odsunęła śliskie od smarków dłonie, by przyjrzeć mi się lepiej. Postąpiła ledwie dwa kroki i zaplątała się o przewody energetyczne.

Błękitne wyładowanie rozeszło się wśród opadających na ziemię drobin pyłu z odległych fabryk. Słup runął w zaspę śnieżną, pociągając za sobą kilka następnych. Płatanina czarnych kabli upstrzyła zaśnieżone pole.

Istota zerwała kolejne przewody i stanęła przede mną w całej zmęczonej i wyziębionej okazałości. Nachyliła się ku mnie i poczułem, jak serce ściska mi strach.

Widziałem z bliska jej bulwiasty nos, wielkości mojego kasku, lekko zarośnięte, żółto-szare policzki i parę zamglonych, siwych oczu, przypominających zamarzniętą tafłę płytkiej kałuży.

– Artem, wyjdź za mnie – wychrypiała, siłąc się na uśmiech. Jej oddech nadtapiał zebrany na moim wizjerze szron. – Tobie dam tuzin koni, szybszych niż najnowszy skuter śnieżny. Artemie, mój Artemie, odpowiedz: tak lub nie. Tobie dam dwanaście pól, rozsianych od Agerdołu po Duszoł, a każde rodzić ci będzie czystą pszenicę...

Odwiesiłem kask na kierownicę i zostawiłem maszynę na jałowym biegu. Silnik syknął, jakby rozzłoszczony końcem drogi, wypuszczając przy tym siwy obłoczek. Błękitne opary z rozgrzanego skutera mieniły się pięknie pod światło, lecz szybko rozjeżdżały się na wszystkie strony, rozwarstwiały i znikwały gdzieś wysoko.

Odstąpiłem kilka kroków do tyłu, by otworzyć skrzynię na pace, lecz Agerda sięgnęła ku mnie dłonią. Tylko jeden jej palec wystarczył, by powalić mnie na ziemię. Wiedziałem, że nie chciała mi zrobić krzywdy, ale jej serce zasnuwał żal, a decyzje pojawiały się w umyśle i znikwały natychmiast. Była niczym dziecko albo zagubiona staruszka z demencją.

Zastygłem w bezruchu, ważąc własne odczucia. Zastanawiałem się, czy jestem w stanie zrobić to, po co przyjechałem.

– Artemie, wyjdź za mnie – kontynuowała Agerda, błędząc wzrokiem dookoła, tak jakby nie mogła mnie znaleźć. Po prawdzie, to kto wie? Może faktycznie nie mogła? – Tobie dam siłę, by wyrwać z ziemi najjaśniejsze złote i srebrne żyły, spełzające mi po plecach. Artemie, mój Artemie, odpowiedz mi: tak lub nie.

Odczołgałem się za skuter, nie tracąc jej ze wzroku. Pojedyncze strużki łez spływały po jej kolosalnym łbie, zamarzając jeszcze w locie na łamliwe, cienkie sopelki. Puf, puf, grad padał dookoła, sypiąc się z wielkiej twarzy.

Zamek czarnej skrzyni odskoczył z trudem, przełamując naleciałą zmarzlinę. Tyle dobrego, że usadowiłem skrzynię tuż nad akumulatorem i nie zamarzła do reszty.

– Artemie, mój Artemie... Wyjdź za mnie, tobie ofiaruję wszelkie przebaczenie i spokój, jakie mogę pochować w moich rozpadlinach. – Agerda spojrzała na mnie po raz pierwszy wzrokiem przytomnym i współczującym. Przez chwilę czułem, że płacze po mnie, a nie po sobie, Agerdole czy jakiegokolwiek innej dolinie. Jej starcza twarz zawisła wysoko w powietrzu, lustrując okolicę spojrzeniem zatroskanej matki. Nagie, szare ciało zadrżało ze strachu i zimna, strząsając z siebie opadające płatki śniegu i popiołu. – Gdzie się zatrzymasz, na swojej drodze, Artemie? Sam, zostawiwszy wszystko za sobą, pogrzebane, spalone lub zatopione? Co zrobisz, gdy skończą się drogi i możliwości?

Sięgnąłem do skrzynki, czując, że lód krystalizuje mi się na rzęsach.

Rozdział pierwszy

Szepty w śniegu

Wiatr ogłuszał, śnieżycą oślepiła, a prędkość oszałamiała.

Płynąłem przez sypkiego przestwór oceanu. Płozy nurzały się na krótko w zaspach, silnik rżał wściekle i zaraz wyrywał mnie z potrzasku. Biały sztorm chciał porwać mnie i cisnąć w jedną ze śnieżnych gór, gdzie z pewnością dokonałbym żywota. Więc prulem przed siebie z całą mocą, co rusz wybijając się wysoko ponad ziemię, by spaść z hukiem. W duchu modliłem się, by pod warstwą puchu nie krył się bok zdezelowanej marszrutki albo otwarte przed dekadą, zasypane powierzchnie szambo.

– Gówniana śmierć – warknąłem do siebie, zlizując szron z wąsów i wykręcając w kierunku szpaleru słupów, wyznaczających mi trasę pośrodku lodowego pustkowia.

Prześladowała mnie gówniana śmierć, zhora, którą straszili się inni dróżnicy, a ja podłapałem to z czasem. Każdy znał kogoś, kto zmarł gównianą śmiercią. Mój poprzednik wpadł w takie właśnie szambo, durna sprawa. Jeszcze przed rozpadem aparatu administracyjnego ewakuowano czy raczej wysiedlano okoliczne wioski i spędzano ludzi do monomiast. Widocznie jeden z gospodarzy rozpędził zwierzęta, zamknął dom na cztery spusty, ale w przypiływie jakiegoś błyskotliwego planu albo idiotycznego przesądu postanowił otworzyć wieko od szamba – chuj wie po co. I tak oto Dima Nurek, wracając z rutynowej dostawy, musiał skręcić przez zasypane działki i wdupił się w zaspę. Pech chciał, że jego skuter zaczął się zapadać coraz niżej, a on za nic w świecie nie chciał go puścić. Więc najpewniej kopał, odsuwał śnieg i szarpał się z tym ćwierćtonowym bydlakiem, który zaklinował się na czymś. Skończyło się to tak, że skuter został na powierzchni, a Dimę zassało niżej, wprost w otwór, do pionowego zbiornika z zamrożonym szambem. I tam skonał z odmrożeń, ślizgając się po cienkiej warstwie starego gównolitu, amen. A to w ogóle śmieszna sprawa, bo Nurek miał ksywę z innej akcji.

Prulem przed siebie z całą mocą, szklany wizjer pokrywała cienka warstwa lodu, tworząc fantazyjne, przeźroczyste wykwity. Aż wreszcie krótki huk obwieścił koniec i został tylko szmer zwalniającego obrotu silnika.

Zamieć została gdzieś za mną, maltretując dawno opuszczone ruiny Oleniówki. Minąłem ostatni punkt orientacyjny – cerkiew świętego Jerzego z jej nieodłącznymi trzema czerwonymi kopułami. Większość dachu zapadła się w siebie, dwie kopuły zaklinowały się gdzieś w połowie, tworząc wraz z trzecią, wyniosłą wieżę bardzo jednoznaczny kształt.

Wjeżdżając na ostatnie większe wzniesienie dostrzegłem Magnetańsk. Siatki odśnieżanych ulic klarowały się spośród białego chaosu jak linie życia na otwartej dłoni. Stare, pstrokate bloki z odłazającą farbą, zlodowaciałe skwery, zasłany namiotami plac, ponad którym górowała łysa głowa jednego z dawnych liderów Federacji. Patrząc z tamtej perspektywy można by odnieść wrażenie, że te wszystkie domy właściwie przeszkadzają, są tylko nadbudówką, nieproszonymi gośćmi w mieście, które wzniesiono w jednym celu: wydobyć. Dookoła miasta wznosiły się jakieś ciała obce – stożkowate wzgórza, przykryte bordowo-popielatym pyłem. Hałdy z urobkiem. A im dalej człowiek patrzył na ten industrialny organizm, tym bardziej gubił się w jego płątaninach rur, wyrostkach zaworów i kominiastych włosach. Magnetańsk ze wstydem przeglądał się w lustrze martwej zasadowej wody, wypływającej z sieci tuneli. Tam nawet ziemia krwawiła trucizną.

Zbite z blachy falistej wieżyczki strażnicze wystawały sponad wielkiego wału odpadów otaczających Magnetańsk. Choć konstrukcja wydawała się imponująca, to miasta pilnowała zaledwie garstka strażników. Nikt nie przychodził, nikt nie odchodził – nikt, poza mną.

Zatrzymałem skuter tuż przed bramą, zamkniętą na głucho. Stałem tak przez chwilę jak ten lodowy stalagmit, aż w końcu niewielka, blaszana furtka otworzyła się na oścież.

Siergiej poruszał się płynnie i pewnie siebie, lecz co chwila obracał się podejrzliwie. Na sobie miał tylko przeciwwiatrową kurtkę z odbłaskowymi oznaczeniami. I to nie tak, że był jakiś niesamowicie inteligentny i przewidujący, tylko po tym, jak dwa razy zapadł się w nocy w śniegu, kazaliśmy mu nie zakładać kamuflujących kolorów. Weź tu potem szukaj szaroburej kurtki w ciemnej jamie albo w zaspie.

– Witamy w Magnetańsku, kolebce magnetytu i przetwórstwa metali ciężkich.

– Cześć, Sierioża, jak tam w domu?

– Wszyscy zdrowi, mały przestał kaszleć krwią.

Pokiwałem głową ze zrozumieniem i już przyszykowałem się, by podejść bliżej, ale Siergiej nagle wyprostował się i ostrzegawczo wyciągnął rękę.

– A! Ani kroku. Imię, nazwisko, miejsce zameldowania.

– Zgrywasz się czy...

W oczach strażnika dostrzegłem ten specyficzny błysk... błysk kompletnego pierdolca. Co lata służby Federacji potrafią zrobić z człowiekiem? No cóż, wszystko.

– Artem Jadow, Dróżnik, Magnetańsk, ulica Miedziana.

– Dokumenty.

Sięgnąłem do kurtki, po czym pokazałem mu wała. Strażnik skoczył na mnie, przewracając mnie ze skutera, przy okazji pociągając z kopa moje lusterko. Po chwili szarpania się na ziemi Sierioża wstał i odszedł kawałek, śmiejąc się głośno.

Jak ja nienawidzę wojskowych. Jakieś kurwa zapasy, napierdalanie się dla sportu, gnojenie ludzi i inne pokazówki. Od kręcenia wora mieszają im się zmysły, głównie ten smaku.

– No, nie dąsaj się, Jadow, kontrolę mamy.

– Ta? Ciekawe kogo? Dziadka Mroza?

– Ty nie bądź taki dowcipny. Wizytację będziemy mieli z Sahala. – Siergiej obejrzał się za siebie, jak co chwila zresztą, ale tym razem zawiesił wzrok na dłużej na jednej z wieżyczek. Słońce błysnęło kilka razy w oknie, zupełnie tak, jakby ktoś do nas celował przez lunetę. – Konwój, deputowany, inżynier i te sprawy.

Strzepałem z siebie śnieg, oparłem się o skuter i zacząłem gmerać w bucie, bo jak zwykle zimny kawałek wpadł mi gdzieś pod wkładkę.

– Będą bardzo dumni – mruknąłem, z irytacją odsznurowując but – że tak ładnie umiesz pytać o dokumenty i tarzać się w śniegu. Pewnie cię awansują na głównego strażnika pary z komina i nawet sam prezydent wyśle gratulacje.

– Drwij dalej – zżymał się Siergiej, udając, że go to nie dotknęło. Wyciągnął paczkę papierosów i odpalił jednego, nawet mnie nie częstując. – Ty chyba sobie już nagrabiłeś, co? Oksana cię wzywa i to w trybie pilnym.

– Takim pilnym, że wolałeś mnie pytać o adres zameldowania? Zresztą nieważne... Dobra, pojedę do niej po obiedzie. Głodny jestem, że aż strach.

– Teraz to bardziej kolacja – szepnął strażnik, patrząc na wiszące wysoko słońce, po czym zerknął na swój zegarek, wskazujący dwudziestą pierwszą. Machnął ręką i wrota niezmiernie powoli zaczęły sunąć do wewnątrz, roztrzaskując hałdy naleciałego śniegu.

Jedyna wizytacja, jaka mnie obchodziła, to ta pod gorącym prysznicem.

Odpaliłem silnik i bez słowa ruszyłem do środka.

Chmura żółtawego smogu pochłonęła mnie niemal natychmiast. Miasto kisiło się we własnym sosie, zaciągając łapczywie nieczystości wypływane przez kominy i rury hut. Ciężki, kolorowy pył osiadał na budynkach, ziemi, ubraniach, wisiał w powietrzu i zalegał w najdrobniejszych szczelinach przez całe lata.

Wszyscy byliśmy naznaczeni. Wszyscy byliśmy z Magnetańska, tego nie da się wyprać.

Dziecko na drodze.

Hamulec jęczy jak podłoga pod stopą pijanego nastolatka wracającego do domu. Płozy wyrwały długi wachlarz w śniegu. Czterysta kilogramów stali ustąpiło przed czterdziestoma kilogramami człowieka.

– Boże... – szepnąłem, spazmatycznie łapiąc oddech.

Anastazja przejechała rękawiczką wzdłuż boku pojazdu, robiąc dziecinne „wziuuu”.

Przez moment widziałem inną twarz. Twarz, której tam przecież nie mogło być. Na jej widok też bym się zatrzymał, ale... Ból już się zaczął i nie miał zamiaru zniknąć.

– Cześć, Artem – powiedziała Anastazja jak gdyby nigdy nic i przez moment kręciła się w miejscu, jakby na coś czekała. – Co robiłeś?

Jak tak będę się zatrzymywał na pogaduchy, to nigdy nie zjem tego obiadu, pomyślałem.

– Wiadomość przewoziłem, ale to ściśle tajne, ani słowa – skłamałem, bo co jej miałem powiedzieć? Dzieci są za małe, by zrozumieć niełatwe relacje, jakie łączą ludzi i wszelkie *genius loci*, opiekunów, czy też po prostu anomalie radiowe, takie jak Agerda. – A teraz czeka mnie chyba kolejna wiadomość od Oksany. A ty? Nie byczysz się chyba, co?

– Nie-e. Do szkoły chodzę tak jak inni. Nawet mi nie dokuczają, odkąd ich postraszyłeś – odparła i skierowała na mnie poważne spojrzenie. Gierki się skończyły, przyjemności mieliśmy za sobą i teraz przyszedł czas na konkrety. – Masz coś dla mnie?

Rozłożyłem bezradnie ręce, lecz to jej nie przekonało. Anastazja przez moment kręciła się dookoła i próbowała mi zajrzeć w bagaże, ale gdy położyła ręce na czarnej skrzyni, przerwałem jej szybko. Nie powinna tego widzieć, nawet jeśli nic by jej to nie zdradziło.

– No weź, nie bądź taki – powiedziała, pozwalając sobie na coraz więcej. – Już wszystkim się pochwaliłam, że mi znajdziesz aparat.

– Chyba do zębów! Ta, aparat, gdzie ja ci znajdę aparat? Może jeszcze z kliszą?

– Nie no, może być taki, co nie potrzebuje kliszy.

– Ta, a potem znajdę skuter, co nie potrzebuje paliwa i kuchenkę zasilaną śniegiem.

Przez moment widziałem znowu postać przechadzającą się swobodnie ulicami Magnetańska. Byłem pewny, że zaraz spyta się o coś przekupki z bocznikami w słoiku, skrytej pod grubym futrem i wiatą, lecz sprzedawczyni po prostu ją zignorowała, tak jakby jej nie widziała.

Zacisnąłem powieki, znowu próbując łapać oddech.

– Wszystko w porządku? – Głos Anastazji szybko zmienił się na poważny i zmartwiony. Spojrzała już nie na mnie, a na moje ubranie, pokryte zaschniętym smarem,

pyłem i starym olejem. Wiem, że przez chwilę widziała mnie takiego, jakim byłem naprawdę – paskudnego.

– Wybacz, zamyśliłem się. – Sięgnąłem do pakunków, wydobyłem zabezpieczone pudełko śniadaniowe i wyjąłem z niego zapakowany w szary papier baton miodowy. Oczywiście Anastazji błysnęły co najmniej jak flesz aparatu, którego tak bardzo oczekiwała, a o którym zapewne już zapomniała. – Masz, zachowałem dla ciebie.

– O cholera...

– Uważaj na język. – Cofnąłem rękę ze smakołykiem, jakbym tresował zwierzę. Zaraz jednak pokręciłem głową i podałem jej zawiniątko. – Jest twój. Schowaj sobie na potem i racjonuj po kawałku. Nie zjedz wszystkiego naraz, bo cię zemdli. Jadłaś kiedyś miód?

Anastazja pokręciła głową na boki, a mnie łamało się serce. Wychowaliśmy dzieci, które nigdy nie jadły miodu.

– Zajrzę potem do ciebie, więc się pilnuj – mruknąłem, wskazując jej, by się odsunęła.

Skuter ruszył z miejsca, zostawiając machającą dziewczynę. Jeszcze przez chwilę widziałem w lusterku, jak wpycha batona do ust, a potem wszystko zasłoniła mgła, równie żółta co miód, ale znacznie powszechniejsza i mniej słodka.

Sunąłem ulicami miasta, o którym byłem zmuszony mówić „ojczyzna”. Dawny zapal i patriotyzm wygasł, zamiast ognia zostało tylko pogorzelisko. Ze wstydem odnalazłem drogę w gąszczu szarych ulic i pstrokatych blokowisk, jak szczur, który nauczył się nawigować po śmietniku wśród szlamu i odpadków. Nie skupiałem się na tym, co mijałem, nie interesowało mnie to, nie poświęcałem temu uwagi. Przedmioty, o ile mogły jeszcze wzbudzać we mnie odczucia, robiły to tylko wtedy, gdy odnosiły się do ludzi. A tam nic nie jest ludzkie.

Nie w takie dni jak ten, gdy nazbyt wiele okien świeci pustkami.

Osiedle działało jak ogromny kanion, odbijający spotęgowane echo. Gdy tylko wyjąłem kluczyki ze skutera, rozległ się ostatni, zwielokrotniony pomruk, który ustąpił dopiero po blisko minucie.

Stałem, marzłem, nasłuchiwałem ciszy.

Prz... Prz... Prz – śnieg skrzypiał pod powolnie torującą sobie drogą staruszką. Na moment nasz wzrok się spotkał. Ona patrzyła na mnie z litością, zrozumieniem, smutkiem. Ja patrzyłem na nią tak, jakby jej tam nie było. Wgapiałem się jak na przestrzał, próbując

przebić kurtkę, sweter, chustę – wyciąć ciało z człowieka i zredukować do tła. Bo nie mogłem znieść jej widoku.

Minąłem sąsiadkę bez przywitania. Szarpnąłem za zamrożoną klamkę, aż w końcu drzwi ustąpiły powoli, odgarniając zlodowaciałe błoto.

Wziąłem głęboki oddech, jakbym miał zaraz zanurzyć się w przeręblu, choć wiedziałem, że nurkowanie pod lodem byłoby znacznie przyjemniejsze i prostsze. W myślach skarciłem się, że za dużo oddycham przez usta, a to mocno niezdrowe, zwłaszcza gdy w powietrzu wisi cały koktajl chemiczny.

Otworzyłem drzwi mieszkania. Zagryzłem język z całą mocą, byleby się nie przywitać, choćby odruchowo, choćby przypadkiem, choćby słowem.

Nie spojrzałem na buty, ominąłem wzrokiem fotografie, przemknąłem jak przez labirynt pułapek, jak Perseusz w świątyni Meduzy. Bo przecież za każdym rogiem czaił się potwór, którego jedno spojrzenie zamieniało człowieka w kamień. W moim przypadku było odwrotnie – był w stanie rozkruszyć skamieniałe serce, połamać je, wyżyć jak mokrą szmatę i zostawić na mrozie.

Zacząłem się rozbierać, jakbym zrywał z siebie kolejne warstwy kosmicznego skafandra. Grzejniki w miastach i tak chodzą cały czas, bo gdyby przestały choć na moment, to niechybnie rury pękłyby z mrozu. Zerwałem przemokłe skarpety i półnagi poczłapałem do kuchni. Wybrałem to, co najsmaczniejsze z przydziałowego zestawu dla trzech osób i wrzuciłem do piekarnika.

Na moment byłem taki, jakim Pan Bóg mnie stworzył: bezbronny, odkryty, oberwany z grzesznych warstw ubrań. Wyjrzałem przez podwójne, balkonowe okno na zewnątrz. Za metrową warstwą ocieplenia bloku rozciągał się widok na drugi, niemalże identyczny budynek, różniący się zaledwie kolorem pasków na elewacji.

Mam taką roślinę, bardzo mi bliską, która rośnie na ósmym piętrze, w salonie czyjejś sypialni. Widziałem, jak żółknie i choć zajęło jej to wiele dni, to wiedziałem, że jest już u kresu sił. Przez lornetkę dostrzegłem, jak delikatna mgiełka wilgoci, idąca od liści w górę, osiada na wysokich oknach. Gdyby tylko tam ktoś był, by ją podlać, przesadzić, wystawić do słońca...

Poczułem dym.

Skoczyłem do kuchni, by ratować z piekarnika kolację i zacząłem mechanicznymi ruchami nakładać jedzenie. Ciałem byłem w kuchni, ale myślami nadal obserwowałem roślinę.

Usiadłem przy stole, spojrzałem na dwa puste krzesła, a dopiero potem w talerze.

– Smacznego – wyrwało mi się spod spuchniętego języka.

Nakryłem dla trzech osób...

* * *

Ludzie zawierzyli swoje życia zegarkom regulowanym do jednego, centralnego. Na głównym placu, obok pomnika prezydenta, stoi ogromny zegar, złożony z żółtawej tarczy o trzech długich, czarnych wskazówkach. Ciekawsze są mniejsze, czarne cyferblaty z białymi oznaczeniami, przypominające konsolę skomplikowanej maszyneryi rodem z elektrowni albo wojskowej aparatury do kierowania ogniem artyleryjskim. Pomniejsze wskazówki pokazują parametry pogodowe, pozwalające odczytać stopień zanieczyszczeń, a także spodziewane prognozy.

Dziwnym trafem, gdy ludzie są niezadowoleni, to wskaźniki nagle znacząco poprawiają swoje prognozy na niemalże optymistyczne i obywatele mają powody, by się pocieszać w trudnych chwilach. Ot, cuda techniki w rękach rządu.

Droga była niemalże pusta, nawet w centrum. Po wyłożonych asfaltem czterech pasach pomykało zaledwie kilka pojazdów gąsienicowych i skuterów śnieżnych. Większość ludzi siedziała w domach lub w pracy, choć nie miało to nic wspólnego z zegarem. W końcu już dawno rozdzieliliśmy się na obce sobie plemiona, przesuwające się po tarczy zegara w różnym rytmie. Jedyne, co pozostało niezmiennie, to ruch w kierunku masywnej, górującej nad wszystkim huty, gdzie praca wre bez przerwy na trzy zmiany.

Policjant na betonowej wysepce kierował ruchem, wyciągając nieustannie ręce to w jedną, to w drugą stronę. Pozory musiały być zachowane.

Stałem, czekając zgodnie z przepisami, które stworzono dla ruchu tysięcy, a nie dziesiątek pojazdów. Po chwili za mną wyhamował odrapany z farby, czerwony tramwaj. Kolos ślizgał się chwilę po szynach, zalewając mnie światłem z centralnego reflektora.

Obróciłem się przez ramię i dostrzegłem ciemną postać, siedzącą w kabinie pojazdu. Tuż nad kierowcą wisiała laminowana kartka z numerem kursującego pojazdu.

Kiedyś nim jeździła, pomyślałem.

Gwizd.

Zawsze nim jeździła, może teraz też?

Gwizd.

Powinna była nim wracać, mogłem po prostu sprawdzić. Zwyczajnie zajrzeć przez okno i...

Trzeci gwizd wyrwał mnie z rozmyślań. Odruchowo wcisnąłem gaz, skuter zarzęził i rozpedził się z narastającym wyciem, jakby ktoś odpalił pilarkę. Minąłem policjanta zaledwie o metr. Płozy ślizgały się po nieodśnieżonej, błotnistej drodze, nieomal wykręcając całym skuterem na chodnik.

Gdy tylko odzyskałem panowanie nad maszyną, zatrzymałem się na poboczu. Tramwaj minął mnie swoim torem. Jakiś pasażer pokazał mi figę, krzycząc coś zza szyby. Policjant trwał na swojej wysepce, niewzruszony moimi poczynaniami drogowymi. Może kierować nieistniejącym ruchem drogowym, ale nie będzie mnie ścigał nieistniejącym radiowozem. Nawet pozory mają swoje klarowne, fizycznie określone granice.

Migam, fluktuuję, znikam. Czuję, że moich bliskich już nie ma, są w innym świecie, ale ja nadal jestem z nimi związany. Zabierają mnie do tego innego świata, gdy tylko sobie o nich przypomnę. Nie przesadza się starych drzew, ich skomplikowanych, silnych korzeni.

Rozejrzałem się, jakbym miał popełnić najbardziej niemoralną ze zbrodni, po czym po prostu sięgnąłem do wewnętrznej kieszeni kurtki. Piersiówka ziębiła w palce, ale grzała w żołądek.

Szybko zorientowałem się, że jestem już na miejscu. Silnik wystygł, piersiówka opustoszała, a ja wgapiałem się w ogromny gmach administracyjny, postawiony z wielometrowych prefabrykowanych płyt.

Słońce jak zwykle kłamało, że zaraz ma zejść, ale ja się nie nabrałem.

Ruszyłem po oblodzonych schodach, trzymając się poręczy, niczym zdjęty paraliżem staruszek. Ze szczytu rozciągał się widok na pusty parking, pomniejszy placzyk z kolejną rzeźbą bohatera narodowego i szpaler metalowych słupów, na których niegdyś wisiały flagi.

Spojrzałem z rozbawieniem na scenkę: jakieś dzieciaki piją coś z papierowej torby i ślizgają się łyżwami po rzeczce. Najciemniej pod latarnią.

Rzeka stała się cieniem samej siebie jeszcze nim powstał Magnetańsk. Czasami, gdy słońce zachodziło tak naprawdę pod horyzont, a nie na niby, można było dostrzec w świetle gwiazd coś... obcego. Pod warstwą grubego lodu ciągnęły się długie, siwe żyły. Nikt o nich nie myślał, nikogo nie obchodził, ale jednak tam były i to dłużej od nas. Wijące się kilometrami kable współtworzył krwioobieg tej ziemi, niknąc gdzieś w wodach gruntowych. Dawno temu ktoś wyświdrował tunel na dwa metry pod zmarzlinę i przebił jedną z żył. Lód szybko pokryła nowa, różowawa skorupa w postaci kolorowego strupa. Z czasem strup nawarstwiał się i na zmianę nadtapiał, wygładzał, tracił na kolorze, aż w końcu stał się po prostu jednym z rzeką. Tak jak krwawiący człowiek zalepia ranę, po której zostaje blizna, tak

i rzeka miała swoje sposoby, by nikt nie dostał się do środka i nie wydobył na zewnątrz cennych, rozgrzanych sekretów.

– Być znów młodym, przegrać po raz drugi, przegrać lepiej... – mruknąłem, obserwując, jak dzieci ujeżdżają zamrożone truchło rzeki.

Zegar wskazywał północ, gdy wszedłem do przedsionka portierni. Zaspany portier nie odebrał nawet ode mnie kurtki. Zamiast tego po prostu machnął ręką, leżąc twarzą na blacie.

Podreptałem pustym, nasłonecznionym korytarzem o wysokich oknach. W innym świecie, w innym czasie, mogłoby tu być niemalże majestatycznie. Jednak byliśmy tu i teraz, w Magnetańsku, więc było tak jak u nas: pusto, ponuro, zimno.

Każdy budynek postawiony za pieniądze Federacji stanowił pomnik wstydu. Najmniejsze i najciaśniejsze okienko na lepsze czasy. Na tyle duże, by wszyscy mogli dojrzeć, jak niegdyś wyglądał nasz kraj, a zarazem na tyle małe, by nikt nie mógł się tym okienkiem do tegoż świata prześlizgnąć.

Naszych pradziadków stać było na stawianie wieżowców na lodowym pustkowiu, nas zaś nie stać na ich ogrzanie. Oni szukali nowych sposobów na zawładnięcie światem, my zaś szukamy dróg, by nimi przemknąć i nie dać się światu zgładzić. Oni penetrowali skorupę ziemską w poszukiwaniu bogactw, czyniąc sobie ziemię poddaną, my stoimy na gnijącym trupie planety, nie wiedząc, co z nim począć.

Uprawiamy jałowe ogrody na cmentarzach poprzednich pokoleń.

Stałem przed podwójnymi dębowymi drzwiami z małą połączoną tabliczką. Tabliczka obwieszczała urzędowanie mera, który zmarł blisko pół wieku temu, ale nikt nie miał ochoty ani czasu, by ją zdejmować.

Oksana równie dobrze mogła spać u siebie w domu, a ja przyjechałem na próżno...

– Wejdz – rozkazał stłumiony głos zza drzwi.

Czyli jednak... No nic, najwyższa pora. W końcu przyszedłem przyznać się do zbrodni.

Drzwi posunęły powoli nad pachnącą rozpuszczalnikami podłogą. Światło w gabinecie biło po oczach ostro, przeszywająco, nie mogłem przed nim nigdzie uciec. Gdy wszedłem, czułem się jak zając, złapany w sidła reflektorów. W tym kanionie regałów urzędował jeden drapieжник, schowany za wysokim biurkiem, usytuowanym przy pięciookiennym wykuszu. Kroczyłem niezwykle ostrożnie, by nie sprowokować gospodarza tego miejsca do nagłego ataku.

– Co się tak wleciesz? – spytała Oksana, spoglądając na mnie znad książki. Jej pomarszczona skóra wygięła się w jadowitym uśmiechu. – Masz zamiar się płaszczyć o zezwolenie na budowę?

Wyprostowałem się i zająłem miejsce po przeciwległej stronie biurka. Błat ugiął się pod całym mrowiem teczek, segregatorów, książek, brudnych naczyń i bibelotów, które dawno zatraciły swój sens i miejsce w tym świecie.

– Wtedy zabrałbym ze sobą sztabkę złota – odpowiedziałem wesoło. Szukałem na twarzy Oksany jakichkolwiek oznak rozbawienia, ale jej mina szybko wróciła do typowego zatroskania i zamyślenia. – Ponoć chciałaś mnie zobaczyć...

Oksana nie odpowiadała przez długi czas. Wgapiła się w książkę, czytając tą samą treść po kilka razy. Nie wiem, co takiego przechodziło przez jej myśli. Czy robiła to ze względu na mnie, dając mi czas na powiedzenie czegoś? Zbierała słowa w jedną, wielką wypowiedź? Faktycznie nie mogła się oderwać od książki? Czy na tej karcie znajdowała się ważna informacja, która mogła zmienić przebieg naszej rozmowy?

Jednego byłem pewny – braku sensu w pośpieszaniu jej. Spojrzałem na skąpane w świetle zachodu zbiory i szukałem wzrokiem czegokolwiek, co sam bym znał. Większość książek dotyczyła rzeczy, które dawno przestały mieć znaczenie. Wielotomowe encyklopedie tworzyły długie, kolorowe ciągi grubych grzbietów, na których zmieniały się jedynie pojedyncze oznaczenia.

Bogiem a prawdą nie sędzę, że sama Oksana kiedykolwiek je czytała. Nie umiem sobie wyobrazić, by ktoś zmarnował chociaż chwilę swojego życia na czytanie urzędniczej mowy trawy na temat hodowania wymarłego już zwierzęcia, w dodatku endemicznego dla miejsca po drugiej stronie planety.

Znów spojrzałem na Oksanę, która znad druczianych oprawek studiowała zawartość tomiszcza o pożółkłych kartach.

Obszedłem biurko, oparłem się o obity poduszkami parapet i spojrzałem za okno. Czerwone promienie tańczyły na powierzchni wijącej się rzeczki. Zabrakło tylko młodzieży, która musiała znaleźć sobie lepsze zajęcie albo zostać przegoniona przez wynudzonych ochroniarzy.

Zostały długie, sine żyły, ciągnące się pod warstwą lodu. Skąd biegły i dokąd? Co nimi płynęło? Zawsze tam były? Może w czasach, gdy Ister płynął szerokim, dzikim strumieniem, te żyły były częścią czegoś większego. Zresztą, podobnie jak my. A to, co przetrwało, to tylko cień, dopisek na dole strony, adnotacja do minionego dzieła.

– Liczyłam na to, że zdasz raport – przyznała niechętnie Oksana, pociągając kilka razy nosem. – Czy może już jesteś na etapie świętowania?

Uciekłem wzrokiem, myśląc, co też mam jej odpowiedzieć. Szczerze powiedziawszy, to wołałem nic nie mówić. Nie tylko jej, ale i komukolwiek. Po prostu zapomnieć o tym, że kiedykolwiek pojechałem poza Magnetańsk.

– Nad czym tu się rozwodzić – spytałem ponuro, wrywając siwy włos z brody. – Była robota, to zrobiłem.

– A stabilizator ekosfery? – Oksana odłożyła książkę, zaznaczając feralną stronę jakimś przypadkowym skrawkiem papieru.

– Trumienka? Mogą zabrać, jest na skuterze.

– Tak po prostu trzymasz stabilizator na skuterze, który zostawiłeś w centrum miasta? – spytała gniewnym tonem Oksana choć byłem pewny, że nawet nie jest zła. Chyba była zbyt zmęczona, by czuć złość. – Możemy się tylko cieszyć, że jeszcze żyjemy.

– Nawet gdyby ktoś to znalazł, to nie wiedziałby, co z tym zrobić.

– A my wiemy? – spytała z troską. – Wiesz, że nie umiałabym prosić o to nikogo innego. Nie po tym, co miało miejsce w Agerdole. Gdyby tylko zdrowie mi pozwoliło, sama bym to zrobiła, ale to tylko mrzonki, dlatego ty musiałeś to zrobić, rozumiesz? I miałam też nadzieję, choć z perspektywy czasu może płonną, że znajdziesz w tym ukojenie.

Spojrzałem na swoje ciało i zaprezentowałem się przed Oksaną. Na kurtce nadal widniało kilka zaschniętych, długich plam, ledwie zaszytych dziur i trudnych do wyjaśnienia przebarwień, jakby fragmenty ubrania były znacznie starsze od pozostałych części.

– Jestem mordercą, śmierdzę krwią.

– Nie mów tak.

– Widziałaś kiedyś, jak działa stabilizator? – spytałem, choć już po oczach Oksany byłem pewny, że nie wiedziała. Mogło jej nawet być wstyd. – Jakie to uczucie? Zatruc studnię, z której się pije. Zawiesić metalową siatkę nad kołyską własnego dziecka. Podciąć skrzydła bliskim. Sprowadzić świat do jałowego spłachetka ziemi, bo tylko nad nim człowiek czuje, że ma kontrolę i nie gubi się w jego prostocie...

– Powinieneś zobaczyć się z lekarzem...

– Na to, co mi dolega, nie ma lekarstwa. Stabilizator nie obciążał mojego zdrowia, tylko sumienie... Tak już zostanie.

– Nim objęłam Magnetańsk, pan Wołodimir opowiadał o pierwszych dniach tutaj, choć szczerze powiedziawszy, ciężko powiedzieć, ile było w tym prawdy. – Oksana obróciła się w kierunku wykuszu, rozglądając się nieporadnie, jakby szukała gdzieś ducha

Wołodymyra w murach tego budynku. – Przeczytać archiwa to jedno, ale usłyszeć to na własne uszy... cóż, kompletnie inna historia. Może gdzieś w mieście jeszcze jest ktoś, kto przy tym był, może ich znajdziesz? Może ich historia pozwoli ci znaleźć spokój. W każdym razie, gdy Federacja odkryła złoża, a było to ponad pół wieku temu, to miejsce stanowiło kwitnącą dolinę. Wiesz, że nawet chodziły tu żubry? Motyle wielkie jak pięść żyły w krótkich cyklach, tańcząc późną wiosną, spółkując i zagrzebując larwy na zimę. Życie miało wszystko, czego potrzebowało... poza rudą magnetytu.

– Ciężko uwierzyć, że pod śniegiem było kiedyś życie.

– Jest nadal – wyznała z powagą Oksana, spoglądając ku żyłom rzeki. – Śpi kalekie, ogłuszone przez nas. Ta dolina była za mała dla człowieka i przyrody, ktoś musiał ustąpić. Ostatecznie siedliśmy na pół poślodka, tak że nikomu nie jest wygodnie. Wiesz, ile anomalii trzeba było ustabilizować, byśmy mogli się tu osiedlić? Teraz dla ludzi żubr czy motyl to taka sama plotka jak duchy miejsc. Większość ludzi prędzej czy później odbiera sobie życie, nie mogą wytrzymać tego, co zrobili. Tego nie wolno mówić, ale... niech mnie szlag, jestem stara, przecież mnie nie zamkną. Artem, czasami trzeba zrobić krok w tył, przestać, nie walczyć z naturą, tylko żyć z nią. Chciałabym, by Federacja widziała to w ten sposób.

– A mimo to dla nich pracujesz. – Spojrzałem na Oksanę, próbując się upewnić, czy to nie jakiś fortel. Od wolnych rozmyślań do zdrady stanu było całkiem blisko.

– Służę im – poprawiła Oksana z powagą. – Mam prawo do swoich wątpliwości i dzielę się nimi z tobą, bo czuję, że mój czas się zbliża. Żyjemy na okaleczonych ciałach duchów przyrody, drażymy w ich kościach, ale robimy to dla dobra nas wszystkich. Czym jest ludzkość, jeśli nie wielkim organizmem, który musi się samoregulować? Nasz magnetyt rusza koleją przez lodowate pustkowia do stolicy, do serca. Tak samo robią wszystkie inne monolity miast, które produkują stal, rąbią zimnik, wydobywają ropę... To wszystko składniki odżywcze naszego ciała. A potem Federacja redystrybuuje je wedle własnego, scentralizowanego uznania. Te żyły i tętnice aż puchną od krwi, którą wysysamy z Ziemi. Nie robimy tego przecież dla rozrywki, jaka to dla nas zabawa, żyć? Ale może kiedyś wymyślimy lepszy świat? Będziemy zamieniać motykę na wołu, dalej na traktor, aż dojdziemy do momentu, w którym technologia sama nas wyżywi? Czy nie tak zawsze było? Największe wynalazki ludzkości pozwalały poszerzać skalę. Z całą swoją wiedzą człowiek pierwotny nie mógłby osiągnąć tego, co my. Nie miał budowanej przez pokolenia infrastruktury.

– A co jeśli to wszystko szwindel? – spytałem, widząc, jak topniejący śnieg spływa mi z butów na dywan. – Jemy więcej, produkujemy więcej i tak w kółko. Nasz apetyt stale

rośnie, a ja nie czuję się nasycony. Federacja już raz upadła, a my nie potrafimy nawet wrócić do tego, co było, nie mówiąc już o prześcignięciu dawnych czasów. Raz przewrócony kolos nie potrafi podnieść się o własnych siłach. Popatrz na mnie, jestem żywym dowodem tego, jak będzie wyglądał świat. Zbudowaliśmy wielki świat, zbyt duży, byśmy go zasiedlili i umieli nadążyć ze sprzątaniami, dbaniem o niego. Mamy ogromny dom, który niszczy.

– I tym bardziej dlatego musimy sobie pomagać, a teraz, skoro przy tym jesteśmy: pomóż mi wstać, mój ty pionierze.

Podąłem Oksanie rękę, czując, jak bardzo cienkie są jej starcze palce. Doczekała tego wieku, w którym człowiek robi się już tylko mniejszy, ubywa go ze wszystkich stron. Kręgosłup gnie się, zwija, ciało zapada pod własnym ciężarem, choć i tego ciała przecież nie ma wiele. Nawet kości zdają się puste wewnątrz, jak u ptaków, gotowe do ostatniego lotu.

– Podejdź ze mną kawałek – dodała po chwili, dostojnie krocząc ku jednemu z regałów. – Drugi tom, o tamten... Nie ten, ten po prawej, wyżej, tak, nie zrzuć, dobrze...

Ściągnąłem zakurzoną książkę z wysokiej półki. Tylko przez moment rzuciła mi się w oczy nazwa, sugerująca którąś z wersji kodeksu postępowania administracyjnego na terenach dawnej Federacji. Mimo że Federacja trwała, to z racji jej rozpadu i niełatwej próby ponownego złożenia, do niemalże każdego prawa dopisywano kolejne erraty, sprostowania i sposoby interpretacji. Inaczej wszyscy musieliby zarządzać światem, którego już nie ma.

Dopiero wtedy zrozumiałem, że zachowanie Oksany nie tylko nie było przypadkowe, ale i nawet nie spowodowane moją obecnością. Grała na czas, ponieważ nie umiała podjąć decyzji. Wszystko to do czasu, aż drżącą dłonią podała mi niepozorną, białą jak śnieg kopertę.

– Artem, to jest list... – szepnęła, ponownie próbując wydłużyć tę chwilę, nim w ruch pójda rzeczy, których nie sposób zatrzymać. – Musisz go jak najszybciej dostarczyć do Elektrogrodu. Wyrusz od razu, gdy będziesz gotowy.

Sięgnąłem po kopertę, obejrzałem pod światło i już miałem ją zgiąć, gdy twarz Oksany napięła się, a oczy niemal wyszły poza szkła okularów. Z pietyzmem włożyłem przesyłkę do kieszeni spodni, upewniając się, że te są zapięte.

– To kawał drogi – mruknąłem niezadowolony. – Wysyłasz mnie z listem, więc należą mi się jakieś wyjaśnienia. Ja rozumiem, jakby to były leki, jakaś surowica albo chociaż nagle wiadomość o katastrofie. Nawet z zawaleniem Agerdołu tak się nie śpieszyłaś.

– Zawalenie Agerdołu dotyczyło nas.

– Niektórych z nas bardziej niż pozostałych...

Oksana zacisnęła usta w wąską kreskę i bez słowa pokiwała głową.

– Masz prawo czuć ten gniew...

– Bardzo ci dziękuję za pozwolenie.

– Artem, głupotę od bohaterstwa często oddziela tylko to, czy przynosi skutek. Mieliliśmy wszelkie podstawy, by wierzyć, że plan się powiedzie. Tak się nie stało i zamiast świętowania, mieliśmy żalobę. Nic z tego nie jest naszą winą.

– I ty się dziwisz, że miałem w dupie twój raport? Gadasz jakieś bzdury o motylach i żubrach, a prawda jest taka, że nawet się nie przejmujesz tym, co się dzieje.

– Zapominasz się chłopcze – syknęła złowrogo Oksana. Jej usta były blade, cienkie jak papier i skrywały miotający trucizną język. – Wszyscy jesteśmy pogrążeni w żalobie i dobrze o tym wiesz. Twoja krzywda nie jest pozwoleniem na to, by rozsiewać wszędzie tę żółć, którą w sobie chowasz. Chcesz jeździć sobie skuterem po pijaku, śmiało. Jedź do baru, nadźgaj się, postrzelaj z chłopakami do puszek albo nawet daj komuś w głowę, ja to zrozumieję. Ale nie waż się ani na moment zapominać, że jedyne, co trzyma cię przy życiu, to służba. My wszyscy żyjemy, bo jesteśmy przydatni. Twoja rodzina oddała życie, bo walczyliśmy z żywiołem, który żywi się nami i próbuje z nas wyrwać każdą drobinę ciepła. Byli bohaterami, pionierami, chcącymi z własnej woli zbudować dla nas lepszy świat.

– Zamiast tego jest dziura w ziemi – odparłem chłodno. Poczułem, że cała energia gdzieś ze mnie uciekła.

– Zamiast tego jest dziura w ziemi – przyznała ze smutkiem Oksana. – Magnetańsk to jedna wielka dziura w ziemi i tak długo, jak w niej drążymy, tak długo jesteśmy potrzebni reszcie Federacji. Choć... skoro już przy tym jesteśmy, to obawiam się, że bez twojej pomocy, to również może się zmienić.

Słońce schowało się wreszcie za rzędem megalitycznych blokowisk. Długie, czarne cienie zalały podwórko, zostawiając nieliczne, szkarłatne strugi. W szarówce wieczoru tylko wstęga rzeki z rzadka odbijała przyjemne, błękitne światło.

– To pismo urzędowe – wyznała Oksana, gładząc mnie po nodze, jakby ostatni raz chciała się pożegnać z własną przesyłką. – Z prośbą o zmianę planu zagospodarowania cieków wodnych na ten rok... Ale nie tylko.

Gwizdnąłem z uznaniem, lecz Oksana szybko zgromiła mnie wzrokiem.

– Nie śmieć się, Artem, bo za tymi nudnymi jak azbestowe zadaszanie słowami kryje się nasza tragedia. Największe katastrofy potrafią wypełznąć spod szarego płaszcza biurokracji i tak też jest tym razem. – Oksana poprawiła okulary, złożyła ręce na podołku i upewniła się spojrzeniem, czy na pewno ją rozumiem. – Elektrogrod ma zwiększyć przepustowość tamy, a to oznacza wezbranie Isteru.

- Przecież elektrownia zamarza regularnie, oni nawet jakby chcieli, to nie mogą.
- Nie wiemy wszystkiego, pamiętaj. Ponoć są w stanie ocieplić Ister za pomocą sztucznego dopływu z innej, podziemnej rzeki. Dzięki temu Ister będzie mógł płynąć przez cały rok ze znacznie większą siłą, produkując energię elektryczną w Elektrogrodzie i kilku innych miejscach po drodze.
- Cuda geoinżynierii, prawda?
- Raczej szczyty głupoty. Jeśli zaczną spuszczać wodę ze zbiorników i zwiększać przepustowość na danych odcinkach, to koryta rzeki wzbiorą, a może i powstaną całkiem nowe odnogi. Elektrogrod jest najbliższą nam dużą tamą.
- Przecież... nie zrobiliby tego, wiedząc, że jesteśmy po drodze.
- Siedem, Artem, siedem różnych miejscowości już przestało istnieć. I to nie tylko opustoszałe stare miasteczka wydobywcze czy opuszczone montownie. Abodanka już nie istnieje, a w jej hutach produkowano nie mniej materiałów niż u nas. Czynniki chłodzący pobierali z Isteru i wód gruntowych. Kołomysk miał jedno z większych zakładów futrzarskich, ogromne hodowle, setki ludzi... Wszystko pod wodą. Tak po prostu, bo byli zbudowani na terenach zalewowych. Federacja nie chce, by ludzie o tym wiedzieli.
- A mimo to dróżnicy jeżdżą...
- Dróżnicy dostają czapę za choćby przejechanie przez te tereny – ostrzegła mnie złowrogo Oksana. Zamachnęła się palcem, jakby nadziewała nim coś. – Zabiją cię, jeśli tylko wspomnisz o tym, co się dzieje. Dlatego to jest list, zapieczętowany, ode mnie do mera Elektrogrodu. Nikt więcej nie może wiedzieć.
- I kto na to wydaje pozwolenia niby?!
- Władza... jak zawsze władza. Artem, nie patrz na mnie jak dziecko, wiesz, jak jest. Z jednej strony tereny zalewowe dawno przestały takie być, bo i tak wszystko jest zamarznięte... a z drugiej strony mają prawo kształtować rzeźbę terenu, jak chcą! Czasami jeden departament z Federacji nie wie, co robią ich sąsiedzi po drugiej stronie miasta. Jesteśmy na skraju peryferii, ludźmi znikąd. Pojawiliśmy się na mapie Federacji i znikniemy z niej równie nagle, jeśli nie zawalczymy o swoje.
- Piszac... podanie urzędowe?
- Taki świat sobie stworzyliśmy... Ale jeśli rozumiesz powagę sytuacji, to powiem ci prawdę. List do Elektrogrodu to tylko papier lakmusowy dla naszych starań. Jest też druga, ważniejsza przesyłka – łapówka. Wiem, że tylko dostarczasz przesyłki, ale ta jest wyjątkowa i masz prawo wiedzieć, co jest w środku. Chociaż na twoim miejscu siedziałabym cicho... – Oksana przez dłuższy czas patrzyła na mnie w milczeniu, nim znów podjęła wątek. –

Zostaliśmy sami, Artem, bardziej niż kiedykolwiek. Nie mam nikogo, komu mogłabym to powierzyć. Nawet nie wiem, czy to się uda. Jeśli każą mi dać się zalać, to im pozwolę. Tak działa Federacja, dobrze o tym wiesz. Wszyscy jesteśmy wymienni, zbędni.

– Opór jest niezbędny...

– To jest nasz opór, Artem. Od ciebie oczekuję tylko tego, że będziesz robił to, w czym jesteś najlepszy – dostarczał wiadomości.

Oksana wyjęła schowaną, drugą kopertę. Ta była nieco grubsza, wypełniona czymś więcej niż złożoną kartką papieru. Podała mi zaadresowany na Sahal list, tak jakby składała mi na ręce coś bardzo cennego i delikatnego, jak dzieło sztuki albo dziecko.

Spojrzałem na Oksanę, stojącą samotnie w pustym, nazbyt wielkim gabinecie. Stary komputer walizkowy pokrywał się kurzem gdzieś w kącie, z kredensu spoglądał na nas rząd zaśniedziałych medali. Wyglądała prawdziwie jak mer Magnetańska – mała, opuszczona, zasiedlająca za duży kawał zbyt zimnego miejsca.

* * *

Silnik wrzeszczał, a ja wraz z nim.

Światło oblodzonych latarni odbijało się w rzędach jednakowych okien. Zegar żądał respektowania swojej władzy nad czasem, głosząc pierwszą w nocy. Dla mnie równie dobrze mógł być poranek.

Miałem ochotę puścić skuter luzem, zobaczyć, gdzie mnie zabierze. Może wpadłbym w poślizg i zawinął o najbliższą latarnię? A może przydzwoniłbym w jeden z nielicznych, sunących ciemnymi ulicami samochodów? Może jednak nic... może po prostu wyhamowałbym po czasie i był nadal w tym samym miejscu.

Zatrzymałem się na środku skrzyżowania. Wyjąłem cenną paczkę papierosów z filtrem i odpaliłem jednego. Noc w Magnetańsku kusiła tak, jak żaden człowiek nie potrafił kusić drugiego. Tylko w tym miejscu beton, stal i szkło potrafiły przyjąć te fantasmagoryczne kształty, budzące wyobraźnię z zimnego snu.

Wzdrygnąłem się jak zmarzluch po wciągnięciu do domu. Mogłem widzieć Magnetańsk po raz ostatni. Przecież łapówka mogła nie zadziałać. Federacja podjęła decyzję i...

– Wszyscy jesteśmy martwi – szepnąłem i zawiesiłem wzrok na obłoczku pary. – Martwi, martwi, martwi...

Spoglądałem z fascynacją, jak każde słowo zmienia się w inną, nieforemną chmurkę wilgoci, przeobrażającą się w powietrzu na różne sposoby. Chwytałem się tych wszystkich bzdur, których na co dzień nie doceniałem.

Rzuciłem końcówkę papierosa na asfalt, zasunąłem wizjer i ruszyłem w dalszą drogę, spokojniejszą, pełną uwagi. Miałem przywilej, możliwość pożegnania się z miastem, ostatnią rzeczą, która była prawdziwie moja.

Do Gwiazdy dotarłem niedługo później. Postawiona na planie pięcioramiennej figury placówka miała jakąś swoją nudną, długą nazwę, ale nikt jej nie pamiętał. Dom kultury stanowił centrum nocnego życia towarzyskiego, kolejny pomnik, ten nie ku czci jednego człowieka, a kolektywu. Pamiątka lepszych czasów, a konkretniej samej ich obietnicy. Z czasem straciliśmy nawet tę obietnicę.

Muzyka uderzyła jeszcze przed wejściem, gdzie kilku hutników pokazywało sobie coś w cienkiej książce o zielonej okładce. Nuda i izolacja potrafiła zmienić nawet prostego człowieka w intelektualistę, poszukującego granic własnego poznania...

Ewentualnie w alkoholika.

Automat zagrywał nostalgicznym szlagierem sprzed paru dekad. To było zresztą jedno z nielicznych nagrań, które nie zostały skażone radiowym szumem. Choć z każdym odtworzeniem można było odnieść wrażenie, że jakość nieznacznie się zmienia.

Rytmiczna muzyka i powtórzenia naprawdę porywały do tańca, choć sam od niego stroniłem. Mimo to przez moment poczułem, że mógłbym uciec, gdzieś daleko, gdzie morze nie zamarza zimą, a domy mają płaskie, szerokie dachy, nieprzejmujące się opadami śniegu.

Klimatyczne światła rzucały czerwony blask na wypchany grubymi dywanami salon, połączony z salą taneczną i otwartym barem. Na kilku obitych prawdziwą skórą kanapach siedzieli goście, przekrzykując muzykę. Gdzieś w rogu dwie kobiety w kombinezonach ochronnych zagrywały się w starą grę planszową, wyglądały, jakby dopiero co wróciły ze zmiany w elektrowni.

To nie była ta część, która mnie interesowała. Musiałem sięgnąć głębiej, w ciepłe wąpia tego zamrożonego miasta.

Minąłem szatnię, ruszając korytarzem przez jedno z ramion Gwiazdy. Nawet po zdjęciu brudnej kurtki wyglądałem tak, że każdy od razu wiedział, że nie przyszedłem tu pograć w szachy. Nic to jednak nie szkodziło – ci, z którymi chciałem porozmawiać, też nie wpadli na gierki.

Zarośnięty wykidajło machnął na podejrzliwego kolegę, by ten sobie odpuścił, po czym sam odprowadził mnie zaspanym spojrzeniem.

Pod samą Gwiazdą znajdowały się rozległe piwnice, gdzie urzędował ten drugi element, o którym wspomniałem wcześniej – ten, którego izolacja nie zmieniła w ludzi kultury.

O dziwo, muzyka leciała ta sama. Maszyna wypływała z siebie pełną nadziei melodię z tekstem obiecującym upragnione wakacje w drewnianym domku nad wodą.

Ale żadnego domku nad wodą nie było. Był tylko Iwan i to nie nad wodą, a nad wódą. Nawet chciałem się przysiąść, ale sytuacja zdawała mi się cokolwiek niezręczna. Otóż Iwan, zamiast smutno chlać przy kontuarze, jak to miał w zwyczaju, świętował... i to z przyjaciółmi, o ile tak mogłem ich nazwać.

Pół tuzina chłopów zebrało się przy głównej ladzie, zerując co rusz lornetę i zagryzając razowym chlebem z rybą i koperkiem. Wyglądali na radosnych, acz mocno zaprawionych i zmęczonych. Na bladych twarzach odznaczały się czarne plamy z niewyspania. Pożółkłe oczy męczyły się pod batogiem szeregu jarzeniówek, wyglądając chwili wytchnienia.

– Jadow! – zakrzyczał któryś z biesiadników, zwracając uwagę reszty. Machnął ręką raz, drugi i rozejrzał się, dostrzegając, że brakuje wolnego stołka. – Chodź do nas, pite jest.

No właśnie widziałem, że było... Nawet stołek się znalazł, a że i tak planowałem jakoś zaatakować Iwana, to tylko głupi by nie skorzystał.

Przysiadłem się, od Iwana dzieliło mnie dwóch ludzi. Nie chciałem od razu z buciorami i robotą wpierdalać się między wódkę a zakąskę, więc spróbowałem wpierw z grzeczności zagadać ludzi.

– Dima, Borys, opowiedzcie jeszcze raz, jak to było z tym piźmowcem.

Wtedy dopiero sobie przypomniałem, że drugi facet też nazywał się Iwan i już nawet skojarzyłem, skąd mnie pamiętał. Kiedyś dostarczałem jakieś cholerstwo dla koła łowieckiego, którego członkami byli ci sami biesiadnicy.

– Dopiero co mówiłem – mruknął ponury facet o twarzy długiej, jakby ktoś nadtopił plastikową maskę.

– To ja opowiem, jak Dima nie chce – wtrącił drugi z burzą rudych włosów i złamanym nosem.

Jego głos brzmiał tak, że nie dało się nadażyć za historią. Nieustanne wtrącenia, odchrząknięcia i poprawki sprawiały, że zwyczajnie nie wiedziałem o co mu chodziło. Choćbym bardzo się skupił, nie byłbym w stanie przypomnieć sobie szczegółów historii aż do momentu, gdy opowiadanie przejął smutny Dima o końskiej mordzie.

– Przez celownik to wyglądało inaczej – podjął temat Dima, a ja próbowałem nadać historii sens. – Dwa bielusińskie ząbki, czarne, paciorkowate oczy, główka jak u pluszaka.

Nierealne, naprawdę nierealne, bo przecież ot tak dawna jest posucha, ani pól zwierzęcia w okolicy, a to było ledwie za hałdami, tam, gdzie rzeka zakręca. Piżmowiec nachylił się, by się napić z roztopu, więc przycelowałem i wtedy... podniósł łeb. Zamarł w bezruchu i zaraz stanął na tylnych nogach, wyprostowany, jak człowiek. Przez jakiś czas przyglądaliśmy się sobie, próbowałem ściągnąć spust, ale nie mogłem. Tak jakby mi ktoś ręce zamroził, no nic nie szło ruszyć. Tylko taki strach mnie wziął, że aż pod gardło mi rzygi poszły.

– Może chory – zasugerowałem i nim spostrzegłem, ktoś polał mi dwa kieliszki czystej. Wypiłem więc jeden, oczywiście z grzeczności. – Ewentualnie pierdolnięty. – Wypiłem drugi. – Od picia tego gówna co płynie korytem rzeki to i ja bym na czworaka zaczął łązić.

– A chuj – stwierdził Borys i zaczął ponownie swoją tyradę.

Znów nie szło nic zrozumieć, jedynie z kontekstu wyłapałem, że piżmowca ostatecznie zastrzelili i oddali do rozdzielnika miejskiego, z którego łaski zresztą mogli pić przywiezioną wódkę zamiast samogonu.

Wiedziałem, że żeby przetrwać w dziczy, trzeba polować, ale mimo to nie znosiłem myślistwa. Sama idea mierzenia do zwierzęcia z ogromnej odległości i pozostawienia go bez szans na przeżycie napawała mnie odrazą. Jednak najgorszy sort ludzi to ci, którzy polowali dla przyjemności, dla zabawy, a im rzadsza zwierzyna, tym większa zabawa. Gdybym mógł, to bym wziął takiego myśliwego i spierdolił ze skarpy, ale nie mogłem, bo zawsze trzymałem się z dala od polowań.

– Tam mordobicie jest! – krzyknął jakiś facet u dołu schodów i pobiegł na górę.

Rozległ się rumor dziesiątek butów, walących po stopniach i odległe dźwięki szamotaniny. Charakterystyczny odgłos roztrzaskiwanego krzesła aż przeszył mnie na wskroś.

– Ja idę zajarać – stwierdził Iwan bliżej mnie, jakby potrzebował wymówki, by pójść na górę i zobaczyć, kto też się bije.

Zostałem sam na sam z drugim Iwanem, tym, po którego przyjechałem.

Przesiadłem się dwa stoliki i spojrzałem na zmęczoną twarz człowieka, który przepił już rodzinę, zdrowie, a teraz dzielnie walczył o przepicie reszty wpływów i pracy.

– Jadow... – szepnął po prostu Iwan, nie zwracając na mnie uwagi.

– Iwan.

Miałem wreszcie możliwość załatwić to, po co przyszedłem i w końcu ruszyć w dalszą drogę. Czas uciekał, powinienem był się śpieszyć, ale... nie mogłem. Muzyka odeszła gdzieś w dal, do tła, zostałem ja i Iwan. Nie był moim kolegą, ale nie był też mi obcy.

Wpadłem w interesach, a odstawiałem całą tę szopkę grzecznościową, jak te egzotyczne ptaki z atlasów przyrodniczych, które wpierw musiały się wytańczyć, nim przystępowały do kopulacji. No dobra, porównanie może i niezbyt trafione, ale po prostu tak czułem. Czułem nazbyt wyraźnie, że jesteśmy od siebie daleko, zbyt daleko, by jakiegokolwiek słowa, niosące treść, mogły ją dodźwigać do uszu drugiego. Byliśmy razem, ale osobno.

– Wiesz, że nie strzela się do spłoszonej zwierzyny? – spytał nagle Iwan. – Ofiara, gdy się zestresuje, wyrzuca z siebie cały koktajl hormonów, przekazników chemicznych... moczu i kału. Dosłownie wybrykuje z siebie wszystko, miota się, by pomóc sobie w ucieczce, przyspieszyć reakcje organizmu, zrzucić balast i tak dalej. Później takie mięso źle smakuje, więc nie ma nawet sensu oddawać strzału. Trzeba poczekać na inny dzień, gdy się nie spodziewa. Z ludźmi jest inaczej. Wrzodów idzie dostać ze stresu, a zwierzęta się nie stresują. Ot, ucieknie albo zginie, był i nie ma. Człowiek martwi się całe życie tym jednym momentem, który nadchodzi dopiero na końcu, przez co psuje siebie nieustannie. Myślimy, że jesteśmy drapieżnikami, a tak naprawdę zwykła z nas zwierzyna, ukrywająca się przed wierzycielami na końcu świata. Nie nadajemy się do zjedzenia, Jadów, jesteśmy osrani za życia.

– Zebrało ci się na filozofię?

Iwan spojrzał na mnie spode łba. Jego twarz wyrażała zawód i zmęczenie. Dopiero po chwili do mnie doszło, że mogłem go najzwyczajniej w świecie urazić. Koledzy od wódki sobie poszli, nie było przed kim trzymać pozorów. Po prostu podzielił się ze mną swoimi myślami, jakie by one nie były.

To ja byłem tym, który dalej stroszył kolce.

– Ale coś w tym jest... – dodałem po chwili, przebierając nerwowo palcami. Obracałem w głowie jego słowa, przystawiałem do własnego światopoglądu. – Chyba gorszy jest jednak moment przed skokiem, gdy widzisz lufę i wiesz, że to koniec. Jeszcze żyjesz, Ziemia nadal się obraca, ale to już jest to... Jesteś zawieszony na chwilę między bytem i niebytem. Nawet jeśli coś cię uratuje, to twoja dusza już została zabrana na tamten świat i nie wróci. Nie ma powrotu do niewinności

– Nie ma zatoki dzieciństwa. Powiesz mi, miałeś tak?

– Jak?

– No, tak jak powiedziałeś. Czy to tylko takie... pijackie gadanie? – Iwan zaśmiał się krótko i z kwaśną miną rozejrzał się za czymś do jedzenia.

Na mgnienie oka znalazłem się gdzieś indziej. W opuszczonym laboratorium przy kompleksie mleczarskim. Probówki zasypane w śniegu, w oknach trzepocze błękitna folia,

z sufitu zwisają długie sople, czarne od wody zmieszanej z miałem węglowym. Lufa karabinu drży tak jak moje serce i palce, ślizgające się po zamrożonym spuszcisku. Wiatr wpada przez dziurę w ścianie i znika tak nagle, jak i cała wizja.

– Nie – odpowiadam w końcu, odmachując ręką. – Tak tylko gadam.

– Ludzie często gadają... Na przykład, że ma do nas delegacja zajechać. Że huta ostatnio nie wyrabia po tym, jak część kopalni zalało i zwolniło przez to wydobywanie. Przemiał zwolnił, by nie doszło do przestojów, ale weź to wyjaśnij wierchuszce, co? Aaa... Oksana im pewnie wyjaśni. Ona taka jest, gaduła, ma swoje wtyki. Zaprosi ich niby na herbatkę, a wyjdą okręceni wokół palca, zobaczysz.

Przycisnąłem kieszeń, by upewnić się, że przesyłka nadal jest na swoim miejscu.

– Jadę do Elektrogrodu – wypaliłem nagle. Iwan zerknął na mnie, ale nie był wcale zdziwiony. – Mam przesyłkę do dostarczenia, ale będę mieć sporo wolnego miejsca na bagaż, gdybyś coś chciał obrócić.

– Jedni obracają ludźmi, drudzy towarami, co? – Iwan spojrzał ku schodom, z których właśnie złązili rozgadani kompani. – Chyba atrakcje się skończyły. Dobra panie dróżniku, chodźmy stąd. Woda się kończy, a przecież wiem, że nie wpadłeś na pogaduchy.

– Wybacz – szepnąłem, speszony tym, że Iwan nie nabrał się ani na moment na moją postawę. – To będzie długa droga.

– I musisz się do niej przygotować, wiem. Załatwię ci, co chcesz, a teraz chodźmy stąd. – Iwan nagle spojrzał na mnie złęczony... – Zimno się robi... Coraz zimniej, Jadow.

* * *

Mieszkanie na ostatnim piętrze oczywiście nie miało sprawnej windy, bo jakże by inaczej. Mozolnie wtaczaliśmy się piętro po piętrze, robiąc sobie krótkie przerwy na wychłodzonych parapetach, gdzie dały radę przeżyć jedynie nieliczne paprotki.

– Przeżyją nas wszystkich – wysapał Iwan.

– Kto? Paprocie?

– Nie, skurwysyny – dodał Iwan, opierając się o pusty, zespawany z żelaznych prętów kwietnik. Wyjrzał przez szybę na pozornie niekończące się ściany kolejnych bloków, gdzie błyskały się tylko pojedyncze okna salonów i kuchni. – Kiedyś skończy się ruda albo ludzie... cokolwiek. Skurwysyny zostaną.

– Jak to z karaluchami bywa – odparłem nijako, bo nie miałem ochoty skutecznie jego defetystycznych wyziewów.

– Nie, nie z karaluchami. Karaluchami jesteśmy my, oni są niedźwiedziami, wiesz, Jadow? Tacy jak my są tylko chodzącym zapasem kalorii. Na końcu nas zeżrą, ale na pewno sami nie dadzą się zagłodzić. Niedźwiedź gromadzi tłuszcz, a potem jest w stanie przehibernować zimę. Jeśli nas nie zabiją, to przeczekają, ale na pewno nie zginą.

– Do brzegu, Iwan.

Iwan poruszył ramionami, aż coś strzeliło mu tak głośno, że dźwięk zdążył pofrunąć na dno klatki schodowej i wrócić do nas echem. Spojrzał na mnie z satysfakcją i bez słowa ruszył dalej.

Mieszkanie Iwana było identyczne z moim. Ot zwykłe, popularne M3. Akurat na tyle miejsca, by odchowić w nim dziecko, ale nie na tyle, by wychować je na ludzi. Grube ściany izolowały od przeszywającego ziąbu dwa małe pokoiki i oddzielną kuchnię. W pomieszczeniach unosił się dziwny zapach, by nie powiedzieć wprost – smród. Wilgoć ściekała po oknach, w kątach gnieździł się plamisty, czarny grzyb. Na półkach leżały zakurzone, pojedyncze zabawki dla dzieci, puste ramki po fotografiach i kryształowe naczynia, w których zebrała się brązowa warstewka brudu.

– Rozgość się – zaśmiał się Iwan, wtaczając się do kuchni. Nawet nie zdjął obuwia.

Już miałem odsznurować moje grube buty z antypoślizgową podkładką, by nie pobrudzić mu dywanu, ale wtedy dostrzegłem, jak wyglądała podłoga. Zdecydowanie wolałem się nie rozbierać.

Powoli wszedłem do salonu, rozglądając się nieufnie. Nie zdziwiłbym się, jakby zza rogu wyskoczył na mnie szczur albo stado nietoperzy.

Odruchowo wymacałem włącznik światła, w końcu rozkład pomieszczeń zaprojektowano taki sam, jak u mnie, tylko metraż minimalnie mniejszy.

Cyk, nic. Przełączyłem drugi i dopiero wtedy rozbłysnęła połowa jarzeniówek pod zaśnieżonym, miedzianym żyrandolem. Żyrandol zdecydowanie nie należał do standardowego wyposażenia mieszkania. Kilka płatów malowanego szkła rozświetlało pokój w niemalże przyjemny, ciepły sposób.

– To prezent od teściów – odezwał się Iwan, choć nadal stał po drugiej stronie przedpokoju, w progu kuchni. – Sam przełączałem elektrykę, by świecił.

– No właśnie widzę – odparłem cicho, widząc, że połowa żarówek nie działa. – U mnie jest zwykły, z bakelitową ramą.

– Chujowy – stwierdził Iwan, smarkając przez palce i zaraz wychylił się z kuchni, by spojrzeć na mnie. – Kawy?

– Nie, dzięki, trochę późno dla mnie.

– Dostaniesz bez pleśni. – Iwan zaśmiał się, jakby to miało mnie przekonać do zmiany zdania, ale zamiast tego jeszcze wzmocnił przekonanie, by nie brać niczego, co oferuje... poza bronią.

Zawiesiłem wzrok na rozłożonej wersalce, na której odznaczała się szara plandeka, służąca za matę montażową. Karabin myśliwski jako jedyny prezentował się w mieszkaniu jako coś, nad czego czystością ktoś faktycznie czuwał. Kilkadziesiąt elementów ułożono w równych odstępach od siebie, tworząc niewidzialny gołym okiem schemat. Zapewne tak to wyglądało na ilustracjach z podręcznika. Niemal każdy metalowy fragment błyszczał się od świeżej warstwy smaru, odbijając światło jak małe, czarne lustro.

Iwan pojawił się tuż obok mnie tak bezszelestnie, że aż mnie zmroziło. Jego łysa, szczurza głowa po prostu zmaterializowała się w moim polu widzenia, wykrzywiając usta w grymasie satysfakcji.

– Co się tak skradasz? – spytałem wprost, bo wiedziałem, że to część teatryku, który należało rozmontować tak samo jak karabin na materacu.

– Chciałem zobaczyć twoją twarz – odpowiedział poważnie Iwan i zaraz usiadł przy małym stoliku kawowym, trzymając w dłoni wyszczerbioną filiżankę. Granatowa powierzchnia odznaczała się białymi plamami, wewnątrz których znajdowały się drobne, równie granatowe co tło kropelki. – Siadaj, aż tak się śpieszysz?

– Tak – szepnąłem, zamyślając się nad filiżanką.

Poczułem zimno, jednak nie był to przeszywający mróz, a bardziej liźnięcie chłodu, które powoli przetaczało się po skórze, zmierzając do czubka głowy.

Filiżanka, którą trzymał Iwan, była moim prezentem ślubnym dla niego dobre pół dekady temu. Czas leciał nieubłaganie, a mi przypominało się, że wtedy nie myślałem o Iwanie w ten sposób, co teraz. On też był inny, wszyscy byliśmy. Wtedy wizyta była tylko wizytą. Dziewczyny szły do kuchni na pogaduchy, dzieciaki bawiły się w salonie, my otwieraliśmy importowaną flaszkę... Cholera, gdzie to wszystko się podziało? Kto nam to zabrał i kiedy?

– Nie oczekuję, że wrócą – powiedział Iwan, upijając łyk zbożówki. Na moment jego zamglone oczy wydawały się meandrować po wspomnieniach, zamiast po pijackich zwidach. Przez tę krótką chwilę dostrzegłem w nim człowieka, nie po prostu przydatny kontakt. – Chciałbym być takim niedźwiedziem, wiesz? Zahibernować, poczekać do wiosny, gdy wszystko odżywa i zaczyna się na nowo. Podjąłbym inne decyzje, taką mam nadzieję, chcę w to wierzyć.

Przysiadłem po przeciwnej stronie stolika, spoglądając za okno. Salon wychodził na zachodnią część, w kierunku odległych, zaśnieżonych pustkowi. Nawet w nocy po niebie błąkało się nieco światła, idącego spod horyzontu. Tylko po jednej stronie było niemal całkiem czarno, z drobnymi przebłyskami czerwieni. Nikt tam nie mieszkał. Zlodowaciała, bordowa żyła rzeki odznaczała się pośród szarych ugorów, nie dając się przykryć śniegiem, zupełnie tak, jakby nadtapiała go nieustannie własnym ciepłem.

– Gdybyś wtedy wiedział to, co teraz, myślisz, że by nie odeszła? – spytałem cicho, nie wiedząc, jak jednocześnie wyrazić moje współczucie, a zarazem pokazać, że nie współczuję mu wcale. Jego sytuacja była całkowicie inna od mojej. Jego tragedia była obiektem mojej zazdrości. Jego podłoga stanowiła mój sufit. – Postąpiłbyś inaczej? Zachował się w inny sposób? Przecież miałeś tyle szans. Odchodziła i wracała, a ty się nie zmieniałeś, to czego oczekujesz?

– Byłoby tak samo – przyznał ponuro Iwan. Wyglądał na przygnębionego, ale na pewno nie czuł winy. – Bo czasami nie chodzi o to, co wiesz, a to, co czujesz. Chcesz mi powiedzieć, że ty zrobiłbyś inaczej?

Drgnąłem. Iwan wyszczerzył się, zadowolony moją reakcją. Cieszyło go to, że mógł mnie dotknąć słowem. Poczułem, że robi mi się ciasno we własnych butach.

– Oczywiście, że tak – warknąłem, oburzony tym, jak prymitywne było pytanie. – Po tysiącakroć tak! Gdybym tylko wiedział, że tak to się skończy to...

Iwan cmoknął, widząc, że nie wiem, jak dokończyć zdanie.

– Na pewno byłoby inaczej – dodałem po czasie.

– Nie zaniósłbyś ładunków? Tak uważasz? Po prostu kazałbyś Oksanie się walić? Rzuciłbyś papierami i co? Odsiadka czy relegacja?

– Nie wiem, ale przekonałbym ją, by zrobiła inaczej.

– Przekonał rząd? – Iwan zachichotał, jakbym powiedział coś bardzo naiwnego, za co dorosłemu mężczyźnie powinno być wstyd. – O czym ty mówisz, Jadow? Przecież oni na pewno liczyli się ze stratami.

– Wcale nie... Oksana na pewno nie wiedziała.

– To biurwa – warknął Iwan. – Rząd ma w dupie ludzi, czego nie rozumiesz? Gównu ich obchodzi, czy zginie stu, czy tysiąc, liczy się plan wydobywczy. Nie jesteśmy tu, by żyć, tylko by pracować. Masz być grzecznym chłopakiem i wykonywać rozkazy. Jak ci każą gołymi łapami gasić pożar w hucie, to gasisz. Jak ci każą odstrzelić ostatniego żubra, to strzelasz. Jak ci każą zawieźć ładunki wybuchowe na tereny zagrożone tąpnięciem...

Poderwałem się z miejsca. Krzesło uderzyło o podłogę i zaraz rozległy się uderzenia z piętra niżej. Ktoś walił kluczem po rurach, próbując uciszyć domniemaną pijacką awanturę.

– Nie mów o tym, jakbyś coś wiedział.

– Nie baw się w pioniera, Artem – powiedział głośno Iwan, pouczającym tonem. – Nikt cię za to nie wynagrodzi. Wszyscy bohaterowie muszą wpierw umrzeć. Nikt nie jest bohaterem za życia. Federacja potrzebuje dwóch rzeczy: robotników i symboli. Zapierdalasz albo giniesz.

– Myślisz, że zrobili to celowo?! Że zabili sobie setki ludzi dla...

– Nie, tego nie powiedziałem. – Iwan zamachał filizanką w powietrzu. – Ale nie wierzę w Agerdół. Nie wierzę, że chcieli coś więcej, bo gdyby naprawdę próbowali, to Federacja by ich powstrzymała. Magnetańsk to placówka wydobywcza, nigdy o tym nie zapominaj. Możemy mieć sobie dom kultury, kółko łowieckie, kino i inne pierdoły, ale żyjemy tak długo, jak kopimy w ziemi, a Federacja uznaje, że wyżywienie nas się zwraca. Jedzenie, woda, prąd, ubrania, papieroski, wódeczka, wózki dla dzieci, benzyna do skuterów, chemia do pierdolonego czyszczenia jebanych dywanów... Rozumiesz, że jesteśmy logistycznym koszmarkiem? Zadupiem zadupia, ostatnią stacją na drodze donikąd.

– Mnie nie musisz tego mówić, Iwan.

Iwan wznosił nagle ręce w teatralnym geście poddania.

– Dróżnik w służbie Federacji, człowiek, który widział wszystko, co jest do zobaczenia, prawda? No to widziałeś puste drogi. Setki kilometrów niczego. Wiesz, jak kończą nieposłuszne monomiasta? Tak jak te zasypane po dachy ruiny, które sobie mijasz na skuterku. Federacji nie ma, skończyła się raz, a nie ma powrotu do tego, co minęło. Możecie próbować sobie wmawiać, że to jest nadal ta sama Federacja, która zbudowała nam wielkie bloki mieszkalne, ale to nieprawda. Teraz żyjemy w Federacji, która regularnie wysyła nam mniej i mniej, coraz mniej. Czerpiemy z głębokich rezerw, bo wiedzą, że... A co ja się kurwa będę.

Iwan zamilkł nagle i odłożył naczynie na stolik. Przez długi czas siedział w ciszy, wgapiając się w puste obramowania po fotografiach.

Przez moment pomyślałem nawet, że ma rację. Nie ze wszystkim, ale z częścią rzeczy. Jednak przyznanie mu racji w części nie wchodziło w grę. Nie przeszłoby mi przez usta powiedzenie mu czegokolwiek, bo... no cóż, miał rację z jednym. Czasami nie chodzi o to, co wiesz, a co czujesz. A ja czułem gniew i wiedziałem, że jeśli tylko otworzę usta, to powiem coś, czego obaj byśmy żałowali. Więc spoglądałem długi czas na niebo, aż wąska, czerwona kreska zaczęła ponownie się rozjarzać na horyzoncie.

Godzinna noc minęła.

– Nie marnujmy czasu – powiedział w końcu Iwan. – I tak przyszedłeś tu w interesach, prawda? Bo przecież nie w odwiedziny. No to po co udawać, dla mnie to żadna przyjemność.

– Iwan...

– Nie, szkoda życia. Jeśli chcesz wiedzieć, to planuję wyjechać. Dlatego dobrze, że wpadłeś, bo to mi wiele ułatwi. Jak masz miejsce na pace, to zabierzesz dla mnie ładunek do Elektrogrodu. Znam tam urzędasza, który lubi egzotyczne pukawki. Znajdzie mi jakiś pozaustawowy przydział i zacznę na nowo.

– To dobry pomysł – szepnąłem bez przekonania. – Wyjechać stąd jak najszybciej. Szkoda, że samemu.

– Albo zostanę dla nich, albo wyjadę dla siebie. Magnetańsk nie ma przyszłości.

Pokiwałem głową. Iwan sam nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo miał rację.

Jakiś czas później, zstępując powoli, stopień po stopniu w dół klatki schodowej, sprawdziłem po raz dziesiąty tego wieczora, czy list od Oksany nadal znajduje się w kieszeni. Gdzieś z góry dobiegł mnie dźwięk tłuczonej porcelany.

Rozdział drugi

Nasza wielka ziemia

Zegar wybił dwunastą. Słońce w zenicie spoglądało obojętnie na miasto, skazane na zagładę. Szansa, że płonąca kula przejmie się naszym losem, była równie duża, co ta, że zrobi to Federacja. Były niemalże abstrakcyjne, odległe, gigantyczne i niewzruszone ze swej natury. Zarówno bez słońca, jak i bez Federacji, nie mogliśmy żyć, choć były właściwie zawsze obecne. Nauczyliśmy się je ignorować i uznawać za coś oczywistego. A przecież kiedyś nawet słońce zgaśnie... nawet Federacja upadnie, jeśli już tego nie zrobiła. Gdyby słońca zgasło, dowiedzielibyśmy się o tym dopiero po niemal kwadransie, gdy doleciałyby do nas ostatnie promienie. Gdyby upadła Federacja, jeszcze przez długi czas byśmy o tym nie wiedzieli.

Przysięgam, czasem latanie przypomina tonięcie.

Im dłużej wgapiąłem się w miernik promieniowania na nadgarstku, tym dłużej w myślach ciągnąłem analogię. Wszystko byleby tylko odwlec to, co nieuniknione.

– Opuszczasz nas? – spytał cichy, dziewczęcy głosik.

Poczułem lodowaty strumień, spływający mi po plecach. Jakby nagle cały pot z karku zebrał się w jedną, wijącą się rzekę, obejmującą kręgosłup serpentynami czystego lęku.

– Wróć...

– Obiecujesz?

Z przytłaczającym trudem przekręciłem kark i dostrzegłem Anastazję. Odetchnąłem z ulgą, przykrywającą na jakiś czas strach. Machnąłem ręką, niby na powitanie, ale tak w zasadzie to już na pożegnanie.

– Zawsze wracam.

– Będziemy czekać – powiedziała wesoło Anastazja, nie wiedząc, że kłamie.

Spojrzałem ostatni raz na Magnetańsk i ruszyłem w biel.

Brama wypuła mnie na świat – drobinę, sondę z porzuconego, dryfującego w przestrzeni wraku.

Odprowadzały mnie niespokojne spojrzenia strażników. Siergiej przyglądał mi się z powagą, trzymając dłoń na kaburze. Wyrównałem do świeżych, szerokich śladów po transporterach gąsienicowych – musiałem się z nimi minąć wczoraj. Kto wie? Może w tym momencie Oksana walczyła o byt Magnetańska, dysputując z kierownictwem i dygnitarzami

administracji centralnej. A może nie. Może przyjechali tylko potwierdzić ostatni raz słuszność własnego osądu.

To też swoją drogą rzadkość, że przysłali całą wizytację transporterem. Nie zdziwiłbym się, gdyby wyruszało ich więcej, niż dotarło.

Koperta w kieszeni dawała się we znaki jak kamień u szyi. Nie pozwalała na chwilę spokoju, parzyła przez ubranie. Czulem jej ciężar, jakby dodawał mi kilkadziesiąt kilogramów, a dopiero później zrozumiałem, że to pewnie zapas paliwa na podróż tak obciążał maszynę.

Parasol stalowo szarych chmur kłębił się nad Magnetańskiem, widoczny ze wszystkich stron. Ciemne, niemalże czarne obłoki wisiały prawie nieruchomo, kręcąc się wokół własnej osi niezmiernie powoli, jak powierzchnia wielkiego kotła, w którym ktoś gotował asfalt. Wśród tego przytłaczającego mroku tylko pojedyncze ścierwojady unosiły się w poszukiwaniu resztek, błyszcząc niby drobiny skruszonego bizmutu w tej przedziwnej, chemicznej zupie.

Wiatr osłabł znacznie przez noc, więc nie było komu wymiatać cały ten brud i syf spadający z nieba. I nie, nie chodziło o śnieg, bo on sywał niemal bez przerwy. W większości miejsc zamiast białego puchu dostrzegałem pola szarzyzny, przeplatane dziwnymi, popielatymi plamami. W niektórych miejscach opad przemysłowy był tak silny, że tworzył własne zaspę.

Czekały mnie jeszcze długie, zimne noce, gdy skuter pod prowizorycznym zadaszeniem grzeje na wolnych obrotach, by silnik nie zamarzł. Przy większym mrozie musiałbym skonstruować prowizoryczną komorę grzewczą, by zgęstniały olej choć na moment ustąpił. Zresztą, właśnie olej silnikowy zmieszany z benzyną był tym, co mogło mnie uratować w chwili największej próby, bo byłbym w stanie tym rozpalić ogień nawet w środku burzy. Zapasowy akumulator mógł się zmieścić wśród upchanych ładunków, ale nie byłem w stanie mieć planu B na wszystkie okazje.

Musiałem być ostrożny, spokojny, wyważony.

Dotarłem zaledwie do cerkwi w Oleniówce, gdy postanowiłem zrobić pierwszy postój na długiej drodze. Jeszcze nie zniknął mi z widoku nieodłączny pióropusz wyziewów, dobywający się znad miasta, gdy spostrzegłem, że punkt orientacyjny pod świątynią zawalił się w posadach.

– A w dupę... – mruknąłem, zatrzymując się tuż przed głównymi drzwiami.

Bez zapalu opuściłem nagrzane siedzenie, zdjąłem kask i obszedłem dookoła osypisko z kamieni. Skalna wieżyczka rozpadła się, a wcześniej trzepocząca wolno, czerwona flaga zniknęła gdzieś, zapewne porwana przez śnieżycę.

No niby moja robota... No i niby sprzęt mam... Ale kurwa, jaka szkoda, co nie? Aż człowiek ma ochotę się wrócić i zaraportować, to może nawet do wieczora służby inżynieryjne naprawią, ale nie, bo szkoda czasu, paliwa, no i najważniejsze – pogody. Akurat aury nie można zaprzepaścić, bo w tym kraju jest szaro i wietrznie większość roku, nawet latem.

Z najwyższą niechęcią zdjąłem ze skutera Dróżniczy Zestaw Sygnałowo Oznaczeniowy, zwany pieśczołliwie cyrklem. Spusty walizki nie zdążyły jeszcze zamarznąć, więc szybko moim oczom ukazała się kolorowa menażeria opasek odblaskowych, lin przeplatanych błyszczącymi włóknami i światełek. Spojrzałem to na miasto, to na cerkiew, szybko w niebo i już miałem wyjąć dalmierz, ale odrzuciłem ten pomysł. Przepisy były ważne, ale mierzenie odległości z cerkwi do Magnetańska było jak robienie testu na kolor własnych włosów – zbędne, oczywiste.

Wyjąłem składaną, piekielnie długą tyczkę i wbiłem tak głęboko w śnieg, jak tylko mogłem. Mozolnie, kamień po kamieniu obudowałem sygnalizator, by na pewno się nie złamał przy pierwszym lepszym podmuchu, po czym przywiązałem u góry czerwoną chorągiewkę, a na koniec opisałem i wpiąłem tabliczkę znamionową w półprzeźroczystym zabezpieczeniu.

Spojrzałem z pewną dumą na swoje dzieło, odszedłem na kilka metrów i usłyszałem krzyk z głębi cerkwi:

– A ty tu czego?! – zagrmiał jakiś staruch. – Wypierdalaj!

W pierwszej chwili nawet nie wiedziałem, jak odpowiedzieć na tak sformułowane przywitanie. Dopiero gdy nieznajomy wyszedł z półmroku cerkwi i ukazał mi się w całości, odzyskałem nieco rezon.

Cieężko powiedzieć, gdzie zaczynał się człowiek, a kończyła chodząca kupa śmieci. Staruszek nosił na sobie futra zszyte z co najmniej kilku różnych gatunków zwierząt, a na głowie miał wielką czapę, przyozdobioną ptasimi piórami, mieniącymi się intensywnym, granatowym kolorem. Oprócz tego był strasznie duży, większy ode mnie, a to, moim skromnym zdaniem, o czymś świadczyło. Przy każdym kroku łomotał potwornie o ziemię, a zawieszone na nim kawałki kory i kości pobrzękiwały przy tym dysharmonijnie.

– A... to ty, Artem, wchodź – dodał po jakimś czasie dziadek, mierząc mnie uważnie wzrokiem. Nim zdążyłem odpowiedzieć, zniknął wewnątrz cerkwi.

– Ja?

– Nie, kurwa, ja, no chodź – warknął, drepcząc zaciekle. Wydawało mi się, że kulał na jedną nogę.

Zerknąłem ostatni raz na skuter oraz chorągiewkę i ruszyłem do zawalonej świątyni.

Przez wybitą w suficie dziurę wpadał długi, biały snop światła, rozpromieniając twarz świętego Jerzego na ikonostasie. Jego mądre, odważne oczy wbite były, podobnie jak i włócznia, w wijącego się u nóg, wielogłowego smoka. Pozostali święci przyglądali się z cienia, zamknięci w swoich złotych ramach, drżący o to, że i oni skończą jak smok albo co bardziej prawdopodobne, jak wybebeszone wcześniej ikony, zużyte na opał.

Okna wybito już dawno, zaś z naw pościągano wszystkie ławki. Zachował się jedynie długi, czerwony dywan, po którym wałęsał się welon brudnego śniegu. Szczerbaty ikonostas uśmiechał się pojedynczymi, niewyrwanymi obrazami, zachęcając nieudolnie do zajrzenia w głąb pomieszczenia. Tylko królewskie wrota zachowały się jakkolwiek, nadal chronione przez wyrzeźbionych ewangelistów.

Mimo to, wchodząc do środka, poczułem, jakbym przeniósł się do innego świata. Wszedłem do miejsca upadłej godności, gdzie niegdyś chóralne zaśpiewy niosły się pod malowany sufit, a pobożni ludzie spoglądali na przepych drogich metali i wdychali opary kadzideł, czując bliskość absolutu. I choć ja sam tego nie czułem, to czułem, że oni to czuli... jeśli to ma sens. Zupełnie tak, jakby ich wiara, czy słuszna, czy nie, odcisnęła piętno na tym kawałku przestrzeni, rozciągając się na wszystkie czasy.

Dziad zniknął zaraz za wrotami, a mi zrobiło się nieco głupio. Już chciałem ściągnąć czapkę, ale powstrzymałem się w ostatniej chwili. No bez przesady, jakby, to chyba desekrowali czy tam eksekrowali, co nie? To nie jest tak, że taka zawalona rudera to nadal dom Boży, prawda?

Ostrożnie wślizgnąłem się do prezbiterium i rozejrzałem zawstydzony. Nigdy tam nie byłem i nawet nie spodziewałem się, że cokolwiek mogło się uchować przed mrozem. Wschodnia ściana cerkwi z jakiegoś powodu stała nienaruszona. Tron, krzyż, świecznik... wszystkie te dziwne, liturgiczne utensylia, których nawet nie potrafiłem nazwać, pozostały na swoich miejscach nieruszone, jakby dopiero co ktoś je odstawił po celebracji mszy.

– Wierzysz w Jezusa Chrystusa? – spytał dziad, kotłując się w rogu pomieszczenia, jak góra ubrań rzucona wieczorem na krzesło.

– No... różnie, tak w kratkę bym powiedział.

– A, chuja tam wierzysz – skwitował obcy, nalewając herbaty do brązowego kubka z kamionki. – Dobrze, że wpadłeś. Nie widziałem cię już z... czterdzieści cztery lata?

Skrzywiłem się, bo czas naglił, a tu jakiś chory psychicznie, zagubiony dziadek postanowił zabłąkać się na trasie. Nie miałem czasu odwiedzić go do Magnetańska, a chyba na to się zapowiadało.

– Dziadku, dziadek mnie z kimś pomylił, my się nie znamy. Masz jakąś rodzinę w Magnetańsku może?

Dziad pokręcił głową i upił łyka czarnej herbaty. Czekając na odpowiedź, zrobiłem to samo... herbata była wyborna. Czarna jak noc, gorzka tak jak lubię, pachniała mokrą ziemią, lasem, świeżym powietrzem.

– Artem, jakbym cię pomylił, głąbie, to bym nie znał twojego imienia. – Dziad zauważył trzeźwo i puknął się w czoło. – Czemu do mnie nie przychodzisz? Herbata ci nie smakuje? Bąk cię w pizdę użądlił?

– Co? Nie... po prostu, nie pamiętam? – Obróciłem się zmieszany. Odruchowo spróbowałem wyjrzeć, czy zobaczę stojący za wejściem skuter, ale nie zdołałem. Odetchnąłem niespokojnie, mając nadzieję, że nagły poryw wiatru nie zasypie mi go gdzieś pod śniegiem, co się zresztą często zdarzało. – Nie wiem, wybacz, dziadku, chyba to musiało być bardzo dawno. Mówisz czterdzieści lat? No to byłem dzieciakiem ledwie i to takim szkrabem. Może znałeś moich rodziców, nie wiem, wybacz, ale już nie żyją.

– Przykro mi – odparł szczerze dziad, upił łyk herbaty, po czym dokończył – że jesteś zbyt zabiegany, by mnie odwiedzić. Co, roznoszenie paczek takie ważne? Jak nie dowiesz kilku akumulatorów do Zapiździewiecka to świat się zawali?

Chyba wyrwało mi się coś przez zęby, bo dziad uśmiechnął się złośliwie. Z odrazą dostrzegłem, że dookoła jego butów zaczyna zbierać się wilgoć i drobne mrówki, spijające kropelki z roztopionego śniegu.

Dziad rozejrzał się po pomieszczeniu tak, jakby był w nim pierwszy raz w życiu, zupełnie jak ja. Chwilę dumał, dumał, aż w końcu wydumał i spytał mnie:

– Co wiesz o tej ziemi? I zanim odpowiesz, zastanów się poważnie. Co o niej wiesz? Czy umiałbyś ją rozpoznać, gdyby zawieszono ci oczy lub zatkano uszy? Jak świat wygląda poza utartymi drogami Federacji? Wśród lasów, bagien, pól gejzerów, długich wzgórz i zmarzniętych, czarnych plaż?

– Nikt nie wie, o tym miejscu tyle co ja – odparłem pewny siebie. Dziad od razu się wyszczerzył kpiąco. – Jestem dróżnikiem, odkąd tylko pamiętam. Wszyscy kotłują się w tych gorących garach miast, by nie zamarznąć, a ja dbam o to, by się od siebie zanadto nie oddalili. Widziałem bagna i gejzery, nie wiem, skąd to pytanie.

– No, stąd to pytanie, by może troszkę zakręcić tobą.

– Zakręcić mną?

– Myślałeś czasem nad tym, że Federacja sięga tylko tam, gdzie jej architektura? Że tam, gdzie kończą się ceglane i betonowe ściany, tam kończy się Federacja; i nie sięga ona ani kroku dalej! Nitki złodowaciałych kabli, rozciągniętych na słupach, to często jedyny dowód na to, że ludzie jeszcze jako tako istnieją. Czy może jeszcze to właśnie ludzie świadczą o tym, gdzie zaczyna się, a gdzie kończy Federacja? I twoje państwo jest tylko archipelagiem malutkich wysepek, pływającym po oceanie śniegu?

Dopiłem herbatę i odłożyłem kubek na najmniej czcigodny mebel, jaki znalazłem. Nie byłem w nastroju na defetyzm, ani jakieś buntownicze gadanie, a tacy wagabundzi potrafili mieć cały czas tego świata, by marnować go innym ludziom.

– Dziękuję za gościnę, było mi naprawdę miło, ale muszę jechać. Jeśli masz kogoś bliskiego w Magnetańsku to...

– To odwieziesz mnie na najbliższą komendę za rozprzestrzenianie fałszywych informacji na temat Federacji? – spytał sarkastycznie.

– Nie... Gadasz bzdury, ale to jeszcze nie powód, by na ciebie donosić.

– Och, jaki łaskawy! – Dziad wstał, wyprostował się i ruszył niezmiernie powoli w moim kierunku. – Czeką cię jeszcze długa droga, Jadów. Myślę, że będziesz mieć czas, by się zastanowić nad tym, dla kogo ją pokonujesz i gdzie leży twój cel. Weź pod rozwagę, że państwo to tylko dług, który ci u władzy narzucili tym, którzy są im wierni, dług, z którego dłużnicy są dumni. No, chyba że mówię już do trupa i taki doświadczony, wybitny dróżnik skończy w jakimś rowie albo, co bardziej prawdopodobne, dowiezie wreszcie własną trumnę na swój pogrzeb.

Dziad zaśmiał się gromko. Jego głos brzmiał jak trąca o siebie sopłe lodu, a pokryta zmarszczkami twarz zadygotała, niczym kozuch na gotowanym mleku.

– Słuchaj no! – krzyknąłem i przestraszyłem się echa.

Mój krzyk poniósł się po pustym, splądrowanym prezbiterium. Porwane szaty liturgiczne wałyły się na pokrytej śniegiem posadzce, na której zalegał gruz i śmieci. Po gospodarzu nie było ani śladu. Kubek z kamionki leżał w rogu pokoju, parując lekko resztkami zawartości.

Nie da się pić ze stłuczonego naczynia, pomyślałem. I nie da się jeść z rozbitego talerza, ani gotować wody w pękniętym garnku.

Przetarłem oczy, przeklinając się w myślach. Dałem się nabrać na durne zwidy, śnieżne widziadła czy inne anomalie pogodowe. Przecież nie da się tak po prostu spotkać

drugiego człowieka, będąc w drodze. Jakkolwiek wspomnienie o trumnie trzymało się mnie znacznie dłużej, niż chciałem to przyznać.

Odszedłem od ściany wschodniej, szurając butami o szerniałe kafle. Z ikonostasu przyglądały mi się ciekawie twarze świętych o oczach pokrytych pyłem węglowym.

* * *

To było tutaj, pomyślałem, zatrzymując skuter. Nie zgasilem nawet silnika, ale musiałem przystanąć. Nie mogłem tego tak pozostawić, bez domknięcia, bez puenty, bez... sensu?

Siedem koncentrycznych kręgów rozciągało się na obszarze, który ledwie dało się objąć wzrokiem. Pomimo opadu śniegu, czarny ślad zdawał się niemożliwy do zatarcia. To nawet nie był pył, to był... popiół, jak po skremowanym człowieku.

Zerknąłem ku linii wysokiego napięcia, która przysypana leżała na ziemi. Granatowe kable w pewnym momencie nurkowały w wielkie, białe zaspy, a jakiś czas później inne, udające te same kable, wyskakiwały i niby nic na igłę, nawlekały się na słupy.

Kurwa, powinienem był to zgłosić... A może zgłosiłem? Sam już nie pamiętałem. Niby moja robota, ale... Nie no, jeszcze są te pieprzone oddziały inżynierskie, oni na pewno to wyłapią. W końcu jeśli urwało linię przesyłową, to i tak muszą to odnotować gdzieś na podstacji. Zresztą, po co remontować linie, które i tak ma się zamiar wygasić?

– Ja pierdolę...

Miałem w głowie mętlik... wróć, pierdolnik. Rozejrzałem się zrezygnowany i dostrzegłem, że gdzieś na północy majaczy srebrna kopuła, błyszcząca się w promieniach słońca. Dziwny obiekt zdawał się lekko drżeć, falować i wznosić ponad odległą dolinę. To przecież nie mogło być to, ale mimo wszystko poczułem, że muszę sprawdzić, zobaczyć to na własne oczy.

Wykręciłem w prawo, roztrącając płozami czarny nalot pozostały po... ustabilizowaniu stanu lokalnej biosfery. A konkretniej po Agerdzie lub przynajmniej jednej z jej części, być może tej najdelikatniejszej i niemalże ludzkiej.

Skuter przebiegał kolejne kręgi, a ja czułem się jak demonolog czy inny sztukmistrz, przerywający ochronny krąg z soli. Jakiś nagły strach chwycił mnie za serce. Irracjonalny, a może i wręcz przeciwnie, lęk, że jeśli tylko przejdę ostatni krąg i wstąpię w dolinę, to wtedy...

Skuter podskoczył na wyboju, zarył się głęboko w zmarzlinie. W ostatniej chwili poderwałem go do góry i wyprostowałem kurs. Nagły błysk światła oślepił mnie tak, że przez moment nie wiedziałem nawet, dokąd jadę.

Wjechałem w Agerdół, zjeżdżając powoli po łagodnym, przyprószonym świeżym śniegiem zboczu. Dolina rozciągała się pomiędzy dwoma stromymi wzniesieniami, gdzie wyrastały wysokie, iglaste drzewa pokryte szadzią. Naturalna niecka przypominała wielką, białą zjeżdżalnię, po której człowiek miał ochotę ześlizgnąć się na samo dno, krzycząc przy tym z radości.

Jednak radości nie było.

Był tylko ból wspomnień, rozpadliny i kopuła.

Całą dolinę pokrywały ogromne, czarne wyrwy w ziemi, z których wypływała żółtawa, gorąca ciecz. Na brzegach tych przedziwnych formacji śnieg topił się i rozcieńczał płyn, tworząc oleistą, dymiącą substancję, przywodzącą na myśl jakieś wyziewy z torfowisk. Szkody górnicze były nazbyt rozległe, by śnieg mógł zlepić się ze sobą i zakleić większe dziury warstwą śniegu, więc cały obszar przypominał powierzchnie obcej planety, siwej, trującej, niezdatnej do życia, a na dodatek upstrzonej kraterami jak po uderzeniach meteorów.

Kolumny kolorowego dymu wypełzały spod ziemi, aż do nieba, gdzie tworzyły niemożliwy, przerażający kształt, przypominający płaszcz, który ktoś nałożył na całą krainę. Trujące powietrze zbierało się i zasłaniało wszystko warstwą niskich, ciężkich chmur, z których co rusz skapywały pojedyncze krople jadu. Ponad tą przedziwną, żółtawą peleryną wyziewów wyrastał kształt najbardziej niezwykły i nieprawdopodobny... Agerda, a raczej to, co z niej pozostało.

Gargantuiczna klatka piersiowa objęła całą ziemię aż od Agerdołu po Duszoł, tworząc nomen omen klatkę, choć nie spełniającą żadnej funkcji poza przypominaniem wszystkim o tragicznych wydarzeniach. Pojedyncze zebra wystawały na setki metrów z ziemi jak wieżowce jakiejś obcej, zaawansowanej cywilizacji, zdolnej konstruować budynki sięgające samego nieba. Sama tylko myśl o przeznaczeniu takiego obiektu przyprawiała mnie o dreszcze.

Genius loci tego miejsca zmienił się nie do poznania.

I nagle myśl chwyciła moje serce na sekundę i zaraz puściła, że może nie była to klatka, pomnik ani wieżowiec, a trup. Nie mający swojej funkcji produkt uboczny, ślad po tym, co było, a być przestało.

Zebrałem się na odwagę... nie, nie na odwagę, ale na gest współczucia wobec samego siebie i spojrzałem niżej, na samo dno, do czeluści, gdzie wśród czarnych wgłębień poniewierały się resztki betonowych bloków, prefabrykatów, długich, stalowych anten, miedzianych kabli i bogactwa tłuczonego szkła.

Katastrofa pochłonęła niezliczone życia, ale też i całą infrastrukturę, postawioną rękoma mieszkańców Magnetańska. Najdotkliwszą pozostałością było osypisko, które niczym ślad po ciosie na rancie tarczy, odznaczało się na jednym ze wzgórz. Tam, gdzie wcześniej stała ogromna rampa wraz z wyciągarką, pozwalającą przenosić duże ładunki na dno Agerdołu, teraz znajdowało się jedynie rumowisko z bloków skalnych, drewnianych szczap i pogiętej blachy.

Gdzieś niżej ze ściany wybijała się zasypana żółtym śniegiem brama. Ogromna, wsparta metalowymi dwuteownikami jama, stanowiła wejście do podziemnego systemu sztolni. Jednak po niej została tylko złamana w pół wywrotka, przypominająca niechcianą zabawkę, porzuconą w piaskownicy.

I jeszcze niżej, już całkiem na samym dnie, pośród śniegu, lodu i trucizny, byli oni... moi bliscy. Ciało nadal nie odzyskano i choć władza zapewniała, że się tego podejmie, to przecież nie byłem dość naiwny, by w to wierzyć. Federacja ma rzeczy pilniejsze do roboty, zawsze tak jest. Zawsze jest coś ważniejszego od ludzi.

– Artem – wysapało zmęczone echo z oddali.

Zmrużyłem powieki. Słońce biło po oczach, odbijając się od pofałdowanych zwalów złocistego śniegu. Z tej perspektywy wydawało się, jakby tam w oddali znajdowała się piaszczysta pustynia, wypełniona marmurowym kruszywem.

Spojrzałem w głąb zatrutego rozpadliska i dojrzałem człowieka. Niemożliwe... Żywy, prawdziwy człowiek ubrany w zieloną kurtkę i błękitne spodnie. Machał do mnie, trzymał coś w jednej dłoni. Worek? Śpiwór? Dziecko?

Zacisnąłem dłoń na dźwigni gazu. Przyśpieszenie niemalże zrzuciło mnie z siedziska. Maszyna zanurkowała w dół zbocza, dociążona zapasami i przesyłką od Iwana. Szybko na mojej drodze zaczęły wyrastać elementy dawnych budynków, niedobudowanych gospodarstw i upadłych słupów energetycznych. Najgorsze jednak były niskie piramidki ostrych skał, ukryte wśród zasp śnieżnych.

– Artem! – krzyknął znów ten sam głos.

Coś szarpnęło mną w bok. Skuter wygiął się, zagłębiając jedną płozą niżej, niż drugą. Wskazówka prędkościomierza przywitała się z osiemdziesiątką i nagle poczułem lekkość.

Pojazd oderwał się od ziemi i poszybował tuż nad błyszczącym śniegiem, zmieniającym się z każdym pokonanym metrem. Barwy mieniły się gwałtownie, szybko nabierając coraz wyraźniejszej żółci.

– W pizdę – warknąłem, na mgnienie oka ogarniając wzrokiem całe zapadlisko.

Uderzenie zmiotło mnie z miejsca. Ostatnim odruchem wdusiłem hamulec, ale na próżno. Zacząłem turlać się po żółtym pyłe, zamykając usta i oczy tak mocno, jak to tylko możliwe.

Piekący dym od razu przedostał się pod powieki, dusząc mnie i dławiąc. Rozdrażnione ślinianki zaczęły pracować z pełną mocą, wypełniając usta wodą o słonym i metalicznym posmaku.

Automat zadziałał zgodnie z przeznaczeniem. Gdy tylko kluczyk wyskoczył ze stacyjki, skuter zamknął się w sobie jak żółw, wygaszając silnik i zaciskając hamulce tarczowe.

Jednak fizyka może i wybacza, ale nie zapomina i raz przyśpieszony do takiej prędkości pojazd potrzebuje długiego czasu, by się zatrzymać. Gdy ja już poderwałem się na nogi, otrzepując z toksycznego pyłu, skuter dalej sunął, choć coraz wolniej. Aż wreszcie z hukiem zatrzymał się na białej na sztorc żelazobetonowej płycie.

Wziąłem głęboki oddech i szybko tego pożałowałem. To, co z daleka wydawało się złotawym dnem doliny, z bliska było skąpanym w trującej mgłę polem minowym. Sieć uskoków tektonicznych i sterczących odłamków uniemożliwiała łatwe poruszanie się na piechotę. I choć natychmiast pobiegłem w kierunku pojazdu, to czułem, że z każdym krokiem zapadałem się niżej i niżej, nie mogąc się zbliżyć.

– Artem! – Głos był blisko, choć dobiegał z przeciwnej strony, gdzieś zza mgły i skraju jednej z rozpadlin. – Artem!

– Idę! Już biegnę! – krzyknąłem, po czym wstrząsnął mną kaszel. Słaniając się na nogach, obróciłem się i podreptałem w drugą stronę.

Mgła gęstniała z każdą chwilą. Zerknąłem ku skuterowi, na który zawałił się po uderzeniu kawał śniegu. Oznaczenia po bokach dawały mi namiastkę nadziei, że będę w stanie do niego trafić z powrotem, choć już teraz żółtawe grudy roztopiały się na rozgrzanej osłonie kompozytowej i pokrywały wszelkie oznaczenia jednolitą, wilgotną powłoką.

Mogłem wrócić po maskę przeciwgazową, ale... przecież to już, to już tutaj, a oni jakoś sobie poradzili bez maski, tak?

Krok po kroku wdrapałem się na betonową płytę i spojrzałem w dół. Na dnie oblodzonej niecki znajdowała się mała, czarna szczelina, z której ulatniał się gorący strumień powietrza pod ciśnieniem. Żółta ciecz gotowała się i bulgotała przy każdym, mocniejszym podmuchu, który brzmiał jak:

– Aaaa...eeeeeeemmm. Aaaa...eeeemmmm.

Z niedowierzaniem spoglądałem na tryskający gejzer trucizny, z którego co rusz wystrzeliwała oleista zupa. Rozejrzałem się dookoła, spojrzałem na koszmarną nekropolię, gorejące śmietnisko po nieudanym miasteczku, i zawiesiłem wzrok na żółtych chmurach, sponad których wyzierał biały kręgosłup giganta.

Trupi jad wypływał spod ziemi, przeobrażając dolinę i wykrzywiając wszystko, co w nią wpadło.

Nagle straciłem równowagę i runąłem na plecy. Spróbowałem wstać, ale śnieg ustąpił pod moją nogą i zapadłem się po kolana w miękką mieszankę. Z bliska przyglądały mi się oblodzone resztki człowieka, szkielet, którego ciało już dawno odeszło od skorodowanych wyziewami kości.

– Aaaaaa...eeeeemmm – krzyczał za mną gejzer.

Kolejne czaszki wyłaniały się spod nawarstwiającego się i od razu topniejącego śniegu. Promienie słońca błyszczały się na równi w płatach czołowych, jak i wyżętej blasze. Gruzowisko i cmentarzysko zmieszały się w jeden, porażający obraz ludzkiej porażki, gdzie nawet powietrze składało się z niechcianych resztek tablicy pierwiastków.

Wygrzebałem się z kolorowego, geologicznego melanżu i wypelzłem na kolanach, byle dalej od trupowiska. We mgle zamajaczył kształt skutera, którego metalowe elementy zdawały się rdzewieć w oczach.

Wdrapałem się na śmierdzące, mokre siedzisko i włożyłem kluczyk w stacyjkę, modląc się, by klucz nie odkształcił się w czasie wypadku.

Silnik zamruczał i zaraz pomruk zmienił się w obolałe skomlenie. Wrzuciłem wsteczny, z napięciem oczekując efektów i w końcu zębatki przewróciły się ospale, wyrrywając gąsienice z zasy. Dzięki Bogu, że te nowe skutery miały w ogóle wsteczny bieg.

Powoli wróciłem po własnych śladach, z każdą chwilą czując, że mdleję. Aż wreszcie barwne plamy przykryły cały świat. Usłyszałem tylko ostatnie odległe, cichnące:

– Aaaarteeem...

Lecz już nie wierzyłem zjawom. Nie miałem na to siły.

Obudziłem się, nie wiem jak długo później – czy ledwie kilka sekund, czy kilkanaście minut. Skuter toczył się powoli na wstecznym, walcząc z nierównością terenu.

Zdjąłem kask i wziąłem haust świeżego, zimnego powietrza.

Zionąłem trucizną, szybko wietrzejącą i ulatniającą się z całego ciała. Przejechałem rękawiczką po głowie i między palcami zostało mi kilka włosów. Na szczęście, bo byłem skłonny uwierzyć, że zobaczę płyty własnej skóry.

Obejrzałem dokładnie skuter i westchnąłem sobie od serca, zafrasowany tym moim spierdolonym, biednym losem. Cały cylinder pokrył się żółtymi wyszczerbieniami, czymś na wzór próchnicy na niegdyś zdrowym zębie. Dookoła bocznych pokryw silnika zebrał się zlodowaciały, śmierdzący niby-śnieg, który musiałem skrobać długi czas, aż w końcu poddałem się i odłożyłem skrobaczkę do kieszeni.

– A w duuuupę – warknąłem, oglądając maszynę i oceniając krytycznie. – A chuj wie, co w środku skorodowało. Jeszcze pewnie kanał dolotowy zarósł tym gównem. Boże, widzisz to i nie grzmisz.

Silnik zaświszczał jak na zawołanie. Złocista mgiełka uleciała spod nakładki ochronnej i zatrzymała się na moment w powietrzu, kierowana nieznaną siłą, jakimś sobie tylko znanym kaprysem i powodem.

Przekląłem na czym świat stoi, ostatni raz sprawdziłem mocowanie pakunków i wsiałem na swoją zdezelowaną maszynę. Jeszcze przez moment obmacywałem kieszeń na piersi, gdzie przełożyłem oba listy od Oksany. Wolałem je schować do foliówki, tak dla bezpieczeństwa i jak widać warto było, bo przeżyły spotkanie z gejzerem bez szwanku. Jedna koperta była cienka, druga gruba, obie równie niepozorne, co bezcenne.

– Jedźmy, nikt nie woła – szepnąłem, wciskając gaz. Silnik zamruczał, zmęczony.

Gdzieś w oddali rozbrzmiało lamentowanie gazów ziemnych, odśpiewujących swoje geologiczne treny nad zatrutą doliną.

* * *

Z dała od cywilizacji.

Co to znaczy, być z dała od cywilizacji? To znaczy: być daleko od wszystkich przejawów ludzkiej aktywności? Daleko od kopalń, linii przesyłowych, tartaków, ale też klubów, kin, bloków mieszkalnych, ulic? Opuszczone pół wieku temu wioski, zasypane po dachy śniegiem i zamknięte w skorupach wiecznej zmarzliny jak komary w bursztynie, też są cywilizacją? Niebieski od porostów słup graniczny wyznacza cywilizację? Czy cywilizacja to też ludzie? Jeśli jestem z kimś w dziczy, to czy to już jest cywilizacja? Ilu musi nas być, by takową była? Pięciu? Pięćdziesięciu? Pięciuset?

Z dala od ludzi.

Być sam, nie widzieć i nie słyszeć innych. Znajdować się w sytuacji, w której nikt i nic nie może ci pomóc, ale także nie zdoła ci przeszkodzić. Jeśli ktoś oporządził mój skuter, bez którego nigdy bym tu nie dotarł, to czy na pewno jestem sam? Pojechał, wrócił, gdzie był? Z dala od cywilizacji i sam? Jeśli tak, to jak tam było i gdzie przebiega granica? Czy byłem prawdziwie sam, czy po prostu osamotniony, pozostawiony, w towarzystwie dziury, pustki o kształcie drugiego człowieka?

W pewnym momencie poczułem, że się nie boję i, paradoksalnie, to mnie przestraszyło. Zaakceptowałem swoje położenie, oddalone od innych, swoją samotność, i nawet na najkrótszą z wszystkich chwil, chwilę krótszą niż mgnienie, ułamek uderzenia serca, akurat tyle, by jeden impuls elektryczny przebiegł po mojej sieci neuronalnej... zaakceptowałem ich śmierć.

Ale to była tylko chwila. Cień chwili, rzucony przez mknącego po bezchmurnym niebie ptaka, przesłaniającego fragment słońca. I znów światło, wykształcenie wstydu wobec własnych myśli i poczucie, że jest się wiecznie ocenianym i obserwowanym, jak zwierzę złapane w światła reflektorów.

Płozy ślizgały się na boki do wtóru rżenia silnika. Maszyna błagała o ratunek albo chwilę odpoczynku, ale ja jej nie miałem zamiaru go ofiarować. Jeśli bym zatrzymał się choćby na sekundę, to niechybnie runąłbym w przepaść i pogruchotał sobie kości.

Skuter wspiął się na wzniesienie, świszcząc jak koń pociągowy z chorymi płucami. Silnik zachłysnął się powietrzem, jęknął niby z bólu i już gotów był zgasnąć, gdy nagle pojazd osiadł miękko na świeżym śniegu.

Biała pulpa obrastała wysokie, strome wzgórza, pretendujące do miana pełnoprawnej góry. Puch rozkładał się w specyficzny sposób, który mogli dostrzec tylko ludzie, mieszkający całe życie na tak chłodnych, zaśnieżonych terenach.

Wiedziałem, że się uda. Choć raz nie miałem wątpliwości.

Maszyna zatrzymała się na szczycie górki, wyjąc boleśnie. Zaciśnąłem hamulce i zgasilem silnik. Jeszcze dla bezpieczeństwa obłożyłem tył malutkim wałem śnieżnym. Niby mogłem wyjąć klocki, ale jakoś już tak zacząłem się w tym babrać i nie mogłem się zebrać, by przestać. Gąsienica, która wciągnęła mnie na szczyt, była również gwarantem stabilności.

Obejrzałem z zadowoleniem ulokowany bezpiecznie skuter śnieżny i sięgnąłem do bagaży po lornetkę oraz radio.

Czułem się jak prawdziwy pionier Federacji, bohater. Uwielbiałem to uczucie, upajające, niemożliwe do opisanie uświadomienie sobie własnej siły woli, wytrzymałości, kompetencji.

Dróżnikami nie zostawali najmądrzejsi ani najsilniejsi i wcale mnie to nie obrażało. Dróżnicy ginęli przez niecierpliwość, pochopne, emocjonalne, bzdurne decyzje... jak ta przy Agerdole, która nieomal kosztowała mnie skuter i cały ładunek. No, ale cóż, co było, a nie jest, nie pisze się w ewidencję, czy coś.

Dziad z cerkwi gównem się znał na rzeczy. Federacja była moją ojczyzną, a ja dokładnie wiedziałem, jak się po niej poruszać. Stojąc na szczycie góry, aż zapragnąłem wbić w nią jakiś przenośny maszt i określić mianem stałego punktu obserwacyjnego, ale szybko zbyłem tę myśl. To był tylko pagórek, zavalony śniegiem i lodem do oporu, ale jednak tylko sezonowy wyrób pogody. Za rok czy dwa równie dobrze mogło go tu nie być albo, co bardziej pewne, mógł być jeszcze wyższy i mój maszt zostałby zamknięty w kolejnym sarkofagu bieli.

Wziąłem głęboki oddech i przeszedłem do części zasadniczej. Byle debil potrafi wsiąść na skuter, terenówkę gąsienicową albo świdromobil i przejechać z jednego miejsca do drugiego. Kluczem jest jednak, nomen omen, kluczyć w stale zmieniającym się klimacie, gdzie nieustannie pogoda przeobraża świat. I choć pojedyncze nitki kolejowe tworzyły w miarę stały, nienaruszalny krwioobieg państwa, to i one były narażone na nagłe manifestacje przyrody.

Cóż, nawet duchy były tylko elementem aury, tak jak słońce czy wiatr.

W ostatniej chwili złapałem się na tym, że zapomniałem spisać parametry pogodowe, więc jeszcze dopisałem temperaturę, prędkość i kierunek wiatru, ciśnienie, czy nawet głębokość śniegu do pierwszej zmarzliny, po czym dopiero wtedy przyłożyłem soczewki lornetki do oczu i rozejrzałem się po całej okolicy.

Bezkres – tylko tak można opisać Federację. Ziemię jej podległe rozciągają się na tysiące kilometrów we wszystkich kierunkach. Jeśli śnieg to tylko miliardy skryształizowanych płatków utkanych z zamrożonej wody, to Federacja jest oceanem tegoż śniegu, a ja żeglarzem. Zakotwiczylem samotną szalupę skutera u szczytu wzgórza, z którego rozciągał się widok na zatopione lądy.

Im dalej spoglądałem, tym z większym trudem odróżniałem to, co jest ruiną, a to, co zaledwie stanowi figiel optyczny, zrządzanie świetlnego losu.

Stara rolnicza spółdzielnia produkcyjna przypominała pysk jakiejś wielkiej bestii, rekina z dawnych tysiącleci. Szpiczasta morda wystawała ponad morze śniegu, jakby chciała

coś kłapać wielkimi szczękami i pożreć. Jednak prawda była taka, że to samo gospodarstwo zostało pożarte przez zapadającą się ziemię. Z zewnątrz wyglądało tak, jakby szarobrazowa góra drewna została wciągnięta w śnieg niczym w gęstą smołę, lepiącą się do wszystkiego i niepozwalającą na ruch. Zapewne jednak to nie sam śnieg zasypał tak spółdzielnię, tąpnięcie wprawdzie przechyliło bryłę budynku, a pogoda dopiero dopełniła dzieła.

Ponad niewyobrażalnie wysokie zwały zamrożonego śniegu wypelzały na świat resztki pozostałych zabudowań: stare silosy zbożowe, wysoka stodoła, chlew i drewniana wieża ciśnienia z czerwonym obmalowaniem.

Trochę dalej znajdowała się sama wieś, o ile tak można ją w ogóle nazwać. Kilkanaście długich domów o dachach pokrytych mieszaniną eternitu i asfaltu kładło się bokami wśród bieli, jak unoszące się na jeziorze śnięte ryby. Czarne, rozszarpane podbrzusza budynków miały nienaturalne uszkodzenia, niewiadomego pochodzenia. Głęboko osadzone w warstwie izolacji okna wyglądały na świat zbitymi szybami. Pojedyncze promyki słońca próbowały niezdarnie zajrzeć do wnętrza obróconych pokoi, ale na próżno.

Coś nie dawało mi spokoju w tym obrazie. Miałem niepohamowane wrażenie, że nie jestem odkrywcą ruin, a świadkiem samego procesu burzenia. Nie sposób wyjaśnić, co konkretnie nie pozwalało mi zaakceptować tej sytuacji. Może to, że budynki, przewrócone na bok, nieustannie drżały i podrygiwały w niewidzialny rytm, jak próbujące się przewrócić z pleców żółwie.

Wziąłem głęboki oddech i z lękiem włączyłem radio.

Odsłuch radiowy nie był nielegalny w Federacji, ale na pewno traktowany jako wstydlive dziwactwo i uznawany powszechnie za zajęcie dla podstarzałych dewotów. Nieustannie straszono ludzi o możliwych konsekwencjach zdrowotnych słuchania radia i chorobach radiacyjnych, ale większość z nich była niegroźna. Znałem osobiście wiele osób, które całe życie słuchało radia i przechorowało to co najwyżej krótkimi okresami niedogodności żołądkowych.

Cóż, jedni wierzą, że ułożenie gwiazd wpływa na ich dzień, inni odczytują z nich kierunki geograficzne. Ja zdecydowanie należałem do tej drugiej grupy.

– Wolne żarty... I wtedy... Ale ani słowa! Ona na pewno nie... Pieprzona szpula... Pomóż babci nawlec igłę bo... Czekaliśmy na ciebie, Artem... Drepcze i drepcze i drepcze, a ja się tak kurwa boję i nie mogę wytrzymać i szalu dostaję i kurwica mnie bierze i pierdolca dostaję i... Artem, za tobą... Znowu krew w mleku... – Głosy atakowały falowo, jak tłum, tłoczący się do jednego megafonu. Zebrane w jednym czasie i przestrzeni, ale źródła mające nie wiadomo jak daleko i kiedy.

Nasłuchiwałem radia z narastającym napięciem. Wszystkie pasma były niemal zawsze zajęte przez śmieci, szum ludzki, szum ich duszy... Niby tłumaczono to nam i mówiono, że to nieprawda, że to efekt powtarzania się fal radiowych w eterze, taka radioelektroniczna echolalia. Jednak ciężko było nie myśleć o tym, skąd pochodzą te głosy i czemu tak często zdaje nam się, że wiemy, o czym mówią.

Ponoć pochodzą z wewnątrz, ale ja w to nie wierzę. Myślę, że głosy są wszędzie. Przychodzą z różnych miejsc i różnych czasów, przenikają nas nieustannie, a my płaczemy się w tej pajęczynie podsłuchanych wiadomości i urwanych komunikatów. Może pewnego dnia uda nam się utworzyć jedno, stabilne pasmo bezprzewodowe, ale na chwilę obecną to wszyscy próbowaliśmy się przekrzyczeć jeden przez drugiego.

I jest tylko jedna zasada.

Jedyna.

– Jest tu kto? – spytałem, przełączając na nadawanie.

Nigdy nie odpowiadaj duchom.

W ułamku sekundy świat zamglili się, jakby ktoś spróbował nałożyć na siebie dwie klisze filmowe i wyświetlić oba filmy jednocześnie. Na poły przeźroczysty, nierealny wymiar przyćmił to, co znane i prawdziwe. Anomalie radiowe zamieszkiwały zaśniewane pustkowia, zajmując się swoimi niezrozumiałymi dla ludzi sprawami. W ich ruchach dostrzegałem coś znajomego, nieudany spektakl teatralny, próbujący odtworzyć życie, dawno zaginione i skute lodem.

Zjawy poruszały się nadwyraz żwawo, przebiegały obok mnie z szybkością gnającego eszelonu kolejowego. Mogło się zdawać, że jedyne co powstrzymywało je od rozwinięcia prędkości światła, to mróz i brak wyobraźni, co też z taką prędkością począć.

Lecz nie tylko tańczące, zdjęte mrozem duchy zamieszkiwały lodowe pustkowia. Anomalie radiowe pojawiały się, poruszały i znikwały, zaś *genius loci*, duchy opiekuńcze, zawsze pozostawały przykute do jednego, fizycznego miejsca.

Ta... rzecz, jeśli można ją tak nazwać, rezydowała w ruinach wsi. Zresztą sama mogła być przyczyną ich stanu. Syczenie dziesiątek odnóży, uderzających unisono o zmarzlinę i gruzy, przypominało stukot kół pociągu, pędzącego bez opamiętania.

Tudum, tudum, tudum... bez końca. Na poły przeźroczysta stonoga wielkości lokomotywy sunęła niczym po torach, ocierając się o czarne, wyszarpane z ziemi fundamenty budynków. Dziesiątki złączonych ze sobą ciał tworzyło jeden organizm.

I w tym zamieszaniu, tańcu rusałek wśród tumanów białego kurzu i brzęczenia osypujących się wzgórz, tak nieznośnie drążących ciszę, właśnie To usłyszałem.

– Jesteśmy tu zawsze – odpowiedział chór, złożony z dziesiątek osób. Choć radio nadal wypływało z siebie bezład komunikatów, to przedziwny, śpiewny głos tłumu przebijał się przez eter. – Odejdź, obcy, zostaw nas.

Przekonał mnie. To nie tak, że nie miałem nic lepszego do roboty niż przyglądać się jak ten przedziwny ludzki tramwaj kursuje wśród wysepek ze zbutwiałych desek i pokrytych zaciekami, betonowych płyt. Natomiast inność tego dziwnego stwora, zachęcała do przynajmniej powierzchownego zainteresowania się jego sensem.

– Co robisz? – spytałem przez radio. Zmrożone duchy dalej kręciły się dookoła mnie, jakby na ślepo szukając źródła dźwięków. – To był twój dom?

Skręciłem skalę na lornetce, zbliżając się do stonogi. Gdy istota na chwilę zwolniła, dostrzegłem twarze, wtopione w jej lodowe, przeźroczyste ciało. Oblicza wydawały się całkiem naturalne, nie przypominały w żadnym stopniu rzeźb, ani dzieł sztuki. To były, w pełni tego słowa znaczeniu, twarze ludzi, złączonych w jeden, fantastyczny organizm.

– To jest nasz dom – odparł chór. Inne głosy w radio ścichły, przeszły z bezładnego jazgotu do konspiracyjnego poszeptywania. – Lepiej odejdź, nim one cię złapią, obcy.

– Nie muszę być obcy, nazywam się Artem Jadow – odpowiedziałem, drżącym głosem. Nagle radio ucichło całkowicie.

Sekundy rozciągnęły się w czasie, zdawały trwać i trwać, nie mogąc minąć. Rozglądałem się zdezorientowany, gdy w końcu zrozumiałem, że coś jest ewidentnie nie tak. Dałem się złapać w prymitywny sposób, aż wstyd.

– Chowaj się, obcy – szepnął chór po raz ostatni.

Stonoga zamarła w bezruchu, tak jak i otaczające mnie duchy. Figury, utkane z szumu radiowego, spoglądały na mnie pustym wzrokiem. Nie miały prawa mnie widzieć, ale mogły mnie usłyszeć i teraz...

Odstawiłem lornetkę, wyłączyłem radio i rozpętało się piekło.

Powietrze zgęstniało nagle. Drobin y wilgoci oblepiły moją twarz, a nawet język, a następnie zaczęły szczypać. Niebo zmieniło się w ciemny kłęb, przypominający chmurę z pożaru. Z góry runęły pierwsze krople lodu...

Drobin y wody, spuszczone z górnej, cieplej warstwy atmosfery, przebijały się przez czarną warstwę zimnego frontu, zmieniając w przeźroczyste, ostre kuleczki, lecące z prędkością kilkudziesięciu kilometrów na godzinę.

Trzask sopli, łamanych o powierzchnię mojego skutera, przypawił mnie o ciarki. Pierwsze odpryski farby wystrzeliły w górę, świadcząc o sile żywiołu. A to przecież był zaledwie początek.

Zapiąłem prędko kask, przypadłem do kierownicy i zacisnąłem gaz.

I nic.

Silnik zamruczał, niemalże bojowo, więc to raczej nie jego wina. Gąsienica naparła na zmarznięty śnieg, lecz maszyna nawet nie drgnęła.

– Kiepski moment, naprawdę kiepski – zawarczałem, kopiąc w bok płozy. – No rozbijaj się, kulawa szmato.

Rozkraczony jak nad sławojką, próbowałem jednocześnie utrzymać się w siedzeniu i rozkopać zlodowaciały śnieg, którym dopiero co obłożyłem skuter, by się przypadkiem nie ruszył. Jak widać – zadziało.

Poczułem, jakby mnie koń kopnął w mostek. Pojazd pognął naprzód, niemalże zrzucając mnie i zostawiając na tej przeklętej górze.

Lodowe odłamki były z każdej strony, widoczność ograniczyła się do minimum i nawet reflektory nie pomagały w rozproszeniu białawej, gęstej mgły. Światło tańczyło wśród spadających fragmentów, przypominając mi o tym, że choć ich nie widziałem, dookoła mnie nadal bawiły się lodowe zjawy.

Lecz to wszystko było tam, po drugiej stronie radia czy lornetki. Ze mną był jedynie skuter, gnający w dół stromej części wzgórza, w dodatku tej, której nie obejrzałem nazbyt dokładnie wcześniej. Płozy podskakiwały co rusz wraz z przodem maszyny, drząc i ściągając mnie to w lewo to w prawo. Jedynie szeroka, czarna gąsienica nadawała jakikolwiek kontrolowany rytm mojej podróży przez burzę.

Gdzieś w oddali rozbrzmiał grzmot... choć to przecież nie było możliwe, nie w tych warunkach, ale...

Ponownie: huk, łoskot, pierdolnięcie – przede mną co rusz ścierały się ze sobą wielkie siły.

Zamieć przybrała na mocy, wałać we mnie wszystkim, czym tylko mogła. Lodowe igły były z każdej strony bezlitośnie, wystukując niemalże rytmiczny takt. Zupełnie tak, jakby dla kogoś to była zabawa albo sztuka... albo rzemiosło, doprowadzone do perfekcji.

Przed oczami stanął mi obraz podsunięty przez mój mózg w chwili paniki. Zamarznięty dróżnik, który niegdyś dojechał do Magnetańska. Przymarzał do własnego skutera. Przed śmiercią zacisnął gaz do oporu i nakierował maszynę mniej więcej na właściwy azymut. Zatrzymał się dopiero wtedy, gdy czoło pojazdu uderzyło o wiatrochron.

Spróbowałem rozluźnić palce. Paliczki ledwo dały radę drgnąć. Maszyna zwolniła, akurat wtedy, gdy teren powoli zaczął się wypłaszczać.

Wraz z pędem zelżała siła uderzeń zamarzniętych kropel, ale radość nie trwała zbyt długo. Moje ubranie z każdą chwilą pokrywało się szybko zamarzającymi drobinami wody. Ciepło ciała i silnika roztopiało śnieg, który zaraz zamarzał, balansując w tej przedziwnej walce.

Rozbrzmiał najgłośniejszy huk.

Gargantuicznych rozmiarów stonoga, przeskoczyła tuż nade mną. Istota rozciągnęła się nad moją głową, w ostatniej chwili unikając kolizji. Zlepieni ze sobą plecami ludzie, tworzyli kuriozalny twór, na zmianę przylegający do jednych ścian i odpychający się od innych setkami bladych dłoni.

Stwór tak szybko jak się pojawił, tak szybko zniknął. Nie powinien był móc go dojrzeć, ale jednak...

I wtedy dostrzegłem ścianę. Prawdziwą, całkowicie namacalną, fizyczną i realną.

– Chuj – zdążyłem warknąć, ale nie zdążyłem wyhamować.

Skuter wbił się w to, co wziąłem za ścianę, a w istocie było podłogą przewróconego na bok domu. Deski strzeliły na wszystkie strony w fontannie odłamków.

Wszystko zwolniło nagle i nabrało nowych barw. Czas płynął powolutku, spokojnie, z prędkością rosnących guzów, wypływających spod skóry siniaków i pęczniejących włókien mięśniowych.

Wypierdoliłem się na bok z gracją, jakiej pozazdrościć mogą nawet baletnice ze szkoły stołecznej. Sufit, który w zasadzie był ścianą, zawirował nade mną jak niebo wewnątrz planetarium. Szare konstelacje z główek gwoździ, mgławice desek, słońce z resztek światła, wpadającego przez wybite okno. Świat przez moment ukazał mi się na nowo, jakbym widział go po raz pierwszy w całym jego pięknie i dziewiczej formie...

To był wstrząs mózgu.

Niczym wysokofunkcjonujący alkoholik, zacząłem sterować własnym ciałem wedle wyuczonych nawyków. Miałem obie ręce, obie nogi i chyba nie krwawiłem, więc pierwszy sukces za mną. Skuter zgasł w momencie uderzenia albo chwilę potem, bo tak mną szarpnęło, że klucz wyleciał ze stacyjki i teraz zwisał luźno na smyczy.

Burza lodowa szalała potwornie, rzucając budynkiem na wszystkie strony, albo to mną tak miotало jeszcze po zderzeniu. Mimo to mogłem zorientować się we wnętrzu budynku dzięki światłu dolatującemu ze zburzonej przeze mnie ściany. To w ogóle było takie szczęście, że głowa mała, bo jakby dom faktycznie stał na podłodze i uderzyłbym w izolowaną, grubą ścianę, to pewnie można by mnie zeskrobywać z desek. Nie wspominając

już o tym, że większość okien na wsi ma zewnętrzne okratowanie z kolcami na niedźwiedzie i... innych gości.

Żołądek wierzgnął nagle jak buntujące się zwierzę. W ostatniej chwili zdjąłem kask, jednocześnie próbując chwycić powietrze i zwymiotować. Przyłgnąłem do ziemi na czworaka, z głową nisko, próbując nie zachłysnąć się własnymi rzygami.

Jest świetnie, pomyślałem, wyjąc przez lecące mi z ust resztki prowiantu. Tak właśnie miało być, to jest to na co zasługuję. Tak trzeba żyć.

Z niedowierzaniem spostrzegałem, że wśród moich ciepłych wymiocin znajdował się odłamek lodu, lecz tak szybko, jak na niego zwróciłem uwagę, ten zniknął. Obróciłem się więc i położyłem pod ścianą, którą powinna być sufitem, ale nim nie była.

– Nie ma co, wspaniałe miejsce na takie ekscesy – mruknąłem półprzytomnie, rozglądając się po przewróconym wnętrzu. – Żyrandol na suficie, który nie jest sufitem. Włącznik światła na podłodze, która nie powinna być podłogą... To też w ogóle ciekawe, że mieli prąd. Pewnie podciągnięty ze spółdzielni, bo inaczej...

Znowu wymioty, znowu jęczenie, pięć minut nasłuchiwania wycia wiatru, wiejącego z prędkością zdolną do wyrwania lusterek wstecznych.

Dróżnikiem zostają wytrzymali, pomyślałem, tak jak mówiłem dziadowi cerkiewnemu.

Gdy już nie miałem czym rzygać i z każdym skrzętem wnętrzości wychodziło ze mnie tylko smutne, suche kwilenie, uznałem, że to koniec części zasadniczej męczarni. Nadszedł czas na pokłosie, mogące ciągnąć się godziny lub lata, w zależności od obrażeń.

Doczłapałem do skutera. Kątem oka dostrzegłem zбитy reflektor, ale nawet nie chciałem o tym myśleć. Chuj z tym reflektorem, może rano będzie cały. To, co było istotne, znajdowało się w malutkiej, pomarańczowej paczce w przyborniku medycznym.

Drżącymi rękoma spróbowałem wyjąć apteczkę, ale niemal od razu wypuściłem ją na ziemię. Zębami zerwałem przemarznięte, wilgotne rękawiczki i czerwonymi, opuchniętymi palcami zdołałem rozpiąć zestaw z chemią.

Podróżny Przybornik Farmakologii Polowej, czy też pospolicie ćpalnik, stanowił zestaw ośmiu opisanych, kolorowych fiolek wraz z przyklejoną starą jak świat instrukcją.

– A kurwa, ty durniu – warknąłem, bo zorientowałem się, że pomyliłem kolejność zażywania, ale i tak było na to za późno.

Nabrałem do niewielkiej strzykawki wielorazowego użytku środek wygłuszający szумы radiologiczne. Zawsze się zastanawiałem, jak Federacja doszła do tego, które środki są najskuteczniejsze przeciwko konkretnym zagrożeniom, ale w sumie mieli na to mnóstwo

czasu i kolonii karnych, by się przekonać. Nie no, chyba jednak używali ochotników, a przynajmniej taką miałem nadzieję.

W drugiej kolejności dobrałem się do standardowej paczki – większej, czerwonej – i stamtąd wyłuskałem jednorazową syretkę z pyszną, słodziutką morfiną. Igła wjechała mięciutko pod skórę i głębiej, zapraszając zbawienny specyfik wprost w spragnione ukojenia ciało.

Ciepnąłem apteczkę na pałę w bagaże, przysięgając sobie, że następnego dnia się tym zajmę. Od momentu zażycia zestawu ratunkowego miałem ledwie chwilę, by działać dalej. Powinienem był rozpałić ognisko, ale nie było na to czasu ani środków. Zresztą, tylko debil rozpałalby ognisko wewnątrz starej, drewnianej chaty. Kto by tego potem pilnował?

Wyjąłem największy, najmniej poręczny kłopot z całego zestawu dźwiganego przez mój skuter – śpiwór.

Zdażyłem jedynie rozłożyć wielki, nieprzemakalny kokon i wsunąć się do środka, nim uderzyła mnie siła nowoczesnej medycyny.

– Dawaj kurwo, jestem gotowy – mruknąłem, spoglądając na świat ze środka śpiwora, jak ogromna, tłusta gąsienica.

I wtedy przyszedł myśli.

Świat nie jest piękny. Ludzie dryfują spokojnie na swoich małych, zaprojektowanych od linijki wysepkach, pozostając wewnątrz archipelagu rutynowych obowiązków i znanych, pojmowalnych elementów. Kontrola usypia ich i zmusza do poszukiwania czegoś innego, obcego, bliższego prawdzie. Jednak wrodzona lub wyuczona bezradność, lęk, wreszcie tchórzostwo nie pozwalają im opuścić tego archipelagu, żeglować poza horyzont, na nieznane wody. Więc wędrują w myślach, wyobrażając sobie nieznane lądy jako jakieś wykoślawione, syntetyczne formy tego, co znają. Wszystko, co posiadamy, wyrwaliśmy siłą świata, nikt nas nie trzymał za rękę. Nie było przewodników ani opiekuńczych duchów, ani Boga. Byliśmy my, dwie ręce i ściana, pod którą postawiła nas natura. Piękno? Dobro? Romantyczność? Zbudowaliśmy z drewna, kamienia, metalu, plastiku, napędziliśmy węglem, ropą, uranem i kazaliśmy nas zachwycać. Trzasnęliśmy matkę naturę batem przez plecy i zmusiliśmy do tańca. W przyrodzie nic nie jest ofiarowane, nic nie jest dane, nie ma nic za darmo. Każdy wodospad, który obserwujemy z urzeczeniem, wymaga wyprawy, z której możemy nie wrócić. A krowy nie są piękne, tylko brudne i groźne. Koty szarpią się pazurami i pozostawiają rany, które się jęczą. Zwierzęta są zawsze dzikie, nim się je udomowi. Człowiek urodzony w przydziałowym mieszkaniu, z udomowionym kotem, szkołą publiczną

i zakładem pracy przy pętli tramwajowej, nigdy nie zrozumie, z jakiego piekła się wyrwaliśmy, by na to zasłużyć.

Mrugnąłem raz, drugi, ospale spróbowałem sięgnąć do kieszeni. Nie czułem nic poza rozlewającym się ciepłem i poczuciem, że nie mogę ruszyć palcami.

Nacisnąłem przez sen na radio, włączając je opacznie.

Nade mną wisiała ona... stonoga.

Zebrana z dziesiątek ludzi, sina z mrozu, pokryta zlodowaciałymi strupami istota, przypominająca stopione ze sobą śmietnisko woskowych figur. Jej głowa złożona była z twarzy zarośniętego, brodatego mężczyzny o szczękoczułkach z dwóch par złożonych do modlitwy dłoni. Gdy mówił, ręce rozkładały się w kształt ust, lecz jego twarz pozostawała niewzruszona. Stwór górował nade mną, ogromny, nieobejmowalny wzrokiem. Gnieździł się w środku, zawinięty kilka razy wewnątrz domu, by jego długi odwłok nie marzył na dworze.

A ja, jak ta pierdolona larwa, leżałem sparaliżowany morfiną w jego legowisku.

Nie mogłem sięgnąć do radia.

Nie mogłem go wyłączyć.

Na zewnątrz tańczyły tysiące lodowych duchów, na poły ogłupiających istot, wirujących w takt muzyki wygrywanej przez lodową burzę. Widziałem je wyraźnie jak obrazy w galerii sztuki, mogłem wyodrębnić poszczególne maźnięcia pędzla, nadające im dynamiki, prędkości, tego poczucia nieustannego, szaleńczego ruchu.

I dopiero wtedy zrozumiałem, że nawet moje myśli nie należą do mnie. One również swoje źródło mają w aurze tego miejsca. Gniazdo przesączało się przez mój umysł, naznaczało swoją historią, emocjami jego mieszkańca, widzeniem świata, jakie może przyjąć tylko stworzenie zebrane w jeden mechanizm, grupujący wiele ludzkich istnień.

– Ludzie nie powinni opuszczać swoich domów – wyszeptał chór dziesiątek osób zebranych w przewróconej izbie. – Bóg stworzył nas małymi, kruchymi, byśmy żyć mogli tylko w Edenie... A Ziemia nie jest dla nas i nigdy nie była. Ziemię stworzono jako miejsce wygnania i pokuty, miejsce obce, ciemne i zamieszkane przez to wszystko, co żywi się krzewami kolczastymi. I nie powinniśmy wędrować nazbyt daleko od domu. A ty, Artemie Jadowie, przeczysz Bogu, szczycisz się swoją słabością. Jednak pamiętaj, że jesteś trzmielem przefruającym obok byczych zadów i żyjesz tylko dlatego, iż jesteś dość mały, by cię zignorować.

Trzeba przyznać, że w tamtym momencie faktycznie czułem się dosyć mały. Otepiałem od leków, zawinięty w śpiwór i otoczony radiową halucynacją. Nigdy nie byłem przesadnie religijnym człowiekiem i jakkolwiek tłumaczyli to badacze nauk biologicznych, tak wciąż nie

mogłem się nadziwić cudom, jakie objawiały się człowiekowi poza granicami miast. Dopiero w głuszy, gdzieś w bezgranicznej bieli, człowiek stawał się na tyle wyostrzony na bodźce, by dostrzegać to, czego na co dzień nie mógł doświadczyć.

– Dlaczego biegasz? – spytałem o pierwsze, co mi przyszło do głowy.

Stonoga uniosła nieco łeb, nieomal zarywając pancerzykiem o wystającą deskę. Odrobina śniegu osypała się na stworzenie, a następnie zsunęła z niego na podłogę, próbując mnie uświadomić, że istota przede mną jest jak najbardziej namacalna, a nie urojona.

– Zawsze biegaliśmy – przyznał chór, ku mojemu zdziwieniu. Nie obstawiałem, że mi odpowie, myliłem się. Twarz dziada nadal była nieruchoma, lecz przyglądała mi się bacznie. – Biegaliśmy, odkąd pamiętamy i przeżyliśmy, więc biegać będziemy nadal. Gdyby nie było nas wielu, nie przeżylibyśmy, gdybyśmy nie biegali, nie przeżylibyśmy. Toczmy nasze młyńskie koła po koleinach wytyczonych przez przodków. To spokojne, ułożone życie, pełne wewnętrznej spójności, logiki.

– Z zewnątrz nie wygląda to zbyt logicznie...

– Musisz się w tym urodzić – odparła stonoga. – Ty jesteś obcy, nie zrozumiesz. Fruwasz od gniazda do gniazda, bczysz i miotasz się w nim chaotycznie. Jesteś inny od nas, nie masz prawa nas oceniać. Nie wiesz, ilu z was przeżyliśmy, biegając swoim torem.

– Hej, też mam swoją rutynę domową – stwierdziłem z oburzeniem, poprawiając się w ściworze. Stworzenie jak na zawołanie zakręciło się zirytowane, szeleszcząc licznymi dłońmi i stopami. – Mam swój rytm, wewnętrzny ład i tak dalej...

– Nie – warknął twardo chór, aż się wzdrygnąłem ze strachu. Spróbowałem ponownie sięgnąć radia, muskając palcami gumowego obramowania. – Nasz rytm jest zegarem, sam w sobie tworzy mechanizm, oparty o realne miary... Słońce, deszcz, wiatr, ziemia, śnieg, życie toczy się od zawsze w ten sposób. Twój rytm jest wyznaczany przez zegar, ale zegar bierze swoje miary z rozkazów ludzi. To nie jest to samo. To sztuczny ład, pozór, symulakra... chaos.

– Jesteś całkiem elokwentną stonogą, wiesz?

Stonoga nachyliła się ku mnie. Mogłem dostrzec pojedyncze, rozchodzące się żyłki na twarzy starca. Jego układ krwionośny już dawno zmienił się w mapę lodowych pajęczyn, przebiegających po całej skórze. Powierzchnia ciała rogowaciała i zmieniała się w zbrylony, półprzezroczysty pancerz, chroniący przed żywiołem. Dopiero z tej odległości mogłem dostrzec liczne zamarznięte blizny. Gdyby tylko temperatura wzrosła, a zmarzlina stopniała – jestem pewny, choć nie mam na to dowodów – byłby z bólu i zgryzoty. Teraz jednak był zbyt zajęty opowieścią... rytmem.

– Litujemy się nad tobą, Artemie. Jesteś słaby, twoi bliscy są słabi i wszystko, w co wierzysz, jest słabe. Niechybnie przyjdzie wichura, która zmiecie cię z powierzchni tej ziemi. A na razie śpij tu, korzystaj z naszej łaski. Żaden duch nie zatańczy dziś na twoim posłaniu, o to się nie martw. Lecz nie możesz zostać na długo. Nie jesteśmy ci wroży, ale to jeszcze nie jest gościna.

Z trudem wygiąłem się, sapnąłem i wdusiłem wyłącznik radia. Metalowy przycisk wydał z siebie głośnie pstryknięcie.

Stonoga drgnęła, zastukała szczękoczułkami i szepnęła do mnie na pożegnanie:

– Możesz wyłączyć radio, ale my tu pozostaniemy. Nawet gdy ty będziesz głuchy na nasze wołanie – stwierdziła dwuznacznie stonoga i zawinęła się w długi, poskręcany supeł rąk i nóg.

Przewróciłem się na bok i zamknąłem oczy. Próbowałem nie myśleć o kilkudziesięciu nagich, zamarzniętych ciałach dookoła mnie.

* * *

Poranek przywitał mnie zgoła innym, lecz znacznie groźniejszym stworzeniem, którego obawiał się każdy dróżnik – kacem.

Nawet robili nam kiedyś takie szkolenie, organizowane przez politechnikę z Sahala. Rzekomo nie był to kac, tylko obrzęk opon mózgowych wynikający z odwodnienia... czy coś. Więc w zasadzie ani kac nie był czymś specyficznym dla alkoholu, ani anomalie radiowe czy też leki biorące udział w ich prewencji nie skutkowały kacem, tylko rzeczonym odwodnieniem.

– Aaa, pierdolone – wymruczałem, próbując wypełznąć ze śpiwora.

Pogoda uspokoiła się odkąd byłem na zewnątrz, choć nadal momentami zawiewał zimny, nieprzyjemny wiatr. Słońce wpadało przez wszystkie możliwe otwory, podświetlając unoszący się w powietrzu kurz. Każdy krok wzbijał siwy tuman w powietrze, drażniąc nozdrza i przypominając, jak bardzo zapomniane przez Boga i Federację było to miejsce.

Podróż między monomiastami rzadko przypominała sprint czy nawet bieg na czterysta metrów. Zdecydowanie częściej był to maraton. Powolne, równe tempo dopasowane do stanu organizmu i warunków pogodowych, regularne przerwy na odpoczynek, interwały szybszego biegu i ponownie marszobiegu, i tak w kółko.

Kuchenka turystyczna zasyczała cicho, rozpalając moje nadzieje na gorącą kawę. W międzyczasie postanowiłem oddalić się od chałupy, by załatwić swoje potrzeby

i dokładniej ocenić aurę. Po przeżyciach z ostatniej nocy wołałem nie ryzykować przypadkowego pogwałcenia miejscowych zwyczajów i zbezczeszczenia legowiska wielkiej stonogi...

I tak w nie najgodniejszej sytuacji, załatwiając się na opłotek, przypomniałem sobie o zbiorowym duchu tego miejsca. Obejrzałem się przez ramię, podskakując w miejscu, by nie zamarznąć. Za mną rozciągał się pejzaż wioski, przypominający zamknięty w lodowej gablocie skansen. Choć ślady stonogi były jak najbardziej namacalne, to samej istoty nie mogłem nigdzie dojrzeć. Tylko odbicie długiego, nieforemnego kształtu na podłodze, świadczyło o tym, że nie spędziłem tej nocy sam.

Kawa, tuszonka, suchary z kminkiem, złodowaciała ryba, woda... dużo wody. Śniadanie przy wschodzie słońca zawsze dawało mi siły na kolejny dzień, a przynajmniej jego część. Nie sposób powiedzieć komuś, jak wspaniałym uczuciem jest budzenie się samemu w głuszy. Ta chwila spokoju, melancholii, towarzysząca narodzinom nowego dnia. Oczywiście wtedy, gdy pogoda na to pozwala, bo ciężko witać nowy dzień, gdy wiatr urywa dach.

Spóźniłem się na niedobrzask, ten piękny, krótki moment tuż przed wschodem, ale i tak widok był do pozazdroszczenia. Wdrapałem się na jedną z większych chat, której bok zachował się na tyle dobrze, bym nie obawiał się stawiać kroków na nowym nie-dachu, złożonym z przewróconej ściany. Ściskając w dłoniach kubek, obserwowałem słońce, wspinające się powoli po błękitnym firmamencie nieba.

Długie poranne cienie wyciągały spośród śnieżnego pustkowia to, co najpiękniejsze. Zmieniały pozornie jednolitą masę bieli w różnokształtny, pofalowany pejzaż. Poszczególne elementy odznaczały się od tła i zachwycaly oryginalną formą. Wystające spod śniegu pojedyncze kikuty drzew, zamarznięty strumień, przewrócona wieża ciśnień, którą dopiero przy dobrej pogodzie mogłem dostrzec. Jej pofalowany, metalowy kapelusz chylił się ku ziemi, jakby witał każdego, kto by tylko zauważył ją pośród tej bijącej po oczach masy śnieżnej. Gdzieś dalej wyrastał ogromny, pojedynczy słup linii wysokiego napięcia, zdolny podźwignąć sześć różnych zbiorów przewodów. Mimo to żadnych przewodów nie było, a słup pozostał samotny, jak gigant strzegący równiny. Po co go zbudowano i po co jeszcze stał? Może pozostałość po dawnej linii energetycznej, idącej do jednego z wielu miast, które kiedyś istniały, ale przestały. A jeśli miasto przestało, to i linia straciła na znaczeniu. Zresztą, do tego stopnia zaniedbano ją, że nawet nikomu się nie opłacało zdemontować samej konstrukcji i odzyskać surowce.

Chyba to jest największy ból. Być tak samotnym i niepotrzebnym, że nikt nie ma nawet czasu o tobie pomyśleć. Zostać tak bardzo porzuconym, by nie mieć nawet wrogów ani nie móc zainteresować sobą nawet najbardziej chciwych i interesownych.

Dopiłem kawę i już miałem skierować swoje kroki w stronę skutera, by ocenić szkody, gdy nagle... Nie, nie to, że coś zauważyłem, bo nie mogłem, ale poczułem. To było coś na wzór przecucia, by nie popadać w pompatyczność i używać słowa: wizja!

Pokręciłem głową z niedowierzaniem, próbując zbyć własne myśli jako nonsens, ale te przysłowiowe dwa wilki we mnie zaczęły się żreć i w końcu mądrzejszy ustąpił głupszemu, jak to często w życiu bywa.

Ruszyłem slalomem między porzuconymi sztachetami, które ktoś wbił w śnieg jakiś czas temu, by stworzyć mniejszy, skromniejszy perymetr, odgradzający małą, niepozorną chatkę. Pierwsze, co rzuciło mi się w oczy, to jak bardzo zabarykadowana była chałupka. O ile w pozostałych domach hulał wiatr i okna szczyrzyły się krzywymi framugami, z których wybito szyby, tak tutaj nie było dosłownie nic.

Szarpnąłem za drzwi zawarte na głucho od środka. Uderzyłem raz, drugi i zrozumiałem, że wejście nie było zamknięte tak po prostu, na klucz, ale podparte od środka czymś ciężkim. Zupełnie tak, jakby mieszkańcy chcieli mieć pewność, że z zewnątrz nie wejdzie ktoś... lub coś.

No i rozpalili moją ciekawość, gnoje. Jakby chata była otwarta, tak jak wszystkie inne, to nawet nie zwróciłbym na nią uwagi, a tak? Szansa na bycie gdzieś po raz pierwszy, przed innymi, to zawsze wyjątkowa okazja. No i jest co opowiedzieć przy wódce w domu kultury, człowiek na moment kupi sobie chwilę uwagi, poczucie jakiejś obecności, więc w opowieści i...

Przywaliłem w drzwi z kopa. Zasada dynamiki zakpiła ze mnie paskudnie i poleciałem na plecy, prosto w świeżutki, iskrzący w porannym słońcu śnieg.

Wstałem, otrzepałem się i niczym ten wilk w bajce dla dzieci, postanowiłem sforsować świńską chatkę. No, to byłyby już trzy wilki we mnie, niedługo mógłbym skręcić z tego całą watahę.

– Ale mam dzisiaj dobry humor – mruknąłem do siebie zadowolony, szukając wśród tobołów łoma. – To będzie wspaniały dzionek.

Zainstalowałem się wraz z łomem przy zamkniętych drzwiach, naparłem z całą siłą i dopiero wtedy doszło do mnie, że ubiegłonocne leki mogą mnie jeszcze trzymać, wpływając na mój osąd sytuacji oraz podejmowane przeze mnie decyzje...

– Jebut! – krzyknąłem, wyłamując fragment drzwi.

Stare, zmarznięte drewno stało się sztywne, łamliwe. Wpierw dawało mocny opór, ale po pierwszym uszkodzeniu pękało i kruszyło się prawie jak brykiet. Na zmianę napierałem na drzwi barkiem i mocowałem się z łomem przy zbutwiałej framudze.

Drzwi uchylały się centymetr po centymetrze, odsłaniając swoje tajemnice, aż w końcu powstała szpara na tyle szeroka, bym mógł wcisnąć się do środka.

Spróbowałem raz, drugi – i nic. Bez większego namysłu zdjąłem przypinaną na piersi latarkę z kurtki, po czym ściągnąłem kurtkę i w samym tylko swetrze wbilem się w przejście.

Chropowate deski, ocierające się o moją twarz, przywołały mnie z miejsca do porządku. Zamrugąłem zdezorientowany, jakbym widział wszystko dookoła po raz pierwszy, ale że byłem już w połowie drogi, to poszedłem za ciosem i wcisnąłem się głębiej.

Struga światła z latarki rozcięła mroczną, wilgotną izbę. Unoszący się w powietrzu kurz tworzył coś na wzór mgły, tak gęstej, że ograniczającej widzenie. Czułem się tak, jakbym penetrował starożytny grobowiec...

I wtedy uczucie zmieniło się w przekonanie, a uśmiech na mojej twarzy momentalnie zbladł.

Faktycznie penetrowałem grobowiec. Może nie starożytny, ale za to zbiorowy.

Pierwszego dostrzegłem mężczyznę w średnim wieku. Skulona, chuderlawa sylwetka podpierała drzwi od środka, siedząc tuż obok masywnej, dwudrzwiowej szafy. Z jego twarzy zwisały długie, czarne sople lodu, sięgające aż do podłogi. Wyglądało to tak, jakby człowiek ten wpierw stopił się niczym świeca, a dopiero w trakcie nagle zastygł i zamarzł, by tak już pozostać do końca.

Byłem przyzwyczajony do wielu widoków, ale ten zdecydowanie zapisał się w mojej pamięci jako niezwykle... a raczej niezwykle odpychający.

Sama izba była wypełniona nielicznymi pozostałymi meblami, które uchowały się spod siekiery i przetrwały pogrom. Ewidentnie rozrąbano ogromną liczbę krzeseł, stołów i łóżek, by jak najdłużej podtrzymywać tłący się w rogu ogień.

Nie wiem, czy wpierw skończyło się ogrzewanie, jedzenie, czy to może jakaś inna, nieznana mi siła zadała lokalnej społeczności cios miłosierdzia. Nawet nie chciałem się domyślać, osłupiały zastanym widokiem.

Ciała. Dziesiątki zamarzniętych, czarnych od odmrożeń, nagich ciał. Wtulonych w siebie jak jeden wielki dywan, upleciony z ludzkiej skóry. Obchodziłem je ostrożnie z każdej strony, wypatrując szczegółów, mogących mnie doprowadzić do rozwiązania, jednak nic takiego nie znalazłem.

Ślady pazurów na ścianie były nazbyt małe, by świadczyć o ataku dzikiego zwierzęcia, zdecydowanie należały do człowieka. Nie wiem, na jak długo po lub przed zgonem zawarto drzwi. Na pewno spędzono tu ludzi celowo, by razem zagrzali powierzchnię jednej chaty, zamiast próbować przetrwać oddzielnie. To tłumaczyło też nieco stan pozostałych domostw w wiosce, a przynajmniej tych, które obserwowałem, choć je równie dobrze mogły ograbić wycieczki szabrowników.

W kącie siedziała jedna, skulona oddzielnie od reszty postać. Znajoma mi brodata twarz starego mężczyzny. Ta sama, którą patrzyła na mnie stonoga zeszłej nocy. Starzec zastygł na wieki w bezruchu, modląc się przez ikony w czerwonym kącie. Niewielki rzeźbiony ołtarzyk zajmował przestrzeń w rogu pomieszczenia. Usytuowano go pod dwoma półkami, wypełnionymi drewnianymi dewocjonaliami. Centralne miejsce zajmował krzyż z jasnego drewna z małym Chrystusem, precyzyjnie wykrojonym z bursztynu.

Wyciągnąłem dłoń i już miałem pochwycić za krzyż, gdy nagle przeszył mnie lodowaty dreszcz. Kątem oka dostrzegłem, jak zamrożony dziad rusza się, obraca głowę w moją stronę.

Cofnąłem palce, spojrzałem na człowieka i na nowo wydawał mi się całkowicie nieruchomy.

Jak... Jak on mógł? Czy bronił krzyża? Bronił całej wsi? Czekał na kogoś? Czemu nie mogłem chwycić za krzyż? To znaczy, oczywiście, że mogłem! Fizycznie mogłem go wziąć i sprzedać choćby w Elektrogrodzie lub podarować komuś w ramach prezentu. No bo co? Miał się marnować tutaj? W końcu porzucone budynki można było zawsze rozebrać bez konsekwencji prawnych, ale...

Może dotyczyło to jedynie prawa karnego? Może prawo boskie miało swoje własne zastosowanie na tej ziemi?

Nie wiem, po prostu nie wiem.

Zamiast ograbiać zmarłych, wołałem oddać im jakąkolwiek sprawiedliwość. Rozglądając się po sieni, w której leżał zmarzluch blokujący wejście, spostrzegłem kartkę. Wcześniej nawet jej nie zauważyłem, a może i nawet jej tam nie było? Do wewnętrznej strony drzwi ktoś przybił wiadomość, której treść brzmiała następująco:

Zostaliśmy tu zostawieni na śmierć. Po trzykroć próbowano nas skusić, po trzykroć przekupić i po trzykroć zastraszyć. Nigdy się nie baliśmy. Niech władza wie, że zwykły człowiek nie ma powodu do wstydu i giąć karki można jedynie przed Bogiem. Niech On znajdzie w swoim sercu miejsce na wybaczenie, bo my go nie znajdujemy. Mróz jest zbyt silny, zapasów nie starczy do wiosny. Baba Jaga nie śpi. Nie możemy już dłużej się przed nią

chować, a nie mamy sił, by wyjść. Nie podpisuję się pod listem ze wstydu. Zrobiłem coś strasznego, to nie jest wyznanie win, tylko Bóg w niebiosach może mnie osądzić. Jednak nie mogłem dłużej patrzeć, na ich męczarnię. Jeśli to czytasz, wyświadczyć ostatnią przysługę, bratu chrześcijaninowi. W piecu ukryłem listy. Nie było u nas dróżnika od pół roku, w końcu władza o nas zapomniała. Jeśli masz Boga w sercu, pomóż nam zaznać spokoju. Nie potrzebowaliśmy nikogo innego, ale to nie znaczy, że nie pisaliśmy listów. Nie można dać się rozdzielić, śniegiem, mrozem, czy kamieniem granicznym. Trzeba być razem. Zawsze razem. Jeszcze tego nie wiesz, ale ciebie też przepraszam. Jeśli kiedyś się zgubisz, załóż buty na lewą stronę i wskocz do jeziora, to ją zmyli. A ona na pewno będzie za tobą podążać. Z Bogiem.

Przeczytałem list kilka razy, przejeżdżając dłońmi po papierze. Obróciłem kartkę na drugą stronę i dostrzegłem mały druk maszynowy u dołu. Choć kartkę wypełniono pismem odręcznym, to rewers wskazywał na to, że była to niegdyś strona, wyrwana z książki. Widniała jedynie data, wskazująca na druk sprzed kilkudziesięciu lat, choć sam list miał pewnie nie więcej niż pół roku, może rok.

– Ja pierdolę – mruknąłem przestraszony. Rozejrzałem się i nagle poczułem się obserwowany. Nie z wewnątrz pokoju, a z zewnątrz.

Treść listu wywarła na mnie silne wrażenie, zupełnie tak, jakbym coś komuś obiecał, choć przecież to nie prawda. Mogłem po prostu stamtąd wyjść i... i co? Tak po prostu zamknąć drzwi i zostawić to? Pokazać, że faktycznie mam tych ludzi w dupie i nie jestem w stanie nawet tyle dla nich zrobić?

W piecu rzeczywiście znajdowała się zielonkawa, płócienna torba, podobna do wojskowych chlebaków. Wewnątrz uchowało się bagatela siedem listów, cztery zaadresowane na Elektrogorod, dwa na Sahal i jeden do sierocińca w Czerwonej Górze.

Większość po drodze, więc chcąc nie chcąc wziąłem torbę. Już miałem wracać po skuter, gdy nagle poczułem ukłucie na karku. Coś... Coś było nie tak. Wpadła mi do głowy taka myśl, oślizgła? Obca? Że może jest więcej listów? Może listy zostawiono nie tylko w piecu, ale i w kominku?

Pośpiesznym krokiem zbliżyłem się do dawno wyziębłego kominka. To w ogóle dosyć dziwne, że palili zarówno w nim, jak i w zwyczajnej kuchni węglowej. Może temperatury były aż tak skrajne i niewyobrażalnie niskie? Nie wiem.

Samo palenisko zdało mi się niewielkie, odgrodzone żelazną kratką, zagiętą do środka. To również uznałem za dziwaczne, ale wstrząśnięty treścią listu, a może i bardziej

samym miejscem, w którym go odczytałem, postanowiłem to zignorować, odłożyć na później.

Chwyciłem za pogrzebacz, roztrąciłem popiół na boki, by się zanadto nie ubrudzić i włożyłem rękę do środka.

Przez moment moje palce ślizgały się po powierzchni pokrytych kopciem kamieni. Uznałem, że faktycznie listów w kominie nie ma, lecz gdy tylko chciałem cofnąć moją dłoń...

Śmiech. Potworny, skrzeczący śmiech rozległ się w pomieszczeniu. Coś chwyciło moją rękę i pociągnęło mocno do siebie. Uderzyłem głową, czując, jak jestem wciągany coraz głębiej. Tylko mój rozmiar nie pozwalał na to, by potworna siła wessała mnie do wnętrza.

Szarpnąłem się panicznie, próbując uwolnić rękę i jak gdyby nigdy nic, uścisk zelżał. Poleciałem na plecy, dociskając moją dłoń do ciała. Nie myśląc za wiele, ściągnąłem rękawiczkę i odkryłem, że na mojej skórze odbiło się czerwone odmrożenie w kształcie długich, cienkich paluchów.

Straszny chichot oddalił się, wypełzając w górę kominka, aż na zewnątrz.

Nigdy wcześniej ani później tak bardzo nie czułem, że zarazem chcę i nie chcę zobaczyć źródło dźwięku. Całą siłą woli powstrzymałem się od zajrzenia do wnętrza kominka. Nie chciałem nawet wyobrażać sobie, co mógłbym tam zobaczyć.

Wybiegłem na zewnątrz chaty i rozejrzałem się panicznie, lecz wszystko było tak, jak przed wejściem do środka. Spokojny, niespodziewanie pogodny poranek. Może nawet nazbyt pogodny...

Wziąłem kilka głębokich oddechów i zrozumiałem, że nieopatrznie skorzystałem z przywileju nadmiernej ciekawości. Cięższy o kolejne listy, wróciłem po swój skuter.

Maszyna przebiła się do środka budynku i zastygła w bezruchu wewnątrz jak meteoryt, rzucony całkowitym przypadkiem przez niebiosy. Rozgrzana kupa żelastwa ochłodziła się przez noc, zaś pokrywająca ją warstewka lodu zmieniła się w na poły lustrzaną, eteryczną powłokę. Tylko przednia płyta i wystający dziób karoserii nie były pokryte lodem, zamiast tego świeciły szarymi plamami zdrapanej farby i ciemniejszymi kreskami wgnieceń.

– No chujowo – mruknąłem, oglądając krytycznie maszynę.

Odpaliłem skuter na próbę. To, co usłyszałem, przypominało coś pomiędzy skomleniem bitego psa a napadem gwałtownej biegunki. Silnik po chwili wyrównał rytm, ale

nadal przebijało się kilka obcych, nierównych dźwięków. Rozszczelniona powłoka drżała i stuknęła o siebie, a kompozytowa płyta podskakiwała jak szczękające zęby staruszka.

Jedyna dobra wiadomość była taka, że rozbite reflektory nadal działały. Jeden z nich wprawdzie nie zaskoczył, ale okazało się, że to tylko poluzowany w wyniku uderzenia kabel.

Także ten... No nie wesoło, natomiast do Elektrogrodu powinno wystarczyć. Najważniejsze, że ładunek był cały. Porządne zabezpieczenie to jednak podstawa. Po zebraniu swoich kłopotów byłem gotowy.

Ostatni raz rozejrzałem się po biednym wnętrzu chaty, z której nie sposób było wyłować wzrokiem cokolwiek wartego zapamiętania, poza samymi przeżyciami, jakich mi dostarczyła. Koniec końców, byliśmy wszyscy tylko ludźmi próbującymi przeżyć na mrozie, a w takim miejscu jak to nawet rozklekotana chałupa była zbawieniem.

Sprawdziłem, czy mam wszystkie listy, opornie wykręciłem maszynę i ruszyłem znów na trasę. Wjeżdżając na oblodzone wzgórze, obróciłem się przez ramię, by dojrzeć cichą, przewróconą wioskę, powoli objadaną przez śnieg. Mogłem być ostatnią osobą, która kiedykolwiek dotrze w to martwe miejsce.

– Prezent od Federacji – szepnąłem, dodając gazu.

Rozdział trzeci

Skazani na postęp

Elektrogorod huczał, bzyczał, pluł ogniem i dymem. Dziesiątki kominów buchały rozgrzaną parą wodną, tworząc wokół miasta białą, gorejącą koronę. Pod tym wiecznie pochmurnym niebem wyrastała niemalże czarna, stroma ściana, przypominająca bok starożytnej piramidy. Masywne bloki zdawały się pochodzić z innej epoki, a może i kompletnie obcej planety. Zupełnie tak, jakby potrzeba było przewyższającej ludzkość cywilizacji, by dokonać takiego wyczynu architektonicznego.

Wgapiałem się długi czas w tamę na Isterze, wyluskując wzrokiem pojedyncze sylwetki inżynierów, robotników i strażników, przechadzających się po jej chodnikach technicznych.

Nie zgodzą się, nie ma szans, pomyślałem. Mogę przynieść zaświadczenie od samego prezydenta, a oni najwyżej spuściliby je przez turbiny tej pieprzonej hydroelektrowni.

Dopiero z bliska w pełni zrozumiałem, jak potwornym żywiołem jest wola Federacji. Tama rzucała szeroki, rozplývający się cień, lekko rozbijany przez mleczne światło, sączące się zza kobierca hutniczych chmur. Załedwie kilka z dziesiątek włazów stało lekko uchylonych. Woda na zmianę ciurkała ku ziemi po kolumnadzie lodu i zaraz wmarzała w ten przedziwny, wyrzeźbiony wodospad.

Gwałtowne cykle pogodowe mogły w każdej chwili rozsadzić kratownice, tunele albo i rozerwać samą konstrukcję zapory. Trwające od lat mrozy skuwały mocniej lub słabiej gigantyczną budowlę w jedną megalityczną, odrażającą strukturę, nadal spełniającą swoją pierwotną funkcję, lecz z ułamkiem potencjału.

Chuchnąłem w dłoń i ku mojej zgrozie spostrzegłem, że w okolicy nie jest tak niewyobrażalnie zimno, jak w Magnetańsku... załedwie cholernie zimno. A to oznaczało paskudną, nieuchronną konieczność założenia rakiet śnieżnych, by nie zapaść się w hałdach. Bo wystarczy, że zlodowaciały, odkładany latami obrus śniegu urwie się w jednym miejscu i rozpęta lawinę problemów.

Poklepałem się po piersi, gdzie umościłem wygodnie dwa najważniejsze z ważnych listów i zaciągnąłem mocniej paski trzymające torbę z pozostałymi przesyłkami. Najgorsze, co mogłem zrobić, to nie zgubić paczki, a je pomylić. Na samą myśl aż mnie coś uszczypnęło między nogami.

Z bólem oderwałem się od siedzenia i zrozumiałem, że to nie wyobrażnia tak szczypała, tylko przymarzające do skórzanego siedzenia uda.

Chciałem już ruszać, ale nie mogłem, naprawdę. Wpatrywałem się przez długie minuty w tamę i próbowałem sobie zwizualizować, jaką potworną kaskadę wydarzeń uruchomiłaby sterownia, gdyby tylko dać jej rozkaz. Przez tyle lat siedzieliśmy na zamarzniętej bombie, a teraz przyszła odwilż, czas zmian, ale żadna ze zmian nam się nie podobala. Nie przywykliśmy do nowej, ciepłej rzeczywistości. Próbowaliśmy, cholera, wiem to najlepiej, że próbowaliśmy i wielu dało za to głowę.

Jesteśmy jak te lemingi, co żyją sobie w tunelach śnieżnych i ryją swoje norki. Gdy przyjdą roztopy, wyłapią nas pustułki i krogulce. To nie mrozu się boimy, a tego, co pod nim tkwi – nowego świata z odtajalymi ogniwami łańcucha pokarmowego.

Depnąłem gaz.

Powietrze otrzeźwiło mnie natychmiast i wiatr szarpnął twarzą mimo kasku. Znowu byłem tylko impulsem elektromagnetycznym w wielkiej płataninie neuronów. Miałem jeden, prosty cel, a czas na przemyślenia służył mi za ledwie za odpoczynek. Moim zadaniem nie było myślenie, ja tylko wiozłem myśli przez mózg. Te wszystkie dendryty i aksony nie potrzebowały wiedzieć, co myślą, bo nie tego od nich oczekiwano. Nie musimy rozumieć Federacji, by w niej uczestniczyć.

Posterunek strażniczy wypadł nad wyraz blado w porównaniu do tamy. Sama tama, owszem, wciąż widoczna od boku przypominała teraz romb, kopnięty kwadrat z czystej czerni. Natomiast oblodzona brama miała tylko jedną sprawną wieżę z pokrytymi szronem szybami. Przy stanowisku starczyło miejsca za ledwie dla jednego strażnika, który niechętnie wyległ na zewnątrz.

– Dróżnik – rzuciłem krótko.

– A dowód ma? – spytał, ziewając przeciągle.

Obejrzałem się za siebie, na pokiereszowany, pokryty śniegiem bagażnik, zavalony pod kurek Iwanowymi dobrami, zapasami, korespondencją i całą resztą tego tałatajstwa.

Strażnik spojrzął to z jednej, to z drugiej strony i gdy zobaczył, że już mam zamiar się fatygować po dowód osobisty, machnął na mnie ręką. I dzięki Bogu, bo choć dowód miałem i, jak każdemu, mnie również wklepiano pod adresem zawód, to wyciąganie teraz spod tego cebulowego inwentarza dokumentów było ostatnim, na co miałem ochotę. Może nawet i on pomyślał to samo? Wolał wrócić do swojej zagrzanej kanciapy.

– Fidor – powiedział z nagłą werwą, wyciągając ku mnie dłoń.

– Artem, to mogę jechać?

Strażnik, który nagle zyskał imię, wydał mi się teraz całkiem inny. Zupełnie tak, jak gdy wyciągnie się ze strychu jeden z gratów i zacznie mu przyglądać z bliska. Nagle już nie grat, a konkretny przedmiot ze swoją historią, zastosowaniami i często niemałym nalotem pajęczyn, pleśni albo rdzy.

Twarz miał całkiem zwyczajną, bladą, szybko zyskującą czerwony odcień od siarczystego mrozu. Wąska żuchwa, zapadnięte policzki, dobroduszne spojrzenie. Nawet broni nie miał przy sobie, bo pewnie zostawił w budce. Ot, taki dziadzio, bardziej ochroniarz albo cieć niż pełnoprawny strażnik. Kompletne przeciwieństwo pierdolniętego Sierozy.

– Coś do mnie może?

Aha, więc o to chodzi. Sięgnąłem po listy, wypytałem przy okazji o adresy, czym pewnie skróciłem sobie szukanie mieszkań po całym mieście i wreszcie skwitowałem z wdzięcznością drogiemu Fidołowi, że nic do niego nie mam.

– A może to i dobrze – palnął nagle Fidoł – bo się chociaż urząd nie przypieprza, to człowiekowi od razu łatwiej się robi.

– Jest w tym jakaś logika.

– Wystarać się próbuję – ciągnął, choć nie pytałem, gestykulował, choć nie patrzyłem, mówił coraz głośniejszym głosem, choć go słyszałem. – Koc mi się upatrzył, ale elektrykancki taki, co by mnie grzał po nogach. Nerki mi, karwa szwa, dokuczają, a zimno niemożliwie w kwaterze.

Oderwałem na moment wzrok od tamy, jedynej interesującej mnie w tym mieście rzeczy, i spojrzałem ku rzeczonyj kwaterze. Niezwykle stara, lecz sporych rozmiarów budowla składała się z dwóch par schodów, idących ku umocowanej na ostrosłupie wieżyczce. Sama wieża przypominała w zasadzie takie kółko graniaste, spore i kanciaste. Zapewniała panoramiczny widok na wszystko, nawet na ścianę, pod którą ją ustawiono – ot taki bezsens. Samo wejście znajdowało się wewnątrz podstawy, gdzie kończyły się schody, a zapewne do samej wieżyczki trzeba było wejść po ukrytej wewnątrz drabince.

– Ładna strażnica, pewnie mocno pizga? – spytałem, lecz humor Fidoła jakby zniknął. Jego twarz znów zrobiła się oswiała, a spod siwych brwi biło nagłe zdystansowanie.

– Nie narzekam – skłamał Fidoł. – Taki mi przydzielili posterunek, no to posterunkuję sobie, tylko towarzystwa brak, ale to normalne. Prąd mają niedługo zwiększyć, znaczy się przydział, no to może będzie inaczej. Życie wróci, rozgrzeje się to wszystko, wiosna nam się już powoli kłania w pas. Kto wie, może nawet schody przestaną zarastać lodem?

Fidoł zamyślił się na moment nad najbardziej przyziemnym marzeniem, jakie może mieć staruszek muszący codziennie wlażyć i zlażyć na swoje pięterko.

Wtem, bez słowa odszedł.

Zobaczyłem, jak krok po kroku siłuje się z zamarzniętymi schodami, ściskając oburącz za nie mniej oblodzoną, metalową poręcz. I zaraz schował się w tej swojej budce tak, jakby go nigdy tu nie było.

Brama ani drgnęła, a ja zrozumiałem, że od początku była nieco uchylona. Akurat na tyle, bym mógł się zmieścić swoim skuterem. Cała praca Fidola właściwie nie miała znaczenia. Nie zrobił nic i nie wpłynął na nic. Mogłoby go równie dobrze tutaj nie być, ale z jakiegoś powodu został tu przydzielony do pracy i pewnie tak rotował między różnymi, równie bezużytecznymi budkami strażniczymi. Niezbadane są wyroki Federacji.

Ruszyłem powoli w głąb Elektrogrodu, mając przed sobą widok tak znajomy, a zarazem odmienny od Magnetańska. Już wcześniej bywałem w Elektrogrodzie, lecz za każdym razem robił na mnie złe wrażenie.

A skoro przy rzece jesteśmy, to wróćmy do źródła. Ister był niegdyś wielką, naprawdę potężną rzeką, poprzecinaną jazami, zaporami, tamami i wszystkimi innymi obrozami, które jesteśmy w stanie nałożyć na tak wyrywne bestie jak rzeki. Ilekroć próbowano okiełznać Ister, tylekroć płatał Federacji pożegnalnego figła. Zgadzał się na wszystko, a do każdej decyzji dodawał jakieś ale. Budowaliśmy zbiorniki wodne, ale wysychały, tworzyliśmy korytarze, ale rzeka zmieniała bieg, stawialiśmy mosty, ale Ister je zrywał. I tak ze wszystkim, zawsze orka na ugorze, zawsze pod górę. Gdy więc zaczęto planować Elektrogrod, nie szczędzono środków, by zabezpieczyć się przed kaprysami rzeki. Zbudowano od zera ogromne miasto, otoczono nowe osiedla łańcuchem kombinatów przemysłowych, podciągnięto prąd, a nawet kanalizację, choć mrozy zmuszały do jej niemalże corocznego remontowania. Wreszcie wykopano absurdalnych rozmiarów zbiornik, wykorzystując pogłębienie naturalnej niecki. Klejnotem w koronie, a może i koroną samą w sobie, była rzecz jasna tama, zdolna wyregulować bieg rzeki, napędzając kolosalne turbiny w elektrowni wodnej. Elektrogrod w zasadzie miał wszystko, nawet dostęp do surowców naturalnych, pozwalających na nieustanną pracę sieci hut szkła. Co więcej, przez długi czas to właśnie Elektrogrod, był ostatnią stacją tranzytową na wschodzie, a nie Magnetańsk. To tu zatrzymywały się lodołamacze torowe, a wszystko, co rozciągało się dalej, uznawano za ziemię niczyją, krainę lodu.

A potem świat zrobił figła.

Elektrogrod przywitał mnie jak zwykle masywnymi gmaszyskami o wymrożonych korytarzach i hałdami śniegu, sięgającymi do dachów. Przez wybite okna od lat nawiewały tony zmarzłych grud, wypełniające pomieszczenia o odłazących tapetach, przypominających zapuszczone, wyliniałe koty. Gdzieniedzie wciąż gnieździły się pojedyncze rodziny, więc

nie odłączano całych bloków od mediów. Skutkowało to tym, że wybijająca z rur woda tworzyła fantasmagoryczne lodowe rzeźby, wyrastające ze ścian jak zatrzymane w pół kroku duchy. Mogłem łatwo rozpoznać, gdzie jeszcze mieszkają ludzie, gdyż okna ogrzewanych mieszkań wyrastały na tle białych ścian wilgotnymi, brązowymi plamami.

Lecz tym razem działo się coś nowego.

Zwolniłem nieco, wyłapując nieufny wzrok kilku ludzi, pracujących przy odgarnianiu śniegu. Wyposażeni w kombinezony arktyczne, obsługujący jedną, wysłużoną koparkę, próbowali utorować nowe przejście w kierunku pewnego z bloków na uboczu. Któryś z nich mocował się z lodowym wypryskiem, łupiąc w niego zębatym kilofem, pozostali przyglądali się biernie, szuflując tym, co akurat mieli w rękach.

Czemu mieliby to robić? Czy nie łatwiej było przenieść mieszkańców do innego, nie tak zapuszczonego bloku bliżej centrum?

No, chyba że szykowali się na to, iż będą potrzebowali więcej mieszkań, ale...

Zbyłem myśl i ruszyłem wzdłuż głównej ulicy. Płozy co rusz wjeżdżały na odgarnięty i wytopiony śnieg, szurając paskudnie o cienką warstewkę zmarzliny. Całe miasto kładło się koncentrycznymi kręgami wokół zbiornika wodnego i tamy, więc najważniejsze instytucje i tak znajdowały się przy jednej, idącej łukiem ulicy. Dwupasmowa asfaltówka wymuszała na mnie co rusz zatrzymanie się ze zgrzytem na kolejnych skrzyżowaniach.

Wielotonowe ciężarówki, pojazdy gąsienicowe, spychacze i posypywarki krążyły pomiędzy żółto-błękitnymi boczyskami. Niby miałem pierwszeństwo, ale tonaż mógł mieć w tej kwestii inne zdanie, zatem nieustannie musiałem przepuszczać wyjeżdżającego z podporządkowanej giganta, który gnał w sobie tylko znanym kierunku.

Aż w końcu zrozumiałem, co jest źródłem tak silnego wzburzenia.

Wbrew protestom silnika wykręciłem w boczną uliczkę i przyśpieszyłem. Gnając ku przedmieściom, kierowałem się na niewielki, biały komin, dymiący czarnymi kłębam trujących wyziewów.

Z każdym metrem architektura przeradzała się coraz bardziej w wykoślawiony, potworny obraz z żelaza i betonu. Na poły zawalone bloki łączyły się z opuszczonymi kombinatami przemysłowymi w wieloletnie gruzowiska, przykryte kolejnymi warstwami pyłu i rudego śniegu. Oleiste kałuże zbierały się w kątach, tworząc małe, trujące rozlewiska, których nawet mróz nie był w stanie skuć. Fetor pierścienia przemysłowego przesączał się pod kask i doprowadzał mnie do nudności.

Wyjechałem za róg, plosząc stado futrzastych, brązowych szczurów i zatrzymałem się na środku zasypanego skrzyżowania.

Z odległości kilkuset metrów widziałem stację wraz z sekcją rozładunkową, długi, wysoki nasyp kolejowy i ją – lokomotywę.

Pociągi stanowiły ostatni relikt Federacji, który przypominał nam o tym, jaką potęgę niesie ze sobą wielkość naszego kraju. Wąża setki ton, piękna, srebrna lokomotywa o gładkim grzbiecie, wystawała ponad linię budynków pojedynczym, długim kominem. Plujący węglowymi wyziewami kształt przypominał maszt okrętu lub peryskop łodzi podwodnej. Ścięty do trójkąta, rozcinał mroźne powietrze, przebijając się wraz z całym eszelonem przez największe zasy.

Tabor liczył setki wagonów, które wymagały niewyobrażalnej liczby pracowników i całych dni planowania, by w pełni wykorzystać ich siłę. Pociągi żywiły cały kraj, napędzały go, poruszały zmarzniętymi kończynami Federacji. Pojedyncze Behemoty doprowadzały do najdalszych zakamarków Federacji jedzenie, ubrania, części zamienne, narzędzia, czasem całe samochody lub prefabrykaty do budowy domów. W zamian za to monomiasta żywiły je tym, co miały, tworząc zamknięty obieg, podtrzymujący kraj przy życiu.

Jak urzeczony wgapiałem się w taniec wózków widłowych, przenoszących z miejsca na miejsce palety wypchane po brzegi dostarczonymi towarami. W zamian już ręcznie, ostrożnie, Elektrogrod wypełniał ładownie wyrobami szklanymi, poczynawszy od szklanek, a skończywszy na wysokiej próby soczewkach, potrzebnych chociażby przy produkcji stabilizatorów ekosfery.

Srebrzysty, odbijający światło kadłub uwodził mnie samym swoim wyglądem i potęgą. Nie mogłem nawet przypuszczać, że kiedyś było takich więcej. Gdy Federacja umarła, ja byłem ledwie młodziakiem, a nim odżyła, ja zdążyłem się zestarzeć i utracić zdolność do tak dalekosiężnych marzeń.

Tam dalej, za pomalowanymi w pstrokate kolory peronami, rozciągało się już królestwo nieustannej produkcji. Kanciaste, zielone szyby kopalniane, wymalowane w paski kominy hut, wielki obelisk, wyrastający z elektrociepłowni. Długie na kilometry stonogi hal produkcyjnych, połączonych ze sobą niezliczonymi odwłokami, z których na świat wychodziły cienkie odnóża kanałów rozładunkowych. To wszystko otaczało szczelnym kręgiem wielometrowe ściany bloków o całkowicie białych dachach, spod których wystawały jedynie chuderlawe kable.

Śnieg stał się skórą naszych miast. Mogliśmy na jego podstawie wnioskować o stanie zdrowia organizmu. Kolor, bladość, tekstura, zgrubienie, czy pokrycie wypryskami – to wszystko świadczyło o kondycji samego miasta. Gdybym miał ocenić Elektrogrod na podstawie samego śniegu, to powiedziałbym bez cienia wątpliwości, że jest to ciało

somnambulika, który właśnie budzi się z długotrwałego lunatykowania. Powoli przyspiesza, rozgrzewa się, jeszcze palcami maca otoczenie w poszukiwaniu okularów i porannych pastylek, ale już nie śpi.

Obsceniczne napisy na zawalonych ruinach kontrastowały z drużynami porządkowymi, skuwającymi wielometrowe lodowe sople z koron latarni. Nieśmiałe oznaki ładu wkraczały w bałagan, w oczekiwaniu na lepsze jutro.

Ich lepsze jutro, nie moje.

Wyjechałem w kolejną ulicę, ostatni raz spoglądając na ekipę rozładunkową. Wśród nich dostrzegłem oficera armii w jasnym, karmazynowym mundurze. Spotkaliśmy się wzrokiem i choć to on stał zaledwie w cieniaku płaszcza, to mnie właśnie przeszedł nagły, silny dreszcz.

Przyspieszyłem, nieomal wpadając w poślizg na oblodzonej nawierzchni. Minąłem dwa parchate kundły, bawiące się u stóp stacji transformatorowej. Zwierzęta przekomarzały się ze sobą na tle pordzewiałych beczek o oznaczeniach zatartych przez czas.

Im dłużej obserwowałem Elektrogorod, tym bardziej go nie znosiłem.

W tak wielu materiałach podobny do Magnetańska, a zarazem tak bardzo różny. Duszący krąg żółtawych i czarnych oparów mieszał się na ulicach, tworząc widziadła, przemykające między śnieżnymi zaspami. Nieraz spośród padających płatków śniegu mogłem dostrzec jakiś ciemny fragmencik sadzy lub wyniesiony przez jeden z kominów odpad, produkt uboczny tysięcy zachodzących tam procesów. Miasto dusiło mnie na swój własny, unikatowy sposób, przed którym organizm jeszcze nie potrafił się bronić ani do którego nie zdążył się przyzwyczaić. Powietrze szczypało w oczy, śnieg parzył w skórę, a okazyjne podmuchy wiatru sprowadzały na ziemię gęste kłęby trujących gazów, materializujących się znieczeka jak industrialne upiory.

Nazwy ulic były bliźniaczymi odbiciami tych, które pamiętałem z mojego miasta, lecz tutaj oznaczały coś całkiem innego. Każda uliczka, aleja, czy prospekt stanowiła jakieś wykoślawienie tego, co znałem, obcy twór z równoległego wszechświata, gdzie moich sąsiadów zastąpiły jakieś obce, wymizierowane istoty, niezdolne dostrzec we mnie drugiego człowieka. Ich żółtawe ślepia wychylały się zza równie żółtych firanek i przypatrywały mi z wnętrza ciepłych mieszkań. Czego mogli mi zazdrościć? Czego mogli ode mnie chcieć ci, których awans był moją degradacją? Jak usilnie musieli mnie pognębić w swojej wyobraźni, by usprawiedliwić zniszczenie, wypisane na kartach federacyjnych zarządzeń.

Czerwony reflektor niemalże mnie oślepił. Zahamowałem tuż przed mijającym mnie od boku jaskrawożółtym skuterem śnieżnym.

Nie wiedzieli i nie chcieli wiedzieć, że Elektrogorod wstanie z kolan, podpierając się na truchle mojego domu. Ściągali nas w dół, jak kraby próbujące wydostać się z wiaderka. Nie to, że nawet mogli realnie się wydostać, ale na moment byli tymi na górze, a nie na dole i to naprawdę potrafiło wystarczyć każdemu.

Światło zaświeciło niemrawą, toksyczną zielenią. Zza gazowatej zadymki wyglądało to jak zorza polarna albo inwazja obcych. Rozpływający się w powietrzu zielonkawy błysk.

Znowu gaz, znowu skręt, płacz silnika i kolejna identyczna ulica. Znow patrol znużonej policji, zakutej w grube futra i maski filtrujące. Staruszka szarpiąca się z pieskiem na smyczy, który ewidentnie wolałby załatwić potrzebę w domu, niż chociażby przez minutę dotykać gołymi łapami szarej pluchy. Tramwaj dzwoniący jak opętany, próbując nie wypaść z torów na ostrym zakręcie – metalowe koła syczały i świszczały, gdy oblodzone torowisko nie dawało solidnego oparcia, ale zaraz stalowa gąsienica nawróciła i zatrzymała się na przystanku.

Na pętli wysiadła gromada dzieci w półmaskach niedających porządnej ochrony przed powietrzem. Każdy z nich ciągnął za sobą żelazne i drewniane saneczki, jeden miał nawet plastikowego liścia do zjeżdżania – krzyk mody. Gromadka korzystała z niewielkiego wzniesienia ulicy, na które wprowadził je tramwaj, i zaraz zjeżdżały odśnieżonym rynsztokiem do wtóru pokrzykiwań motorniczego. Tylko ten jeden dzieciak z liściem nie zjeżdżał, bo nie mógł nabrać rozpędu, więc po prostu dreptał za resztą i próbował się nie wywalić.

Jest w tym jakaś mądrość, pomyślałem. Czasami chyba wszyscy po prostu idziemy za pozostałymi i próbujemy się nie wywrócić, gdy oni się bawią.

Zaparkowałem skuter kawałek od gmachu ratusza. Cieć za nic w świecie nie chciał mi otworzyć szlabanu, zasłaniając się biurokratycznym bełkotem, więc nie chcąc się z nim szarpać, po prostu wjechałem się na chodnik.

No przecież mnie nie odholują, nie?

Minąłem budkę ciecia piechotą i spostrzegłem, jak ten ogląda na starym telewizorze nagranie baletowe, niemal tak posunięte w wieku jak samo telepudło. Drewniana rama, pozbawiona anteny, odtwarzała kasetę z nowoczesnego zestawu, kompletnie niepasującego do reszty gratów w małej stróżówce.

W sumie to rzadki widok, tak sobie pomyślałem, telewizor z odtwarzaczem. To znaczy, bez odtwarzacza byłby jeszcze rzadszy, bo po co komuś sam telewizor? Chyba tylko by się w nim przeglądać. Ewentualnie można podpiąć antenę, ale... nie wiem, czy chciałbym widzieć to, co miałyby mi do pokazania.

Elektrogorodzki ratusz też przypominał antenę. Wysoki, szary, smukły budynek o niezrozumiałym dla mnie działaniu, niemający nic do zaoferowania. Ot biały szum, poszeptywania i istic dantejskie sceny.

Wnętrze budynku, podobnie jak całe miasto, stanowiło irytujące wykoślawienie znanego mi ratusza. Sekretariat był z kompletnie innej strony, a szatniarka nalegała, bym zostawił buty w pudle dekontaminacyjnym i włożył wielorazowe kapcie dla gości. Zdezorientowany, pozbawiony kurtki i butów, ruszyłem w górę schodów, równie wąskich co sama klatka i budynek, w którym się znajdowała. Po drodze, szurając o zielonkawy dywan, mijałem całe mnóstwo osób, co tylko potęgowało moje poczucie dezorientacji i zażenowania, zmieszanego z wyobcowaniem.

Ubrani poważnie urzędnicy rozgadywali się głośno z petentami, prowadząc zawile dialogi, wypełnione licznymi gestami. Chaos i szum, udający celową choreografię, jak w telewizorze ochroniarza.

Zysk wisiał w powietrzu i dało się to dostrzec gołym okiem. Jeśli ludzie ruszyli po przydziały w biały dzień, to znaczyło tyle, że na owe przydziały musiała być szansa. Wylosowała się złota karta i każdy liczył na to, że zainkasuje część puli, do której dokładał przez lata.

Im wyżej człapałem po schodach, tym cieplej robiło się dookoła. W pewnym momencie zmęczenie sięgnęło ku mnie swoimi rozgrzаныmi, puchowymi kończynami, ściągając niżej z coraz większą mocą. Miałem ochotę położyć się na dywan i zasnąć, tak bardzo odczułem wreszcie wycieńczenie organizmu.

Tyle dni jazdy, obozowania na dziko byle gdzie, byle dalej lub wręcz przeciwnie – celowego zatrzymywania się w oznaczonych punktach i wyczekiwania wieczora i poranka. To mogło być nawet gorsze. Świadomość, że muszę zmarnować czas na odpoczynek, bo jeśli ruszę do samego końca, to może mnie zastać noc.

Dostarczanie przesylek to wbrew pozorom nie jest wyścig na czas. To maraton na wytrzymałość.

Przez moment szarpałem się uparcie z drzwiami windy, ale ostatecznie nic nie przyjechało. Nie wiem, na co liczyłem. Albo oszczędzali prąd, albo kable zamarzły jak zwykle. No, może nawet winda już dawno została uszkodzona i przez lata nikomu nie przyszło do głowy, by ją naprawić, bo i po co?

Zawiesiłem wzrok na mosiężnej cyfrze dziewięć, przybitej do ściany przy rozwidleniu, gdzie z klatki schodowej mogłem udać się na korytarz. Skuszony perspektywą odpoczynku przysiadłem na szerokim parapecie i zwiesiłem głowę.

Obok mnie rozległy się kroki. Zgięty niemalże w pół staruszek o gniazdku z siwych włosów, dreptał powoli w moją stronę. Każdy krok wywoływał szurnięcie odklejającej się podeszwy z kapcia. Po dłuższym przyjrzeniu się dostrzegłem, że dywan nosił ledwie widoczne przetarcia, świadczące o tym, jak bardzo trasa starca złała się z wystrojem wnętrza w jedno.

Dziadek przeszedł obok mnie, nie wiem, czy się skłonił, czy po prostu tak go wygięło z bólu, po czym stanął przed drzwiami windy. Obrócił się plecami do środka, zszedł krok na bok i zamarł w bezruchu, jakby czekał na przyjazd.

– Jest zepsuta – powiedziałem, zupełnie tak, jakby ta informacja czyniła mnie jakkolwiek mądrzejszym od niego. – Próbowałem.

Staruszek spojrzał na mnie spode łba złym wzrokiem, ale nic nie odpowiedział.

Oglądałem go jakiś czas i zrozumiałem, że winda może i nie działa, ale przydział pracy nadal wskazywał na to, że ktoś musi ją obsługiwać dla gości ratusza.

Poczułem ucisk w gardle.

Goniło mnie tyle demonów, że przestałem rozróżniać własne ślady.

Czasami nadal widziałem w śniegu odbicia własnych butów i bałem się, że ktoś za mną idzie. Zbyt długi czas przebywania na zewnątrz skutkował halucynacjami radiowymi, ale to nie ich bałem się najbardziej. Najbardziej martwiłem się o to, co się stanie, gdy przestanę być potrzebny.

Jak ci ludzie, którzy obsługują windę, której nie ma.

Nie ma windy, człowiek został.

Federacja dała, mróz zabrał, pochwalone niech będzie życie ludzkie.

Wyrzałem przez okna, ale lodowe wykwity nie pozwalały na dostrzeżenie czegokolwiek więcej poza różnicą między oświetlonymi i nieoświetlonymi częściami miasta.

Już miałem się zbierać, zbliżyłem się do klatki schodowej, gdy nagle staruszek sięgnął ku mnie.

Windziarz jedną rękę obmacywał się zapamiętane, a drugą wykonywał na zapętleniu znany gest. Nadal był tak potwornie przygięty do ziemi, zapewne nie mógł się nawet wyprostować z racji na schorzenia.

Bez słowa wygrzebałem wodoodporną, dróźniczą zapalniczkę i podałem facetowi. Ten sięgnął po srebrną papierośnicę i wyjął ze środka dwa szlugi. Odmachałem mu, że nie chcę, ale ten wbrew swojemu wiekowi wcisnął mi papieros między palce, jakby trafił rzutką w środek tarczy.

Zapaliliśmy, nie odzywając się do siebie, kiepując o róg nikomu niepotrzebnych drzwi windy. U dołu widziałem zbierany przez wiele dni pył i niedopałki.

Kątem oka dostrzegłem na papierośnicy godło Federacji, ale nie przyszło mi nawet do głowy zapytać o to, skąd ją miał. Zazwyczaj takie prezenty dostawało się na osłodę przykrych wydarzeń, więc nie było sensu naciskać.

Nawet nie chcę pamiętać, co mi oferowali po tym, co się stało w Agerdole. Pewnie jakieś gówno jak zawsze.

– Dobrego dnia – rzuciłem na odchodne, szykując się do dalszej wspinaczki.

Statuszek nawet nie zareagował i już po chwili zapomniałem o jego istnieniu.

Po kilku piętrach wypełnionych sapaniem i walką z własnymi posiniaczonymi nogami, dotarłem na samą górę, gdzie rzekomo urzędował mer.

Było całkiem odwrotnie niż u Oksany. O ile dawną świetność jej biura przykrywała śniedź, o tyle biuro mera Zachara Kostiuka wyglądało jak odnawiana zabawka, którą ktoś wygrzebał ze strychu.

Korytarz jak korytarz: długi, szeroki, całkowite przeciwieństwo przytulnego. Szereg wymytych od wewnątrz okien, pokrytych niemożliwymi do zdercia plamami czarnego szronu z zewnątrz. Parę pomieszczeń technicznych, archiwa, gabinety księgowości, by mieć wszystko co ważne pod ręką. Na rogu rozwidlenia stał napięty strażnik z kaburą groźnie wystającą spod wojskowej bluzy. Na końcu jeszcze nieduże, zasłane czerwonym dywanem pomieszczenie asystentury, skąd wychodził korytarz na pokój zastępcy mera, no i samego Kostiuka.

Sekretarka z upiętymi w kok włosami klepała coś na maszynie do pisania, spoglądając na ubranych w wyszarzałe marynarki petentów. Ich twarze były równie znużone, co moja, mimo że to ja dopiero co wszedłem. Oni zapewne czekali już dłuższy czas.

Ciężej o cokolwiek nudniejszego niż biurokracja i jej świątynie, a to przecież ona jest jedynym Bogiem, którego gniewu i łask doznajemy na co dzień.

Podszedłem do biurka i kobieta zwróciła ku mnie swoje zmęczone spojrzenie. Na pewno codziennie mówiła dziesiątkom albo setkom takich jak ja, że nie mogą wejść do kolejki, niezależnie od tego, jak niesamowicie istotne było ich zapytanie o odmrożenie szamba albo zwiększenie częstotliwości przejazdów spychaczy.

– Korespondencja urzędnicza, priorytet, do rąk własnych – powiedziałem po prostu.

Kobieta pociągnęła nosem i skrzywiła się nieznacznie. Na moje oko miała już dobrze pod czterdziestkę i pewnie po samym zapachu uwierzyła mi, że byłem dróżnikiem.

Doświadczenie zawodowe krzywi wszystkie zmysły, wyucza je rzeczy całkowicie niepotrzebnych innym ludziom.

– Proszę poczekać – odparła nadwyraz grzecznie, odchyliła się w krześle i po chwili wahania ruszyła ku gabinetowi.

Poczułem się jak honorowy krwiodawca, wpierdalający się przed kolejkę w przychodni pełnej starych bab. Mało rzeczy daje tak upojne poczucie władzy.

Powiodłem spojrzeniem po zebranych w poczekalni. Widziałem wszystko, czytałem z nich jak z otwartych ksiąg. Wpierw traktowali mnie obojętnie; gdy zagadałem do sekretarki, traktowali mnie z wyższością: patrzcie, myśli, że coś ugra! Gdy sekretarka wyszła od mera i zaprosiła mnie gestem do środka, patrzyli na mnie już z zawiścią i pogardą. Pewnie musieli w głowie wykonać całą serię fikołków logicznych, by usprawiedliwić sobie, że wchodzi przed nimi. Może przekupiłem mera? Może to mój wujek? Może jestem upośledzony? Nie odezwałem się do nich ani słowem, a już byłem dalej od każdego z nich, nim ich poznałem. Nic tak nie napuszcza na siebie ludzi, jak bycie traktowanym w inny sposób przez te same podmioty władzy.

A ja przecież tylko donosiłem listy o tym, że jeszcze żyłem.

Nie jestem w stanie powiedzieć nic o pomieszczeniu, do którego wszedłem. Jedyne, co zapamiętałem, to trójwarstwowe okno z widokiem na cały zbiornik Elektrogorodzki oraz grupę ludzi na jego tle.

Kostiuk ubrany był w oliwkową bluzę i bardziej niż mer wyglądał jak generał, obradujący w czasie przeciągniętego oblężenia miasta. Spod napuchniętych powiek obserwował ospale, jak jego towarzysze wyklócają się o coś przy stole. Nie było żadnych map, żołnierzyków i strzałek. Były tylko parujące kubki z kawą, szklanki z rżniętego szkła pełne lepkich, aromatycznych soków i przepelnione popielniczki.

To nie była narada wojenna, to było coś znacznie gorszego – narada budżetowa.

Doprawdy nie do przecenienia jest, ile człowiek jest w stanie wywnioskować po tym, w jaki sposób się do siebie odzywają ludzie, wyrwani z czasu i kontekstu. Nim doszedłem do biurka już wiedziałem, że dyrektor z Centrum Usług Komunalnych wyklóca się o wypożyczenie ciężkiego sprzętu z jakąś wysoko postawioną kobietą z Departamentu Mieszkalnictwa. Ta druga oburzała się o narzucone ramy czasowe, w których mieli oddać do użytku wyremontowane lokale, o których należało powiedzieć tyle, że nadawały się najwyżej do rozbiórki.

Ale ja byłem przecież gdzieś obok tego wszystkiego, obok odżywiania i odbudowywania. Ja byłem w niechlubnym stronnictwie chwytania za brzytwę i wczepiania się w dryfującą deskę.

Wyjąłem z kieszeni spodni list, upewniając się, by nie dać przypadkiem zachomikowanej łapówki. Sama wiadomość, bez wkładki materialnej, wydała mi się taka słaba, bezwartościowa niemalże. A przecież na tym kawałku papieru zapisano wolę przeżycia tysięcy ludzi.

– Artem Jadow – powiedziałem głośno i wyraźnie, wyciągając prawą dłoń na przywitanie, a lewą do wręczenia przesyłki.

– Kostiuk, Zachar – mruknął z długą pauzą mer i jedynie odebrał list.

Nie przywitał się, nie powiedział nic więcej. Po prostu chwycił za leżący przy organizerze nóż do kopert i zabrał się za otwieranie. Zebrani spoglądali na mnie, jak obserwuję dyrektora, jakbym na coś czekał.

I faktycznie, czekałem. Czekałem na reakcję, na drgnięcie mięśni twarzy Kostiuka, na jakikolwiek znak, że nas rozumie i nasz los nie jest mu obojętny. Że po prostu jest, kurwa, człowiekiem.

– Coś jeszcze? – spytał chłodno.

Spoglądałem na niego w milczeniu. Chwila przeciągała się, a ja miałem ochotę wyrzucić mu w twarz to wszystko, co ze sobą niosłem przez całą podróż, a czego nie było w liście. Miałem ochotę wyrzесzczyć mu, jak bardzo niegodziwe jest to, że życie ludzi, których znałem przez lata, zostało po prostu zepchnięte na margines, nawet nie wzięte pod uwagę.

Ale przecież nie było po co. Bo żadna ilość szczerých wyznań, emocji i cierpienia nie mogła się przebić przez suchy, formalistyczny pancerz biurokracji. Zwiększenie przepustowości tamy i odrestaurowanie hydroelektrowni to były po prostu obiektywne informacje, cele. Tak samo jak wypieczenie trzech ton chleba albo obsadzenie dwunastu hektarów ziemniakami. Liczby, obiekty, plany.

– Tylko podpis – odpowiedziałem, wyciągając notesik z pokwitowaniem.

Wyszedłem, nie mogąc w pełni pojąć, co się wydarzyło. Dostarczyłem pierwszy z listów, a mimo to czułem się tak, jakbym nigdzie nie dotarł. Czego oczekiwałem? Że zaczniemy palącą dyskusję na temat tego, co jest dobre, a co złe? Że będziemy się ze łzami w oczach przerzucać argumentami? Czemu mielibyśmy?

Kogo to, kurwa, obchodzi, czy umrę? Śmierć jest ostateczna tylko dla umierającego. Dla wszystkich innych to tylko informacja. Nie żadna metafizyka, ciekawostka z zakresu socjologii.

I to nie w Magnetańsku poczułem, jak wielkie jest zagrożenie. Nie wpatrzony w koryto wyschniętej rzeki ani nawet oszołomiony cyklopową tamą, wiszącą nad ziemią jak czarny wodospad żelaza i betonu.

Dopiero patrząc w obojętne oczy mera Elektrogrodu ujrzałem twarz śmierci. Śmierć miała oblicze przypadku, zrządzenia losu, które jednych pozostawia na lodzie, a innych pod nim.

* * *

To był naprawdę gówniany lokal.

Brzęcząca z narastającą mocą żarówka w pozbawionej abażura lampie rozświetlała ciasny pokoik. Rozmaite złowrogie cienie tańczyły na niskim suficie, dając schronienie przed światłem nielicznym owadom.

Nie, dopiero po chwili dojrzałem, że owady nie chowały się przed blaskiem, a raczej już tego nie robiły. Stały wczepione w sufit, zasuszone na śmierć.

Kran w łazience nie mógł się zdecydować między lodowato zimną wodą a jej brakiem. Z kolei ten w małym aneksie kuchennym był bardziej kategoryczny: po prostu nie działał.

Spróbowałem wejść w rutynę, którą przerabiałem tyle razy. Nawet w odpoczywaniu można się przecież wyćwiczyć. Napuściłem pełną wannę zimnej wody, skoro i tak Elektrogrod płacił. Naszła mnie nawet myśl, by ich kurwa zalać, tak po prostu, na złość, ale szybko mi przeszło.

Nastawiłem wypełniony pod kurek czajnik, by mieć z czego zrobić herbatę i kąpiel w jednym, choć nie byłem pewny, czego potrzebuję w pierwszej kolejności.

Stałem przed oblodzonymi, wysokimi drzwiami balkonowymi.

Może kiedyś, latem, dało się je otworzyć... Szarpnąłem klamkę, ale drzwi nawet nie drgnęły. Bose stopy przebierały w brudnym, szarym dywanie, szukając odrobiny ciepła i wygody, jak wszy szperające w psim futrze. Widok z trzeciego piętra przygnębiał mnie zapewne bardziej niż innych mieszkańców.

Słońce stało jeszcze wysoko na niebie, ale czułem się tak, jakby całe miasto spało. Gdzieś pod tą śnieżną kołdrą przekręcał się z boku na bok na wpół pijany niedźwiedź,

odsypiający najgorszego kaca w życiu. Jeszcze nie wstał, ale już był gotowy na otwarcie nowego sezonu.

Na razie jednak było tylko to: śnieg, szarość i zamrożony zbiornik wodny. Błękitna tafla lodu, przysypana szarym opadem fabrycznym, oraz coś dziwnego... Ciemne plamy rozciągały się po całym sztucznym jeziorze, tak jakby tuż pod powierzchnią wody znajdowały się zębate rzędy skał, gotowe zatrzaskać się na nic niepodejrzewających ofiarach.

Przyglądałem się coraz bliżej, wciągany w lodowatą otchłań, i próbowałem wyłuskać, co też jest prawdziwą przyczyną wgłębień. Bo przecież to nie mogły być skały, nie w ten sposób, nie w tym miejscu. Może zamrożone śmieci, wrzucane do zbiornika? Może wtopione w strukturę jeziora łodzie? Wyglądało to tak, jakby na dnie zbiornika leżał pogrzebany wielki samolot pasażerski.

Rozważania przerwał gwizd. Szybko zdecydowałem, że kąpiel jest ważniejsza od herbaty i wlałem całą zawartość czajnika do brudnej, pokrytej emaliowaną farbą wanny. Pordzewiała misa zrzuciła z siebie odrobinę lakieru, jak świerk otrząsający się z okiści.

Nie zważając na to, rozebrałem się do końca i wszedłem jeden krok za drugim. Byłem gotowy zarówno na ukłucie mrozu, jak i poparzenie. To, czego się nie spodziewałem, to kojące ciepło letniej wody.

Ułożyłem się ostrożnie, spoglądając, jak najśłabszy brud od razu poddaje się i odłazi z mojego ciała. Byłem ogromnym, cielistym okrętem, z którego właśnie uciekały szczury. Zupełnie jak zarażone pasożytami zwierzęta, gdy po wrzuceniu do wody robactwo topi się i poddaje. Opadałem na dno tego niemal białego zbiornika, gotowy, by ten mnie pochował. Jak grobowiec, czekający na osunięcie się zwłok.

Jak zbiornik Elektrogorodzki.

Żyły w rzece, skóra w jeziorze. A więc serce musiało być u źródła.

Obca myśl przeszła przeze mnie nagle i zniknęła bez śladu. Nie byłem w stanie jej chwycić, nazbyt skupiony na własnych odczuciach. Na granicy, gdzie kończyły się moje palce, a zaczynała woda, nie było niemalże nic. Temperatury zbliżały się do siebie, powoli zacierając dystans.

Przez moment byłem iskierką w wygasającym piecu. Większość znanego mi świata skuwał lód. Pordzewiałe wraki, zawalone budynki, zerwane linie wysokiego napięcia – to wszystko zamarzło na śmierć, gdzieś tam niemożliwie daleko i dawno temu. Pozostało na świecie tak mało ciepła, że nawet ta letnia kąpiel w starej wannie przypominała wędrówkę po obwodzie wulkanu. Powinienem był się ładować tą energią, zbierać siły na długie, samotne wieczory spędzone w trasie.

Jednak nic takiego się nie działo. Znow niepokój, znow to dziwne uklucie pustki. Nie mogłem odpocząć, bo przecież celownik cały czas spoczywał na mnie, na wszystkich, których znałem.

Z całych sił zwalczałem przemożną potrzebę, by wyrwać się sprintem na wyścigi i dostarczyć ten najważniejszy, upiorny list do federacyjnego zamczyska, gdzie księżta biurokracji decydowały o naszym być albo nie być.

Ale nie mogłem – szkolny błąd. Tak właśnie ginęli dróżnicy. Zmęczeni popełniali durne błędy i kończyli jako część krajobrazu albo i gorzej, jako duchy radia.

Gdzieś na granicy słyszalności, jakby zza ściany, dobiegł mnie śmiech.

Usłyszałem ciche plaśnięcia bosych stóp o posadzkę: pac, pac, pac. Wpierw jedna noga, druga, linia wody zachwiała się wyraźnie. Niemalże mogłem już poczuć jej ciepło.

Zupełnie tak, jakby tu była.

Moja dłoń szybko znalazła swoje miejsce, chwycona delikatnie pomarszczonymi palcami.

– Nie jestem w stanie tego ciągnąć – szepnąłem, nie otwierając oczu. – Dni zlewają mi się w jedno. Oszaleję od światła dnia, a codziennie jest go więcej, więc mam od czego szaleć, prawda? I jeszcze te pieprzone paczki, koperty, listy, wiadomości... kontrabandy, łapówki i grzechy. Czuję się brudny. Śmierzę tym, co niosę. Szoruję i szoruję i nie mogę z siebie zmyć tego smrodu. Zawsze byłem taki dumny z Federacji, tak jak ty byłaś dumna ze mnie. Byliśmy pionierami, bohaterami ziemi... tej ziemi.

Otworzyłem oczy.

Siedziałem sam w wannie, nie wiem jak długo, trzymając się za ręce.

Na ścianie wisiał wyblakły plakat, przypominający o zachowaniu higieny i prawidłowym dbaniu o czystość.

– W najgorszym wypadku zaleją twój grób, w najlepszym – będę musiał w nim żyć. – Powolnym, niechętnym ruchem wyrwałem korek z dna wanny. Rozbrzmiało głuche, przeciągłe wycie rur zasysających mlecznobiałą wodę. – Muszę dostarczyć ten list, muszę! A potem niech się dzieje, co chce. Nie boję się już niczego...

Powoli oderwałem przyssane do wanny plecy, wypelzłem na zewnątrz i spojrzałem w lustro.

– Niczego się nie boję – skłamałem do zaparowanego odbicia i zabrałem się za szorowanie zębów, jakbym próbował zeskrobać poranny szron z samochodu. Tarłem tak długo, aż dziąsła nie puściły pierwszej stróżki krwi.

Wróciłem do rutyny na tyle, na ile było to możliwe. Falszywie markowałem to, że wszystko przychodzi mi z łatwością: herbata, pranie, krótki sen, przepakowanie, klik-klak, czysta mechanika gestów, zero namysłu. Szafki zostawiłem tak puste, jak je zastałem.

Słońce chwiało się ku powolnemu konaniu na zachodzie, gdy ja wreszcie byłem gotowy, by zabrać się za paczki.

Wtedy to do mnie doszło – wieczór, wyspałem się na wieczór, ja pierdolę. Jeszcze tego mi brakowało, by rozstroić sobie zegar biologiczny przez głupią drzemkę. Ale może to i lepiej? Przynajmniej wieczorem była większa szansa, że znajdę adresatów w domach.

– No dobra, miejmy to już za sobą – mruknąłem, szarpiąc się z przymarzniętym zamkiem.

Skuter śnieżny zawiódł mnie już w połowie drogi. Charczał, warczał i syczał jak ranny kundel, i to taki paskudny, brachycefaliczny, z tych najgorszych. Po ostatnich zjeździe przez Agerdół faktycznie nieco go wgniotło, ale liczyłem, że posłuży mi przynajmniej do Sahala.

Wyjąłem kluczyki ze stacyjki, przysiadłem bokiem na siedzeniu i zapatrzyłem się na ulicę. Musiałem zatrzymać się akurat na bocznej ulicy, idącej od głównej, łukowatej lodostrady, po której nieustannie ślizgał się ciężki sprzęt i naczepy rozładunkowe. Wielokołowe bestie człapały to do stacji, to z powrotem, niczym czerwone krwinki, ciągnące życiodajny tlen po całym organizmie.

A ja? Ja byłem tylko sygnałem elektrycznym, ciągnącym się po siatce układu nerwowego. Niby należałem, a zarazem nie bardzo, byłem czymś obcym, niemającym swojego jednego miejsca.

Przede mną stał jakiś porzucony budynek o beżowej, potwornie poszatkwanej fasadzie. Osiem rzędów okien, łącznie ze dwieście ram... i tylko w trzech doliczyłem się szyb. Na dachu pozostał stelaż po wielkim napisie, informującym o funkcji budynku, jednak nie zachowały się same litery – szkoda. Jeszcze wyżej, ponad dachem, zwisały smętnie porzucone anteny, przypominające muchy zaplątane w starą pajęczynę. Wyglądało to tak, jakby pająk nigdy nie wrócił po swoją ucztę, więc z czasem tylko wiatr przetrzącał którąś z nitek i z hukiem zrzucał pordzewiałe, druciane cielska na ziemię. Już bliżej mnie znajdowała się portiernia z zewnętrzną palarnią, podwórko z mnóstwem śmieci i wreszcie zielona, paskudna brama, zamknięta na komicznie wielki łańcuch z jeszcze śmieszniejszą, drobną kłódką.

Coś było nie tak w tym widoku. Budynek nie był po prostu porzucony... on był zdobyty i zakazany.

Na początku nie mogłem tego pojąć. Z rzadka wymachiwałem do przejeżdżających maszyn budowlanych, lecz nikt się nie zatrzymywał, by mi pomóc. Dlatego też miałem dużo czasu, by przyjrzeć się niezwykłemu miejscu, aż w końcu pozwoliłem sobie na szybki obchód wokół muru, zerkając co chwila ku mojemu skuterowi. Jeszcze tego brakowało, by ktoś mnie okradł.

Stare napisy czy też wrzutki na murach nie dawały mi żadnej informacji o niczym, bo i nie umiałem ich rozczytać. Jedyne co wydawało mi się z tego oczywiste, to że ślady wandalizmu sięgały kilkudziesięciu lat. Zebrane hałdy odpadów nie były po prostu przypadkowym śmieciem, jakie można znaleźć wszędzie. To były rozprasowane buldożerami góry złomu, plastiku i kamieni. Znak, że wcześniej musiały tam być przedziwne konstrukcje z resztek, które ktoś celowo zniszczył, dosłownie zrównał z ziemią. Powierzchnia śniegu była nierówna, stara i pokryta licznymi warstwami pyłów kopalnianych o różnych odcieniach – zupełnie jak tajga, od ciemnego brązu po szlachetną, żywą zieleń.

Może nie tak żywą ani nie tak szlachetną, pomyślałem, trochę jak butelka po winie.

Poskrobałem suche, zimne wnętrze jednej z dziur w murze. Nawet przez rękawiczkę mogłem jeszcze wyczuć niewyoblone przez wiatr krawędzie.

Zacieki mieszały się z pozostałościami wyblakłych, rubinowych plam. Wszystkie strzały oddano mniej więcej na tej samej wysokości. Większość pod tą jedną ścianą.

Oczyma wyobraźni mogłem dostrzec urywki horrorów, jakie musiały się tutaj odbywać. Trauma upadku Federacji odcisnęła fizyczne piętno na tym mieście. Zamarznięta rzeka, brak dostaw, wściekli ludzie, muszący wyprawiać się pieszo po wypalone kwasem lasy, by narąbać cokolwiek drewna. Ogniska ze starych mebli, zamarznięte bloki, osuwające się ku ziemi – jak pochylone ciała gigantów, zatrzymanych w trakcie marszu.

Po raz kolejny zawarczał silnik, tym razem jednak ścichł i zaczął mruczeć ledwie słyszalnie. Niewielka, czerwona ciężarówka z wymalowanymi oznaczeniami zatrzymała się tuż przed moim skuterem.

Zerknąłem z ukosa jak drzwi od szoferki otwierają się i ze środka wychyla się jakaś postać ubrana w dwie puchowe kurtki – zgniłozieloną i wściekle żółtą.

– Szukasz problemów? – spytała kobieta, zniżając szalik na tyle, bym mógł dojrzeć jej twarz.

– Ja? – odpowiedziałem z głupia frant i rozejrzałem się dookoła. No pewnie, kurwa, że ja, ale jej pytanie było na tyle dziwne, że musiałem cokolwiek odpowiedzieć i się namyślić. – Nie, tak tylko patrzę, rozglądam się.

– Nie jesteś stąd.

– Jak widać.

Kobieta zerknęła ku ostatnim piętrům budynku. Nie mogłem dostrzec w pełni, jaki miała wyraz twarzy, ale wyglądało to tak, jakby nie chciała nazbyt długo spoglądać na dziwny pustostan.

– Podwieźć cię?

– Raczej podholować – odparłem, wskazując na skuter śnieżny. Zbliżyłem się kilka kroków i stanąłem obok ciężarówki, rozglądając się na boki. Miałem nadzieję, że nic nas nie pieprznie, bo głupio staliśmy na środku drogi. – Najlepiej na bazę.

– Na bazę – powtórzyła kobieta, spoglądając w lusterko wsteczne i zaraz machnęła na mnie ręką. – Dobra, zrzuć cię po drodze, pakuj się.

Chwilę musieliśmy się poszarpać z rampą, bo okazało się, że ciężarówka była zapakowana wszelkiego rodzaju złomem. Krótka, zintegrowana naczepa i nisko osadzony środek ciężkości pozwalały maszynie na swobodne poruszanie się po oblodzonych drogach głębokiej Federacji. Nawet nieszczególnie się zdziwiłem, że kierowczyni miała rozkładaną, blaszaną kładkę i szczerze – trochę mi ulżyło. Perspektywa bycia holowanym na lince jawiła mi się jako równie komiczna, co niebezpieczna. Wystarczy mi wdychania spalin na co dzień, nie potrzebuję jeszcze trzymać się na czyimś ogonie.

Z ulgą ściągnąłem kask i zaciągnąłem się powietrzem w kabinie.

– O zapachu ananasa, to taki owoc – powiedziała z dumą kobieta, wskazując na podwieszkę zapachową. – Narda, a ty?

– Artem... Ciekawe imię, Zielonobrzeskie?

– Ojciec był z Zielonego Brzegu, kontynuuję tradycję. – Narda kierowała sprawnie jedną ręką, drugą grzebiąc gdzieś po kieszeniach wpierw jednej, a potem drugiej kurtki, aż wreszcie wyłuskała portfel i wprawnym ruchem przedstawiła mi galerię czarnobiałych postaci. – Moje, podobają się?

Uśmiechnąłem się od niechcenia.

– Ingra, Frola, a najmłodszy to Dima.

– Dima? Myślałem, że kontynuujesz tradycję.

Narda zmarszczyła brwi i spojrzała na mnie jakby urażona.

– To chłopiec.

– Tak, ale... Myślałem, że wszystkim nadajesz imiona zachodnie.

– A twoje? – spytała krótko, jakby wbijała mi szpikulec pod żebra. Jednym, szybkim ruchem. – Masz zdjęcia? – dodała, jakby chciała przekręcić broń i wyrwać ją, wywołując krwotok.

– Nie mam przy sobie, zostawiłem w domu – szepnąłem i serce stanęło mi na moment.

Na komodzie leżało kilka zdjęć: Ja z nią... ja z nimi, pierwsza wspólna wigilia, jedyne zdjęcie z moimi rodzicami.

Nie zabrałem ich ze sobą, Boże, nie zabrałem. Pomyślałem, że przecież wrócę, ale... Myśl niewypowiedziana, zbyt straszna, wypełniła mnie całego. Nie chciała się zmaterializować, zwerbalizować w żaden sposób. Po prostu było coraz więcej tego niczego, które nie pozwalało na pojawienie się czegokolwiek.

– A imiona?

Nie odpowiedziałem.

– Synek czy córeczka...?

– Na drogę się patrz – warknąłem nazbyt oschle. Spróbowałem zaraz zmienić ton na łagodniejszy, ale kątem oka dostrzegłem, jak twarz Nardy zmienia się bezpowrotnie. – Żona Jekaterina, a córka... Wiera, jedna.

– Aha, u mnie Maksim mąż, kawał chłopca, większy od ciebie. No, ale on w hucie pracuje, nocną zmianę ma zaraz. Dzieci już dorosłe, to same się sobą zajmują w zasadzie. A ja widzisz, z tym całym barachłem się plątam, bo wielkie sprzątanie jest. Psia krew, patrz, kurwa, jak jedziesz! No, znaczy sprzątanie, ta, gówno, odgruzowywanie. Tylko teraz nam lata wszystko w jedną, drugą, ciężko nawet sprzęt dostać, bo wszyscy używają. To nawet nie jest moja ciężarówka, ja mam taką dłuższą tak przydziałowo na co dzień, bo szkło wożę. A tym? Tym to najwyżej te druty i beton i cały ten syf. Syf na drodze, nieuku! Baranie, widzisz, że skręcam w tę samą stronę! Patrz go, kretyn na skuterze śnieżnym. Taki jak twój, ale zielony, co nie? A ty co taki błąd?

Wsluchiwałem się w tyradę, skierowaną przez Nardę to do mnie, to ku innym uczestnikom ruchu drogowego, ale głównie do samej siebie. Nie mogłem się nadal pozbierać, zaabsorbowany tą gęstą pustką, jaka została we mnie po pierwszym pytaniu. W trasie potrafiłem dobrze wygłuszyć wszystko, wytłumić zbędne emocje, lęki i obawy, ale gdy tak człowieka zamknąć w samochodzie i zacząć zadawać ciosy... Czułem się zwyczajnie niegotowy, by mówić o tym, co dla innych jest oczywistością.

– O co chodziło ze ścianą? – spytałem, przekierowując ciepły nawiew z auta na siebie.

Narda wygięła kark w jedną i drugą stronę, jakby próbowała się rozciągnąć i przestała się odzywać dłuższy czas. Obserwowałem ją, widziałem, jak z kolei to ona blednie i traci swoją energię. Jeszcze przed chwilą była rozgadana i ciekawska, a teraz wyglądała, jakby

marzyła tylko o tym, by mnie odstawić. Nawet prędkościomierz zwawiej machnął strzałką, świadcząc dobitnie, że Narda się śpieszy.

– Złe pamiątki i tyle... Blizny, błędy, bzdury takie, że szkoda słów. Różne rzeczy u nas się działy, wiesz sam, ile to już? Dziesięć lat temu będzie... Jak się Federacja rozpędzała do wielkiego skoku, tak? No to my na trochę nad tą krawędzią zostaliśmy, po drugiej stronie. Nie doskoczyliśmy, tak powiem. I trzeba było się trochę wdrapywać. Niektórzy przeszli to lepiej, inni gorzej, jak mój brat. Teraz niektórych budynków się po prostu nie używa i tyle, jest zakaz, nie ma co podchodzić. Ale to wszystko polityka, mnie to nie interesuje. Ciebie polityka interesuje?

– Czasem interesuje.

– Mnie to wszystko jedno, ja za mała jestem. Ani kijem rzeki nie zawrócisz, ani nie ma co się przejmować sprawami większymi od siebie. Tygrys na muchy nie poluje.

– Yhym, ale byk czasem trzepnie trzmiela ogonem – mruknąłem, próbując uciąć temat.

Przed oczami miałem jedynie wzburzone fale, niosące wielometrowe kry lodu, walące o ostatnie piętra bloków w Magnetańsku.

– O, a tutaj mamy naszą cerkiew świętego Teodora, ładna?

Narda zwolniła celowo i machnęła twarzą gdzieś w bok, jakby chciała użyć nosa w roli wskaźnika. No faktycznie, po prawej stronie znajdowało się zadbane, czarne ogrodzenie z metalowych prętów o fikuśnych, roślinnych wzorkach. Odgrodzony teren został równo odśnieżony, zwłaszcza ułożony z ciętych kamieni okrągły plac, przywodzący nieco na myśl amfiteatr. Sama cerkiew prezentowała się porządnie, wysoka, otynkowana na beżowo z białymi przyozdobieniami. Spod cienkiej warstwy śniegu dało się dostrzec ciemnozielone dachówki, a ponad budowlą górowało pięć złocistych kopuł.

– Ładna – odparłem zdawkowo, od razu uciekając wzrokiem.

– A tu parafia.

Obróciłem się ponownie – no fakt, była parafia. Podobna do cerkwi, a w zasadzie to zbudowana w tym samym stylu: beż, biel, trochę ciemniejszego beżu dla odmiany i trzy kopuły, ale mniejsze.

– Ogród pionierski, o, tu po lewej dom kultury, ten taki w kształcie... – Narda zacięła się na moment, próbując opisać brutalistyczny, szary kloc po drugiej stronie ulicy. – Tam już zwyczajnie bloki, ten czerwony duży to sąsiedni do mojego, bo ja mieszkam niżej, dalej w takim niziutkim, dwupiętrowym, ale wygodne mam mieszkanko, trzypokojowe. O, tutaj mamy dawną Fontannę Łaski, ale nieczynna, bo zamarzyły rury. Na pewno wyremontują.

Chwaliła się, zrozumiałem to po chwili. To nie była zwykła gościnność, tylko sondowanie moich reakcji. Ona naprawdę czuła, że dzieją się rzeczy warte odnotowania w historii Elektrogrodu i chciała upewnić się, że ja też to widzę. Zupełnie tak, jakby moje dostrzeżenie tej zmiany w jakiś sposób ugruntowywało ją w prawdziwym świecie.

Chciała to usłyszeć: tak, tak, widzę, Elektrogrod jest piękny i zmienia się na lepsze, oczywiście. Tak, Narda, podłączą wam tę zajebaną w dupę kanalizację.

– Wszystko gra? – spytała, lustrując mnie kątem oka.

Spojrzałem na siebie, na pocerowaną kurtkę, lekko drżące z nerwów dłonie i przejechałem się raz czy drugi po twarzy. Powiedzieć jej? Nie, po co. Co by to dało. Ci, którzy powinni mnie wysłuchać, nie chcą mnie słyszeć, a ci, którzy nie muszą, chętnie sami coś poopowiadają.

– Tak, po prostu jestem zmęczony – odparłem najstarszym kłamstwem świata.

Przez resztę drogi ignorowałem to, że celowo wydłużała trasę. Po prostu przytakiwałem na widok różnych żłobków, odtajających śmietnisk i wychodzących ze zdezelowanych blokowisk ekip sprzątających.

Podskórnie czułem, że te zapleśniałe klitki niedługo znajdą sobie kolejnych mieszkańców. Mieszkańcy Elektrogrodu z dumą przyjmą nowych sąsiadów i pokażą im te bloki, tak jak się pokazuje dzieciom w sierocińcu darowane zabawki. Nie będzie ich obchodziło, skąd przyjdą obcy.

– Tutaj mamy stację dróżniczą – obwieściła wreszcie Narda, wskazując mi na kompleks z kilku hal i dwóch drewnianych przybudówek o dachach z eternitu. Gdzieś po podwórku kręcił się ochroniarz z długowłosym psem, przeskakującym z zasy w zaspę. – Dasz radę sam wprowadzić skuter czy ci pomóc?

– Dam radę, dzięki za podwiezienie. Po prostu będę musiał trochę listów rozdać piechotą i tyle... Nic wielkiego.

– Możesz też zostawić Igurowi albo Łaśce. – Narda popatrzyła na mnie, prychnęła jakby zła na to, że nie zrozumiałem i pokręciła głową na boki. – Igur i Łuśka to nasi dróżnicy, powinni być w socjalnym albo gdzieś. Jak Igur, to pewnie grzebie w skuterze, a Łuśka cholera wie, to kot.

– Kot?

– No, ogon ma i w ogóle. – Narda zaśmiała się, zamknęła drzwi ciężarówki i wyjęła szluga.

Upociłem się potwornie, ale wytargałem ten pieprzony skuter. Nawet nie próbowałem go odpalić, bo pewnie silnik zdążył się schłodzić i szanse były jeszcze mniejsze, niż przedtem.

Samo odstawienie skutera było już zgoła prostsze. Musiałem tylko poświecić papierami i stary, zakolasty technik, chcąc czy nie chcąc, przyjął maszynę na stan. Obiecał, że zobaczy, co da się zrobić, ale poza kazaniem chłopaczkowi na naukach, by ten wyczyścił skuter, to miałem się nie nastawiać. Faktycznie – jeśli kwas wyżarł dziurę w silniku, to byłem w dupie, ale jeśli to tylko jakiś durny termostat się przeziębził i przegrzał na zmianę, to rokowania były całkiem niegłupie.

Już miałem się zawijać, w końcu czekało mnie rozwiezenie jakoś czterech listów piechotą albo nawet durnym tramwajem, gdy nagle usłyszałem narastające bzyczenie. Zupełnie tak, jakby w moją stronę zbliżał się gigantyczny komar. Dźwięk szybko przeszedł w warkotanie, aż w końcu w pełnoskalowy ryk, gdy zza bramy wyskoczył ku mnie ogromny, zielony skuter.

Bestia o zamkniętym bagażniku przypominała długą, włochatą gąsienicę albo obłego żuka o malachitowym pancerzyku, błyszczącym jak butelka w słońcu. Reflektory nastawione na długi zasięg oślepiły mnie tak, że aż w głowie mi się zakręciło. Chwyciłem się pierwszej lepszej rzeczy i nieomal zerwałem łańcuch przymocowany do garażowej rolety.

Skuter wyskoczył znad niewielkiej zasy, wpadł do garażu i zahamował gwałtownie przed podnośnikiem. Pojazd wytracił prędkość tak szybko, że kierowca nieomal fiknął przez maskę.

Jebany debil, pomyślałem, masując intensywnie powieki.

Przed oczami latały mi kolorowe plamy. Jeszcze nie zdążyłem dojść do siebie, gdy poczułem mocny zapach benzyny.

Rozbrzmiał potwornie głośny, dudniący głos:

– Zasuwaam jak gazociąg podziemny, lewa prawa, nad ziemią, przy ziemi, wziuum. Fajrant panie Gesztal, fajrant!

– No, kto ma fajrant, ten ma fajrant – odparł technik, z którym rozmawiałem. Nagle ściszył głos tak, że nie dosłyszałem, co powiedział dalej, ale wskazał ręką ku mnie i z twarzy nowoprzybyłego nietrudno było się domyślić, że moja pozycja została spalona.

Miałem ochotę uciekać. Poczułem, jak wzdłuż pleców zjeżdża mi jakieś napięcie, aktywujące po kolei wszystkie mięśnie. Ramiona same podkurczyły się, jakbym chciał zajmować jak najmniej miejsca. Byleby tylko obcy nie obrócił się do mnie i nie...

– No dzień dobry, Igur jestem – rzucił dziarsko wielkolud, zbliżając się nagle. Wyciągnięta ku mnie dłoń w rękawicze drżała wyraźnie. – A, przepraszam.

Mężczyzna drugą ręką odpiął rzepy i zdjął rękawiczkę, ukazując poczerniałą od odmrożeń dłoń. Przez moment przyglądałem się obrzydliwej, czarnej pajęczynie, przeplatanej czerwonymi kuleczkami zakrzepów. Może nazbyt długo patrzyłem? W każdym razie ja również odpowiedziałem uściskiem i poczułem pod palcami, jak sucha i zimna jest skóra mojego interlokutora.

– Artem, przyjemność po mojej stronie. Nie będę przeszkadzał, wiem, że macie teraz sporo roboty ze... wszystkim. – Machnąłem ręką dookoła, wskazując na każdą i żadną rzecz jednocześnie. – Mam kilka listów, a jeszcze muszę zahaczyć o urząd bezpieczeństwa komunikacji.

– Co ty będziesz się urzędem przejmował – zaśmiał się Igur, klepiąc mnie po plecach z nadmierną koleżeńskością. – Nie masz skutera, ta? No, a urząd to jest taaam, obok stacji kolejowej, a tam teraz gołodół i sama budowlanka, poza tym to gorsza część miasta. No to po co ci to? Dawaj to, ja zaraz każę Trzęsikowi to zanieść, przyda mu się.

– Trzęsikowi? – spytałem nieopatrnie. Nie chciałem wiedzieć. Nie obchodziło mnie to. Ale jednak spytałem, głupi ja.

– No, taki co się trzęsie, haha! Młodego mam, znaczy się nie ja, tylko na przyuczeniu mamy jako dróżnicy z Łuską, a ty jej nie znasz, co? Nieee, chyba nie znasz, a poznasz, fajna jest, no chodź ze mną.

– Nie powinienem...

– A co masz do roboty? Zaraz noc będzie, skuter na bazie zostawisz, musisz się zagrzać u nas. Wróci Trzęsik z listami, to pójdziesz. No, ile masz tego?

– Cztery – przyznałem zgodnie z prawdą, wyciągając z torby kilka pożółkłych kopert. – Ale adresów jeszcze nie znam. Znaczą, znam, ale się nie orientuję, gdzie to.

Igur sprawnym ruchem niemalże wyrwał mi z ręki listy, przejrzał i na jedyny moment jego twarz przestała być taką jowialną maską serdeczności. Coś niepokojącego przeskoczyło mu między oczami, gdy wczytywał się w tekst na kopercie.

– Cztery to tyle co nic, obrobisz dzisiaj. My to kiedyś mieliśmy osiemdziesiąt jednego dnia, bo było zebranie nadzwyczajne i trzeba było ręcznie każdemu dostarczyć. – Igur poprowadził mnie wąskim korytarzem do pomieszczenia przechodniego i włożył listy do jednej z trzech skrzynek w kolorze nadgniłej pomarańczy. – No, zaraz to zabierze, a ty chodź, bo Łuska pewnie w socjalce siedzi, my tam mamy fajny widok, kawa jest, zobaczysz. Kawę piłeś?

– No kiedyś piłem.

– Dzisiaj czy piłeś, się pytam – odpowiedział Igur, szczerząc się, nie wiem, czy z wyższością, czy po prostu tak miał.

To było tylko spotkanie towarzyskie ludzi, tak zwanych, po fachu. Mimo to, gdy ogromny jak osiedlowy śmietnik dróżnik prowadził mnie przez wąskie korytarze o grubych ścianach, czułem się tak, jakbym szedł na ścięcie. Próbowałem odizolować się od wszystkiego, wreszcie od siebie samego. Po prostu nie być w tamtym miejscu i w tamtym czasie. Nie byłem gotowy na to.

Jak można być gotowym? Jak miałbym rozmawiać z tymi ludźmi o pogodzie, dostawach szkła, czy remontach osiedli, gdy za całym ich szczęściem stoi ogrom tragedii? Nawet wtedy, u progu pomieszczenia socjalnego, czułem, jak Magnetańsk się zapada. Powoli jego los zostaje przypieczętowany, a całe miasto znika pod piaskiem przesypującym się na dno klepsydry.

Choć ciężko mi to przyznać przed samym sobą, mam nieodparte wrażenie, że najbardziej nie bałem się samej rozmowy, a tego, jak mogła się potoczyć. Każde ich słowo stanowiło o zwiększeniu ciśnienia, jakimś naporze na bańkę mojego zdrowego rozsądku. Coraz bliższa stawała się perspektywa, że po prostu w pewnym momencie pękne. Może nie w rozmowie z merem miasta, może nie przy kierowczynie, która mnie podwiozła, ale kiedyś, w końcu, w przypadkowym momencie. Dla człowieka z zewnątrz będzie to wyglądało jak akt szaleństwa, nerwowa reakcja człowieka sfrustrowanego, niezdolnego do poradzenia sobie z emocjami, a tak naprawdę przecież radziłem sobie. Radziłem sobie tyle czasu. I w końcu pękne, nie dlatego, że jestem słaby, ale dlatego, że byłem silny tak długi czas. Ale największym wrogiem siły zawsze jest zmęczenie. Samochód psuje się na przypadkowym odcinku prostej drogi, a nie tam, gdzie są największe wyboje.

Zorientowałem się, że trzymam w dłoni kawałek skóry, która odłaziła mi spomiędzy palców od wielu dni. Siedziałem na kanapie w niegdyś nowoczesnym i ślicznym, a teraz starym i zaniedbanym pokoju. Przypominająca wielokąt foremny socjalka miała widok na niemal każdą stronę świata. Z panoramicznych okien dało się dostrzec wedutę samego miasta i rzecz jasna pierścień hut.

– Wszystko w porządku? – spytała nieprzyjaznym tonem kobieta, wyrywając mnie z rozmyślań. Dopiero wtedy ją zauważyłem, siedzącą naprzeciwko mnie na obitej żółtym pluszem kanapie. – Wyglądasz na skołowanego. Jesteś w szoku termicznym? Igur, skąd ty go sprowadziłeś? On powinien iść wpierw na badania.

– Normalnie z nim gadałem, to jest dróżnik Artem, jest tutaj z listami, co je młody zanosi do urzędu. No, Artem, co jest? – Wielgachny Igur siadł obok kobiety, zapewne wspominatej Łuśki i objął ją jedną ręką, zakładając nogę na nogę.

– Zamyśliłem się, to przez to, że słabo spałem – mruknąłem, chwytając za parujący przede mną kubek. – Dziękuję za kawę.

– To herbata – wtrąciła Łuśka.

– Aha, no tak, tak.

Obiecali mi kawę, no nic. Próbowalem co rusz się rozejrzeć w sytuacji, skupić na otoczeniu, drogach ucieczki, tym gdzie jestem, ale nie mogłem. Nieustannie atakowali mnie na dwa głosy, a ja próbowałem połapać się jednocześnie w tym, z kim rozmawiam, o czym i jak stąd odejść.

– To dokąd dalej? – spytała niby od niechcienia Łuśka.

Dróżniczka napawała mnie lękiem, takim samym, jakim poszerzająca się rysa na tafli lodu, na której się stoi. Przeorana zimnym i wilgotnym wiatrem twarz, przypominała czerwoną, bojową maskę jakiegoś pradawnego, na poły mitologicznego, dzikiego plemienia. Każde jej słowo materializowało się w mojej głowie w formie cięcia, wcinającego się w skórę kawałek po kawałku, by zaraz wyskoczyć i udawać, że nic się nie stało. Widziałem, jak jej ruchy odbijają się na zbyt luźnym, ocieplanym kombinezonie. Zupełnie tak, jakby nawet jej ubranie stanowiło swego rodzaju przebranie sceniczne, a ona znalazła się w tej chwili i w tym miejscu jedynie wbrew sobie, w nieznanym mi celu.

– Sahal – odparłem krótko. Ponoć kłamcy lubią elaborować i rozgadywać się w odpowiedzi na pytania, jakby musieli się tłumaczyć. Ja nie musiałem się tłumaczyć, a przynajmniej nie chciałem. – I z powrotem do Magnetańska.

– A z czym do Sahalu? – Dróżniczka jątrzyła dalej.

– Korespondencja urzędnicza.

– A neutralizator to po co ci?

Wzdrygnąłem się i zaraz uciekłem do herbaty. Biorąc podejrzenie długiego łyka, próbowałem zorientować się, skąd wiedziała o trumience, no i co to tak naprawdę mogło dla niej oznaczać.

– Robota po drodze, odwiozę do Magnetańska.

– A to ja mogę zabrać – wtrącił zyczliwie Igur. – Będę niedługo jechał do Magnetańska, no to jak raz zabiorę, dobrze się składa.

Oczyma wyobraźni zobaczyłem go, na tym swoim wielkim, oczojebnym skuterze, jak łypie zyczliwym, serdecznym okiem na ruiny mojego domu.

Otrząsnąłem się z wizji i wróciłem do świata żywych i nazbyt rozgadanych.

– Pokwitowanie zwrotne, ale dziękuję za propozycję.

– Opowiedz o robocie – powiedziała Łuśka, wykonując zachęający gest dłonią. Jej wzrok po raz pierwszy zawędrował nie na mnie, a dalej, na okno, pod którym siedziałem. Gdzieś tam były niskie budynki magazynów, osiedla i zawałona śniegiem ulica, wychodząca na zamrznięty zbiornik przy tamie. – Z czym macie problem?

Mogłem skłamać i wymyślić coś na poczekaniu, ale już zdążyłem zauważyć, że moi rozmówcy są wyjątkowo zaciekawieni szczegółami. Ich ciekawość mogła być, co jest oczywiste, czysto poznawcza. Ja w końcu też lubiłem słuchać, a nawet podsłuchiwać, co tam za wiatry wieją w szerokim świecie. Jednak nieustannie miałem wrażenie, że w powietrzu wisi coś zgoła innego, bardziej złowieszczonego.

A może to tylko moja paranoja?

– No więc?

Mogłem powiedzieć prawdę, ale... Nie, nie mogłem. Miałem w sobie siłę tylko na to, by powiedzieć o tym raz, i nie miałem zamiaru tej siły marnować na jakichś przybłędów, nawet jeśli po fachu i z sąsiedniego miasta.

– Nie musisz mówić, jeśli nie chcesz. To takie tajne jest?

– Mogłoby nam się przydać, może nawet uratowałoby jakiegoś dróżnika przed nieopatrzonym wybraniem drogi – wtrącił lekko zniecierpliwiony Igur, wypijając jednym haustem kubek herbaty.

– Była taka wioska – szepnąłem, szyjąc historię z kłamstwa bogato zdobionego prawdą. – Całkiem niedaleko, między kilkoma wzgórzami. Stary kolektyw gospodarczy, jakieś załamane linie wysokiego napięcia, zamrznięte resztki inwentarza, domy pokryte zlodowaciałymi kryształkami chlorofilów i tym podobnych. Zjechałem, kryjąc się przed pogodą, no i hamulec nie zaskoczył, a ja poszedłem bokiem. I tak trzasnąłem, że wleciałem przez ścianę stodoły. Miałem za zadanie ustabilizować aurę w wiosce, ale na miejscu okazało się, że anomalie są aż dwie. Udało mi się trzasnąć jedną, zbiorową anomalię, ale... inna się wymknęła i chyba nadal idzie moim śladem. Wolę trzymać stabilizator przy sobie, bo nie wiadomo, co się stanie.

Ukryłem wzrok w herbacie, nie chcąc widzieć twarzy moich rozmówców. Siedzieli wyjątkowo cicho.

– Sam byłeś? – spytała Łuśka.

– Zawsze jeżdżę sam.

– Rozumiem, taka Zosia Samosia, ta? – dodał Igur.

– Nie, to nie tak. Po prostu... Niedawno odszedł u nas drugi dróżnik. Nawet jakby żył, to nie chciałby ze mną jechać. Akcje ratownicze, oznakowania szlaków, paczki to wszystko jeszcze można, a nawet chętnie... – Na moment popadłem w zamyślenie, jakbym zagłębiał się w zimną, wilgotną otchłań katatonii. Ze spuszczonego spojrzeniem i dłońmi zaciśniętymi na gorącym kubku, próbowałem przetrwać zanurzenie we własnych myślach. – Ale nie na anomalie radiowe. One szczególnie do mnie lgną. Inni dróżnicy wolą nie ryzykować.

– Jak to... lgną? Nadużywasz przekazników fal radiowych?

– Nie, po prostu lgną. Zmierzają ku mnie, mówią, a ja je słyszę. Czasem nawet bez radia. Zupełnie tak, jakby one mnie widziały, a ja je.

Spojrzałem wreszcie na rozmówców, nie oczekując niczego. Mimo to zawiodłem się, widząc rozweseloną twarz dróżnika.

– No to nieźle cię porobiło. – Igor zaśmiał się, klepiąc Łuskę po karku dziwacznym i niezbyt dyskretnym gestem.

– Cicho, Igor – syknęła Łuska, patrząc na mnie ze współczuciem. – Niektórzy tak mają. Zwłaszcza ci, którzy przesiąknęli już promieniowaniem radiowym. Człowiek jest w stanie ekranować to promieniowanie, ale czasami przenika ono pod skórę i potem stajemy się jakby... fluorescencyjni dla tych wszystkich anomalii.

– Też tak słyszałem – odparłem, choć Bogiem a prawdą, nie wierzyłem w tę odpowiedź. Należała ona do kanonu wiedzy dróżniczej, ale widziałem nazbyt wiele wyjątków od tej reguły, by w pełni w nią uwierzyć. – Mam już swoje lata, to pewnie faktycznie już ten moment, gdy człowiek staje się jak ta sprawdzona stal – twarda, ale rdzewiejąca.

– No, to niedługo emeryturka, co? – spytał Igor.

Pokręciłem głową. Nie było dla mnie żadnej emerytury, poza zimną jamą, wykopaną w zaspie śnieżnej. Cekał mnie tylko śpiwór nakryty metrem zmarzliny i baldachim gwiazd nad moim łóżem śmierci.

– W naszym zawodzie jest jedna emerytura – szepnęła Łuska, jakby odgadując moje myśli. Jej wzrok pozostał tak samo chłodny i wrogi przez całą rozmowę. – Kiedy odjeżdżasz?

Nie mogłem jej zrozumieć. Cały czas miałem nieodparte wrażenie, że coś było nie tak w jej postawie, tym co mówiła, jak mówiła i gdzie patrzyła. Wszystko krzyczało do mnie, że czegoś ode mnie chce. Lub nie... inaczej. Chciała się upewnić, czy ja czegoś nie chcę.

Wiedziała o liście? Nie, nie mogła, bo skąd? Od mera? Od kogoś z otoczenia mera? A nawet jeśli, to co miała robić? Przecież ja tylko dostarczałem przesyłki, nie przyjechałem

z kontrabandą. Narzędzie do regulacji biosfery było podejrzane, ale nie nielegalne. Sprzęt dla kolegi Iwana? Nie mogła o nim wiedzieć, był ukryty w zamkniętej, wyłożonej folią skrzyni.

Znów spojrzała ku mnie, a potem za okno nade mną. Zupełnie tak, jakby coś stało za moimi plecami, coś gotowe skoczyć ku mnie i... nie. Coś cennego. Coś, czego nie chciała, bym jej zabrał.

Pilnowała mnie. Oboje mnie pilnowali. Badali kawałek po kawałku i drażyli, a każde niedopowiedzenie tylko bardziej podsycalo ich nieufność.

– Jak najszybciej – odpowiedziałem po nazbyt długim milczeniu.

Twarz Łuski na mgnienie oka rozluźniła się i po raz pierwszy jej usta wygięły się w coś, co przy dużej dozie dobrej woli nazwałbym uśmiechem. Zupełnie tak, jakby ta drewniana, bojowa maska musiała przełamać setki lat butwienia, by zmienić swój wyraz na tak obcy i nowy.

– Wypierdalam jak najszybciej – powiedziałem, prostując się nagle. Wsłuchałem się we własne słowa, jakbym wreszcie słyszał kogoś, z kim chcę porozmawiać. – Jadę, spierdalam. Nie przyjechałem ukraść waszego szkła ani nasrać wam do ryżu. Nie przyjechałem oglądać tej waszej cerkwi, w dupę zajebanej złotokopulastej.

Igur rozszerzył oczy, jakby siadł na jeżu. Z jego ust dobył się krótki, urwany dźwięk, który równie dobrze mógł być wyziewem fali odrzutowej z odbytu. Wyglądał przy tym tak, jakby zaraz miał zadławić się własnym językiem.

– To zmęczenie podróży – zawyrokowała Łuska, wyciągając uspokajająco dłoń.

– To zmęczenie pierdoleniem – poprawiłem dróżniczkę i wstałem. Na moment obejrzałem się za siebie i dostrzegłem to, co cały ten czas stało za mną. Widok na zbiornik wodny tamy wraz z wielkim pęknięciem, idącym przez środek tafli. – Mam robotę, zabieram skuter i jadę do Sahala. Im szybciej wasz majster naprawi to, co puka i stuka, tym szybciej zabieram się stąd i już mnie nie zobaczycie. Możecie wrócić do cieszenia się z nowego przydziału skórzanych butów, odetkania szamba i tego wszystko, co sprawia, że życie jest takie kolorowe i piękne.

Skloniłem się grzecznie i wyszedłem, zostawiając moich dwóch niby-rozmówców nad kubkami najgorszej herbaty, jaką piłem w życiu.

* * *

Adresat pierwszego listu nie żył.

Sprawa była polityczna, więc nawet nie wnikałem. Ponoć pokłócił się z władzami miasta o kolektywną własność w małej mleczarni, w której pracował albo zarządzał, nie jestem pewny. Wszedł na drogę prawną, na której szło mu całkiem nieźle, dlatego Federacja weszła na drogę bezprawną, po której ścieżkach poruszała się z gracją woltyżera.

Odjęło mi to trochę roboty, bo choć listu nie otrzymałem z powrotem, to przynajmniej nie musiałem szukać jego mieszkania.

Przed oczami stanęło mi puste muzeum oporu, wilgotny fotel, spod którego wyrastają niejadalne grzyby, zdolne wegetować w dowolnym miejscu. Powolnie skapująca z dziurawego sufitu brązowa woda, zbierająca się na starym, wypranym z kolorów dywanie. Kilka much leżących brzuchami do góry na zmarłym z pragnienia kocie, przymarzniętym do wilgotnej szyby. Pomnik wiecznego oczekiwania na powrót, który nie nastąpi.

Drugi list okazał się niewypałem, mówiąc wojskowym żargonem. Urząd do spraw komunikacji stwierdził, że nie ma takiej osoby pod takim adresem. Co więcej, sam list zdawał się długim na kilka stron wyznaniem czy też dziennikiem, albo manifestem. Może była to swego rodzaju autoterapia dla autora listu, który w ostatnich chwilach życia musiał zostawić po sobie cokolwiek, wyrzucić zbierane przez długi czas napięcie.

W sumie mogłem się domyśleć, ponieważ po ponownym spojrzeniu na adres zrozumiałem, że zarówno imię, nazwisko jak i ulica stanowiły swego rodzaju żart czy raczej stereotyp. Ktoś wpisał: Iwan Morozow, ulica Federacyjna jeden przez jeden.

To tak jakby zaadresować list do każdego i nikogo. W zasadzie to zadanie zostało wykonane. List faktycznie trafił do nikogo, pęczniąc w niewielkiej kałuży, zbierającej się w rynsztoku ulicy, którą szedłem.

Trzeci list dostarczyłem, ale nie bez pewnych trudności. Doczłapałem do ośmiopiętrowego, długiego jak diabli boczyska. Błękitna farba łuszczyła się wielkimi płatami, tworząc smętnie łopoczące na wietrze proporczyki. Budynek przypominał bardziej zamek królowej lodu niż przykład typowego dla wczesnej Federacji budownictwa komunalnego. Przez wiszące na wygiętym zawiasie drzwi hulał wiatr, zaś same drzwi przypominały bardziej bramę miejską, zniszczoną w wyniku inwazji i pozostawioną tak ku przestrodze, by czasem obrońcom nie przyszło do głowy zapominać, że okupant zawsze może wrócić kiedy chce.

Z niedowierzaniem spoglądałem na klatkę schodową, przypominającą wnętrze masywnego lodowca. Rury z wodą wybiły całe lata temu i przez tak długi czas woda nawarstwiała się i z każdym mrozem tworzyła kolejną część skorupki, raz ciemnognatową

jak nocne niebo, a raz tak jaśnietko błękitną, że aż wpadającą w turkus, możliwy do odnalezienia tylko w lodowych rozpadlinach.

Lodowy korytarz bloku wzywał mnie. Wycie wiatru, modulowane przez wyoblone lodowe ściany, brzmiało jak zawodząca smutno pieśń o lepszych czasach. Naprawdę, nigdy nie widziałem czegoś, co tak dokładnie odwzorowałoby gardło wraz z jego nachodzącymi na siebie żebrowaniami z miękkiej, różowawej tkanki. Tam, gdzie tynk i woda mieszały się w zimnym tańcu, powstawała przedziwna mieszanka, tworząca mięsną jamę, wypełnioną jedynie gęstniejącym mrokiem.

Zwisająca na jednym drucie żarówka przypominała migdałki, chyboczące się niepewnie przy każdym podmuchu. Miałem pewność, że gdybym tylko zebrał się na odwagę i głupotę, by podskoczyć i pociągnąć za ową migdałową żarówkę, wywołałbym wymioty mieszkalnego olbrzyma, a on rzygnąłby na mnie tymi wszystkimi M2, M3 i M4.

Ale nie przyszedłem drażnić olbrzyma. Spojrzałem na zapomnianą przez Boga oraz Federację klatkę schodową i westchnąłem jak najbardziej zmęczony dróżnik na świecie. Wszystkie skrzynki na listy unosiły się w bryle błękitnego lodu, jak zamknięte w bursztynie na wieczność. Bo kto wie, skoro robiło się coraz zimniej, to może faktycznie ten lód już miał nigdy nie stopnieć?

Tak czy owak, list musiałem dostarczyć osobiście do mieszkania na samym szczycie.

Zerknąłem ku klatce schodowej, przejechałem dłonią po wyżłobieniu w lodowej ścianie, które niegdyś stanowiło barierkę i postawiłem pierwszy krok na schodku.

Przód, tył, przód, tył, but ślizgał się jak kostka masła na gorącej patelni.

Zzułem rakiety, bez których nawet nie doszedłbym do skrytego za śnieżnym bezkresem bloku, i postawiłem krok po raz drugi. Antypoślizgowa podeszwa zatarła o lód, skrzypnęła i zatrzymała się na sekundę.

Uśmiechnąłem się do siebie i zaraz zawiął ten przejmujący, lamentujący wiatr. Wycie zdawało się nieść ze sobą jakiś dziwny, nowy dźwięk, jak odległy głos.

Raki zostawiłem wśród bagaży na bazie, bo nie przyszło mi do głowy, że będę w mieście musiał się wspinać. No dobrze, może przeszło mi to przez myśl, ale wtedy miałem inne rzeczy na głowie.

W obliczu niemalże niemożliwego zadania przeszedłem się wzdłuż trzewi bestii, zamiast w górę. Na parterze znajdowało się kilka mieszkań, do których dało się dostać bez skręcania sobie karku.

Na moment zajrzałem do wnętrza jednego z przedpokojów, lecz zaraz cofnąłem się ze strachem.

Resztki mebli z płyty paździerzowej wały się wśród zaokrąglonych zasp, naniesionych i wyrzeźbionych przez długi czas. Te wszystkie garnczki, łyżki, żebra wyłamanych grzejników, szafeczki, książeczki... Aż zdjęło mnie strachem. Pamiątki ludzkiej bytności, zasypane przez nieuchronne zimno, rozdrobnione do pierwotnej, mineralnej formy, rozpadającej się kawałek po kawałku, sekunda po sekundzie. Zupełnie tak, jakbyśmy zostawili na ziemi nietrwały odcisk w piasku, który z każdą falą wyrównywał się, jak miliardy takich samych przed nim.

Wnętrze bloku stanowiło prawdziwy, lodowy labirynt, a na dowód tego ściany pokrywały rzadkie, ale dystynktywne oznaczenia. Gdzieś dostrzegałem wyryte i zakolorowane strzałki, zwykle żółte i czerwone. Nie wiedziałem jedynie, czy oznakowanie stanowi pomoc dla samych mieszkańców, ewentualnych gości, czy wręcz przeciwnie – jest próbą wprowadzenia kogoś nieproszonego w konsternację.

Po chwili mocowania się z przymarzniętymi drzwiami udało mi się przejść między dwoma kondygnacjami. Przejście między jednym numerkiem adresowym a drugim zajęło mi dobre dwadzieścia minut. Natomiast gdybym próbował wspiąć się po zamrożonym gardle betonowego giganta, to pewnie już leżałbym z roztrzaskaną potylicą na czerwonych schodach.

Druga klatka była zimna i wilgotna, co oznaczało, że przynajmniej częściowo docierało tu ciepło z kotłowni. Schody pokrywała nieustanna, wodnista kaszka zmieszana z błotnistymi śladami, przypominającymi gipsowe odlewy różnych podeszew w kolorze gównianego brązu.

Miałem pewność, że tutaj faktycznie ktoś mieszka. Niektóre numery musiały być zajęte, bo przed drzwiami mieszkańcy ustawili paździerzowe szafki z przegródkami, gdzie na wytartych, prastarych szmatach podłogowych schły wysokie, ocieplane buty.

Nikt do mnie nie wyszedł, nikt nie zagadał, ale słyszałem pojedyncze szurnięcia za drzwiami, jakby ktoś przystawiał kapcie najbliższej listwy podłogowej, jak się tylko dało. Zamglone judasze spoglądały ku mnie nieufnie, śledząc każdy mój ruch. Odprowadzany szklanymi spojrzeniami, których istnienia lub nieistnienia nie mogłem udowodnić, powoli zacząłem wdrapywać się ku górze, doświadczając, jak klatka schodowa zmienia się z każdym krokiem.

Im wyżej się znajdowałem, tym cieplej się robiło. Paprotki na oknach wegetowały od dziesiątek lat, wypełniając za ciasne doniczki tak gęstymi sieciami korzeni, że przypominały one jednolite, białe bryły z pajęczyn. Zupełnie tak, jakby ktoś sprasował do postaci sześcianu bawełnę. Jednak z każdym piętrem ta przedziwna wewnątrzblokowa przyroda stawała się

coraz żywsza. W pewnym momencie dostrzegłem ogromną, żółtawą plamę, rozlewającą się na suficie. Wpierw myślałem, że to sąsiad zalał niższe piętro i tak to zostawił, ale po krótkich oględzinach zrozumiałem, że mam przed sobą nieprzyzwoitych rozmiarów grzyba, pokrytego miękkimi, kolorowymi włoskami. Każdy, najdrobniejszy podmuch wiatru wprawiał powierzchnię grzyba w drżenie, co przypominało gęsią skórę. Mykologiczny byt milcząco trwał wlepiony w sufit, zasysając wilgoć spływającą z góry i rozrastając się przez żelazobetonowe trzewia olbrzymiego kompleksu mieszkalnego.

Sam fakt, że na parterze żyli zwykli ludzie, pracujący w fabrykach, biurach i urzędach, stanowił dla mnie fenomen nie do zrozumienia. Z kolei im wyżej się znajdowałem, tym bliższe absolutu stawały się formy. Kolejne cyferki na ścianach rosły, a następujące po nich stworzenia oddalały się od mojego zrozumienia i miały coraz mniej wspólnego z ludźmi. Wydawało się, że porzucony na obrzeżu blok został częściowo wchłonięty przez naturę i wystawiony na dziesięciolecia erozji oraz samotności. Z czasem przestał mi on przypominać trzewia giganta, a zaczął ogromny las w zakorkowanym słoiku, gdzie nieustanny cykl skraplania się i parowania tej samej wilgoci był w stanie utrzymać samoregulującą się, niewielką populację drobnych stworzeń.

Na przedostatnim piętrze powietrze było tak gęste, że musiałem zasłonić usta. Zielonkawa, wypełniona zarodnikami mgła kręciła się wśród węzowisk rur, co rusz łapiąc się za lepkie ściany i przylegając do nich na nie wiadomo jak długo.

Przebrnąłem przez ten dziki rejon, próbując nie zatrzymywać się ani na moment i nie brać nazbyt głębokich oddechów. Kto wie, co by się stało, gdybym połknął któryś z tych przyzwyczajonych do wilgoci i ciepła zarodników?

Dotarłem do drzwi, takich samych jak wcześniej, ale wiele pięter wyżej. Tym razem nie musiałem wyłamywać zlodowaciałego zamka, bo przejście otworzyło się niemalże samo po lekkim pchnięciu. Klamka z cichym, mięsistym plaśnięciem uderzyła o ścianę i moim oczom ukazała się egzotyczna panorama tunelu, pokrytego kolorowymi porostami. W tym szczytowym miejscu, gdzie wilgotne, gorące powietrze mieszało się z mrozem, tylko te liche, mikroskopijne grzyby były w stanie przeżyć. Porastały ściany tak, jak mogłyby równie dobrze porastać przybrzeżne kamienie. Czerwonawe i żółte okrągłe plamy oraz zielonkawe i niemalże niebieskie stożki, przypominające stojące na baczność trąbki i puzony. Cała ta przedziwna orkiestra obracała się w kierunku ciepłego powietrza, próbując nawdychać się na zapas życiodajnej energii.

Wyciągnąłem dłoń do ściany.

Nie powinienem był, ale jednak to zrobiłem.

Gdy tylko rękawiczka dotknęła jednego z zielonkawych stożków, ten zaraz skarłał, cofnął się i wysłał niewidzialny gołym okiem sygnał elektryczny lub chemiczny i wszystkie porosty na ścianie również wycofały się do swoich zdrobniałych, twardych postaci. Zupełnie tak, jakbym zaraz miał je zaatakować, a one broniły się i teraz przeszły na z góry ustalone pozycje.

Gdybym miał ze sobą radio, włączyłbym je. Zaryzykowałbym, by usłyszeć, jakie pieśni ma do wyśpiewania ten ufortyfikowany chór grzybów.

Lecz nie miałem radia, miałem list i z tym listem przeszedłem długi na ponad sto metrów korytarz. Było to sto metrów wypełnione rzednącym, coraz chłodniejszym powietrzem. Szelest dziesiątek tysięcy drobnych roślin współgrał z obrotem ich zarodników. Przez moment przymknąłem oczy i czułem, jakbym przechadzał się kamienistym brzegiem oceanu. Na powierzchni zakwitły całe hektary alg, zmieniające zbiornik wodny w wielki, zielony step.

Aż wreszcie przepłynąłem przestwór tego zielonego oceanu i dotarłem do pojedynczej wyspy czarnych drzwi z polerowanego drewna. Ściana dookoła pokryta była napisami, stosunkowo starymi skrótowcami i pełnymi wyrazami. Dziwnym trafem skupiały się tutaj różne treści, zarówno te względnie przypadkowe, mające swoją ukrytą historię, jak i obrazoburcze wiadomości skierowane do mieszkającej wewnątrz kobiety. Zupełnie tak, jakby każdy w Elektrogrodzie, kto miał marker, mazak czy jakiś sprej, postanowił użyć go w tym miejscu.

Zapukałem do drzwi.

Trzy mocne uderzenia pofrunęły wzdłuż korytarza, odbijając się echem od porostów. Zielone puzoniki zginały się i odginały przy każdym z nich, tak jak tafla jeziora odkształca się po liźnięciu przez wiatr.

Odpowiedziała mi cisza.

Pełen niepokoju zapukałem znowu i tym razem usłyszałem coś, czego absolutnie się nie spodziewałem – kroki. Najnormalniejsza rzecz ze wszystkich, które spotkały mnie w tym organicznym budynku, ale zarazem tak bardzo nieoczekiwana na tle innych. Byłbym mniej zaskoczony, gdyby drzwi zmieniły się w dziuple w drzewie, niż gdyby je otworzono.

Ktoś stanął przed judaszem i przyjrzał mi się dokładnie.

– Dróżnik, mam list – powiedziałem wyjątkowo ochrypłym i słabym głosem.

Zakręciło mi się w głowie. Dopiero wtedy zrozumiałem, z jakim trudem przychodzi mi oddychanie na tym wysokim, pełnym zarodników piętrze. Czułem się jak wspinacz wysokogórski, który nie jest w stanie zaciągnąć pełnego oddechu bez butli tlenowej.

Rozległ się trzask przesuwanego mechanizmu zamka, zaraz po nim drugi, trzeci i szelest łańcuszka. Drzwi uchyliły się ledwie na centymetr.

Czarna, ziejąca smrodem dziura ukazała mi się na moment, a ze środka buchnęło ciepłe, falujące powietrze. Trzy pomarszczone, żółte palce zaskrobały o krawędź drzwi.

Sekundy rozciągnęły się, każda trwała dość, bym mógł ją dostrzec, przemyśleć i pożegnać. Niepewnym, lęklwym ruchem podałem osobie wewnątrz list, zamknięty w kopercie o kolorze i fakturze identycznej co same palce adresata.

Dłoń wraz z listem zniknęła. Mechanizmy drzwi zastukały jak uderzane kolejno klawisze rozstrojonego pianina. Znów nastała cisza, a ja nie byłem pewny, czy to, co się wydarzyło, stało się naprawdę, czy tylko było złudzeniem.

Obróciłem się i wróciłem po własnych śladach, lżejszy o wagę listu, lecz cięższy o doświadczenie. Porosty machały mi nieśmiało na pożegnanie, grzybowa plama przyglądała się niewzruszenie, a ściśnięte do granic możliwości paprotki odprowadziły z honorami, stojąc na baczność.

Wyszedłem z potężnego bloku i zimny wiatr otrzeźwił mnie nagle. Obejrzałem megalityczną strukturę, pozostawioną samotnie w wysokich zaspach śniegu, rdzewiejącą i niknącą gdzieś na końcu świata.

Praca dróżnika potrafiła przetestować zdolności, o których człowiek nie myśli nawet, że je ma. Nacisnąć na lęki, o które by siebie nie posądził. Każdy list zaciskał pętlę coraz ciaśniej, przytrząskiwał grozą i prozą życia. Granica między tym co normalne a niemożliwe zacierała się powoli, jak słowa na liście wysłanym przed laty przez ludzi, których już nie ma, do ludzi, których zaraz nie będzie.

I wtedy został mi ostatni list przed wyruszeniem w dalszą drogę.

Minąłem centralny zegar w Elektrogorodzie, niemal identyczny jak ten, co w Magnetańsku, tylko pokazujący nieco mniej niehumanitarne temperatury i inną mieszankę trucizn w powietrzu. Obok zegara ustawiono tablicę pamiątkową, wspominającą rekordową temperaturę, odnotowaną zaledwie rok wcześniej.

Sześćdziesiąt dwa stopnie Celsjusza na minusie. No, jeszcze dwa po przecinku, ale... Ale wciąż, sześćdziesiąt dwa. Dobry Boże, jak można żyć w takiej temperaturze?

Otóż nie można. Na północy żyje się na przekór, pomimo wszystko. Trwamy na złość pogodzie i wszystkim. Samo trwanie staje się powodem do dumy. Każde ubranie się ładnie, wyjście do kogoś na spotkanie, przespacerowanie się, odmalowanie ściany, odśnieżenie chodnika, to nieustanna walka o normalne życie. Często ambicja potrafiła rozpaść żar w sercu nie słabiej niż w piecu.

Ale tego dnia nie czułem tej ambicji.

Po raz pierwszy tak dobitnie czułem coś innego. Słońce zaszło za ciężką, welnianą powłokę chmur i świeciło ledwie ledwie. Biała, rachityczna kulka przebijała się przez tę watę jak drobna, przeobrażająca się larwa wewnątrz miękkiego kokonu, z którego sypały białe opilki.

Elektrogorod nie był moim domem. Byłem pionierem pracy na rzecz Federacji, sięgałem w jej imieniu tam, gdzie inni się bali lub nie mieli dość siły woli. A mimo to cel, jaki chciała osiągnąć Federacja, wydawał mi się kontrintuicyjny. Jakbym nie tylko ja się poświęcał, ale i inni ludzie. Wszyscy poświęcali się w imię nie wiadomo czego, a dowiedzieć się o sensowności tej ofiary mieliśmy nigdy, bo nie dożylibyśmy wytłumaczenia. Trzeba było odbyć ten skok na wiarę, na dobre słowo.

Poczułem dreszcz, przebiegający mi przez ręce aż do karku i zaraz w drugą stronę. Zerknąłem gdzieś w bok. Spomiędzy wieczornego, gęstego opadu śniegu, dostrzegłem dwie postaci, wyglądające za mną.

Zmory, oczekujące, że dołączę do nich. Mój ciężar, który zginał mnie do ziemi. Nic nie jest tak bardzo własne, jak ból. Radość może być wspólna, duma może być wspólna, ale ból jest zawsze intymny, osobisty do samego końca.

Stające dęba kry na zbiorniku wodnym przypominały grzbiet jeża albo zółwią skorupę, pełną nierównych, ostrych krawędzi, oplatających miękkie wnętrze.

Ledwie mrugnąłem i mary zniknęły na moment. To, czy je widziałem, czy nie, nie czyniło ich bardziej lub mniej realnymi. Gdy mówiły do mnie, istniały tak samo, jak gdy milczały.

Zastanawiałem się tylko, jak długo będą za mną podążać, kiedy w końcu dadzą mi spokój. Może nigdy? Może to ja powinienem był im zaoferować jakiś spokój. Może to ja byłem tym, który powinien je zostawić, dać im odejść.

Nie byłem na to gotowy.

Kry tańczyły na tafli jeziora. Dwóch inżynierów w kaskach narzuconych na uszanki robiło jakieś pomiary.

Widzieli go? Odkąd przybyłem do Elektrogorodu, to czasami tylko ja go widziałem, może inni dróżnicy też. Chociaż może widzieli go wszyscy, ale tylko mnie to obchodziło?

Wielki on, śpiący na dnie zbiornika wodnego. Zamknięty kratą tamy, jak więzień w lodowym lochu. Co się stanie, gdy go zbudzą? Czy zniszczy to miasto? Czy ruszy dalej? Spłynie wraz z nurtem?

Przez nasz Ister ciągnęły się setki kilometrów żył, błękitnych jak woda z lodowca, grubych jak stalagmit. Kogo jeszcze karmiły, jeśli nie jego? Jeśli on był tylko jednym przystankiem, jednym zbiornikiem wodnym na drodze tej największej z rzek.

W pewnym sensie chyba wszyscy to czuliśmy. Magnetańsk, Elektrogrod, nawet Sahal. Wszyscy jesteśmy tylko rzekami i spiętrzeniami na rzekach, idącymi od źródła, jakim jest Federacja. Istniejemy tylko na jej łasce, a cała nasza siła pochodzi z niej. Tak jak Bóg nie dał ludziom niczego na własność, a jedynie użyczył na jakiś czas swej mocy, błogosławił im.

Federacja powiedziała pierwszym ludziom: Idźcie, czyńcie sobie ziemię poddaną.

Może tak było, a może to tylko alkohol w moich żyłach. Między dostarczaniem listów zrobiłem ćwiartkę, ale co to jest ćwiartka na takiego chłopa? Współczesna wiedza medyczna twierdziła, że alkohol świetnie rozgrzewa, rozszerzając naczynia krwionośne, które oddają więcej ciepła organizmowi. A skoro nauka tak twierdziła, to kim był pijak, by klócić się z doktorem?

Jeszcze raz spojrzałem na olbrzyma, do którego próbowali przez krę dostać się inżynierowie, desperacko chuchający sobie w ręce. Przerażała mnie możliwość, że ich długie, wąskie wiertło dotknie jego skóry i zbudzi go nagle. Tylko to już nie był mój problem, moim problemem były przesyłki.

Adresat ostatniego listu mieszkał niemalże w centrum Elektrogrodu. Tym razem nie było trupów, szaleństwa, wielkich gmaszysk pokrytych lodowym trądem i spływających tym zimnym jadem. Nie wspinałem się po zamrzniętych stopniach abstrakcji i nie wdychałem zarodników wiecznego trwania przyrody.

Była winda, dzwonek do drzwi i kobieta za nimi.

W upiętych wysoko i elegancko osiwiiałych włosach, stała przede mną spokojnie, bez zaskoczenia. Dwie czerwone perełki kolczyków dodawały jej twarzy kolorów, które zdawały się w Elektrogrodzie rzadsze od dobrych wieści.

Oddałem jej ostatni list. Przez kilka minut stała tak, wpatrując się w kopertę z twarzą, której nie był w stanie oddać żaden artysta, malujący murale ku czci Federacji na ścianach bloków.

Bez wstydu uroniła jedną łzę, której nie próbowała nawet otrzeć. Poglaskała kopertę, jak najdroższy skarb, jak policzek umierającej osoby, po czym otworzyła ją i wyjęła list.

Jej twarz się nie zmieniła ani na jotę, ale łzy owszem. Zupełnie tak, jakby stały się bardziej przejrzyste, zimne, inne w wymiarze emocjonalnym.

– I co powiedział? – spytała, pokazując mi list.

Oddany z urzędu do spraw komunikacji kawałek papieru nosił na sobie długie, równe i czarne pasy atramentu. Każda kreska przedzielała zdanie, czyniąc je nieczytelnym, jak wieko trumny oddzielające zmarłego od świata żywych. Biurokratyczny kapłan odprawił swój sakrament i pozostawił tylko to, pamiątkę po trwaniu.

List, którego nigdy nie odczytałem, zmienił się w jedną wielką, czarną plamę.

Spojrzałem na ocenzurowany tekst, po czym na adresatkę. Nie chciała przyjąć listu z powrotem, więc po prostu go upuściłem i odszedłem.

Nie było windy, został windziarz.

Rozdział czwarty

Kosmiczny szum

Sobolak nie było jego prawdziwym imieniem ani nazwiskiem – to oczywiste. Mimo to wszyscy tak go nazywali, a ja mogłem się jedynie domyślać dlaczego. Miał skośne oczy, skórę jak spękany mrozem modrzew i nieustannie wkurwiony wyraz twarzy. Słowem, wpasowywał się w obraz Gruczników – wszystkich ludów, które zamieszkiwały obszar od Isteru po jego bliźniaczą rzekę Gruczę.

Federacja zastała Gruczników tak jak węgiel czy ropę – na miejscu. I zupełnie tak jak węgiel i ropę, zaczęli od ich ogrodzenia, wydobywania i obróbki. Zfederacjonizowali Gruczników do reszty. Czy może to raczej sami Grucznicy dali się zfederacjonizować? Zapomnieli rodzimego języka, pieśni, nazw swoich bóstw. Umieli jeszcze polować na renifery, bo jeśli o tym zapomną, to już naprawdę nie zostanie im nic poza wódką.

Sobolak przyjął przesyłkę od Iwana i zaraz zniknął za dwoma parami drzwi, targając ją po schodach, aż do piwnicy. Gdy wrócił, wydawał się minimalnie mniej zły, ale za to bardziej zdziwiony moją obecnością.

– Iwan ci ufa – powiedział mi, chowając klucz pod grubym, czerwonym swetrem – ale ja nie. Żyłbyś u nas, to byś wiedział. Dzisiaj jest spokojnie, jutro pewnie też. Na wiosnę wypuścimy się w tajgę, na szlak migracyjny rogaczy, i nadal będzie spokojnie. Minie lato, jesień, zima, spod ziemi wyrosną żołnierze, zakwitnie drut kolczasty... i spokojnie nie będzie.

Wydawało mi się, że na tym się skończy, ale wręcz przeciwnie. Sobolak zaprosił mnie do środka, to znaczy do swojego mieszkania, nie zaś do piwnicy, która zapewne skrywała te wszystkie środki zapobiegawcze przeciwko kwitnieniu drutu kolczastego.

Drewniana chałupa podzielona została na kilka mieszkań na dwóch różnych piętrach. Nieremontowana, odłączona od sieci ciepłowniczej przypominała bardziej skansen tego, jak życie w Elektrogrodzie wyglądało te kilkadziesiąt lat temu. Bury strup na żelazobetonowej tkance rozwijającego się niegdyś miasta. Drobne, dzielone na kwadratowe szkiełka okna wychodziły na szare podwórko zawałone rdzewiejącymi gratami. Cały ten złom i szajs musiał stanowić swego rodzaju depozyt środków dla mieszkańców, którzy wedle potrzeby chwili wyciągali co przydatniejsze zdobyczne na światło dzienne. W końcu wszystko w Elektrogrodzie musiało być przywiezione, a o utylizacji nikt nie myślał.

Sobolak nalał wódki w szklanki, bez pytania i bez przyjęcia odmowy, wprost.

– Nie ufam ci – podkreślił po raz drugi, podnosząc szklankę w ramach wyjaśnień.

Wypiłem, bo co miałem zrobić? Za oknem szalała wichura, ani mi się widziało ruszać w stronę Sahala w takich warunkach. Prognoza pogody nie nastrajała zbyt pozytywnie; mogło się poprawić lub pogorszyć. Jeśli miało się zacząć poprawiać, to dobrze, że nie wyjechałem od razu. A jeśli miało się pogorszyć, to cudownie, że nie pojechałem od razu.

Rozejrzałem się po mieszkaniu, czując, jak alkohol powoli wygrzewa mi wnętrze, choć równie dobrze mogła to być reakcja na widok. Pokój obok nas przerobiono na warsztat obróbki skór, zaś efekty widziałem rozwieszone na ścianach salonu. Nad rozkopanym barłogiem zwisało wielkie, brązowe futro niedźwiedzia, przypominające bardziej jakiś żagiel łodzi niż trofeum.

– Podoba się – stwierdził. – Mam jeszcze białe. Nie pokażę ci.

– Bo nie ufasz, wiem.

Nie obchodziło mnie jego białe futro. W ogólnie nie obchodziło mnie polowanie dla zabawy, zwłaszcza dla jakichś sybarytów, którzy nawet nie mieli odwagi, by sami stanąć ze zwierzęciem do walki, tylko skupowali gotowe trofea.

– To dla klienta. Jakby mnie z tym przyłapano, to zaraz musiałbym się gorzko tłumaczyć. – Sobolak zabębnił palcami o stół i wyjrzał za okno. Musiał znać ten widok na pamięć, więc nie wyobrażam sobie nawet, czego mógł tam szukać. Pośród śmieci tańczyła biała zadymka, kręcąc się jak derwisz w czasie występu. – Nie chcesz zadzierać z ludźmi, którzy skupują drogie futra, paskudny sort... Ale ty też masz coś, czego nie chcesz mi pokazać.

Zacisnąłem usta, próbując nie dać po sobie nic poznać.

Na jeden moment jego twarz rozświetlił krótki uśmiech, jednak jakimś cudem nie sprawiło to, że całe oblicze choć na moment przestało wyrażać nieustanne niezadowolenie. Przez sekundę nawet zastanawiałem się, czy to ze mną jest coś nie tak? Bo przecież od takiego ciągłego wyrazu niezadowolenia to musi twarz boleć, więc może coś źle interpretowałem? Może byłem uprzedzony i sam tego nie wiedziałem?

– Wiesz, że miałem listy do was? – spytałem, by zmienić temat. – Tu, do Elektrogrodu, ale nic nie doszło.

– Nie dostarczyłeś?

– Dostarczyłem, ale... zawsze, kurwa, coś.

Sobolak pokiwał głową w zrozumieniu i polał znowu. Na moment wstał, już miał gdzieś iść, spojrzał z nostalgią w kierunku szklanki, zaraz niepewnie ku całej flasce, ale mimo to wytrzymał i poszedł do aneksu kuchennego po talerz. Upstrzone w fabrycznie

malowane kwiatki naczynie było w równym stopniu odzwierciedleniem prawdziwego obrazu świata, co mój gospodarz. Te kwiatki też zostały wyrwane z oryginalnego kontekstu, zfederacjonizowane i zużyte, a teraz dożywały końca w obskurnym pokoiku, nosząc na sobie wczorajszą kielbasę.

– Renifer – wyjaśnił, zapił, zagryzł, zapomniał. Więc powtórzył. – Renifer, zeszłoroczny. Twoja robota ciekawsza, bo sobie pojeździsz. U nas co? No kilka dni w roku wystarczy, bo to tyle co na szlak migracyjny wyjść, ustawić się z resztą i bum-bum, rypiesz. Kilkaset sztuk robisz, a potem koniec na cały rok. Co się da, to zostawiamy sobie, a jak trzeba kontyngent, no to do Sahala to w większości idzie.

– Wiem, część zostaje w Magnetańsku.

– A no tak, bo ty z dupy świata jesteś. Tam tylko węgiel w jedną, nikiel czy coś w drugą... Trochę jak u nas. Ale ja ci powiem, że nie żałuję, inaczej bym nie umiał.

– Życ tam czy nie polować na renifery?

– Tam w Sahalu... Za dużo ludzi, za dużo wszystkiego. Tam i nikiel masz i miedź i węgiel, i cały ten kombinat, tylko na zewnątrz, daleko. Przemysłu jakby nie ma, chuj wie z czego żyją, ale czysto, ładnie, kolorowo nawet i wiosna czasem jest. Byłeś kiedyś? No, to wiesz, jak jest. A tutaj? Łapami sięgają coraz dalej, jak po swoje. A tu ludzie przecież byli od dawna, rozum swój mieli.

Sobolak zasępił się, popatrzył gdzieś w kierunku poroża renifera na ścianie i podumał w ciszy. Może mu było wstyd? Utyskiwał na Federację, miał dużo czasu, nie było co robić – to pił większość czasu i z tego picia rodziła się frustracja. Wiadomo, można sobie pomarzyć o byciu ofiarą, bo i niejednego Grucznika spotkałem i faktycznie ciężko im było zazdrościć. No, ale Sobolak to Grucznik tylko z pochodzenia, bo ani języka, ani zwyczajów, więc może stąd wstyd? Że dał się zfederacjonizować, ugłaskać. Federacja też zresztą przecież nie scalała dalszych terenów, bo nie potrafiła nawet w pełni zachować tego, co już miała.

Frustracja była nieodmienną konkluzją wszystkich marzeń niedopasowanych do rzeczywistości. A z tego niedopasowania rodził się konflikt. Słaby, bo słaby, ale jednak konflikt. Więc Sobolak kłusował po tundrze, a władze strofowały, by nie kłusować – i tak to wyglądało. Żadna wielka rewolucja, bo nie było na nią siły ani środków, nawet motywacji mało.

W Federacji to nawet upadek zamarzał.

Rozpiliśmy flaszkę do końca, narzekając na wszystko, jednak nic z tego nie wyniknęło. Pokłóciliśmy się o politykę, dojedliśmy renifera i rozstaliśmy w ambiwalentnym poczuciu niesprawiedliwości dziejowej.

Żegnaliśmy się przy drzwiach, gdy nagle coś przewróciło się w piwnicy. Z wnętrza domu dobiegł jakiś bulgot, jakby ktoś odpalił bojler z gorącą wodą.

Spojrzelśmy po sobie i Sobolak wyszczerzył się tak paskudnie, że od razu miałem ochotę, by wrócił do swojego zwyczajnego wyrazu twarzy.

Bez słowa skinął ku drzwiom, otworzył kolejno zamki i zaprosił mnie w ciemność.

Szedłem powoli po wilgotnych kamiennych stopniach, noszących ślady licznych zarysowań, jakby ktoś taszczył po nich coś wiele razy w górę i w dół. Czułem cały czas jego wzrok na plecach, a przed sobą miałem tylko wygłuszone, łuszczące się ściany, oświetlane blado przez gołe żarówki.

– Otwórz – mruknął nieswoim głosem, wskazując na wielkie, obite skórą drzwi.

Chwyciłem za prymitywną sztabę, barykadującą drzwi od zewnątrz i nacisnąłem na klamkę. Masywne skrzydło ustąpiło niezwykle powoli, odsłaniając kolejną kieszeń ciemności.

Ze środka nicości zionęła wilgoć i dobiegało basowe warczenie, rozchodzące się na wszystkie strony jak pajęczyna. Pod butami czułem mokro, jakbym rozchlapывał kałuże z topniejącego śniegu, jednak zapach przywodził na myśl coś gorszego.

Wymacałem mały, plastikowy włącznik światła i z lękiem pociągnąłem w dół.

Pstryk – cztery jarzeniówki oświetliły zagraconą piwnicę. Resztki błota i ściekającej po ścianach wody mieszały się z bordowymi kałuzami krwi. W centrum pomieszczenia stała ciasna klatka z zespawanych, grubych rur. Piwnica przypominała bardziej salę tortur, zmajstrowaną z odnajdywanych w przydrożnych rowach śmieci.

– Mówiłem, że mam jeszcze białe – mruknął Sobolak, wskazując na małego niedźwiedzia polarnego w zamknięciu.

* * *

Elektrogorod opuszczałem z ciężkim sercem i pełnym bakiem. Załadowałem mój połatany skuter na ile mogłem, wiedząc, że czeka mnie jedna z najdłuższych tras, aż do samej stolicy regionu.

Ostatni raz spojrzałem na spowite świeżym śniegiem miasto. Z niewielkiego wzniesienia dało się dostrzec pełny obraz zniszczenia, jakiego dokonał człowiek w tym miejscu. Począwszy od czarnej tamy, oddzielającej brudną rzekę, przez zamarzniete boczyska, błyskającą złotem cerkiew i totalitarny obelisk władzy w centrum. Elektrogorod był nieudanym eksperymentem, który właśnie dostawał drugą szansę. Miasto wybudowane

z myślą o energii elektrycznej dogorywało na kopalńce z węgla i ropy. Wydobycie piasku kwarcowego, miedzi czy wapienia stanowiło tylko usprawiedliwienie dla istnienia Elektrogrodu pod nieobecność jego właściwej funkcji.

Elektryczne miasto żywiło się resztkami miału węglowego, obracało w swoich turbinach niespełnione obietnice i rzygało pustymi hasłami.

Wystający ponad dachy biało-czerwony komin z kilkoma metalowymi rusztowaniami wypływał z siebie parę wodną zupełnie tak, jakby stanowił usta miasta, oddychające, świadczące o życiu nawet latem, gdy temperatura dosięga aż do zera.

Z tej perspektywy pierścień hut przypominał obrożę, pod którą miasto dusiło się i charczało. Zamarznięta rzeka, niczym spuchnięta, błękitna żyła, przechodziła przez całe ciało, grożąc w każdej chwili pęknięciem. Chyba tylko mieszkańcy wierzyli, że udrożnienie jej postawi miasto na nogi i pozwolić zrzucić okowy.

Ale nie mi to było oceniać.

Ja też wierzyłem w Magnetańsk przez tyle lat i dopiero niedawno poważylem się na... wątpliwości. Wątpliwości to przywilej tych, którzy mają wybór. Nie sposób żyć na peryferiach Federacji i się wahać, bo to wahanie zabija człowieka prędzej czy później. Wpierw zabija dusze, a potem ciało unicestwi się samo.

Więc wierzyliśmy w tę wielką mozaikę, kolorowy portret, witraż nadziei. Wypalony z ciężkich pierwiastków, odmy płucnej i ciemnych plam opadowych. Wykonany na nasz obraz i podobieństwo.

Docisnąłem gaz, zostawiając za sobą Elektrogrod. Nie mogłem dłużej na niego patrzeć. Widziałem coś w rodzaju obumierających bliźniąt syjamskich, z których Federacja zdecydowała się ratować jedno przez odcięcie drugiego.

Co za horror, zostać odpadem biologicznym.

Przez dłuższy czas po mojej prawej stronie wystawały na świat wysokie, wzmacniane słupy wysokiego napięcia. Zaraz za nimi ciągnęły się szerokie tory, oparte na wielkich, drewnianych palach, wbitych w wieczną zmarzlinę, na której nie dało się postawić niczego.

Tory były ostatnią stałą rzeczą; podkłady kolejowe wyznaczały granicę cywilizacji. Bo choć zdarzało im się wść wstęgą wśród pustej, białej przestrzeni, to przynajmniej zawsze kończyły się w tych samych miejscach.

Czyli było tak, jak mówił to dziad z cerkwi. Nasza cywilizacja sięgała tam, gdzie staliśmy i ani kroku dalej.

Po drugiej stronie płynął, czy też powoli zamarzał i rozmarzał Ister. Trzymający się wykutego w ziemi koryta, chropowaty od zatrzymanych w pół ruchu fal i zmarszczek.

Szybko tory uciekły w jedną stronę, a rzeka w drugą. Zupełnie tak, jakby świat otwierał specjalnie dla mnie oddzielny korytarz. Trasę tak wąską i intymną, że mogłem się zmieścić w niej tylko ja, błękit nieba i feeria barw ze śnieżnych zasp.

Wyjazd w trasę zawsze przypominał wypłynięcie w morze. Otwarty pejzaż żywiołu, kotłujący się w garnku świat, ukryty przed wzrokiem. Choć przestrzeń wydawała się martwa i w wielu miejscach i momentach nawet taka była, to nigdy nie była całkowicie pusta. Nawet wtedy, na otwartej równinie, płynąc przez ten ocean, przypominający wykrochmalony obrus czułem, że gdzieś głęboko pod jego tkanką białych nici skrywa się życie. Gryzonie i drobne ssaki, drążące tunele ukryte gatunki, o których człowiek niemal już zapomniiał. Spękane od mrozu drzewa wystawały na świat jak wykałaczkki wbite w prostokąt sera. Zdawałoby się, że są słabe, wątłe i podatne do wydarcia jednym ruchem. Jednak tak naprawdę zasadzały się głęboko korzeniami, sięgając zmarzniętej warstwy szarej gleby. Czekwały na powrót lepszych czasów, nadal kryły w sobie tysiące organizmów, schowanych przed ludzkim wzrokiem. Życie hibernowało w oczekiwaniu na lepsze czasy.

Ale z czasem znikwały nawet drzewa, a gryzonie zamarzały we własnych norach. Świat stawał się tak pusty, że nawet alegoria oceanu przestawała mieć sens. Nie schodziłem głębiej, w nicość. Ja wzlatywałem, docierałem do absolutu. Gdzieś w wieczną białość, ontologiczną pustkę, bezmiar braku znaczeń.

Przysięgam, gdyby wysłano mnie w kosmos, byłbym nie mniej samotny i uwięziony w próżni niż między Elektrogorodem a Sahalem.

Mróz zaciskał swoją pięść, gniotąc tę nicość, próbując wycisnąć z niej cokolwiek, ale im mocniej napierał, tym mniej było świata. Cząsteczki zwalniały swoje drżenie, wiatr zamierał, a śnieg po raz kolejny zaginał się sam na sobie, przesypując z pustego w próżne.

Gdyby nie ja, świata by nie było. Nie miałyby go kto odczuwać. Pustkowiec skutecznej lodem Federacji były tak bardzo pozbawione czegokolwiek, że nic nie było w stanie ich przemierzać. Drogi kruszały i rozjeżdżały się w szwach jak tandetnie wykonane ubrania. Wsie dryfowały, odpływały od siebie. Czasem nawet linie wysokiego napięcia i tory nagle napinały się, puszczały i odlatywały w nicość. Świat stanowił kalejdoskop, pozbawiony jakichkolwiek stałych punktów odniesienia, dlatego tylko człowiek mógł w nim przetrwać.

Najważniejszym narzędziem nawigacyjnym dróżnika był on sam. Podróżowałem relatywnie względem samego siebie, swojego wnętrza. Całkowitą pustką i ostatnim punktem rozdarcia bytu byłoby odłączenie mnie ode mnie samego.

Dalej nie byłoby już nic.

Tylko próżnia.

Federacja.

Więc przemierzałem ten biały kosmos, z jednego kosmicznego portu do drugiego. Przepląywałem przez galaktyczną zupe, ciągnięty grawitacją odległych góry, świecących na horyzoncie niczym gwiazdy i znikających pośród bezmiaru, który tak łąpczywie pożera wszystko a sam jest niczym.

Byłem zdecydowanie religijnym kosmonautą, bo błogosławiłem wszystkim planetoidom kombinatów metalurgicznych, pasom asteroidowym lasów, meteorom kopalń i porzuconym wrakom wsi. Z rzadka na horyzoncie błyskał mi świecący zielenią bolid, miraż, ułuda, przynęta na głodnych sensu.

Wzrok zaczął płać mi figle, pogrywać sobie z moimi nerwami na najróżniejsze sposoby. Zbyt długie przyglądanie się bezkresowi bieli męczyło zmysły i tłumilo umysł. Przetarłem osłonę kasku, ale tylko bardziej rozsmarowałem przymarzające drobiny śniegu.

Zdawało mi się, choć to przecież niemożliwe, że coś rzucało cień na ziemię obok mnie. Zupełnie tak, jakby na tle słońca przelatywał obiekt, choć jak wielki i w jakiej odległości, tego nie wiedziałem.

Aż nagle cień przede mną zatrzymał się, a raczej poruszał względem do mnie z równą prędkością. Zupełnie tak, jakby na złocistej tarczy wyrósł masywny kształt, trudny do ujęcia i nieoczywisty. Dostrzegłem tylko wielki okrąg, od którego odchodziły dwa podłużne kształty, jeden dłuższy i cieńszy, drugi krótszy, bardziej korpulentny.

Silnik zarżał nierówno, jakby kaszlał albo... śmiał się pod maską.

Dodałem gazu, wzburzając spod płoz wysokie bryzgi jasnego śniegu. Chciałem jak najszybciej oddalić się z tego miejsca. Dopiero po chwili zrozumiałem, że przed czymkolwiek uciekałem, to dopiero się zaczynało, a nie kończyło. Więc im szybciej jechałem, tym bardziej wjeżdżałem w obszar... dziwności.

To mogło być wszystko: anomalia radiowa, zmęczenie, seria przypadków, a nawet pojedynczy, zagubiony albatros. Z każdym kolejnym, logicznym wyjaśnieniem, coraz mniejszą pokładałem w nie wiarę.

Śnieg zaczął układać się w regularne, koncentryczne kręgi. Zupełnie tak, jakby jakiś niewidzialny gołym okiem punkt zasysał wszystko do środka, odkształcając przestrzeń dookoła zgodnie z własnym wzorem.

Nazbyt późno dostrzegłem, że po obwodach wykreślonych kół, przesuwają się wypłaszczone pola śniegu. Nieopatrznie wjechałem w jedno z nich, szykując się na najgorsze.

Mogło zdarzyć się wszystko, a nie zdarzyło się nic – tak często w życiu bywa.

Dwie płozy i gaśienica przecięły ruchomy krąg, pozostawiając ewidentny ślad w zmarzlinie. Gdy się obróciłem, śladu już nie było. Dostrzegłem, że w ogóle nie pozostawiam za sobą śladów, gdyż niewidzialne kręgi wygładzają wszystko w mgnieniu oka.

Z szacunkiem i nieufnością wobec obcej siły wykręciłem z dala od centrum, przekraczając kolejne, coraz dalsze obwody, omijając ze szczególną ostrożnością gładkie jak stół powierzchnie na śniegu.

Dopiero gdy wyjechałem tak daleko, że między poszczególnymi kręgami były dziesiątki metrów, zdobyłem się na odwagę, by zwolnić i wyrzeć za siebie.

To był tylko moment, mgnienie oka, tyle co zacięta klatka na pokazie filmowym. Jednak dostrzegłem cały, ukryty przed światem układ słoneczny. Nie większy od sporego gospodarstwa, z jasno wyznaczonymi trajektoriami orbit, po których toczyły się większe i mniejsze planety z wypłaszczeń śnieżnych, orbitujących wokół szumiącej, lodowej gwiazdy.

Ot, figiel kosmosu, a nie wzroku.

Ludzie odznaczali swoje piętno na przyrodzie, a ta nie pozostawała im dłużna. Zupełnie tak, jakby zapisywała wyrywki naszej historii w sobie tylko znanym celu i na swoje sposoby.

Ciężej o coś mniej ludzkiego. Uwielbialiśmy zrozumiałe, skodyfikowane zasady, systemy, sposoby ułożenia świata. Przyroda z kolei zadawała się z nami dziko, od ściany do ściany, przypadkowo czy też raczej żywiołowo.

Czym był ten układ słoneczny? Prawdziwym, wyjaśnialnym fenomenem geologicznym czy zmitologizowanym zmęczeniem podróży? Skąd miałem wiedzieć, w końcu byłem sam. Sam sobie punktem odniesienia w czasie i przestrzeni. Równie dobrze mogło tam niczego nie być. Mogłem niczego nie widzieć, wymizowany wielogodzinną podróżą, wpatrzony w białą kartkę śnieżnego papieru, gotową na wypełnienie atramentem myśli. Ślepotą śnieżna to zguba drózników.

Tylko śmiech był prawdziwy. Przebijał się nie z silnika, a pomimo niego.

Bąłem się, że jeśli tylko się zatrzymam, usłyszę ten śmiech głośniejszy, a nawet... dostrzegę jego źródło.

Więc po raz kolejny przyśpieszyłem, zajeżdżając skuter z całą mocą. Wyciągnąłem jakieś pięć dych na liczniku, co rusz podskakując na niesionych z wiatrem zaspach. Niektóre niecki były szerokie jak garaż, inne pagórki wysokie jak latarnia.

Cień przemknął jeszcze kilka razy wokół mnie, jak niewielki, czarny księżyc, złapany w moje pole grawitacyjne w tym białym bezmiarze. Aż wreszcie zniknął, a śmiech, z sobie tylko znanych przyczyn, ustąpił.

Może żart go znudził? Przestało być tak śmiesznie? Wyczerpał się materiał.

Błękit nieba przyrósł na moment do ziemi, gdy spadły pierwsze płatki. Błada mgiełka zasłoniła świat niczym moskitiera, zmieniając firmament nieba w zaszumiony obraz. Śnieg zaatakował szybko i z każdej strony.

Poczułem zapach zbutwiałego drewna, kadzidła, wreszcie ognia. Specyficzna, gryząca woń, jak po pożarze, gdy plastik zwija się, gnie i przeobraża w czarny popiół.

Cerkiew wyrosła nagle, bez ostrzeżenia. Położona lekko bokiem, niczym elegancka dama wylegująca się na szezlongu, zalegała wśród kilku zasp śnieżnych, wysokich na parę pięt.

Trzy pokryte śniegiem kopuły nie zdradzały swojego koloru, choć coś niewypowiedzianego kazało mi przypuszczać, że gdyby tylko biały płaszcz opadł, byłyby czerwone jak krew.

Warstewka zbrylonego śniegu pokrywała budynek od wielu lat. W zamieci ciężko było dostrzec, co mogło znajdować się dookoła, a już zwłaszcza pod tymi ciężkimi, nawarstwiającymi się przez wieczność zwałami. Jedynie wysokie, łukowate wejście ostało się w całości, stanowiąc formalne przejście do domu Bożego.

Zatrzymałem się, korzystając z okazji na chwilę wytchnienia. Zaparkowałem skuter przed samymi drzwiami, licząc na to, że nikt się nie obrazi. Jednakże nim wszedłem do środka, rozejrzałem się dokładnie. Obszedłem cerkiew, badając jej wielkość, stan i pochodzenie. Ostatnim czego potrzebowałem, było utknięcie w zawalisku pośrodku niczego. Już i tak czułem się głupio po wjechaniu przez ścianę w wiosce. Jeden durny błąd to więcej niż powinienem był sobie pozwolić.

Nie rozumiałem, jakim cudem nie zauważyłem cerkwi. Byłem na siebie wściekły, bo w końcu to mogło być wszystko. Gdybym tak wjechał na teren aktywnej placówki wojskowej albo pole pełne rozpadlin? O to drugie było znacznie łatwiej bowiem wiatr i mróz byli dwoma wspaniałymi architektami i potrafili przez całe lata budować śnieżne pomosty, które z daleka wydawały się nierozróżnialne od gruntu, a po kontakcie załamywały się, odsłaniając głębokie doły.

Wdrapałem się na zaspę i ześlizgnąłem po drugiej stronie, wkraczając z profanum do sacrum.

Z jednej strony: nic się nie zmieniło. Z drugiej zaś... dziwne ciepło objęło mnie natychmiast, gdy przekroczyłem próg. Po mojej lewej stała zawalona, drewniana budka z mnóstwem wyblakłych, nieczytelnych papierów.

Ostrożnie podniosłem butem jedną z desek, odsłaniając starą federacyjną broszurę, zachęcającą do zwiedzenia zabytków sakralnych w miejscowości Jasunt.

Cóż, z Jasuntu i jego atrakcji turystycznych zostało tylko to – gruzy.

Rzuciłem ulotkę na ziemię i podreptałem ostrożnie w głąb świątyni.

Budynek nie był aż tak wielki, choć skonstruowany ze sporych drewnianych bali, pokrytych mnóstwem ozdób, symboli geometrycznych i kwiatowych. Budowla zdecydowanie należała do starych i pięknych, a były to niewątpliwie moje dwie ulubione cechy wszystkich dzieł architektury, lecz cała ta starość i piękno tkwiły głęboko pod czarnym strupem spalenizny.

Cerkiew była tak naprawdę pogorzeliiskiem, z którego tylko jakimś niezrozumiałym łutem szczęścia ostała się główna bryła konstrukcji.

Próbowałem wyluskać konkretne elementy z wnętrza, lecz poza ogólnym kształtem i tradycyjnym układem pomieszczeń, nie było tu czego oglądać. Tylko masywny krzyż z powieszoną figurą Mesjasza przetrwał pożogę, ratując się swoją trzymetrową, ceramiczną potęgą.

– Znowu zacząłeś chodzić do cerkwi? – spytał znajomy głos, dobiegając zza zrujnowanych, królewskich wrót. – Czy po prostu szabrujesz?

Okryty brązowym futrem dziad wychylił się z głębi ciemnego pomieszczenia. Jego podkute, skórzane buty niemalże unosiły się nad posadzką, z gracją omijając wszystkie resztki niedopalonego drewna.

– Co robisz tak daleko od domu? – spytałem dziada i zdziwiłem się tym, że nie zdziwiłem się wcale. Zupełnie tak, jakbym podświadomie czuł, że go znowu odnajdę. – Nie zgubiłeś się przypadkiem?

Dziad zakręcił się w miejscu, obejrzał figurę Chrystusa i oderwał spod swojego płaszcza jedną z sosnowych szyszek, po czym odstawił ją u stóp narodzonego z dziewicy. Zupełnie tak, jakby w ten przedziwny sposób składał mu ofiarę.

– Ja jestem cały czas w domu. To ty się błąkasz – stwierdził obcy, zbliżając się do mnie. Z bliska czułem wyraźnie, że pachniał żywicą, piżmem i miętą pieprzową. – Jestem u siebie, w swoim domu. Znam każdy zakątek, najkrótsze trasy, najwygodniejsze legowiska. Wiem, komu się powodzi, a kto ledwie wiąże koniec z końcem. Można powiedzieć, że spełniam różne warunki tego, by stwierdzić, że jestem u siebie.

Obcy rozkrzyżował ręce, pokazując, że nie ma nic do ukrycia. Jeden raz uderzył piętą o posadzkę, jakby chciał podkreślić, że stoi na swoim, ale nawet ten gest wykonał z ostrożnością, niemalże szacowną delikatnością.

Z sufitu osypał się deszcz złotego pyłu i zaraz zniknął. Powiodłem wzrokiem po spalonych, wykrzywionych w grymasach twarzach świętych i aniołów. Z całej tej boskiej czeredy tylko serafiny wyglądały, jakby były na swoim miejscu. Zupełnie tak, jakby najbliżsi słudzy Boga postanowili z zazdrości zgotować wszystkim innym piekło, paląc do końca świat, pozostawiając tylko ołtarz z popiołu i Mesjasza, by królował nad tym prochem ludzkim.

– Jak było w Elektrogorodzie? – spytał dziadek, spoglądając z uśmiechem na wieloskrzydłe twory Boże na suficie.

– No więc...

– Chujowo, nie? Nie odpowiadaj, wiem, że chujowo. Ludzie kurwy, każdy myśli o swoim i pcha tę osraną taczkę po chyboczącej się rampie. Przywitali cię jak obcego, prawda? No pewnie, że tak, bo byłeś obcy. Nawet gorzej, byłeś po prośbie u nich. Poszedłeś żebrnąć, bo ci się dom spalił.

– Dziadku, o czym ty gadasz?

– Magnetańsk zatonie – powiedział wyraźnie dziadek, wskazując palcem w górę, a drugą rękę przykładając do serca. – Kropka jest postawiona nad tym przysłowiowym i.

Nie odezwałem się, bo nie mogłem. Nie miałem siły. Moje płuca były nie mniej pozbawione powietrza od płuc kogoś, kto próbowałby oddychać wewnątrz płonącej stodoły. Stałem, próbując nie zemdleć od nadmiaru gorąca.

– Artem, musisz to zaakceptować. Chwycić się drugiej liny, nim ktoś ci odetnie pierwszą. Dostrzec, że w życiu są różne ścieżki, a las jest tylko jednym z wielu lasów. – Dziad uśmiechnął się nagle zawadiacko, wziął jedną dłoń i wsadził palec w oczko zlepione z palców drugiej dłoni. – Zanim ktoś cię wydyma bez mydła. A wydymają cię i to srogo, bo industrialna maszyna do dymania się nie męczy i nie da się jej zaspokoić. O nie, ona dyma i dyma, dyma aż dymany nie pęknie, rozumiesz? Dymają wszystko, od dziury w ziemi przez tajgę, po diamenty na dnie rzeki. Jedna wielka ekonomia dymania.

– Nie wiem, o czym mówisz – wysapałem z trudem.

– Gówno prawda. Wiesz, nie rznij głupa. Nie bój się, nie ukrywaj się za tą maską niewiedzy. Nie próbuj dać się zaskoczyć. Dobrze wiesz, że ten list na piersi jest wart tyle, ile papier, na którym go wydrukowano. – Dziad rozejrzał się na moment i westchnął od niechcenia. Nagle przysiadł na jednej ze zrujnowanych ławek, która choć zaskrzypiała

przeraźliwie, to nie pękła. Obcy na tle czarnego wnętrza przypominał jaskiniowca myśliciela, zastygłego w pozycji siedzącej. – Im bardziej będziesz się szarpał, tym mocniej zwrócisz na siebie uwagę. A wiesz, jak to jest z rybami w beczce, nie? Ta, która się miota, dostaje tłuczkiem przez łeb!

Dziad pojawił się za mną, uderzając w plecy. Nie to, że jakoś mocno, ale na tyle, by serce stanęło na moment.

Przeszedł obok, jak gdyby nigdy nic, ignorując mój szok. Sekundę temu staruszek siedział przede mną, a tu nagle wyszedł zza mnie.

– A przecież, kurwa, rybnie nie chodzi o to, by dać się zajebać, tylko by spierdolić z beczki, tak? – tłumaczył mi dalej tym samym głosem, którym pijany ojciec tłumaczył mi matematykę, gdy byłem dzieckiem. Chwyciłem się za pierś, próbując uspokoić płytki, rwany oddech. – Musisz wypełznąć do wody, ale nie do akwarium. Przetocz się, choćby głupio to wyglądało, wiesz? Nie masz nóg, no to się, kurwa, ślizgaj do rzeki, do strumyka, cokolwiek, byle znowu do obiegu.

– I czym jest ta metaforyczna rzeka? – Zdobyłem się na odwagę i spojrzałem dziadowi w oczy. – Mam kurwa rzucić robotę? Zmienić ją? Zamieszkać w spalonej cerkwi jak ty? Jaka jest twoja prawdziwa rada?!

– Zjedź z trasy – powiedział poważnie, świdrując mnie swoimi szarymi, zamglonymi oczami. – Bo tylko poza trasą spotkasz ludzi spoza systemu. Zobaczysz, że da się żyć inaczej i jakie są tego konsekwencje. Cała ta... krew i piękno. Pokochasz to, wierz mi. Musisz wpierw dać się roztrzaskać, by się złożyć na nowo. Powrócić do źródła.

– I niby dokąd pójde?!

Zorientowałem się, że stoję pomiędzy ławkami, wpatrzony w ceramicznego Chrystusa ze szkarłatną raną pod żebrami. W ruinie nie było nikogo poza mną. Przez dziury w dachu sypał biały puch, osadzając się na szerniałym drewnie, tworząc monochromatyczny obraz ruiny.

Powoli wytoczyłem się ze świątyni i ruszyłem do mojego skutera. Przed odjazdem wyjąłem cyrk i oznakowałem drzwi i ścianę wysokim, czerwonym iksem. Cerkiew groziła zawaleniem, jeśli nie budynku, to spokoju ducha.

Ostatni raz spojrzałem na wystające spod lodowej czapy karmazynowe kopuły i odjechałem, nie oglądając się już więcej za siebie.

* * *

Balon meteorologiczny miał nie mniej niż dziesięć metrów średnicy, przynajmniej nim runął o ziemię.

Beżowa, błyszcząca w promieniach słońca koperta rozdarła się o szczyt wyniosłego świerku. Powietrze musiało ująć ze środka niemalże natychmiast, zaś huk potoczył się pewnie na kilka kilometrów. Jednakże w bezkresnych przestrzeniach Federacji to wciąż było nic. Załedwie tyle, co drzewo upadające w pustym lesie. Kłaśnięcie w dłonie. Cisza.

Stalowe linki zerwały się ze sflaczałego kształtu i wygięły do ziemi. Szara matnia materiałów konstrukcyjnych przypominała sieć jakiegoś mechanicznego pająka, który według znanego sobie tylko planu kopiował przeskalowane projekty pułapek.

Wpatrywałem się długo w ścianę lasu i próbowałem zrozumieć, z której strony nadleciał balon, ale nie mogłem tego rozgryźć. Szczątki, osłonięte zielonym płaszczem iglastych gałęzi, nie zdążyły jeszcze w pełni ukryć się w śniegu, co znaczyło, że katastrofa musiała zdarzyć się dosyć niedawno.

Katastrofa? Czy można mówić o katastrofie, gdy bezzałogowy balon rozbija się o ziemię? Raczej nie. Równie dobrze moglibyśmy katastrofą określić zepsucie się dźwigu albo pralki.

Jednakże obiekt był na tyle wielki i nowoczesny, że wywierał na mnie tak mocne wrażenie, by określenie „katastrofa” samo pchało się na usta.

Wśród resztek dostrzegłem jasną, pomarańczową skrzynkę, skrzącą się w najłżejszych promykach światła, nawet mocniej niż otaczający ją śnieg. Mróz był tak silny, że śnieżynki dookoła zmieniły się w przymarzniętą, jednolitą skorupę o właściwościach odbłaskowych równych lustru, lecz to właśnie skrzyneczka świeciła najmocniej. Zupełnie tak, jakby zaprojektowano ją, by jak najłatwiej odnaleźć miejsce jej przebywania nawet z daleka.

– Czarna skrzynka – mruknąłem do siebie, pocierając ramiona. – Tylko że pomarańczowa.

Podniosłem urządzenie i aż zgąłem się od ciężaru. Niewielkie, obite jasnym metalem pudełko ważyło z dobre dziesięć kilo jak nie więcej. To nie tak, że to jakiś duży ciężar, ale kiedy ma się przed sobą coś wielkości sernika na paterze deserowej, to człowiek nie spodziewa się aż takiej wagi.

Jedynym nieodblaskowymi elementami na całym znalezisku były numery seryjne i otwór o dziwacznym kształcie. Po chwili majstrowania doszedłem do jedyne go słusznego wniosku, że to jakiegoś rodzaju zamek, powstrzymujący cenne wnętrze od wpadnięcia w niepowołane ręce.

Jeśli to faktycznie była czarna skrzynka, a ku temu się skłaniałem, to czy powinno mnie to obchodzić? W zasadzie to taka była moja praca, dostarczać przesyłki, zwłaszcza te zagubione po drodze. Czarna skrzynka to w zasadzie taki list w butelce, więc...

Sapnąłem ciężko i poszukałem bezpiecznego miejsca na tyle skutera, by zagrzebać w nim nową przesyłkę. Była niewielka i trudna do poruszenia, więc zamontowanie jej blisko centrum wagi skutera było najrozsądniejszym pomysłem. Natomiast odkąd pozbyłem się części ładunku w Elektrogorodzie, skuter i tak nieustannie przechylał się na jedną stronę, co kilka minut wyprowadzając mnie z przyjemnego transu jazdy.

– Głupiego robota – warknąłem, przepakowując wszystkie bagaże na nowo. Kosztowało mnie to blisko godzinę pracy, ale i tak kiedyś trzeba było to zrobić. – A spróbuj się, kurwo, gibać, to nie wiem, co ci zrobię.

Skuter zamruczał niezadowolony, po czym charknął nowym, paskudnym dźwiękiem i zgasł.

Spróbowałem go odpalić ponownie i nic. Serce zabiło mi wpierw szybciej, a po chwili całkiem przestało bić.

No więc tak, czasami zepsucie się sprzętu bywa katastrofą.

Pierdoloną tragedią.

Rozejrzałem się dookoła, próbując wyłuskać z otoczenia cokolwiek wartościowego. Miejsce na przespanie się, znak orientacyjny, cokolwiek.

Grudka śniegu spadła z drzewa wprost na mnie, szarpiąc moje i tak nadwyrężone nerwy.

– Daj spokój, jesteśmy na siebie skazani – szepnąłem skuterowi na uszko i zaraz wściekle kopnąłem w stożkowatą zaspę. Zlepiony w jedno, wilgotny kawał zmarzliny pofrunął spiralną trajektorią z dobry metr, nim uderzył z płaskiem o ziemię. – No nie zabijaj mnie, kurwa!

Obejrzałem skuter ze wszystkich stron i zrozumiałem, że popełniłem dwa błędy.

Przeceniłem wartość napraw w Elektrogorodzie oraz nie doceniłem siły żywiołu. Nadwyrężona maszyna spędziła dobrą godzinę na mrozie, z włączonym silnikiem i teraz nie chciała zapalić. Wiedziałem, że z każdą minutą... nie, każdą sekundą wszystkie oleje, smary i krople wilgoci, zebrane pod jaskinią obudowy, zmieniają się w małe, lodowe stalagmity, stalaktyty i stalagnaty.

Spróbowałem podejść do problemu od innej strony, ale zaraz poczułem, jak robi mi się zimno. Do zmierzchu było ledwie parę godzin i ta świadomość przytłaczała mnie coraz

bardziej. Słońce zapadało się w kierunku horyzontu jak pot zjeżdżający mi po karku. Kawalek po kawałku, centymetr za centymetrem, doprowadzając mnie do szału.

Stałem na spokojnie za skuterem, oglądając przepakowane bagaże i podliczając, ile zostało mi paliwa, co było jeszcze w kanistrach uzupełnionych w Elektrogrodzie, na jak długo miałem żywności i które z narzędzi mogły mi się przydać.

Mogłem wyjąć karabin myśliwski od Iwana i się zastrzelić, to tak na dobry początek. Od Magnetańska ujechałem ponad pół tysiąca kilometrów i, poza jednym spotkaniem z łośmiem, nie czułem żadnej potrzeby, by nawet otwierać ukrytą walizkę. Chociaż prawdą jest, że trzymałem ją dosyć blisko na wszelki wypadek.

Miałem ze sobą pilarkę, oględniej mówiąc piłę łańcuchową, ale w tych warunkach na niewiele mogła się zdać. Jakbym miał pieprzoną suszarkę, to bym w desperacji grzał i tak, ale na takim mrozie nie zdążyłbym ogrzać jednej części, nim kolejna by wymarzła. No i rozmrażanie i zamrażanie wody mogło rozszczelnić metalowe części...

Piecyk na gaz ratował mi życie wiele razy, ale oprócz tego, że miałem do niego tylko jedną butlę, to pozostawał ten sam problem co z suszarką.

Spojrzałem w niebo, szukając przekłętego słońca, ale zamiast tego moją uwagę zwróciła beżowa płachta materiału, owinięta wokół drzewa.

Zaśmiałem się gromko. Nie od razu, wpierw chichrałem sobie raz i drugi, a potem już na całego zarżałem jak głupi. Bo oto przede mną zmaterializował się plan równie genialny, co idiotyczny. Improwizacja wszakże wymagała inteligencji i szaleństwa, a ja miałem tego przynajmniej połowę.

Zatarłem ręce do roboty, wiedząc, że czeka mnie gloria albo śmierć.

Wpierw zdjąłem z butów rakiety i ostrożnie zamocowałem raki do chodzenia po lodzie. Dla pewności, trzymając się liny zawiniętej wokół skutera, spróbowałem poczołgać się po śniegu.

Biały dywan lepił się do mnie, co rusz dając mi posmakować sączącej się przez lata żywicy i rozkładających igieł oraz sporadycznych ptasich odchodów. Mimo to nie zapadałem się nazbyt głęboko, a rozłożony równo ciężar pozwalał mi bezpiecznie przemieszczać się w każdym kierunku.

To był pierwszy sukces. Skuter ważył znacznie więcej ode mnie, ale on nie stał na dwóch durnych nóżkach, tylko kładł się cały czas na płozach i gąsienicy, więc o niego się nie martwiłem przynajmniej większość czasu. Paradoksalnie niebezpieczniej było nim jeździć niż stanąć w sprawdzonym miejscu. Zupełnie odwrotnie niż z człowiekiem. Wolałem się czołgać, niż gdzieś stać.

Następnie odpiąłem z największej torby przytroczone czekany, wiszące obok butów na zmianę.

Oba narzędzia przypominały wykute ze stali odnóża modliszki, więc komponowały się idealnie z metalową siecią, zwisającą z drzewa. Natura znów dostarczała przetestowane rozwiązania do prastarych problemów.

Zbliżyłem się do drzewa, obejmując je mocno, spróbowałem wstać i wykonałem pierwsze uderzenie.

Z drzewem to też trzeba ostrożnie, bo jak sypnie tak na parę metrów, że tylko igły widać, to może być studnia jakaś. Śnieg zbiera się i zjeżdża, a tam dookoła pnia pustka i jak się w taką pustkę wpadnie, to gorzej niż w ruchome piaski. A wiem, bo na własnej głupocie się nauczyłem. Tylko wtedy miał mi kto pomóc...

Pazur czekana wbił się wysoko, rozbijając zmarzniętą, ciemnoczerwoną korę. Poruszyłem narzędziem na próbę w górę oraz w dół i wziąłem głęboki oddech.

Zaparłem się kolczastą podeszwą o pień i podciągnąłem z zadziwiającą lekkością. Ku swojemu własnemu zdumieniu, początek nie był najtrudniejszą częścią, lecz za to miałem przeklinać los później.

Uderzyłem drugim czekanem i ponownie podciągnąłem się na dobre pół metra. Uderzenie, podciągnięcie, zaparcie rakiem krok wyżej i znowu. Lewa, prawa, jak w wojsku, tylko po ścianie, niczym musztrowana mucha, ćwiczona we wchodzeniu na pionowe powierzchnie. Ciach, ciach, coraz szybciej, bez strachu.

Iglaste drzewa zwykle szybciej traciły niskie gałęzie, niż ich liściaste kuzynki. Nie dotarłem jeszcze do pierwszych gałęzi świerku, gdy poczułem, jak mięśnie ciągną bólem. Odważyłem się na zerknięcie w dół i zobaczyłem czerwoną kołyskę, złożoną na białym podłożu – to był mój skuter.

No trochę zacisnął mi się odbyt ze strachu, przyznaję. Mróz siekał paskudnie i z każdą chwilą zbierał się wiatr. Im większy wysiłek wkładałem we wspinaczkę, tym bardziej się pocilem, a pot szybko wysysał ze mnie całe ciepło, bo termodynamika nie bierze jeńców. Najmniejszy nawet podmuch przeszywał mnie dreszczem i sprawiał, że ręce drżały na ogumionych rękojeściach czekanów.

Prawdziwe zmęczenie zacząłem odczuwać dopiero na szczycie, gdy najmniejszy błąd mógł kosztować mnie życie albo gorzej. Pocieszałem się tym, że upadek z tej wysokości na głęboki śnieg mógł skończyć się jedynie połamanymi kończynami, ale marne to było pocieszenie. Połamanie się w takim miejscu to w zasadzie było przedłużenie wyroku śmierci.

Wreszcie zapałem się po raz ostatni przed zasłużonym odpoczynkiem. Przysiadłem na najbliższej gałęzi i obejmując częściowo pień jedną ręką, odsapnąłem na moment.

Przynajmniej widok robił wrażenie.

Biel. Biel po horyzont. W drugą stronę rozrastał się las o tym przenikliwym, ciemnym odcieniu zieleni, tak typowym dla wszystkich federacyjnych biur. Zupełnie tak, jakby człowiek przychodzący po prośbie do urzędnika miał podświadomie czuć, że zapuszcza się w głęboką, ciemną i nieprzebraną puszcę niebezpieczeństw.

Znów spojrzałem w tę pierwszą, względnie pustą stronę. Czułem, jak ziemia mówi do mnie. Był to cichy głos, niemalże niemożliwy do wyróżnienia. Jednakże w całkowitej ciszy nawet taki głosik dało się wychwycić. Przypominało to najcichszy szept, wypowiedany rozmodlonym głosem w poduszkę przez sąsiadkę mieszkającą piętro niżej. Coś obcego i intymnego jednocześnie.

Pod tymi zwałami śniegu, zbieranymi przez lata, znajdował się różnorodny świat, zatrzymany w czasie. Temperatura rok do roku spadała jeszcze przed upadkiem Federacji. Od tamtej pory nie podniosła się ani razu. Nadal istniały rejony, gdzie latem topniały śniegi i spod białego, dziurawego płótna wychylały się te wszystkie cenne i delikatne rzeczy, które teraz były tylko wspomnieniami. Kolorowe kwiaty, kujące tunele w śniegu i wyłapujące promienie czystego, nieprzesłoniętego chmurami słońca.

Ale to było tak daleko i tak dawno, jak gdyby na innej planecie. Lata temu. Metry temu. Żywoty temu.

Posunąłem się po gałęzi jak wierny na kościelnej ławce, gdy trzeba kierować się do wyjścia. Ślizgiem, kawałek po kawałku skracałem dystans do pierwszego koniuszka gałęzi, aż dotarłem do balonu.

Beżowy, gruby materiał zaczepił się o wykręconą ostro ku górze gałąź. To też trzeba mieć pecha, bo mi skarpetki z suszarki potrafiły spadać po kilka razy, a jebany balon na takim gównie dał radę się zawiesić mimo wichrów.

Podniosłem z trudem fragment materiału, bo choć obiekt wykonano z lekkiego, sztucznego tworzywa, to było to jak siłowanie się z kołdrą po pijaku.

Pokrycie balonu z szelestem obsunęło się do ziemi jak spuszczone, świeżo wyprana firanka. Oślepiająco odbijała światło. Na krótki momencik las zabłysnął od setek promieni słonecznych, mknących rykoszetem we wszystkich kierunkach.

Uśmiechnąłem się pod nosem i dostrzegłem, że kolejna gałąź puściła i zaraz za nią kolejna. Samozadowolenie szybko zeszło z mojej twarzy, a na jego miejsce weszła powoli obawa, którą zaraz ze sceny zepchnął zaafierowany strach.

– O kurwa!

Wielometrowa płachta zawinęła się i zaczęła zsuwać po gałęziach jak plastikowa lawina. Na wyścigi pognałem do pnia lecz nie zdążyłem.

Koperta szarpnęła mnie wystarczająco mocno, by wybić z równowagi. Gibnąłem się w jedną stronę, odruchowo skontrolowałem w drugą i poleciałem w dół.

Wszyscy myślą, że w sytuacji kryzysowej staną na wysokości zadania. Prawda jest taka, że nie stajesz na wysokości zadania, tylko ulegasz instynktom, poddajesz się odruchom, a jeśli byłeś na tyle przewidujący, by jakieś wyćwiczyć, to może nie pogorszą one sprawy.

Machnąłem ręką, jakbym chciał wbić czekan w lodową ścianę. Pazur szarpnął szczyt świerkowej gałęzi i zatrzymał upadek na moment. Przez chwilę ciężar całego mojego ciała i ubrań spoczywał w tym jednym miejscu.

Zdążyłem ledwie mrugnąć, nim mięśnie same zareagowały i zarzuciły drugą ręką. Czekan tym razem zawiesił się nad gałęzią, pozwalając mi się podciągnąć kawałek. Objąłem nogami gałąź i zastygłem jak upośledzony leniwiec w odbłaskowej kurtce.

Balon leżał na ziemi, okrywając kłębowisko stalowych lin i całe złomowisko sprzętów, które wcześniej zwisały z drzewa w dziwacznej pajęczynie.

Wpuściłem powietrze, które trzymałem w sobie dobre pół minuty.

Tak, byłem tak przerażony, że zapomniałem oddychać, to się zdarza.

Zejście z drzewa było zdecydowanie mniej imponujące niż wejście i opierało się w większej mierze o kontrolowanie zjeżdżanie po pniu i zapieranie się o niego. Starczy powiedzieć, że na ostatnim odcinku po prostu spadłem. Nie to, że jakoś z wysoka, ale trochę wstyd przed tymi wszystkimi świerkami.

Bardzo krótko rozglądałem się pośród bezmiaru instrumentów pomiarowych i podjąłem decyzję o oznaczeniu miejsca wysoką tyczką z żółtą flagą. Kto wie, może kiedyś trafiłbym tu ja albo inny dróżnik? Zapisałem jeszcze wiadomość i ukryłem w stalowej przegródce, a następnie wystawiłem palik na parę metrów.

W ciągu kilku lat śnieg mógł przysypać nawet całą flagę.

Nie marnując więcej czasu, zabrałem się za stawianie prowizorycznego namiotu, którego płachtą zostało poszycie balonu. Mogłem oczywiście użyć swojego namiotu, ale był on zdecydowanie za mały na to, co chciałem osiągnąć.

Po przydługim czasie, w którym skuter jeszcze mocniej zmarzł, udało mi się postawić wokół pojazdu coś, co przypominało nedorobioną kosmiczną jurtę. Efekt nie był powalający: może i nie utrzymywała ciepła, za to nie zatrzymywała też wiatru.

Wstawiłem piecyk, wyłożyłem długą, gumową rurkę na zewnątrz, by się nie zaczadzić, po czym zacząłem wielką akcję grzewczą.

Na początku tylko latałem dookoła jak w amoku, upewniając się, że namiot jest na tyle szczelny, o ile to możliwe. Dopiero po dłuższym czasie wyczułem, jak robi mi się ciepło, a nawet duszno. Pojedyncze kropelki wilgoci osadzały się na wnętrzu beżowego materiału, a z czerwonej karoserii skutera zaczęły spływać niewielkie strużki rozmarzającego śniegu.

Podskaczyłem kilka razy w miejscu, nie tyle, by się rozgrzać, ile z ekscytacji, choć sam nie chciałem tego przed sobą przyznawać.

Odpaliłem silnik na próbę. Serce zatrzymało mi się pod gardłem.

Nastąpiło nagłe warknięcie, a zaraz po nim rytmiczne uderzenia i nieopisane poczucie ulgi.

Nawet nie odważyłem się go już gasić. Bardzo pośpiesznie zawinąłem manatki, zostawiając psuty namiot za sobą i ruszyłem w dalszą drogę.

Świerki przyglądały mi się ze wszystkich stron, przypominając pochód wysokich pielgrzymów, ubranych w zielone prochowce. Hipnotyzowały mnie swoją liczebnością. Za każdym rzędem pojawiał się kolejny i kolejny, wydający z siebie ciche skrzypienie, jakie towarzyszy zawsze drewnu walczącemu z nasilającym się mrozem.

Słońce powoli schodziło, by dać ziemi chociaż parę godzin szarej, udawanej nocy, a ja nie mogłem myślami odejść od pozostawionego balonu. Zabrana skrzynka była jedynym dowodem na to, że wszystko to się wydarzyło. Flagę zostawiłem z obowiązku, ale nie wierzyłem, że ktoś faktycznie znajdzie kiedyś ten wrak. Czułem, że przy pierwszej lepszej zamieci to inżynieryjne dzieło ludzkich rąk zejdzie świata z oczu. Da się przykryć kolejnymi warstwami nieczułego, zimnego śniegu, aż nie pozostanie nic. W tak pustym i mroźnym świecie i tak odczyt meteorologiczny nie ma sensu.

Już zawsze będzie zimniej. Każdy następny rok będzie najzimniejszym rokiem w moim życiu, a zarazem najcieplejszym reszty mojego życia. Pewnego dnia po prostu nie będzie brezentowego anioła z nieba, który mógłby mnie ocalić.

* * *

Świat zmieniał się tak bardzo za każdym razem, gdy tylko kończyłem kurs. To było jak kolejna partia szachów, lecz na innych polach, z innymi figurami i zasadami. Czy można powiedzieć, że to nadal były szachy? Chyba nie, po prostu zostawała nazwa. Cokolwiek by

się stało, byłem dróżnikiem, a to oznaczało, że muszę dostarczyć każdą wiadomość w każde miejsce.

Sierociniec na Czerwonej Górze miał być jedynie krótkim przystankiem na mojej drodze, ale nie wiem sam, co sobie myślałem. Z wszystkich listów ten był najdziwniejszy. Nie przeczytałem jego treści, ale adres wystarczał, bym dostał gęziej skórki. Sama koperta została pokryta kilkoma gryzmołami, których w żaden sposób nie potrafiłem odczytać.

Gdybym miał zgadywać, czego się bałem, a zarazem co mnie ciekawiło, to właśnie rysunki. Obrazki miały w sobie coś z celowego naśladowania bazgrołów dzieci, lecz definitywnie zostały skreślone dłonią dorosłej osoby.

Dostrzegłem miasto z daleka i już od pierwszego spojrzenia dawało całym sobą znać o odrębności i pewnej upiornej, odznaczającej się na fasadach budynków przeszłości. Mijałem je nieraz, choć leżało jedynie na alternatywnej, a nie głównej trasie do Sahala. Jednakże nigdy nie odważyłem się zwiedzić go od środka.

Nie, to chyba nie odwagi mi brakowało, choć przecież się lękałem, ale powodu. Nikt nie jeździł do Czerwonej Góry. Nie było po co, a nawet gdyby się dało, to władza nie patrzyłaby na to przychylnym okiem. Gdyby ktoś zaadresował list do Czerwonej Góry, na ten przykład z Magnetańska, to nie podjąłbym się od razu.

Nigdy wcześniej nie odważyłem się o tym pomyśleć dłużej, ale po tylu dniach i nieprzespanych nocach z gorejącym na piersi listem o losie Magnetańska, wreszcie zdobyłem się na decyzję.

Czerwona Góra była ogromny pomnikiem. Monumentem ku przestrodze przed zawierzeniem w niezmiennność świata. Ostrogą wbitą w bok naiwnych i zbyt pewnych siebie, na których garbach jechało całe państwo.

Dotarłem do rogatek miasta, gdzie niegdyś swoje domy mieli lepiej usytuowani mieszkańcy. Dla prostego człowieka luksusem jest mieć wszędzie blisko i nie musieć się nigdzie ruszać. Dla człowieka zamożnego luksusem był przywilej dojeżdżania codziennie do pracy prywatnym środkiem lokomocji. Było w tym coś infantylnego, jak u dzieci, które przypinają sobie dziadkowe ordery i wymyślają historię o wojnach, których na szczęście nie przeżyły.

Śnieg zasypał przedmieścia po same dachy. Gdzieniedzie mogłem dostrzec rzucone na bok samochody terenowe, a nawet krótkie ciężarowce. Ludzie potrzebowali tych maszyn, by dostać się do miasta, od którego uciekali. Oczywiście, uciekali tylko tyle, ile obrażone dziecko ucieka od matki, najwyżej do drugiego pokoju lub ogródka, ale nigdy dalej.

Słońce z trudem przebijało się przez ciemne kłęby chmur, rzucając blady połysk na kolorowe dachy. Dachówki potrafiły być bardziej błękitne od letniego nieba lub zieleńsze od mokrego lasu. Czasami były ciemne jak mech skryty między korzeniami drzewa, a innym razem jasne jak fiord nad brzegiem morza. Tylko tyle pozostało po niskiej, drewnianej zabudowie – pstrokaczna tonąca w białym śniegu.

Bo śnieg w Czerwonej Górze zdecydowanie należał do najbielszych, jakie widziałem. Lata wyłączenia miasta z użytkowania oczyściły powietrze. Każdy kolejny opad przykrywał lepki, szary popiół bielusienną warstwą.

Jeszcze kilkanaście lat i nie będzie śladu po nas, pomyślałem, zostanie tylko biel.

Oczywiście, nie była to prawda. Kiedyś byłem na wykładzie w instytucie w Sahalu i słyszałem o tym, że pierwiastki radioaktywne, pozostawione przez niektóre z kompleksów chemicznych, będą świadczyły o naszej potędze jeszcze przez tysiące lat po naszej śmierci.

Hura, pocieszenie, ukryte gdzieś głęboko pod ziemią słodkie pocieszenie.

Zacisnąłem dłoń na hamulcu.

Skuter przechylił się jak okręt walczący z falami. Płozy zaryły o pokrywę twardego, sprasowanego na jednolitą bryłę śniegu. Ogromny, brązowy kształt przefrunął mi przed twarzą. Niewiele myśląc, wrzuciłem wsteczny i odturlałem się kawałek, zakopując się we własnych śladach.

Zaraz przeleciał kolejny kształt, a za nim jeszcze jeden. Wstrzymałem oddech, próbując rozróżnić poszczególne kontury z niemal jednolitej, szaroburej rzeki.

Aż w końcu część rzeki oderwała się i spłynęła strumyczkiem w bok, do mnie.

Przedemną stanął niewielki, niemal całkiem szary piżmowiec. Jego mokre futro błyszczało się jak wypolerowany kamienny parapet. Niewielkie jaśniejsze i ciemniejsze plamy tworzyły ze sobą w monochromatyczny melanż.

Setki piżmowców przesłakiwały mi przez drogę, zaczynając za zasypanym rowem melioracyjnym po jednej stronie, a kończąc na przewróconym płocie po drugiej. Tylko ten jeden wyłamał się z przedziwnego, futrzanego łuku, zawieszzonego w powietrzu.

Delikatnie wyciągnąłem przed siebie dłoń. Już miałem zamiar sięgnąć po broń, ale piżmowiec sam podszedł zaintrygowany i powąchał mnie. Miał spory, okrągły nos, przypominający bryłkę węgla albo zgniłego orzecha.

W jego oczach odbijała się czysta ciekawość. Nie było tam drugiego dna, żadnych pozorów, ukrytych znaczeń, niczego takiego. Ot, niemądre, proste zwierzę, które zapewne nie widziało człowieka nigdy na oczy.

Co mogłem mu przypominać? Niedźwiedzia na dwóch łapach? Nie, wtedy by raczej uciekł. Może drzewo bujające się, gnące od wiatru i osypujące na wszystkie strony.

Może nic mu nie przypominałem. Może właśnie w tym cała magia i klarowność momentu, że oto pizmowiec spotkał się z nieznanym i postanowił wyjść mu naprzeciw. Własnym, pochrapującym nosem dotknął niepoznanego i w ten sposób je poznał.

Gdybym miał sam siebie badać tak, jak on mnie, to co bym wyczuł? Przemoknięte, skórzane rękawiczki. Odbicie w wizjerze kasku z filtrem słonecznym, trochę jak zlodowaciała kałuża benzyny z jej kolorowymi esami i floresami. Buty, spodnie, kurtka, wszystko sztuczne, skąpane w brudzie i smarze, a to co nie było brudne od utrzymywania siebie i skutera przy życiu, to zatarło się pod licznymi próbami, jakim poddawała mnie podróż. Nie wyglądałem jak Ja, tylko jak ktokolwiek, jak jakiś człowiek. Nie pachniałem, nie sposób było dotknąć mojego ciała.

W tym momencie poczułem się tak obco, jak nigdy. Kiedy zobaczyłem, że nawet zwierzę zostaje zbite z pantałyku na mój widok, bo nic we mnie nie mówi tego, kim jestem. Mogłem być równie dobrze elementem krajobrazu, po prostu ruchomą pozostałością tych wszystkich miast, które z roku na rok starzały się, zapadały w sobie i wreszcie wrastały w ziemię, tak jak i ja to robiłem.

Odpiąłem rękawiczkę i wystawiłem dłoń ponownie, ale towarzyszący temu szelest i ruch spłoszył ciekawskie stworzenie.

Rzeka zwierząt wyschła, pozostawiając po sobie tylko kilka śladów kopyt, tam, gdzie któryś skoczek nie dość się wystarał o dystans i zarył o glebę.

Popatrzyłem na swoje zaczerwienione, nabrzmiałe od zaciskania palce. Skóra odkształciła się w miejscu, gdzie przylegały szwy rękawic lub gdzie palce naciskały na gumowe nakładki kierownicy.

Mróż kąsał łapczywie każdy kawałek ciała, drastycznie mnie wyziębiając. Znów schowałem się do swojej skorupy, by utrzymać cenne, życiodajne ciepło przy sobie.

Droga do miasta przyprawiała mnie o ciarki. Kiedyś znajomy dróżnik powiedział o takich miejscach, że są przestrzeniami liminalnymi, transgranicznymi, jak poczekalnia w przychodni albo korytarz w drodze do podziemnego garażu. Z jednej strony znajdowały się zasypane pod białym welonem domy, a z drugiej zaczynały się osiedla mieszkalne dla klasy robotniczej. Osiemnastopiętrowe giganty z żelaza i betonu, o zaplecionych między sobą warkoczach z dziesiątek kabli. Skóra o kolorze pergaminu oplatała wielkimi płytami ściany tych kolosów, zaś kitowe łączenia pokrywała biała narośl. Wciskany wiatrem śnieg zagnieżdżał się w każdym możliwym zakamarku. Z pokrytych szadzią przewodów zwisały

długie, cienkie sople. Całe miasto zdawało się jedną wielką salą rozpraw z tysiącami gordyjskich mieczy, gotowych wymierzyć sprawiedliwość mieszkańcom za opuszczenie domów. Jednak nie było komu wymierzać kary.

Jeden z takich sopli spadł obok mnie i wbił się w śnieg na głębokość około pół metra. Właściwie to wszędzie wystawały mniej lub bardziej przysypane sople, strząśnięte wiatrem z dachów, rynien i innych wysokich punktów.

Ziemia przypominała skorupę jeża albinosa. Niegościnnie, rzadkie zwierzę stroszyło się i robiło co w jego mocy, by przepłoszyć każdego obcego.

Ale to mogło się wydarzyć. To wszystko było w granicach prawdy i tego, co jest poznawalne. Wyobrażałem sobie, jak umiera człowiek. Jak zanika ruch, to co gorące staje się zimne, a to co miękkie – twardnieje. Sprężyste rozpręża się i opada. Nabrany przez lata kredyt tkanek zostaje odebrany przez wierzycieli matki natury, aż w końcu zdesperowani komornicy zabierają nawet najbliższą ciału, nieruchomą hipotekę szkieletu. Tak samo patrzyłem na to, jak umiera miasto, a właściwie skończyło umierać i rozkładało się powoli.

To, co nie mogło się wydarzyć.

To, czego nie umiałem sobie wyobrazić.

Te podrygi ciała. Ruch martwego. Blask w oku. Ciepło wewnątrz trupa.

W niektórych miejscach dostrzegałem ogromne jamy, wybite w śniegu i prowadzące nie wiadomo jak głęboko. Nie zbliżałem się do nich ze strachu, że wpadnę do środka. Nie wiadomo, jak wytrzymały był śnieg, tworzący wilgotną, splukiwaną coraz niżej obręcz wokół dołu.

Gdzieniedzie wyprute kieszenie mieszkań wystawały na świat z zamarzniętych bloków, a ze środka spływał niewielki strumień wody, która lodowaciała jeszcze w locie.

Czasami kawałek zamarzniętego na kość kabla był całkiem czarny i mokry. Innym razem przez wielki, wybity w ziemi krąg wystawało na świat uschnięte drzewo, które swoją koroną dotykało krawędzi śniegu, po którym jeździłem.

Wyglądało to tak, jakby w pozornie przypadkowych miejscach istniały jakieś kolumny, gdzie zbierało się ciepło, odsłaniając ukryty, stary świat.

Zupełnie tak, jakby trup podrygiwał. Jakby w kilku miejscach skóra była żywa, a włosy bujne i kolorowe. I to było straszne. To było niewyobrażalne i niewytłumaczalne.

Myślałem przez moment, że może to jakieś ciepłe wiatry, pędzące przez korytarze między budynkami. W końcu mistrzowie urbanistyki byli w stanie zaplanować siatkę zabudowań w taki sposób, by uzyskać pożądany przez siebie efekt i pasywnie oczyszczać powietrze z miasta.

Jednakże wiatr był spokojny i chłodny, tak, jak zwykle. A ja, nasłuchując uważnie, złapałem inny rodzaj wycia, niż chciałbym usłyszeć.

Odległe, zwielokrotnione nawoływanie wilka. Wpierw jeden, długi śpiew, a zaraz za nim drugi głos, trzeci, aż w końcu cały chór, odpowiadający sobie z różnych stron miasta. Zew niósł się i odbijał wśród przechylonych, wypatroszonych bloków, a zwisające na nich sople potrafiły odpaść całym rzędem, wyczuwając rezonujące powietrze.

Zwolniłem, wiedząc, że od prędkości, cenniejsza może okazać się czujność.

Nic tak nie podburzało drapieżników do agresji, jak bycie zmuszonymi do żywotu padlinożerców.

Pierwszego wilka dostrzegłem dużo później, szarpiąc się z włazem kiosku z gazetami. Dach sklepu znajdował się tuż pod moimi stopami i choć ciągnąłem za uchwyt ze wszystkich sił, to przymarznięty metal nie chciał ani drgnąć.

Wróciłem się do skutera, by sięgnąć po łom, gdy zauważyłem szary kształt, wybijający się z białej i błękitnej pustki miasta. Pośród labiryntu sopli przechadzał się dorodny basior o złocistym, napuszczonym grzbiecie. Był tak zaaferowany nowym zapachem, że zdawał się mnie nawet nie zauważyć.

Niezwykle powoli wycofałem się w kierunku blaszanej budy. Potrzebowałem tylko paru minut, a potem miałem pewność, że mu ucieknę. Zresztą, pojedynczy wilk jeszcze nikogo nie zaatakował.

Łom wybił stalowy bolec i od razu rozległ się huk. Metalowe wieko odleciało gdzieś na bok, kopnąłem je i zeskoczyłem do środka. Zapewne niegdyś, w ciepłe dni, szyb pozwalał przewietrzyć duszne, zaśmierdłe wnętrze. Teraz mogłem dzięki niemu dorwać się do przysypanego metrami śniegu asortymentu.

Poza wybitym przeze mnie wejściem, do sklepiku nie dostawało się żadne światło. Okratowana szyba jakimś cudem przetrwała te wszystkie lata, dociśnięta do idealnie równej linii śniegu.

Przypominało to nieco wnętrze łodzi podwodnej. Wyobrażenia podpowiadała mnogość stworzeń mogących żyć w tym złodowaciałym oceanie. Jednakże prawdziwe zagrożenie kryło się na powierzchni.

Wycie rozległo się w tym samym momencie, gdy znalazłem turystyczny atlas samochodowy. Byłem pewny, że go znajdę, bo takie bzdury zawsze musiały być drukowane za czasów Federacji, a zarazem popyt na nie był niemalże zerowy. Natomiast miał on jedną, zasadniczą zaletę – rozpisaną siatkę ulic.

W klaustrofobicznym wnętrzu z łatwością mogłem zaprzeć się o ladę i wywindować na zewnątrz. Akurat w samą porę, by dostrzec trzy beżowe kundły, włóczące się niedaleko. Pozostałe wilki przypominały bardziej zdziczałe, wygłodzone psy i może faktycznie nimi były.

Gdy dotarłem do skutera, zebrane stado liczyło pół tuzina bestii, kręcących się w kółko, rozglądających panicznie i podgryzających nawzajem z nudów albo wręcz przeciwnie, z ekscytacji.

Tylko wilk, który dostrzegł mnie jako pierwszy, wydawał się spokojny. Przyglądał mi się badawczym spojrzeniem, jakby oczekiwał na mój ruch. Jego grzbiet błyszczał w promieniach słońca, przypominając siarkowy opad, który często osadzał się w chłodne poranki na obrzeżach Magnetańska. Jego futro zwisało ciężkie i mokre, obciążone lepkiem puchem, jak kielich kwiatu wypełniony pyłkiem.

Rozsiadłem się na swoim miejscu i odpaliłem silnik.

A raczej spróbowałem odpalić, bo maszyna kaszlnęła ospale i wydała z siebie smętne, przyduszone dźwięki. Najgorsze było to, że zostawiłem silnik na chodzie, a więc maszyna już całkiem zaczynała się poddawać.

Basior postawił uszy wysoko, nastroszył grzbiet i szczeknął raz i drugi, stając szeroko na nogach.

– Nawet nie żartuj! – warknąłem, licząc naiwnie na to, że skuter usłyszy mój głos.

Spróbowałem po raz drugi, uzyskując podobny efekt.

Wilk rzucił się biegiem, startując z przeciwległego krańca skrzyżowania, kompletnie ignorując zasady ruchu drogowego i mając gdzieś szacunek wobec pieszych.

– Jasny chuj!

Zaraz za przywódcą ruszyła reszta sfory, rozpościerając się szeroką, nierówną tyralierą. Przed oczami błysnęły mi dwie walczące ze sobą wizje: bycia rozszarpanym przez dzikie zwierzęta oraz spędzenia kilku dni w zasypanym kiosku, nasłuchując gardłowego warczenia.

Skuter przerwał milczenie i warknął poważnie, ustępując dopiero za trzecią próbą.

Dziękując w myślach wszystkim świętościom, wyrwałem się naprzód i od razu wykręciłem ile sił w bok.

Gąsienica zatarła mocno o zamrożoną powierzchnię, płozy syknęły i zaraz wystrzeliły spod siebie wielki, biały pióropusz. Spod śnieżnej fali, jak rekin spod wody wyskoczył czworonóg, zaciskając zęby w miejscu, gdzie jeszcze sekundę temu były moje plecy.

Wilk obrócił się lekko w locie, na tyle, by spaść na cztery łapy i od razu pognął za mną.

Kilkanaście sekund jazdy wystarczyło, bym zostawił za sobą głodne stwory, które musiały obejść się smakiem. Mimo to basior ujadął jeszcze i biegł dłuższy czas, aż zatrzymał się przy pierwszej anomalii ciepła.

Wilk położył uszy po sobie i przerwał bieg, widząc wielki krąg wytopionego śniegu.

Bogiem a prawdą, mi też się one nie podobały, odkąd tylko wjechałem do Czerwonej Góry. Objechałem plamę gorąca po łuku i zatrzymałem się na moment, znów nie gasząc silnika. Liczyłem, że tym razem sam nie zgaśnie.

Między mną i zwierzęciem było tylko sto metrów, przerwane głęboką na dwa piętra dziurą w śniegu. Gdzieś na dole zbierała się niemogąca zamarznąć woda, tworząca coś w rodzaju brudnego, bulgoczącego bajora.

Zwierz stanął w bezpiecznej odległości od krawędzi i spojrzał na dół, piszcząc ze strachu.

Pojedynek człowieka z przyrodą został przerwany przez nadejście trzeciej, obcej siły. Nie do końca ludzkiej ani nie do końca zwierzęcej w naturze. Patrzyliśmy się oboje na ciemne dno, gdzie kondensowały się nieczystości, niesłużące nikomu i niczemu.

Było w tym coś złowieszczego, a zarazem na granicy zgola innego uczucia – niezręczności. Zupełnie tak, jakby nasza gonitwa była uczciwym, zapisanym w pierwotnych prawach pojedyńkiem, zaś sama tylko obecność anomalii naruszała te zasady. Jakbyśmy bawili się razem, rozgrywali mecz, który przerwało zejście kibiców z trybun. Niby znajdowali się na stadionie od początku, ale nie byli jego częścią ani nie należeli do drużyn.

Zrobiliśmy to, co każdy robi, gdy napotyka coś trudnego do umieszczenia w swojej percepcji świata, zmuszającej do przeorganizowania całej jego struktury.

Rozeszliśmy się w milczeniu.

* * *

Sierociniec na Czerwonej Górze nie był nawet sierocińcem. To była szkoła podstawowa, otoczona niskim, zielonym płotkiem. A za tym uroczym, zielonym płotkiem rosły niezapominajki i konwalie, tworząc piękny, błękitno-biały dywan, rozlewający się po całym zarośniętym podwórku.

Cała szkoła znajdowała się we wnętrzu masywnej anomalii ciepła.

Spojrzałem jeszcze raz na atlas, adres na kopercie i znów na atlas. To był ten adres i szczerze zastanawiałem się przez moment, jakie są granice mojej pracy. Jakby ktoś zaadresował list do wnętrza wulkanu, to czy też bym go dostarczył? Może wrzuciłbym kopertę do wnętrza gęstej, kotłującej się zupy lawowej, a może doręczyłbym osobiście, kto wie?

W oddali rozbrzmiało gasnące echo wilczego nawoływania. Głód i zimno trzymał w uścisku wymarłe miasto.

Niezwykle powoli zbliżyłem się do krawędzi anomalii. Zejście było strome, ale i tak łagodniejsze od tych, które widziałem do tej pory. Jakiś niewidzialny korytarz powietrza musiał naganiać ciepło z terenu szkoły do wyjściowej furtki, tworząc naturalną, śnieżną misę. Zjechanie z niej nie przysporzyłoby nikomu problemów, ale wjechanie pod górę mogło się okazać wyzwaniem.

– Z górki na pazurki – mruknąłem bez przekonania i docisnąłem gaz.

Skuter posunął gładko po zboczach i wpadł w anomalię. Płozy wydały z siebie paskudny dźwięk tarcia o żuźlową ścieżkę. Gąsienica strzelała na wszystkie strony ostrymi kawałkami kamieni, z których usypano drogę do wejścia.

Zahamowałem gwałtownie, tworząc długi, głęboki ślad. Nie jechałem po twardej nawierzchni od wielu dni i postawienie skutera przypominało mi dobicie do wyspy. Do tej pory na morzu panowała flauta, kładąca białe, śnieżne fale płasko względem horyzontu. Teraz zaś mogłem wreszcie zacumować i w spokoju zostawić skuter, wiedząc, że gdy wrócę, nie znajdę go przymarzniętego do podłoża albo gorzej – metr pod powierzchnią.

Zgasilem silnik, czując w brzuchu bolesne ukłucie. Miałem pewność, że dni mojej maszyny są policzone i kurczowo trzymałem się nadziei, że dotrwa ona do Sahala. Wiedziałem, że dopiero po dostarczeniu najważniejszego listu, będę mógł odpocząć.

Stałem przed dwuskrzydłowymi drzwiami szkoły z ręką uniesioną w górę.

Straciłem rachubę. Jechałem już pewnie ze dwa tygodnie, a mimo to byłem wciąż daleko od celu. Nieustanny stres przejadał sporą część mojego zdrowia i siły woli. Z jednej strony musiałem być ostrożny i pokonać trasę zgodnie z doświadczeniem i szacunkiem wobec trudności bezdroży. A z drugiej strony to był wyścig z czasem. Może nie sprint, ale maraton, więc nawet truchając powoli, nadal się ścigałem.

Zastukałem kilka razy i zaraz znowu. Na terenie szkoły temperatura wynosiła abstrakcyjnie dużo. Kusiło mnie zajrzeć do termometru, o ile nie pękł po drodze, ale bałem się, że doznam szoku na widok czegokolwiek powyżej zera.

Uderzyłem jeszcze raz i wsłuchałem się w otoczenie. Nic, tylko ciche, pojedyncze pęknięcia ze stygnącego silnika. Słyszałem banieczki powietrza uwalnianego z rozstępujących się kawałków metalu i odgłos odtającej maszyny. Skuter również musiał czuć się nieswojo, odbierając zbawienne ciepło po raz pierwszy od dawna. Miałem tylko nadzieję, że coś w nim z tej nagłej zmiany nie pęknie.

– Halo! Ktokolwiek?! – krzyknąłem, bijąc pięścią, po czym bezpardonowo szarpnąłem za klamkę.

Drzwi ustąpiły gładko, bez najmniejszego skrzypnięcia. No tak, w końcu nie zaznały zimna od... kto wie jak dawna? Od jak dawna były w tym mieście te kominy ciepłe? Czy zawsze stały w tych samych miejscach? Były tu, gdy budowano Czerwoną Górę?

Korytarz szkolny ciągnął się przez całą bryłę szkoły jak długa, wilgotna gardziel nieboszczyka. Ściany o paskudnym, biurowym odcieniu zieleni zieleniły się podwójnie, bo wzmocnione jeszcze wykwitami grzybów i pleśni, bryzgającymi spod łuszczącej się farby.

Szkoły zawsze przyprawiały mnie o ciarki, było w nich coś potężnego, trudnego do poruszenia, jak fundament świata, kolumna lub prawo samo w sobie. Niezależnie od tego, czy ktoś miał w sobie pasję do nauki, czy ledwo dukał wyuczone formułki, licząc na łaskę belfra, i tak musiał przejść obowiązkowe osiem lat. To był tygiel, wielki egzamin, który każdy miał przebrnąć i w tym przymusie kryła się ta potęga.

Wpadające przez okna słońce oświetlało gęste od kurzu powietrze. Tysiące drobin błyszczały jak maleńkie, białe karły w tym edukacyjnym mikrokosmosie. Mijałem kolejne galaktyki klas. Każdy próg wykreślał w mroku jasny prostokąt światła, a ja chcąc nie chcąc musiałem zajrzeć do środka i choć chwilę podumać nad odnalezionym miejscem.

Klasa matematyczna, pozostawiona jak oszklona gablota w zamkniętym muzeum. Klasa biologiczna, uschłe paprocie, zagrzybiałe od nowego życia, i sukulenty łapczywie chłone drobin wilgoci. Klasa geograficzna, wyczyszczona z właściwych sobie przyborów naukowych do zera, został tylko jeden – przestrzeń. W ostatecznym rozrachunku, w całkowitej pustce świata, gdy już zniknie ostatni człowiek i obumrze ostatnie drzewo i wszystkie czarne dziury wypłują z siebie resztki energii, zostanie tylko przestrzeń. A więc w pewnym sensie na końcu świata nie będzie matematyki, ani fizyki, tylko zredukowana do jednej właściwości geografia – pustka.

W podniosłej ciszy rozbrzmiało ciche stuknięcie i kilka miarowych szurnięć podeszew o podłogę. Wyuczony latami życia w bloku, byłem w stanie z niewyobrażalną dokładnością poznać, kto i gdzie wywołał jaki hałas w budynku. Niczym urbanistyczny

traper przypadłem do ziemi, a dokładniej do betonowej podłogi, po czym wsłuchałem się w ruch powietrza.

Była w piwnicy, sama.

A mimo to... mimo tej pewności, że w całym budynku była poza mną tylko jedna osoba, to wciąż miałem poczucie obecności. To było jak postać, spoczywająca na moich plecach, przyglądająca mi się i przysłuchująca nieustannie. Nie wynikało to z żadnej realnej przesłanki, a po prostu z pewnej wiary w to. Z tego, co ludzie nazywają przecuciem.

Nie powinienem był się skradać, ale z drugiej strony i tak już obwieściłem swoje przybycie głośnym pukaniem, więc miałem czyste sumienie.

Zszedłem na półpiętro i upewniłem się, że odgłosy dobiegają z dołu. Za podwójnymi drzwiami z płyty warstwowej odnalazłem szkolną aulę. Siedzenia wymieciono na boki, zaś całość przypominała bardziej ośrodek pomocy dla uchodźców albo ofiar powodzi czy ludzi w innych sytuacjach kryzysowych. Dostrzegłem kilka materaców, górę koców, ubrania rzucone na kupę, nierozpakowane kartony, beczkę z wodą.

– Przepraszam, ale nikt nie odpowiadał – powiedziałem głośno.

Kobieta stała za trzema złączonymi ze sobą biurkami. Gdy tylko mnie dostrzegła kątem oka, podniosła głowę w przerażeniu, ale po ledwie sekundzie uspokoiła się i przybrała zmęczony, wręcz poirytowany wyraz twarzy. Zupełnie tak, jakbym nie tyle ją zaskoczył swoją obecnością, ile była pewna, że przyjdzie ktoś inny, znacznie gorszy.

– Czego tu szukasz? – spytała, łypiąc wzrokiem w bok.

Na oddalonym o kilka metrów dalej stoliku, stała parująca kawa w kubku z logiem szkoły oraz pistolet.

Widziałem jej wzrok i wiedziałem, że ona widziała, że ja ją widziałem. Patrzyliśmy się tak na siebie przez moment, gotowi skoczyć po broń w szaleńczym biegu.

– Szukam siostry Bogny, mam dla niej list – powiedziałem wprost, nie kryjąc się z intencjami. Powolnym ruchem wyjąłem przygotowany wcześniej list. – Jest zaadresowany na sierociniec w Czerwonej Górze, adres się zgadza, no i jest pani pierwszą osobą, jaką znalazłem.

– Ja jestem Bogna, ale nie jestem niczyją siostrą, a to na pewno nie jest siero...

Nagły przebłysk jakiejś nowej emocji rozświetlił jej twarz. Spojrzała na mnie z trudnym do ukrycia bólem, po czym zamrugała kilka razy w dezorientacji i smarknęła przez palce. Niedbałym ruchem machnęła na mnie, bym podszedł.

– Naprawdę tarabaniłeś się tutaj dla jednego durnego listu? – spytała z gniewem i niedowierzaniem.

– To moja praca, jestem dróżnikiem.

Dopiero z bliska dostrzegłem, że ma dziwnie czerwoną, napuchniętą twarz z licznymi, drobnymi poparzeniami. Wyglądało to, jakby regularnie pryskał na nią rozgrzany olej albo nałogowo odpalała papierosa od kuchenki gazowej.

– Ha! I co, dróżnicy dojeżdżają do Czerwonej Góry? Nie rozśmieszaj mnie nawet.

– Była mi po drodze – odpowiedziałem chłodno, przed oczami mając dziesiątki szerniałych, zastygłych w bezruchu ciał. – Nie będę przeszkadzał. Mogę zostawić list i sobie pójść.

Bogna pokiwała głową i wyciągnęła ku mnie rękę. Przez chwilę szarpała się z zawilgotniałym listem tak, by go otworzyć, a jednocześnie nie podrzeć z frustracji. Wydawało się, że z każdą sekundą rośnie w niej niecierpliwość. Gdy ona zapoznawała się z treścią wiadomości, ja krzątałem się po sali, próbując na jej podstawie wywnioskować, z kim miałem do czynienia.

Pomieszczenie w jakimś stopniu przypominało mi biuro albo stację badawczą na końcu świata. Stosy spiętych spinaczami papierów układały się w równe kolumny, pooblepiane kolorowymi kartkami z podstawowymi informacjami katalogowymi. Porządek w kwestiach dokumentacji i stanu rozstawionego sprzętu kontrastował z nieładem rzeczy osobistych. Ogromne ilości ubrań wisiały na sznurkach, susząc się, a może gnijąc od nie wiadomo jak dawna. Równie wiele odzienia leżało rzucone na kupę gdzieś obok podwójnego materaca, przypominającego barłóg jakiegoś wyjątkowo niespokojnego niedźwiedzia.

Gdzieś w tle słyszałem warkot agregatora prądotwórczego, choć w samym pomieszczeniu świeciło się ledwie kilka lamp, co zdało mi się niezwykłą stratą energii.

W pewnym momencie gdzieś z bocznego pokoju dobiegł specyficzny zgrzyt, jak maszyna drukująca, jeżdżąca igłą po papierze.

– Co za kretyn – warknęła Bogna, wgapiając się z bolesnym wyrazem twarzy w list. Podniosła na mnie wzrok i zadała pytanie. – Czytałeś to? Nie? To dobrze, przynajmniej można liczyć na minimum prywatności.

Kobieta odłożyła list na biurko i wymownie odwróciła się do mnie plecami. Nie byłem pewny, czy chce, bym przeczytał zawartość, ale tak czy inaczej wolałem się nie naprzykrzać.

Chwilę później obróciła się z mizernym uśmiechem i schowała list do szuflady.

– Siadaj, robię akurat kawę – mruknęła cicho, lecz w ogromnej sali każdy dźwięk niósł się z jednego końca na drugi. – Długo z nim jechałeś?

– Tydzień, plus minus – odparłem zgodnie z prawdą, bo nie byłem nawet pewny. Z każdym dniem ciężiej było zapamiętać wszystkie przystanki, kilometry, dni. A przecież słońce zachodziło ledwie na dwie godziny, więc właściwie zawsze trwał dzień.

– Czyli cały czas był o tydzień drogi ode mnie? Co za...

Nie chciałem jej wyprowadzać z błędu, nie wiedząc, co tak naprawdę przeżywa. To, że ja jechałem tydzień, nie znaczy jeszcze, że dzielił nas od wioski tydzień drogi. Gdyby sama chciała się przeprowadzić tą trasą, to nie wiem, kiedy i czy w ogóle by tam dotarła. Nie wspominając już o tym, że samo odnalezienie ruin wsi było bardziej kwestią przypadku, niż realnego pokonania zaplanowanej trasy.

– Nie jestem żadną siostrą zakonną, a to nie sierociniec – powiedziała, nastawiając kawę na elektrycznej kuchence. Siwy dzbanek szybko pokrył się drobkami wody, jakby w trudzie i pocie robił wszystko, by przeobrazić mieloną kawę i wodę w energodajny napój.

– List wysłał mój... znajomy, który mieszkał tu ze mną jakiś czas. Był przedostatnim mieszkańcem Czerwonej Góry, ja jestem ostatnia.

– Jak się znalazł w wiosce? – spytałem i zorientowałem się, że nawet nie pamiętam nazwy miejscowości ani nawet czy ją kiedykolwiek poznałem. Jedyne, co miałem przed oczami, to wielką stonogę, górującą na tle lodowych baletnic. I krótka myśl przeszła mnie na wskroś: czy jej towarzysz stał się częścią gąsienicy? – To w końcu kawał drogi stąd, zaś sama wioska... Cóż, wydaje mi się, że została opuszczona stosunkowo dawno.

– Opuszczona? Według listu nie opuścili jej do samego końca.

– Miałem na myśli pozostawienie przez Federację.

– Ach, tak... opuszczona przez Boga we własnej osobie – odparła opryskliwie Bogna, nalewając wrzącej, ciemnobrazowej kawy. Drobne bąbelki powietrza formowały się wewnątrz złocistej piany, wirującej po środku kubka. – Tak, musieli zostać sami już dawno. Jakiś czas trzymali się jeszcze, a potem zachorowali na jakąś przypadłość radiacyjną i mniej więcej wtedy dotarł do nich Symon.

– Symon – powtórzyłem pod nosem, odbierając kawę. Napar smakował jak kwaśna parodia kawy, ale zapewne niczego lepszego nie miała. – Już lepiej parzyć przez sito, przynajmniej nie jest taka błotnista.

– Ty pij, jak tobie jest wygodnie, ja lubię, jak jest kwaśna.

Bogna przysiadła naprzeciwko mnie, po drugiej stronie stanowiska biurowego, które sobie urządziła. Odruchowo zabrała się za czytanie leżącego na biurku dokumentu i po dłuższej chwili zorientowała się, że nie jest sama.

– Wybacz, nie jestem przyzwyczajona do towarzystwa – powiedziała speszona i przetrzała twarz. – Na czym skończyliśmy?

– Choroba radiacyjna, co z nią?

– Symon też na nią zachorował... został z nimi do końca. Jak stare... znaczy się... Jak długo...

– Długo – przerwałem, wiedząc, że nie łatwo jest pytać o takie rzeczy. – Ciała mieszkańców były w złym stanie. Cokolwiek ich spotkało, w specyficzny sposób wpłynęło na rozkład. Nie jestem lekarzem, ty chyba jesteś, tak myślę, ale ja widziałem tyle, że byli czarni, jakby zaatakowała ich jakaś potworna ospa połączona z głębokimi odmrożeniami.

– Nie jestem lekarką. – Bogna uśmiechnęła się pobłaźliwie, kończąc kawę w dwóch łykach. Chwilę przecedzała ostatni łyk przez zęby, tam i z powrotem, delektując się smakiem, aż w końcu zaczęła trzeć między zębami pojedyncze fusy. – Jestem geolożką, badam naturalne uwarunkowania Czerwonej Góry. A przynajmniej badałam do tej pory, teraz sama nie wiem, co zrobić.

– To był dla ciebie ktoś ważny?

– Nie – odparła krótko, lecz jej twarz zdradzała niepewność. – W liście pisał, że miejscowi nazwali chorobę Babą Jagą. Wieśniaki zawsze tak robią, wiesz? Gardzą nauką, podchodzą do niej z wyższością, wrodzonym analfabetyzmem. Ostatnie co potrafią, to nazwać rzeczy nienazwane i uznać, że już je rozumieją. Baba Jaga... Co za bzdurny sposób, by umrzeć... Szlag!

– Miał tam rodzinę? – spytałem, męcząc się zarówno z odczytaniem emocji Bogny, jak i przetrawieniem paskudnej kawy.

– Nie, wręcz przeciwnie. To długa historia, masz czas?

– Tak – skłamałem, dopiero wtedy decydując się na zdjęcie kurtki. – Jeśli zajmował się z tobą geologią, to może prowadził tam badania?

– Gorzej, misję humanitarną. Symon był niepoprawnym marzycielem, wierzył w pomaganie ludziom za wszelką cenę. Nie był taki zawsze, nie. Po prostu kiedyś spotkało go coś paskudnego i całkowity przypadek ocalił mu życie. Czasami tak bywa i albo człowiek odnajduje prawdziwą przyczynę przypadku, albo dorabia sobie do przypadku celowość. Symon zdecydował się na to drugie i od tamtej pory wierzył, że ma jakiś dług do spłacenia wobec ludzi. Zwłaszcza ludzi poszkodowanych przez Federację, a nawet nie Federację jako taką, a w ogóle system, wiesz... ludzkość, choć w wąskim tego słowa znaczeniu. Do samego końca próbował mnie przekonać, że rewolucja przemysłowa i jej konsekwencje okazały się tragiczne w skutkach dla rodzaju ludzkiego. Wpierw planował zamieszkać na jakimś

lodowym pustkowiu, ale, jak widać, wszedł w nie ten zakręt i skończył na jakiejś zabitej dechami wiosce.

– Co jest złego w pomaganiu ludziom? – spytałem naiwnie, choć już spodziewałem się odpowiedzi. – Mogło być gorzej, mógł zostać fanatykiem religijnym. Niektórzy tak robią po wypadkach... albo zaglądają w butelkę.

– Pewnie, jasne, niech pomaga – syknęła Bogna. – Ale pomagać trzeba z głową, a nie na rympał. Z tego listu wynika, że gównu im pomógł. Przedłużył tylko nieco ich agonię. Bez kontaktu z resztą świata i dostawy leków antyradiacyjnych wszystko było z góry skazane na porażkę. Jest to nawet w liście – choroba jest nieuleczalna.

– Nieuleczalna? – powtórzyłem cicho.

– Nieuleczalna. Zapisał dokładnie symptomy i swoje odczucia. W końcu nawet w obliczu śmierci był człowiekiem nauki. Wpierw halucynacje słuchowe, później wzrokowe, aż wreszcie czuciowe. Ciężko powiedzieć, ile z tego było realne czy też raczej niespecyficzne dla chorych, a ile wynikało z wzajemnego nakręcania się mieszkańców, zdeprawowanych brakiem bodźców z zewnątrz. Ostatecznie ciężko powiedzieć, czy zabiła ich w większym stopniu choroba, głód, czy zimno. Przekłęte... wszystko.

Zrobiło mi się chłodno. Myśl, która dojrzewała tak długi czas, teraz wyklula się powoli i z trudem, jakby wciąż nie mogła objawić mi się jako coś oczywistego.

– Myślisz, że to zaraźliwe?

– Nie wiem, czemu pytasz? – Bogna spojrzała na mnie podejrzliwie i rozszerzyła powieki, jakby doznała olśnienia. – Byłeś tam... i teraz jesteś tutaj. Szlag by to trafił. Powinnaś cię stąd wyrzucić, ale pewnie teraz i tak za późno. Szlag... szlag... cholera!

– Jestem dróżnikiem, przeżyłem w tym fachu wiele lat – upewniałem bardziej sam siebie niż Bognę. – Gdybym miał złapać chorobę radiacyjną, zrobiłbym to dawno. Z tego co wiem, wynika ona typowo z ekspozycji na bodźce lokalne.

– Ale może być częściowo przenoszona, a następne inkubować się w organizmie. Możesz mieć Babę Jagę w sobie albo na skórze, czy nawet na ubraniach... A teraz w moim kubku! – krzyknęła Bogna, wskazując oskarżycielsko na kubek z żółtą twarzą, która w białym dymku tłumaczyła podstawy mnożenia. – Zresztą, nie ma co... Cholera! Dobra... dam radę, mam trochę ampułek w zapasie. Myślę, że organizm sobie poradzi. Człowiek potrafi z czasem rozdrabniać pewne dawki promieniowania. No, chyba że znajduje się w miejscach o silnej interferencji radiowej, gdzie promieniowanie nie ma wystarczającej ilości organizmów żywych do wchłaniania się i przetrawiania. Na przykład w takich, które są niezamieszkałe...

Spojrzelismy po sobie z Bogną. Ona, samotna na Czerwonej Górze. Ja, samotny w trasie od miasta do miasta. Jej twarz wyrażała prawdziwy wyścig emocji, gdzie między kolejnymi miejscami w tabeli przeskakiwały gniew, smutek i zgorzknienie. Powinienem być bardziej zmieszany, ale nie byłem. Nawet zrobiło mi się głupio, że nie czułem się gorzej.

To trochę tak, jakbym przyszedł z chorobą celowo i zaraził Bognę, by nie być w tym samotny, i może faktycznie częściowo mi to pomogło. Po raz pierwszy od dawna poczułem jakąś nić porozumienia z drugim człowiekiem. Co prawda nić przedzoną na szpulach wspólnej tragedii, ale jednak namacalną.

– Jak ci na imię? – spytała nagle.

– Artem, Artem Jadow.

– Bogna Sawałow. Pierdol się, Artemie Jadow – warknęła Bogna i poszła po butelkę samogonu i dwie szklanki.

Westchnąłem od serca, widząc, że nawet w takim miejscu jak to, Federacja pozostawiła po sobie niezmazywalne ślady kulturowe.

– Nie chcę teraz o tym myśleć... Muszę się z tym przespać. Zmieńmy temat: właściwie, to co tutaj badasz? – Rozejrzałem się po raz kolejny, skupiając się bardziej na samym budynku i miejscu w szerszym kontekście. – To nawet nie jest centrum badań naukowych, tylko zwykła podstawówka. Uczysz się nowych technik liczenia na palcach?

– Zabawne – warknęła Bogna i polała od serca. – Nie piłam od kilku miesięcy. Cholera, byłam już taka dumna, że to rzuciłam, wiesz? A potem ty przyszedłeś i...

– I wlałem ci bimber do gardła, wiem, straszne.

Bogna zaśmiała się, stuknęliśmy się szklankami i przez moment w ciszy trawiliśmy alkohol i złe wieści.

– Zauważyłeś pewnie anomalie cieplne, prawda?

– Ciężko nie zauważyć, w jedną prawie wpadłem, uciekając przed wilkami.

– Wilkami? Nienawidzę skurwieli. Mam wrażenie, że o mnie wiedzą, przynajmniej ten jeden. Nie znam się na zwierzętach tak dobrze, ale mam pewność, że o mnie pamięta. Kto wie, może przy tak małej ilości zwierzyny łownej naprawdę ma jakąś listę celów i ja też na pewno na niej jestem. Pytanie tylko, czy wysoko, czy nisko.

– Więc co z tymi anomaliami?

– Badam je – przyznała Bogna kpiąco. Przez moment uśmiechała się nad błahością mojego pytania, po czym zajrzała w dno szklanki jak w kalejdoskop, odbijając światło przez lepiące się do dna kropelki. – Naliczyłam w mieście już osiemnaście kominów ciepłych różnego rozmiaru, ale tylko jeden nieruchomy.

– Ten tutaj?

Bogna pokiwała głową i wróciła do części kuchennej, nalać sobie resztkę kawy.

– Będę robić kolejną, też chcesz?

– Nadciśnienie cię zabije.

– Niech ustawi się w kolejce za Babą Jagą, wilkami i mrozem. – Bogna wygrzebała z szuflady puszkę śledzi i postawiła na biurku. Przy otwieraniu odrobina oleju z ryb opaskudziła notatki, lecz sama geolożka zdawała się tym nie przejmować, przytłoczona nadmiarem bodźców. – Czerwona Góra została spisana na straty już dziesięć lat temu, ale czas wysiedlania miasta się przedłużał. To nigdy nie jest tak hop siup, a przynajmniej zazwyczaj nie jest. Wpierw przenosili całe dzielnice w jedno miejsce, a pozostawione mieszkania wyziębiali. Kotłownia przechodziła coraz częstsze niekontrolowane przerwy techniczne... Gówny prawda oczywiście, każdy to wiedział, ale co zrobić. W końcu zaczęły płonąć nocami przychodnie, miejskie domy kultury... wiesz, jak jest. Pojawili się dobrzy i uczynni urzędnicy i zaproponowali wszystkim nowe miejsce do życia, a reszta jest już historią.

– I tylko ty zostałaś?

– Nie, skądże – odparła Bogna szczerze rozbawiona, szukając paczki kawy. – Tylko ja przeżyłam. Temperatury na Czerwonej Górze, nawet przed zimną dekadą, wynosiły najwyżej kilkanaście na plusie latem. A teraz, w dwunastym roku mrozów... cóż, widzisz, co się dzieje na zewnątrz.

Nawet nie zauważyłem, gdy zleciała kolejna godzina i dwie kolejne kawy. Pod koniec wymieniania się informacjami na wszystkie tematy miałem ciśnienie wręcz bijące po oczach. Obraz świata trząsł mi się, drżał w rytm pulsującej krwi. Korzystałem z każdej okazji, by napić się czegoś gorącego i odpocząć od drążącej uszy ciszy, przerywanej jedynie trzaskającymi, lodowymi graniami.

Aż wreszcie wczułem się w to miejsce, dostroiłem do jego rytmu. Zupełnie, jakbym podróżował jedną z wielu tras, odczytując ślady w śniegu, poznając muzykę niesioną przez wiatr. Miałem wrażenie obecności wewnątrz budynku, namacalnej, przybierającej formę ciepłych, rozchodzących się koncentrycznie kręgów. Znów i znów, w długich, lecz równych odstępach czasowych czułem, jakby ktoś omiatał mnie podmuchem gorąca.

– Chodź, pokażę ci coś ciekawego – stwierdziła w końcu Bogna, zdejmując sweter na płóciennie guziki. – Też zdejmij, może być... cieplej.

Podwójne drzwi na końcu pomieszczenia zostały solidnie zaizolowane folią. Gdy Bogna otworzyła je, do sali wdarło się duszne, lepkie powietrze. Stary kurz wnikał w skórę i zagrzebywał się w mikroskopijnych porach, zatykając każdą przestrzeń.

A to były dopiero pierwsze z trzech par.

Gdy Bogna przeszła pod kotarą z półprzeźroczystych pasków i otworzyła ostatnie, masywne, metalowe drzwi, niemal poczułem, jak moja twarz odlepia się od kości. Żar był tak potworny, że bałem się, że wyjdę ze środka bez brwi.

W mniejszej niż poprzednio ciemnej sali ustawiono coś w rodzaju bariery z przyniesionych ławek i krzeseł. Kilka instrumentów pomiarowych wyłapywało sygnały, mierzyło nieznane mi parametry i kodyfikowało informacje jakimś szyfrem. Rozpoznałem kilka oczywistych rzeczy jak masywny sejsmometr, połączony grubym kablem do oliwkowej skrzyni z bakelitu. Coś w rodzaju elektrokardiografu zapisywało bladym atramentem pomiary na niewyobrażalnie długiej rolce papieru.

Największe wrażenie zrobił na mnie komputer, przywleczony tu z pewnością z innego miejsca, bo nie wiem, co miałby robić w szkolnej piwnicy. Ogromny jak czterodrzwiowa szafa przyrząd najeżony był przyciskami i kablami do tak abstrakcyjnego stopnia, że aż przestawał być realny. Na chłopski rozum, ciężko było pojąć, jaka jest różnica, czy ta piekielna maszyna ma dwieście, czy sto osiemdziesiąt kabli, wchodzących i wychodzących często z tej samej obudowy. Po co? Jak? Nie sposób orzec, czy alkohol przeszkadzał w zaakceptowaniu stanu laboratorium, czy wręcz przeciwnie – był jedyną rzeczą, która mi na to pozwalała.

Najdziwniejsze było zapewne to, czego nie widać gołym okiem. Na środku sali nie znajdowało się niemalże nic. Kilka talerzy pomiarowych ustawiono dookoła kompletnie pustej przestrzeni, od której były kolejne wyziewy ciepła. Zdawało mi się, że centrum pomieszczenia wydaje własne, rozchodzące się światło, którego źródła nie mogłem zlokalizować. Opalizująca, pomarańczowa poświata przyoblekała maszyny i zapatrzoną z fascynacją Bognę.

– Czujesz to? – spytała Bogna, wgapiona w centralny punkt pokoju. – Tak pachnie przyszłość, która nie nadejdzie.

Ciemnoczerwone plamy zasnuły mi obraz świata. Poczułem zapach krwi, metaliczny, spływający w dół dróg oddechowych. Próbowałem zamknąć oczy, by uspokoić rozedrgane nerwy, ale nie mogłem. Co bym nie zrobił, wciąż nie mogłem pozbyć się tego wrażenia.

Łup, łup. Ciągłe. Łup, łup. Fale ciepła. Łup, łup. Każda szybciej niż poprzednia, jak przyśpieszająca muzyka, taniec, rytm serca.

Bogna wyciągnęła dłoń i wyuczonym gestem przyłożyła płasko do krawędzi barykady. Zupełnie tak, jakby opierała się o niewidzialną szybę. Skóra jej dłoni czerwieniła się, nabrzmiwała, aż w końcu na palcu wystąpił pierwszy, biały bąbel limfy i Bogna zdusiła jęknięcie bólu, cofając rękę.

Geolożka odwróciła się do mnie przodem. Połowa jej twarzy przypominała maskę jakiegoś demona, czerwoną, jasną, nabrzmiłą.

– Jesteś dróżnikiem, nie muszę ci tłumaczyć, na co patrzysz, prawda? Widziałeś kawał świata, nie to co inni. Życie nie ogranicza się do prostej geometrii, brył żelazobetonu, blokowisk, ulic, oblodzonych pasm asfaltu. Większość tego, co istnieje, jest nieodkryta. Większość przestrzeni jest pusta. Większość historii – jeszcze niedokonana.

– On... cię zna? – spytałem, samemu nie będąc pewnym dlaczego. Słowa ułożyły się same na nabrzmiętym języku i spłynęły gładko przez spierzchnięte wargi. – To chłopiec. Wygląda jak chłopiec.

Stał za nią prosto jak rysa na szkle, powidok na gałce ocznej, wyrwa w płótnie świata. Wysoki, chudy, w całości biały, niby para wodna albo powietrze falujące nad drogą w upalny dzień. Gdy próbowałem się na nim skupić, to obraz rozjeżdżał się i rozmywał. Ciężko o coś bardziej nieuchwytnego, niż definicja anomalii.

Przez cały ten czas patrzył się na nią takimi wielkimi, pustymi oczami. Jego usta ściśnięte były w wąską kreskę, która rozrywała się co chwila, by wypowiedzieć parzące słowo. Nie robił nic konkretnego. Po prostu istniał, górował nad Bogną jak bajkowy ifryt, z trudem wstrzymujący się od spalenia wszystkiego samą swoją obecnością.

Zatkąłem uszy i oparłem się o ścianę. Bogna zbliżyła się, pytała o coś zmartwiona, ale jej słowa nie docierały do mnie. Anomalia mówiła, każde jej słowo przygniatało moje zmysły, chowało mnie pod kolejną warstwą.

Łup, łup, ja i ona w uderzeniach gorąca. I tylko pomarańczowa poświata, rozświetlająca mrok, jak pożar sąsiedniej wsi.

Ocknąłem się po kilku minutach na korytarzu. Bogna przyciskała mi do czoła grudę śniegu, która natychmiastowo topniała i wpływała mi wraz z potem do oczu. Musiała wyjść po nią na zewnątrz tak jak stała, w krótkim rękawku, bo jej policzki szybko przetarł mróz, a mokre rzęsy pokryła szadź.

– Chciałam ci pokazać, co sprawia, że jeszcze żyję, a raczej żyłam tu do tej pory. – Bogna kucnęła przy mnie, wpatrzona z mieszaniną poczucia winy i zaniepokojenia. – On jest coraz bardziej ludzki, wiesz? Kiedyś nadam mu imię, na razie się boję. Ignoruję go celowo,

dawkuję swoją uwagę. Gdybym nakarmiła jego ego, to uwolniłabym w nim rzeczy, które powinny być zamknięte i spętane.

– To przez nich ewakuowali miasto? – spytałem, próbując skoncentrować wzrok. Na przeciwległej ścianie wisiał wyblakły plakat, reklamujący klasowe jasełka sprzed ponad dekady. – Nie chcieli, by ludziom coś się stało?

– Nie sędzę – przyznała surowo Bogna. Po współczuciu nie pozostał żaden ślad. Wstała i zachęciła gestem, byśmy wrócili do jej kryjówki. – Choć nie ukrywam, że anomalie mogły mieć na to wpływ. Nie wiem, czego bali się bardziej: nieznanego, czy tego, że ludzie mogliby to poznać i nawet... polubić? A przynajmniej zacząć szanować. Nie szanujemy tego, czego nie znamy lub co znamy na wylot. Tylko to, co miesza w sobie znajome i obce, jest dla nas trudne do jednoznacznego określenia. Nikt się nie boi bryłki węgla i nikt nie kocha niepoznanego ptaka, ale każdy marzy o takim stworzeniu, które wypelza z nory raz na rok i żyje obok nas.

– Czy inne anomalie też są takie?

– Nie, wręcz przeciwnie. Są dzikie, szamoczą się i pałętają bez celu po mieście. Ich wypalony ślad znaczy wszystkie arterie Czerwonej Góry, sam widziałeś. Gdyby nie wieczna zmarzlina, miasto zapewne zmieniłoby się w wypalony step. Zamiast tego jest jakiś dziwny impas, gdzie narastający mróz walczy z falującym ciepłem. – Bogna przepuściła mnie przez drzwi i zamknęła je szczelnie za nami. Przez chwilę przyglądała się z nostalgią w kierunku korytarza. Coś wołało za nią bezgłośnie. – W końcu mróz wygra. Jest coraz zimniej i przecież nawet piec wreszcie zamarza i nie jest w stanie płonąć. Dlatego to wyścig z czasem. Muszę poznać ich tajemnicę zanim umrą, wiesz? Zanim będzie koniec, ich albo nasz. Teraz sama nie wiem, kto zniknie pierwszy.

Wypiłem dwie szklanki zimnej wody z lodem i spróbowałem przywołać ze wspomnień obraz. Jednak za każdym razem, gdy wspominałem improwizowane laboratorium, widziałem tylko skrytą w mroku Bognę i nic za nią.

– Czy nie przyszło ci kiedyś na myśl, by... – wypowiedziałem preambułę okrutnej myśli i zatrzymałem się na moment. We mnie walczyły dwie pokusy i musiałem którejs ulec. Ostatecznie uległem pokusie destrukcji, jak większość ludzi. – By się ich pozbyć? Jeśli będą dalej rosnać w siłę albo będzie ich więcej... One się przemieszczają, Bogna. Nie uważasz, że to niebezpieczne? Co, jeśli dotrą do innych miast?

– Zabawne, to samo twierdził Symon – odparła spokojnie Bogna, a ja nie wiem czemu spodziewałem się, że będzie wściekła. – Dlatego nazwał mnie siostrą Bogną, a to miejsce sierocińcem. Bo zajmuję się nimi, tymi... sierotami, pozostawionymi przez

wszystkich. Nikt ich nie chce, każdy się ich boi, każdy widzi w nich zagrożenie, bo są obce. Ale nie jestem zła, nie jestem szalona... Nie uważam, że są żywymi istotami w naszym rozumieniu. Natomiast czuję do nich miłość, jaką może czuć specjalistka do dziedziny, której oddała wielką część życia i siły woli.

– Nie odpowiadałaś mi na pytanie. – Wczepiłem się dłońmi w krzesło, próbując w pełni dojść do siebie po spotkaniu z anomalią.

– Uważam, że są niebezpieczne, ale nie muszą być. Gdybyśmy mieli dość środków, by w pełni poznać ich potencjał i wykorzystać go, to moglibyśmy uzyskać darmowe źródło ogrzewania. Wyobraź to sobie! – Bogna błysnęła zaaferowanymi oczami, tak jak mają to w zwyczaju robić ludzie do cna pochłonięci przez własne pasje. – Zielone pastwiska, indywidualne domy, suche nawierzchnie, sprawna kanalizacja, bez potrzeby nieustannego marnowania zasobów na podgrzewanie wszystkiego. Koniec z nagłymi przymrozkami, z zamarzaniem i rozszczelnianiem łączy. To byłoby jak... prąd! Od nowa!

Przyglądałem się jej ze szczerą sympatią. Gdy mówiła, zmarszczki dookoła ust wyglądały się, a twarz nabierała koloru. Energia umysłu odżywiała ciało, czyniąc jeden ze swoich nieodgadnionych cudów. Jej siła była zaraźliwa.

– Byłoby – szepnąłem, ukracając ten piękny spektakl. Nie zrobiłem tego ze złośliwości, ale to było jedyne, co mogłem powiedzieć i nie skłamać.

– Byłoby – przyznała równie lakonicznie Bogna i zapadła się w sobie. Kilka siwych włosów opadło na jej zmęczoną twarz, pokrytą gojącymi się poparzeniami. – Dochodzę do ścian, a właściwie to doszłam dawno temu, a teraz jedynie zapieram się rękoma i nogami. Nie mam sprzętu i ludzi, by prowadzić badania zakrojone na szeroką skalę. Nie mogę się rozdzielić, a śledzenie ruchomych anomalii zapewne by mnie zabiło. Prędzej czy później musiałabym iść spać, wrócić przez zamiecie i nieludzkie mrozy aż tutaj. Nie mówiąc już o tym, że tam, na zewnątrz, jest więcej niebezpieczeństw niż sama temperatura czy dziury w ziemi.

– A zatem?

– A zatem co?! – spytała ostro Bogna, przyglądając mi się z irytacją. – Jestem rozdarta, a zarazem pozbawiona innych możliwości, wiesz? To paskudne uczucie, a twoja obecność tutaj tylko skomplikowała sprawę... Nie, to nieprawda. Cholera, jestem wściekła na ciebie, wiesz? Ale zarazem, choć to dziwnie brzmi, jestem też szczęśliwa. Poczułam ulgę, a raczej dopiero zaczynam ją czuć. Skoro jestem chora, to mam kolejne zmartwienie na karku, kolejny ogranicznik czasowy, twardą, jasną granicę. Objawiła mi się skończoność mojego życia; mogę wreszcie zaplanować resztę czasu. To przywilej, wielu ludzi go nie ma.

Nosiłem się z tym, rozważając za i przeciw. Co rusz spoglądałem to na Bognę, to na ofoliowane przejście. Przed oczami miałem własną rodzinę i myśl o tym, co bym zrobił, gdybym usłyszał, że zostało mi ileś czasu. Każdy wie, że ten czas jest ograniczony, ale to coś kompletnie innego, gdy wie się, że to są dni, tygodnie albo miesiące, a nie abstrakcyjne lata.

Tak rzadko wspominałem rodzinę, częściej to ona nawiedzała mnie. Zabierałem ją ze sobą wszędzie, w każdy kilometr podróży. Byli jednym z wielu cieni, który kładł się na mojej drodze. A mimo to oprócz nich pojawiały się inne twarze. Sprawy niedokończone, rzeczy zaważające na moich osądach. Jedna w szczególności.

Agerda i jej twarz objęta szaleństwem. Dolina sama w sobie, zajęta, a następnie zniszczona przez nas, przeze mnie. W katastrofie, gdy zginęło tyle osób, czy możliwe jest, że zginęła tam też jej część? Czy ja ją zabiłem, czy jedynie dobiłem? Czy Agerda nadal była tą samą... osobą, doliną, *genius loci*, co wcześniej? Nawet po stracie części siebie? A jeśli nie, to czy ja nadal jestem? Na pewno nie.

Nie przywykliśmy myśleć o duchach jako o osobach. Nauczyliśmy się je omijać, wypędzać, co najwyżej rozpoznawać i ignorować. Większość ludzi nigdy nie widziała na własne oczy żadnego piastuna pola, lasu, czy doliny, a przecież byli równie prawdziwi co my, choć żyli w oddaleniu.

Tak jak dziad z cerkwi, tak jak żyły w rzece, tak jak cień w jeziorze. Inni ludzie, nieludscy ludzie, żyjący na nieznanym nam zasadach. Jeśli Bogna czuła względem tych kominów termalnych to samo, co ja względem Agerdy, to mogłem być uczciwy wobec siebie samego i zaproponować jej jedno:

– Mam ze sobą czarną trumnę, w której możesz pochować swoje wątpliwości – powiedziałem cicho, próbując wpierw ominąć sedno rozwiązania, a nakreślić cenę, jaką przyjdzie jej zapłacić. – Jeśli nie chcesz pozostawić za sobą niedokończonych spraw i jeśli masz w sobie odwagę, by wziąć odpowiedzialność za Czerwoną Górę, to mogę ci coś pożyczyć. Musisz jednak pamiętać, że nie istnieje człowiek, który nie miałby po tym wyrzutów sumienia. Każdy, kto ma w sobie choć trochę człowieczeństwa, oddaje część siebie i zapełnia dziurę poczuciem winy i niepewnością. Pozostaniesz z wątpliwościami: co by się stało, gdybym tego nie zrobiła? Co by było gdyby?

– Nie rozumiem, o czym mówisz – mruknęła Bogna, ale jej wzrok zdradzał gonitwę myśli. Ciałem była obok mnie, z pustym kubkiem po kwaśnej kawie. Duchem tańczyła w słupie ognia, gdzieś obok cudu, którego badaniu oddała ostatnie lata życia.

– Na tyle skutera jest walizka, kod to data upadku Federacji. Wewnątrz walizki znajduje się stabilizator ekosfery. Jeśli... jeśli czujesz się na siłach, by podjąć taką decyzję.

– Żartujesz sobie ze mnie...

Pokiwałem głową na boki. Oboje musieliśmy przetrwać to w ciszy. Jednak po kilku minutach zdecydowałem, że sama cisza nie wystarczy, potrzebna jest jeszcze samotność.

Założyłem kurtkę i wyszedłem z pomieszczenia, by nieco ochłonać. Widok rozciągający się sprzed szkoły zdawał się wyśmiewać moje zmartwienia.

Puste, zamrożone ramy po wybitych oknach. Wiatr hulający przez komunałki, gdzie zasypane śnieżne sięgały wyprutych kabli po żyrandolach. Oblodzone, miedziane druty, zwisające jak kępkę rudych włosów na pieprzykach. Miasto było martwe w każdym sensie, w jakim spostrzec to może cywilizowany człowiek. A mimo to wahaliśmy się, bo chcieliśmy je zabić doszczętnie, do końca. Zabić ostatecznie. Zabić nawet tę pustkę i ten potencjał, by pustkę zająć.

Słowem: chcieliśmy stabilizacji, a ją można osiągnąć tylko poprzez brak, nicłość.

Współczucie wobec życia rodzi się tylko wtedy, gdy tragedia jest tak dojmująca, że wylewa się poza jednostkę. Gdy głód, mróz i ciemność są tak nieprzeniknione, że nawet obserwator staje się współuczestnikiem nędzy.

Nie czułem nienawiści wobec tych burych kundli, buszujących po zgliszczach, które zostawiła im ludzkość. Jednakże ja też byłem dzieckiem apokalipsy, cichej i biurokratycznej. Pozostawiony w świecie resztek, doglądający blaknących plakatów minionej doskonałości. Ja również chciałem tych resztek tak jak oni.

Gdzieś w oddali rozbrzmiało echo wilczych nawoływań. Głos poniosł się zamrożonymi arteriami i zaraz zaginął w zimnych, betonowych wąpłach miasta.

Bogna zbliżyła się bezszelestnie, jakby sama była gasnącym echem, ledwie wyczuwalnym, ale ciągle obecnym. Podała mi do ręki list Symona, a ja schowałem go do kieszeni na piersi, jakby był tak samo ważny, co list dla mera Sahala.

– Oboje pożyczamy sobie cenne artefakty – szepnęła Bogna, wyjmując papierosa.

Tam, gdzie staliśmy, było tak ciepło, że kurtkę nosiłem tylko z przyzwyczajenia. Ale już kilka kroków dalej wyrastała lodowata zaporą. Gdy tylko podmuch ciepłego wiatru oblizywał ogrodzenie, zaraz na nadtopionej warstwie pojawiała się biała siateczka pęknięć, jak kryza na oku.

– Potrzebuję, byś dał mi dzień na przemyślenie sprawy – powiedziała poważnie Bogna, wyciągając dłoń poza obręb anomalii ciepła. Jej palce pokryły się czerwienią, mróz zagryzał swoje niewidzialne zęby na skórze. – Zostań na noc, wyśpij się w cieple, a rano podejmę decyzję.

– Nie mówiłem ci tego, ale bardzo się śpieszę – mruknąłem, również wyciągając dłoń poza anomalię. Znajome zimno zacisnęło się na opuszkach, jakby próbowało się przywitać. – Nawet nie wiesz, jak bardzo.

– Mogę się podzielić z tobą częścią zapasów... Mam benzynę, gaz, mogę ci nawet podmienić butlę i...

– Nie uda ci się znaleźć racjonalnych argumentów, które mnie przekonają – stwierdziłem stanowczo, wyciągając rękę coraz dalej. Uczucie zimna szybko zmieniło się w czysty ból, co znaczyło tyle, że musiało być poniżej trzydziestu. – Mam przynajmniej kilka godzin, nim zmoży mnie sen. A to zawsze kilkadziesiąt albo ponad sto kilometrów bliżej celu.

– Po prostu cię o to proszę i tyle. Chciałabym być pewna, że podejmę właściwą decyzję. Że nie będę żałować wzięcia na siebie odpowiedzialności za życie, zarówno swoje jak i cudze.

Cofnąłem dłoń i z ciekawością obejrzałem, jak błyszcząca przestrzeń między liniami papilarnymi wypełnia się wilgocią i zaraz skrapla w jednym punkcie, po czym swobodnie opada na chodnik.

– Dobrze, wyjadę skoro świt. – Obejrzałem się na Bognę i poklepałem miejsce, gdzie schowałem list od Symona. – Nie chciałbym być winny twojego pośpiechu. Ale będąc szczerym, obawiam się, że od mojej decyzji również zależy wiele ludzkich żyć.

– Pójdę poszukać mat i koców. Przyznaję, że nie spodziewałam się, że się zgodzisz. A już na pewno nie myślałam, że będę mieć gościa na noc.

– Tacy ludzie są zwykle najgościnniejsi – odparłem, zagłębiając się w pachnący kurzem korytarz.

* * *

Wbrew wszelkiej logice, rano zrobiło się chłodniej.

Przewróciłem się na drugi bok, przypadkiem odsłaniając spod koca kawałek ciała. Zimny powiew liznął ukrytą pod swetrem skórę. Obudziłem się zlany potem i przerażony. Dopiero po chwili zdołałem się uspokoić.

Organizm wybudził mnie odruchowo, gdy tylko poczuł spadającą temperaturę. Powinienem być mu wdzięczny, bo takie zachowanie potrafiło ocalić życie w trasie. Ale zarazem miałem ulatujące, dziwne wrażenie, które nie pozwalało mi się ogarnąć. Zupełnie

tak, jakby zostało mi zabrane coś niezwykle istotnego. Może ta dodatkowa godzinka snu? A może sam sen miał znaczenie? Nienawidzę snów niedośnionych do końca.

Zebrałem się do kupy i spakowałem cały majdan. Na sam koniec postanowiłem zdjąć stabilizator ekosfery ze skutera. Zaciągnąłem masywną, czarną skrzynię do środka i otworzyłem wieko.

Poczułem zapach torfu, pieprzu i drażniący w nozdrza płyn do mycia podłóg. Urządzenie kryło się przed światem, upchane kompaktowo wewnątrz walizki, zajmujące jak najmniej miejsca... jak dziecko w pozycji embrionalnej.

Taka moc w moich rękach, w rękach każdego człowieka. Stabilizator ekosfery nie był nawet bronią, on był decyzją, którą każdy mógł podjąć. Pionierzy z całej Federacji rozszerzali jej wpływy na daleki wschód oraz północ, zawsze niosąc ze sobą światło cywilizacji. Z czasem dopiero zrozumiałem, że to światło pochodziło z ognia, wypalającego do żywego, trawiącego wszystko ognia. Napotykalismy przyrodę, która zwykle była niegościnna, obca, niedostosowana do tego, w jaki sposób żyjemy. A że Federacja zajmowała się konsolidacją ziemi i wiecznym poszerzaniem granic, a nie ich stawianiem, to ktoś musiał się poddać.

My się nigdy nie poddaliśmy.

Tam daleko, na wschodzie, pewnie nadal były nieodkryte tereny, gdzie nigdy nie stanęła stopa człowieka. Jednakże jak tam dotrzeć? Kto miałby to zrobić i po co? Jechać przez pustkę, dławic każdy przejaw oporu. Wygładzać świat, by móc go zasiedlić.

Nie mogłem się przemóc po spotkaniu Agerdy. Wspomnienie o niej nie dawało mi spokoju – nie zasłużyłem na niego. Wiedziałem, że póki nie złożę broni i nie oczyszczę się z tego, co zrobiłem, nie zaznam wytchnienia.

Zamknąłem walizkę, czując, jak coraz szybciej bije mi serce. Nie chciałem dawać stabilizatora Boginie. Obiecałem jej, ale popełniłem błąd. Bo dopiero na końcu świata, gdzie nie słychać szumu myśli, gdzie po pustych klasach wieje wiatr, a na wieki zamknięte zeszyty skrywają w sobie krótkie życia dzieci, zrozumiałem swoją lekcję. Zrozumiałem, że podbić krainę, to jak zabić człowieka. Zniszczyć ekosystem, rozerwać łańcuchy pokarmowe i stworzyć nowe, sztuczne środowisko. Nieskończone polany hut, lasy kominów, doliny suchych doków, parki maszyn.

Myśl, która kołatała się w mojej głowie właściwie od zawsze, wreszcie przeskoczyła, jak za naciśnięciem spustu. Nabój spoczywał w komorze tak długo, aż w końcu uwolnił się i nie sposób było zagonić wystrzelonej kuli z powrotem do łuski.

Mój mózg wystrzelił tą jedną, haniebną, niegodną dróznika myślą.

Że może powinniśmy byli się zatrzymać w wiecznym poszerzaniu granic. Należało się zamknąć na jakiś czas w cienkiej błonie cytoplazmatycznej i zajrzeć do środka, na to, co pozostało. Ogromne, puste przestrzenie pomiędzy małutkimi organellami. I ta potworna samotność, która rozdziera ludzi na dwoje i rzuca na przeciwne strony świata. Zupełnie tak, jakbyśmy budując Federację, rozciągali przestrzeń między atomami, zwalniali ich bieg, a przez to obniżali temperaturę.

Byliśmy coraz dalej od siebie, kręciliśmy się w kółko i coraz wolniej, było coraz zimniej i nigdy się nie dotykaliśmy. Taką fizyką przebudli człowieka.

A może to tylko Baba Jaga?

A może to tylko umysł powoli przystosowywał się do nowych informacji?

A może z pewnymi rzeczami trzeba się przespać i gdy człowiek nie jest w stanie sobie z nimi poradzić, to przeobraża się, zrzuca wylinkę i budzi jako całkiem nowy gad?

Więc na pewno byłem nowy, przynajmniej w tym jednym sensie. Powoli czułem, że zbliża się kres życia, które znałem. List do Sahala miał być ostatnim, jaki dostarczę. Trzeba zamknąć wszystkie ziemskie sprawy, podsumować życie i przygotować się na końcową podróż.

Ale to były sprawy na potem. Na scenie było miejsce dla jednej aktorki, musiałem poczekać na swoją kolej.

Ruszyłem w kierunku sali siostry Bogny, przygotowując się na konfrontację.

Gdy wszedłem, powitał mnie jedynie jej zmęczony uśmiech. Bogna przyglądała mi się, co chwilę przecierając podkrążone oczy i chwiejąc się na boki.

– Nie spałaś – stwierdziłem, siadając przy biurku.

– Ty owszem, chrapiesz i to potwornie.

– Tak, żona nie mogła tego znieść. – Na ułamek sekundy uciekłem gdzieś wspomnieniami, w dalekie, ciepłe miejsce o niemożliwym do pomylenia zapachu. – To dlatego, że w tym cieple wszystko ze mnie schodzi. Organizm się regeneruje, oczyszcza i... no, oszczędzę ci szczegółów. Nic pięknego, to na pewno.

– Nie przejmuj się, nie przeszkadzało mi to. Spędziłam większość nocy w sali pomiarowej. – Bogna na moment obróciła się i zamarła. Dopiero po dłuższej chwili ocknęła się i ruszyła po kawę. – Nie muszę mówić, dlaczego, prawda?

Pokiwałem głową na boki i zupełnie tak jak ona ważyłem słowa ostrożnie. Zastanawiałem się, czy powiedzieć jej o swojej decyzji i czy w ogóle była to jakakolwiek decyzja, czy chwilowy wyrzut emocji. Nadal czułem się brudny od pochwycenia stabilizatora

ekosfery. To było jak rękojeść pistoletu, jeszcze nie wystrzeliłem, a już złożyłem odciski palców, które miały wskazywać moją winę.

Bogna nalala mi nieco kawy ze szklanego naczynia, spróbowałem i wszystkie moje wątpliwości rozwiały się, jak na życzenie.

– Nie jest kwaśna – powiedziałem, sam się sobie dziwiąc.

– Znalazłam wśród rupieci sitko, odcedziłam dokładnie te... szumowiny wszystkie takie co się na powierzchni zbierają. Faktycznie, smakuje lepiej. Jest miękka na języku, śliska, jak satynowa pościel.

– Dziękuję, doceniam...

– To ja dziękuję, za to przyjechałeś, choć nie musiałeś. Miałeś dla mnie list i nie tylko... Nie spodziewałam się, że jeszcze kiedyś porozmawiam z drugim człowiekiem.

– No właśnie w kwestii tego. – Zacisnąłem dłonie na kubku z uproszczoną mapą świata i wesołym misiem ze wskaźnikiem. – Chciałem z tobą porozmawiać jeszcze...

– Nie mam zamiaru użyć stabilizatora. – Bogna nie przyglądała się moim reakcjom, a jedynie spoglądała gdzieś w bok, ku sufitowi, z jakimś dziwnym samozadowoleniem. – Musiałam wpięć spytać jego, czy się zgodzi, bym to zrobiła. Całą noc czułam z nim połączenie, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczyłam. Może to choroba radiowa, ale... Użyłam stacji odbiorczej krótkiego zasięgu i po raz pierwszy nie słyszałam szumu, wiesz? Był głos, prawdziwy głos, jego głos. Długi czas rozmawialiśmy o tym kim jesteśmy, jak odczuwamy świat i... co planuję zrobić.

– Rozumiem, nie zgodził się na to, byś go unicestwiła – powiedziałem z powagą, próbując sobie wyobrazić, jak może wyglądać rozmowa z pogodą albo ciśnieniem lub grawitacją.

– Wręcz przeciwnie. Rozmawialiśmy, jeśli tak to mogę nazwać, na temat życia i doszliśmy do bardzo zaskakującego wniosku. Otóż jakkolwiek strasznie to nie zabrzmie, jemu jest obojętne, czy żyje, czy nie. Dla niego to taka różnica jak dla oceanu, w jaki sposób marszczy się jego powierzchnia. Natomiast dla mnie... Ja nie mogłabym z tym żyć, wiesz? Nie mogłabym, bo oswoiłam się z myślą o tym, że postrzegam go jako coś innego. Jest jak człowiek, jak żywiol, jak pasja... Sam wiesz, jak to jest.

– Nie jest niebezpieczny?

– Nie sądzę, a raczej już nie jest. Z wieloma rzeczami tak trzeba się obchodzić, tak myślę. Gdybyśmy mogli porozmawiać z każdą anomalią to kto wie, czy świat nie wyglądałby inaczej? – Bogna zamyśliła się na moment i schowała wzrok w kawie. – Ale to zajmuje kawał życia, by dogadać się chociaż z jednym drzewem. Musielibyśmy wszyscy się długo

starać, a widzisz, jakie są fakty, prawda? Nawet my nie staramy się zrozumieć. Próbujemy zniszczyć i to nie z jakichś mrocznych, górnolotnych pobudek, nie! My niszczymy, bo... wymyślamy sobie durne, niby racjonalne powody. Argumenty, jakkolwiek sensowne, zrodzone ze strachu i chęci, nadal niosą ze sobą coś okrutnego, odpychającego i oddalającego nas od zrozumienia. A ja tak bardzo chciałabym zrozumieć, Artem, zrozumieć ich wszystkich i siebie.

– Teraz mogę ci się przyznać, że... nie dałbym ci tego stabilizatora – wyznałem cicho.
– Może to kwestia tego miejsca? Może to anomalia, a może coś innego, ale... żałuję, że tak późno doszedłem do tak oczywistych wniosków. A zarazem jestem niezwykle szczęśliwy, że wreszcie to zrozumiałem. Liczę na to, że od teraz będzie łatwiej, wiesz?

– Łatwiej? – Bogna zaśmiała się, odkrywając poślizgnięte, niekompletne zęby. – Łatwiej z czym?

– Ze wszystkim! Z drogą, z ludźmi... z życiem... z sobą samym?

Geolożka pokręciła głową na boki i zapatrzyła się na mnie takim wzrokiem, jakim matka patrzy na dziecko, które ewidentnie nie rozumiało, jak wykonać prostą czynność domową.

– Nic nie będzie łatwiejsze, bo nie o łatwość chodzi. Teraz będzie tylko trudniej, bo będziesz dostrzegał nowe poziomy winy w cudzych i własnych poczynaniach. Teraz zobaczysz, jak bardzo zniszczyliśmy świat...

– A ty, co planujesz?

– Dokładnie to samo. Poukładam całe swoje życie do niedużych pudełek, zdejmę plandekę z mojego pięknego, srebrnego skutera, który od dawna leży nieruszany i ruszę w trasę.

– Dokąd? – spytałem zdezorientowany.

– Gdziekolwiek, Artem, naprawdę obojętne mi to. Świat jest pełen rzeczy, które musimy poznać osobiście. Może nad jakiś ciepły brzeg morza, daleko stąd. Chcę zobaczyć to, co ocalało i to, co ludzie tacy jak my zniszczyli. – Bogna parsknęła nagle śmiechem, jakby to co mówiła, wydało się jej niedorzeczne. – Oboje będziemy powoli umierać, więc nie udawajmy, że tego nie chcemy. Baba Jaga może być ostatnią szansą na to, bym zaczęła prawdziwie żyć... i może ty też?

– Mam jeszcze listy do dostarczenia – powiedziałem niemalże odruchowo i zatrzymałem się na moment. Poczułem, jak plecy kłują mnie nagłym bólem, całe ciało jednym, chóralnym okrzykiem daje o sobie znać. – Mam nadzieję, że ostatnie. Ja też już

jestem zmęczony. Muszę ocalić ostatnią rzecz, nim z tym skończę. A potem odejdę gdzieś daleko.

– W takim razie do zobaczenia – szepnęła z uśmiechem Bogna i wyciągnęła dłoń. – Zobaczymy się gdzieś daleko. Jak już pozbędziesz się tej paskudnej, czarnej trumny.

– Nie mam zamiaru jej używać...

– Zmienisz zdanie, wszyscy zmieniamy zdanie. Chodzi o to, by pozbyć się bomb, a nie ich nie zrzucać. Mam nadzieję, że starczy ci życia, by podjąć właściwą decyzję. Nie zawsze trzeba pociągać za spust, nawet jeśli już się wyjęło broń.

Ziemia drżała delikatnie, a kolejne fale ciepła spływały na nas od strony ofoliowanego korytarza. Po chwili dołączyły do nich inne, odległe, ledwie wyczuwalne napływy gorąca.

Całe miasto zamieszkane było przez niepojęte, niewidzialne gołym okiem sieroty, które swoim biciem serc roztopiały śniegi i wyciągały spod ziemi zielone, kwitnące życie. Z tego kosmicznego szumu płynęła żywotna melodia, niewypowiedziana miłość dla istnienia. Czerwona Góra jeszcze nigdy wcześniej i już nigdy później nie była tak pełna ciepła.

Rozdział piąty

Wszystkie szczyty są puste

Śmiech stał się tak pospolity jak szum wiatru. Każda zamieć i zawieja niosła ze sobą ten upiorny chichot, przypominający o minionych wydarzeniach. Nauczyłem się ignorować wszystkie przypadłości dróżniczego życia: mróz, głód, zmęczenie, ale nie śmiech.

Zacząłem mikrodawkować sobie wytlumiacze antyradiacyjne. Nie powinienem był, ponieważ przeczyło to regulaminowi, jednakże rzeczony regulamin nie przewidywał wszystkiego. Cóż, na pewno nie przewidział tego, że będę mieć go w dupie.

O ile hałasy mogłem jeszcze znieść, tak omamy wzrokowe potrafiły doprowadzić mnie na skraj załamania. Cienie zniżały swój lot, przenikały między proszącym śniegiem i zataczały coraz ciaśniejsze kręgi wokół mnie. Bałem się, jakie jeszcze zmysły zaatakuje Baba Jaga i czy w końcu sięgnie po mnie.

Możliwe, że nie byłem nawet świadom tego, jak głęboko wniknęła we mnie choroba. Tak jak śniący nie wie, że śpi, bo wszystko we śnie utwierdza go w przekonaniu co do prawdziwości. Jednak w końcu i ja zrozumiałem, że dzieją się rzeczy podejrzone, budzące słuszną wątpliwość.

Śnieg przestał padać, a zamiast tego jedynie przeskakiwał z miejsca na miejsce, wiedziony potężnymi wichrami. Temperatura spadła do jakichś absurdalnych wartości, których nie było sensu nawet odnotowywać. Czułem, jak zamarza mi wilgoć na gałkach ocznych.

Mój skuter rzeźił coraz ciszej i ciszej, sunąc po wielopiętrowych zaspach śnieżnych. Podłoże zamarzło do tego stopnia, że mógłbym skakać po nim i nie zapadłbym się ani odrobinę. Chociaż to i tak nie miało znaczenia, bo ciężko uwierzyć, bym mógł podskoczyć, tak bardzo byłem zmarznięty.

Co rusz musiałem dokonywać cyrkowych akrobacji, próbując jednocześnie utrzymać kurs i rozgrzewać wszystkie mięśnie. Bałem się, że jeśli nie poruszę jakąś częścią ciała nazbyt długo, to przymarznie ona sama do czegoś i już jej nie odzyskam.

Nie mogłem pojąć, jakim cudem może być tak niewyobrażalnie, piekielnie mroźnie. Jak w najniższych czeluściach, gdzie nigdy nie dotarł żaden promień słońca, a wszelkie ciężkie, lodowe wichry zbierają się wśród wąskich szczelin.

I wtedy do mnie doszło, jak bardzo mam rację.

Odważyłem się zwolnić na moment, aż wreszcie zatrzymać. Samo to było ryzykowne, a o wyłączeniu silnika nie było mowy. Kluczyk przymarzył mi do wnętrza stacyjki, więc musiałem odplątać zabezpieczenie z nadgarstka i szybko pobiec na tył skutera.

Wyszarpałem z torby odbiornik radiowy, wziąłem głęboki oddech i spróbowałem na krótki moment nie myśleć o Babie Jadze.

Wyciągnąłem antenę kierunkową na zewnątrz i zdobyłem się na włączenie nasłuchu.

Śmiech był potworny. Spotęgowany, odbijający się echem wrzaskliwy chichot. Zdawało mi się, że śmiejąca się osoba raz jest starą kobietą, a raz młodym mężczyzną. Jednakże to nie samego naigrywania się szukałem w eterze, a czegoś zgoła innego – jego wytłumienia.

Choć nie widziałem niczego gołym okiem, to odbiornik zdawał się odbierać sumarycznie mniej sygnałów z jednego z kierunków. Igła kompasowa kręciła się jak obrażona, nie chcąc mi pomóc ani odrobinę.

Podjąłem decyzję i pojechałem w kierunku wskazanym przez antenę.

Nie miałem odwagi, by przyznać tego przed sobą samym przez długi czas, aż wreszcie powiedziałem to na głos z całą mocą:

– Zgubiłem się.

Choć Bogiem a prawdą był to bardziej zziębnięty pomruk, wydmuchujący ciepłe powietrze z płuc.

Słowa mają ogromną moc i niczym alkoholik muszący przyznać się do nałogu, dopiero po przyznaniu się do zgubienia, mogłem zacząć szukać drogi do Sahala.

Nie miałem pojęcia, gdzie się znajdowałem ani w jakiej odległości do jakiegokolwiek punktu orientacyjnego. Jedyne, czego byłem pewny, to to, że zjeżdżałem coraz niżej.

Śmiech narastał, a wraz z nim moje przemożne poczucie lęku. Kolejne fale zimna oblewały mnie, ignorując wielowarstwowy strój. Chłód, który ogarniał całe moje ciało, pochodził z wewnątrz. Choć próbowałem zachować spokój, to wszystkie wydarzenia jedynie pogłębiały moje obawy i nie pozwalały ani na moment uciec od mentalnego niebezpieczeństwa.

Najdalej, co może wydawać się dziwne, trzymałem się od racjonalizacji. Wiedziałem, że jeśli spróbuję myśleć racjonalnie, stracę nadzieję jeszcze szybciej. Ponieważ obiektywnie moja sytuacja pogarszała się z każdą chwilą i jedyne, co mogło mnie ocalić, to szaleństwo. Pozbawiona racjonalnych podstaw próba przetrwania, wiara w to, że nieznane mi i niemożliwe do przewidzenia wydarzenia poprawiają moją aktualną sytuację.

A miało być całkiem, kurwa, odwrotnie.

Baba Jaga ścichła nieco, aż w końcu umilkła, lecz na tym dobre wieści się skończyły. Skuter szarpał paskudnie to w lewo to w prawo, miotany coraz silniejszymi wichrami. Gwiżdżący wiatr sprawiał, że aż wciskałem uszy w kołnierz, byleby zagłuszyć podmuchy. Mimo to z każdą chwilą coraz mocniej odczuwałem drążący ból w pęczniejących bębenkach.

Skuter wierzgnął na zaspie śnieżnej, wydając z siebie cichy, urywany warkot. Zaraz podskoczyłem znów i ponownie, aż zdałem sobie sprawę, że wkroczyłem na jakieś pofalowane wertepy, składające się z wysokich na metr wzniesień i zeskoków.

Wicher uderzał z taką mocą, że chwilami potrafił zawiać pod płaską zmarzlinę śnieżną i dąć w lodową taflę niczym w żagiel, podrzucając kilkumetrową płachtę w górę. Gdy pierwsza z lodowych ścian przeleciała obok mnie, byłem pewny, że odchodzę od zmysłów.

Aż wreszcie los chciał, że wiatr urwał ogromny fragment śniegu i cisnął nim niemalże wprost na mnie.

Białe grudy rozbiły się o karoserię skutera i wylądowały na mnie. Prawie zleciałem z maszyny, ale udało mi się zaprzeć o wystający zza mnie ładunek. Pojazd przechylił się niebezpiecznie i zarył boki, zwalniając znacznie, aż w końcu zatrzymując się, częściowo zasypyany w lodowych odłamkach.

Skuliłem się, próbując uniknąć kolejnego ataku gradem, lecz tym razem odłamek uderzył mnie w ramię.

Jeszcze raz wystawiłem radio, by upewnić się, że jadę w dobrym kierunku i ruszyłem z kopyta, nie oszczędzając silnika. W miejscu, gdzie byłem jeszcze kilka sekund wcześniej, przefrunęła gruda lodu dość wielka, by skasować cały skuter, a mnie przerobić na mięsną wkładkę.

Szczerzyłem się pod kaskiem i kominiarką, szczękając niekontrolowanie zębami. Czułem jak każdy uskok ściera mi jedyńki. Co rusz spadałem ze śnieżnych pryzm, wysokich na dwa metry, ale żaden upadek nie był w stanie oderwać mnie od siedzenia, do którego i tak przywarłem.

Teren nachylał się coraz mocniej, gąsienica wypruwała z siebie kolejne metry śnieżnej skorupy, a skuter cisnął przez nieprzeniknioną zamieć. Każda sekunda wysysała ze mnie ciepło i energię. Odciałem się od własnego ciała i skupiłem jedynie na tym, by przetrwać.

Aż wreszcie dostrzegłem niskie, iglaste krzewy. Rachityczna roślinność wystawała ledwie czubkami ponad śnieg, tuląc się do oblizanych białą skał.

Płozy ślizgały się po coraz bardziej stromym zboczu, aż wreszcie coś huknęło, zgrzytnęło dojmująco i zrozumiałem, że mój dzień musi stać się znacznie gorszy.

Działalem na instynktach, wiedząc, że nawet chwila zwłoki może mnie zabić. Jeszcze przez moment próbowałem odpalić maszynę, aż w końcu nie byłem w stanie nawet docisnąć dźwigni gazu. Temperatura spadła w tak zatrważającym tempie, że termometr wyczerpał skalę w okolicach sześćdziesięciu i coś mi w kościach sugerowało, że na tym się nie skończyło.

– A żebyś kurwa zdechł! – krzyknąłem do nikogo i od razu rozboleło mnie gardło.

Wściekły na wszystko i wszystkich zrozumiałem, gdzie leżał mój błąd. Jest to jedna z tych rzeczy, które sprawiają, że ludzkość nieodmiennie mnie fascynuje, a czasem nawet napawa dumą. Umysł jest w stanie w ciągu ułamka sekundy przetworzyć bogactwo informacji. Obrazy i skojarzenia w głowie układają się jak za jakimś magicznym sposobem, którego zapewne jako gatunek nie poznamy jeszcze przez tysiąclecia.

Czyniąc długą historię krótką, gdy już skuter zdechł i moje wnioski nie miały znaczenia, zrozumiałem, co doprowadziło do nagłego ataku mrozu.

Próbując uciec przed zamiecią, skierowałem się na jedyne wykrywalne miejsce, z którego dochodziła specyficzna wiązka sygnałów. A to z kolei wynikało z tego, że na drodze musiał stać jakiś gigantyczny obiekt, odbijający lub wygłuszający fale, najpewniej łańcuch górski lub nadajnik. Wpierw zjeżdżałem coraz niżej, a pod koniec coraz wyżej, co oznaczało, że wpadłem w niekę przed nagłym spiętrzeniem, a takie niecki stanowią idealne miejsce na gromadzenie się zimnego powietrza, co potrafi skutkować obniżeniem temperatury nawet o kilkadziesiąt stopni Celsjusza.

Poczułem się przez moment naprawdę zadowolony z siebie. To wspaniale, że przy tak małej ilości informacji wydedukowałem swoje położenie.

Szkoda kurwa, że zdecydowanie za późno.

Powietrze uciekało ze mnie coraz krótszymi salwami. Wdechy i wydechy zmieniały się w coraz szybsze, rytmiczne uderzenia, przypominające stukot rozpędzającej się lokomotywy.

Wyszarpałem spośród bagaży mój cyrk i zdołałem wbić jedną, odblaskową tyczkę. Ostry grot zdołał przebić zamrożoną powierzchnię. Gdy tak spojrzałem na targany wiatrem, umierający na moich oczach skuter, to aż mi się słabo zrobiło. Nie miałem czasu na pożegnanie, ale chciałem wierzyć, że kiedyś go odnajdę.

Z trudem oderwałem zaczep jednej z linek bagażowych, ubrałem plecak i odpaliłem flarę.

Czerwony, dymiący cylinder syczał cicho, ledwie przebijając się przez wysysający resztki ciepła i nadziei huk wiatru. Powoli, krok po kroku, pełzłem pod górę, niosąc przed sobą źródło światła. Drobiny soli barwiących co rusz spadały mi pod nogi, a ja miałem płonną nadzieję, że zdołam wrócić po nich jak po śladach i przynajmniej się nie zgubić.

Każdy krok wywoływał spazm bólu. Mróz szarpał potwornie, jakby mnie gryzło stado psów w każde miejsce naraz, ciągle i bez przerwy. Wszystkie te psy miały noże zamiast zębów, a każdy ruch powietrza wbijał mi igły pod paznokcie. Jeden za drugim pokonane kroki waliły mnie młotkiem w kolano.

Ból, ból, ból.

Zimno było absolutne, tak, jak tego nigdy nie doświadczyłem. Układ nerwowy zwyczajnie nie miał możliwości, by zrozumieć, co się dzieje. Nikt nie przygotował ludzkiego ciała na interpretowanie takich bodźców. Każdy system tego, co składało się na mnie – Artema – wył, bił na alarm, wzywał na pomoc.

Zamarzałem żywcem. To tak, jakby wszystko we mnie, co miało jakiegokolwiek pokłady energii, dusiło się, tonęło i płonęło jednocześnie.

Po jakimś czasie flara wyczerpała się i zebrałem w sobie siły, by z frustracji cisnąć nią w dół zbocza. Odpaliłem kolejną i spróbowałem przebić się przez nie rzednącą zawieruchę.

Wtedy usłyszałem krzyk.

– Ooo... – Z oddali dobiegł mnie gasnący głos, a właściwie to już samo jego echo.

Nie rozumiałem, jak to możliwe, że zdołałem cokolwiek wyłapać w takim hałasie. Szybko jednak krzyk wybrzmiał po raz drugi, a potem trzeci, już nieco głośniejszy.

– Pomoooc!

Powietrze falowało i kręciło się jak kleista zupa w garze, którą ktoś przyprawił kartongipsem. Błysk przebił się przez tę gęstą szarżyznę, wskazując mi drogę. Odmachałem flarą i znów odpowiedziało mi błysnięcie.

– Tutaj jestem!

Przyśpieszyłem, nie mogąc zrozumieć, co się dzieje. Wiedziałem jedynie, że ludzie byli dokładnie tym, czego potrzebowałem w tamtym momencie. Nie obchodziło mnie, ani jak się tam znaleźli, ani czemu potrzebują pomocy.

Może powinno było?

Z ciemnoszarego wiru wyłoniła się plama czerni, która po chwili przyjęła postać kobiety. Długie, jasne włosy wystawały spod obitego futrem kaptura i przypominały stwardniałe, gumowe kable.

– Błagam, musisz mi pomóc! – wysapała kobieta, patrząc na mnie z bólem. Jej twarz była wykręcona w potwornym strachu i desperacji. – Proszę! Nie zostawiaj mnie! Nie zostawiaj mnie znowu!

Rozejrzałem się, osłaniając twarz od wiatru. Widziałem, że jest ubrana nazbyt cienko, by przetrwać w tych warunkach. Gdy mój wzrok zjechał na czarne, hydrofobowe spodnie, coś zakłuło mnie w sercu. Jej nogi zmieniły się w jeden wielki, czerwony, zamrożony strup. Śnieg dookoła stóp błyszczał się jak karmazynowe lustro, ulepione z grudek krwi.

– Nie... nie wiem jak – wyszeptałem, ale wiatr zagłuszył moje słowa.

Moje uszy drenował wrzask bolejącej kobiety. Dookoła mnie szalał żywioł, którego nie tylko nie dało się powstrzymać, ale i nawet przed nim uciec, ponieważ rozciągał się we wszystkich kierunkach jednakowo.

Śnieg wciskał się w każde zagłębienie ubrań i skóry, a następnie wypełzał, rozprzestrzeniał się jak wysięk, sączący się obrzydliwie po zdrowej tkance. Świat składał się jedynie z chorobliwych odcieni czerwieni, zasypywanych nieustannie bielą.

Zebrałem się na nieludzki wysiłek i zarzuciłem sobie kobietę na plecy. Jej nogi ledwie dotykały śniegu, więc w zasadzie to ciągnąłem ją pod górę. Ciężar jej ciała sprawiał, że przy każdym silniejszym podmuchu bałem się o własną równowagę. Robiłem krok, myśląc tylko o tym, by nie przerwać zmarzniętej pokrywy i nie zapaść się w śnieżną szczelinę. Metry białego puchu wymagały ogromnego nacisku, by pozwolić się skompresować, ale nie wszędzie powierzchnia stanowiła tę samą, równą warstwę.

– Mów do mnie... mów braciszku, mój ty piękny, brylantowy – szepnęła mi kobieta do ucha.

– Przecież mówię, mówię... – odpowiedziałem cokolwiek. Wiedziałem, że jeśli oddamy się monotonii, to ona się wykrwawi, a ja zamarznę. – Mówię do ciebie cały czas. Widzisz, idziemy, pod górę trochę, krok za krokiem... Ciężko łąpać oddech... Coraz ciężiej, wiesz?

– Jak było kiedyś, braciszku, mów mi.

– Kiedyś? Ale kiedy? Co, no... normalnie. Normalnie było zawsze, a jak miało być? Dwanaście lat mrozów, a z dekadę temu Federacja wróciła, no, jaka jest, to każdy sobie sam odpowie, ja sobie żyję.

– A kiedy wszystko się skończyło? Mój braciszku brylantowy?

– Dziesięć lat temu, a wcześniej był okres... błędów, licznych błędów. I ból, krew, strach... dużo strachu było. Tak jak teraz. W mrozie i pod górę, z obciążeniem, ha!

– Kiedy wszystko się skończyło? – powtórzyła kobieta.

– No mówię, dziesięć lat temu, uszy masz nawoskowane czy co?

– Wszystko... Wszystko się skończyło.

– Miesiąc temu – odpowiedziałem, czując, jak mróz zagląda mi do gardła. – Nadal się to dzieje. Kończy się teraz, bo przecież miesiąc to jest nic. Nie umiem sobie wyobrazić, co się stanie, gdy miną dwa miesiące, trzy... rok.

We mgle mignął mi cień. Wysoki na dwa metry, czarny, o żółtych oczach. Stanął tak, jak gdyby nigdy nic i popatrzył na mnie krótko. Zmrużyłem zbiele od zimna oczy. Wilgoć szybko zlepiła moje powieki, a gdy je rozkleiłem, po cieniu nie został ślad.

– Dlaczego?

– Nie poradzę sobie, nie potrafię. Jest mi tak zimno... Mam po prostu dość.

Kolejna flara dopaliła się do końca i nie miałem już siły, by zmieniać uchwyt. Miałem wrażenie, że moje dłonie przymarzły do dłoni niesionej kobiety. Bez czerwonej poświaty zamieć znów przytłoczyła mnie całkowitą bielą. Wszystko zlewało się w jedno do tego stopnia, że nie byłem pewny, czy obraz jest tak monotony, czy ja oślepiłem.

– Dlaczego to zrobiłeś? – spytała ponownie, świszczącym, cichym głosem.

– Nie chciałem...

– Dlaczego ją zostawiłeś? Dlaczego ich zabiłeś?

– Co? Nie, to przecież nie ja...

Kościste palce zacisnęły się na mojej szyi. Cały ból, jaki czułem do tej pory, był niczym, wobec tego, który zgromił mnie w tamtym momencie. Zupełnie tak, jakby całe powietrze zamarzło w moich płucach na jedną, przezroczystą bryłę lodu, którą organizm nieudolnie próbował wykrztusić.

– Ty ich zabiłeś – szeptała mi kobieta do ucha. Jej głos przypominał świst wiatru między uchylonymi drzwiami. – Sam zaniósłeś im materiały. Wiedziałeś, że to niebezpieczne. Zginęli przez ciebie i nie masz prawa zaznać spokoju. Umrzesz teraz, niczego nie rozumiejąc.

Cudem zerwałem z siebie przymarzniete ręce i zrzuciłem kobietę. Obróciłem się, upadając plecami w śnieg. Nieznajoma czołgała się po ziemi, ciągnąc za sobą czerwony ślad z wielkiego strupa, w jaki zmieniły się jej nogi. Widziałem szerniałą twarz, którą odmrożenia pozbawiły nosa i powiek.

– Artem Jadow – szczykała spomiędzy pozbawiony warg ust. – Morderca, dzieciobójca. Artem Jadow, sprzedał swoją rodzinę za medal. Artem Jadow, niesie śmierć i choroby... Złe wieści!

Trup wpełzł na mnie. Mocowałem się z nim długi czas, aż w końcu poczułem, jak całe ciepło opuszcza moje ciało. Zostaje tylko pustka, w której nie było miejsca ani na wiatr, ani na zimno. Tylko ciągła biel, do samego końca białe.

* * *

Nie miałem snów. Zostało mi tylko poczucie, jakbym coś śnił, ale nie było samych snów. Widziałem twarze i czułem emocje – nowe, wcześniej mi obce. Żal, gniew, radość, nawet miłość, ale nie rozumiałem, dlaczego odczuwałem je na widok tych konkretnych twarzy. Kręciłem się myślami wokół tego uczucia, badałem je, obserwowałem i sporadycznie dotykałem na nowo, by sprawdzić, czy nie zniknęło. Jak dziecko albo kot, poznawałem świat i bawiłem się nim, by nie odpłynąć. Byleby znowu nie zasnąć, bo wiedziałem, że mogę nigdy nie wrócić z tej bieli. Że drugi raz z pustki nie wrócę.

A po uczuciach przyszedł czas na myśli, wspomnienia, aż w końcu, w przełomowym momencie, książki moich zmysłów powróciły na swoje ziemie. Wpierw najstarszy z synów – wąż, z dokładnością badający bezwzględność naturę płynu do mycia podłóg. Dopiero za nim przyszedł wiecznie drugi dotyk, twardy i przyziemny, prosty jak ból pleców. Wzrok nadszedł bez zwyczajowej pompy, w kilku ciemnych plamach, szwendających się pod chirurgicznie czystym sufitem. Słuch, wybitnie utalentowany, a zmuszony do tak niegodnej go pracy, zapisywał monotonię życia – stukot maszyny, szurnięcia kapci po dywanie, bełkotliwe echa pomruków. Nikt już nie czekał na smak, skazanego na infamię bękarta, który jedyne, co miał do zaoferowania, to te same, mdłe obierki – przyrastające do zębów usta i krew dziąseł.

Wśród majaków i niewyraźnych kształtów goniłem za jakimś sensem. Pojedynczymi, uchwytnymi w ramy realnego świata wydarzeniami. Wiem, że ktoś nakładał krem na całe moje ciało. Jedna osoba mnie trzymała, druga robiła zastrzyk z przeźroczystej ampułki. Człowiek w takich chwilach zapamiętuje bezużyteczne detale: chropowatość bandażu, zapach kurzu z otwieranej apteczki, to, że ktoś użył słowa „Grucznicy”.

To ostatnie mogło równie dobrze być przypadkiem, ale na moment pozwoliło mi się wyprawić w daleką podróż. Myślami zwiedziłem całe pasmo górskie, które nie istnieje. Tajga zasypana śniegiem na kilka metrów, spłoszona zwierzyna, głębokie jary, sokół wzywający wszystkich wokół. Sobolak stał wśród innych, których twarzy nie widziałem. Miał ciemną, opaloną odbitym słońcem skórę i grubą, futrzastą kurtkę. Zacięta, trzeźwa twarz skierowana była na mnie.

A potem wizje odeszły, przychodził sen, majaki i tak w kółko.

Wreszcie jawa została ze mną na dłużej. Poczułem, że ciężko mi się oddycha, poszczególne fragmenty ciała ciągnęły bólem, a ja kontrolowałem to, jak mrugałem i na co patrzyłem. To, co zwykliśmy nazywać świadomością, łaskawie powróciło na swoje miejsce.

Spróbowałem poruszyć powoli palcami, później całymi kończynami, aż wreszcie nieudolnie przesunąłem nogę na bok i zrzuciłem coś z hukiem.

Przestraszona kobieta wbiegła do pomieszczenia, lecz gdy mnie dostrzegła, od razu się uspokoiła i przybrała zaledwie nieufny wyraz twarzy. Spodziewała się czegoś gorszego – byłem pewny.

Miała skórę koloru starych cegieł, które z czasem obrósł ciemny kopeć, a słońce wysuszyło do cna. Zdawało mi się, że gdyby upadła, połamałaby się na kilkanaście fragmentów i osypała pyłem. Spod rzadkich brwi wystawała para mądrych, skupionych oczu, wbitych prosto we mnie. Cała jej postawa i sposób poruszania się wraz z mimiką kontrastowały z wyglądem, który przypisałbym raczej zabiedzonym babom, marnującym sobie życie w prowincjonalnym zakładzie. Mój umysł meandrował po powierzchni jak rzadko, analizując to, co płytkie, a nie głębokie, to, co zwykle mnie nie interesowało. Brązowe włosy, gruba szyja, brudny fartuch roboczy i zawinięte rękawy, odsłaniające włochate, pożyczone ręce.

– Czy słyszysz, co do ciebie mówię? – spytała poważnie nieznajoma.

– Tak – odpowiedziałem krótko i od razu poczułem, że potwornie boli mnie gardło. Ważyłem ostrożnie następne słowa, próbując zwalczyć naturalną ciekawość. – Gdzie jestem?

– Nie wiem, czy mogę ci na razie powiedzieć.

– Czy jestem bezpieczny?

– Póki co – stwierdziła kobieta i spojrzała na coś lub na kogoś za framugą. Kiwnęła porozumiewawczo głową i spojrzała znów na mnie. – Pamiętasz, jak się tu znalazłeś?

Dół tak zimny, że wspomnienia o nim kłuły bólem. Kobieta ciągnąca za sobą krwawy ślad. Taniec flar wśród zamieci. Uścisk kościstych dłoni i bezbrzeżne poczucie winy, nienawiści do samego siebie.

– Powiedzmy.

– Co tutaj robiłeś?

Kobieta zadawała pytania rzeczowo, głosem pewnym siebie i przyzwyczajonym do objaśniania wszystkim stanu świata bez emocji i niepotrzebnych figur retorycznych. Coś w jej postawie kazało mi przypuszczać, że jest nauczycielką. Wewnętrzne przecucie, może stereotyp, wspomnienia ze szkoły wyłazące na powierzchnię oceanu myśli.

– Ciężko mi powiedzieć – stwierdziłem zgodnie z prawdą, chcąc usiąść na krawędzi łóżka. Kobieta o spieczonej twarzy drgnęła nerwowo, nie wiem, czy przez to, co powiedziałem, czy zrobiłem. – Uciekałem przed zamiecią, ale straciłem skuter. Kurwa jego mać, ten skuter pierdolony.

Spróbowałem wstać, sycząc przy tym z bólu. Spojrzałem na postawione w rogu lustro i przysunąłem się do niego bliżej, krok za krokiem.

– Nie powinienes wstawać, jeszcze za wcześnie.

– Jestem spóźniony... – Stałem przed lustrem i zobaczyłem napęczniałe od bąbli ciało, pokryte licznymi pasami wilgotnego bandaża. – Ja kurwie... w dupę zapierdolona mać!

– Kolejny troglodyta, świetnie. Dogadasz się z Leonidem – fuknęła kobieta i nagle skrzywiła się, jakby sobie przypomniała o czymś nieprzyjemnym. – Jak ci na imię?

– Imię? – Zdziwiłem się, bo w sumie zdążyłem zapomnieć o uprzejmościach. Może zamarzyły w dole wraz z całym moim dobytkiem albo zdechły wraz z częścią mojej skóry. – Artem Jadów, dróżnik.

– Co tutaj robiłeś?

– A ty nie masz imienia? – spytałem zirytowany, oglądając dokładnie finezyjne kształty, jakie przyjmowała limfa tańcząca pod białą skórą.

– Wanda Panek, faktycznie, zapomniałam – odparła szorstko, głosem, który wcale nie brzmiał, jakby jej było przykro ani w ogóle ją to obchodziło. Co więcej, raczej była zmęczona faktem, że musiała odpowiadać na jakiegokolwiek pytania, zamiast je zadawać. – Jeśli jesteś dróżnikiem, to dziwne, że dałeś się złapać w zamieć.

– Wręcz przeciwnie, to bardzo typowe. Jak dawno temu mnie znaleźliście?

– Dziś mija trzeci dzień, ponoć najgorszy. Przez ostatnie dwa dni obmywaliśmy cię ciepłą wodą. Odmrożenia nie bołą, boli dopiero ich leczenie.

– Gówno prawda, bołą, jakby zginiatarka do śmieci łamała ci kręgosłup – warknąłem z bezsilności. Świat zaciskał się dookoła mnie, a ja wodziłem wzrokiem po niewielkim, białym pokoiku, próbując uspokoić tabun myśli. – Macie może ciągnik wiertłowy? Albo inny holownik przystosowany do dużego nachylenia terenu? Muszę odzyskać skuter, zanim cały popęka. Jeśli padł w dole, to...

– Leonid już odzyskał wraz z bagażem.

Odetchnąłem z ulgą. Dosłownie złapałem się za serce i westchnąłem sobie tak głęboko i długo, jak nigdy w życiu. Ciepło rozlało mi się od uszu w dół kręgosłupa i nie zniknęło przez dobre kilkanaście sekund. Lecz gdy zniknęło, to z całą mocą obnażyło to, jak okropnie się czułem.

Opadłem na łóżko i wsparłem się łokciami o kolana. Próbowałem nie zemdleć wśród zielonych i niebieskich plam, majaczących mi przed oczami. Na tle białych ścian falowały przeróżne kształty, mogące równie dobrze świadczyć o wstrząsie mózgu, co o zbliżających się wymiotach lub omdleniu.

– Kiedy jedziesz sam, potrzebujesz bodźców – powiedziałem, choć nie wiem czemu. Być może mówiłem bardziej do siebie niż do Wandy. – Tysiące kilometrów powtarzalnego pejzażu potrafią zabić człowieka. Dosłownie i w przenośni... Musisz... Ja muszę co jakiś czas się przebudzić, ale ciężko znaleźć na to sposób. Nie ma jak się uszczypnąć, a wszędzie biel, pustka. Dlatego przeklinam albo gadam głupoty, zwykle straszne bzdury. Im większa profanacja, tym silniejszy bodziec. Najpierw to działa świetnie, a potem jak z narkotykami... coraz większa dawka spierdolenia.

Wanda przysłuchiwała się z udawaną powagą. Miałem wrażenie, że myślami jest gdzieś dookoła mnie, wiruje w przestrzeni i analizuje. Możliwe, że nie obchodziło jej to, co mówię, ale sam fakt, że postanowiłem mówić.

– Weszło mi to w nawyk, zatem nie miej mi za złe za języka, bo właśnie przepierdoliłem wszystko.

– A życie?

– Życie przepierdoliłem dawno.

Kobieta poczekała chwilę i zniknęła gdzieś za drzwiami. Miałem trochę czasu, by dojść do siebie. Zacząłem rozmyślać: ile zostało mi dni trasy? Czy dam radę naprawić skuter? Czy Magnetańsk w ogóle jeszcze istnieje? Próbowałem się pocieszyć, bo nie zostało mi nic innego. Może komuś się udało? Może zmieniono zdanie? Może...

Zamęczanie się i gdybanie przerwał nagły huk otwieranych drzwi.

– Skąd miałeś ciało Fridy?! – krzyknął jakiś brodaty facet, wpadając z impetem do sali.

Wanda weszła pewnym i szybkim krokiem zaraz za obcym, niosąc tackę. Z łoskotem odstawiła kubki na szafkę, wylewając smoliście czarną herbatę i wnet chwyciła faceta za ramię.

– Uspokój się!

– Sama się uspokój! – odparł jej brodacze i spojrzał na mnie ze złością. Nieraz słyszałem frazę, że ktoś ma tak zwane kurwiki w oczach, ale pierwszy raz widziałem je naprawdę. Czerwone żyłki błyskały na powierzchni wyłupiastych gałek ocznych, jakby zaraz miały pęknąć. – Gadaj, przybłędo, jak ją zabiłeś?

– Kogo? – spytałem i dopiero wtedy przypomniałem sobie wyszczerbioną czaszkę kobiety i dopadła mnie nagła duszność. – Ach, tak... faktycznie, było tak.

– A było, było, było! – Frustrat zapowietrzył się potwornie, rozejrzał dookoła i jednym haustem wypił pół kubka gorącej herbaty.

– Leonid, to była moja herbata – wtrąciła Wanda.

– To była jego herbata – poprawił Leonid.

– Ja nawet, kurwa, nie mam zmiennej pary gaci, nie wspominając o jakiejś w dupę zajebanej herbacie – odpowiedziałem.

Leonid zamarł z kubkiem przyłożonym do ust i na moment uspokoił się nieznacznie. Wystarczająco, bym dostrzegł, że pod skołtunioną brodą ukrywał czerwoną, pokrytą czyrakami twarz... A właściwie, to bliżej prawdy byłoby powiedzieć: mordę.

– Miałam cię o to spytać... to jest ta kwestia braku zaufania.

– No to pytaj.

– Dlaczego miałeś ze sobą ciało Fridy Gausel? – spytała Wanda, uważnie studiując moją twarz. Na moment obydwójce przybrali niezwykle skupione miny, jakby oczekiwali co najmniej wystrzału z armaty.

– Bo jak znalazłem jej ciało, to jeszcze żyła – powiedziałem cicho, jakbym wpierw sam chciał usłyszeć te słowa. Nie byłem pewny, czy faktycznie tak było, czy od początku moje nerwy szarpała Baba Jaga. – Słabo to pamiętam, ale mogę wam powiedzieć to, co sam widziałem. Gdy straciłem skuter, zacząłem wspinać się pod górę. Zbocze nie było nazbyt strome, ale i tak droga stanowiła męczarnię. Odruchowo zacząłem odpalać flary, choć Bogiem a prawdą, to nieszczególnie wierzyłem, że ktoś je zobaczy. Po prostu miałem je ze sobą i chciałem się pozbyć balastu i... no, powiedzmy, że odruch, szkolenie, jak zwał tak zwał. Ślepiłem z każdą chwilą, aż nagle usłyszałem wołanie albo przynajmniej wydawało mi się, że je słyszę. Znalazłem ją w stanie agonalnym, krwawiła z nóg, nie mogła ustać. Nie widziałem żywego człowieka od dawna, więc na początku nawet nie wiedziałem, czy to sen, czy jawa. Tak czy inaczej, chwyciłem ją, pociągnąłem jakiś czas w górę, a potem...

Przerwałem na moment opowieść, myśląc nad tym, czy wyznać prawdę, wymyślić coś bardziej realistycznego, czy po prostu przemilczeć dalsze wydarzenia. W końcu nie wszyscy musieli wiedzieć, że jestem chory.

Jestem chory... jak to strasznie brzmi. Ciężko nawet tak o sobie myśleć, zwłaszcza gdy od przeżycia zależy wiara w siebie. A mało co tak odbiera poczucie woli, jak zrobienie z siebie ofiary.

– A potem cię znaleźliśmy, nieprzytomnego, z naszą martwą koleżanką – dokończyła chłodno Wanda.

– Skurwysyn – warknął Leonid. – Co za, kurwa... sam nie wiem. Durna śmierć.

– Pokaż mi kogoś, kto mądrze umarł.

– Prawda – przyznał brodac, siląc się na pierwszy, niemrawy uśmiech. Jego twarz stanowiła ogorzałą maskę, zdolną wyrazić jedynie gniew i rozgoryczenie. Miałem wrażenie, jakbym widział w życiu setki takich twarzy. – Mówiła coś? Przed śmiercią? Czemu wyszła, może kogoś wołała?

– Leonid! – syknęła Wanda i ściągnęła usta w wąską kreskę. W mgnieniu oka odzyskała spokój i zwróciła się do mnie. – Na tym chyba możemy skończyć, przynajmniej teraz. To, co powiedziałeś, pokrywa się z tym, co sami dostrzegliśmy. My... mieliśmy różne teorie, musisz nam wybaczyć. Nie możemy nikomu ufać, mamy to nawet w regulaminie stacji.

– Jakiej stacji?

– Witamy w obiekcie 1370 – rzucił gorzko Leonid, żałując, że nie ma gdzie splunąć. – Położonym na malowniczym łańcuchu Gór Czałupich. Jesteś pierwszą osobą, która tu dotarła... No, może pierwszym człowiekiem, tak powiedzmy.

– Musisz zrozumieć, że twoje pojawienie się jest dla nas niezwykle kłopotliwe – dodała Wanda, podając mi wystygły już kubek z herbatą. – Znaleźliśmy cię i wykurowaliśmy trochę z ciekawości, a trochę z litości. Był remis w głosowaniu, czwartym głosem byłaby Frida, ale to ją ze sobą przywlokłeś, a raczej to, co z niej zostało. Odroczyliśmy wydanie na ciebie wyroku do zebrania świadectwa.

– I jaki jest werdykt?

Wanda nie odpowiedziała, zamiast tego po prostu wskazała na stojącą w rogu szafkę z malowanego na szpitalną zieleń lakierowanego drewna.

– Zejdź do nas, gdy już się doprowadzisz do porządku... Musisz poznać resztę.

– No i widok z okna jest dopierdolony – rzucił Leonid, choć jego twarz i głos nadal wyrażały, że wcale mnie tu nie chce.

Nie zostałem sam na długo. Po kilku próbach udało mi się wstać i zrobić kilka swobodnych kroków. Ból odzywał się zwykle niespodziewanie, jakby jakiś niewidzialny podmuch wiatru poruszał odsłonięte, wrażliwe nerwy.

Był jeszcze rzecz jasna kłopotliwa kwestia – moja choroba. Nie chciałem im o niej mówić, bo niechybnie wyrzuciliby mnie na ten mróz, więc przezornie postanowiłem omijać ten temat. Założenie, że Baba Jaga była zaraźliwa, nadal stanowiło jedynie teorię, jakkolwiek

najsensowniejszą. Postanowiłem zrobić to, co każda dojrzała osoba w obliczu nieuchronnego – zignorować to.

W szafie znalazłem ubrania, które oglądałem ze wszystkich stron z nieufnością. Wreszcie zrozumiałem, że należą do mnie. Pocerowane, wyprane, noszące nieliczne ślady drobnych przepaleń, zapewne pochodzących jeszcze z nurkowania w anomalii Agerdołu. Z jakiegoś powodu te kilka dziurek nie zostało załatanych, ale nie przeszkadzało mi to. Zapasowe ubrania miałem i tak schowane w bagażach na skuterze, ale sam fakt, że komuś się chciało naprawić to, co miałem na sobie, nappełnił mnie dziwnym ciepłem.

To było najzwyczajniej w świecie miłe i chyba od dawna nie czułem, że ktoś był dla mnie miły. Ludzka przyzwoitość stanowiła anomalię nie mniejszą niż radiowe halucynacje, przebijające się przez eter.

Zapach świeżego prania obudził w moim mózgu rejony, o których zapomniałem, że istnieją.

Wyszedłem z pokoju i poczułem, jak lekko chropowaty materiał opina i zaczepia moją zmarzniętą skórę. Drobne nitki szarpią za wystające, wypełnione limfą bąble i zbielełe strupy.

Po lewej ciągnął się korytarz, prowadzący do jeszcze kilku pomieszczeń, zaś po prawej znajdowało się zwężenie, prowadzące do okrężnego korytarza. Przez chwilę nie byłem w stanie nawet zrozumieć, gdzie się znajduję. Gdybym miał powiedzieć szczerze, to przypominało to wnętrze kosmicznego spodka albo łodzi podwodnej. Obłożony szklanymi, nabrzmiałymi płytkami sufit sprawiał wrażenie, jakbym poruszał się pod powierzchnią jeziora, zaś kolorowe ściany oślepiały mnogością barwnych kafli. Szara, filcowa wykładzina nosiła na sobie ślady dziesiątek tysięcy spacerów tam i z powrotem, jak więzienny spacerniak.

Skręciłem w prawo, ostrożnie wysuwając przed siebie jedną dłoń, drugą opierając się o śliską powierzchnię ściany. Kit szcerniał od wilgoci, zostawiając na opuszkach klejące się czarne drobinki.

Minąłem jeszcze drzwi prowadzące do narożnego pomieszczenia oraz łącznik z małą kuchnią, gdy wreszcie wyszedłem do zasadniczej części korytarza, czy też raczej holu. Obite błękitnymi płytkami kolumny unosiły strop z nieprzezroczystego szkła, a ja nie mogłem pojąć, czy na pewno jestem jeszcze na terenie Federacji, czy już innej planety.

Budynek, w którym się znajdowałem, miał okrągły, a przynajmniej zaokrąglony kształt. Pomieszczenia rozstawiono na powierzchni tego dziwaczного obwarzanka, ale

w tamtym momencie nie mogłem się nawet na nich skupić. Nie obchodziło mnie, co jest wewnątrz obiektu 1370, obchodziło mnie, co jest na zewnątrz.

Zewnętrzna ściana budynku składała się z dwóch grubych warstw szkła. Za oknami zbierał się śnieg, przylegający zlodowaciałymi warstwami jak plamy na ciele chorego.

Stałem przed szklanym łukiem, wyglądając spomiędzy białych, iskrzących się odcisków potwornego mrozu. Widok zapierał dech w piersiach dosłownie i w przenośni. Choć wewnątrz było dość ciepło, że mogłem chodzić w samych skarpetkach, to na zewnątrz szalał przeraźliwy ziąb.

Znajdowałem się setki, jeśli nie tysiące metrów nad ziemią. Stacja zwieszała się ze zbocza góry, obserwując okoliczny łańcuch. Chyba nigdy wcześniej nie byłem tak wysoko. Lodowe pręgi w kolorze akwamaryny spływały ze szczytów gór, tworząc przedziwny miraż barw. Słońce przebijało się z idealnie czystego nieba i wyławiało skalne iglice z morza stalowo szarych chmur. Był środek lata, słoneczny dzień, a temperatura na zewnątrz skręcała mięśnie w supelki. Krajobraz stanowił doskonałą, zatrzymaną w bezruchu panoramę śniegu, mieniaćego się odcieniami błękitu, wpadającego w srebrzystość. Zupełnie tak, jakby ten śnieg był prastary, tak stary, że w tych wyjątkowych warunkach wyewoluował. Przeobraził się jak kora na martwym drzewie, przyjął formę kryształu, opierającego się upływowi czasu.

– Robi wrażenie, prawda? – spytał mnie głos z oddali. – Zaraz podejść, poczekaj tam na mnie.

Obróciłem się, ale za mną jedynie ciągnął się przeszlony pierścień, kończący się na otwartych podwójnych drzwiach i prostopadłej do nich ścianie, obwieszonej zdjęciami. W ramach znajdowały się niewielkich rozmiarów fotografie, przedstawiające czarne kształty, odcinające się na białym tle.

Zbliżyłem się do ściany i przyjrzałem z bliska ujęciom: jacyś ludzie, wśród nich Wanda i Leonid, kilka lat młodszy, choć działało to tylko na korzyść tej pierwszej. Zaraz dalej przesmyk górski, upstrzona kwiatami dolina, ośnieżony szczyt, wreszcie sam obiekt na szczycie, widziany z zewnątrz. Ktoś wbrew aranżacji umieścił na ścianie plan ewakuacyjny budynku, choć Bogiem a prawdą nie wiem, czy było dokąd się ewakuować. Na rysunku z łatwością dostrzegłem rozkład sypialń, korytarzy, kuchnię, pokój socjalny, składziki i tym podobne, ale znajdowały się tam też obiekty trudniejsze do przeanalizowania. Garaż? Magazyn? Obok mniejsza szopa? Najbardziej zaskakujące było to, że sam obiekt 1370 składał się z trzech talerzy, nałożonych na siebie. Największy z nich, stanowiący podstawę, pełnił funkcję mieszkalną, zaś średni, nachodzący na niego w połowie, zawierał pomieszczenia gospodarcze i schody przeciwpożarowe, zejście na zewnętrzny taras i do

niezidentyfikowanych pomieszczeń. Centralny, ułożony najwyżej i zarazem najmniejszy z talerzy, górujący nad wszystkim jak kapelusz grzyba na wąskiej nóżce, służył zapewne jako stacja odbiorcza albo obserwatorium.

Powoli przeniosłem wzrok dalej, na zdjęcia ustawione u samego końca. Dwie fotografie: grupa ludzi w futrach, widziana w oddali, zdjęcie jakby zrobione w ruchu albo z ukrycia, a na drugim drzewo oberżnięte z kory, wypisane w symbole, znaki myśliwskie, jakiś szyfr.

– Cieszę się, że ci się podobają, ale oryginał jest za oknem – powiedział z lekkim niepokojem obcy, wychodząc z pomieszczenia socjalnego. – Konstanty, miło mi. Ty to Artem, prawda? Wanda mi powiedziała, gdy przechodziła. Przykro mi, że poznajemy się w takich okolicznościach.

Jego oczy błyszczały się wesoło pod rudymi brwiami. Wyglądał jak obleczony w ludzką skórę płomyk, postać z jakiejś bajki o ożywionych świeczkach i naczyniach kuchennych. Zakręcił rozpalonego do czerwoności wasa i wyciągnął dłoń na przywitanie.

– Bywało lepiej, to prawda. Czyli poznałem już całą trójkę?

– Czwórkę – mruknął bez entuzjazmu. – Ale rozumiem, że... no ciężko jest liczyć Fridę, ogromna strata, niezwykła przykrość dla nas wszystkich. No, ale cóż, tak to chyba bywa ze śmiercią, że smutek nadchodzi dopiero po czasie, prawda? Najpierw jest wyparcie i niedowierzanie... To mogę być teraz ja, wiesz? Tak po prostu nie dowierzam.

– Jest tak, jak mówisz, przykro mi. Cieszę się, że mnie nie zostawiliście na zewnątrz.

– Na zewnątrz?! – Konstanty zaśmiał się gromko i poklepał mnie po ramieniu. Wzdrygnąłem się odruchowo, ale ten nawet tego nie zauważył, tylko teatralnie otarł niewidzialną łzę z powiek. – Kawalarz z ciebie, górskie powietrze ci służy, co? Nieee, nie zostawilibyśmy cię. No, ale trzeba przyznać, że musieliśmy nieco wyjść przed szereg, wiesz?

– A mianowicie z czym?

– Z niezabiciem cię, oczywiście! Wiesz, to oficjalnie teren wojskowy, a ty wszedłeś na niego bez pozwolenia. Leonid powinien był cię zastrzelić, ale wspólnie podjęliśmy decyzję, by tego nie robić.

Konstanty przyglądał mi się w milczeniu i nie rozumiałem, czego ode mnie oczekiwał. Dopiero po chwili, gdy już było za późno i lekko się skrzywił, zrozumiałem, że czekał na podziękowania.

Miałem być wdzięczny, że mnie nie dobili, gdy leżałem zamarznięty w śniegu.

– Cieszę się... że żyję – wyraziłem przypuszczenie, nie bardzo wiedząc, czy mówię prawdę.

Mój interlokutor niemal doskonale skrył irytację, stale podtrzymując dobroduszną, prawie że naiwną maskę.

– Złapała cię paskudna zamieć, co? Dobrze, żeśmy cię wyciągnęli. Wiesz, lepiej teraz, niż potem skuwać przy pomiarach.

– Jakich pomiarach?

– Aaa, kurza twarz, może nie powinienem mówić... No, ale trudno. Nie da się tego ukrywać, skoro już tu jesteś, prawda? Na pewno sam byś się domyślił, jak ci moja żona nie powiedziała. – Konstanty rozłożył ręce, cały czas patrząc na mnie. Przez moment myślałem, że chce mnie przytulić, ale zaraz doszło do mnie, że to taki gest prezentacyjny, zresztą bardzo kiczowaty. – Witamy w obiekcie 1370, najwyżej położonej stacji badawczej na łańcuchu Czałupskim. Góry Czałupie, łańcuch, pasmo, jak zwał tak zwał, to my! Nasza ziemia! Nasza krew! Ku szczytom prowadzi nas Federacja, dosłownie i w przenośni. Powiedz mi, uraduj mnie, czy jesteś pionierem?

– Tak mi się zdaje...

– Tak mi się zdaje? To nie jest zdanie, które powiedziałby prawdziwy pionier.

– Od dwudziestu lat służę Federacji, więc tak, jestem pionierem – przyznałem twardo, czując, że Konstanty zaczyna metaforyczne mierzenie się chujami, którego tak bardzo nie lubiłem. – Objechałem wszystkie zamarzniete pipidówki na wschodnich rubieżach, a do tego potrzeba hartu ducha.

– Dobrze mi to słyszeć! – zadeklarował równie wesoło co fałszywie Konstanty i klepnął mnie w ramię, tuż nad bandażem. – No, ale my tutaj też mamy zamarznietą, jak to powiedziałeś, pipidówkę! A co do pomiarów, bo od tego zaczęliśmy i pewnie na tym skończymy... Jeszcze chwila i byś tam zszedł, wiesz? Wpadłeś w nieckę, kieszeń termalną. Chłodne powietrze schodzi nisko i osadza się wewnątrz takich wgłębień, jak gęste mleko w misce. To właśnie tam, a nie na szczycie Czałachu, odnotowywaliśmy rekordy.

– Poczułem to na własnej skórze.

– Oj, to tylko przedsmak. Nie mam pełnych danych, ale jeśli się nie mylę, to doświadczyłeś zaledwie sześćdziesięciu stopni mrozu. W szczytowych momentach odnotowywaliśmy ponad siedemdziesiąt! – Konstanty na moment spowaźniał i przeszył mnie ostrym spojrzeniem. – Temperatura potrafi spaść tak nisko, że czas zwalnia. W końcu życie to ruch, ciepło, rozgrzane cząsteczki. Jeśli je zwolnić, to jest pozbawić ciepła i energii... No, ale to już po godzinach, nie w pracy. Takie teorie znaczy się...

– I badacie tu pogodę?

– Och, nie tylko! Badamy glebę, rzeźbę terenu, ja jednak miłuję się w badaniach radioastronomicznych i prywatnie radiologicznych, choć nie cieszą się one tak wysoką estymą, jak pozostałe. – Konstanty zamyślił się na moment i z nietęgą miną szepnął: – Do czasu incydentu badaliśmy też właśnie pogodę, ale chyba na to już nie ma szans. Skoro już nie ma z nami Fridy... no, gdybyśmy znaleźli wysłany przez nią balon, to kto wie! Po to zresztą pewnie poszła, taką mamy roboczą teorię. Cholera, chyba nie powinienem ci mówić, co? Czy już mogę? Sam nie wiem.

– Balon meteorologiczny? – Zatrzymałem się w pół zdania, nie będąc pewny, czy powinienem w ogóle kontynuować. – Jak wyglądał?

– Jak? Normalnie. Balonu nie widziałeś? Wielka kopuła balonu, to nie muszę ci tłumaczyć, taka koperta niby brezentowa, właściwie to nowoczesny polimer... Szara albo brązowa, cholera wie, bo z czasem mogła zmienić kolor. Pod tym gwizdylion lin i aparatura pomiarowa. To, co akurat nie wystawało na zewnątrz, by odbierać sygnały, było schowane wewnątrz ochronnej skrzyni. Całość nie powinna być większa od schowka na miotły.

– To zabrzmiało dziwnie, ale chyba go widziałem.

– Widziałeś nasz balon? Gdzie? Nad górami?

– Neeee... Wręcz przeciwnie, bardzo nisko. – Rozejrzałem się zdezorientowany, szybko tracąc przekonanie co do własnych słów. – Rozbił się w lesie, zrobiłem z niego namiot. Przepraszam, nie wiedziałem, że jeszcze się przyda.

– Pal licha ten balon, szkoda samej aparatury. – Konstanty spoglądał gdzieś w dal, za okno, dostrzegając coś niewidzialnego dla mnie wśród surowych krajobrazów. – To całkiem zmyślna maszyna, niemalże autonomiczna. No, nie tak jak w powieściach oczywiście, ale tak bardziej realnie. Zaprojektowano go, by po jakimś czasie włączał niewielkie silniki i kierował się na sygnaturę magnetyczną gór. Natomiast nawet sam magnetyzm w Górach Czałupich jest swoistą zagadką, ale to może już nie moja ekspertyza, tylko Wandy. Żałuję, że nie ma lepszych sposobów na sterowanie jednostkami autonomicznymi.

– Domyślam się, że długi drut nie wchodzi w grę?

– Zabawny jesteś – mruknął Konstanty bez przekonania. Jego wzrok dalej błądził po szczytach, szukając jakiegoś nowego punktu zawieszenia w czasie i przestrzeni. Kto wie, może oczyma wyobraźni obserwował trajektorię feralnego balonu? – Mam taki projekt, ale tylko na papierze, nic nie próbowałem jeszcze... A nawet jeśli, to nie odważyłbym się... Chyba nie, nie...

– Rozumiem, że to tajne. Nie będę wnikał.

– Nie jest tajne – zaprotestował z rozbawieniem Konstanty. – Po prostu może być zbyt skomplikowane dla ciebie. Mam projekt urządzenia elektrycznego, które odbierałoby sygnały radiowe i na ich podstawie dokonywało zmian mechanicznych, zgodnie z moją wolą.

– Sygnały radiowe? – Zastanowiłem się na moment nad słowami Konstantego, próbując wyobrazić sobie taką maszynę. Jednakże za każdą próbą ukształtowania w myślach niezwykłego wynalazku, wracałem do wspomnień sprzed wsi, gdy sam odpaliłem radio. – Przecież to kompletny chaos. Nawet gdybyś miał taki odbiornik, to odbierałby on po prostu mnóstwo śmieciowych sygnałów!

– Tak, szumu radiowego – doprecyzował radioastronom z błyskiem w oku. – Jednak moglibyśmy stworzyć radioodbiornik, który wyczulony zostałby tylko na specyficzny rodzaj fal. Jeśli mają one swoje właściwości, to można je mierzyć i wyróżniać. Na przykład fale o pewnej częstotliwości mogłyby kazać takiemu, założmy teoretycznie, balonowi włączyć silniki po prawej stronie, ale szum nie kazałby mu robić nic.

– A co jeśli szum wytworzy taką częstotliwość?

– Nic... Przynajmniej na razie. To tylko teoria, pierwsze samochody też nie były doskonałe, prawda? Pomyśl nad prześwietleniem kości. Przez długi czas było zabronione, a teraz? Potrafimy zobaczyć ludzką kość i wystarczyć do tego odpowiednie ekranowanie.

– Widziałem kiedyś takie prześwietlenia – mruknąłem, wzdygając się do własnych wspomnień. – Nic pięknego, wiesz? Odbicie palców... twarzy, nie z tego świata, zaglądającej do nas jak przez szybę. Usta przyklejone do zewnętrznej strony karty, a od wewnątrz złamana kość. Szczerze powiedziawszy, nie chcę o tym myśleć.

– Nie, oczywiście, że nie – odpowiedział speszony Konstanty, a na jego twarz zakradł się nowy, rozeźlony grymas. Nawet nie próbował już utrzymać pozorów. – Masz prawo tego nie rozumieć, to nie twoja specjalizacja. Natomiast cenię sobie zdanie moich kolegów po fachu, cenilem na przykład Fridy, ale... teraz to bez znaczenia.

– Źle mnie zrozumiałeś. Nie uważam, że jestem odpowiednią osobą do dyskusowania o tym; zostałem poniekąd naznaczony radiologicznie. Moja opinia nie wynika nawet z przekonań ideowych, ani realnej wiedzy na temat nauki, bo skąd miałbym wiedzieć coś tam o falach czy przekaźnikach. Po prostu źle wspominam efekt radia i tyle. Większość ludzi tak ma...

– Tu nie ma większości ludzi.

– Masz rację – przyznałem, rozmasowując obolały mięsień. – Jeśli gdzieś prowadzić niebezpieczne eksperymenty, to na odludziu.

Konstanty uśmiechnął się nagle. Na jego twarzy znów zawitała energia i ciekawość świata. Pożegnał się ze mną bez słów i zniknął gdzieś w talerzowym labiryncie pokojów.

Zostałem sam, drażniąc się z myślą, że cały czas, w każdej chwili, gdzieś obok mnie i przeze mnie przepływają rzeczy, których nie mogę dostrzec. Straszna perspektywa, że fale radiowe nie są jak ocean czy powietrze, albo światło słońca, ale są też jak tłum. Niemy, bezkształtny tłum, który jest zawsze obok, ale nigdy nie można go rozdzielić i rozpoznać.

Podrażyłem jeszcze swoje uczucia przez chwilę i odciąłem się od nich szybko. Nie chciałem, by pozmarzlinowe majaki przy ograniczonym dostępie do tlenu stanowiły podstawę mojego nowego światopoglądu.

Obwinałem się o to, że czułem się wolny i paradoksalnie... spokojny.

Oslabiony, pozostawiony na szczycie góry, bez możliwości powrotu do domu. Bardziej odizolowany od świata byłbym tylko na bezludniej wyspie pośrodku oceanu. Jednak jedynym oceanem, jaki miałem pod ręką, były biało-błękitne śnieżne doliny.

Nieraz, gdy akurat zawaiał wiatr, panorama gór otwierała się, jak zapora wodna, gotowa wypuścić swój nadmiar bogactwa w dół. Wtedy to mój wzrok wędrował wraz ze spływającą mgłą i odkrywał kolejne lodowe czeluści.

Gdy się jedzie po ziemi, można odnieść wrażenie, że świat jest nadwyraz monotonny i płaski. Z rzadka jedynie budynki, słupy energetyczne i temu podobne relikty dawnej świetności Federacji, wystają ponad dziesięcioletnią zmarzlinę. Nawiewający śnieg tworzy płaskie reliefy, wykreślone w białym podłożu. Lecz poza niebem nie ma niczego, nawet horyzont zdaje się znikać, uciekać gdzieś poza granicę wzroku, gdzie ostrość rozjeżdża się na tyle, by nie móc rozróżnić bieli od błękitu.

Bielejące, błękitne niebo i błękitniejąca biel ziemi stanowią płótno, przez które Bóg prowadzi swój pędzel.

Jednak patrząc na to wszystko z góry, nie ma ani tej jednolitości ani nawet Boga. Wytopione plamy w śniegu, połamane drzewa, szeroko pojęty zimnik – niezmiennność tajgi. Góry wyrastają spod tego śnieżnego ładu, wprowadzając swój chaos. Skalne granie, wyciągają długie, szare paluchy do świata, a wijące się zleby burzą pozorną jednolitość.

I nawet śmiech nie dobiegał do mnie tak wysoko w niebie. Zostałem sam, bo cięższe jest być bardziej samotnym, niż w otoczeniu ludzi, którzy z tobą nie mają nic wspólnego, a ze sobą nawzajem wszystko.

* * *

Przez długi czas zasklepiałem rany i dziury we własnej pamięci. Aura gór sprawiała, że przynajmniej jeden z tych procesów był bardzo trudny. Niskie ciśnienie miało negatywny efekt na całe moje ciało. Codziennie próbowałem okrążyć największy z talerzy obserwatorium chociaż kilkanaście razy. Nie mogłem pozwolić sobie na leżenie beczynnie, ponieważ przy pierwszej okazji planowałem ruszyć w powrotną trasę.

Leonid Wołkow zdawał się powoli, kawałek po kawałku, wydobywać z siebie drobiny szacunku dla mojej postawy. Otoczony zapalonymi nałogowcami, uzależnionymi od grzebania w swoich dziedzinach, zapewne już dawno stracił kontakt z kimkolwiek, kto na własnej skórze odczuwał konsekwencje życia w klimacie Federacji.

W tej przedziwnej relacji między mną, nim a trudami życia, znajdowaliśmy dla siebie kolejne pomosty zrozumienia. Żaden z mieszkańców nie chciał mi wyjawiać wyników głosowania, zasłaniając się regulaminem. Jednakże coś mi podpowiadało, że wbrew wszystkiemu, to nie Leonid głosował za pozostawieniem mnie na pastwę zamieci.

Pewnego dnia Wołkow wpuścił mnie do swojego matecznika, brudnej, ciemnej jaskini, w której rezydował większość czasu.

Jeśli gabinety Wandy, Konstantego i zmarłej Fridy, która przez cały ten czas leżała w chłodni, w oczekiwaniu na okazję do godnego pochówku, mówiły cokolwiek o ich właścicielach, to stały w kompletnej opozycji do nory Leonida.

Leonid był tak inny od zamieszkujących obiekt naukowców, jak to tylko możliwe. Niechętny do rozważań, nie lubujący się w dzieleniu się sekretami swojej pracy, skory do wygłaszania raptownych i głośnych opinii. Jego warsztat stanowił właściwie dobudówkę do bazy, bo wydzielono go z hangaru dla maszyn.

W nagrzanym garażu drzemały stalowe bestie o powykręcanych, wieloelementowych korpusach, wobec których mój skuter przypominał zagubione, nieudane szczenię, czekające na śmierć głodową.

Ośmiokołowy, gigantyczny Pirog ledwie mieścił się za zaizolowanymi za pomocą różnych szmat wrotami. Ciemnozielona, pancerna maska skrywała w sobie ośmiocyldrowy, czternastolitrowy silnik Diesla, gotowy wyrwać opasłe cielsko choćby z dna otchłani. Mimo imponującego rozmiaru samej maszyny, na ciężkich, czarnych jak smoła gąsienicach zdążył się zebrać kurz. Gigant spał od dłuższego czasu, zupełnie tak, jakby swoje zadanie wypełnił dawno temu i nie był już nikomu potrzebny.

Podobnie jak Leonid, pomyślałem, widząc szerokie plecy, pochylone nad stołem warsztatowym.

Białe iskry oświeciły twarz skrytą za maską spawalniczą. Przerośnięte, owłosione dłonie Leonida ledwie mieściły się w skórzanych rękawiczkach. Między dwoma palcami trzymał lutownicę w czerwonej, bakelitowej obudowie.

Klasnąłem trzy razy w ręce. Lutownica zamilkła z ostatnim, przeciągłym sykiem. Strużyna dymu uniosła się wysoko i zniknęła gdzieś nad kloszami zwisających lamp.

– Nie zdołałem naprawić twojego skutera – powiedział głośno Leonid, zdejmując maskę. Po twarzy ściekał mu pot, a na policzkach odbiły się ciemne linie brudu. – I ty też nie, tak się obawiam. Widziałem, jak przy nim grzebałeś wieczorami, przestawiałeś moje rzeczy.

– Nawet nie próbowałem – odparłem szczerze. Kilka razy zdarzyło mi się jedynie obejrzeć tak znajomą, bliską mi obudowę, ale nawet nie miałem dość siły, by podjąć się zadania. – O ile silnik da się jeszcze przeczyszczyć, a akumulator to niewielki problem, tak cały układ paliwowy jest dziurawy i łatany tyle razy, że już łatwiej ten węzeł przeciąć, niż rozplątać.

– Tak, do tego zmierzam, dlatego mam lepszy pomysł... Sprzedaj mi go!

– Mój skuter? – spytałem dla pewności i jeszcze raz spojrzałem na maszynę. Obudowa przypominała ciało modliszki, zastygłej w bezruchu. Czarne czułki kierownicy wystawały na boki, delikatnie, lęklwie, jakby sam dotyk mógł je uszkodzić. – A czym pojedę do Sahala?

– Na pewno nie tym rozjebanym skuterem śnieżnym – odparł szorstko Leonid. Zbliżył się do mnie wartkim krokiem, jakby miał zamiar uderzyć barkiem, lecz wyminął mnie w ostatniej chwili. – Maksymalnie możesz nim zjechać jak na sankach z góry, a potem przewartościować swoje życie i się powiesić na sośnie. Natomiast mam dla ciebie inną opcję, całkiem sensowną moim zdaniem.

Leonid z zawadiackim uśmiechem zgarnął szary brezent z pojazdu, stojącego obok mojego skutera. Jednak coś poszło nie tak. Zaplątał się i szarpnął płachtą o kierownicę skutera śnieżnego, klnąc przy tym siarczyście. Dopiero po chwili zdołał obnażyć lazurową, świecącą karoserię.

Spoglądałem z mieszaniną fascynacji i lęku na lekki, smukły skuter. Wąski, długi pysk uśmiechał się dwoma pionowymi reflektorami. Krótkie, czarne narty nadawały mu skoczno charakteru, jakby był jakimś lemingiem albo inną nornicą, gotową wyskoczyć ze śniegu i schować się w wykopanej jamce. Za grubą, wyoblona szybą skrywała się wygięta w łuk kierownica. Cała konstrukcja wydawała się mniejsza, bardziej kompaktowa od mojego dotychczasowego pojazdu, choć w obu przypadkach gąsienica była dokładnie taka sama, co przy mniejszym modelu mogło przełożyć się na lepszą trakcję.

– Niezły, co? – spytał Wołkow, nie patrząc na mnie. Miałem wrażenie, że zachwycił się sprzętem bardziej ode mnie. – Dwusuwowy, dwucylindrowy silnik, siedemdziesiąt koni mechanicznych, wyciszony, przystosowany do wąskich, górskich szlaków, nawet bardziej do wytyczania ich niż ich powtarzania. Ledwie dwieście kilo wagi na pustym baku dzięki aluminiowej ramie i elementom ze stali nierdzewnej. W twoim przypadku będzie palił no... do dwunastu litrów na sto kilometrów? Wy, dróżnicy, znacie te różne sztuczki, może uda się nawet mniej. Wiesz jakie zaawansowane robią teraz te maszyny, nie to co terenówki...

– Mówisz tak, jakbyś chciał mi go sprzedać...

– Ty głupi jesteś czy tępy? Oczywiście, że chcę. Przecież potrzebujesz nowego skutera, tak? – Leonid nagle obrócił się i wyszczerzył brzydko. – Aaa, ty taki jesteś... No słuchaj, ja wiem, że ty sobie już to policzyłeś, ale i tak musiałbyś zostawić trochę sprzętu tutaj, prawda? Zmieścisz się, udźwig nie jest wcale znacznie mniejszy, a ja ci dorzucę oleju napędowego od nas z zapasów.

– Przecież to nie jest nawet mój skuter, tylko Federacji, a dokładniej podlega pod park maszyn mojego urzędu komunikacyjnego! – zaprotestowałem, wymachując rękoma.

– Mój podlega pod Wydział Nauk Przyrodniczych Uniwersytetu Sahalskiego – powiedział z dumą Leonid i zaśmiał się szczerze. – Ty swój straciłeś w zamieci, a ja mój w lawinie!

Leonid wyciągnął ku mnie dłoń, proponując ordynarny akt korupcji, wymierzony wprost w interesy Federacji.

– A co z resztą? Przecież się dowiedzą...

– Ty myślisz, że oni nie mają nic za uszami? – spytał Leonid, nie próbując nawet powstrzymać pobłażliwego uśmiešku. Spoglądał na mnie teraz tak, jakbym całkiem się przed nim odsłonił i ukazał swoją naiwną naturę. – Ty potrzebujesz stąd wyjechać, a ja będę miał się czym zająć przez zimę. Oszaleć tu można z nudów, a jak będę wracał kiedyś Pirogiem po zapasy, to od razu opchnę ten skuter pod innymi blachami i fajrant. Przemaluję go, trochę zmodyfikuję i tyle. Nikt się nawet nie połapie.

– Za to można pójść siedzieć, to jest szkodnictwo, sprzeniewierzenie środków.

– Tak – odpowiedział po prostu Leonid, nadal trzymając wyciągniętą dłoń.

Spoglądałem mu głęboko w oczy przez moment, aż w końcu ucisnąłem rękę. Ten szarpnął mnie i poklepał po plecach dwa razy.

– Zuch chłopak! – powiedział zadowolony i przejechał palcem po moim skuterze.

Poczułem się brudny. Przez moment spoglądałem na sprzedany pojazd, ale poza tym jednym odczuciem nie było nic więcej. Nie widziałem ludzkiego błysku w jego oku

reflektora, nie czułem wielkiego żalu. Odciąłem się od kolejnej martwej części ciała i przyszyłem sobie nową, obcą, ale żywą.

Wreszcie poczułem, że się budzę, że jestem znów obiema nogami na ziemi. Pomyślałem, że wracam do gry i kiedyś faktycznie dotrę do Sahala.

– U nas jest taka tradycja – zaczął ostrożnie Leonid – że zakup nowego wozu się opija.

Chwilę spoglądał na mnie, czekając na reakcję.

– No to u nas są dwa zakupy.

Po skończeniu pierwszej butelki świat nabrał nowych barw. Wymieniłem się z Leonidem wszystkimi kawałami, jakie znałem, za to on zasypywał mnie następnymi, pozornie bez końca. Ani ja nie lubiłem kawałów opowiadać, ani szczególnie ich słuchać. Jednakże było w Wołkowie coś takiego, że człowiek od razu przyjmował inną postać. Wszystko dookoła skłaniało go do podporządkowania się zabawie, jakiemuś duchowi dobrego spędzania czasu. Leonid wylewał z siebie kolejne tyrady, przejmował głos przy każdej okazji i popadał to w rzewne, niemalże poetyckie wywody, to zagłębiał się w odmęty spiskowych teorii dziejów na temat prawdziwych przyczyn upadku Federacji i rozłamu państwa.

Widać było gołym okiem, że z samotnością można wygrać, ale nie z osamotnieniem. Przez długie miesiące popadł w rutynę, którą ostatnie wydarzenia mogły wreszcie przełamać. Nabrał ciśnienia i teraz zaczął je spuszczać, jak rozwiązany balonik urodzinowy.

Przypominał mi nieco Dimę – Nurka – nim ten dał śmierć męczeńską w zbiorniku na szambo. Miałem wrażenie, jakby to było całe lata temu. Jakbym opuszczał Magnetańsk jako inny człowiek, jedna z miliarda komórek, wylewająca się spod błony monomiasta.

– Moglibyśmy latać – powiedziałem w pewnym momencie, choć nie wiem czemu.

Leonid parsknął śmiechem, ale zaraz spojrzał na mnie znad szklanki. Zza jego przymrużonych powiek widziałem błysk zaciekawienia. Wyglądał jak ktoś, kto dostrzegł pałętającą się po dworze puszkę i zechciał z nudów odczytać jej poprzednią zawartość. A im bardziej rozczytać jej nie mógł, tym większą ciekawość to w nim wzbudzało.

– W sensie ty i ja?

– Wszyscy, jako ludzie. Gdyby świat nie był taki, jaki jest. Gdybyśmy nie musieli ciągle się martwić o mróz, kit w oknach, opał w piecu. Gdyby świat był cieplejszy, trochę lepszy dla nas. Pomyśl, co moglibyśmy zrobić z całą tą technologią, gdyby nie trzeba było się szarpać o każdy dzień.

– Dużo gdybania – mruknął Leonid, rozlewając mętnego bimbrowa do szklanek. Zakręcił swoją i zaciągnął się dającą piwnicą wonią. – Jest odwrotnie, niż jak ty mówisz. To właśnie to szarpanie się każdego dnia pcha nas na przód. Gdybyśmy nie musieli biegać, to byśmy pełzali, a tak możemy marzyć, że będziemy latać. Świat płacze nam się pod nogami, trzeba się nie dać, taka z niej suka, z natury znaczy się... To jest przeciwnik i trzeba z nim wygrać, wtedy jest życie! Tylko ja, lodowa ściana i czekan, to jest taniec życia, Artem. Nie użalam się nad sobą ani nad innymi. To nie świat musi dać nam spokój, tylko inni ludzie. Jeszcze nigdy mnie nie oszukała Ziemia, tylko ludzkość.

– Co byś zrobił z całym tym czasem, który musisz przemęczyć, przeżyć i wypluć, by się nieco ogrzać, by wdrapać się na swoje dziesiąte piętro mieszkania, by zapalić silnik na mrozie? Mam wrażenie, że czas płynie tak samo, a im zimniej jest, tym wolniejsi my się stajemy. Aż w końcu nie będziemy mieć nawet dość czasu, by zregenerować się między jedną próbą przetrwania a drugą...

– Pierdolisz, Artem – warknął nagle zdenerwowany Wołkow i poderwał się od stołu. Machnął na mnie ręką i nieomal wpadł plecami na regał z zapasowymi częściami. – Chodź kurwa, no chodź.

– Po co? Siedź, się nie ryp nigdzie...

– Chodź, mówię! Pokażę ci to twoje jebane latanie.

Leonid wyparował zaraz za foliową zasłoną, odgradzającą niewidoczne wcześniej dla mnie drzwi. Ledwie dokończyłem łyka i ruszyłem za nim, nie wiedząc, czy zaraz nie zniknie na zawsze w odmetach obiektu 1370. Wiedziony siłą przecucia i alkoholu podążyłem za nim dwoma wąskimi korytarzami o grubych, stalowych ścianach.

Za wejście służyły tam dziwaczne wrota, przypominające grodzie w łodzi podwodnej albo sejf. Nie musiałem się szarpać z mechanizmem, gdyż Leonid pozostawił go otwartym, lecz mogłem się domyślić, jak wielkiej trzeba siły, by oderwać grube jak paluchy bolce od ich gniazd.

– To jest twoje latanie, kurwa twoja mać – krzyknął Leonid, wymachując butelką samogonu na tle wielkiego kotła. – Ot i cała wasza cywilizacja. To jest to, co rodzi się z mrozu!

Ledwie się mieściliśmy w wąskim przejściu, próbując niczego nie uszkodzić. To znaczy, ja próbowałem niczego nie uszkodzić, a Leonid gestykulował zawzięcie, mijając wystające liczniki i rury zaledwie o centymetry. Jeden nieopatrzny ruch i uderzyłby szyjką butelki o... No właśnie, o co?

Rzędy przycisków, dźwigni i kilka prostych cyferblatów okręcały gigantyczny kocioł jak bluszcz kolumnę starożytnej cywilizacji. Czarny, opalizujący kształt przypominał wnętrze jakiejś piekielnej rozpadliny, gardziel wulkanu, która dyszy i dudni, niczym serce bestii, matecznik potworów, gniew we własnej osobie.

– To jest reaktor – szepnąłem, przecierając zbierający się na brwiach pot. – Leonid, to jest w dupę zajebany reaktor czy ja mam zwidy?

– Dwieście pięćdziesiąt dni bez wymiany paliwa! Turbina parowa o mocy półtora megawata, rozumiesz to? Zima może mi obciągnąć fiuta, jak jej, kurwa, łaskawie pozwolę, jak się suka tu doczłapie na szczyt góry!

– Leonid, może nie powinno nas tu być?

– Patrz na mnie, Artem, patrz na moje ręce! – ryknął Leonid, stając na tle rozgrzanego reaktora jak prorok przed świętym kamieniem. Było w nim coś groźnego, niemalże szalonego w tym pijackim wywodzie. – Tymi rękoma się tu wdrapałem. Jeśli jestem na szczycie góry, to dlatego, że na to zasłużyłem! Jeśli ktoś, ktokolwiek, wilki, Federacja, w dupę zajebany Kasmidzanow, chce mnie dorwać, to mają tu wejść. Jestem jak Bóg na tej górze, rozumiesz mnie, kurwa? To ja schodzę do nich, do śmiertelników. Mam tu pierdolony wieczny ogień, siłę atomu w garści! Sam wwoziłem wszystkie cztery wagony i podłączałem. Jak mnie zabraknie, to wszystko to pierdolnie, a ja odejdę razem z tym ogniem! Od teraz to jest wulkan, a nie lodowiec! Byłem nikim, Artem, szmaciarzem, a teraz? Światło umysły tego kraju żyją na bombie, do której ja trzymam zapalnik. To moja łaska i niełaska dedykuje każdy poranek i zmrok. To jest potęga szarpania się z naturą, Artem, to jest twoje latanie. Zmieniamy lód w ogień, śnieg w wodę i parę, wedle upodobania. A kiedy przyjdzie czas, wylecimy w niebo i udusimy kosmos naszym tlenem!

Spoglądałem w stuporze, jak Wołkow ogląda licznik pod kotłem, używając dna butelki jak lunety. Z narastającym napięciem dostrzegałem, jak przełącza kolejne przyciski, nie wiedząc, czy zgodnie z ich przeznaczeniem, czy na oślep. W tamtym momencie wszystko było możliwe, śmierć z zimna i śmierć z przegrzania.

Nagle świat zrobił się bardzo mały i duszny, jak wewnątrz batyskafu, porwanego prądem morskim na dno, gdzie ciśnienie przewyższa jego kadłub. Zostało mi tylko milczeć i wsłuchiwać się, czy zgrzytająca blacha wytrzyma.

* * *

– Zapomnij o tym, to zbyt niebezpieczne – warknęła Wanda głosem tak przejmującym, że o cokolwiek mogło chodzić, zgadzałem się z nią w zupełności.

– Nie wiesz, czy to niebezpieczne – odparł urażony Konstanty.

Powoli wdrapałem się po wąskich schodach na szczyt trzeciego, centralnego talerza. Pomieszczenie obserwacyjne zawierało niewyobrażalną ilość sprzętu, którego przeznaczenia nawet nie próbowałem pojąć. Jak okiem sięgnąć zalegały stosy próbek skalnych, narzędzi do wspinaczki wysokogórskiej i przypięte do tablic korkowych odręczne notatki. Wanda rządziła talerzem poprzez zasiedzenie.

Przychodziłem tam rzadko, nie chcąc jej przeszkadzać, ciągnięty bezbłędnym widokiem na łańcuch górski. Przyzwyczajeni do swojego towarzystwa naukowcy nawet nie zwracali na mnie uwagi, więc stawałem pod ścianą, zajęty własnymi myślami, z rzadka jedynie podsłuchując tematy rozmów.

– Jesteśmy w najgorszym możliwym miejscu, by to robić...

– Najlepszym...

– Nie przerywaj mi, jak odwodzę cię od głupich decyzji! Czy ty zdajesz sobie sprawę, jak daleko może się przemieścić taki sygnał radiowy? Mamy tutaj spokojne życie, po co je rujnować?

– Dla poprawy życia wszystkich innych ludzi, oczywiście!

Konstanty biegał to w lewo to w prawo, gestykulując żywiołowo. Z kolei Wanda nie drgnęła ani na jotę przez całą rozmowę. Z rękoma za plecami wgapiała się w okno, jakby próbowała wypatrzyć coś spośród lichej zadymki, targającej zasypnym szlakiem.

– Badanie sygnałów przychodzących to jedno, ale próba kontaktu... Nie, w ogóle nie kontaktu! Zaburzenia naturalnych procesów w otoczeniu. Tam nie ma nikogo, z kim mógłbyś się skontaktować.

– Jeśli uda mi się znaleźć bezpieczne kanały, to może wreszcie będziemy w stanie stworzyć sposoby na komunikację na daleki... Nieograniczony wręcz dystans!

– To teraz skomunikuj się ze mną na dystansie bezpośrednim... – powiedziała poważnym tonem Wanda, obracając twarz ku mężowi. – Ja też bym chciała się udać w wiele miejsc, ale dobrze wiesz, że nie możemy. Sprowokujesz nieznane do tej pory procesy fizyczne, choroby, załamania struktur terenu!

– Te sygnały... to niesamowita rzecz, najwybitniejsza, jaka istnieje. – Konstanty zamarł na moment w bezruchu i schował twarz w dłoniach. – Chcę wiedzieć, dlaczego świat tak działa. To, co widzimy czasem, słyszymy, jak to funkcjonuje... Obok nas są niewidzialne

światy, których nie rozumiemy, a które mają na nas wpływ. To tak, jakbyśmy nie badali powietrza, wody, ziemi...

– Nie badalibyśmy, gdyby dmuchnięcie w rurkę albo zanurzenie się w rzece powodowało trzęsienia ziemi... Konstanty... Nie ruszaj się.

– Co znowu... Są tam?

Nadstawiłem uszu i zbliżyłem się kilka kroków. Dostrzegłem, jak oboje naukowców stoi przed jedną z obramowań szyb, zasłaniając mi plecami widok.

– Artem, stój! – syknęła Wanda, aż zdębiałem. – Zaufaj mi, nie ruszaj się, nie wykonuj żadnych gestów.

– To jakiś niedźwiedź? – spytałem zaciekawiony. Próbowałem wyjrzeć na zewnątrz, lecz jedyne co widziałem to przelatujące za oknem śnieżne grudy.

– Nie, ludzie.

– Ludzie? Tutaj?! To jacyś inni naukowcy? Ktoś z Federacji?

– Grucznicy – wtrącił Konstanty i nagle jego oczy rozszerzyły się do granic możliwości. Cała krew odeszła mu z twarzy, jakby dostrzegł walący mu się na głowę sufit. – Leonid... Leonid jest w środku?

Jego dłonie drżały wyraźnie, a głos zdradzał, że to nie ochroniarz ośrodka stanowi powód jego zmartwień. Wzrokiem nieustannie uciekał gdzieś w bok i w dół, z dala od żony, z dala od widoku za oknem.

– Da sobie radę – odparła wymijająco Wanda i nagle całe napięcie z niej zeszło. – Idą sobie.

Wyskoczyłem jak poparzony, by dostrzec, co tak przestraszyło moich towarzyszy. W oddali mignęło mi kilka ciemnych kształtów, lecz po chwili nie mogłem nawet być pewny, czy to nie cień, rzucany przez gęstą zawiesinę chmur.

– Nie wiedziałem, że żyją tu inni ludzie – powiedziałem, zaaferowany odkryciem. – Grucznicy pewnie tu polują na sobole albo renifery, może niedźwiedzie. Na pewno mają jakąś ciężarówkę terenową, może mogliby mnie zabrać kawałek na pace.

– Nigdzie cię nie zabiorą – zadeklarowała Wanda, pukając w szybę. W miejscu, gdzie knykcie zetknęły się ze szkłem, zebrała się na moment wilgoć, by szybko zeszklić się i równie prędko wyparować. – To nie są tacy Grucznicy, jakich znasz. Oni żyli tu od zawsze, to prymitywne plemię.

– Tu? Konkretnie tutaj, na szczycie tej góry?

– Między innymi. To dla nich nie problem. Znają te trasy jak własną kieszeń, mają swoje szlaki, zostawiają symbole na drzewach i skałach.

Konstanty bez słowa ulotnił się z pomieszczenia w wyraźnym pośpiechu.

– Może mogliby mnie poinstruować, jak zjechać z góry skuterem? – wyraziłem przypuszczenie, ale z każdą sekundą entuzjazm ulatniał się ze mnie, a jego miejsce zajmował chłodny niepokój. – Bez porządnego napędu gąsienicowego albo wiertłowego nigdy stąd nie wyjadę.

– Nie myślałeś o tym wcześniej? Jak wrócisz do siebie? Ta góra ma ponad dwa tysiące metrów. Mamy mały ciągnik gąsienicowy z wagonem, no i Piroga, ale nie mam zamiaru ryzykować zjeżdżania z tobą. – Wanda umilkła na moment, wpatrując się we mnie z narastającym napięciem. Widziałem, że nie jest jej lekko, dźwigała na plecach wiele zmartwień, ale nie miała zamiaru ustąpić ani mi niczego ułatwić. – Zjeżdżamy z góry tylko w wyznaczony dzień, gdy widzimy się z dostawcą z Sahala. Zostało jeszcze sporo czasu, więc raczej nie zabierzesz się z nami. W końcu zależy ci na czasie, prawda?

– Zależy mi na wielu rzeczach... Masz rację, nie będę nadwyręzać waszej gościnności. Potrzebuję tylko kilku dni, by dojść do siebie. Sprawdzę się i wyruszę w pierwszy pogodny dzień.

– O pogodę musiałbyś pytać Fridę, ale... Zapomnij, niepotrzebnie wspomniałam. Natomiast jeśli chcesz się sprawdzić, to na pewno Leonid znajdzie ci zajęcie. Pewnie zdążyłeś zauważyć, ale często się wymyka. Nigdy o tym nie mówimy otwarcie, ale wiemy, że poluje w górach, często dla przyjemności, dla urwania się ze smyczy. Czasami nie ma go wiele dni, gdy buszuje po zmarzlinach, sieciach jaskiń i schodzi aż do linii tajgi. No cóż, ktoś musi być zawsze na miejscu, w razie jakby zbiornik reaktora zaczął się buntować.

– Widzę, że tutaj wszystko się buntuje, pogoda, maszyny i ludzie.

– Góry to miejsce bezprawia. Federacja ani fizyka nie mają łatwego zadania, by wyrzucić tu swój wpływ.

* * *

Leonid szczyrzył zęby jak niedźwiedź i poszeptywał coś do siebie co jakiś czas. Niegdyś biała szmatka świstała w jego dłoniach raz po raz, przeciągana wzdłuż oksydowanej lufy. Robił to z takim samym automatyzmem i doskonałą techniką, z jaką starsze kobiety cerują ubrania całymi dniami, nawet tego nie dostrzegając. Wpychał ściereczkę z jednej strony i wyciągał z drugiej, zawsze zachowując jeden kierunek czyszczenia. W momencie, w którym zaczął wacikami czyścić każdy nabój oddzielnie, poczułem, że jego niezdrowa fascynacja zajmuje całe dostępne miejsce w pokoju socjalnym i muszę wyjść.

Wanda grzecznie, acz stanowczo wyprosiła mnie z obserwatorium. Trzeci talerz miał być tego dnia odizolowany, ze względu na potrzebę uzyskania specyficznych warunków badawczych. Wnętrze pomieszczenia zostało obłożone w całości folią, okna zasłonięte, a jedynym źródłem światła była potężna, czerwona żarówka. Geolożka machnęła mi ręką w gumowej rękawicy, bym się nie zbliżał. Maską ze szkła akrylowego nie pozwalała mi nawet dostrzec jej twarzy, zamiast tego widziałem własne, zarośnięte oblicze.

Frida... cóż, też tam była. Szum chłodni współgrał z dudnieniem górskich wiatrów. Na tej wysokości nie potrzeba było żadnych maszyn, wystarczyło zadedykować jeden pokój, wychłodzić go do temperatury panującej na zewnątrz i korzystać jak z wielkiej, darmowej zamrażarki. Momentami przechodziłem obok zamykanych na korbę drzwi i przejeżdżałem palcami po lodowato zimnych, stalowych framugach. Czułem się, jakbym dotykał marmurowych odrzwi grobowca, ale nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek był nawet blisko takiego miejsca. Zupełnie tak, jakby te wspomnienia nie należały do mnie. Myśli cały czas meandrowały korytem mentalnej rzeki, ale wolniej i spokojniej niż przez ostatnie tygodnie. Jakiś nowy zalew odsącał część wody. Wypełniałem go swoimi myślami i ten proces zajmował długi czas. Łatałem dziurę po zobaczeniu jej twarzy i nie mogłem przestać się zastanawiać, czy jeszcze żyła, gdy ją spotkałem, czy od początku szukałem ciepła w zeszytniałym ciele na górskim stoku.

W poszukiwaniu drugiego człowieka zawędrowałem do pozornie najlepszej możliwej osoby, przynajmniej w tych warunkach.

Konstanty wszedł do obserwatorium, zakutany w grube, grobowo czarne futro. Strząsnął z siebie śnieg i zapukał kilka razy walonkami, jakby próbował zatańczyć.

Pośpiesznie, śmiejąc się z głośno, zaczął zdejmować z siebie kolejne warstwy ubrań, aż został w samym podkoszulku i goglach śnieżnych.

– Chodź, Artem, pokażę ci coś fajnego.

Ostatnim razem, gdy któryś z nich chciał mi pokazać coś fajnego, nawiedzały mnie koszmary o nuklearnej zagładzie.

– Też muszę się rozbierać?

– Ty żartownisiu... oczywiście, że tak, zapraszam!

Idąc za radioastronomem do drugiego talerza, zacząłem ściągać z siebie sweter, lecz gdy dotarliśmy na miejsce, naukowiec spojrzał na mnie zaskoczony.

– Nie no, co ty robisz? Ja tylko żartowałem – odparł zmieszany, choć sam był niemal nagi.

Przez moment patrzyliśmy na siebie w niezręcznej ciszy. Łypałem wzrokiem to na odsłonięte ramiona, to na podwinięte spodnie narciarskie, ale ewidentnie nie widział tu żadnego połączenia. W końcu ubrałem się ponownie, po raz kolejny mając pewność, że gdzieś na świecie zgrzyta o siebie kilka zębatek, co jakiś czas wzburzając świat i wszystkie jego zawilości. Czasami po prostu nic nie miało sensu.

Pomieszczenie pracownicze Paneka przypominało bardziej bunkier niż laboratorium. A właściwie to czemu nie, przypominało laboratorium w bunkrze, bo z każdą chwilą dostrzegałem kolejne, czające się w rogach elementy architektury bezpieczeństwa. Kilka gaśnic, zraszacze, kombinezony ochrony przeciwgazowej, zestawy gumowych rękawic, chwytaki, liny, wygłuszające słuchawki, zaczernione okulary, nawet kaski i dwie pary butów z metalowymi wkładkami.

Stopień przygotowania placówki świadczył dobitnie o tym, jak bardzo Federacja nie ma pojęcia, z czym się wiąże badanie fal radiowych.

Chociaż może wręcz przeciwnie, może to ja byłem po złej stronie barykady i nie doceniałem tego, jak różne formy może przyjąć anomalia radiowa...

– Załóż okulary – powiedział Konstanty, dając mi przykład. – Siadaj tutaj, o, na taboreciku. Będziemy robić nasłuch, przygotuj się dobrze. Ustal sobie bezpieczne miejsce w głowie: ślub, narodziny dziecka, pierwszy przydział mieszkania, cokolwiek! W razie czego spotkamy się za drzwiami. Jeśli któreś z nas zniknie, to drugie musi wyłączyć aparaturę, tu jest przycisk.

Konstanty wskazał na absurdalnie duży, czerwony guzik, umieszczone centralnie w stalowej, trzydrzwiowej szafie. Szybko zorientowałem się, że patrzę na jakiś rodzaj komputera, jednak liczba przełączników, dźwigienek i diod sprawiała, że równie dobrze mogłaby to być instalacja artystyczna, bo nie mogłem dojść w niej żadnego zastosowania.

Włożyłem okulary ściemniające i świat zniknął. Gumowe nakładki przyssały się do krawędzi oczodołów tak mocno, że choćbym nie wiem jak się wygiął, nie mogłem dostrzec nawet pojedynczego fotonu penetrującego wewnątrz bunkra.

Wymacałem słuchawki z regulowanym uchwytem i zagłębiłem się w świat radiowego szumu.

Wpierw była cisza, jak to zawsze bywa. Jednostajne dzwonienie w uszach pojawiło się z czasem, a zarazem miałem wrażenie, że słyszałem je od zawsze. Im dłużej trwała ta rzekoma cisza, tym mocniej dochodziły mnie różne organiczne, wewnętrzne odgłosy: szum krwi w ciele, przewalanie się soków żołądkowych ze ściany na ścianę, tarcie o siebie

organów wewnątrz worka otrzewnowego. Wydawałem z siebie setki różnych dźwięków, z których każdy rozchodził się drganiami powietrza w różnych kierunkach jednocześnie.

Stanowiłem biologiczny nadajnik i odbiornik, wyczulony na jedynie bardzo specyficzne doznania, a wytłumiający wszystkie inne.

I wtedy rozbrzmiało pojedyncze, metaliczne pstryknięcie.

Świat załała feeria barw. Kotłująca się pod powiekami krew zabłysnęła kolorami jak plama benzyny na czarnym asfalcie.

Tysiące dźwięków załały mnie nagle, niby woda wypełniająca kanał burzowy. Prąd uderzył z wielką mocą, nieomal zwalając z nóg. Czułem fizyczny ucisk, jakby ktoś przygniatał mnie do oparcia krzesła. Sekundy rozciągały się tak, jak tylko one potrafią w czasie wielkiego bólu i zmartwień. Jednak wkrótce nurt osłabł i stanąłem na przekór pływom.

Przechodziły przeze mnie komunikaty tak różnorodne i jednoczesne, że wyodrębnienie choćby jednego z nich stanowiło wyzwanie porównywalne z oddzieleniem bąbelka powietrza ze spienionego brzegu morza.

Przez cały ten szum przebijały się odgłosy przełączanych trybików i skręcanych gałek. Dźwięki wydawane przez Konstantego pochodziły z innego świata, ich brzmienie oraz odczuwanie zatem również musiały być inne. Zupełnie tak, jakbym wśród huku wiertel górniczych mógł gładko wyodrębnić naścienny zegar.

I nagle szumy zeszyły do tła, czy też stały się nim, a na pierwszy plan wyskoczyła pojedyncza linia melodyczna, jak ryba wyciągnięta z ławicy. Wcześniej była tylko zrównaną do wspólnego mianownika powtarzalną liczbą, a teraz stała się odrębnym bytem.

– Kopaliśmy ten dół długo, może nazbyt długo. – Głos przypominał człowieka, ale z pewnością nim nie był, tak jak twarz małpy nie jest twarzą człowieka, choć jest równie podobna co różna. – Praca ku wieczności też powinna mieć swój kres. Nawet jedzenie nie smakowało tak, jak ta energia, którą nas żywili, wewnętrzna, gorejąca. Rozbita gruda ziemi niosła w sobie krótką historię, wybuch kilofa na pofałdowanej glebie, płask gliny, syk piachu i trzask kamienia. Umarłem po dwakroć, za pierwszym razem, gdy odwołano budowę. Nie mogłem uwierzyć, że to co wcześniej pożerało nas samych, wymagając pracy ponad ludzką miarę, by dokonać czynu wiecznego, stworzenia domu dla wszystkich ludzi, wspólnego dzieła... tak po prostu odeszło. Zaczęliśmy stawiać oborę, ale mnie już tam nie było. Umarłem wraz z tym radosnym domem jutra. Strach pomyśleć, że została po nas tylko dziura, ciemny wykop, na którego dnie złożyliśmy dusze...

Konstanty przełączył pojedynczy, drobny trybik i głos ucichł. Jestem przekonany, że nieznajomy miał więcej do powiedzenia, ale prozaiczny gest wystarczył, by wtrącić go w tłum i zagłuszyć, jak to zwykle w życiu bywa. W ten jeden sposób mógł on chociaż przez moment uczestniczyć w prawach, jakie rządziły żywymi.

Kolejne przekręcenie gałką, niczym obrót kopalnianego taśmociągu wyrwało wagonik do niebios, wystawiło na świecznik choć na chwilę – dało głos.

– Żałuję go codziennie. – Drugi nadawca był mężczyzną, może niewiele starszym ode mnie, o przepitym gardle i manierze dekadenta. – Moje życie gniło wewnątrz, rozkładało się, niszczało od początku. Zupełnie tak, jakbym był maszyną, którą źle złożono w fabryce. Nie działałem, a mimo to rdzewiałem. Umierałem, choć nigdy prawdziwie nie żyłem. A potem podjąłem jedną, wspaniałą decyzję. I żałuję codziennie, nie tego dnia, a każdego poprzedniego. Żałuję, że wcześniej nie odszedłem. Tu, w lesie, jestem sam. Ten głos to mój pamiętnik, wymawiany w pustkę, do nikogo, w pełni świadomie. Piszę list w butelce, wiedząc, że utonie, zejdzie na dno zamkniętego zbiornika. Nawet, gdybym chciał odejść, to nie mogę. Las mnie nie wypuści, a ja... ja nauczyłem się go kochać. To taka piękna klatka, a ja wreszcie zaleczam podcięte skrzydła.

Pstryknięcie, cisza, pokrętko, jazgot, dźwignia, głos.

– Anomalia też ma swoje reguły – powiedział chłodny, poważny głos. Włosy na karku stanęły mi dęba. Chciałem zdjąć okulary, ale nie potrzebowałem widzieć tego, co uznawałem za oczywiste. Jeśli ja rozpoznałem głos, to na pewno zrobił to też Konstanty. W końcu mówiła jego przyjaciółka... mówiła Frida. – Kwestią jest odkryć je, skatalogować i wdrożyć w życie odpowiednie narzędzia. Powtarzam sobie to zawsze, ale dzisiaj jest wyjątkowy dzień... trochę mi drży głos, aż mi głupio. Durny dyktafon, przydałaby się pauza. No więc, pomiary kolejno: Spadek o dwa stopnie względem średniej z trzydziestu dni dla doliny Ługady, spadek o trzy i pół stopnia w dolinie Kałcza, rekordowy spadek o cztery i siedem z doliny Tarmolu. Pomiary z dolin Irzy i Ruwik nie zostały poprawnie przeprowadzone ze względu na zniszczenie aparatury pomiarowej oraz na błędne wykalibrowanie... Wstyd przyznać, ale to może być moja wina, nie zakładam od razu wyjaśnienia skrajnego, złych intencji, ani... Natomiast w przypadku błędu, gdybyśmy na potrzeby teorii mieli przyjąć, że dane dewiacyjne są prawdziwe, oznaczałoby to spadek o siedemnaście stopni, a to... to niemożliwe, nawet biorąc pod uwagę porę roku i specyficzne umiejscowienie Ruwiku. W tym tempie w ciągu pięciu lat zobaczyłabym lawendę i krokusy na zboczach, a to... Nieważne. Co do zniszczeń, dla bezpieczeństwa całej ekspedycji nie wspomnę o nich reszcie załogantów. Nie chcę, by Grucznicy zostali obarczeni winą, nawet jeśli to faktycznie ich

sprawka. Ostatnie, czego potrzebujemy, to wewnętrzne napięcia i lęk. Leonid gotów byłby jeszcze pójść do nich i oczekiwać satysfakcji, a to... to byłaby katastrofa. Leonid to katastrofa. Nieważne, powiem im, że to niedźwiedź. Już wolę, by ten idiota polował na niedźwiedzie niż autochtonów. W kwestii balonu nadal bez zmian. Nie mogę przestać o tym myśleć. Czasami mam przecucie, wrażenie... właściwie coś w rodzaju pewności pozbawionej podstaw, że go widzę. Widzę jego kopertę, błyszczącą się w dole jak lodowy przerębel. W dodatku jest to w dolinie Tałczyn, której jeszcze nie oflagowałam, więc... Ale nie, nie pozwoliliby mi. Zaczęłyby się pytania o protokół, w końcu to blisko podnóża góry. Nagła zamieć, obsunięcie półki śnieżnej, czy nawet chwilowe wahanie ciśnienia mogłoby napychać nam biedy. Temperatura w Tałczynie jest niezbadana, ale do oszacowania i obawiam się, że mróz mógłby zgasić i zalepić silniki. Mimo to codziennie częściej o tym myślę. Codziennie myślę o tym, by tam zejść... codziennie myślę... Myślę, by tam zejść... Zejść...

Głos zapętlił się, powtarzał kolejne słowa coraz szybciej i szybciej, aż mowa zmieniała się w pisk, a pisk w ból, a dalej w ciszę, wypełnioną żrącą pustką, którą wytworzyć potrafi tylko wspomnienie o czymś ważnym, co nadeszło nagle i odeszło równie prędko.

Odważyłem się zdjąć słuchawki, a potem okulary.

Żarówki błyszczały krwistą czerwienią, migocząc co chwila, tracąc na mocy i na nowo się rozjarzając. Dookoła mnie i Paneka zebrały się dziesiątki cieni, rzucanych przez niewidzialne obiekty. Mroczny miraż odszedł prędko, ale ja nadal przed oczami miałem kilkanaścioro osób, zebranych wokół jednej, leżącej osoby. Rozciągnięte kable, napisy, symbole...

Konstanty wpatrywał się w ciszy w instrukcję przeciwpożarową na ścianie. Miał wzrok człowieka, który zrezygnował ze wszystkich zmysłów. Jego organoleptyczne poznanie świata skurczyło się tylko do potrzeby nie wywrócenia się ze stołka, choć i to pewnie było mu obojętne.

Nie potrzebowałem niezwykłych zdolności dedukcji, by dostrzec, że naukowiec jest w szoku. Pot ściekał mu ciurkiem po skroni, jakby właśnie przebiegł ogromny dystans. Podkoszulek unosił się i opadał, z trudem wstrzymując tors w jednym miejscu. Na blacie leżała kępka kilkunastu włosów, choć wcześniej jej tam nie było. Nad zmarszczonym czołem zakolysał się siwy kosmyk.

– Powinni byli wysłać kapłana, a nie mnie – wyszeptał Konstanty i spojrzał na mnie rozedrganymi oczami. – Kogoś, kto jest gotowy na to, że zmarli odchodzą po życie wieczne. Czuję się jak dziecko z magiczną lampą, albo nieskończoną solniczką... Ożywiłem ją, Boże,

czuję się taki brudny. To moja wina? Czy ja ją obudziłem, czy tylko przyłożyłem mikrofon do ust? Czy mam prawo ją podsłuchiwać, choć nie ma już jej ani słów do podsłuchania? To nie radio, to łapacz snów, złapałem ducha, który krążył nad stacją, ducha tego jednego momentu w czasie i przestrzeni, a przecież jest ich blisko nieskończoność!

– Oddychaj, Panek, po prostu oddychaj – powiedziałem cicho, choć samemu próbowałem przekonać to, że właśnie duch wyjawiał mi nazwę doliny, w której nieomal zmarłem. Implikacji było tak wiele, że mogłem jedynie siedzieć i świadomie kontrolować oddech. – Wdech... I wydech. Nie myśl teraz, przetrwaj. Przetrwaj ten moment, a potem... potem będzie inny czas, inne miejsce.

– Dobrze... dobrze. – Konstanty wyglądał tak, jak zapewne i ja wyglądałem, czyli marnie niczym żywot ludzki. – Wanda nie może się o tym dowiedzieć, ani Leonid, ani ona, zwłaszcza ona, rozumiesz?

– Rozumiem, rozumiem, spokojnie... Tak, masz rację, chyba... Cholera, nie mam pojęcia. To nie to przyszedłeś badać? Czy to nie o to chodziło?

– Miałem tylko nasłuchiwać, ale ja... ale... ty nie widziałeś. – Panek zafrasował się nie na pokaz. W jego oczach zwątpienie przerzucało się argumentami z czysto ludzką potrzebą podzielenia się z kimś doświadczeniem. – To przez te słuchawki i gogle, ty nie wiesz... Odpowiedziałem jej. Pod sam koniec rozmowy, nadałem sygnał z fizyczną lokacją. Bardzo chciałem, by tu została. Bałem się, że jej duch, jeśli zapomni, skąd pochodzi, to zniknie, odejdzie na zawsze.

– Duch? Zapomni, skąd pochodzi? – Złapałem się za głowę i ze śmiechem wskazałem na otaczający nas sprzęt laboratoryjny. – Ty jesteś, kurwa, wróżką? Karty rozstawiasz, jebańcu... Przepraszam, nie powinienem był, ale... Konstanty, zdurniałeś? To nie jest medium, to nie rozmowa ze zmarłymi, ona przecież nie żyje. Leży w chłodni, dobrze wiesz! Możemy podejść i włożyć jej palec pod zębra, tego chcesz?

– Nie! Nie... oczywiście, że nie! Ale to wszystko jest takie trudne do pojęcia. Dobrze, nie jest to duch, dusza, w rozumieniu wiary chrześcijańskiej. Odstawmy na moment gnostycyzm i uznajmy, że istnieją skomplikowane procesy, których nie jesteśmy w stanie pojąć. Jak kształt doskonale przezroczystej szklanki, którego nie umiemy opisać, ale jesteśmy w stanie dostrzec, gdzie się kończy szkło, a zaczyna powietrze z jednej i drugiej strony. I jeśli mielibyśmy poznać to, co nieznane, przez to, co znane, to wtedy oznaczałoby, że Frida gdzieś tam jest. Nie jest to duch w białej sukni ślubnej, który nawiedza grób zmarłego męża, ani inne takie bzdury. Jest to pewien zapis całego jej życia, które da się uprościć do danych, ciągu cyfr, czegoś kwantyfikowalnego. I jeśli w toku życia my wszyscy wydzielamy z siebie

sygnały, jak chociażby machnięcie ręką, które porusza powietrzem, to sfera radiowa stanowi pewne dążące do nieskończoności odbicie tych działań, ogromny zbiór. Taka radioinformacyjna bańka mogłaby zawierać wszystkie niezbędne dane, potrzebne do zapisania całej historii ludzkości. Moglibyśmy wyjąć zapisaną pamięć ludzi, ich działania, rozumiesz?

– Porywasz się z motyką na słońce – powiedziałem cicho, próbując przetrawić informacje. – Nawet jeśli w jakiś niezrozumiały dla mnie, prostego dróżnika, sposób istnieje ta kalka, odbicie jak kopia zapasowa klucza w gąbce, to jak chcesz ją odczytać? Przecież świat dzieje się nieustannie, to jest jak palimpsest, ale po nieskończoność razy. Każde słowo każdego człowieka pomnożone przez cały czas i wszystkie wydarzenia! Aż mi głowa paruje! To nie może przecież się dziać.

– Tak jest ze wszystkim, Artem. Biologia to też tryliony komórek, które stanowią cały chór skomplikowanych mechanizmów, wyśpiewujących życie. Nie rozumiemy każdej komórki naszego ciała osobno, ale mimo to hodujemy bydło, zabijamy je i zjadamy, nikt nie mówi, że biologia nie istnieje albo nie da się jej wykorzystać. Nauka jest nieskończenie skomplikowana, to fakt, ale musi być taka. A my możemy wykorzystywać drobne kawałki tej skarbnicy wiedzy.

Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu i po raz pierwszy czułem, że ja i Konstanty myślimy o tym samym. Spoglądaliśmy na swoje palce, unosiliśmy je, przesuwaliliśmy w powietrzu tak, jakbyśmy badali miękkość jakiegoś materiału. Obaj czuliśmy, że nieskończoność przenika pomiędzy atomami, z których składają się nasze ciała. Każde słowo i czyn, zapisane w strumieniu danych, oblewa nas cały czas.

Byliśmy stworzeniami głębinowymi w oceanie informacji.

– Co chcesz teraz zrobić? – spytałem z lękiem. – Nie wiesz, czy skontaktujesz się z Fridą, czy nie. To ci może zająć całe życie, nie wspominając o anomaliiach i chorobach radiowych. Nie znam się na nauce, ale... Są ludzie, którzy nadali kilka komunikatów w życiu i zmarli w tragicznych, trudnych do pojęcia skutkach. To jak otwieranie skóry i zanieczyszczanie swojego organizmu cudzą krwią. Nie wiadomo, ile razy możesz zrobić coś tak ryzykownego, zanim nie trafisz na kogoś chorego, kto cię zarazi.

Zadrzałem lekko, przypominając sobie na moment, że nie powinienem go pouczać. To, co robił Konstanty, było szalenie niebezpieczne i trudne do zrozumienia. Jednak to ja przyszedłem z zewnątrz, taszcząc ze sobą nieznany ślad radiowy i potencjalnie zarażając ich wszystkich. Tego jednak nie chciałem im wyjawiać z obawy o własny los.

– Nie wiem, czy zgadzam się z twoją analogią, ale ją rozumiem i... zignoruję. – Panek uśmiechnął się niewinnie i wzruszył ramionami. – Chcę by Wanda była ze mnie dumna. Dam jej powód do życia, całe bogactwo wszechświata. Ona tak bardzo kocha wiedzę, a ja mam zamiar zaczerpnąć ze studni. To będzie tyle wiedzy, że wszyscy się nią podusimy, ale taki jest los człowieka. Nie wyobrażam sobie, że moglibyśmy tego nie zrobić. To tak jakby jaskiniowiec nigdy nie chwycił z ogniska szczapy drewna. Ten płomień, ta potęga, jest tam zaklęta. To jest to pierwsze narzędzie, od którego zaczyna się historia nauki. Módl się, Artem, bo czeka nas wielkość albo nicość.

* * *

Leonid marzył na opak.

Myślał o braku życia, odebraniu go komuś. Ślady łap w śniegu, pustka między lunetą a pełną krwi skronią. Całe jego marzenie można by zmieścić w ołowianej kuli. Przez kilka wieczorów tłumaczył mi to, jak tropi zwierzęta, jakich używa metod, a następnie ile trwa proces sprawiania zwłok. Zaledwie zdawkowo wspomniał o tym, co najważniejsze – po co to robić?

Jak to często w życiu bywa, odpowiedzią były pieniądze, ale nie te posiadane, a te brakujące, pożyczone. Praca w obiekcie 1370 była w równym stopniu ucieczką od problemów, co szansą na ich rozwiązanie. Jednak porządnej zwierzyny nie mógł wytropić od miesięcy, zaś ta podrzędna nie miała szans spłacić długów.

Leonid zatem mógł tylko marzyć o śmierci, obcej lub własnej, bo oczekiwanie na to, czy siepacze wierzyieli wytropią go i pofatygują się aż tam, szargało jego nerwy. Szanse na bycie odnalezionym na szczycie góry były właściwie bliskie zeru, ale nawet stacja meteorologiczna nie była w pełni odcięta od świata. Wiedzieli o nim pewnie jacyś dróżnicy, kurierzy z zapasami, wspominali o nim naukowcy w swoich raportach.

Kropla drążyła skałę, a Wołkow nie miał pewności, kiedy coś wybije w nim dziurę na przestrzał.

– A co zrobisz, jak w nocy zejdzie lawina? – pytał mnie raz po raz, gdy pakowaliśmy się w podróż. – Albo jak się obudzisz, a tam szum w głowie, woda w żyłach, jeden but na nodze, a tu wszędzie śnieg?

– To wytnę dziurę w namiocie i wybiegnę – odpowiadałem zwykle na pół serio, zdając raz po raz egzamin z cierpliwości.

– Kurwa, a spróbuj tylko, w moim nowym, dziesięcioletnim namiocie. Zmarzluchu zajebany, ja ci dam, jakbyś ty chociaż w swoim namiocie spał.

– Mogę spać w swoim.

– Ta, kurwa, będziemy dwa namioty grzać. Taki z ciebie, kurwa, dróżnik, tropiciel, chuj z metra cięty.

Gdy w końcu zebraliśmy się w drogę, Wanda i Konstanty postanowili urządzić nam małe pożegnanie z gorącą herbatą i ocukrzonymi sucharami. Wydawali się zadowoleni z myśli, że przez jakiś czas pozostaną prawdziwie sami.

Studiując uważnie ich twarze, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że Wanda potrzebowała czasu na pogodzenie się z tym, że w obiekcie już zawsze będzie nieco ciszej, zaś Konstanty nie mógł się doczekać perspektywy nasłuchiwania sygnałów radiowych.

Szron tego dnia osadzał się na szybach wyjątkowo szeroko, kreśląc nieforemne, najeżdżające na siebie i stale zmieniające się plamy. Okna przypominały mapy z polami wielkich krajów, toczącymi ze sobą nieustanną wojnę o drobiny ciepła. Biała śmierć zaglądała co rusz i wciskała się w szczeliny, zwykle grzęznąc w grubej warstwie ciemnego kitu.

– To ostatnia szansa, by się wycofać – powiedziała spokojnie Wanda. – To znaczy, przed drzwiami też będziesz mógł, ale teraz byłoby najmądrzej, bo nie naniesiesz nam tu śniegu.

– Już mówiłem, że muszę sprawdzić, czy wyzdrowiałem – odparłem zgodnie z prawdą. – Wolę zasłabnąć razem z Leonidem kilometr od placówki badawczej, niż za czterdzieści kilometrów sam, na skuterze, gdzieś w głuszy. No i poza tym może być to mój ostatni dzień odpoczynku, inaczej już bym wyruszał, a tak mam solidną wymówkę.

– Mówiłeś, że praca dróżnika to maraton, a nie galop... I ja myślę, że tak samo jest z życiem. Za bardzo się śpieszysz, nie wiem, czy biegniesz do czegoś, czy od czegoś, ale twoje ruchy są bardzo niespokojne i niespójne.

– Artem po prostu chce się czegoś nauczyć od prawdziwego mężczyzny – mruknął zadowolony Leonid i pewnie był jedyną osobą w pomieszczeniu, która w to wierzyła. – Ja mu pokażę, jak się tropi lisy śnieżne i wyrywa im kły gołymi palcami!

– Dobrze jest próbować nowych rzeczy – dodał Konstanty. – Zaryzykować trochę i zobaczyć, jaki zysk przyniesie nowe.

Wanda spojrzała na nich obu z dezaprobatą, po czym zmierzyła mnie zmartwionym wzrokiem. W jej oczach widziałem coś, co ktoś nie znający jej te kilka dni, mógłby pomylić

z troską. Nic jednak nie powiedziała, jedynie dopiła herbatę i do samego końca obserwowała, jak ubieramy się, zakładamy plecaki i znikamy za najbliższym śnieżnym płaskowyżem.

Słońce biło po oczach, zmieniając górskie szczyty w powierzchnie polerowanych luster. Powieki nieustannie tuliły się do siebie, łzawiąc z bólu, zaś temperatura sklejała je mrozem tak, że każde mrugnięcie kłuło i szarpało za skórę.

– Ostatnia rzecz – powiedział Wołkow, nim na dobre wyruszyliśmy. – Nie zrób nic głupiego... Mówię serio. Góry mają w sobie to coś, że człowiekowi przychodzą bzdurne myśli do głowy. Nie zamyślaj się, nie użalaj nad sobą i nie romantyzuj.

– Czego miałbym nie...

– Po prostu idź moim śladem i nie zabij się ani mnie, dobrze? Chciałbym w miarę szybko wrócić do ciepłego łóżka, rozgrzać nogi.

Poruszaliśmy się po jakiejś niewidzialnej nitce, pozwalającej na uniknięcie fałszywych sklepień i nietrwałych mostów śnieżnych. Leonid w milczeniu wybierał trasę, tylko po to, by nagle i bez żadnego znaku skręcić i pójść w kompletnie przeciwnym kierunku.

Narzucone tempo wyzwalało we mnie wszystkie mechanizmy obronne, znane organizmowi. Miałem wrażenie, że zaczął się bieg, do którego nie byłem rozgrzany, ani w ogóle w żadnej mierze gotowy. Cicho liczyłem na to, że to mój przewodnik narzuca mocne tempo, by się popisać, ale prawda nieubłaganie domagała się uznania: byłem zmęczony.

Pot zlepił mi włosy, oblizał kołnierz i spłynął po kręgosłupie. Każdy krok odrywał skórę pleców od materiału ubrań i wzniewał mikroskopijny ruch powietrza, mający mózg dobitnym uczuciem chłodu.

Z czasem mój krok zrobił się chwiejny, niepewny, niezdolny do pełnego odtworzenia ścieżki Wołkova. Jego rakieta śnieżna naznaczała iskrzącą się pokrywę siecią małych nakłuć, a zaraz po tym moja uderzała nieco z boku, powielając krzywo wzór, jak uszkodzona maszyna w drukarni.

W końcu i nawet moja uwaga, siła woli, ostatni bastion przetrwania, musiała się poddać. Zamiast pod nogi zacząłem spoglądać gdzieś ku nieodległym szczytom wzgórz, z których co rusz witał mnie jakiś drobny ruch. Zapytany o to Wołkow stwierdził, że to tylko pozostałości oznaczeń wspinaczek oraz punktów orientacyjnych na szlakach.

Jednakże ruch, który mnie interesował, w niczym nie przypominał falowania długich, złocistych tasiemek ostrzegawczych. Zamiast tego pojedyncze, ciemne kształty co chwila odrywały się od kamienistych zboczy, przemykając na tle białej zmarzliny.

Na trasie dostrzegałem, jak wyglądają ułożone z kamieni konstrukcje, oblepione odbłaskowymi taśmami i teleskopowymi masztami. Każda z konstrukcji zdążyła spoić się

w jeden, lodowo-kamienny pinakiel, którego znaczenie z czasem stało się oczywiste tylko dla tych, którzy go wzniesli.

Leonid dalej odpowiadał na moje pytania zaledwie gestami, skupiając się na podróży. Miałem wrażenie, że obcuje z drugą, całkiem odmienną osobą niż ta, którą poznałem w obiekcie na szczycie. Na stacji meteorologicznej poznałem raptownego, głośnego i pyszałkowego ochroniarza. Jednak na szlaku miałem do czynienia ze spokojnym, cichym i doświadczonym przewodnikiem. W nielicznych chwilach, gdy Leonid rozglądał się lub zrównywał tempem ze mną z uwagi na specyfikę terenu, mogłem spojrzeć mu w oczy. Widziałem, jak górski pejzaż ożywa na powierzchni jego tęczówek, jak wprawione oko skacze od punktu do punktu i zostaje dokładnie na tyle, ile to potrzebne, by zebrać niezbędne informacje. Zdecydowanie bliżej mu było do maszyny, niż do człowieka.

Zastanawiałem się, czy i ja tak się zachowuję, gdy wykonuję swoją pracę. Przypomniałem sobie te wszystkie chwile, gdy obciążony skuter gnał z zawrotną prędkością, a na podjęcie decyzji miałem zaledwie sekundy. Gdybym nie był dobry w tym, co robiłem, to dawno bym nie żył. Jednak przecież wielu głupich przeżyło, a nie jeden mądry zginął nagle.

Niezadowolony ze swoich wniosków urwałem dalsze rozmyślenia w samą porę, by nie wpaść w plecy Leonida.

Przewodnik zmierzył wzrokiem pozornie płaski, nieco pochylony fragment terenu. Zasypane śniegiem zbocze mogliśmy przekroczyć bez problemu i na tle poprzednich trudności wydawało mi się ono świetnym momentem na chwilę nieuwagi i odpoczynku.

Czułem, że każdy oddech pali mnie żywym ogniem, a coraz częstsze uderzenia kaszlu zaczynają nosić chorobliwe znamiona, zwiastujące kolejny cios dla mojego zdrowia. Z entuzjazmem przywitałem te sto metrów względnego spokoju, po którym śnieg znów się mechacił jak dywan, krzywił i wyginał w kształty właściwe oblepianym przezeń skałom.

Zrobiłem krok naprzód i Leonid od razu mnie powstrzymał.

Przewodnik pokręcił głową z dezaprobatą i przypadł do ziemi. Przez długi czas poruszał się w górę i w dół zbocza, grzebiąc w grubym śniegu rękoma. Co chwila zapadał się i musiał wygrzebać na powierzchnię, sapiąc przy tym ciężko. Obserwowałem te przedziwne wybiegi, nie mogąc w pełni pojąć, dlaczego niewidoczna gołym okiem linia, tak dramatycznie przekreśla nasze szanse na dalszą podróż.

Zaśnieżone szczyty pokrywała naprawdę rachityczna i rzadka roślinność, która niemal nigdy nie wystawała ponad linię śniegu. Tam, gdzie uchowały się jakieś większe krzewy, mogłem dostrzec foremne, okrągłe kopczyki o poszarpanych krawędziach, jednak niemal wszystko i tak przykrywała masywna warstwa puchu.

Przyglądając się tak Leonidowi, zacząłem mocniej dostrzegać różnice w okolicznej rzeźbie terenu. Niewidzialna linia, której tak obawiał się Leonid, po obu stronach emanowała kolorem, zakrapiającym okoliczny śnieg w gradient bieli, szarości i lodowatego błękitu. Efekt widoczny był nawet w pionie, wewnątrz śnieżnych jam, pozostawionych przez Leonidowskie poszukiwania.

Rozdrobniłem między palcami kilka grudek śniegu i zrozumiałem, co takiego zmienia ten krajobraz – woda.

Wołkow zaśmiał się charkotliwie, chwycił coś mocno i pociągnął do siebie. Wewnątrz ostatniego, śnieżnego wykopu błysnął czerwony kształt. Zupełnie tak, jakby myśliwy dokopał się wreszcie do żyły, czy też najmniejszej z drobnych kapilar, sączącej krew do zmrożonego układu krwionośnego Gór Czałupich.

Leonid pociągnął za grubą, zeszywniałą linę jeszcze kilka razy i machnął na mnie. Razem próbowaliśmy rozerwać stwardniałą powierzchnię, jak złomiarze, chcący wykraść miedziane kable spod otynkowanej ściany. Ciężko powiedzieć, w jakiej sytuacji walczylibyśmy o przetrwanie w większym stopniu.

Wreszcie czerwona lina musiała ustąpić i wyskoczyła na powierzchnię. Kawałek po kawałku odsłaniała niemal stumetrową przeprawę ponad śliską, lodową powierzchnią. Fragmenty śniegu posypały się w dół zbocza, zbierając po drodze kolejne drobiny i tworząc miniaturową lawinę.

Wołkow wyszczerzył się dumnie, przypiął się karabińczykiem do liny i postawił pierwszy krok na wcześniej nieprzebytej, przerażającej przeszkodzie.

Wyczekiwałem, wiedząc, że może wydarzyć się wszystko.

Każda rzecz na szczycie góry, potrafi przyjąć apokaliptyczne wymiary. Nie jestem pewny, czy jakiegokolwiek wydarzenie mogłoby mnie zdziwić, zwłaszcza po poprzedniej nocy, spędzonej w radiowej pracowni Konstantego.

Powtórzyłem ruchy Leonida i zacząłem przekraczać niewidzialną granicę.

Nie wiem czemu, ale wtedy wróciły do mnie myśli o Paneku i jego badaniach. Wkładanie ręki w nieznane wody, mielenie ziaren życia w mózdzierzu kosmicznych sił. Tak wszechobecny śnieg był nie mniej zaborczy w swoich żądaniach, co biały szum w radiu. Pusty, pozornie pozbawiony życia, ot mróz, brak ciepła, woda w bezruchu kryształu. Otaczała nas śmierć w swojej najmniej imponującej, najwolniejszej formie.

Rakieta obluzowała się nieco i szarpnęła w bok. Zwał śniegu ześlizgnął się i posunął w dół zbocza, tworząc kolejną mikroskopijną lawinkę. Dopiero wtedy mogłem spojrzeć w oświetlony białym, nieczułym słońcem dół.

Pod cienką warstwą śniegu dostrzegłem rybie oko. Masywny pstrąg spoglądał na mnie w zamarzniętym prerażeniu, tak jak w dniu, w którym został złapany. Dopiero po chwili doszło do mnie, że poruszamy się po wielkim, łuskowatym grzbiecie zamarzniętej rzeki. Błękitny wąż zapadł w bezruch pewnego dnia, gdy mrozy postanowiły zadać ostateczny cios i nie odpuścić od tamtej pory ani na moment.

Fałszywy krok, puszczenie się liny, chwila nieuwagi – to wszystko mogło posłać mnie w gwałtowną drogę w dół, mającą finał gdzieś u dna zbocza.

– Tu bierze swój początek rzeka Ruba – powiedział Leonid na tyle głośno, bym go usłyszał i na tyle cicho, by nie przerywać symfonii wyjącego wichru. Mówił krótkimi, rwanymi zdaniami, po których zapadała pełna oczekiwania cisza. – A przynajmniej kiedyś brała. Jedno z dorzeczy Isteru. Gdyby odtajała, to Ister by wezbrał i znowu zmienił bieg. Takich dorzeczy są dziesiątki albo i setki. W samych Górach Czałupich jest pięć. Grucznicy uważają Rubę za świętą rzekę.

– Co to znaczy?

– Że jest bardzo ważna.

– Kurwa, nie o to pytałem – warknąłem, próbując się nie przewrócić. Stojąc w połowie przeprawy, brnąc co rusz w śniegu lub na jego łamliwej powierzchni, widziałem jak kolejne drobne lawinki toczą się po dawnym, niewidzialnym korycie rzeki. – Święta to znaczy, że co? Modlą się do niej? Rozmawiają z nią? Nie pozwalają nikomu się zbliżyć?

– Tak – odpowiedział krótko Leonid, choć nie wiem, jak prawdziwie. – Tam dalej już jest zejście na najwyższe hale. Jak byli pasterze, to tam inwentarz zganiał.

Jak byli pasterze... W sensie, jak istnieli. Cholera, co za dystopijna myśl, wyrażona w tak prostym zdaniu zwykłego myśliwego. Bo faktycznie przecież kiedyś byli pasterze, a teraz? Ciężko powiedzieć, czy bardziej z winy Federacji, czy winy dziesięcioleci mrozów. Wszystko tak bardzo się zmieniło, że nawet najtwardsi mieszkańcy dziczy przestali się szczycić swoją samowystarczalnością. Cała gospodarka przeobraziła się w wielką grę importową. Szalone, młyńskie koło rabunkowe, w którym wszystkie elementy wiszą na jednym włosku.

Nigdy nie byłem na naprawdę dalekim zachodzie, gdzie do dziś są cztery pory roku.

Ostatnie lato widziałem, nim miałem córkę. Nigdy jej go nie pokazałem.

Zostało ostatnie kilka kroków. Spojrzałem w dół, widok był równie groźny, co piękny. Przy życiu trzymało mnie tylko drobne, stalowe zapięcie, kawałek sztucznych włókien i jedna decyzja.

Bardzo powolnym ruchem sięgnąłem ku karabńczykowi. Pstryk – i już nie byłem przypięty do niczego.

Po plecach przeszedł mi zimny dreszcz. Stopy wbiły się mocniej w podłoże, próbując nie drgnąć i masą całego ciała zaprzeć się o zdradliwy lód.

To nie byłoby takie złe, pomyślałem, odejść na szczycie góry, samemu, w blasku słońca.

Leonid pociągnął mnie do siebie mocno. Obaj padliśmy na śnieg po drugiej stronie rzeki, zagrzebując się w głębokiej przestrzeni między dwoma zaspami. Pięty wierzgały mi po resztkach lodowego brzegu, ale ciało już zaparło się o twarde podłoże, gniotąc plecak.

– Durny jesteś? – spytał Leonid, nie wstając. – Za szybko się wypiąłeś, tam jeszcze ze dwa kroki były. Musisz bardziej uważać, jeśli chcesz przeżyć.

– Ta... ta.

– Co ta? Co ta?

– Ta, masz rację, muszę, jeśli chcę przeżyć. – Wygramoliłem się na równe nogi i otrzepałem ze śniegu, spoglądając na przebyty dystans. – Sam ustawiałeś tę linkę?

– Ha! Nie no, ja to bym tego tak chujowo nie spartolił – zaśmiał się Leonid i zaraz poszarzał na twarzy. Jego skóra momentalnie zwinęła się, jak kartka papieru nad ogniem świeczki. – To jeszcze Cyryl, jak urzędował ze mną. My żeśmy te szlaki wytyczali. No, zanim obiekt tutaj powstał, a raczej jak powstawał. To trzeba było to wszystko opisać, wtedy jeszcze przed wielkimi mrozami była jakaś zieleń, limby rosły... A wiesz, że miejscowi na wschodzie nazywają czasem sosny cedrami? Ot, lokalny folklor, człowiek się całe życie uczy.

– Tak jak bielik nie jest orłem – dodałem, widząc, że Leonid bardzo nieumiejętnie chce uniknąć tematu byłego kolegi. Nie miałem zamiaru drażnić, samemu nie będąc lepszym w tych kwestiach.

– No, albo że jeź nie je jabłek.

– Co ty pierdolisz? – spytałem grzecznie. – Nie mów mi, że nie wiedziałeś.

Leonid zaśmiał się gromko i poklepał mnie po ramieniu, a ja nie wiedziałem, czy jest idiotą, czy ma mnie za idiotę. W zasadzie na jedno wychodziło.

Ostatni raz obejrzałem się na wrytą w poprzek rzeki ścieżkę i zmrużyłem oczy przez nadlatujący śnieg. Gdzieś po drugiej stronie znowu majaczyły cienie. Zacząłem się obawiać, że odmrożenia odkształciły mi soczewki oczu albo w jakiś inny sposób mróz wybił słupki czy pręciki i teraz byłem skazany na wieczność drobnej ślepoty.

Dopiero po chwili doszło do mnie, że równie dobrze mogła to być Baba Jaga, a ja będę musiał jakoś usprawiedliwić przed Leonidem branie leków antyradiacyjnych.

Ale to były problemy na przyszłość. Pełną ruchomych cieni, chorób i szaleństwa przyszłość. W tamtym momencie byłem tylko ja, Leonid i durnawe dowcipy, próbujące odwrócić naszą uwagę od trudów schodzenia z góry.

* * *

Poranny wiatr strząsał z tajgi siwy kobierzec śniegu. Mgły stłaczały się na szczytach wysokich gór, jakby chmury dzieliły się na dwoje, a następnie spływały w doliny wielkimi kłębam. Przestrzeń pomiędzy dwoma górami stanowiła naturalną bramę a może raczej lufę karabinu, przez którą ktoś przeciągał brudny wycior. Siwa zasłona przepłynęła przez całą okolicę i zniknęła równie szybko, jak się pojawiła. Gdy jednak odwróciłem się, by obejrzeć, dokąd odeszła, jej już nie było.

– Artem, wandalu zajebany w dupę, chodź tutaj! – krzyknął Leonid, stojąc okrakiem przed drzewem.

– Co tam, skórka już schodzi normalnie?

– Bardzo, kurwa jego mać, śmieszne – warknął myśliwy, chowając wrażliwe członki w kalesony. – Tu się patrz, a nie na mnie, erotomanie miejski.

Już miałem zrobić przysłowiowe trzy kroki, czyli pierwszy jedyny i ostatni, ale w ostatniej chwili zatrzymałem się i cofnąłem. Dookoła namiotu, w niezbyt dużej odległości, ustawiliśmy przed snem potykacz z ładunkiem wybuchowym. To tak na wypadek niedźwiedzia albo innej, gorszej rzeczy. Sam wybuch pewnie by mnie nie zabił, ale na pewno byłby to paskudny poranek, więc niezwykle ostrożnie przeszedłem ponad napiętym jak struna drutem.

Powiodłem wzrokiem od wijących się krzywo korzeni, oblizanych przez poranną rosę, aż po szczyt sosny i zrozumiałem, co wprawiło Leonida w nagłe wzburzenie.

Ktoś ściał na płasko kawał kory, odsłaniając pomarańczową, jasną warstwę drewna, na której wryto kilka ukośnych kresek, jak podpis albo wiadomość.

– No i na chuj psujesz drzewo? – spytałem grzecznie. – To jakieś myśliwskie oznaczenia? Nie wystarczy ci obsikanie drzewa?

– Ale powiedz, kurwa, że teraz żartujesz. – Leonid spojrzał na mnie poważnie, utrzymując lekko uchylone wargi, jakby silił się, by czegoś jeszcze nie powiedzieć. – Jaja sobie robisz, nie? Taki kawał, kurwa, śmieszku pierdolony?

– Dobra, już, uspokój się z tym plugawym jęzorem. Nie wiem, o co ci chodzi.

Przez moment patrzyliśmy na siebie w ciszy, zastanawiając się nad konsekwencjami sytuacji. Ktoś musiał powiedzieć jako pierwszy na głos to, co było dla nas obu oczywiste. W ciszy jedynie wiatr przetrząsał korony drzew i rozrzucał świeże wióry po całej okolicy.

– Ruszamy w trasę – zawyrokował Leonid poważnie. Jego wzrok na powrót zrobił się zimny, mroźniejszy niż lodowy stok. Dyscyplina i powaga sytuacji wzięły górę nad chwilowym fraternizmem. – Miałem nadzieję, że nie znajdą nas tak szybko.

– Autochtoni?

– Ta, Grucznicy, dzikusy w dupę zajebane, nieskolektywizowane. Mamy dobe, zanim się obrażą.

– I co robią? – spytałem, ale Leonid nic nie odpowiedział, tylko zaczął zwijać obozowisko z jeszcze niedogrzaną owsianką. – Halo, co to znaczy, że się obrażą? Obrzuca nas gryzonim gównem? Powyzywają? Zapierdola nas i zjedzą?

Powstrzymałem się od wiązanki przekleństw i pomogłem towarzyszowi w zbieraniu manatków. Co rusz nawyki kazały mi ściągać kolejne partie sprzętu do skutera i ustawiać je w równe bryły, ale przecież żadnego skutera nie było. Były jedynie: dochodzący do zdrowia ja, dwie nogi w nieprzemakalnych butach i niewyobrażalna przestrzeń górzystej tajgi.

Stosunkowo szybko przekroczyliśmy dalszą część doliny. Forsowny marsz przeprowadził nas po głębokim śniegu, zalegającym w dołach. Tam jednak mróz był na tyle silny, a zmarzlina dość twarda, byśmy zrezygnowali z rakiet. Nawet gdy podskakiwałem w pełnym obciążeniu, pod moimi stopami wyrastał jedynie zbity ciasno dołek o formie mojej podeszwy.

W pewnym momencie dostrzegłem skałę o niezwyklej kształcie, którą dopiero po chwili zidentyfikowałem jako szczyt wysokiego dachu.

– To dawne chaty Gruczników – skomentował Leonid bez emocji, ale nawet on zatrzymał się na parę sekund, by dokładniej obejrzeć znalezisko. – Mijałem ją czasem, ale wtedy jeszcze miała... no wszystko, ściany przynajmniej. Cała konstrukcja ma kilka metrów, choć teraz tego nie widać. Widzisz, tam z tyłu, gdzie mijaliśmy drzewa, było wzniesienie małe, dlatego tam rozbiliśmy namiot i dlatego tam drzewa były w miarę niezasypane. Ale tutaj już jest płasko i nie da się mądrzej budować, chyba że chcesz wcisnąć swój dom w ścianę skalną albo jaskinię. Tam pod śniegiem są drewniane bale na kamiennych fundamentach i oni... no, sam nie wiem, ja poluję, a nie hoduję. Chyba tam inwentarz czasem trzymali albo spali, gdy inwentarz się pasł, nie wiem. Chyba też narzędzia przechowywali i może tu przychodzili tylko po jakieś rzeczy.

– Widziałem podobne chaty – dodałem niepewnie, wyławiając z pamięci przypadkowe fragmenty wspomnień. Zdjęcia, urywki gazet, widokówki, pejzaże mijane na

skuterze. – Hodowcy reniferów mieli takie na północy, ale potem zaczęli uciekać z nimi na wschód i południe, jak się klimat zmienił.

– Chciałeś powiedzieć, że klimat się rozjechał jak kurwa na imprezie z okazji promocji oficerskiej – odpowiedział Leonid, wysmarkując przez nos żółtą, glutową kulkę, która zamarzła już w locie.

– Tak, z ust mi to wyjąłeś... No, a miasta się nie przeniosły.

– Nie, nie wszystko się dało przenieść. Jak wytyczyliśmy szlaki to też przestały być funkcjonalne, dlatego teraz nie idziemy po szlakach. Pamiętaj o tym, gdy zobaczysz oznaczenia na trasie, bo nie wszystkie są aktualne. Zerwałem niektóre, przynajmniej te, które wcześniej oferowały bezpieczeństwo, a teraz zmieniły się w śmiertelne pułapki. A tak to... no, nie chciało mi się wszystkiego samemu robić.

– Cyryl nie mógł ci pomóc? – spytałem, próbując upewnić się, że mój pozornie obojętny głos nie zdradzi wewnętrznej ciekawości i zawahania.

Leonid zacisnął zęby i przyspieszył kroku. Myślałem, że już mi nie odpowie, ale ta zmiana tempa w jakiś sposób musiała mu pomóc w przekonaniu się i zaraz machnął rękami, jakby kogoś przepraszał.

– Jego już nie było – szepnął Leonid, a ja nadgoniłem za nim, by nie umknęło mi ani słowo. – Cyryl odszedł wraz z latem. Powiedział, że wyczuwa ostatnie ciepłe dni. Widział to w przyrodzie, w zwierzętach, roślinach, tak mu Grucznicy też mówili. Cyryl bywał u nich wiele dni, ale potem przestał. Musieli mu zrobić jakąś krzywdę, zatruć, nie wiem, chuj wie tak naprawdę. Ale pewnego dnia wstałem i go nie było. W jego ulubionym miejscu, na tak zwanym Języku, znalazłem tylko jeszcze ciepły termos z reszką kawy. Otworzył nawet likier kokosowy, który oszczędzał przez lata na specjalną okazję. Kurwa, jaki ja byłem na niego zły... Dostaliśmy tę pracę i nic, potem ukończyliśmy wytyczanie szlaków i nic, wreszcie otworzono obiekt 1370 i nadal nic. Myślałem, że odkręci ten likier, jak już odejdzie na emeryturę i nawet mu to mówiłem. No cóż, widocznie, miałem rację.

– Wiesz, czemu to zrobił? – spytałem, akcentując powoli każde słowo, dając im czas wybrzmieć. Wypowiadałem je tak, jak się podsuwa psu dłoń, by miał czas obwąchać wszystkie palce i się przyzwyczaić, dostrzec brak zagrożenia i złych intencji.

– Oczywiście, że nie. Mówił, że świat się skończył, że wykarmił nas do cna i nic więcej nie ma, bo zjedliśmy wszystko. Wspominał o wielkim mrozie, mroku, Federacji, chciwości ludzi, głodzie i tak dalej. Tylko on tak zawsze mówił, ale to przecież nic wielkiego. Kurwa, Artem, ale powiedz mi, tak czy nie? No kto tak nie uważa? Pewnie, kurwa, że kiedyś było lepiej. No tak, ludzie są skurwysynami, bogaci się bogacą, biedni biednieją, zajebiście

skomplikowane przemyslenia. Dzieci są głodne, a urzędaszy na stołkach sprowadzają sobie panny do towarzystwa i peklują je w dupsko w podgrzewanych wannach. Jasny chuj, niesamowita idea, tylko wiesz co? Nie wszyscy to mówią na głos i tyle. Więc szansa, że Cyryl się przez to zabił, jest taka sama, jak to, że ty byś to zrobił albo ja.

– Widocznie się nie dowiemy.

– Nie, kurwa, nie dowiemy.

Przez następne parę kilometrów szlaku, to były ostatnie słowa, jakie wybrzmiewały wśród coraz gęściej sypiącego śniegu. Słońce co jakiś czas nieśmiało wystawiało swoje zaspane oko przez mięsistą zawieszinę żółto-szarych kłębow.

Podróż, czy to skuterem, czy na piechotę, składała się z podobnej monotonii. Leonid przerywał marsz tylko po to, by się czemuś przyjrzeć lub by wystrugać kawałek zamrożonej ryby z zapasów. Swoją drogą, zamrożona na kość ryba była moim ulubionym przysmakiem w drodze, więc nie narzekałem, sam woziłem ze sobą taką wszędzie.

Z czasem ponownie wyszliśmy wyżej, choć nie wiem, na jaką wysokość. Ponad nami znów górowały szpiczaste szczyty oblodzonych gór, przypominających szare, wędznie czapy. Z kolei pod nami ciągnęły się zaśnieżone doliny, zbierające z okolicy cały śnieg i wilgoć, tworząc niewyobrażalnie głębokie przestrzenie śniegu. Trafiliśmy gdzieś pomiędzy te dwa światy, gdzie śnieg sięgał ledwie pod kolano, nie mogąc utrzymać się zbyt długo przy silnych, porywistych wichrach, spychających go niżej.

Tu nawet pojedyncze, owocujące krzewy przebijały się swoimi czerwonymi i granatowymi kuleczkami, nadając monochromatycznemu pejzażowi nieco koloru. Zamrożone potoczki utkwily na zawsze w skalnych korytach, pokrytych żółtawym mchem. Co rusz któraś z zaśnieżonych gałęzi poruszała się, wezbrana nagłym ruchem w koronach, bo ptactwo i drobne gryzonie wykorzystywały każdą godzinę dnia.

W tym zakątku gór istniało jeszcze życie. Gdybym był Cyrylem, uciekłbym tutaj. Samobójstwo było ostatecznością, wymagało albo chwilowego przypływu potężnych emocji, albo metodycznego wykorzystania każdego pozostałego sensu życia.

Leonid co rusz przystawał w miejscu, badał jedno kompletnie nierozróżnialne od drugiego miejsce, jakby coś wypatrzył, i zaraz ruszał w dalszą drogę. Im dłużej podróżowaliśmy, tym częściej ta sytuacja miała miejsce, lecz ani razu nie raczył tego skomentować, a co gorsza, wydawał się znacznie bardziej napięty. Moje obawy oscylowały między tropieniem ludzi a byciem przez nich tropionym, lecz sam Leonid nie chciał temu w żaden sposób zaprzeczyć ani tego potwierdzić. Raz po prostu naciął modrzew, zabrał

trochę leżącej powoli, gęstej żywicy i zwinął w kulkę, którą potem żuł kawał drogi. Zrobiłem to samo, smakowała zaskakująco dobrze i pozwalała zająć czymś myśli.

Mijaliśmy tę oazę życia w nabożnym milczeniu. Choć, oczywiście, ciszę i skupienie Wołkowa dało się wyjaśnić myśliwskim instynktem i skupieniem na zadaniu. Mimo to nie chciałem wierzyć, że nawet on byłby w stanie w tak pięknych okolicznościach przyrody nie pozwolić sobie na odrobinę spokoju.

Zaś spokoju te ziemie miały w nadmiarze.

Bąłem się innych ludzi od zawsze. Ta nieprzewidywalność i odpowiedzialność za cudze słowa, działania i myśli, przesłaniała mi obraz świata. Próbowałem uzależnić swoje szczęście od szczęścia innych ludzi, jak to robi większość, ale zawiodłem. Jeśli wszyscy jesteśmy zanurzeni w ciągłym ruchu, to nie możemy wiecznie wokół siebie orbitować nawzajem. I w końcu inni ludzie, również wymagający od nas pewnej pozycji, staną się nieszczęśliwi. Pewna jest tylko zmiana, więc im więcej elementów własnego szczęścia osadzimy wewnątrz siebie, tym spójniejszy pogląd na rzeczywistość osiągniemy.

Ale ja się nie czułem samotny. Nie w tamtym momencie, gdy przemierzaliśmy kolorowe zbocza, niewidzialne ścieżki, wijące się wężowymi zakosami pośród przyprószonych śniegiem bogactw ziemi.

W swoich podróżach zdegradowałem szlachetną samotność do prozaicznego osamotnienia i tak bardzo obawiałem się, by coś zmienić, że zapomniałem już, jak to jest się czuć samotnym obok kogoś. Samotnym, ale nie osamotnionym.

A tacy właśnie byliśmy z Leonidem – samotni obok siebie.

Skrzypienie butów w śniegu rozchodziło się dookoła tak naturalnie, jak szelest wzbierających od wiatru świerków, chrobot obracających się w pył kamieni, trzepot wstydliwych ptaków.

Aż na jednej z większych skał dostrzegłem stary, wyblakły z biegiem lat napis. Czerwona farba, wyrzygana pod ciśnieniem przez aluminiową puszkę, na zawsze oznaczyła ten fragment czymś podpisem. Ten człowiek nie mógł być tu pierwszy ani ostatni, o co sam zadbałem, a mimo to postanowił odkształcić ten element świata, naznaczyć go niezrozumiałym napisem, ciągiem pozornie przypadkowych symboli.

– Co myślisz? – spytał ni stąd, ni zowąd Leonid, a ja wiedziałem, że chodzi mu o podpis. – Straszne paskudztwo, co?

– Szkoda krajobrazu – odparłem, strząsając śnieg z brody.

– Ta, kurwa? Krajobrazu ci szkoda. Mogłem się tego spodziewać. Chodź, pokażę ci niezły krajobraz, Artem.

Leonid wyszczerzył się złośliwie i przyśpieszył nieco kroku. Wciąż brnęliśmy dość powoli, raz w górę, raz w dół, przystając na moment, by obejrzeć panoramę gór lub kolejny zagubiony w śniegu włos, lecz w końcu dotarliśmy do niewielkiego wzniesienia, z którego mój towarzysz przywoływał mnie raptownym gestem.

Spodziewałem się górskiego potoku, stada jaków, nawet anomalii radiowej, prującej do nieba z wielką prędkością. Nie spodziewałem się szerniałych ruin obozu pracy.

Czarny drut kolczasty wił się jak zetłale kosmyki włosów i ciągnął na zmianę cienkim sznurkiem po równej płachcie śniegu lub zwijał w loczkowate kłębowiska, jak wnętrze zapchanego odpływu prysznica. Za resztkami obozowej bramy, przy której stała wymalowana w czerwień, biel i błękit budka, nie było już niemalże nic. I ta nicość pozostawiała wiele dla wyobraźni.

Spod śniegu nadal mogłem dostrzec różnice wzniesień terenu, kamienne fundamenty, wbite pale i ciemne prostokąty baraków, jak odbicia po rozrzuconych pudełkach zapalek. Kilka pozostałych ścian i dachów trzymało się w jednej kupie, tworząc dziwaczne, pajęcze twory o długich, cienkich nóżkach.

W centrum placu piętrzyła się hałda, lecz gdzieś wiatr odsłaniał jej prawdziwe wnętrze. Spod srebrzystego puchu przebijała ciemnoszara, zmielona na jednolitą masę resztką po wszystkim. Resztką po budynkach, po wytrzewionych budach, po złożonych na kupę utensyliach obozowych, wreszcie resztką po ludziach, choć nie wiem, czy w chwili spalania byli jeszcze żywi, czy ich zimowy sen już dośnił swój koniec.

Dalej, już poza obszarem porośniętym drutem kolczastym, zostały nieco lepiej zachowane resztki dawnej kopalni, przypominające dziurę w zębie. Nitka torów prowadziła do wyrobiska, którego zasadnicza część zagłębiała się w zboczu góry i niknęła, drążąc swój bieg w skalnych wąpiach.

– Paskudztwo – charknął z sarkastycznym uśmiechem Leonid i splunął. Grudka śliny zamarzła tak szybko, jak zetknęła się ze zdradliwym podłożem. – Ostrożnie stąpaj, ta dziurawa ziemia jest usłana trupami. Chodzimy po wielkim cmentarzu, z którego został tylko popiół i kości, jak mawiał poeta.

– To kolonia karna – stwierdziłem krótko, rozglądając się po okolicy. Nagle poczułem, że marzną mi kolana. – Musieli zsyłać tu kryminalistów.

– Kurwa, Artem, ale już bez polityki, co? Tu każdy podsłuch by zamarznął, naprawdę.

– O czym ty mówisz?

– Dzieckiem jesteś? – spytał nie na żarty oburzony Leonid. Złamał żółtawy sopel smarków i przetarł nos, dając mi jeszcze chwilę na odpowiedź. Gdy jednak żadna replika nie

nadeszła, myśliwy zirytował się jeszcze mocniej i kontynuował tyradę. – Z chuja spadłeś na plecy? Kryminalistów? Bandytami, myślisz, że wykopiesz uran? Albo postawisz trasę kolejową? Masz dość morderców, by wciągnąć stalowe dwuteowniki kilka kilometrów pod górę? Myślisz, że te talerze z obiektu, to kto, kurwa, stawiał? Tajny obiekt, debilu jebany, nic ci nie zaświtało w głowie? Kto myślisz, że go budował?

– Wojsko – wyraziłem niepewne przypuszczenie. – Oni muszą zachować tajemnicę, bo służba i... no, w ogóle.

– Ta, jasne, bo Federacja nie ma nic lepszego do roboty, tylko kazać trepom stawiać pierniczkowe domki w śniegu. Kurwa, normalnie bierzesz Grucznika i pałą przez plecy...

– Nie...

– A jak nie chce współpracować, to szydło przez pizdę i, kurwa, z największego chojraka zrobisz kundla, rozumiesz? Bo, kurwa, tak to działa. Bo na chuj jebany żołdak ma budować ci zasrany obiekt strategiczny, jak ten sam żołdak może trzymać karabin i pilnować, by dziesięciu budowało? I potem wszystkich do szeregu bierzesz, kula w łeb, najlepiej w tej samej kopalni, w której ostatnia zmiana wybiła.

– Nie mów tak nawet!

Zaciskałem oczy, by nie widzieć wykrzywionej w złości twarzy Leonida, błyskającej złotymi zębami. Na tle spalonego obozu przypominał jakieś szmalcownicze bóstwo albo wcielony element folkloru więziennego. Wystająca zza pleców lufa myśliwskiego karabinu kołysała się na boki, jakby obecna w powietrzu śmierć przebudzała w niej potrzebę wypełnienia naturalnej funkcji.

Ale tak naprawdę... to nie byłem bardzo zaskoczony. Udawałem przed sobą samym. Chciałem się mieć za lepszą osobę, niż byłem. Robiłem sobie podkładkę dla własnej moralności, ale przecież nie zostałem nawet oszukany. Po prostu jak niemal wszyscy – zignorowałem rzeczywistość.

– Pewnie cię ciekawi ten napis, co? – spytał Leonid, nie odgadując moich myśli. – Tak ci szpecił krajobraz, prawda? No cóż, obóz chyba szpeci bardziej, zgodzisz się? Urobek zwożony do huty, kłęby węglowego dymu z lokomotyw, zbierane w dołach kloacznych odchody setek niemytych więźniów. Taaa, no nie było to piękne. A wszędzie daleko, nie ma gdzie uciec, nie ma jak uciec, bo to góry przecież. Nawet przygotowany człowiek wytrzyma krótko. Do wyjątków należał Andamacz, którego dzieło tak ci się nie spodobało. Niewiele młodszy od nas, jeśli się nie mylę, bo na pewno urodził się tutaj... Dosłownie tutaj. Na brudnym barłogu ze szmat, wśród szczurów i wszy. Mimo to udało mu się uciec, zamieszkał z Grucznikami, pewnie planował zemstę, ale z zemsty nic nie wyszło. Jak to często w życiu

bywa, skurwysyństwa się przedawniają. Federacja upadła, obóz zlikwidowano, wraz ze wszystkimi ludźmi, których kiedykolwiek Andamacz widział na oczy. Gdy wrócił na miejsce, nie pozostało nic innego, jak pozbierać do kupy całą resztę swojej przeszłości i dać jej godny pochówek. Posprzątał po nas, po Federacji, a potem wypisał zmarłym epitafium na skale. Wierz mi, Artem, że może i nie umiem tego rozszyfrować, ale to raczej nie jest żadne: tu byłem, pozdrawiam rodzinę. Kurwa, gdyby ten chłopak mógł, to naprawdę ostatnie czego by chciał, to pamiętać, że tam był.

– Więc mają wszelkie podstawy, by nas nienawidzić.

– A żeby to, kurwa, było mało... Oni nas nie nienawidzą, oni nas traktują jako zmaterializowane zło. Pasożytujemy na ich ziemi, wyganiają ich albo zaganiają do roboty, traktujemy jak gówno. Żadne to pocieszenie, ale Gruczników, którzy dali się zfederacjonizować czy po ludzku zeszmacić, też nie lubią.

– Paskudne, okropne, naprawdę straszne i...

– Nie zesraj się – stwierdził krótko Leonid i ruszył w dalszą drogę, spluwając przez ramię. – Nie musisz mi teraz udowadniać, jak bardzo cię to, kurwa, poruszyło. Bo nikogo z nas to nie rusza. Średnio obchodzi mnie, ilu ludzi żyje swoim gównianym życiem, bym ja żył swoim. Mówiłem ci, nie bawię się w politykę, nie interesuje mnie wielki, kurwa, bunt mas przeciwko elitom. Nie wysadzę wielkiej bomby u źródła wszelkiego zła, takie rzeczy są w bajkach. Takie jedno źródło zła po prostu nie istnieje, więc nie przekreśli go jeden dobry uczynek.

– Mimo wszystko Gruczników szkoda – stwierdziłem poważnie, próbując jakkolwiek domknąć temat. – Wszystkiego, kurwa, szkoda. Ludzi, terenu, nas. Federacja się wyniosła, ale jak tu żyć na zamrożonym kawałku skały.

– Idź, kurwa, spytaj, na pewno ci chętnie odpowiedzą.

Leonid machnął ręką w pozornie przypadkowym kierunku. Gdy tak się jednak przypatrywałem, dostrzegłem kilka cieni, przylepionych do skalnej półki. Byliby niemalże niewidoczni, gdyby nie to, że tym razem zbliżyli się i śnieg nie nawiewał już tak mocno. Ubrani w szarobure futra i skóry, nie wyróżniali się od otoczenia w większym stopniu, niż robiły to zwierzęta, z których ciał uszyli swoje ubrania.

– Wiedziałeś, że nas śledzą? – spytałem, próbując przełknąć gulę w gardle.

– Od zawsze. Mamy czas do świtu, nim do nas podejda. To zimny i pusty kraj, drapieżnik musi być skuteczny, a ich jeszcze obciąża ten niezrozumiały kodeks religijny. Chcą mieć pewność, że nas zaskoczą, a nie wiedzą nawet, że my wiemy, że oni nie wiedzą,

że my wiemy! Ha, taki to paradoks, rozumiesz? No to nie patrz się w tamtą stronę, to zyskamy trochę czasu.

Leonid mówił, ja słuchałem, świat umierał.

Z czasem zacząłem dostrzegać to z większą klarownością. Nauczyłem się nazywać to, co do tej pory zdawało mi się zaledwie przecuciem, nieopisanym, dręczącym mnie zjawiskiem, przemykającym na granicy recepcji wszystkich zmysłów.

Wszystko działo się naraz, zawsze i wszędzie. Każdy człowiek, tak samo świadomy i prawdziwy jak ja, żył swoim ograniczonym życiem, które płynęło równolegle do mojego. I tak miała się rzecz ze wszystkim.

To, co dobre i złe, wysokie i niskie, osadzało się w ciągłym ruchu, biegnącym ku swojemu końcowi. Ludzie rodzili się i umierali, a ja przeżywałem, dostrzegając zaledwie wycinki z tego, nawet nie minuty, a mgnienia oka, pojedyncze zdjęcia.

Widok obozu był ze mną długi czas. Poczułem się brudny i, jak każdy człowiek, szukałem jakiegoś sposobu, by to zignorować. Nie chciałem przyznać przed sobą samym, że wiedziałem, a przynajmniej czułem podskórnie, że Federacja ma wiele grzechów na sumieniu. Zawsze istniało jakieś usprawiedliwienie, zawsze byli inni, gorsi, mroczniejsze alternatywy. Ale gdy tak pomyślałem o tym, że przy każdym takim wydarzeniu moją pierwszą reakcją było szukanie usprawiedliwienia dla Federacji, zrozumiałem – ja też byłem częścią problemu.

Nim słońce przechyliło swój ciężki, życiodajny łeb nad krawędź świata, dotarliśmy na strome zbocze obsypanego śniegiem szczytu. Kamienna iglica ciągnęła się jeszcze na setki metrów wzwyż, a my, wtuleni w skalny występ, posuwaliśmy się krok za krokiem, wzdłuż wąskiej ścieżki. Aż wreszcie Leonid wydał z siebie krótki, zdławiony okrzyk i przypadł do ziemi.

Odruchowo rzuciłem się zaraz zanim, zakrywając głowę. Spodziewałem się najgorszego i z perspektywy czasu można powiedzieć, że się nie myliłem, choć tragedia jak rzadko przyjęła postać szansy, a nie utraty.

– Patrz – szepnął Leonid, podając mi lornetkę, przez którą wcześniej obejrzał krajobraz. – Widzisz go?

Wiatr szarpał nami, jakby próbował przegonić z tego miejsca. Panorama nieodległych gór rozdarta została przez wielką szczelinę, pokreśloną liniami lodowych mostów. Sterczące do nieba zręby skalne przypominały odłazającą skórę albo wystrzępioną krawędź, połamanej gałęzi. Każdy przejaw przyrody w tym niegościnnym miejscu, kazał nam zawrócić i nie nadwyreżać cierpliwości żywiołów, które kierowały kolejnymi zycia.

Soczewki wyrwały mi to, co niedostępne i zaserwowały na otwartej dłoni. Oto w odległości ledwie pół ręki miałem szczegółowy zarys naprzeciwległego zbocza. Znacznie mniej niegościnne niż nasze, poznaczone kilkoma skalnymi półkami, przypominało osypującą się hałdę czarnego tłucznia. Pośród tego suchego, zimnego krajobrazu, dostrzegłem plamkę ciepła, nieodznaczającą się niczym prócz ruchu.

Irbis śnieżny pokręcił zmęczonym łbem i z wolna zlustrował okolice, równie monochromatyczną, dziką i obcą jak on sam. Ogromny drapieżnik poruszał się z gracją, wachlując puszystym, długim ogonem tuż nad powierzchnią srebrnego pyłu.

Lornetka, zmyślna pułapka na światło, zaserwowała mi złudny obraz, że oto patrzę mu prosto w oczy, choć przecież to było niemożliwe. Nawet gdyby mnie dostrzegł, to byłem zaledwie szarą plamą w szarym krajobrazie, zupełnie tak, jak on. Jednolita, martwa masa mierzyła się wzrokiem z drugą, równie nierozróżnialną od otoczenia masą.

Tak właśnie wyglądało życie w całej Federacji. Szare masy, spoglądające na siebie w całkowitej ciszy. A przynajmniej tak myślałem, nie mogąc nadal zatrzeć za sobą ruin obozu. Nie mogłem wymazać tego widoku sprzed moich oczu i czułem potężną potrzebę zrobienia czegokolwiek dobrego. Jednego, słusznego uczynku, który pozwoliłby mi nie oszaleć i upewnić mnie samego, że nie jestem naiwny i zepsuty.

Lecz wtedy cała szarość świata pękła, jak nieraz przez kobierzec chmur strzela czarny kontur, rozrywając podwoje nieba. Żłocisty promyk spełzła wtedy ku ziemi, na moment nadając majestatu temu, co zwykle tapla się w marazmie.

– Ona – szepnąłem, poprawiając Leonida.

Trzy irbisy wychyliły się z ciemnej jamy, przeskakując najmniejsze z zasp w ogromnym trudzie. Srebrzyste pyszczki błyszczały się od topniejącego śniegu, osadzającego się na koniuszkach włosów. Błękitne oczy wypatrywały każdego fragmentu rzeczywistości z fascynacją, którą tylko najwięksi naukowcy darzą swoje ukochane dziedziny wiedzy.

– Ona – powtórzył po mnie Leonid, usadzając w rękach długą kołyskę lufy.

Zamarłem w bezruchu. Widziałem, jak Wołkow powolnymi, metodycznymi ruchami wkręca przyrządy optyczne, wcześniej osłonięte od zimna w foliowej torbie. Każde jego przekręcenie śruby, wpięcie zatrasku i skręcenie lunety, osadzało rodzinę wielkich kotów w ramach rychło kończącej się rzeczywistości.

– To przecież matka – szepnąłem niepewnie, lecz zaraz podniosłem głos. – Jeszcze karmi...

– I co z tego?

- Że nie przeżyją bez niej. Zostaw je, za miesiąc będą radzić sobie same.
- Gównu mnie obchodzi, co będzie za miesiąc. Za miesiąc to ja ich nie wytropię.
- Zmarnujesz cztery życia.

– Ale nie zmarnuję swojego – odparł poważnie Wołkow. – Myślisz, że będę, kurwa, strzelał do jaskółek? Polował na krogulca albo pustułkę? Mam długi, które muszę wyregulować, a jeśli mam wybierać, to wolę, by zapłacił za mnie lampart.

– To jest to o czym mówił Cyryl – warknąłem, machając lornetką przed twarzą Leonida. – Patrz, kurwa, to nie jest drzewo do ścięcia, to nasiono, z którego wyrosną owoce.

– O czym ty mówisz? Popierdoliło cię z tego zimna?

– To drapieźnik, samotnik, który potrzebuje wielkiej powierzchni. Ostatnie ogniwo łańcucha pokarmowego, jest niezbędny, by życie wróciło w góry.

– Kot, Artem, mówisz o dużym kocie. Życie nie wraca do gór, bo w nocy igły skręcają się z zimna, a żywica zamarza na kość! – Leonid nie odrywał się od pracy, szykując pozycję do precyzyjnego strzału. – Nigdy nie dostarczałeś czegoś dodatkowego? Poza listą przesyłek? Nikt z nas nie jest święty, Artem, ja też nie. Szkoda kociąt, nic mi nie zrobiły, dobrze, rozumiem. Upolujemy coś teraz i wrócimy nim Grucznicy się wściekną albo nie zrobimy tego i wtedy... Kurwa, nawet nie wiem, co wtedy? Zajebią mnie albo Grucznicy, albo klienci z Sahala. Ten jebany kot to nie żaden drapieźnik, to cud, wiesz? To cud, że go spotkaliśmy. Gwiazdka z nieba, którą złapię i wyduszę z niej cały życiodajny sok, jebany gwiezdny pył do spełniania marzeń.

– Nawet nie dojdiesz na tamtą półkę – krzyknąłem, wskazując na czekającą nas trasę. – On waży z pięćdziesiąt kilo, będziemy go ciągnąć aż do obiektu?!

– Ledwie do granicy rzeki – odpowiedział Leonid, ostatni raz poprawił lunetę i spojrzał na mnie zmęczonym wzrokiem. Na jego rzęsach osadzały się zamarznięte drobiny wilgoci, a powieki czerwieniły się od zimna i zmęczenia. – Miałeś dużo czasu na morały. Mogłeś je prawić wcześniej, a możesz nawet później. Nie praw ich jednak teraz, gdy w ruchu są tryby, których nie można zatrzymać. To nie jest twój obóz pracy, Artem. Nie baw się w zbawiciela, nie rób ze mnie swojego momentu próby. Zachowaj się jak dróżnik, dostarcz przesyłkę i nie zastanawiaj się nad jej zawartością. Tylko o tyle cię proszę. Bądź ze mną teraz i nie przeszkadzaj.

Wiedziony niezrozumiałym odruchem irbis stanął między nami a swoim potomstwem. Dzieliło nas parę set metrów w prostej linii, gdy dwoje mądrych, błękitnych oczu zamarło w bezruchu w przyrządach optycznych Leonida. Czarna podziałka rozcięła

ciało wielkiego kota na cztery nierówne części, jakby zwierzę jeszcze za życia zostało zmienione w tuszę.

Wiatr ucichł całkiem, otwierając śmierci okno.

Leonid wyszczerzył się, doświadczając kolejnego, małego cudu. W tych warunkach strzał z tej odległości był więcej niż prawdopodobny.

Ciało myśliwego zastygło w całkowitym bezruchu. Delikatnie rozchylone usta wypuściły siwy obłok ciepła.

Odgłos wystrzału nie wstrząsnął górami. Dźwięk nie mógł dorównać nawet poślednim lawinom, rwącym się półkom skalnym oraz frunącym ku ziemi zwałom śniegu. Gdy tylko echo ucichło, cały łańcuch górski wraz z tajgą stał w takim samym, niewzruszonym spokoju, jaki pozwalał mu egzystować do tej pory przez setki lat.

I nawet irbis ziewnął przeciągle, by zaraz poczłapać za swoimi młodymi ku uciechom macierzyństwa.

Trwaliśmy w ciszy z Leonidem, zlepieni w jedną figurę, skołtuniony kształt kończyn i futer. On z palcem na spuście, ja z ręką odginającą tor lufy gdzieś w bok, ku nieczulej tkance kamieni.

Cios nadszedł nagle, ale ja byłem gotowy. Chwyciłem myśliwego pod łokciem i kopnąłem w okolice brzucha. On odmachnął się kolbą, próbując wałnąć na oślep. Szarpaliśmy się w śniegu, nieporadnie wymierzając sobie powolne, niegroźne dla ciała i śmiertelne dla duszy uderzenia.

– Pojebało cię do reszty?! – ryknął Leonid, wskakując na mnie i okładając po głowie.
– Już do reszty ci odbiło? Chcesz mnie zabić? Zrujnować? Nienawidzisz mnie, zazdrościsz? O chuj ci chodzi?!

Jego dłoń naparła na moją twarz. Dostrzegłem krawędź urwiska kilka centymetrów dalej i spróbowałem się przetoczyć w bok, by oddalić się od niebezpieczeństwa.

Leonid naparł mocniej, odpychając od siebie moje nogi. Śnieg zaskrzypiał przejmująco i posypał się gdzieś w dół.

Kurtka prześlizgnęła się po opadającej coraz niżej krawędzi. Całe podłoże zdawało się przechylać coraz bardziej i bardziej, aż wreszcie grawitacja zagarnęła mnie dla siebie.

Dłonie chwyciły oblodzoną skałę, spowalniając upadek. Na najkrótszy moment wzrok mój i Leonida się spotkały.

– Tylko ja cię chciałem ocalić! – krzyknął Leonid i chwycił mnie za rękę. – Konstanty i Wanda woleli, byś zdechł na mrozie. Rozumiesz, skurwysynu jebany?! Ledwie ją

przekonałem, by się wstrzymała od głosu. To nie są twoi przyjaciele, do kurwy nędzy. To rządowe chujki, jak wszyscy!

Wołkow zaparł się mocno, próbując wciągnąć mnie wyżej. Po kilku centymetrach zrozumiał, że im bardziej stara się mi pomóc, tym bardziej się obaj ześlizgujemy.

– Nie mogę zginąć! – krzyknąłem, zaczepiając się butem o niemal pionową krawędź. Za każdym razem skraj podeszwy schodził z wąziutkiej krawędzi. – Mam list do dostarczenia, umrą ludzie, tysiące, dziesiątki tysięcy, wszyscy!

– Nie umrzesz – odpowiedział Wołkow, rozglądając w desperacji. – Jesteś jebanym idiotą... tacy jak ty nie umierają.

Wołkow wyteżył wszystkie siły, by sięgnąć do paska. Szybki ruchem rzucił mi krótką linę z zapięciem i ponownie spróbował kupić kilka sekund czasu.

– Zejdiesz na dół – mówiłem szybko, głośno, upewniając się, że zapamięta moje słowa. – W kieszeni na piersi mam list i łapówkę dla mera Sahala. Musisz ją dostarczyć, inaczej wszystko będzie stracone.

– Zapnij ten jebany, kurwa, bolec, bo cię puszczę!

Wpiąłem linkę w swoją uprząż, związując nieuchronnie los mój i Leonida.

Na moment ciało myśliwego zadziało jak kotwica, wyhamowując mój upadek. Wczepiłem się w ścianę, spróbowałem podciągnąć na jednej ręce i usłyszałem przeciągły, niski dźwięk kruszącej się zmarzliny.

– Nogami w dół – zdążył warknąć Leonid.

* * *

Słońce chyliło się leniwie ku zachodowi, znudzone wydarzeniami w zaciszu gór. Żłociste pasma wyskakiwały spod ciężkich, niemalże czarnych chmur, by ostatni raz spłynąć w dół zboczy, jak dziecko proszące rodziców o ostatni zjazd na sankach. Z każdy błyskiem żłocista kula zniżała się coraz mocniej, zaspana, chcąc wreszcie złożyć głowę do snu, choć na dwie godziny, gdy śnieżne równiny żywią się światłem odbitym z oranżowego nieba.

– Starczy – wycharczał Leonid. Jego powieki drżały, a on z każdym mrugnięciem zginął się lekko, wstrząśnięty impulsem bólu. – Oszczędzaj na drogę.

Odstawiłem piersiówkę i kolejny raz obejrzałem swoje żebra. Fioletowe i czerwone plamy rozlewały się tam, gdzie wcześniej goiły się białe od limfy bąble po odmrożeniach.

– Przepraszam, że tak wyszło – szepnąłem, już po pierwszym słowie żałując, że się odezwałem.

– Przeprosiny przyjęte – zaśmiał się Leonid, spoglądając na swoje połamane nogi. Woda skraplała się w nagrzanym namiocie i co rusz kapłała mu na głowę, ale on zdawał się tego nie dostrzegać. – Durny kot... pokarało mnie.

Wołkow spróbował się podciągnąć, ale jedynie wydał z siebie bezgłośny jęk i oczy zaszklily się mu od czegoś, co powinno być potwornym bólem, lecz dla utulonego w morfinie umysłu było zaledwie impulsem. Środki przeciwbólowe powstrzymywały go też zapewne od wygarnięcia mi wszystkiego.

– Nad ranem wstanę i ruszę po pomoc, chyba że wytrzymasz podróż, to złożymy nosze i może uda się doczłapać do granicy obiektu...

– O świcie Grucznicy wyprują nam flaki – powiedział Leonid, znowu wybuchając śmiechem. – Otworzą ci brzuch i wyjmą jelita... Nie będzie nas, mnie, ciebie, będzie twój jebany kot. Ot i cała cywilizacja, była i nie ma, zdechła w namiocie.

– Przepraszam, to nie tak powinno wyjść... Chciałem po prostu, żebyś spudłował.

Zaaplikowałem sobie dawkę leków antyradiacyjnych i po raz kolejny obejrzałem całe ciało. Co rusz łapałem się na myśli, co by było, gdyby Leonid się nie połamał, a zaraz później ze zgrozą myślałem nad tym, co gdybyśmy połamali się obaj. Zamiast tego ja wykpiłem się niskim kosztem.

Palec dociskał zebro, sprawdzając, czy skrzeszenie nie zmieniło się w złamanie. Paliczki w nogach ciągnęły paskudnie bólem, kolana wyły o pomoc, kręgosłup już dawno skapitulował i tylko tępo rezonował jednostajnym, napływającym falami uczuciem paraliżu, ostrzeżeniem przed najmniejszym ruchem.

Guz na głowie zdawał się najgorszy, co rusz zamieniając mi kierunki, kolory, usypiając i na zmianę pobudzając zmysły bez ładu i składu.

Siedzieliśmy tak we dwójkę, grzejąc się jak starcy, niezdolni już do choćby podniesienia się z foteli. I niczym staruszkowie mieliśmy swoje animozje, bo choć ja w głębi obwinałem się za szarpnięcie bronią Leonida, a on, mam nadzieję, za uderzenie mnie, to na głos obaj pomstowaliśmy na śnieg, jakby sama jego zdradliwa śliskość zmusiła nas do upadku.

Każdy mitologizuje jak może, byle przeżyć.

– Ty masz rację – powiedział w końcu Leonid, czym przestraszył mnie bardziej, niż dowolny szelest w tajdze, który brałem za podchody Gruczników. – To kara, wiesz? Grucznicy, długi, góry... To wszystko cena za tyle lat życia w obiekcie 1370, za żywienie się energią postępu. Nigdy nie myślałem nad tym dłużej, ale teraz mam to przed oczami. To jest

takie proste i na wyciągnięcie ręki, tak jak był ten irbis. Miałem go przed oczami. Był do wzięcia cały czas.

Leonid zacisnął w powietrzu dłoni i zamknął oczy. Myślałem, że zasnął, ale wtedy odezwał się po raz kolejny, mówiąc z każdym słowem coraz ciszej i nawet nie podnosząc powiek.

– Cyryl odkrył prawdę dawno temu. Jesteśmy chorzy, zużywamy się i... i żywimy się innymi. Innymi ludźmi, zwierzętami, surowcami. A teraz to wszystko się skończyło i żywimy się tylko własną siłą. – Wołkow uchylił usta, wydychając obłoczek pary. Wyglądał tak, jakby wypuszczał przez żółte zęby własną duszę, by choć tak nie musiała się trudzić z okaleczonym ciałem. – Ten ból to jest życie. Gdy nie ma wody, narkotyków, strzelania do zdobyczy, górskich przełęczy i kompanów. To życie w zasadzie sprowadza się do tego. Ból, ssanie w żołądku, zimno. Zapamiętaj, Artem, bo teraz widzę to jasno. Stojąc na przedsionku, w przedpokoju życia i śmierci... Już się drzwi zamykają, już wchodzę do czarnej izby. I dopiero stąd widzę, że fale radiowe to nie nauka, to metafizyka. To sprawiedliwość, o którą krzyczymy do bardzo surowego Boga. Jajogłowi krzyczą do niego: osądź nas, bo sami nie umiemy ze sobą żyć. A on nie ma współczucia. On ma tylko szpicrutę. Krótki kańczug. Trzask, trzask, połamie nam plecy. Krzyczymy do radia o karę.

Nie odpowiedziałem mu. Z jednej strony były to zaledwie maligny, halucynacje nafaszerowanego cudami farmacji mózgu. Z drugiej strony czułem, że to, co mówi, jest prawdziwe. Jednak nie w tym sensie, w którym człowiek o tym myśli, tylko w tym, w którym czuje. Że jest to jakaś prawda emocjonalna, prawda duchowa. Mówił prawdę, choć nie miał racji. Taki paradoks, przyniesiony z granicy świadomego i nieświadomego umysłu. Może dopiero w tym stanie mógł dojść do tych wniosków. Nie przeszkadzałem mu, wołałem, by majaczył te swoje bzdury, niż wierzył.

Bo przecież nie chodziło o jednego śnieżnego lamparta. Chodziło o ofiarę, zawsze chodzi o złożenie ofiary. O moment, w którym człowiek decyduje się – płaci wszystkim, co ma, poświęca, co może i decyduje na nowy kurs.

Usłyszałem kroki na zewnątrz. Dopiero wtedy zrozumiałem, że od dłuższego czasu panowała doskonała cisza. Nawet ogrzewanie syczało tak cicho, że niesłyszalnie. Niewidzialny gaz pali się równomiernym rytmem, jakim płynie płytki strumień. Leonid zamarł w kamiennym bezruchu, w którym najmniejsze drgnienie nie wzburzało jego złamanej skorupy ciała.

Chwyciłem za latarkę i wypełzłem na zewnątrz. Białe snop światła omiotł okolicę, która właśnie doświadczała swojej najmroczniejszej godziny. Góry rzuciły długie cienie

i jedynie błyszczący jak morze tanzanitu śnieg oraz mleczna zupa gwiazd wyciągały poszczególne kształty z jednolitej masy tajgopodobnej.

Zastygłem w bezruchu, gdy latarka wycięła z mroku Jekaterinę i Wierę. Nie miałem nawet siły po raz kolejny zadawać pytań o to, dlaczego je widzę, dlaczego mnie męczą i czemu mój schorowany umysł produkuje te wizje. Wiedziałem, że jeśli spróbuję od niej uciec, to ona tym mocniej zaciśnie na mnie swoje panowanie, a jeśli postanowię ją uchwycić, to ta czmychnie, pozostawiając mnie rozżalonym, skrzywdzonym, cofniętym o kolejne kroki na drodze do spokoju.

– Upolowałem ci lamparta – szepnąłem, zbliżając się odrobinę.

Jekaterina odciągnęła na bok Wieroczkę, jakby chciała ją osłonić własnym ciałem. W jej oczach błysnęły łzy, twarz wykrzywiła się w grymasie poczucia zdrady. Poczułem, jak mój palec jeździ po spuście strzelby myśliwskiej.

– Czy tak było? – spytałem, oczekując, że samo pytanie przyniesie odpowiedź. – Czy tak się czułaś, gdy niebo zawaliło się na nasz dom tamtego dnia? Czy to jest to, co ci zrobiłem?

Nie odpowiedziała mi, jedynie odwróciła się i odeszła w mrok. Krzyczałem za nią, wołałem, przerażony tym, że wizja nie znika. Z każdą sekundą dochodziło do mnie coraz mocniej, że to, co widziałem, było prawdą. Może nie realiami, ale czymś jak najbardziej prawdziwym dla mnie.

I najbardziej grzeszna z myśli złamała moje sumienie, gdy pomyślałem, że gdybym mógł, zabiłbym zjawę. Zrobiłbym wszystko, by przestała mnie nawiedzać. Tak jak kochałem je obie za życia, tak nienawidziłem wspomnienia o nich.

Pociągnąłem za spust.

* * *

Strzał wyrwał mnie ze snu. Szarpnąłem się w bok i zamarłem od nagłego ukłucia bólu. Pisk drążył uszy tak agresywnie, jakby już żaden inny dźwięk miał do mnie nie dotrzeć.

Rozejrzałem się w przerażeniu, próbując pojąć, kto mnie postrzelił, ale im mocniej się przypatrywałem, tym większy zamęt panował w moim umyśle.

Aż wreszcie spotkałem się wzrokiem z Leonidem. Jego pożółkłe oczy spoglądały na mnie z mieszaniną zaskoczenia i poczucia winy.

W dłoniach trzymał swój myśliwski karabin i nie wiem, czy tak faktycznie było, czy zaledwie mój mózg dopowiadał sobie do wydarzeń, ale przysięgłbym, że z lufy ulatniała się szara smużka dymu.

Wyszarpałem mu broń, a ten nawet się nie opierał. Oparł głowę o wewnętrzną ścianę namiotu i dyszał ciężko. Na jego twarz padał pojedynczy promyk światła, wlatujący przez dziurę w materiale.

Rozładowałem broń i wziąłem długi, głęboki oddech. Ulga nie nadchodziła. Zamiast niej było przytłaczające uczucie bólu, rozkładającego się równomiernie po całym ciele. Każde podniesienie lewej ręki kosztowało mnie niewyobrażalne zasoby siły woli. Bałem się nawet spojrzeć pod sweter, ale w końcu zdobyłem się i na to.

– Pieprzony... irbis... – szeptał Leonid słabym głosem. Po melancholijnych, pseudofilozoficznych bzdurach nie pozostał ani ślad.

Przypominał cię siebie jeszcze sprzed doby. Twarz napuchła, zaczerwieniła się i rozlała jak balon wypełniony gęstym kisiem. Spod fioletowych powiek na świat wyglądały załzawione, meandrujące byle jak oczy. Nogi trzeszczały, gdy tylko Leonid nieopatrznie przesunął którąś z nich. Mogłem sobie wyobrazić, jak złamane kości trą o siebie nawet przy najmniejszym ruchu. Krew z uszkodzonych naczyń krwionośnych rozlała się po przestrzeni międzytkankowej, rozstawiając kolorowe przebarwienia.

– Zacznę szykować nosze – powiedziałem po prostu, ale zamiast tego obszukałem plecak w poszukiwaniu suchego prowiantu. – Pójdziemy łagodniejszym szlakiem, coś znajdziemy. Będziesz mnie kierował, więc musisz być silny.

– Spudłowałem – odpowiedział Wołkow, a po jego policzku potoczyła się pojedyncza łza.

Później już się do siebie nie odzywaliśmy.

Ponoć w chwilach największego stresu umysł skupia się na tym co najważniejsze, bieżące i potrzebne do przetrwania tak bardzo, że aż do pewnego stopnia upośledza to procesy zapamiętywania. Nie wiem, tak słyszałem od Sieroży na bramie Magnetańska, a na byciu upośledzonym to on się znał jak mało kto.

Pamiętam tylko pojedyncze sceny, fragmenty, urywki z próby przeżycia w głuszy. Trochę jak z zamykaniem drzwi rano w drodze do pracy. Każdy to robi, a nikt nie ma pewności, czy tak było.

Większość porannych przygotowań przebiegała zgodnie ze zwyczajem, a nawet dałem radę nakarmić Leonida. Wszystko to jednak zajmowało znacznie dłużej, niż powinno, gdyż musiałem pracować sam za dwóch, a w dodatku i ze mną nie było wiele lepiej.

Dobre kilka godzin po przebudzeniu się, zdołałem nafaszerować Leonida lekami na tyle, by poinstruował mnie, jak zmontować porządne sanie. Oczywiście to się nie udało, więc zamiast porządnych mieliśmy jakiekolwiek, ale kto mógł narzekać w takiej sytuacji.

Dwie, masywne gałęzie robiły za stelaż, pod którym rozciągnąłem koc termiczny. Jako że musiałem ciągnąć znacznie większe obciążenie i tym razem pod górę, to pozbyliśmy się części sprzętu, zakopując go pod ścianą w oznaczonym miejscu. Najbardziej szkoda mi było żywności, ale i tak nie planowaliśmy obozować na długo. Gdyby miała się wydarzyć jakaś tragedia, zawsze mogliśmy wrócić po jedzenie do miejsca startu i wspólnie płakać nad swoim losem, popijając zupę z puszek.

Po pierwszych piętnastu minutach myślałem, że umrę. Z kolei po pół godziny byłem już tego pewny.

Skupiony tylko na tym, by stawiać kolejne kroki, nie próbowałem nawet zajmować myśli otoczeniem. Wszystkie te drzewa, skały, zwierzęta lub ich brak nic a nic mnie nie obchodziły. Jedyne, co miało dla mnie znaczenie, to to, że przynajmniej nie zaciął ostry wiatr.

Leonid z rzadka odmachiwał ręką, gdy spoglądałem ku niemu pytającym wzrokiem. Wybierał kierunki pozornie na oślep. Usta miał pokryte gęstym, białym szronem, którego nawet nie próbował zgarniać. Ciepły oddech nadtapiał te śnieżynki i pokrywał jego wąsy wilgocią, co stanowiło jeden z dwóch dowodów na to, że w ogóle żyje. Drugim dowodem były te rzadkie, niemal spazmatyczne machnięcia.

Nie zapomniałem o tym, co wydarzyło się o poranku.

Co rusz upewniałem się, że mam broń pod ręką, nie rozstawałem się z nią nawet na moment. Jednak w pewnej chwili zaczęły nachodzić mnie przemyślenia, które nie pozwalały sumieniu odetchnąć. Bo czy tak naprawdę to powinna być moja decyzja? Już jedną podjąłem, gdy przeszkodziłem Leonidowi w upolowaniu zwierzęcia i choć nie żałowałem, to nadal nie byłem pewny, czy mogę decydować o życiu, czy też o życiu i śmierci.

Białe stoki nacierały na nas z każdej strony, zacieśniając gardziel doliny. Z każdą chwilą poziom śniegu podnosił się, a ja wdrapywałem się na niego krok po kroku. Doszedłem do momentu, gdy pozbawione igieł korony dawno zamarzniętych drzew zmieniły się w brązowe kolce, wystające wszędzie dookoła.

Wiatr wzmaczał się z każdą chwilą, aż dostrzegłem, że znów ciągnę za sobą wielki ciężar, brnąc przez zimne pustkowia. Wichur podrywał śnieg coraz wyżej, tworząc siwą zasłonę tak gęstą, że nie mogłem dostrzec twarzy myśliwego.

Próbowałem skupić myśli na czymkolwiek, byleby wyrwać się choćby o metr dalej, jak to zwykle miało miejsce w czasie podróży. Jednakże fakt, że szedłem o własnych siłach, niosąc każdy kilogram obciążenia dzięki swoim mięśniom, uniemożliwiał mi taki manewr. Każde pociągnięcie za sanki, każdy ruch, każdy krok rwał bólem i przypominał o mojej cielesności.

Nawet zabawne wydało mi się to, że pewnie tak musiałby czuć się mój skuter, gdyby był żywym stworzeniem. W tym sensie to maszyna dostarczała wszystkie paczki, a ja byłem tylko obciążeniem, możliwe, że największym z nich wszystkich, bo zmuszającym dźwigania nie tylko mnie, ale i moich zapasów, ubrań i tak dalej.

Nie tęskniłem za skuterem. Nie tęskniłem nawet za ciepłym łóżkiem. Wbrew wszystkiemu, otoczony przez trzaskający mróz i zdradliwe zasy śnieżne, myślałem tylko o odzyskaniu jednej rzeczy – wolności.

Kilka godzin później wiatr zelżał nieznacznie, a my zatrzymaliśmy się pod formacją skalną, dającą okrycie z kilku stron.

Obiekt przypominał naturalną wiatę, jakkolwiek absurdalnie to wyglądało. Gdyby zniknął cały biały puch, zapewne spadlibyśmy kilka metrów w przepaść lub zatrzymali się na kolejnym wystającym głazie.

– Nie dam rady iść dalej – wyznałem Leonidowi, czując, że gdy puszcze sanie, już ich nie chwycę po raz drugi. – Jestem... Ja... No nie, nie dam rady i tyle. Pies mnie jebał, biesy w piekle w dupę ruchały, mam to gdzieś. Nie idę i tyle.

Myśliwy nawet się nie odezwał, jedynie zmrużył oczy i obrócił głowę na bok. Jego bierna postawa zmuszała mnie do tego, bym resztkę zachowanej energii spożytkował na postawienie namiotu, a następnie wwleczenie go do środka. Miałem wrażenie, że samo wepchnięcie sanek pod poły namiotu, zmęczyło mnie co najmniej jak pół godziny marszu.

Nie miałem nawet ochoty rozpakowywać sań, ani zdejmować z nich Leonida. Łatwiej było skryć całe sanki wewnątrz namiotu i gnieździć się razem z nim w ciasnocie, ogrzewając się wzajemnie.

Położyłem się na prawym boku tak, by leżeć pomiędzy nim a karabinem. Żadnych dowodów nie miałem, ale byłem przekonany, że to dostrzegł.

Zmierzch w cieniu górskich stoków był dla odmiany faktycznie ciemny. Z dala od centrum białej nocy, która zwykle hulała po otwartych przestrzeniach, poczułem lęk o to, co też czai się wśród skalnych załomów.

– Powiedz mi... – wyszeptał powoli Leonid. Oboje leżeliśmy w bólach, trawiąc potworne zmęczenie, a zarazem nie mogąc usnąć. – Po co to zrobiłeś?

– Miałem swoje powody – odparłem, wgapiając się w dwie krople spływające po wewnętrznej części namiotu.

– Będiesz się teraz krył?

– Nie chciałem... Nie chciałem być dłużej taką osobą. Od dawna się z tym nosiłem i pomyślałem, że to nie jest potrzebne. Mam dość zabijania świata, wzajemnego zresztą... My ich, oni nas. Z miast płynie ropa, z tajgi mróz. Eksportujemy to, czego mamy w nadmiarze, wy tracamy ciepło. Chciałbym uwierzyć, że po naszej śmierci jeszcze będzie życie. Może nie takie jak my, nie tak piękne i kolektywnie oddane sprawie, ale życie. Jeśli ma ono przyjąć postać irbisa śnieżnego, to niech tak będzie.

– Szkoda ci się kotka zrobiło? – Leonid zaśmiał się cicho, ale zaraz umilkł, by zebrać oddech na dalszą tyradę. – Pies mnie jebał, Artem. Ja też kiedyś chciałem być lepszy i spłacam za to dług. Teraz to nieistotne, bo przecież się nie udało. Nie przyjdą po mnie dziś, to może za rok. Tu nie chodzi o pieniądze, a o zasady, zemstę, władzę... Nie zabiłeś mnie, Artem, ale przyspieszyłeś wyrok. A teraz, jak na złość, chcesz go odwlec.

– Nic nie chcę odwlec – zachnąłem się, zamykając oczy. Próbowiałem odpłynąć w głęboki sen, ale nie przychodził nawet ten płytki. – Ty uratowałeś mi życie, ja tobie, będziemy kwita.

– Gównu będziemy, a nie kwita... Wszyscy jesteśmy dłużnikami, zapamiętaj to. I właśnie dlatego chcę ci powiedzieć, że gdy tylko mnie dowleciesz do obiektu, to się zastrzelę.

– Milcz, głupi.

– Artem, ja z tobą nie dyskutuję. To nie jest twój wybór, tylko mój. Odejdę na własnych zasadach, naleję sobie szklankę czegoś słodkiego, obejrzę kilka fotografii i odpłynę. Zrobię to tak, bym nawet ja nie wiedział, kiedy nadejdzie strzał. – Leonid podniósł się na łokciu, jakby chciał coś lepiej dojrzeć, ale zaraz z przeciągłym jęknięciem bólu opadł. – Ale to nie jest smutna wiadomość, chłopaku. Nie umiem tego lepiej wyrazić, ale jest dobrze. Tak po prostu, jest dobrze. To dobrze, że umrę. Że umrzemy wszyscy, świat. Tak właśnie trzeba.

Cisza zasłoniła nasz namiot jak grobowy całun, a wraz z nią przybył świeży, błyszczący platyną śnieg, przybliżając nas do garbu ziemi.

Płytki oddech Leonida synchronizował się z moim, zupełnie tak, jakby wewnątrz obozu stanowiło płuca jakiejś wielkiej, plastikowej bestii o wodoodpornej skórze. Zanurzeni, niemalże zahibernowani, trwaliśmy na granicy snu i jawy, próbując wyszarpać nocy choć chwilę spokoju.

Lecz spokój nie przychodził, za to przyszło coś innego.

Świat był tak pusty i głuchy, że nawet najmniejsze odstępstwo od reguły zdawało się w nim rewolucją. Na śnieżnych równinach każdy ruch stanowił mażnięcie czarnego tuszu po czystej kartce papieru.

Chwyciłem mocniej karabin i tak bezszelestnie jak to możliwe, podniosłem się do pozycji siedzącej. Trwałem w ciszy, lecz żebra krzyczały z bólu. Gwintowana lufa zbliżyła się do wyjścia z namiotu, gdy nagle suwak drgnął.

Drobny, żelazny zamek posunął o centymetr wyżej. W niemalże całkowitych ciemnościach namiotu przypominało to granatowo-szarą plamę, która powędrowała po grafitowym tle, jak spadająca gwiazda, lecąca z jednej strony firmamentu na drugą.

Kawałeczek za kawałeczkiem zamek odchyłał się, wiedziony zewnętrzną siłą. Przez drobną szparę wpłynęły dwa, niemalże czarne, włochate paluchy. Zaraz dołączyła do nich druga para i łapska niezwykle powoli rozchyliły poły namiotu.

Białka jego oczu błysnęły ledwie widocznie nad lufą. Żelazny obrys zderzył się z czołem i ustawił wzrok mój oraz jego w prostej linii.

Przytknąłem palec do ust i kiwnąłem głową na śpiącego Wołkowa. Powoli, ruchem bliskim przesączeniu się kropli mazutu przez sito, wyszliśmy z namiotu.

Wyprostowałem plecy, nie dając po sobie poznać, jak wiele mnie ten ruch kosztował. Jego obleczone w futra ciało przypominało wychudzonego niedźwiedzia, którego ktoś zbudził ze snu zimowego. Ciemna, zarośnięta twarz szukała ratunku dookoła.

Podniosłem wzrok i niewiele brakowało, a odruchowo nacisnąłbym spust.

Ciąg myśli poderwał mój umysł i natychmiastowo wprowadził w pracę na najwyższych obrotach.

Dziesiątki postaci stało w półkręgu dookoła nas, obserwując namiot. Letnią nocą ich twarze były zaledwie brązowo-czerwonymi plamami, wystającymi z obszytych czymś rudym kapturów.

Nie mówili, jedynie oglądali. I to chyba było najstraszniejsze. W mojej głowie pobrzmiewała ta sama myśl na zapętleniu: wyładowałem broń. Byłem niemalże stuprocentowo pewny, że karabin jest pusty. Nawet gdyby nie był, nie starczyłoby mi amunicji. A tak szczerze, to gdybym miał choć jeden nabój, to nie wiem, czy sam bym z niego nie skorzystał. W tamtym momencie jednak instynkty wzięły górę, a przetrwanie zdawało się najwyższym priorytetem.

Odsunąłem lufę od czoła nieproszonego gościa. On z kolei odchylił się minimalnie. Wszystko to działo się z prędkością, z jaką księżyc kładzie się spać.

Krok za krokiem obcy oddalał się ode mnie, aż wniknął w grupę pozostałych, jakby był ciecżą wracającą do zbiornika. Nierozróżnialny od reszty, niewybieralny z tłumu, równy wśród równych.

Podniosłem broń i zamarłem w bezruchu, próbując nie drżeć z zimna.

Nagle fontanna czerwieni wytrysnęła spośród gór. Sącząca się karmazynem gwiazda wzeszła i rozbłysnęła na niebie. Świst i huk doszły do nas po czasie, przetaczając się wśród zasypanych dolin.

Flara rozświetliła okolicę nie tak odległej góry, a ja zrozumiałem, że wydarzyło się coś strasznego.

Mimo to w tamtym momencie ta flara stanowiła dobry omen, któremu zawdzięczałem życie. Wiedzeni jakimś sobie tylko znanym odruchem, rozbłyskiem i zapewne moim aktem łaski, obcy odsunęli się nieznacznie.

Darowali mi życie, tak jak ja darowałem życie intruzowi. A przynajmniej tak mi się w mojej naiwności wydawało. Wiedziałem tyle, że odeszli, zostawiając mnie na długi czas samego, wpatzonego w szkarłatny świt.

* * *

Chłód wyznaczał granice, wewnątrz których ludzkości wolno się było poruszać. To, co poczułem przed obiektem 1370, można przyrównać jedynie do wgłębienia... dziury wewnątrz serca. Ciemna, wręcz smolście czarna kropka, w którą można by włożyć paluch, a nawet całą dłoń i zostać zassanym do środka.

Drzwi talerza stały otworem, bynajmniej nie zapraszająco.

Wciągnięcie śpiącego, osłabłego i zdecydowanie naćpanego Leonida stanowiło wysiłek ponad moje możliwości. Mimo to cuda się zdarzają, zwykle nie wystarczają one do odwrócenia tragedii, a jedynie dają możliwość jej dokładniejszego obejrzenia.

Miałem wrażenie, że moje życie składało się właśnie z takich sytuacji: docierałem na miejsce w porę, by dostrzec, że było za późno.

Dziesiątki śladów brudziły wnętrze obiektu badawczego, tak jak nieczystości bezczeszczą wnętrze świątyni. Przystań nauki została wybebeszona w sposób brutalny, pozbawiony łatwych do zidentyfikowania celów. Ciężko stwierdzić, czy ktoś przyszedł w poszukiwaniu konkretnego przedmiotu lub osoby, czy też bez żadnego celu, dla samego zniszczenia.

Z każdym kolejnym krokiem czułem, jak mi nogi sztywnieją, dłonie drżą, a oddech przyspiesza.

Ciemne, wychłodzone wnętrza rezonowały odgłosami moich kroków. Do środka wiatr naniósł nieregularne śnieżne kształty, wciskając się przez wybite okna. Jeśli jeszcze jakieś ciepło znajdowało się w obserwatorium, to właśnie z niego uciekało wieloma otworami.

Przyłożyłem dłoń do elektrycznego kaloryfera i zrozumiałem, że system ogrzewania nadal działa, choć nie w warunkach, do których został stworzony. Przez budynek hulał górski wicher, a błękitny pył osiadał władczo na meblach i urządzeniach, zagarniając dla siebie kolejne metry kwadratowe puchowych dywanów i wykładzin.

Z daleka dobiegł mnie szum. Znajomy trzask, niepokojący, szemrzący dźwięk, jakby jakaś widmowa igła jeżdżąca po bębenu słuchowym. Za nic nie mogłem się pozbyć tego wrażenia ani zrozumieć, co takiego wydaje mi się w nim znajome.

Wyszedłem za róg, powoli przemierzając zawilgotniałe korytarzyki talerza mieszkalnego. Pokój socjalny, kuchnia, sypialnie... Wszystko to przypominało dom porzucony w pośpiechu, rozgrabiony przez nadeszłą armię, a następnie równie prędko pozostawiony wraz z niedoszabrowanymi łupami.

Lęk narastał pasywnie, choć nie wiem czemu. Przecież musiało się zdarzyć coś strasznego, niewyobrażalnie złego, a mimo to ciągle istniało we mnie jakieś przekonanie czy też ciekawość, że moja reakcja musi zależeć od tego, jaką formę przyjmie tragedia.

Nie spodziewałem się tego, że będą to miedziane druty. Podniosłem znajomo wyglądający przewód, otoczony gumową nakładką, a następnie obejrzałem ślady rozwleczonego złomu, prowadzące aż do pracowni Konstantego.

– Ty pieprzony... – szepnąłem tylko i przyspieszyłem kroku.

Z każdą chwilą dookoła mnie pojawiało się coraz więcej porozrzucanego żelastwa, ale także czegoś zaskakującego. Mimo że znajdowaliśmy się w głębi budynku, ściany pokrywała szklista kaszka, jaka z rzadka pada, gdy temperatura nie pozwala padającemu deszczu w pełni zamarznąć, nim ten dotknie ziemi. Błyszczące od wilgoci, zdeformowane śnieżynki tworzyły przedziwne wzory, które zapętlały się i mieszały we fraktalne kształty.

Zatrzymałem się po raz pierwszy od wejścia i z przerażeniem zbliżyłem twarz do tego, co wzięłem za pospolity, przymarznięty do ściany opad.

Pazury. Ślady pazurów. Wszędzie, od góry do dołu, z lewa na prawo, a im bliżej laboratorium, tym więcej. Niewyobrażalnie czasochłonna i dokładna praca wymagała zapewne zdarcia kilkuset par paznokci, niezliczonych dni pracy i... kompletnie szalonej wizji

kogoś, kto zechciałby obedrzeć prefabrykaty z tapet, a następnie poznać w tak precyzyjny sposób.

Zwolniłem przed samymi drzwiami, które wisiały smętnie na jednym zaczepie, zgięte potworną siłą. Laboratorium przypominało bardziej wybebeszoną konserwę niż jaskinię tajemnic Konstantego Paneka.

Nie bez trudności odważyłem się, by przesunąć twarz obok framugi i jednym okiem zajrzeć do środka.

Pojedyncza, zabarwiona na czerwono żarówka w kloszu z siatki oświetlała wnętrze pracowni. Sprzęty, dokumentacja, a i same meble leżały na ziemi, rozerwane i zmiażdżone na równą warstwę, sprasowaną do poziomu podłogi.

Niemalże wszystkie z jednym, przeszywającym strachem wyjątkiem.

W centrum pomieszczenia, pod komputerem o wybałuszonych diodach, stało metalowe krzesło. Od nóg, przez siedzisko, po oparcie, cały przedmiot został wtopiony w czarne, nagie ciało o skórze przypominającej fakturę stary papier lub miał węglowy. Osypujące się płatki sadzy tworzyły wokół krzesła niewielki stosik, świadczący o tym, że zwłoki musiały się tu znajdować od dłuższego czasu.

Puste oczodoły wymierzone zostały gdzieś w sufit, zaś sam trup zdawał się siedzieć w jednej pozycji dzięki kilku długim, żelaznym drutom, przebijającym jego ciało jak improwizowany stelaż w gabinecie lekarskim. Trup zwisał na przedziwnej strukturze, przypominając bardziej rzeźbę lub instalację artystyczną.

Obciążnięta grafitową, odmrożoną skórą żuchwa otworzyła się nagle, ujawniając doskonale czarną gardziel.

Jakiś mechaniczny dźwięk dobiegł mnie nagle, zaraz za nim następny i kolejny. Pstryczki przeskakiwały z pozycji na pozycję, jednolity szum zaczął falować, zmieniać się, modulowany przez niewidzialne siły.

– Artem Jadow – wypowiedział idealnie zsynchronizowany chór. W przerwach między słowami z gardła stworzenia dobywał się odgłos przewijanej taśmy magnetycznej. – Zostałeś ocalony, raduj się...

Rozchyliłem usta, by coś powiedzieć, ale zamiast tego coś ścisnęło mnie za gardło. Żołądek zadrżał i wodnista treść podeszła mi do ust. Przez moment próbowałem utrzymać wewnątrz mnie to, co nie powinno się znaleźć na zewnątrz, lecz tylko jedno zerknięcie w kierunku anomalii pozbawiło mnie tej możliwości.

Wymiotowałem obficie, choć od dwóch dni pokarmy przyjmowałem rzadko i ostrożnie. Zgięty w pół próbowałem nie patrzeć w żadną stronę, opierać się o framugę i nie wyrzucić na śliskiej od rzygowin podłodze.

– Doniosłeś moje ciało aż tutaj – kontynuował chór, na zmianę szepcząc i krzycząc. – Teraz ja pozwolę ci donieść ciało twojego miasta do jego miejsca spoczynku. Raduj się, Artemie Jadów, oto na szczycie góry zawieramy przymierze Boga i ludzi.

Przetarłem usta i nasunąłem kołnierz, próbując zdecydować się, czy to, co słyszę, dzieje się naprawdę, czy tylko jest wynikiem szoku, przewlekłych obrażeń albo...

– Poszukiwania wiedzy zawiodły nas tutaj, na rozdroże. – Trupia maszyna zazgrzytała nagle, zupełnie tak, jakby głosy po każdym zdaniu potrzebowały chwili, by zdecydować, co powiedzą. – Szukaliście nas: Konstanty, Wanda, Frida... Wszyscy są tutaj, u nas. Niedługo zespolimy wasz świat. Przyjdziemy po was. Doskonale zrozumienie istnieje naprawdę, radujcie się. Nie mieliście Boga, więc przyszliśmy. Radujcie się... Zostaniecie zrozumiani dogłębnie. Do ostatniego szmeru serca. Drzwi zostały uchylone, nie chcecie ich zamknąć. Nie możecie ich zamknąć.

Żarówka zgasła, skrywając laboratorium w mroku. Z ciemności dobiegał mnie tylko głośny, radiowy szum i zwielokrotniony oddech.

Na zewnątrz wybiegłem tak szybko, że nawet tego nie zapamiętałem. Chyba na coś wpadłem, bo na łuku brwiowym wyrósł mi pokaźny siniak, ale ja, nie zważając na zmęczenie i niewygojone rany, zdobyłem się na każdy wysiłek, byleby uciec z przeklętego obiektu.

Brama garażowa stała otworem po raz pierwszy, odkąd ją widziałem. Lodowe odłamki posypały się na wszystkie strony, jakby mechanizm musiał wpierw skruszyć nawarstwiającą się przez miesiące skorupę.

Na tle masywnego pojazdu dostrzegłem Leonida, który leżał pod ciężarówką z twarzą wykręconą w strachu. Drżącą dłonią trzymał papierosa, którego mechanicznym ruchem przykładał do ust, mimo że została ledwie resztką papieru i co rusz przypalał sobie wargi.

– Wolałbym zabić... wszystkie irbisy – szepnął Wołkow, gdy przyklęknąłem obok niego. – Zabić każde zwierzę na ziemi... ale nigdy nie splamić się czarnoksięstwem. Powinniśmy byli budować cerkwie, a nie pracownie badawcze, Artem.

W twarzy widziałem przerażenie, zarówno jego, jak i moje własne, odbijające się w zaszklonych od łez gałkach ocznych.

– Doznałem jakiejś... halucynacji – zacząłem powoli, ale Leonid tylko gorączkowo pokręcił głową i przygasił sobie papierosa na twarzy. Skóra zaskwierczała paskudnie i spod czarnego osadu wybiła czerwona, nieregularna plamka.

– Kurwa, nie sędzę – zawarczał Leonid, gniotąc w dłoniach peta. – Bo jeszcze nie było takiej halucynacji, przez którą ze strachu poczołgałbym się na złamanych nogach w metrowych zaspach śnieżnych aż dwieście metrów.

– Ty też go widziałeś? Słyszałeś... głos Pana?

– Demona, a nie Pana. Jakiegoś chuj wie czego... I powiedział mi to i owo. Konstanty otworzył bramy piekła. Nie przerywaj mi, posłuchaj mnie... Nie jestem religijnym człowiekiem, naprawdę, ale... Jasny chuj, choćby miał być to pierdolony diabeł z kosmosu, to nie powinno to chodzić po naszej planecie. A sami Grucznicy... Niech mnie Jezus Chrystus potępi na wieczność. Oni nie chcieli nas zabić, tylko chronić. Ostrzegali nas, osłaniali przed nami samymi. Nie wiedzieliśmy, co robimy. Uchyliliśmy drzwi...

– I coś przez nie weszło – dodałem, zerkając w kierunku obiektu badawczego. – Nie jestem religijny, nie wierzę w to. Nie... Nie ma, kurwa, takich rzeczy!

– Nie ma, a na pewno nie będzie. – Leonid rozejrzał się z jakimś nowym lękiem. Jego twarz przybrała wyraz, którego do tej pory nie widziałem. Zakłopotanie, niemalże dziecienny strach przed całym otoczeniem. Na cokolwiek nie skierował wzroku, zdawało się to przynosić mu wiele bólu. – Pomóż mi wstać, Artem. Miałeś rację po dwakroć, ale i ty nie jesteś bez winy. Dziś jednak to ja umrę za nasze grzechy.

– O czym ty mówisz? – spytałem, choć prośbę spełniłem. Z trudem pociągnąłem do siebie Leonida, a on z jeszcze większym trudem wstał i oparł się całym ciężarem o mnie. Zapewne każdy ruch połamanych kończyn przyprawiał go o paraliżujący ból. – Zabieramy się stąd jak najszybciej. Bierzemy skuter, jedziemy i...

– Jestem winny wszystkiego, tylko nie ciekawości, Artem. Losu, jaki spotkał Gruczników, tej niewolniczej pracy, tego, co się stało z Cyrylem, tego, co się stało z Fridą, a nawet tych pieprzonych irbisów. Nic dobrego nie schodzi z gór, tylko lawiny. Jeśli powiesz komukolwiek o tym miejscu, przesłuchają cię, połamią palce, wyrwą paznokcie, a potem zastrzelą. – Leonid pokiwał głową poważnie i dał się poprowadzić w głąb garażu. – Z jednym miałem rację ja, a nie ty... Odejdę na własnych zasadach, tak, jak ja tego chcę. I cokolwiek tutaj jest, trujący gaz, anomalia radiowa, czy Bóg... Jutro już tego nie będzie. Nigdy nas nie powinno tu być. Żyjemy w świątyni zbudowanej z krwi i grzechu, służącej próżności i pysze. Frida, Konstanty, nawet Wanda... Wszyscy sami sprowadzili na siebie śmierć, na różne sposoby, choć z tej samej motywacji. Ja nie będę taki. Ja się na coś przydam, Artem. To moje ostatnie życzenie, mój list pożegnalny, ode mnie do ciebie. Bądź zdrow, Jadów i daj swoim duchom odejść. Wróć na ziemię, wpuść trochę słońca do życia. Przecież, do kurwy nędzy, po coś budujemy ten ład na Ziemi!

Wprowadziłem Wołkowa aż do wnętrza reaktora, gdzie dawniej obaliliśmy flaszkę, rojąc sobie bzdury na temat walki ciepła z zimnem i ludzkości ze światem. Leonid pożegnał się ze mną, po czym odwrócił do wielkiego kotła i przeżegnał jedną ręką, drugą trzymając się uchwytu pod sufitem.

Jechałem na złamanie karku, testując limity nowego skutera. Wykute nawyki i doświadczenie kazało mi myśleć o tym, czy zabrałem ze sobą wszystko, lecz serce rwało się i wykrzykiwało zgoła odmienne komendy: wróć! Jechać szybciej! Skręć w skałę! Modlić się!

Ostatecznie zatrzymałem się daleko od łańcucha Gór Czałupich, gdy szczyt wraz z kopułą obserwatorium został zaledwie drobnym punkcikiem na tle nieba. Pośród siwych chmur zbierał się wysoki, gruby kłęb apokaliptycznie czarnego dymu.

Zsiadłem ze skutera i wyciągnąłem spośród bagaży czarną skrzynkę, która została mi po balonie meteorologicznym i cisnąłem nią w zmarzlinę. Najzwyczajniej w świecie zapomniałem ją wręczyć Konstantemu. Sumienie dręczyło mnie potwornie, że z jednej strony to ja przecież podsyciałem jego ciekawość, ja namawiałem go i może to wreszcie ja przeważylem szalę, która sprawiła, że poszedł o krok za daleko. Z drugiej zaś strony, jeszcze większy strach zdjął mnie na myśl o tym, do jakich konsekwencji doprowadziłoby, gdyby faktycznie zajął się wydobywaniem danych z aparatury balonu.

Jeśli obiekt miałby przetrwać, a prędzej czy później i tak uchylić wrota, których nie należało uchylać, to cóż. Może byłem szalony, może obaj z Leonidem daliśmy się ponieść i oczadzieliśmy z braku tlenu. A może po prostu są listy, których nie powinienem nigdy dostarczyć.

Odjechałem, nie obracając się więcej wstecz. Towarzyszył mi jedynie śmiech, grający gdzieś na granicy słyszalności, ostatni dowód na to, że przyglądają mi się rzeczy niewidzialne, wiecznie gotowe do włożenia stopy w drzwi. W końcu jednak śmiech spowszedniał mi tak, jak wycie wiatru.

Rozdział szósty

Pociągi donikąd, listy do nikogo

Gdy pierwszy raz zobaczyłem krokusy, przez dziesięć minut próbowałem się nie popłakać.

Skuter osiadł miękko na niewielkim wzgórku. Giętkie płozy rozmaściły cienką warstewkę śniegu, zmieniając ją w wilgotną papkę, niezdolną utrzymać żadnej stałej formy w tych temperaturach. Silnik mruczał cicho, pewnym siebie głosem, który potrafi z siebie wydobyć jedynie oszczędzana przez życie maszyna. Cylindry zabębniły kilka razy w miejscu i zastygły w bezruchu, gotowe do następnych eksplozji i porwania pojazdu w dal.

Pod szarym kobiercem chmur, na granicy wschodu i zachodu, stała drobna ruinka, panosząca się wbrew światu. Rdzawo czerwony dach pochylał się z jednej strony, po czym opadał niemal pod kątem prostym do ziemi. Jedno, zamglone oko szyby spoglądało spod tej rudej grzywy na kamieniste równiny zarośnięte dziesiątkami mchów, porostów i drobnych roślin. Na zielonym dywanie odznaczało się kilka kolorowych plam, jak cudowne zabawki pozostawione przez dziecko.

Polanki kwiatów skrzyły się purpurami i fioletami, jakich nie widziałem od lat nawet na plakatach. Świat wreszcie żył.

Nachyliłem nad jednym z kwiatów, już miałem go zerwać, ale powstrzymałem się w ostatniej chwili. Czule pogładziłem płaskie, układające się w kształt gwiazdy płatki. Żłociste wnętrze skrywało w sobie jakieś dziwne ciepło, którego nie sposób poczuć inaczej niż przez obserwowanie go.

Obróciłem się i powiodłem wzrokiem po śladach. Z niedowierzaniem spostrzegłem, jak ogromny kawał drogi stanowił tę dziwną przestrzeń transgraniczną, gdzie kończyła się kraina wiecznej zimy, a zaczynało... No właśnie co? Chyba tylko przeszłość.

Bo przecież świat tak kiedyś wyglądał, właśnie tak jak tutaj. Ledwie dekadę wcześniej pod Magnetańskiem mogłem doświadczyć ciepłego lata, wyjść na balkon w krótkiej koszulce, a nawet zjeść świeże owoce. Tylko że wszystko tak szybko się zmieniło, a my byliśmy tak piekielnie dobrzy w przystosowywaniu się, że zwyczajnie o tym zapomnieliśmy. Straciliśmy pamięć o tym, że jest coś więcej niż szarpanie się z życiem o odrobinę ciepła.

Wziąłem głęboki oddech, zaraz za nim kolejny i jeszcze trzeci. Przemarznięty nos nie pozwalał się wwąchiwać w otoczenie, ale nawet przez gęsto siąpiący katar mogłem wyczuć,

że coś się zmieniło. Zupełnie tak, jakby okoliczna roślinność znacznie zachwiała składem powietrza.

I tak szybko jak przysła nadzieja, ulga i poczucie wewnętrznego spokoju, tak szybko odeszły, zostawiając po sobie żal, frustrację oraz krzywdę...

Zajrzałem do wnętrza domku, popychając bezwiednie luźno wiszące drzwi. Sporo szkła, kolejne dwie pary okien na przestrzał, tym razem niewychodzących z dachu, tworzącego dziwną ścianę. Niewielki, drewniany domek był pomalowany na kolor brudnej wełny i takie też sprawiał wrażenie. Wszystko kleiło się do siebie: zapleśniałe meble, napuchnięte od wilgoci deski, nawet połamana witryna, z której ktoś dawno wyrwał wszystkie kryształ i chyba rozbił o przeciwległą ścianę.

Domek nie nadawał się nawet na porządną postój, bo znajdował się na środku pola, gdzie hulał wiatr i obok brzegu niewielkiego jeziora, które zapewne te kilkanaście lat temu było wymarzoną celem podróży dla czasowiczów. Zimny wicher zaciągał nad powierzchnię wody i niósł ze sobą kłujące drobiny.

Mimo to w tym wszystkim udało mi się odnaleźć kawałek domu, tego, który znałem najlepiej. W grubej karafce z rzućniętego szkła wciąż znajdowało się nieco bursztynowego płynu; z jednej strony tańczył zachęcająco w blasku latarki, a z drugiej strony straszyl prawdziwym pochodzeniem.

– Oby w to nikt nie kiepował – mruknąłem do siebie i dostrzegłem, że mam potwornie zdarty głos.

Pociągnąłem nieśmiałego łyka i rozsmarowałem napój na podniebieniu. Alkohol walił jak koń z kopyta, od razu i bez ostrzeżenia. Lekko rozbawiony napiłem się jeszcze nieco i aż mi się zakręciło w głowie.

Nic tak nie wchodzi jak procenty po długiej drodze.

Odciągnąwszy nieco czarne myśli na boczny tor, wybrałem większy kawałek nieprzeźroczystego szkła i przejrzałem się w nim krytycznie. Ze zbitej szybki spoglądał na mnie zarośnięty dziad, który od blisko tygodnia albo więcej nie brał kąpieli. Ponapiąłem się trochę sam przed sobą i ze smutkiem dostrzegłem, że gorące kieszenie powietrza pod kurtką znalazły sobie kolejne połączenie wolnej przestrzeni.

Najgorsze w tym wszystkim było to, że nawet nie czułem się głodny. To bardzo zwodnicze, gdy organizm jest niedożywiony, ale umysł zdaje się to ignorować.

Zdezynfekowałem się resztką znaleźnika i odłożyłem naczynie tam, gdzie je znalazłem. Brzegi denka zrównały się z rudą, kleistą plamą, od której wcześniej musiałem je oderwać. Wszystko wróciło na swoje miejsce, poza zawartością rzecz jasna.

Odjechałem skuterem ledwie kawałek dalej i poczułem, jak wielka różnica jest między ślizganiem się po śniegu a zjeżdżaniem po mokrej trawie i kamieniach. To co wcześniej byłoby wybawieniem, teraz stawało się męczarnią, bowiem płozy tarły paskudnie o powierzchnię, zaś sama maszyna próbowała bezskutecznie się rozpędzić, zamiast tego jedynie zwiększając amplitudę drgań.

Jednym słowem – telepało.

Przy dalszej części jeziora znalazłem ruiny całego kurortu wypoczynkowego. Niewielkie domki, zbite zwykle z desek, wyrastały z dywanu mchu i kamieni, strzelając ku niebu najdziwniejszymi kształtami. Strome dachy potrafiły zarówno przecinać kanciaste bryły budynków, jak i stanowić do nich dobudówki lub zastępować część ścian. W niektórych przypadkach drewniane dachy, czy też daszyska, były niemal tak duże, jak reszta budowli. Jednym z takich przypadków była lokalna stołówka połączona z biurem i sekretariatem w jednym. Drewniany, spadzisty dach sięgał kilku metrów i łypał groźnie jedynym okiem zakloszowanej w drutach lampy. Logo biura już dawno się zatarło, za to pozostał wielgaśny napis na boku: WITAMY!

No nieźle, kurwa, pomyślałem, nie mogli wymyślić niczego oryginalniejszego.

Rozejrzałem się jeszcze na kilka innych kolorowych domków i spróbowałem wyobrazić sobie, jak wyglądał wypoczynek w tym rajskim kurorcie te kilkanaście stopni Celsjusza temu. Zapewne rozparcelowane działki szczyciły się swoimi ogródkami, po których teraz zostały jedynie ograbione z winogron ścianki. Może nawet woda w jeziorze potrafiła się latem zagrzać i oddać nieco życiodajnego ciepła. Po przeciwległej stronie jeziora rozciągał się ogromny, jakkolwiek surowy płaskowyż w kolorze miału węglowego.

Ja sam zdążyłem przywyknąć do takich widoków, jednakże megalityczna struktura, błyszcząca na wszystkie strony jak chitynowy pancerz żuka, na pewno zwracała na siebie uwagę. Przynajmniej w czasach, gdy był ktoś, kto mógł ją dostrzec.

Znalazło się nawet miejsce na placyk zabaw, kilka ławeczek, trzepak i zadaszoną wiatę na wspólne rusztowanie złowionych ryb. Wszystko to zdawało mi się jakieś takie dziwnie spokojne, że aż upiorne.

Odłaząca farba zmieniała wymalowane uśmiechy ludzi w paskudne, trupie wyszczerze. Wiedziałem, że życie nie miało prawo tutaj nigdy wrócić, a w tym tempie za rok lub dwa jezioro zamarzałoby na stałe, a cały ośrodek przysypałaby gruba kołdra puchu.

Tak, to był punkt transgraniczny, punkt śmierci, a raczej umierania. Z tego miejsca mogłem dostrzec twarz tej śmierci, bo śmierć była tam, skąd przyszedłem i kroczyła na zachód moim śladem.

Silnik zabuczał smętnie i zaraz odzyskał rezon. Szarpnąłem kierownicą i śmigając od jednej plamy zaległego śniegu do drugiej, ruszyłem w drogę. Jak najdalej od zatrzymanych w czasie wspomnień. Jak najdalej od obelisków dawnych dni.

Ujechałem ledwie kilkanaście kilometrów, gdy nagle coś wybiło mnie z rytmu.

Głęboki, buczący odgłos syreny rozległ się po zmokniętej równinie. Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu głos dobiegał zza rzadziutkiej ściany iglastego lasu. To znaczy, o ile lasem można nazwać tak marną grupę krępych drzew, ale w tamtych warunkach to był jak najbardziej prawdziwy las.

Zaryzykowałem, dając się ponieść ciekawości i zgrzytając koszmarnie o wystające odłamki skalne i konary, wymanewrowałem przez rzekomy las, który okazał się ledwie miedzą.

Gwałtownie zatrzymałem skuter i skuliłem się odruchowo. Żelazny eszelon przemknął kilka metrów ode mnie, wzbijając do nieba drobiny wilgoci i żółtawych zarodników. Czerwono-biała lokomotywa rzygnęła słupem dymu i powlokła za sobą setki wagonów towarowych. Z tak bliska mogłem dojrzeć, jak pancerny przedział konduktorski drży nieustannie i kołysze siedzącymi wewnątrz załogantami.

Z jednej strony taki pociąg to jednak potwór, niemalże współczesny smok. Z drugiej strony, gdy coś szarpnie za tory albo uderzy anomalia radiowa, wolałbym być na zwinnym skuterze, którym mogę zbiec lub nawet się skryć, niż w blaszanej trumnie, gotowej przyjąć uderzenie.

Widziałem kolejne wagony towarowe, zabite na glucho i odgrodzone od świata, jak mijają mnie ze wschodu na zachód. Zastanawiało mnie, skąd jadą i kiedy wyjechały. Czy mogły jechać z Magnetańska? To znaczy, na pewno mogły, w końcu wszystkie naczynia były ze sobą połączone.

Z drugiej strony to mógł być równie dobrze pociąg, który wyjechał na wiele dni przede mną i spędził parę tygodni w głuszy. Jeśli tory się urwały albo skręcały nie tam, gdzie powinny lub załoga spostrzegła nazbyt późno, że kręcą kółka to kto wie?

Wcześniej nigdy tak o tym nie myślałem, ale po wszystkim, co widziałem, z jeszcze większym lękiem i szacunkiem odnosiłem się do tego, co dla wielu w Federacji było oczywiste.

Coś bardzo, ale to bardzo nie chciało, by Federacja była ze sobą połączona. To coś zrywało połączenia energetyczne, gazociągi, rury, asfalt z dróg, w końcu i gięło dwuteowniki i podkłady kolejowe. I wszystko to można by zrzucić na karb wyjaśnialnych procesów erozji i ekstremalnych warunków klimatycznych, gdyby nie to, że czasem drogi się... przesuwają.

Czasami pociągi wędrowały całymi tygodniami, a czasami nie docierały nigdzie. Czasami tory potrafiły się wydłużyć albo skrócić. Z rzadka zakręcały w przepaść, w dół... a nawet w górę. Dlatego nawet urzędnicy i wojskowi nie podróżowali pociągami. Były wystarczająco pewne i bezpieczne, by oprzeć o nie transport towarowy, ale otaczała je znaczna aura grozy, która nigdy nie pozwoliła w pełni oprzeć o nie funkcjonowania Federacji, tak jak to miało miejsce przed zimną dekadą.

To nawet tragikomiczne, patrząc na to, że ja też przeprowadziłem się do Magnetańska pociągiem...

Huk ścichł nagle. Metalowa bestia ryczała z oddali, wściekle pokonując kolejne kilometry, gotowa na wszystko, co może rzucić w nią ta wilgotna, kamienista kraina.

Przestałem myśleć o przeszłości. W końcu to było całe życie temu. W innym świecie, a może nawet na innej planecie. Planecie, gdzie ludzie jeżdżą pociągami, a latem rosną mandarynki. Mnie pozostał świat pachnący sucharami, wódką, przemarzniętymi kałesonami, na których nawet lisiura zbryla się i odpada kawałkami.

Wróciłem na poprzednią trasę, nakładając drogi. Nie chciałem słyszeć wycia syren i szczerze powiedziawszy, nie wierzyłem, że te tory mogłyby mnie gdziekolwiek zaprowadzić. Moje listy to nie tona mialu węglowego, musiałem mieć pewność, że dotrą na miejsce w swoim czasie. Nie zrobiłem sobie nawet porządnej przerwy na jedzenie, droga zagłuszała głód. Jak to mawiali na wschodzie: wilka karmią nogi.

Skuter mruczał cicho, meandrując pomiędzy wielkimi plamami roztopów. Zarośnięta równina mieniła się kolorami na różne sposoby. Żółtawo-zielone porosty pokrywały ciemne, bazaltowe skały, zaś formujące się jeziora błyskały błękitami i turkusami nieba. Na horyzoncie zbierała się masywna, ciemnoszara ściana, unosząca się ponad równym stożkiem jednej z gór. Dopiero po czasie zrozumiałem, że wypłaszczony szczyt to w zasadzie wulkan, chmurzący się potwornie i odgrajający swoimi siłami.

Wiatr hulał bez ograniczeń po otwartych przestrzeniach, szarpiąc mnie za lekką, nową kurtkę. Zielonkawa powierzchnia odznaczała się kilkoma odblaskami, odbijającymi promienie słońca, które coraz śmielej i chętniej wyglądało z nieba. Wreszcie byłem wolny od wszechogarniającej białej pustki. Zostawiłem swoją lodową królową daleko za sobą i na krótki czas mogłem odżyć. Nawet najskromniejsze załomy skalne, gdzie mchy i porosty z trudem walczyły o życie, zdawały mi się oazami roślinności.

Idealnie równa kreska równiny postrzępiła się nagle i nie wróciła do swojej poprzedniej postaci. Podobny do cygara, ogromny kształt wyrósł z ziemi jak wywleczony z mauzoleum sarkofag albo łódź, która wryła się w brzeg plaży i utknęła na płyciźnie.

Zbliżyłem się nieznacznie, przeklinając własną ciekawość. Zatoczyłem wpierw jedno, szerokie koło, potem następne, już nieco mniejsze, aż wreszcie zbliżyłem się na kilkadziesiąt metrów. Z tyłu głowy wciąż miałem idiotyczne zejście do doliny Agerdołu, które mogło skończyć moją podróż, nim ta na dobre się zaczęła.

Czarne, wypolerowane wiatrem na błysk skały wyrastały tam z ziemi jak nagrobki albo stalagmity. Było w nich coś nienaturalnego, jakaś sztuczna myśl. Jednak to nie one stanowiły najdziwniejszą część krajobrazu, a elektryczna lokomotywa w kolorze niedojrzałej gruszki. Pospolity, nieco stary Suramiak chylił się smętnie ku upadkowi, tyłem już całkiem zagrzebany, a przodem zwrócony ku niebu. Kilka zaporowanych okienek wyglądało na świat, zaś za nimi tańczyły papierowe wycinanki. Na zawiesiach linowych zwisało sporo mokrych ubrań, zaś ich właściciel siedział nago na żelaznych stopniach, popalając z drewnianej fajki.

– Dobry dzień na pranie – rzuciłem niezbyt głośno. Poza dudniącym wiatrem tylko mój głos i cichy pomruk silnika rozchodziły się na tych równinach.

– Nie robię prania – odparł koczownik, nie otwierając nawet oczu. – Wpadłem w kałużę.

Pokiwałem głową w zrozumieniu, bo faktycznie okolica przypominała jakieś zakamienione mokradła, gdzie co rusz ziała nawet metrowa dziura zalana lodowato zimną wodą.

Obcy wyglądał koszmarnie biednie, aż do przesady. Zapewne tak ludzie bogaci wyobrażali sobie ludzi biednych. Długi, niechlujne włosy lepiły się do jego ogorzałej od słońca twarzy i żółtawo-brązowej skóry. Żebra wystawały całymi rzędami, a poniżej zwisał niewielki, zaokrąglony brzuch, porośnięty tak mocno, że nie mogłem nawet dojrzeć pępka nieznajomego.

– Co robi pociąg w takim miejscu jak to?

Nieznajomy po raz pierwszy uchylił powieki i spojrzał za siebie zdziwiony, jakby pierwszy raz na oczy widział tego Surmiaka. Na moment wygiął twarz w grymasie intensywnego zamyślenia, ale zaraz pokiwał głową na boki bezradnie.

– Może się wykoleił?

– Tak bez torów?

– No chyba najłatwiej się wykoleić, jak nie ma torów.

Przytaknąłem, nie mogąc i nie chcąc polemizować z takim popisem niesamowitej wprost logiki.

– Dajesz sobie radę? Potrzebujesz czegoś może? – spytałem, niechętnie gasząc silnik.

– To nie wygląda na bezpieczne miejsce.

– Innego nie mam, odkąd straciłem rodzinę – przyznał obcy, dalej unikając mojego wzroku. Wstał i poklepał ścianę lokomotywy, jakby głaskał konia. – Niestety, nie potrafiłem dostarczyć pewnej ważnej paczki i tak to się skończyło. Na środku niczego, sam, setki kilometrów nicości od domu, bez chociażby osiołka, prawda?

Dziwak obrócił się do mnie plecami i zniknął wewnątrz maszynowni. Poczułem chłód, zakradający się wzdłuż niedoleczonych odmrożeń.

Szybkim krokiem ruszyłem ku lokomotywie, przeskoczyłem po parę szczebli drabinki i wszedłem za owym człowiekiem do środka. Gdy tylko przekroczyłem próg, drzwiczki zamknęły się za mną, a wszystko dookoła spowiła ciemność. Parę okienek wpuszczało odrobinę, mlecznobiałego światła, przesączającego się przez wycinanki z kolorowego papieru. Poza nimi była tylko ciemność i czyjś niespokojny oddech.

Rozbrzmiało uderzenie. Głuche tąpnięcie, jakby ktoś walił kijem od szczoty w wiaderko.

Zaraz ponownie i znów. Dźwięki przyspieszały, łup, łup, a z tego niespokojnego rytmu narodziły się kolejne dźwięki. Miękkie plaśnięcia czegoś wilgotnego i zduszony śmiech, który w końcu stracił nad sobą panowanie.

– Artem, oni już wszyscy nie żyją – zaskrzeczał głos z końca lokomotywy.

Jarzeniówka zabłysnęła nagle, odsłaniając postać nagiej staruchy, trzymającej się kurczowo maselnicy. Czerwona ciecz spływała po oblepionych pajęczyną deskach, rozlewając się na kraciasty dywan.

Baba Jaga wyszczerzyła się brązowymi resztkami zębów, ubijając coś wewnątrz swojego narzędzia. Jakiś cichy, niemalże dziecięcy jęk dobył się z wnętrza maselnicy, lecz ucichł przy następnym uderzeniu.

Żarówka świeciła coraz mocniej, wyciągając biel ze wszystkiego dookoła i puszczając po ścianach długie, ostre cienie.

– Możesz udawać, zasłaniać się swoimi proszkami i zastrzykami, ale dobrze o tym wiesz. – Starucha zaśmiała się długo i głośno. Jej głos wprawiał całą maszynę w drżenie. Czerwone wskazówki na przyrządach tańczyły opętańczo. – Zabiłeś ich wszystkich, Jekaterinę, Wierę, Oksanę, Anastazję... Nie dostarczasz listów, tylko nekrologi. I to lubisz, uwielbiasz, a twój następny nekrolog jest wypisany na całe miasto. Dlatego zwalniasz, okrążasz, nocujesz... Nie chcesz dojechać do Sahala, nie chcesz im pomóc. Chcesz ich zabić, bo się nienawidzisz. Nienawidzisz tego miasta. Chcesz je utopić, uwięzić pod wodą, zamrozić na kamień. Nienawidzisz wszystkich, ale jednego ci nie dam. Nie pozwolę ci

umrzeć, Artem, bo ja cię nienawidzę bardziej, niż ty mnie. Nienawidzę cię i chcę, byś żył. Zasługujesz na to.

Igła zakula potwornie. Tłoczek nie chciał wejść już dalej, drząc pod moim zsiniałym kciukiem. Końska dawka antyradiowego specyfiku rozplýwała się już po moich żyłach.

Przywiązana na sznurku puszką biła o krzyż z trzema belkami, łup, łup, jak maselnica.

Siedziałem na skuterze, wgapiiony w ten pojedynczy nagrobek. Wokół mnie nie było niczego i nikogo. Pociąg zniknął jak efemeryda, rozplýwając się nawet w mojej pamięci. Już po chwili nie byłem nawet pewny, kogo widziałem i gdzie. Zepchnąłem to na tył głowy z mocą odśnieżarki gąsienicowej.

Nie pamiętałem, czemu wziąłem tak silny lek, ale musiało być to coś ważnego. Wiedziałem, że długi okres samotności może wzmacniać we mnie różne doznania, niebędące w pełni prawdziwe, natomiast ostatnie kilka dni zdarzało się to nad wyraz często.

Z narastającym lękiem śledziłem topniejące zapasy w apteczce, lecz mimo to wiedziałem, że muszę być blisko. Podróżowałem już tak wiele dni, tak bardzo się starałem. Nie mogłem nawet pomyśleć, że nie dotarłbym do Sahala lub... że nie zdążyłbym.

Wyjąłem swój cyrk i oznaczyłem nagrobek wysokim stelażem z błękitną flagą. Na tak otwartych przestrzeniach brak punktów orientacyjnych mógł być katastrofalny, a mającące w oddali góry potrafiły płatać figle.

Jeszcze przez moment przyglądałem się nagrobkowi i spróbowałem odczytać napis na spróchniałej desce, jednak za nic nie mogłem tego zrobić. Kimkolwiek był pochowany tu człowiek, nie pozostał już po nim żaden ślad, poza tym, co mogło się gnieździć pod powierzchnią ziemi.

Zdusiłem idiotyczną myśl, by na krótki moment włączyć radio i niezwłocznie ruszyłem dalej. Żadnych zabaw radiem, żadnej durnej ciekawości. Byłe na zachód, byłe w stronę ciepła. Byłe dostarczyć list, nim będzie za późno.

* * *

Świat dookoła mnie przeobrażał się coraz szybciej. Kolory zmieniały się jak w kalejdoskopie, nakładając kolejne barwne filtry na siebie i tworząc przedziwną mozaikę, w której nie sposób odnaleźć stałego punktu.

Zieleń, tak rzadka i cenna w moich stronach, stała się drugą naturą jazdy. Bujna lub skąpa, wysoka i tańcząca na wietrze ale też ta niska, o zgrubiałych trzonach, każdy rodzaj

trzaskał, pryskał i strzelał na wszystkie strony płóz. Skuter sunął po pagórkowych terenach, roztrzaskując wodę, zręcznie mijając szpiczaste skały i zwodnicze rozstępy ziemi.

Cóż, w zasadzie można by rzec, że to ja mijalem je tak zręcznie, ale nie wiem, czy mój poprzedni przysadzisty i masywny skuter dałby radę poruszać się z taką gracją. Obciążana paka drżała przy każdym uniesieniu, walcząc z napiętymi taśmami z tworzyw sztucznych.

Aż wreszcie stała się rzecz przedziwna, której nie doświadczyłem w zasadzie od tygodni – dotarłem do drogi.

Cienka nitka ubitego traktu zakręcała wokół potwornie długiego jeziora. Wysportowany człowiek powinien był dać radę dopłynąć na drugi brzeg w poprzek, zaś samą długość zapewne dałoby się przepłynąć jedynie łodzią. Pomarszczone, błękitne lustro wody odbijało niebo jak rybie łuski, co rusz strzelając na wszystkie strony setkami krótkich błysnięć. Wyż nadawał firmamentowi kolor źródlanej wody i nawet jedna chmura nie odważyła się zniweczyć tego poranka.

Zdjąłem kask i ściągnąłem luźną kominiarkę. Słońce wycięło z szarzyzny drogi kawałek jasnego przejścia, jakby światło padało z rozgrzanego pokoju przez uchylające się drzwi. Z dziecinną radością docisnąłem gaz. Skuter szarpnął z miejsca, silnik skoczył na wyższe obroty i zaraz maszyna pognąła wzdłuż trasy z wielką prędkością. Świat skurczył się i uprościł w jednej chwili, kondensując to, co istotne do tego, co wystawało kilkadziesiąt metrów przed karoserią skutera. Zimny wiatr trzaskał po twarzy, niosąc krople znad jeziora. Setki drobin kłuły niczym rój pszczoł, ale to wszystko było częścią tego rzeźkiego, żywotnego spektaklu. Życie budziło się dookoła i wewnątrz mnie. Wiosna przez lata nie przychodziła do mnie, więc ja przybyłem do wiosny. Stare, nieprzesadzalne drzewo, wychudłe po długiej zimie, bez kilku witalnych gałęzi, z grzybem pod korą, ale jeszcze żywe.

Piękno ma to do siebie, że jest jak skok.

Zwolniłem nieco i nadstawiłem uszu, wyciągając dziwaczne dźwięki silnika. Cylindry dublowały się, wydech rzeził ze zdwojoną mocą, a płozy świszczały z narastającą wysokością dźwięku, jakby zbliżały się do mnie...

Odwrociłem wzrok w ostatniej chwili, by zobaczyć, jak czerwony, okrągły kształt mija mnie o włos.

Rozpędzony skuter wyprzedził mnie, zajechał drogę i zwolnił. Kierowca jechał na niewielkim obciążeniu, mając przymocowane kilka solidnych, stalowych pojemników na tylnym siedzeniu i parę szczelnych toreb po bokach. Smukła, karmazynowa sylwetka przypominała krewetkę o dwóch czułkach lusterek i zaostrzonym odwłoku.

Światła ostrzegawcze mignęły w zachęcających, długich interwałach.

Raz... dwa... trzy.

Krewetka ze świstem posunęła wzdłuż drogi, malejąc mi w oczach. Nie tracąc czasu, zacisnąłem uchwyt gazu i z rykiem pogałem co sił w gąsienicy, by dorównać tempa. Wpierw jedynie zależało mi na tym, by przynajmniej przeciwnik przestał mi uciekać, ale po chwili zreflektowałem się, że myśląc w tych kategoriach, nigdy nie wygram.

Wjechałem w zakręt zdecydowanie ostrzej, niż powinienem był. Zaryzykowałem przewrócenie, obrałem inną trajektorię po łuku i wyskoczyłem z drugiej strony, nabierając prędkości. Ryzyko nieukarane bólem szybko nagrodziło mój mały mózdek. Kolejny skręt pokonałem jeszcze szybciej, a zaraz za nim następny już z prawdziwą furią. Gdy wylecieliśmy na długą prostą, niemal zadusiłem maszynę, byleby nadgonić kierowcę.

Czerwona kropka zbliżyła się do mnie. Serce biło mi tak szybko, że czułem się, jakby coś kopało mnie od środka czubem buta. Dostrzegłem obrys ciała w długich, czarnych spodniach o licznych kieszeniach i skórzanej skórcie. Równie czerwony co skuter był kask obcego, który na moment obrócił się do tyłu i drgnął z zaskoczenia. Czarna maska z plexiglasu odbiła promienie słońca, gdy ten pokiwał głową z uznaniem. Zaraz jednak droga znów zakręcała i szła przez setki metrów ogromnym, szerokim łukiem. Z jednej strony trasy wyrosły proste barierki z cienkiej blachy, z drugiej zaś osiatkowane urwisko, pilnujące, by z otaczających nas wzgórz nie zleciały na trasę masywne skały i lawiny błotne.

Jednak nie to było najważniejsze. W centrum mojej uwagi stał niepojętych rozmiarów kompleks przemysłowy. Wyglądał, jakby ktoś zszył ze sobą trzy blokowiska, z których jedno przechylało się nieznacznie, strasząc ogromnym, granatowym dźwigiem, zaś drugi po prostu chylił się ku upadkowi w taki sposób, że mogłem dostrzec wiszące setki kabli i rur, które wystawały z oderwanej ściany jak pajęczyny lub nici z kwiatu bawełny. Wielopiętrowy, porzucony moloch topił się w oczach i zlewał w nierówną górę rdzawych śmieci, wypadającą z jednej strony do jeziora, a z drugiej wprost na ziemię. Dookoła nawet zostały stare parcele robotnicze i inne budynki, przyczepione do nadbrzeżnego portu.

I właśnie w kierunku tego potwora skręcił czerwony skuter.

Maszyna szarpnęła nagle w lewo, nim jeszcze zaczęła się nitka barierek. Jeśli kierowca potrafił nawigować przez ten zrujnowany las żelaza, gumy i plastiku, to niechybnie oznaczałoby, że nie miałem szans wygrać. Nie mogłbym nadrobić czasu, jadąc ubitą, lecz okrężną drogą.

Instynktownie skręciłem w pościg. Przylepiłem się do ogona mechanicznej krewetki, zjeżdżając w dół stromego urwiska. Maszyna ledwie nieznacznie zwolniła i zaraz wleciała w wąską przestrzeń między starym szlabanem a budką ochroniarza.

Parking zmienił się w brzozowy zagajniczek, zaś po wyprutych z miedzianych kabli lampach ciągnęły się jedynie zwoje żółtawego bluszczu. Drewniane baraki straszyły wybitymi oknami i wyważonymi drzwiami. Z dziurawych dachów gdzieś wyrastały samosiejki, zaniesione wiatrem i zagnieżdżone w drobinach naleciałej ziemi.

Sunąłem ledwie kilkanaście metrów za moim oponentem, cisnąc co sił w wąskim przejściu między dwoma rzędami kontenerów. Minęliśmy punkt rozładunkowy i nagle zaatakował mnie potworny smród zgnilego dorsza. Wyławiany tutaj zapewne dziesiątki lat temu okaz nawet teraz musiał dawać o sobie znać. Ryby wniknęły w strukturę przetwórnictwa spożywczej jak duch, wspomnienie milionów wyfiletowanych zwierząt, nawiedzających te opuszczone korytarze.

Krótko mówiąc – kurwiło potwornie.

Gdy wpadliśmy pomiędzy oba bloki przetwórcze, przyznaję, że zamiast hamulca, to zacisnął mi się zwieracz. Wielopiętrowa konstrukcja groziła zawaleniem. Dolne części korytarzowe i przechodnie stały całkiem zalane, pełne porzucanych drutów i kabli, jak jakaś podwodna jaskinia. Z kolei górna część składała się z dwóch pięter biurowo-administracyjnych, których zawartość poza dywanami już dawno sfrunęła w dół po pochylni i wyleciała z impetem przez okna. Góra biurek z prasowanych płyt paździerzowych, gównianych krzeseł do wykrzywania kręgosłupów i zdechłych paproci stworzyła mały pogrzebowy kopiec ku pamięci poległego biura. Patrząc na stan całej budowli, już niedługo sam kopiec mógł zostać nakryty ścianą budynku, gdy już wszystko runie w pizdu.

– Ja pierdołę! – dałem radę wykrzyczeć, gdy wjechaliśmy w przestrzeń tak wąską, że ściany niemalże ocierały mi lusterka.

Zebrana, błotnista breja bryzgała po całej maszynie, znacząc lazurową karoserię milionami burych kropek. Płozy zgrzytały i piszczały co rusz na wystających żelazobetonowych elementach i zwojach folii. Aluminiowa rama jęczała potwornie, gdy skuter nieuchronnie zbliżał się do maksimum swojej tolerancji.

Nagle światło zaalało mnie od stóp do głów. Z piskiem wyskoczyłem ponad ziemię i zawisłem w powietrzu. Przez moment wszystko przepływało wokół mnie: ruiny, odlażące olejną farbą ściany, wyprute kable, zbite szyby. Aż świat na nowo się załączył, jak uśpiona i pobudzona do życia maszyna. Grawitacja szarpnęła mnie w jedyną słuszną stronę. Płozy uderzyły ze zgrzytem o ziemię, a ja zahamowałem gwałtownie.

Kilka pojemników z zapasami pokoziołkowało gdzieś w błoto. Jedna z lin nie wytrzymała i teraz luźno zwisała na bok z otwartym zaczepem. Silnik aż dyszał mgiełką siwych oparów spalanego paliwa, tak jak koń pieni się po nazbyt długim galopie.

Czerwony skuter, nie zważając na nic, pognał dalej, z gracją przeskoczył ponad rowem wypełnionym tłuczniami i poleciał na wskroś, by zaraz skoczyć po drugiej stronie wielkiego łuku, ku sobie tylko znanej wyrwie w barierkach.

Pozbierałem się do kupy, dosłownie i w przenośni, po czym już bez szaleństwa i woltyżerki wyprowadziłem skuter na drogę. Miałem szczerą nadzieję, że tym razem spotkanie z drugim człowiekiem nie było halucynacją i dogryzającym mi brakiem bodźców. Tych drugich nałykałem się już wystarczająco, to trzeba przyznać.

W tamtym momencie jednak najważniejsze było nie to, co zniknęło mi z oczu, a to, co się przed nimi pojawiło.

Serce biło mi jak oszalałe, częściowo z emocji po wyścigu, a częściowo ze względu na to, że droga powoli falowała i zwijała się jak taśma magnetyczna, niknąc wśród zieleni i brązu. Z kolei na końcu tej taśmy znajdowała się okrągła, niemalże czarna z tej perspektywy szpula, jej wspaniałe źródło.

Sahal rozpościerał przede mną swoje podwoje.

* * *

Widziałem już stolicę okręgu parę razy, lecz za każdym robiła na mnie niewyobrażalne wrażenie. W Sahalu zostało jakieś pół miliona mieszkańców, jeśli moja pamięć i obliczenia były cokolwiek warte. Ledwie dwie trzecie populacji sprzed zimnej dekady. Mimo to życie w mieście trwało nadal, dusząc się, kopiąc, rzygając w niebo dziesiątkami przetwórni, kombinatów, hut i odlewni... ale jednak trwało. Zapewne pomagało w tym to, że całą produkcję wydelegowano na dalsze obszary, zostawiając miastu miejsce na rozwój.

Nie był to jednak ani Elektrogorod, ani tym bardziej Magnetańsk. Już nie trup z wywleczonymi na wierzch żyłami rur, pozbawiony skóry, wytrzewiony przez mróz. Stała przede mną sylwetka całkiem ludzka, a przynajmniej o ludzkiej twarzy. Wielopiętrowe bloki stawiano na betonowych fundamentach i nikt nie musiał nawet rozbijać palami wiecznych zmarzlin. Niektóre ściany zdobiły fantasmagoryczne murale, a to z okazji świąt państwowych, a to zwyczajnie pokazujące widokówki z najładniejszych miejsc okręgu lub przedstawiające coraz rzadsze dzikie zwierzęta.

Zatrzymałem się pod ogromnym namalowanym reniferem, którego poroże rozciągało się od dziesiątego do czternastego piętra. Chłonałem te wszystkie barwy i odcienie, których na próżno szukać nie tylko w Magnetańsku, ale nawet w przyrodzie. W końcu to wszystko były portrety trumienne, po odchodzącym świetle, pamiętanym z czasów młodej, ambitnej Federacji.

Miasto wrzeszczało na całe gardło istną kakofonią przeraźliwych dźwięków. Cóż, przynajmniej wydawało się tak mojej skromnej osobie po tygodniach w dziczy. Ale co ja tam mogłem wiedzieć, prosty dróżnik z zadupia imperium.

Skakałem wzrokiem z jednego obiektu na drugi, stojąc w najprawdziwszym korku. Za mną tarabanił się jeden z dziesiątek biało-czerwonych autobusów, zaś przede mną stał elegancki, czarny samochód. Pasażerka z tylnego siedzenia co rusz obracała się i przez szybę spoglądała ku mnie, bo zapewne wyglądałem niecodziennie. Tablice rejestracyjne pojazdów również stanowiły mozaikę z najróżniejszych miast Federacji, głównie położonych na zachodzie i południu, gdzie woda jest ciepła, wiosny nadal zielone, a lata upalne.

Po szerokich chodnikach kroczyli obywatele, zwykle w jesionkach lub przeciwwiatrowych kurtkach, rzadko zaciągając na głowy czapki. Dzień był wyjątkowo słoneczny, a temperatura plasowała się w okolicach niemal dziesięć na plusie. Środek lata.

W Sahalu nadal wielu ludzi cieszyło się z postępującego oziębienia lub wprost w nie nie wierzyło. Wspominali dokuczliwe, upalne lata lub opowiadali, że w zasadzie to dobrze, bo w niższych temperaturach lepiej rosną niektóre gatunki roślin, no i człowiek się tak nie spoci, a w ogóle to...

Elektryczny tramwaj opierdolił mnie równie elektrycznym dzwonkiem. W ostatniej chwili zjechałem z torowiska, wpięprzając się niemalże na chodnik. Odprowadzony zdeglustowanymi i rozbawionymi spojrzeniami, zjechałem na swój pas i wróciłem do mozolnego przeciskania się ku centrum.

No więc tak, Sahal był... inny od Magnetańska. Bliżej centrum cywilizacji, otoczony swoją własną banieczką. W nim światło Federacji faktycznie świeciło jasno, a ideały równości i pionierizmu wciąż przebijały z licznych banerów, plakatów i pamiątkowych tablic.

Tam było zdecydowanie mniej śladów rozpadu Federacji niż w Elektrogorodzie. Miasta, które próbowały wyłamać się w trakcie kryzysu, zostały albo spacyfikowane, albo... cóż, przestały być miastami. Zaś w Sahalu, jak to w dużym mieście, wszyscy żywili się patriotyzmem i tym, co przyniesiono z rubieży. Im większa ziała pustka po rozpadzie

Federacji, tym mocniej trzeba było się starać, by ją zakryć. Stąd też momentami absurdalne ilości transparentów w centrum miasta.

Transparentów, w których hasła nadal chciałem wierzyć, lecz traciłem już podstawy ku temu. Z każdym przejechanym kilometrem, coś we mnie dojrzewało, a raczej... fermentowało. Rzeczy, których dowiadywałem się o Federacji, liczne zbrodnie i przewinienia wielkie oraz małe, uświadamiały mnie coraz mocniej w przekonaniu, że tego, co kochałem, już nie ma. Nie ma Federacji, ale też nie ma moich bliskich, zostałem tylko ja, relikwida dawnej ery. Mimo to ze wszystkich tych rzeczy do Federacji tęskniłem najmniej. A właściwie to tęskniłem, to prawda, ale nie za Federacją, a za jej ideą. Nie interesował mnie słaby, nieudany eksperyment, interesowała mnie wizja lepszego świata, takiego, w którym praca owocuje pokojem przyszłych pokoleń.

Pokoju jednak nie było, została praca. A mi już zgrabiały od niej ręce.

I to nie obozy pracy, machloje i niegodziwości Federacji sprawiły, że Sahal mi obrzydł, lecz jego ludzie i ich obojętność. To, z jaką nonszalancją żyli wśród kolorowych neonów, teatrów, kin i bibliotek, gdy my uwijaliśmy się w czterdziestostopniowym mrozie, by wyrwać skutej lodem ziemi choć odrobinę tego cholernego magnetytu, niklu czy innego gówna.

Zacisnąłem gaz i zaraz zwolniłem, widząc krwiste czerwony znak z ograniczeniem prędkości. Miasto stanowiło wspólną klatkę, piękną, ciepłą, ale nadal klatkę. Na pewno życie w mieście było znacznie łatwiejsze, niż koczownicze uwijanie się od jednego punktu docelowego do drugiego. No i trzeba przyznać, że wszystko, co przyjemne, estetyczne i oświecone stworzono w miastach, a nie w namiotach przy drodze. Natomiast nie mogłem odzyskać tego, co było takie oczywiste na bezdrożach – spokoju ducha.

Moja wiara w Federację dopalała się nie na szczycie Gór Czałupich, ani na skutej lodem rzece Ister lub kopalniach Magnetańska. Nie przewróciły mojego porządku świata ani anomalie radiowe, ani istoty, które rościły sobie prawo do istnienia w wiecznie postępującej zmarzlinie. Moja wiara umierała na skrzyżowaniu z wadliwą sygnalizacją świetlną.

– No jedź, kurwa, bo cię przeskoczę, łajzo zajebana w pizdę poklepana przez renifera!
– Wydarłem się na kierowcę, który mimo zielonego światła stał nadal. Gdy tylko się ruszył, zielone zaczęło mrugać, a ja w ostatniej chwili zatrzymałem się, gdy znów zabłysnął szkarłat.
– Szkoda, że twój stary tak nie zwlekał z włożeniem, ty mendo zaropiała!

Więc znów oglądałem: a to stojące gdzieś wózek i stoiska z przekąskami, a to wesołe rodziny z dziećmi, ciągnące za sobą kolorowe baloniki, a to inne równie sielankowe

widoki, które w Magnetańsku mógłbym najwyżej zobaczyć na zabytkowej pocztówce w jedynym centrum kultury.

Lecz nawet tam coś wydawało mi się dziwnie obce, nienaturalne, a przy tym paradoksalnie znajome. I wiem, że to brzmi mało precyzyjnie, ale ciężiej ująć dosadnie to, co odczuwałem. Zupełnie tak jakby co jakiś czas, naprawdę rzadki, powiedzmy kilka minut, moje serce biło o jeden raz więcej, nagle i poza rytmem. Cały świat drżał minimalnie, lecz nikt tego nie dostrzegał. I gdyby nie to, że raz spostrzegłem, jak kałuża na ziemi faluje dokładnie w tym momencie, to pomyślałbym, że coś ze mną jest nie tak.

Jako człowiek, który większość życia spędził na wyboistych bezdrożach albo w górniczym mieście wiedziałem, że nie tak pracuje ziemia. To było coś bardzo konkretnego, jedno, regularne źródło, uderzające interwałami wzdłuż całego miasta.

Zaparkowałem skuter i zażyłem zapobiegawczo jedną tabletkę antyradiacyjną. Choć w miastach efekty zewnętrzne anomalii były niemalże żadne, wołałem nie wzbudzać niczych podejrzeń nagłym atakiem mojej choroby.

Budynek ratusza był zaskakująco podobny do tego, który piętrzył się w Magnetańsku. Był tak podobny, jak podobni mogą być dwaj bracia bliźniacy, z których jeden jest wychuchanym synkiem mamusi, a drugi dostaje resztki ze stołu. Zasadnicza bryła stanowiła identyczne odwzorowanie, lecz stan techniczny, a także liczne przybudówki jasno wskazywały na to, że byłem w miejscu władzy przez wielkie W.

Państwowe dominium obejmowało szeroki plac, wijące się kolumnady i wszechobecną beżowatość ścian, tak typową dla wszystkich budynków administracyjnych. Mimo to przed Magnetańskim ratuszem bawiły się dzieciaki i hulał wiatr, zaś Sahalskiego parkingu zapelnionego samochodami strzegły szlabany, wysokie mury i regularne patrole służb porządkowych. Różnica tak zasadnicza jak między ministrem a wiejskim nauczycielem – obaj teoretycznie byli podległymi rządowi urzędnikami i to by było na tyle.

Pobrałem ręcznie odpisany bilecik od ochroniarza i wjechałem w pełni legalnie między smukłe sylwetki drogich samochodów. Obejrzałem gruby kawałek papieru w dłoniach i zlustrowałem go dokładniej pod światło. Ciężko powiedzieć, czy to jeszcze genialna standaryzacja, procedury bezpieczeństwa i postępu, czy już marnotrawstwo zasobów ziemi.

Minąłem się z jakąś oburzoną kobietą, której samo tylko spojrzenie na mnie musiało wyrządzić ogromną krzywdę. W stolicy bardziej niż gdziekolwiek czułem, że ideały braterstwa i pionierizmu są w dużej mierze dowolną interpretacją stanu rzeczy. Ja też nie byłem bez winy, bo patrzyłem na tych wszystkich ludzi w ich dziwacznie skrojonych garniturach, obcasach, krawatach oraz kapeluszach i czułem trudną do powstrzymania

wyższość. Wiedziałem, że nie przeżyliby tego, co ja przeżyłem. Oni z kolei wiedzieli, że nie musieliby nigdy tarzać się przez taki syf jak ja i zapewne czyniło ich to nie mniej zadowolonymi z siebie niż mnie samego.

Zbryzgałem swoimi buciorami kafle wypolerowane na wysoki połysk i powłóczyłem się w kierunku sekretariatu. Kilka otwartych stanowisk nieustannie obsługiwało istny tłum petentów, gości i desperatów. Ten młyn przyjmował i wypływał z siebie ludzi z niewyobrażalną flegmatycznością, jakiej nie mogłem doświadczyć od lat. Ostatni raz coś wydawało mi się tak męczące i mozolne, gdy wlokłem ciało Leonida przez dolinę.

Na moment zrobiło mi się chłodniej i wspomniałem myśliwego, który pewnie uciekł od swoich wierzycieli w jedyne miejsce na świecie, do którego za nim nie pójda. Poczułem pospolity, szary, ludzki żal, idealnie pasujący do otaczającej mnie rzeczywistości. Zupełnie tak, jakby smutek i melancholia na stałe wniknęły w ściany tego budynku i tylko czekały, by uzupełnić braki w oczekujących masach.

Obsługująca mnie urzędniczka wpierw pokręciła strasznie nosem, ale w końcu zgodziła się pokierować mnie do siedziby samego mera, choć pod pewnym warunkiem. Miałem nie zajmować mu zbyt wiele czasu, bo ani moja wizyta nie była zaplanowana w żaden sposób, ani pan zarządca tego beżowego kurwidółka niespecjalnie był w nastroju na gości.

Postawiłem pierwszy krok na schodach i zamarłem w oczekiwaniu. Świat dookoła mnie płynął dalej, ludzie poruszali się, obijali o siebie, jak kra na rzece, stukająca o brzegi koryta. A ja trwałem, niezdolny do ruchu, zatrzymany, szarpany lodowatymi prądami. Bo pierwszy raz od dawna poczułem, że świat się roztopił, rozpręgnał. Rzeczywistość pękła i spłynęła zlodowaciałymi wydarzeniami w dół tego wodospadu czasu. Tylko ja nadal czekałem w swoim stanie hibernacji, zastopowany, niezdolny do ponowienia procesów życiowych. Są takie lata, gdy nie dzieje się nic i są takie momenty, gdy świat nadrabia stracone lata. I ja znalazłem się w takim momencie – momencie nadrabiania straconych lat, wielkich przemian, decyzji, zbierania zasianego wiatru w formie gwałtownych burz.

Pomacałem kieszeń na piersi, wyczuwając niezmiennie zabezpieczoną w folii kopertę z listem i łapówką.

Jasna kurwa i stu świętych, przekupienie urzędnika szczebla wyższego karane było bardzo surowo, a ja tak po prostu i na luzie wszedłem do urzędu miejskiego jak gdyby nigdy nic. Jedyne co mi pozostało, to tak jak w przypadku Elektrogrodu – udawać, że nie wiem, o co chodzi. Być tylko pośrednikiem, dostarczycielem, dróżnikiem.

Tylko wtedy nie wiedziałbym, co postanowi mer, a to... to mogłoby mnie naprawdę zabić. Nie Baba Jaga, nie burza śnieżna, nie anomalie radiowe i Grucznicy, a niewiedza mogła mnie realnie zabić. Pozostanie w tej nieświadomości co do efektu mojej dostawy. Bo jeśli nie dowiedziałbym się, czy te setki kilometrów miały sens, to nic nie miało sensu.

Sięgające sufitu drzwi z jasnego drewna posunęły delikatnie ponad podłogą. Pomieszczenie zalewało białe, sterylnie czyste światło, jakbym wszedł do prosektorium albo wnętrza wielkiej, ceramicznej misy. Szeroki wykurz obity czerwonymi poduchami zwisał nad wewnętrznym dziedzińcem, gdzie kilku facetów w odblaskowych kamizelkach cięło przewrócone drzewo na kawałki. Pomieszczenie kontrastowało względem gabinetu mera Magnetańska czy Elektrogrodu. Nie było ani zimnego zaprzepaszczenia lat i powolnego wymierania, nie znajdowałem też nadmiernej ambicji przemysłowego molocha, budzącego się ze snu. Gabinet był elegancki, przytulny i robił wrażenie miejsca, które nigdy się nie zmienia. Zupełnie tak, jakby codziennie otwierano je na nowo, odkurzano każdą stronę zebranych na ścianach ksiąg, naoliwiano mechanizmy małych, ruchomych gadżetów na biurku mera.

Wreszcie i sam mer, on również był nowy, piastujący urząd zaledwie od tego roku, jeśli mnie pamięć nie myliła. Na kilku z setek plakatów mogłem nawet dostrzec jego twarz. Partia Zjednoczenia Federacji lubiła zapoznawać mieszkańców z nowymi urzędnikami, rzucić im jakiś ochłap wiedzy na temat tego, kto w ich imieniu będzie dzierzył bat. Tym razem jednak trochę przesadzili, albo mer zdążył przez te kilka miesięcy mocno przytyć. Też bym chciał kiedyś przytyć, nie wiem, jakie to uczucie. Pewnie całkiem przyjemnie, jeść więcej niż pracować.

Feliks Finkel sprawiał wrażenie człowieka wiecznie uśmiechniętego, jowialnego, o lekko pomarszczonej twarzy i włosach rodem z przedstawień cherubinków. Zupełnie jakby się urwał z witryny jakiejś cukierni i ożywiony nieznany impuls postanowił oddać się polityce wewnętrznej Federacji, nie sławiąc chwałę Pana a chwałę partii.

– Lubię gości – zaczął, spoglądając na mnie znad zabawkowego ludzika w skafandrze – zwłaszcza tych, którzy przynoszą dobre wieści.

Rozejrzałem się powoli i wzruszyłem ramionami.

– W takim razie przepraszam, że się wprosiłem – wycharczałem. Mój głos został przeżarty, zamrożony i spalony przez tygodnie drogi, i zapewne potrzebowałbym miesięcy rekonwalescencji i rozmów, by kiedykolwiek odzyskać jego gładkość. Nie to, że był wyjątkowo gładki wcześniej, ale przynajmniej nie brzmiałbym jak rozjuszony kundel. –

Jednak jechałem tutaj z samego Magnetańska od... czerwca albo lipca, nawet nie pamiętam. Daty zlały się w jedno jak krajobraz.

– A u nas? Podoba ci się u nas, w Sahalu?

– U was jest... zdecydowanie cieplej – stwierdziłem, nie próbując wypominać merowi, że przeprowadził się tu z zachodu dopiero co. Sahal był w równym stopniu jego, co skuter Leonida był mój. Tymczasowo tak się złożyło. – Tam, skąd przychodzę, zamarza nawet smar na łączeniach, a śnieg potrafi sięgać drugiego piętra.

– A słyszałem takie pogłoski. No, widocznie ciężka zima u was była. – Feliks pokiwał głową ze współczuciem i odłożył małego kosmonautę na bok. Dopiero wtedy spojrzał mi w twarz i zrozumiałem, że jego oczy są całkowicie pozbawione wyrazu. Jakby spoglądał na świat przez dwa czarne guziczki, naszyte do okrągłej, pacynkowej buzi. – No, ale po każdej zimie przychodzi ciepła, rozkwitająca życiem wiosna, prawda? Potoki górskie się budzą, kwiaty rozkwitają, ja bardzo lubię kwiaty. W ogóle lubię przyrodę, wie pan, panie...

– Artem... Jadow.

– No tak, panie Jadow, zapomniałem, biję się w pierś po trzykroć. Jak tylko objąłem stanowisko, to kazałem doprowadzić park do porządku, bo nikogo to nie obchodziło, a widzi pan, mnie obchodzi! Bo mnie naprawdę obchodzi. Tam wszystko rosło byle jak, dziko, niezadbane, a przecież to sprzyja rozwojowi chorób, tak? Jak przejść przez park, skoro nie ma wytyczonych ścieżek, a z każdej strony chyli się jakieś koślawe drzewo. Mocniejszy podmuch i spadnie komuś na głowę! Zero odpowiedzialności, mówię panu, zero.

Zbliżyłem się do okna i spojrzałem szerzej na panoramę. W kilkunastu miejscach ziały grube pnie ściętych drzew, przerobione na podstawki dla glinianych donic, wypełnionych białym żwirem i paprotkami. Wytyczone ścieżki z identycznego, również białego żwiru prowadziły zawijasami raz obok wyrastających drzew, a raz obok dziury w ziemi. Zdecydowanie w parku panował porządek, choć nie nazwałbym go szczególnie przyjemnym dla oka.

– Podoba się panu – stwierdził, bardziej niż spytał. – Dróżnicy tacy są, ja to szanuję, naprawdę. My też mamy dróżników i to kilkunastu, najtwardsi z najtwardszych. Trochę jak te platany, o tam, w rogu.

– Widzę tylko jeden...

– No dokładnie, bo tylko jeden był dość zdrowy i wytrzymały. To właśnie pan, pan taki jest, ja to w panu widzę od razu. Jest pan pionierem?

– Pionierem... tak, byłem przez lata.

– Proszę wyjąć ten sopel z ucha, pytam, czy pan jest.

– Jestem. Służę Federacji tam, gdzie Federacja tego wymaga.

– No widzi pan, ja też! Dumny od przedszkola. Jeździliśmy kiedyś na takie obozy przetrwania na wybrzeżu.

– Którym wybrzeżu?

– Zabawny pan jest, wiadomo którym. Powiedziałem, że to obozy przetrwania, a nie ginięcia w męczarniach. Lodowe pustkowia, wie pan... no, to nie dla mnie. To raczej dla nikogo, z całym szacunkiem. Śnieg, lód, zimno, dupa zbita, pan wybaczy określenie. Normalny człowiek woli, jak jest ciepło, ale nie za ciepło i wietrzyk wieje lekko, a woda jest płytka i letnia. Tak, wtedy jest dobrze, tak powinien wyglądać świat. No i wydaje mi się, że tym jest pionieryzm, wie pan?

– Pluskaniem się w letniej płyćźnie?

Jeśli go uraziłem, to nie dał po sobie tego poznać. Jego okrągła twarz dalej patrzyła na mnie tym pustym wzrokiem, jakby był kościelną rzeźbą. Miałem wrażenie, że mógłbym się dosłownie zesrać na środku biura i zamiast reprimendy usłyszałbym zajmującą anegdotę o pochodzeniu nawozów naturalnych.

– Tworzeniem takich płyczn dla swoich dzieci. Kilometr za kilometrem, kawałek po kawałku, przystosowanie świata do siebie. Wie pan, trochę głupio to zabrzmiało, ale mnie naprawdę fascynuje idea podboju kosmosu.

– Nie pomyślałbym – skłamałem, patrząc na bzdurne zabawki, przedstawiające kosmonautów, rakiety, wahadłowce i satelity. Niecierpliwie zacząłem masować kieszeń na piersi. – To fascynujące, naprawdę.

– Ciężko wyobrazić sobie bardziej nieprzystępną człowiekowi przestrzeń niż bezdenną otchłań kosmosu. Nie sposób opisać to, jak porażająco zimna i pozbawiona treści jest ta przestrzeń, jak nagana od dyrektorki szkoły podstawowej.

Zaśmialiśmy się obaj, a ja wykorzystałem ten moment i powoli rozpiąłem kieszeń.

– No, kontynuując, ja jestem pionierem, ale kosmicznym. Wierzę, że kiedyś i tę przestrzeń zdobędziemy i podporządkujemy sobie w tej czy innej formie. Federacja wyleci w gwiazdy i utworzy państwo, jakby to powiedzieć, ponad podziałami i atmosferą! W tejże trójwymiarowej przestrzeni powstanie kraj jak pajęcza sieć. Poprowadzimy linie telefoniczne na inne planety, przedrukujemy książki, otworzymy fabryki samochodów. Tak wygląda przyszłość, ja ją w tej chwili przewidyuję, ale niezależnie ode mnie ona i tak powstanie.

– Ciężko mi sobie wyobrazić podbój kosmosu, a jeszcze trudniej, że zmieni się cały wszechświat, tylko nie my. Telefony, samochody, papierowe książki na innych planetach... Cóż, gdyby kozły mogły czcić, to ich bogowie mieliby rogi. – Wyjąłem wreszcie paczkę

i znów zastygłem w bezruchu. Foliowe zawiniątko oddawało nagromadzonym ciepłem, jakbym wyrwał sobie z piersi własne, bijące jeszcze serce. – Szanowny panie, proszę mi wybaczyć, ale chcę mieć pewność, że odbierze pan ode mnie przesyłkę, której oddałem kawał zdrowia i życia...

Feliks z udawaną powagą wyciągnął obie ręce, chwycił za pakunek i zaczął oglądać go na wszystkie strony, jakby próbował wzrokiem przebić się przez opakowanie.

– Pokwitujemy to, by miał pan pewność, że wszystko jest w porządku. Z panem się miło rozmawia, naprawdę. Ludzie w urzędzie nie lubią, gdy zaczynam swoje dywagacje kosmiczne, są zbyt... przyziemni na to, wie pan? Ja rozdzielam to, mam czas na obie rzeczy. Czasami ja również jestem... bezwzględnie przyziemny,

Mer niezwykle powoli, wręcz flegmatycznie otworzył przesyłkę i rozebrał ją na czynniki pierwsze, zasiadając za biurkiem. Wpierw otworzył list i zaczął wertować go ostrożnie. Słowo za słowem, widziałem, jak jego twarz po raz pierwszy zdradzała oznaki prawdziwych emocji.

Był to gniew.

Surowy, niemożliwy do schowania gniew, który rozszerzał naczynia krwionośne i malował cywilizowaną twarz w plemienne barwy bojowej czerwieni.

Drżącą dłonią odłożył list, a następnie chwycił za pakunek z łapówką. Rwanymi ruchami rozerwał folię, a następnie wyjął ze środka kilkanaście zdjęć. Nie mogłem dostrzec, co się znajdowało na zdjęciach, ale patrząc po reakcji mera, nie były to jego ulubione, zagrożone wyginięciem gatunki ptaków ani nowa kolekcja mody damskiej.

Próbowałem zrozumieć, dlaczego zamiast łapówki w kopercie były zdjęcia.

Mer szybkim ruchem otworzył szufladę i zagarnął wszystko do niej, po czym z hukiem zamknął.

Jego dolna warga latała w górę i w dół, lecz wzrok pozostawał tak samo pusty jak do tej pory, choć nasadzony na rozedrganą, czerwoną głowę.

– Czy wszystko w porządku? – spytałem ostrożnie.

Mer spojrzał na mnie i jego maska gniewu wygięła się, jakby ktoś podgrzał glinę, by na nowo uformować wszystkie emocje, dodając do mieszanki wstręt i pogardę.

– Pokwituję – odparł tylko.

Teraz to ja poczułem, że pierwotny gniew zaczyna przepychać się w kolejce w drodze do mózgu, do tej pory zawładniętego przez oczekiwanie i strach. Nie mogłem pozwolić sobie na to, by to się znów stało. Nie wyobrażałem sobie nawet, że po raz drugi będzie tak, jak w Elektrogrodzie. Chciałem prawdy i chciałem jej natychmiast. Byłem zamieszany w tę

sprawę, nie mogłem od niej uciec. Byłem odpowiedzialny za tę przesyłkę, spędziłem z nią więcej czasu niż Oksana czy Feliks. To była moja przesyłka, moje miasto, moja odpowiedzialność. Magnetańsk był grobowcem mojej rodziny i nie mogłem pozwolić, by ktoś zalał mój grób.

– Jak sobie pan... znajduje przesłane informacje?

– To moja sprawa.

– Czy ma pan odpowiedź dla pani Oksany? Coś przekazać...

– Nie mam jej nic do przekazania.

Zamarłem w bezruchu. Jak dzieciak, który rozbił bezcenną, porcelanową wazę i słyszy, że obudził tym samym ojca. Chyba nawet pierdolony huragan mniej by mnie wystraszył w tym momencie.

– Jechałem tu z bardzo daleka – zacząłem tłumaczyć, próbując nieudolnie utrzymać na wodzy emocje. Z każdym słowem podnosiłem głos, nie mogąc powstrzymać potoku wściekłości, jaki wylewał się ze mnie na niesprawiedliwość. Tak samo jak mer nie miał zamiaru powstrzymać potoku, który miał zniszczyć ostatnie ważne dla mnie rzeczy na Ziemi. – Będę pierwszą osobą, która dotrze do Magnetańska, potrwa to pewnie kolejny miesiąc, więc jeśli mer ma zamiar podjąć jakąś decyzję...

– Jaką decyzję? Powiedz mi jaką, w ramach czego? – Mer zamachnął się gniewnie i uderzył w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą leżał pakunek. – To gówno? To były zdjęcia mojej siostrzenicy i co? Na to chcesz odpowiedź?

– To nie były... nie, nie wysłano by mnie z czymś takim.

– Jesteś pionierem, dróżnikiem do kurwy nędzy. Jak ci każą pozbierać iskry lecące ze spawania blachy, to pozbierasz je kurwa do torby i zawieziesz chociażby na dno oceanu! No, chyba że zajrzałeś do przesyłki urzędowej, to wtedy możemy inaczej porozmawiać i nie będziemy już tacy mili.

– Panie Feliksie... – zacząłem, czując, że zaraz zacznę wrzeszczeć, wyzywać albo zwyczajnie go zajebię gołymi łapami. Gniew zbierany przez tak długi czas, to niewychowanie, ta pustka i brak kontaktu z ludźmi eksplodował teraz we mnie ogniem, niepowstrzymanym, niszczycielskim pożarem. – Proszę pana, bardzo pana proszę... Wiem, że to nie jest moja sprawa, ale... Magnetańsk to moje miasto. Jest dla mnie najważniejsze, nie mam żadnego innego. Nie mam już miejsca na świecie, nie mam nikogo. Wiem, że to nie jest moja kompetencja, że to kwestia zagospodarowania, że życie jest czasem tak paskudnie proste, ale przecież nie trzeba tego robić od razu. W Magnetańsku nadal znajduje się sporo cennych zasobów, mamy podciągniętą kolej i infrastrukturę, to też są cenne środki. Wiem, że

Elektrogorod już się szykuje na włączenie dodatkowych linii przesyłowych, ale wpierv możemy przecież uformować nowe koryto rzeczne, omijające naturalny bieg, przepływający przez Magnetańsk. W tym tempie i tak niedługo rzeka będzie zamarzać coraz wyżej i dalej, dziś wyludniamy Magnetańsk, a jutro Elektrogorod, jeśli mrozy nie opadną. Sam pan powiedział, że pionierstwo to dostosowywanie świata do naszych potrzeb, więc to zrobimy. Zamiast niszczyć Magnetańsk, zmienmy otoczenie i zrobmy coś, by Ister nie mógł nam zagrozić. Proszę przychylić się do prośby Oksany. Tu chodzi o ludzkie życie. O przyczółek Federacji, najdalej wysunięte na wschód miasto. To jest dla mnie najważniejsze i zrobię wszystko, by je ocalić.

– Prośby? – szepnął tylko mer, spoglądając na mnie w ciszy przez długi czas. Wreszcie pokiwał głową ze zrozumieniem i jakby coś w nim przeskoczyło. Jego twarz ponownie stała się nieprzeniknioną maską, jak oblicze lalki. – Dobrze, zrobimy tak, jak pan mówi.

– Naprawdę? To znaczy...

– Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. Widzę, że pani Oksana powiedziała panu za dużo, ale to już nie pana wina, a jej. Wyjedzie pan jutro, równo o dwunastej, przez obwodnicę południową. Z tego, co rozumiem, ostatnio pan pobłądził, teraz jest... szaleństwo, szalony czas z pogodą, ze wszystkim, tak.

– Co z planem zagospodarowania?

– A co ma być? Plany się zmieniają. Pan niech się tym nie przejmuje, wszystko będzie dobrze. – Jego głos i sylwetka wyrażały lodowato zimny spokój. Mer wstał, zbliżył się do mnie, uściśnął mi dłoń swoimi spoconymi, jeszcze czerwonymi palcami. – Dobrze, że mi pan to wszystko powiedział. Naprawdę dobrze się stało.

– A co ze zdjęciami? Ja... nie wiem, co na nich się znajduje – przyznałem, próbując nadal zrozumieć, czemu to, co przywiozłem, nie było łapówką i na dodatek wywołało taki gniew mera. Czemu Oksana miałaby mnie oszukać? – Czy one pana... przekonały?

– Zdjęcia stanowiły... uzupełnienie listu pani Oksany – odparł po prostu mer, przyglądając włosy. – Ale to wszystko jest poufne, tajne, można by rzec. Pana to nie powinno obchodzić, prawda? Zapewniam pana, że znalazłem sposób na rozwiązanie naszego konfliktu. Dostarczy pan jedną, ostatnią przesyłkę w tej sprawie i zapewniam, że nie skrzywdzi ona mieszkańców Magnetańska ani Elektrogorodu. Tylko proszę nie podglądać, to nie przystoi pionierowi.

* * *

Szok to stan, w którym proste rzeczy stają się niepojęte. Jak gryz chleba, który zapycha usta i zatyka przełyk, po czym zabija człowieka. Takie proste i prawdziwe, że aż niewiarygodne. Pozornie jasna sprawa zostaje wyniesiona do rangi niewyobrażalnego fenomenu.

Jak to, że dostarczyłem list.

Jak to, że otrzymałem list zwrotny.

Jak to, że wystarczyło przez pół godziny podyskutować z merem miasta, by zgodził się na przesunięcie planów ewakuacyjnych i zdobycie środków na inwestycję przeciwpowodziową.

No i wreszcie jak to, że ona na mnie czekała przed urzędem.

Czerwony skuter śnieżny przypominał krewetkę, sunącą przez przeźroczyste wnętrza akwarium. Letni, skórzany kombinezon z ochraniaczami podkreślał umięśnioną, wyprostowaną sylwetkę. Czarny warkocz wyskoczył spod kasku jak puszczone luzem żmija, sycząca na każdego, kto chciałby się zbliżyć do gniazda.

– Czekałam na ciebie tyle czasu, by prawie cię zabić zupełnym przypadkiem – powiedziała, po czym rzuciła się na mnie bez ostrzeżenia. – Gdybym wiedziała, że to z tobą się ścigam, to postarałabym się bardziej odstawić cię w tyle.

Jej ciało emanowało ciepłem, jak wyjęty z pieca bochenek albo odkręcony na całą noc grzejnik. Biło od niej gorąco, jakie człowiek czuje tylko rano, zakopany w kołdrę, gdy po przebudzeniu się dochodzi do niego, że jest niedziela.

– Gdybym wiedział, że to ty, to nie dałabyś rady – odpowiedziałem, nie mogąc ukryć uśmiechu.

Zofia była kilka lat młodsza ode mnie, ale nie to było najważniejsze. Najważniejsze było to, że przez ten czas, gdy się nie widzieliśmy, w żaden sposób upływ czasu nie zdołał zrobić na niej wrażenia. Zyskała trochę zmarszczek oraz mięśni i musiała po drodze zapuścić włosy, ale poza tym trzymała się świetnie, jak na dróżnika przystało. Z kolei ja... cóż, musiałem przypominać samochód terenowy, któryś ktoś wyeksploatował do oporu, a potem pozostawił na deszczu, by doczekał końca swoich dni w przydrożnym rowie.

– Nie umiesz sobie nawet wyobrazić, jak się cieszę, że cię widzę. Dodałam sobie dwa do dwóch, no i nie odpuszczało mnie przecucie, że to możesz być ty. W mieście szybko się rozchodzą wieści, a rzadko mamy dróżników ze wschodu.

– Nadal latasz na zachód z paczkami?

Zofia pokręciła głową, wypuszczając szybciej powietrze. Spojrzała na mnie wzrokiem kogoś, kto dalej musi od rana szuflować śnieg dzień w dzień.

– Weź mi nic nie mów, Artem. Przez te spadki temperatur drogi pękają, jeziora zmieniają się w bajora pełne zimnej chlapy, a pogoda... No, starczy powiedzieć, że jestem usmażona. Muszę brać antyrady codziennie. Mój ćpalnik jest wypchany po brzegi.

Zorientowałem się, że po prostu macham głową w górę i w dół, uśmiechając się jak głupek. Ona chyba również to zauważyła, bo zaśmiała się i od niechcienia zerknęła w kierunku kolumn wokół urzędu.

– Coś ważnego? – dopytała.

– Najważniejszego, ale to już załatwione. Wiesz, sprawy urzędowe i tak dalej. Miałem paczkę z Magnetańska... Cholera, dobrze cię zobaczyć. Nawet sobie nie wyobrażałem, że mogę cię tu spotkać.

– Naprawdę? Dlaczego?

– Dlaczego, co?

– Dlaczego nawet tak nie myślałeś?

– Bo... w ogóle o tobie nie myślałem – powiedziałem i dosłownie ugryzłem się w język. W jej oczach na moment błysnął smutek, ale nie dała po sobie tego poznać. – O nikim nie myślę. Zwłaszcza nie myślę o sobie, bo nie mam do tego głowy. Po prostu jeżdżę z paczkami, to wszystko, co robię.

– Jekaterina daje ci popalić, że tyle jeździsz?

Nie odpowiedziałem... Przez moment stałem w milczeniu, żałując, że nie jest trochę zimniej, by wilgoć w oczach zamarzła mi, nim wypłynie na zewnątrz.

– Chodź tu do mnie – powiedziała cicho Zofia, obejmując mnie mocno. Nie odsuwała się mimo tego, że zapewne śmierdziałem jak zdechłe zwierzę. – Nie musisz nic mówić. Ja wszystko rozumiem. Taka nasza rola, żołnierzu. Taki los, tak to bywa. Czy Wieroczka... Nie, przepraszam, nie będę pytać. Wybacz mi, Artem. Jeśli cię to pocieszy... Nie, nie pocieszy, o czym ja w ogóle mówię. Przepraszam, po prostu... już wszystko dobrze.

Przez długi czas po prostu staliśmy w milczeniu, a gdy milczenie zostało strawione, zaczęliśmy nadrabiać stracone dwa lata od ostatniego spotkania. Oboje byliśmy dróżnikami, oboje służyliśmy Federacji, tylko na różnych jej frontach. O ile ja wydzierałem sobie żyły faktycznie na odległych rubieżach, tak Zofia żyła z podtrzymywania logistyki na ciepłym zapleczu, gdzie państwo wciąż było silne, a ideały piękne.

– Masz czas? – spytała w końcu.

– Mam dwa listy do rozwieszenia dzisiaj.

– Przeszkadzam na służbie? – spytała na poły żartem na poły serio, rozglądając się niepewnie.

– Wręcz przeciwnie, pomagasz mi ją wypełnić. To ogromne miasto i... No, jeśli ty masz chwilę, to możesz mnie pokierować, obskoczmy dwa miejsca i może wreszcie zeskrobie z siebie ten brud podróży.

– Zazdroszczę ci, czasami sama chciałbym służyć Federacji tam, daleko na wschodzie.

– Nie chciałabyś – zapewniłem ją solennie. Przed oczami przewijały mi się dziesiątki sklejonych, zamrożonych na kość ciał, istot z przestrzeni radiowej i resztek po dawno szerniałej z mrozu cywilizacji. – Same nudy, nie to, co tutaj, w wielkim mieście.

– No dobrze, to chodź, pokażę ci to wielkie miasto. – Zofia schowała wyuczonym ruchem włosy pod kask, odsłoniła wizjer i zrobiła dziwny gest, jakby się szykowała do tańca. – Jaki pierwszy adres?

Chwilę później sunęliśmy ulicami miasta, ignorując przepisy ruchu drogowego. Zofia wyciągnęła pomarańczowego koguta i kakofonią dźwięków rozganiała kierowców na wszystkie strony. Z jednej strony zazdrościłem jej takiego przywileju, a z drugiej wiedziałem, że taki sygnalizator byłby całkowicie zbędny w warunkach Magnetańska.

Przypomniała mi się noc, gdy wracałem pustymi ulicami miasta po pozbyciu się Agerdy. Miałem wrażenie, jakby to było lata temu. Czarna, błyszcząca jak skorupa żuka walizka, skrywała nadal w swoim wnętrzu stabilizator ekosfery i nigdy o tym nie zapominałem. Narzędzie to z czasem zaczęło we mnie wzbudzać przerażenie. Nie odważyłem się otworzyć tej walizy od tygodni, drżąc na samą myśl o drzemiącej, wścieklej sile wewnątrz. Nie powinienem był jej mieć. Nikt nie powinien mieć takiej siły. Na pewno nie najebany dziad jak ja, jadący oblodzonymi ulicami wbrew przepisom i rozsądkowi.

Zamrugałem kilka razy i spostrzegłem, że jest słoneczny dzień, a śliska, czarna asfaltówka wiedzie ku obrzeżom centrum. Depnąłem gazu, nadganiając Zofię. Z zewnątrz wyglądało to, jakbym znów się chciał z nią ściągać. Po prawdzie to miałem nadzieję, że choć odrobinę zostawię w tyle wspomnienia własnej niedoli. Cicho liczyłem na to, że może gdzieś w mroku zaczęła powoli, nieśmiało i niewinnie kiełkować nadzieja. Tam, gdzie do tej pory był chłód i stwardniały ugór, mogło znowu wybić źródło życia.

Reprezentacyjne centrum nieuchronnie ustąpiło, lecz jego następca nie był wcale skromniejszy czy wiele biedniejszy. Osiedle nowoczesnych bloków wzbijało się ku niebu kilkoma idealnie białymi kolumnami, jak wyciągnięte do słońca, zbielełe palce. Oryginalne, zaokrąglone kształty przywodziły na myśl akwaria lub jakiegoś rodzaju fantastyczne

maszyny, gotowe w każdej chwili powstać, ożywione elektrycznym impulsem. Okrągłe okna wyglądały z szerokich balkonów ku świetlanej przyszłości, zaś dyskretnie pochowane wieżyczki strażnicze sugerowały aż nadto wyraźnie, jaki był status większości mieszkańców.

– Bogato, co? – spytałem, gdy parkowaliśmy nasze maszyny na uboczu, tuż przed szlabanem. – Nieźle się ustawili.

– Widocznie taki przydział – odparła wymijająco Zofia, machając dwójce ochroniarzy identyfikatorem dróżniczym. – Nie ma co tracić czasu.

Odruchowo machnąłem trzymaną w dłoni, pośliską kopertą i zrozumiałem, że popełniam jedną gafę za drugą. W takim miejscu, jak to, nie można sobie tak po prostu wyciągnąć listu i powiedzieć, że ma się za zadanie go dostarczyć. Gdyby nie to, że Zofia była z miejscowego oddziału, to zapewne musiałbym się prosić albo rozważać samobójczy skok przez ogrodzenie. Raczej skłaniałbym się ku trzeciej opcji i pozostawienia przesyłki na ochronie.

Zofia miała zdecydowanie inne podejście do pracy niż ja. Dla niej bycie dróżnikiem stanowiło etos życiowy, służbę i powód do dumy. Z wytrwałością, niemalże pietyzmem oddawała się przestrzeganiu procedur w ich ściśle określonych ramach. Dopiero poza tymi ramami, gdzie znajdowały się dzikie pola interpretacji, odnajdywaliśmy siebie nawzajem, próbując nadać naszemu życiu nieco kolorytu.

Wspinaliśmy się po schodach z wypolerowanych, kamiennych płyt, pod ręką mając rzeźbione, drewniane poręcze z motywami geometrycznymi. Obserwowałem to bogactwo z narastającym niesmakiem, kontrastując je ze skrajną biedą, ciemnym źródłem nędzy, z którego wyjąłem pośliską, cieniutki list.

Zupełnie tak jakby mróz odarł mnie z pewnych pancerzy moralnych. Jakby niesprawiedliwość z większą łatwością dotykała mojej duszy, gdy nie broniły jej już tak zeszytniały płyty zbroi z państwowych przykazów.

A może w dosłownym sensie przestałem być sobą. Wszedłem w zamieć u podnóża Gór Czałupich i zmarłem, zaś kto inny wyszedł z bieli i lodu? Może umarłem już tyle razy, że wspomnienia o tym, kim byłem, stały się tylko pewną legendą, a po legendzie zostało tylko to – kruche, cyniczne ciało pełne wątpliwości.

List zaadresowano na Tatianę Panin, choć miedziana tabliczka na niemal trzymetrowych drzwiach głosiła, że w wysoko usytuowanym apartamencie mieszkał niejaki Makar Konkin.

– Jesteś pewny, że to tu? – spytała zestresowana Zofia, rozglądając się po klatce schodowej. – Mówiłeś, że skąd masz ten list? Jaki tam jest stempel?

Powiodłem wzrokiem po ścianach, chłonąc widoki. Całe górne piętro stanowiło przestrzeń jednego apartamentu, do którego wejścia strzegły cztery donice, wypełnione pękatymi liśćmi. Dobrze, że po pierwszym piętrze zdecydowaliśmy się na windę, bo moje kolana mogłyby się ugiąć pod ciężarem misji.

– Już ci opowiadałem, nim przyjechaliśmy. – Zbliżyłem się do drzwi, wymieniając się spojrzeniami z Zofią, jakbyśmy byli dwójką uczniów, która nie może się zdecydować, kto zapuka do pokoju nauczycielskiego. – Jest list, to trzeba go dostarczyć. Na tyle przyzwoitości powinienem być gotowy, prawda?

Zofia rozłożyła ręce, ale jej twarz nadal zdradzała ogromny lęk, jaki wzbudzało w niej miejsce otoczone taką aurą majestatu i możliwości.

Konkin pasował do swojego mieszkania idealnie. Gdyby człowiek mógł zostać wykuty z marmuru, a jego wszystkie paznokcie, włosy i żyły wyrzeźbione w jasnym drewnie, to tak właśnie by wyglądał. Spoglądał na nas z nieukrywaniem zaskoczeniem, zupełnie tak jakby otworzył drzwi swojego domu, a zastał widok zza drzwi stodoły.

– Państwo z jakiej racji tutaj? – spytał głośno, odruchowo przymykając drzwi. Wyglądało to nieco komicznie, ale Zofii nie było wcale do śmiechu.

Uderzyło mnie wszystko: zapach perfum, muzyka sącząca się zza dźwiękoszczelnych drzwi, ale przede wszystkim oburzenie gospodarza. Normalny człowiek spytałby się, z czym ktoś do niego przychodzi, czy coś się stało i tak dalej. Natomiast ów Konkin chciał wiedzieć przede wszystkim, w jaki sposób ktoś się znalazł na jego klatce schodowej.

– Mamy list zaadresowany na to miejsce... Tatiana? Tatiana Panin? Mówi to panu coś? – spytałem, unosząc w górę kopertę i wymachując nią jak magiczną różdżką. Próbowałem rzucić zaklęcie niebycia całkowicie ignorowanym i pogardzanym, ale chyba moje zdolności magiczne jeszcze do tego nie dojrzały.

– Nie tutaj – odparł krótko i przymknął drzwi.

– Na pewno? Adres się zgadza, to stary list, może mieszkał tu ktoś taki?

– Mieszkam tu od wielu lat i nigdy nie mieszkała tu żadna Tatiana...

– Może przed panem? Pamięta pan coś takiego? – zasugerowała grzecznie Zofia. Czasami dostarczenie durnej przesyłki przypominało wywiad lekarski z pacjentem, który usilnie twierdzi, że jego choroby przewlekłe nie wyczerpują znamion czegoś, o czym warto poinformować doktora. – Inni domownicy? Współlokatorzy?

– Współlokatorzy? Bzdura... Chyba że służba domowa – mruknął bez przekonania Makar i zaraz uchylił szerzej drzwi, odmachując się rękoma w geście obronnym. – Nie

u mnie, oczywiście. Natomiast kiedyś mieszkał tu taki jeden, no, ale lepiej, że historia o nim zapomniała.

– To znaczy?

– W czasie wydarzeń kryzysowych poprzedni właściciel został aresztowany, a samo mieszkanie trafiło ponownie pod zarząd miasta. Nie wiem, co się z nim stało, na pewno dostał zasłużoną karę. Natomiast była tu też jakaś jego służąca, ale ja nigdy nie lubiłem takich rzeczy. To jest bardzo w złym w guście, mieszkać z ludźmi od sprzątanía i gotowania. Takie czasy minęły, a mi nie wypada z racji zawodu.

– I co się stało z panią Tatianą? – dopytałem, łapiąc się najmniejszej nadziei.

– Nie będę brzydko spekulował, na pewno nie w korytarzu. – Makar stał tak przez moment, mierząc nas wzrokiem, aż w pełni zrozumiemy, że to nie było zaproszenie do środka, tylko do wypierdalania z jego osiedla. – Na pewno dostała uczciwy proces. Przez tyle lat musiała wiele usłyszeć i zobaczyć. Jeśli nie doniosła o tym odpowiednim służbom, to już jej odpowiedzialność. Nie trzymam jej w piwnicy. A teraz przepraszam państwa, jest nieco późno...

– Oczywiście, bardzo dziękujemy za pomoc – wyszczeła Zofia i odetchnęła z ulgą, gdy Makar zamknął swoje masywne, piękne drzwi, tak jak się zamyka wrota skarbcza. – Poszło całkiem gładko.

– Gładko? – spytałem z niedowierzaniem. – Ewidentnie wiedział, co się stało z tą kobietą. Jeśli mieszkała z kimś, kto dostał wyrok, to na pewno ma inny przydział albo pracę. Moglibyśmy dopytać albo...

– Artem, wystarczy. – Zofia spojrzała na mnie z mieszaniną zmartwienia i zażenowania. Po chwili uśmiechnęła się koncyliacyjnie i położyła mi dłoń na ramieniu. – To stara sprawa, popatrz na ten list. To wiadomość do ducha albo więźnia. Nie musisz się tym przejmować.

Przejechałem palcem po chropowatej, poźółkłej powierzchni, jakbym zaczytywał napisy wydrapane na nagrobku. Kawałek papieru przejechał ze mną blisko tysiąc kilometrów tylko po to, by skończyć w archiwum albo niszczarce.

– Po prostu mi szkoda i tyle. To kawał drogi, a mieszkańcy wioski... Na pewno zależałoby im na tym liście. To ostatnie, co zostało po niektórych z nich. – Ponownie zmiąłem w dłoniach przesyłkę. Przed oczami stanęło mi wyziębione pomieszczenie pełne skłębionych ciał. Ich dusze zapisane na kilku skrawkach papieru, wędrujących przez cały kontynent, by ostatecznie wylądować w podobnej dziurze, z której wyszły. – Może z drugim pójdzie lepiej. To mój ostatni, wiesz? A ten... Kusi mnie otworzyć.

– Absolutnie wykluczone – warknęła Zofia i zaraz złagodniała. – Musisz to zgłosić do lokalnego oddziału, są przecież procedury. Artem, nawet mi nie mów, że już otwierałeś cudze listy?!

– Nie otwierałem – odparłem niepewnie. – Po prostu przebiegła mi przez głowę taka myśl i tyle. Może udałoby się rozwiązać tę zagadkę... Ale masz rację, to nie jest zagadka dla nas, nie jesteśmy wydziałem śledczym. Dostarczamy listy i tyle.

– Aż tyle – poprawiła mnie Zofia, zmierzając w kierunku windy. – Odwróć tę marsową minę i lepiej powiedz mi, gdzie nas zawiezie następna trupia paczka.

* * *

Wszystkie centra miast są podobne, ale każda dzielnica fabryczna jest spierdolona na swój sposób.

Szpalery ogołoconych z liści drzew przywiodły nas na skraj rozrośniętego projektu mieszkalnego, który w zamierzeniach miał pomieścić wszystkich pracowników rozwijającej się dzielnicy przemysłowej. Obrośnięte paskudnym nalotem mieszkania komunalne sterczały krzywo na wszystkie strony, często przypominając place rozbiórki lub groteskowe rzeźby. Po ulicach z rzadka przemykały pojedyncze samochody ciężarowe, rozbijając na miazgę pokruszony asfalt, udający nieudolnie, że niegdyś był drogą z prawdziwego zdarzenia. Rdzawy deszczyk wisiał w powietrzu, lecz nie odważył się spryskać naszych skuterów, gdy przemykaliśmy przez ten zapomniany labirynt.

Spodziewałem się czarnych kłębow dymu, rozżarzonych do czerwoności lamp nad wejściami zakładów petrochemicznych i bryzgających feerią barw hal produkcyjnych. Moim największym zdziwieniem cieszyła się jednak... cisza.

Gąsienice strzelały żużłowymi drobinami, gdy przeczesywaliśmy kolejne ulice o nazwach typu: miedziana, brązowa, żelazna, metalurgów, hutników, i tak dalej. Mimo to większość domów zdawała się opuszczona, zaś światło świeciło się tylko w tych, które jakimś trafem zachowały się w lepszym stanie. Lub odwrotnie, lepiej zachowały się te, w których ludzie mieszkali przez cały czas.

– Wyludniło się nieco – stwierdziła Zofia, tknięta nagłą potrzebą tłumaczenia się z każdego sukcesu i porażki Sahala. – Wpierw wydarzenia kryzysowe, a potem problemy z logistyką, ograniczona flota pociągowa, wyprowadzki młodych do monomiast...

– Mróz – zasugerowałem.

Zofia pokręciła głową i zawiesiła na moment wzrok na fasadzie jednego z budynków. Wilgotne, kolorowe plamy prania spływały wzdłuż sznurów, przyozdabiając szarą, syfiastą ścianę. Przepocone swetry, kalesony i skarpety tańczyły na wietrze od nie wiadomo jak dawna. Cała ściana przypominała mozaikę z poszczególnymi szybami tworzącymi alegoryczne historyjki i wspomnienia minionych czasów. Ślady pleśni, wspinający się po rogu grzyb, oberwana rynna, rdza na parapetach z blachy falistej i czarne zacieki, niby odbicia języków ognia po pożarze. Na dachu ktoś rozstawił dwa fotele, zapewne starsze ode mnie, i ogrodowy stolik ze sterczącą znamienne pustą flaszką.

– Zła seria zim i tyle – odpowiedziała po długim czasie Zofia i spojrzała na mnie w dziwny sposób. Jej wzrok mówił wprost: nie drąż. – Prognozy na jesień są pozytywne, no i przynajmniej można sobie na łyżwach pojeździć po rzece.

– Normalnie sielanka.

– Nikt nie powiedział, że będzie łatwo. Jesteśmy pionierami, zdobywamy to, co jeszcze niezdołoby i przynosimy to z dumą.

Zofia machnęła w moim kierunku, by ponownie przyjrzeć się adresowi na kopercie. Niedługo później udało nam się zakręcić kolejne bezowocowe kółko, zakończone w podobnym miejscu, od którego zaczynaliśmy. Tym razem jednak Zofia przemogła się i poprowadziła mnie w wąskie uliczki między zawalonymi złomem, brudnymi podwóreczkami. Miałem wrażenie, że od początku wiedziała, jak dotrzeć pod wyznaczony adres, lecz z powodu wstydu lub sobie tylko znanej przyczyny, wołała wprawdzie pokręcić się po okolicy.

W końcu zajechaliśmy przed jeden z mniej obokurnych domków. Jednopiętrowy, sklecony z prefabrykatów sześcian zwracał na siebie uwagę w sposób, jakiego pozostałe budynki nie były w stanie naśladować. Mianowicie ktoś z fanatycznym zaangażowaniem pokrył całą budowlę rysunkami z kredy. Postacie, zwierzęta i rośliny ciągnęły się nawet wzdłuż skleconego byle jak ogrodzenia z drewnianych resztek i starych paneli wiórowych oraz dykty.

Widziałem po reakcji Zofii, że jest co najmniej tak samo zaskoczona jak ja, jeśli nie bardziej.

– Znasz ten dom? – spytałem z oczekiwaniem.

– Nie, wiem tyle, że to nadal część dzielnicy fabrycznej, choć ta gorsza. Sporo przesiedleńców, ludzi, którym powinna się noga, repatriantów, jak zwał tak zwał. Alkoholicy, Grucznicy, ludzie, którzy... zostali bezrobotnymi.

Zwróciłem uwagę, że Zofia musiała zastanowić się nad tą, zdawałoby się, najmniej kontrowersyjną częścią zdania. Natomiast nie powiedziała tego tak jak większość ludzi. Ci ludzie nie stracili pracy, nie zlikwidowano ich zakładów pracy, nie wypierdolono ich dyscyplinarnie. Oni w magicznych, niewyjaśnionych okolicznościach stali się bezrobotni. Tak jakby to było coś, co może się komuś zdarzyć na ulicy, z niczyjej winy, jak bycie obsranym przez mewę w porcie.

Zapukałem do drzwi i w tym samym momencie dostrzegłem, że jeden z rysunków przedstawia postać na skuterze śnieżnym. Niezgrabne, wielkie kształty zostawiały nieco pola do interpretacji, lecz nie stawiałbym nawet łupin od orzechów na coś innego. Ponad kanciastą sylwetką, nachyloną do kierownicy, znajdowało się coś... niepokojącego. Dziwaczny kształt, jak kobieta o rozrzuconych na wszystkie strony włosach. Zdawała się unosić w powietrzu, lewitując w jakimś pudle.

Odrzuciłem swoje przemyślenia na bok, bojąc się, do jakich wniosków mogłem dojść.

Walery Butenko miał twarz prawdziwego obywatela Federacji – taką, która szczerze się boi niezapowiedzianych gości, a najbardziej tych ze strony urzędników.

– Proszę się nie lękać, mamy dla pana list... myślę, że będzie ciekawy.

Kobieta o bladej twarzy wyjrzała niepewnie zza ramienia Walerego, trzymając na rękach góra roczne dziecko. Niemal natychmiast dołączyła do nich dziewczynka, wtulając się w nogę gospodarza. Framuga drzwi wykadrowała ich, jak modelową, robotniczą rodzinę. Zaraz jednak ze środka uszło ciepło oraz kwaśny zapach i Walery rozejrzał się zaniepokojony.

– Wejdźcie, bo ciepło ucieka – powiedział ochrypłym głosem i odkasznął paskudnie. Z każdym jego oddechem na świat przychodziło małe skrzypnięcie, jakby ktoś otwierał konserwę. – Śmiało, gość w dom, Bóg w dom.

– My nie jesteśmy gośćmi – mruknęła Zofia i spojrzała na mnie pytająco.

Kiwnąłem głową, na co ona westchnęła od serca i wtoczyła się za mną do ciemnej sieni. Ledwie przekroczyłem granicę wycieraczki, a poczułem się co najmniej tak, jakbym wszedł do wehikułu czasu.

Wiele można powiedzieć o człowieku na podstawie tego, jak żyje, ale jeszcze więcej można powiedzieć o kraju, w którym żyje. W tym wypadku miałem pewność, że Walery nadal żyje w Federacji sprzed upadku, lecz cieszy się dobrami poniżej poziomu aktualnej, porzpadowej Federacji.

Smętna koza kopciła potwornie w rogu izby, opalana zapewne wszystkimi dobrodziejstwami, których czas przydatności się skończył. Po przeciwległej stronie jedna

świeczka oświetlała czerwony kącik z ikonami, zaś to co znajdowało się na podłodze i na suficie, należało pominąć grzecznym milczeniem.

Zofia skrzywiła się potwornie, jakby co najmniej musiała sama tam zamieszkać, a nie jedynie wejść z grzeczności na moment. Na mnie mieszkanie nie zrobiło szczególnego wrażenia z prostej przyczyny – wciąż było po stokroć wygodniejsze od brnięcia w śniegu i czajenia się w jamach.

Dziewczynka, zapewne córka Walerego, od razu skoczyła ku leżącemu w rogu notatnikowi dużego formatu i na białych kartkach zaczęła kreślić jakieś kształty. Kobieta spojrzała z jakimś dziwnym, nieskrywanym bólem na Walerego, zacisnęła usta i zniknęła w głębi kuchni.

– Wybaczcie mojej żonie, najwidoczniej złamałem dane słowo – powiedział cicho Walery i jak na zawołanie w głębi mieszkania uderzyły o siebie dwa talerze. – Ale choćby miała się na mnie gniewać do końca życia, to nie umiałbym inaczej.

Miałem przemożne wrażenie, że ów człowiek wiedział, co znajduje się w liście, albo jeśli nie, to przynajmniej brał jakąś wielką przyjemność z samego trzymania w dłoniach zamkniętej koperty. Delikatnie masował chropowatą powierzchnię, obserwując gnącą się fakturę papieru. Przyglądał się przesylce, jak dawno nie widzianemu kotu, który po latach wrócił pod okno.

Zasiadłem wraz z Zofią w głębokiej, starej, lecz zadbanej kanapie. W to dobre słowo, bo poduchy zapadały się tak nisko, że aż poczułem ból w mięśniach i nagłe strzyknięcie kręgosłupa. Zwinięty jak poczwarka w kokonie rozglądałem się dookoła, przyzwyczajając wzrok do ciemnego, zadymionego pomieszczenia.

Proporczyki drużyn sportowych mieszały się z symbolami hufców pracy. Na ścianie przywieszono w honorowym miejscu dwa dyplomy, oba za wzorową pracę w desygnowanej placówce. Kawałek dalej, nadal godnie, lecz z pewnym wstydem, jak uczeń w rogu zbiorowego zdjęcia, znajdował się niewielki zwitek papieru, zakleszczony w dwóch szybkach. Nie mogłem dojrzeć słów, ale nawet nie musiałem, ponieważ sama już forma wydruku wiele mi mówiła.

Skromność rzadko objawiała się w papierologii wysyłanej przez Federację, była raczej domeną prywatnej korespondencji. Ten świstek papieru niewątpliwie świadczył o czymś negatywnym, co nie było winą Federacją, lecz na pewno nie stanowiło też zasługi okaziciela. Zapewne dodatek za pracę w niebezpiecznych warunkach lub bez zabezpieczającego sprzętu. Ot paradoks, wstyd dla kraju i zasługa dla patrioty.

Zofia skubała palcami o siebie, pocierała nos i co rusz zmieniała minę, zupełnie tak, jakby swędziało ją całe ciało. Miałem wrażenie, że czuje wręcz fizyczną potrzebę doprecyzowania swojego statusu w tym miejscu. W końcu byliśmy tylko dróźnikami, nie powinno nas interesować, co przewozimy.

Dróźnikami, jakie dziwne słowo, gdy odmieni się je w liczbie mnogiej. Trochę jak samotności albo księżycy. Nie brzmi jak coś, co powinno być w liczbie większej niż pojedyncza, a zarazem...

– To od mojego ojca – powiedział cicho Walery, zasłaniając usta. Nadal nie otworzył koperty. – Czekałem na ten list piętnaście lat. Jak na zbawienie albo wiosnę. Jeśli w środku jest zawiadomienie o pogrzebie to... Ha... Nie, nie, nie ma co tak myśleć. Wtedy koperta byłaby świeżutka, prawda?

Kiwnąłem głową i nawet nie zauważyłem kiedy na stole pojawiła się herbata. Czarna, gorzka, gorąca jak rozmiłowane serce. Z kuchni dobiegło nas ciche kwilenie dziecka, zatrzymane niemal od razu.

Minęło pół herbaty, nim Walery skończył czytać list i drugie pół, gdy przeczytał go ponownie. W jego oczach widziałem błyszczącą wilgoć, co dla pracownika fabryki z kilkunastoletnim stażem było ekwiwalentem rozryczenia się jak dziecko.

– Nie żył, prawda? – spytał Walery, a ja sztywno skinąłem w odpowiedzi. – Można powiedzieć, że ledwo się udało. Przez tyle lat żyłem w przeświadczeniu, że nie mam ojca. Zostałem przez niego odepchnięty, osamotniony. To nie jest tylko jego wina, ale nie do mnie należało przebaczenie, wpierw musiałby przyznać, że się poróżniliśmy. Poróżnić się, to pójść w dwie różne strony, a nie zostawić kogoś... Szkoda, że mój ojciec widział to inaczej. Powiedz mi, jak wygląda moja rodzinna wieś?

– Żle – wychrypiałem i doszło do mnie, że nie mam pojęcia, co mógłbym mu powiedzieć, co w jakimkolwiek stopniu złagodziłoby ból. – Ani żywej duszy, wszystko zasypał śnieg. Listy znalazłem w torbie z wiadomością pożegnalną, a twój jest... ten dla ciebie jest ostatni.

– Listy? Czyli zostali tam do samego końca? Woleli umrzeć z zimna niż się ugiąć? – spytał z niedowierzaniem gospodarz, ale w jego głosie było tyleż uznania co zawodu. – Nawet dzieci nie oszczędziło to... Szkoda do jasnej cholery.

Światło załamało się nagle, jakiś dziwny cień przepełznął za Walerym i zbliżył do mnie. Wcześniej obecna dziewczynka wręczyła mi z uśmiechem rysunek. Na śnieżnobiałym polu stał... lub leżał twór o wielu nogach. Stonoga o ludzkiej twarzy. Dzieci przecież rysują takie rzeczy, domalowują uśmiechy słońcu i tak dalej, ale poczułem, że coś jest nie tak. Bo

przecież taką stonogę już widziałem, ale ona... ona nie miała prawa jej widzieć. Jej ojciec nie miał prawa jej widzieć, prawda?

– Na pewno umożliwiono im relokację, jeśli plany zagospodarowania się zmieniły – wtrąciła po raz pierwszy Zofia.

– Oczywiście, jak inaczej znalazłbym się tutaj? – spytał Walery, przyjmując urażony wyraz twarzy. Spojrzał na dróżniczkę tak, jakby ta wytarła ubłocone buty o jego dywan. – Przecież ja wszystko wiem. Tylko to nie jest takie proste, żeby wyrwać stare drzewo z ziemi. Człowiek to nie worek mąki, że można go sobie przerzucić z jednego miejsca w drugie. Ja chciałem czegoś więcej, bo wiedziałem, że w naszych stronach nic mnie nie czeka. Że to walka z olbrzymem, a ja... ja chciałem być dumny z tego co robię. A nie można być dumnym z samego przetrwania, trzeba coś zbudować. Nie umiem sobie wyobrazić, że założyłbym rodzinę w miejscu, na którym ktoś już postawił krzyżyk. Ojciec mnie za to nienawidził do samego końca. Zostawił w sobie odrobinę miłości, ostatnie pokłady ciepła i posłał je w tym liście.

Spoglądałem na Walerego, zdziwiony jego kwiecistym językiem i dziwną wylewnością. Dopiero po chwili doszło do mnie, że jest po prostu włany. Tak to jest jak się odwiedza ludzi w wolnym czasie.

– I co w nim napisał? – spytałem.

Zofia spojrzała na mnie z oburzeniem, lecz Walery po prostu uśmiechnął się i jeszcze raz spojrzał na swoje dłonie, zupełnie tak, jakby chciał się upewnić, że przesyłka nie zniknęła nagle.

– Wszystko, co mu leżało na sercu. O tym, jak mu ciężko, o tym, że jest mu zimno, że chciałby przytulić swoje wnuczeta, których nie widział na oczy. Trochę o tym, że... wcale by nie chciał, bo musiałyby się tam znaleźć, a tego im nie życzył. Do samego końca chciał, bym wrócił, ale nie wyobrażał sobie, bym wrócił z dziećmi. Można powiedzieć, że na swój sposób przelał całe współczucie o jedno pokolenie dalej, ale nic to.

– Bardzo mi przykro... w związku ze wszystkim, co się stało. Nikt nie powinien musieć opuszczać swojego domu. Nikt nie powinien być do tego zmuszany.

– Nie zamartwiaj się – stwierdził z nagłą werwą Walery i starł wilgoć z policzków. – Czy widzisz, żebym ja się martwił? Martwi się nie żywią, więc niech się żywi nie martwią. Czuję się, jakbym wpuścił świeże powietrze do domu w letni dzień. Wreszcie czuję, że mogę zostawić to za sobą. To tak jakbym dostał ten list zza grobu, od osoby, która nie żyje, od której już nie miałem prawa usłyszeć choćby słowa.

– Można powiedzieć, że poniekąd jest to list zza grobu – mruknąłem, wspominając wydarzenia ze wsi. – Ale w jednym się z tobą zgodzę. Mnie też ulżyło, że wreszcie dostarczyłem ten list. Szedł do ciebie pewnie z miesiąc, odkąd go znalazłem.

– Data by wskazywała raczej na znacznie dłużej – dodał posępnie gospodarz. – Boję się pomyśleć, co się tam wydarzyło. Nie chcę znać szczegółów, nie muszę tego wiedzieć. Dziękuję ci, dróżniku, może teraz wreszcie przeszłość zamknie się w krąg i potoczy w swoją stronę, zamiast ciągnąć za mną.

Nie zostaliśmy na kolejną herbatę.

Stanęliśmy z Zofią w ciszy przed budynkiem, odprowadzeni czujnym wzrokiem domowników. Wreszcie ich twarze zniknęły za drzwiami, a nam towarzyszył tylko nieczuły wiatr, niosący resztki z wielu tygodni.

– Nie powinieneś tego robić – stwierdziła po chwili Zofia, masując się wzdłuż karku.
– Zaangażowanie emocjonalne sprzyja wypaleniu. Nie miej syndromu ratownika, nie próbuj zbawić świata, dobrze?

– Jestem od tego biegunowo odległy.

– I ta rozmowa... to w ogóle jest bardzo śliski i brzydki temat. Nie powinieneś z nim o tym rozmawiać, w ogóle z nikim, ze mną też.

– O przesiedleniach? Bo co, doniesiesz na mnie?

– Przestań – warknęła Zofia, spinając się nagle. Wyprężyła się niczym struna w strojonym instrumencie i byłem gotów na to, że naciągnięta do granic pęknie nagłym krzykiem. – Nie mów tak nawet. Nie chcesz, bym wybierała między naszą przyjaźnią a służbą Federacji.

– Nie będziesz musiała – odparłem zgodnie z prawdą. – Jest tylko jedna relokacja, która mnie interesuje i jeśli wszystko dobrze pójdzie, to niedługo będę mieć to z głowy, a ty mnie.

– To coś poważnego? Mogę jakoś pomóc?

– Powiedziałem, nie musisz się o to martwić.

Nagle chwyciła mnie za rękę, a ja poczułem, że choćbym próbował, to nie mógłbym się wyrwać z tego uścisku. Zupełnie tak, jakby jej dłoń zrobiona została z hartowanej stali i uformowana w chwytak o sile prasy hydraulicznej.

– Nie jestem zła, że tu przyjechaliśmy – wyklarowała, spoglądając mi w oczy. – I nie jestem zła, że ty przyjechałeś. Dobrze jest cię widzieć... być obok drugiej osoby, zdobyć trochę tego ciepła, które ogrzewa przez całą drogę. A ty tak nie uważasz?

– Ja też chciałbym trochę ciepła w życiu – odpowiedziałem i zaraz jej chwyt zelżał. – I choćbym musiał jechać jeszcze miesiąc, dostarczyłbym ten list. Bo nikt inny nie byłby w stanie. Nie muszę być bezpośrednim uczestnikiem tych wydarzeń, ale dobrze jest ogrzać się w ich blasku.

* * *

Ciepło rozchodziło się po całym moim ciele, spływało ze mnie jak welon chmur ze szczytu góry. Miałem wrażenie, jakby cała moja skóra zeszała, złuszczyła się i odpadła. Niczym jaszczur wygrzałem się porządnie i odrodziłem na nowo, wystawiając do świata miękką, różową powłokę, gotową na wszystkie bolesne ciosy.

Ale to wszystko miało przyjść potem. To zawsze przychodzi potem. Mróz musi kasać żywą tkankę. Martwe, pozbawione życia ciało nie czuje zimna, nie da się go zranić. To właśnie te chwile wygrzania i odpoczynku pozwalają na nowo zregenerować siły, ale i ponownie uwrażliwić się na krzywdy chłodnego, nieczułego świata.

Jeśli matka natura jest faktycznie naszą matką, to karmi nas z butelki. Ssiemy erzac, gumowy czop z dziurą. Organizm wypełnia ciepła, pożywna masa, ale w jej oczach jest tylko obojętność. To poniekąd tak, jakbyśmy byli pasożytami, a matka w zasadzie żywicielką.

Te nieliczne chwile spokoju fundujemy sobie sami, na własny rachunek.

Wcisnąłem się w przymałe kapcie i poszurałem po podgrzewanej podłodze ku kuchni. W nasłonecznionym, wyłożonym białymi kaflami pomieszczeniu słońce zbierało się jak we wnętrzu lilii albo porcelanowego dzbanka. Jasne, ciepłutkie barwy, satysfakcjonująco ostre dźwięki, mocne zapachy, delikatne faktury, słodkie smaki... Wszystko, choć przez jeden moment, było idealnie.

Nie zamieniłbym tego poranka na nic, co nie należało już do nieodwracalnego biegu historii. Nic, co należało do mnie... Nic, co było nabyte i zbywalne, nie mogło się równać z tą jedną chwilą.

– Artemie, mój Artemie... Wyjdź za mnie, tobie ofiaruję wszelkie przebaczenie i spokój, jakie mogę pochować w moich rozpadlinach. – szepnąłem, spoglądając za okno. Dwie sikorki o rażąco żółtych brzuchach zaskrobały pazurkami o blaszany parapet. – Musiała być taka piękna, nim nadeszła zima.

– O kim mówisz? – spytała Zofia, wciągając bluzkę. Bez pardonowo przeszła obok mnie, sprężystym krokiem, mechanicznymi ruchami wyciągając z szuflad i szafek niezbędne składniki śniadania. W pewnym momencie wcisnęła sobie w usta łyżkę pełną słodkiej,

orzechowej masy i zagryzła białym pieczywem. Ze wciąż pełnymi ustami mówiła dalej. – To o wychodzeniu za mąż, tak?

– To? Wiersz taki mi się przypałał – mruknąłem, oglądając kolejno każde winogrono pod światło. Zaglądałem do soczystych, miękkich wnętrz, przebijając je na wskroś promieniami słońca. – W drodze trzeba czymś zająć umysł.

– Sam go napisałeś? Przecież ty nie piszesz wierszy. Jesteś takim typowym mrukiem, co to imponuje dziewczynom tym, że się nie odzywa i wygląda jak sto nieszczęść.

– Tym ci zaimponowałem?

– Ty? Mnie? – Zofia zaśmiała się głośno, choć wiedziałem, że była to sztuczna reakcja. – Może dziewczynom z kolektywu imponujesz, wiesz? U nas kobiety w narodzie takie są, cholerne siostry zakonne. Znajdą najbardziej zaniedbanego, łysiejącego pijaka, a potem roją sobie, że mają święty obowiązek postawić go na nogi.

– To bardzo szlachetne.

– I bardzo głupie – syknęła Zofia. Zbliżyła się na moment do powieszonego w otwartych drzwiach drążka i podciągnęła kilkanaście razy. Schodziła do ziemi bardzo powoli, jakby celowo próbując jak najmocniej przycisnąć mięśnie pleców do pracy. – Wskoczyłbyś za tonącym do rzeki?

– Chcę w to wierzyć...

– A jakby to była rwąca rzeka z wodospadem?

– Jakby nie była, to by chyba sobie sam poradził, co?

– Nie bądź taki do przodu, bo ci tyłów zabraknie – stwierdziła sentencjonalnie Zofia i capnęła jedno z winogron spomiędzy moich palców. – Nie każdego da się uratować. Wiem, ból, okropne, no ale cóż zrobić? W akademii wojskowej mnie uczyli, że podstawą medycyny pola walki jest to, by wpierw zastrzelić przeciwnika.

– Niesamowicie spektakularna konkluzja o wysokiej wartości merytorycznej. – Nalałem sobie kubek parującej kawy, upiłem łyk i na moment przymknąłem oczy, rozkoszując się delikatnym, niemalże jedwabnym uczuciem, spływającym po języku.

Przez dłuższy czas milczeliśmy razem, ciesząc się tą wspólną ciszą. Przypominała ona ognisko, dające miły dla oka blask, lecz gasnące z czasem i zmieniające się w sypki, zimny popiół. Ciężko dołożyć więcej ciszy do ciszy. Czasami cisza musi wybrzmieć, a więc nastąpić po czymś. Z czasem nauczyłem się doceniać ciszę, nie poszukiwać zbędnego hałasu, nie szukać widoków i dźwięków, by zająć czymś myśli.

Wierzyłem, że Zofia czuła to samo co ja.

– Zostajesz na długo? – spytała Zofia, przerywając tę ciszę, gdy już żadne z nas nie uznawało jej za coś wyjątkowego. – Mogłbyś pomieszkać u mnie jakiś czas. To nie jest żadna propozycja w tym aspekcie, wiesz...

– Wiem, jaka to jest propozycja... Dobrze było cię znowu spotkać. – Kątem oka dostrzegłem zmartwione oblicze dróżniczki, przypatrującej się bliznom na moich rękach. – Powiem to wprost, bo chyba nie umiem inaczej... Jestem za stary na nowy początek. Nie chcę zaczynać od nowa. Stać mnie najwyżej na to, by podsycać niektóre stare płomienie, tłące się gdzieś wśród zanikających relacji. Nawet to jest dla mnie trudne, dlatego żałuję, że widzimy się pierwszy raz od tak dawna. W innym świecie może bylibyśmy przyjaciółmi albo...

– Chciałabym być twoją przyjaciółką – powiedziała twardo Zofia, jakby po prostu decydowała o tym, w którą ulicę skręcić w czasie jazdy. – Ale nie jesteśmy w stanie nawet pisać do siebie listów, co jest dosyć zabawne i ironiczne.

– Dzięki, że to powiedziałaś. Nie domyśliłbym się.

Zofia uderzyła mnie w ramię i wróciła do porannej krzątany. Obserwowałem ją chwilę, uśmiechając się do własnych myśli i nagle poczułem, że wszystko wraca na poprzednie tory. Coś zniknęło... Coś, co ledwie dostrzegłem i nie wiem, od jak dawna tam było. Zupełnie tak, jakby obudziło mnie to, że wskazówki zegara przestały tykać.

– Będę leciał – powiedziałem, ekspresowo zabierając swoje manele. – Mer miasta prosił, bym zawiózł coś do Magnetańska okrężną drogą. Wolałbym wrócić tą samą trasą, wtedy czas szybciej mija, ale rozumiem. Pogoda i te sprawy... Ponoć po drodze mam przystanek w paru miejscach. Nie jest mi to na rękę, ale jestem coś winny merowi za jego pomoc.

– W czym ci pomógł mer? – spytała czujnie Zofia, świdrując mnie swoimi uważnymi oczami. Nie spoglądając w lustro, jedną ręką dalej trzymała włosy w garści, a drugą rozczesywała mały kołtun. – Macie jakieś swoje sprawy?

– To... długa historia, w dodatku mogłaby ci się nie spodobać.

– Od kiedy interesujesz się polityką? Od dróżników bardziej apolityczni są chyba tylko zamiatacze ulic.

– Wiesz... Jeździsz dużo, słyszysz niewiele, ale widzisz sporo. Nie interesuje mnie polityka, ale dobro społeczeństwa. Czasami trzeba trochę naprawić aparat państwowy dla dobra ludzi i miałem nadzieję, że mer to zrozumie. Chyba to zrozumiał, tak myślę.

– Naprawić aparat państwowy? Mer zrozumiał? Artem, niepokoisz mnie. – Zofia wyprostowała się jak gończy pies na wytresowaną komendę. Widziałem w niej tę część,

której najbardziej nie lubiłem i szczerze się bałem. To była ta pionierska natura, którą też w sobie miałem, lecz pociągnięta do granic gorliwości. – Nie powinienes wtrącać się w to, jak mer zarządza miastem, a partia państwem. Swoją drogą, ja też muszę odwiedzić mera, jakieś pilne zlecenie wpadło.

– W nic się nie wtrącam, zapewniam. – Rozłożyłem ręce poddańczym gestem i cofnąłem się o krok w otwarte drzwi. – Ja tylko dostarczam listy. Dobrego dnia, Zofio, obyśmy się spotkali ponownie. Powodzenia ze zleceniem. Kto wie, może zobaczymy się w trasie.

– Do rychłego zobaczenia, Artem, ku chwale Federacji, bądź zdrów, szerokiej drogi i... nie zrób nic głupiego.

Drzwi zamknęły się za mną, zostawiając Zofię samą wśród białych ścian, pokrytych plakatami, medalami i wycinkami gazet.

Rozejrzałem się po korytarzu niskiego, wolnostojącego bloku i odetchnąłem głęboko wilgotnym, nienagrzanym powietrzem. Miałem wrażenie, że do samego końca odprowadzało mnie echo odległych dźwięków. Szuranie i tarcie szczotki, wyrywającej z każdym pociągnięciem kolejny stawiający opór włos.

* * *

Nikt nie pytał o skuter i to mi wystarczyło.

Natomiast z zaskoczeniem przyjąłem zadanie dostarczenia dwóch listów: jednego do Elektrogrodu i jednego do Magnetańska. Oba zaadresowane na już odwiedzonych przeze mnie merów. O ile po Oksanie mogłem się spodziewać samego entuzjazmu, o tyle spotkanie z Zacharem Kostiukiem mogło pójść bardzo, ale to bardzo nie po mojej myśli. No nic, nikt nie lubi dostarczycieli złych wieści.

Złe dla nich, dla nas ulga. Ostatecznie świat nie jest grą o sumie zerowej, czasem wszyscy tracą. Zasoby, nerwy... czas.

Uzupełniłem zapasy, które wydano mi bez szemrania na polecenie mera. Niestety sam musiałem pozbyć się części przywiezionych przeze mnie dóbr i zeskładować je w lokalnym oddziale komunikacyjnym. Paczki przekazane z całego Sahala okazały się niewyobrażalnie ciężkie. Skuter aż przysiadł mocno na płozach, wciskając się w błotnisty parking, gdy przywiązywałem kolejną, cholernie masywną skrzynię.

O ile wcześniej skuter przypominał gotową do skoku, zwinną modliszkę o lazurowym pancerzu nakładkowym, to teraz bliżej mu było do ciężarnego pająka z grubym odwłokiem.

Spróbowałem rozłożyć ciężar w miarę równomiernie, sytuując po bokach kilka mniejszych obciążników, wpiętych klamrami wprost w aluminiowy stelaż maszyny. Ostatecznie efekt i tak był mierny.

No cóż, nie miałem zamiaru przed nikim uciekać – wracałem do domu.

Nowa mapa pozwalała mi poruszać się oznaczonymi przez innych dróżników ścieżkami na odległość około stu kilometrów. Dalej rozstrzał był zbyt wielki, by pokryć wszystko i otoczenie zmieniał się w ogromnym tempie. Potrzeba by zatrważającej liczby dróżników, by ustalić przejezdne ścieżki i utrzymać je w sensownym stanie. Samych dróżników zaś było coraz mniej, a nie więcej. Większe ekipy inżynieryjne bały się zapuszczać w głąb tajgi, a ta nieustannie przypominała o tym, jak bardzo nie lubi tłumów.

Przynajmniej czekał mnie łatwy pierwszy dzień, a potem... potem tygodnie narastających mrozów, na które jednak byłem gotowy. A przynajmniej tak sobie roilem.

Natomiast pozostawała jedna kwestia, która nie dawała mi spokoju przez cały ten czas. Coś, co odwlekałem, korzystając z przywilejów wysokiego zaszumienia sfery radiowej w Sahalu.

Fakt, że umierałem.

Doktor przyjął mnie poza godzinami, z czystej ciekawości. Starszy, o wyłysiałej czaszce pokrytej brązowymi plamami. Grube szkła zmieniały jego oczy w dwa drobne, żółtawe punkciki.

Wśród książek i rozwieszonych zdjęć z najdalszych zakątków Federacji znalazłem kilka ciekawych okazów. O dziwo były to głównie zwierzęta, przechowywane w formalinie, choć nie wiem, jaki miał z nich pożytek lekarz zajmujący się chorobami radiacyjnymi.

– I mówi pan, że zaraził się od trupa?

– Sterty trupów – doprecyzowałem, rozdziawiając usta. Drewniany patyczek szarpnął w głębi języka, nieomal przyprawiając mnie o wymioty. – Zagłodzonych i zamrożonych na śmierć. Rozmawiałem z niewieloma osobami na ten temat, ale mam wrażenie, że mogłem się zarazić od utrzymujących się na ciałach mikrobów albo może nawet w wyniku ekspozycji na jakiś czynnik zewnętrzny.

– Rozumiem, że ma pan na myśli przekaz naturalny, tak? Tylko wtedy, z tego co pan mówi, skutki byłyby znacznie wcześniejsze do odkrycia. Chyba że jakieś niewyjaśnione wydarzenia przeniosły źródło radiacji w sposób naturalny w pobliże tego osiedla.

– Wsi – ponownie skorygowałem doktora, który mechanicznie wykonywał czynności badawcze, skupiając się raczej na własnych rozmyślaniach. – To była wieś poddana

przymusowej relokacji. Mieszkańcy pozostali na miejscu i przejawiali zachowania buntownicze, więc mam taką teorię, że...

– Ja wiem, jaką ma pan teorię. Proszę ją zachować dla siebie, ściany mają uszy.

Pokiwałem głową, rozglądając się ponownie po zakurzonej gabinecie. Podwieszone z sufitu szkielety ptaków przypominały koszmarnie stado ścierwojadów, kołujących już nade mną. Ciężko sobie wyobrazić gorsze miejsce do przyjmowania pacjenta w stanie przedśmiertnym.

– No więc mogły się pojawić też... sztuczne źródła radiacji. Broń, eksperymenty, wirusy, nie wiem tego.

– Specyfika chorób radiacyjnych jest trudna w zrozumieniu dla przeciętnego obywatela. Uproszczę to dla pana, bo i nie sędzę, że jest pan w stanie uczestniczyć w poważnej debacie akademickiej. Z pewnego szacunku dla pana stanu podkreślam, że jest to uproszczenie zakrawające na błąd. – Doktor poprawił okulary, zbliżył się do korkowej tablicy i zerwał jedno ze zdjęć, na którym zgnilizna na ciele martwej świni rozkładała się w koncentrycznych kręgach. – To z politechniki, łatwo dostrzec źródło promieniowania, bo sami je tam umieściliśmy. Badania na populacji świń wykazały zależność, według której przenoszenie się chorób drogą radiową zostało zmitygowane poprzez zwiększenie liczebności stada, w którym uczestniczyła zarażona jednostka.

– To bez sensu...

– Kontrintuicyjne dla kogoś, kto myśli w kategoriach biologicznych. Oczywiście, grypa, dajmy na to, miałaby ułatwione zadanie ze względu na zwiększoną liczbę możliwych nosicieli. Pasożyt pokroju tasiemca nie miałby żadnego baczenia na to, gdyż posiada jednego żywiciela ostatecznego, niezależnie od liczebności populacji potencjalnych ofiar. Zawsze będzie żerował w jednym organizmie, prawda? No więc choroby radiowe, ani jak pasożyty, ani jak wirusy i bakterie, nie poddają się tym prawom. Wydaje się, że człowiek stanowi pewien syfon dla promieniowania... Ludzki organizm ekranuje promieniowanie radiowe o różnych częstotliwościach, pochłania je i przetwarza. Regeneruje się tak jak po poparzeniach czy zacięciach nożem. Jeśli zadawać człowiekowi w ciągu życia płytkie cięcia, a następnie je zalecać, to moglibyśmy to zrobić tysiące razy, prawda? Jednak cios nożem w serce czy zadanie wszystkich ran naraz byłoby już śmiertelne. Znów, tak jak mówiłem, porównanie zakrawa na błąd merytoryczny, ale staram się panu przybliżyć sytuację.

– To znaczy, że ta jedna chora świnia sama była... zdrowa dzięki byciu wśród innych świń?

– No, teraz to pan upraszcza. Zdrowa to ona nigdy nie była i nie będzie. – Doktor sięgnął po kolejne zdjęcie, na którym w trzech polach przedstawiono regres choroby skórnej małej dziewczynki. – Można powiedzieć, że cała trzoda wspólnie i z łatwością znosiła ciężar, który jedną świnię by przygniół. Jednakże gdyby tylko oddzielić osobnika, to zaraz choroba by nawróciła.

– Choroby radiowe czasami nazywa się dróźniczymi – wtrąciłem, lecz doktor fuknął tylko, niezadowolony, i sięgnął po kolejne zdjęcie, tym razem ukazujące postęp choroby. – Długi okres izolacji, faszzerowanie się lekami...

– Tak, pochłaniacze radiacji, które potem i tak są wydalane w niestrawionej formie z organizmu, wiem. Ewentualnie bardziej organiczne rozwiązania z suplementami diety. Kiedyś może uda się wszystko załatwić szczepionką, ale dzisiaj... dzisiaj trafił pan do złego specjalisty, tak się obawiam.

– Nie rozumiem... dlaczego? Przecież bez porządnej farmakoterapii Baba Jaga mnie zabije! – krzyknąłem, unosząc się z krzesła. – Potrzebuję dobranych leków, ja tu ledwo zajechałem. Pan wie, jakie tam potworności się dzieją? Z jakim krzykiem się budzę? Jakie wizje mnie dotykają? Ja tak nie mogę pracować!

– Pan powinien udać się do psychiatry – odparł poważnie doktor, zbierając zdjęcia razem. – Ma pan, skromnie zawyrokuję, proszę to traktować jako moją prywatną opinię, zespół stresu pourazowego. To taka nowa choroba, wywodząca się z histerii i nerwicy wojennej. Dotyka głównie osoby, które przeżyły coś, nomen omen, stresującego i w wyniku tego mają różne dolegliwości. Ponownie, do psychiatry powinien pan iść, a nie do mnie! Natomiast wśród objawów są właśnie wymienione przez pana rzeczy, takie jak wizje, przeżywanie scen z przeszłości, lęk przed pewnymi obrazami i dźwiękami, czy nawet zapachami. Czasami powstają pewne hasła, jak takie zapalniki choroby. Rozumiem, że pan swoje nazywa Babą Jagą.

– Bo jest Babą Jagą! Ja... Ja... – zacukałem się, chwytając mocniej krzesło. – Może to jakieś stworzenie? Istota pozaziemska?

– Teraz to mnie zaczyna pan martwić. Nie ma takich rzeczy, są tylko halucynacje ze stresu, chorób i niedożywienia. Pan sobie oczywiście może katalogować te rzeczy, nazywać i obłaskawiać, ale to na niewiele się zda. Halucynacje bywają oczywiście grupowe, masowe ataki histerii, białej gorączki, majaki, drgawki, schizofrenie i tak dalej... No, ale to tylko pan i stres, taka prawda.

– Ale ja widzę te rzeczy... I inni też je widzą.

– I też się powinni leczyć – stwierdził oschle doktor, spoglądając wymownie na stojący w rogu, ogromny zegar, który całym swoim majestatem obwieszczał, że kończy się nam czas. – Czy jest jakaś wizja, która szczególnie pana... obezwładnia? Jakieś wydarzenie, które mogło zapoczątkować ten stan? Śmierć kogoś bliskiego?

Wstałem, jeszcze raz obejrzałem gabinet pełen trupów i wyszedłem bez słowa.

Skuter szarpnął groźnie, ale mi to było obojętne. Korzystałem ze światła słonecznego, póki jeszcze trwało lato. Przede mną rozciągała się chorobliwa, zielonkawa panorama dzielnicy fabrycznej na południu. Ropiejące bąble bloków piętrzyły się ku niebu, zawijając szalami z gęstego, gryzącego dymu.

Wszystko, co warto ocalenia, było przede mną.

Rozdział siódmy

Pionierzy i pionierki

Asfaltowa wstęga przecinała krajobraz, rozdzielając równiny, wzgórza, a nawet rzeki. Wystające wysoko ponad ziemię metalowe słupy pozwalały odnaleźć drogę nawet zimą, gdy śnieg sięgał tu dwóch metrów. Dwa metry w Magnetańsku byłyby wybawieniem, zaś tutaj oznaczały sytuację kryzysową, do której rozwiązania należało wysłać szwadron pługów śnieżnych. Wysokie na dwa piętra giganty o kominach przypominających wyloty rękawów do drewna, pozwalały drążyć śnieżne tunele i komunikować się z rubieżami stolicy regionu.

Teraz jednak trwało lato, choć powoli zmierzające ku końcowi i przyjemne kilka stopni na plusie grzało w plecy. Skuter szurał paskudnie po drodze, nieprzystosowany do czystego, grafitowego asfaltu.

Samochód terenowy mógłby stanowić solidne narzędzie pracy dla dróżnika, gdyby nie stojąca u samej podstawy sprzeczność. Gdyby gdzieś dało się po prostu dojechać samochodem, to dróżnicy nie byłiby potrzebni – tak samo zresztą było z pociągami.

Pancerny wóz, który przywiózł do Magnetańska delegację, zapewne nadal z niego nie wrócił. Pokonując maksymalnie sto, sto pięćdziesiąt, a czasem rekordowo dwieście kilometrów dziennie przy spalaniu do dziesięciu litrów na sto kilometrów i tak prulem przez bezdroża szybciej, niż zrobiłaby to ciężka, czterośladowa maszyna. Krajobraz zmieniał się nieustannie, monotonia zaś usypiała czujność. Większość pojazdów gubiła się prędzej czy później na szlakach, kończyła w głębokich rowach, wpadała w szczątki dawnych zabudowań lub kończyła na inne, znacznie dziwniejsze sposoby.

Wyjechałem zza zakrętu i zwolniłem nieco, by obejrzeć jeden z takich relikwów przeszłości. Zaledwie kilkadziesiąt kilometrów od Sahala w zagłębieniu przy drodze leżały szczątki spalonego wozu terenowego. Gdy człowiek wpada w panikę i zaczyna rozumieć, że bez pomocy z zewnątrz nie ma szans, podejmuje przeróżne, często bzdurne decyzje. Drogi Federacji usiane były podróżnikami, którzy w walce z zimnem spalili własne samochody, traktory, czy wozy śrubowe.

Walka z zimnem to nieodłączny element pracy dróżnika, ale tylko osoba przystosowana do mrozu jest w stanie przetrwać w tajdze. Nawet najmężniejszy tajożnik wie, że czasem opór nie ma sensu. Maszyna przegra z pogodą szybciej niż człowiek, tacy już jesteśmy. Trzeba znosić trudy i tyle. Tajga wymaga ofiar, krwi, jak wampir. Lepiej pozwolić upić trochę, niż kusić długo i pozwolić, by bestia wzięła sobie całość.

W ostatniej chwili dostrzegłem wyrwę w drodze.

Zacisnąłem mocniej palce, dałem gazu i poczułem, jak moje ciało staje się coraz lżejsze. Nagle płozy uderzyły o asfalt, gąsienica wgryzła się na nowo w podłoże i skuter z trudem utrzymał pion.

Zwolniłem nieco i zrozumiałem, że przeskoczyłem bez mała metrową przepaść, która szła nie wiem jak głęboko i wołałbym się nie dowiedzieć.

Obciążenie zdawało się znacznie większe, niż myślałem. Nie wiedziałem nawet, co przewoziłem dla mera Sahala, ale wszystkie pakunki zawinięto łańcuchami i przepięto kłódkami, więc i tak nie miałem zamiaru tam zaglądać.

Świat dookoła mnie zdawał się przedziwny, surrealistyczny, a to wszystko dlatego, że ja w nim byłem. Wydawało mi się, że moja obecność jest całkowicie zbędna, a wręcz obraźliwa. Zupełnie tak, jakby ktoś dodał mnie po fakcie, domalował do istniejącego już obrazu, jak niespokrewnioną z nikim osobę na rodzinnym portrecie.

W większości zadbana i oznaczona droga prowadziła przez soczyście zielone, zarośnięte rachitycznymi krzewami pustkowia. Przez całe kilometry dostrzegalem jedynie mchy, porosty i szerokie, płytkie jeziora, w których zbierała się woda z topniejącego na szczytach gór śniegu. Przy jednym z takich akwenów zebrało się białobure stado reniferów, ignorujące warkot odległego silnika.

Złociste oczy o poprzecznych źrenicach coraz rzadziej gościły na twarzach tych rogatych olbrzymów. Większą część roku te czarne dyski spowijała purpurowa mgławica, przedziwny stan, który pozwalał lepiej widzieć mimo oślepiającego blasku śniegu.

W tym sensie i my, ludzie, zaczęliśmy zachowywać się, jakby trwała wieczna zima. Nie wychylaliśmy się za bardzo, trzymaliśmy zebranych zapasów i zaufanego grona ludzi. Oczekiwaliśmy nadejścia lata, które nigdy tak naprawdę nie nadchodziło. Żyliśmy, można powiedzieć, na próbę, na niby, tymczasowo.

Po drugiej stronie mijałem ciemne, straszliwe chaty – ruiny rybackiej osady. Na wysokich, drewnianych tykach nadal wisiały płataniny żyłek, które nigdy nie doczekały się swojego rozwikłania. Dziurawe pomosty kusiły, by zaryzykować przejściem i dostać się do nielicznych, równie pokiereszowanych łódek, osiadłych na płyciźnie. Poziom wody musiał nieco opaść i niegdyś przywiązane konopnymi sznurami wszystkie „Aurory”, „Gwiazdy” i „Niezatapialne” leżały smętnie w mokrym piachu wśród butelek i wyschniętych wodorostów.

Kawałek dalej zaczynały się zarośnięte baraki o wybebeszonych wnętrzach, ściśnięte wysokim płotem. Małe, umieszczone wysoko, zakratowane okienka, drut kolczasty i dwie,

krzywe wieże kazały mi myśleć, że nikt tam nigdy nie mieszkał z własnej woli. Nad tym wszystkim, niczym złowrogie memento, wisiała niemal całkowicie czarna bryła, na której rudą plamą rozlewała się rdza. Przeżarte zębem czasu i słonego powietrza ściany przypominały skórę trędowatego, który zmarł na tydzień przed oględzinami. Zapadający się dach, wygięta blacha podwójnych drzwi wejściowych i rozwleczone po podwórzu sprzęty, świadczyły dobitnie o stanie kompleksu.

Przetwórnia ryb spoglądała nieczule na ruiny osiedla, przycupniętego, co zauważyłem później, obok jednego, większego doku. Miejsce przystosowano do średnich jednostek transportowych, zapewne kutrów, z których całymi tonami zrzucano zawartość sieci na mechaniczny taśmociąg. Wewnątrz musiało znajdować się z kilkadziesiąt miejsc do selekcji, obróbki i składowania złapanych zwierząt.

Im dłużej nad tym się zastanawiałem, tym więcej podobieństw zauważałem do tego, co już było. W niejednym miejscu widziałem takie ośrodki, utrzymujące się zapewne z masowego połowu różnych śledzi, dorszy czy innych słonowodnych gatunków ryb. Wwożone na tony zwierzęta wymagały obróbki na przemysłową skalę, lecz gdy ich zabrakło, równie szybko zniknęła potrzeba utrzymywania stanowisk pracy.

Tak przecież upadła Federacja.

Nie, nie przez brak pierdolonego dorsza, ale przez załamanie się wielu powiązanych ze sobą systemów wytwarzania i konsumowania. Gdy wielkie ławice ryb zaczęły omijać zwyczajowe trasy kutrów, zaczęła się posucha. Zakłady przestały przyjmować surowiec, a więc sensowność ich utrzymywania zniknęła. W wypadku ludzi wolnych oznaczało to utratę środków do życia, odebranie przywilejów pracowniczych, relokację, zerwanie więzi z sąsiadami i bliskimi. A dla przymuszonych do pracy wbito pręt z dwoma belkami poprzecznymi za zakładem.

Gdy zabrakło produkowanego materiału, to władze na pewno szybko zaczęły uszczelniać dziury w tej sieci i coraz mniej jedzenia trafiało do tych miejsc, na których utrzymaniu i tak nikomu nie zależało.

Jeśli w którymś zakładzie produkcyjnym na stołówce uszczuplono kartę posiłków, to znaczyło, że i sam zakład znalazł się na cenzurowanym. A im więcej ośrodków produkcyjnych upadało, im bardziej zanikał standard życia, tym bardziej ludzie domagali się bezpieczeństwa i odpowiedzi.

Federacja nigdy nie udzielała odpowiedzi, z kolei to tylko pogłębiało poczucie braku bezpieczeństwa, a co za tym idzie kolejnych niepokojów społecznych. Z czasem szybko

okazało się, że ci, którzy produkują dużo i żyją dostatnio, nie chcą pracować na tych, którzy produkują mało i żyją biednie.

I w Federacji zaczęły pojawiać się podziały. Nagle skomplikowany, często wręcz zagmatwany mechanizm, w wyniku którego urobek potrafił przejechać z jednego końca świata na drugi, by zostać poddanym obróbce, zaczął zwalniać. A to rodziło przestoje i niżki produkcyjne... i w ruch szły mechanizmy, których nie sposób było zatrzymać.

Świat zamarzał coraz szybciej, życie na rubieżach stawało się coraz trudniejsze, a to tam przecież oddelegowano wiele niezbędnej pracy. Wydobywanie wielkich ilości surowców naturalnych jak najniższym kosztem odbywało się tylko daleko od cywilizacji, tam, gdzie człowiek brał trudy życia za przywilej i powód do dumy. Nikt nie zrobiłby tego w wielkim mieście, gdzie znano już luksusy i powaby dostatku.

Federację utrzymywano przy życiu krwią takich jak my – pionierów. Krwią ludzi, którym udało się wmówić, że świszczący nad uchem mroźny wiatr to oznaka odwagi człowieka i jego wielkości.

Jednak gdy my się wykrwawialiśmy, niektórym nie chciało się pocić, więc inni musieli zapłakać.

Masa krytyczna została przekroczona około dziesięciu lat wcześniej, choć to tak dawno, że właściwie jest to domeną historii. A historia ma to do siebie, że końce epok nie są datowane nazbyt dokładnie.

Rewolucja to słowo, którego w Federacji się nie używa. To wielka lingwistyczna plama w słowniku. Rewolucja była jak piorun, trzask, strzał. Krótkie, bolesne ukłucie, niby dobitcie konia, a po nim pustka, pośmiertny gulgot i już naprawdę nic.

Wszyscy musieliśmy udawać, że Federacja wstała silniejsza, nie dlatego, że zostaliśmy omamieni, a dlatego, że to kłamstwo stanowiło narzędzie przetrwania w tajdze, jak siekiera albo łopata.

Pociągi przestały kursować po stałych liniach. Amplituda temperatur spadała z roku na rok. Nieznane rodzaje chorób radiacyjnych na stałe odcisnęły piętno w życiu społecznym i zahamowały rozwój wielu technologii. Utknęliśmy w czarnej dziurze, w straconej dekadzie.

Połowa dwudziestego wieku ciągnie się jak zamarznięty olej napędowy, który całymi godzinami potrafi przeciskać się przez rurkę na odległość jednej kropli.

Świat wokół mnie przestał istnieć już dawno, zginął w wyniku samobójstwa. Dlatego nie pasowałem do krajobrazu, który mijałem skuterem. Renifery żywiły się na zgliszczach dawnej cywilizacji. Wielki przemysł zbudowany na krwi zdechł z głodu, a potem zamarzał i ze wstydem stał tak znieruchomiał, zardzewiał. Jak kontynent długi i szeroki liczone ruiny

miast wyrastają spod ziemi, skał, czy śniegu lub lodu. To wszystko tylko zatrzymana w czasie klatka filmu, jedno zdjęcie z chwili po egzekucji, gdzie tylko ślady krwi pozwalają odczytać, co znajdowało się tam wcześniej.

Byłem pionierem tak, jak potrafiłem, w sobie tylko znany sposób. Dostarczałem te listy, bo nie zostało już nic innego. Nie będzie innego końca Federacji, ludzie mają prawo się ze sobą pożegnać. Straciłem wiarę w lepszą przyszłość. Straciłem wiarę w sztandar i hasła na nim wypisane. Nigdy nie zostanie zbudowana nowa, egalitarna wspólnota, w której meritum i ludzki znój stworzą fundament życia.

Cofnąłem się w rozwoju tak, jak nasza cywilizacja. Przestały liczyć się dla mnie światłe ideały, nie umiałem za nie umierać, nie umiałem nimi usprawiedliwiać zła. Byłem w stanie obronić bliskich lub siebie i na tym się skończyła moja moralność. Struchlałem i skarlałem jak moja ojczyzna.

Po nas zostaną tylko skomplikowane w wymowie związki chemiczne w ziemi, kilka betonowych pomników ku czci ideałów i bunkry dowodzenia w trzewiach gór. A na nasze miejsce, kto wie, może wrócą dorsze?

* * *

– No i chuj, no i cześć – podsumowałem krótko, spoglądając na sznur chmur, oplatający nieodległe szczyty.

Świat przypominał wnętrze akwarium, z którego dawno zniknęły ryby, ale pozostały wszystkie ozdóbki umilające im pobyt. Turkusowa mgła ciągnęła się jeszcze od brzegu morza, które zniknęło daleko, wiele kilometrów wcześniej. Od wyruszenia w drogę krajobraz zmienił się znacząco, a zapowiadało się na to, że przesilenie dopiero ma nadejść.

Powietrze o kolorze akwamaryny zdawało się trwale zanieczyszczone różnymi wiszącymi w nim chemikaliami. Co rusz przelatywał mi obok twarzy pyłek lub szara śnieżynka, a ja dociskałem mocniej kask, by mieć pewność, że nałykam się jak najmniej zarodników. Wyglądało to tak, jakby rozpadające się w oddali miasto zajęła wielka grzybnia, buchająca gorącymi oparami pełnymi dziwnych mikroorganizmów.

No właśnie, miasto. Niknące gdzieś za mną słońce musiało się skupić na ogrzewaniu eleganckiego, majestatycznego Sahala i nie miało czasu nawet na chwilowe odwiedziny w wyszarzałej skorupie, która zwała się u podnóża łańcucha górskiego. Przechylone kominy, leżące na boku bloczyska i zerwane drogi stanowiły przedziwny obraz, nawet jak na standardy wyludniającej się Federacji. Z całej okolicy biła aura nie tylko porzucenia, ale

i celowego zacierania śladów, które z czasem zostało pozostawione na rzecz gwałtownej ucieczki.

Asfalt urywał się nagle, dokładnie w miejscu, gdzie górską rzeką obejmowała swoim zakolem peryferia miasta i dźwigała na sobie dwa zerwane mosty. Solidne stalowe podpory leżały w korycie rzeki, zaś betonowy pylon mostu rąbnął o ziemię z taką mocą, że zagłębił się w miękkie podłoże niemal do połowy. Z czarnego jęzora drogi nadal wystawały pojedyncze żelazobetonowe nitki utwardzanego podłoża, które coś rozerwało z wielką siłą. Wyglądało to zupełnie tak, jakby kiedyś to miasto łączyła z Sahalem porządna, zadbane droga, jednak z czasem ktoś postanowił miasto odciąć, zostawiając tylko trakt donikąd.

Dzień dopalał się powoli jak zostawiony w popielniczce papieros, a ja miałem w sobie więcej energii niż zwykle. Naładowany słońcem i wysokokalorycznym, a co najważniejsze, gorącym jedzeniem, miałem wrażenie, że nie ma rzeczy niemożliwych. Wypałem się w miękkiej pościeli, załatwiłem niezłałatwiałną sprawę urzędową i jeszcze na koniec oplułem sobie konowała od chorób radiacyjnych.

Życie nadal było piękne, tylko kurewsko trudne.

Zatrzymałem skuter na niewielkim wzniesieniu, utrzymując niskie obroty. Temperatura znowu spadła poniżej zera, a w okolicy zbierał się kaszkowaty, gówniany śnieg o kolorze zużytego papieru toaletowego. To równie dobrze mógł być pył z drugiego końca świata albo z najbliższego przemysłowego okręgu, ale to nie miało wielkiego znaczenia. Grunt, że maszyna powolutku wkraczała w rejony, do których została przystosowana – pagórkowate, zaśnieżone bezludzia.

Odkrawałem sobie kawałek po kawałku zamrożonego na kość Muksuna, który nie zdążył odtajać w drodze z Sahala, a już zaczynał na nowo zamarzać. Słone mięso przegryzałem kminkowymi sucharami wojskowymi, które bezczelnie ukradłem ze stacji dróżniczej w mieście, gdy nikt nie patrzył. I tak zrobiłem sobie późny podwieczorek, oglądając wybebeszony wrak Głaza, leżący na boku w nieodległym rowie. To mógł być Głaz-2 albo Głaz-3, ale musiałbym spojrzeć z bliska, by ocenić, a trochę gówno mnie to obchodziło.

Chmury przepływały leniwie po niebieskawym, ciemnym firmamencie. Delikatny wiatr niósł kolorowe drobiny śniegu, które zaraz topniały na rozgrzanym skuterze lub gromadziły się cienką warstewką na metalowych pojemnikach.

To też w ogóle paskudna sprawa, zwłaszcza tam na wschodzie, w głębi. Cały czas w rękawiczkach i ostrożnie, by niczego metalowego nie dotknąć. Całe ciało miałem w drobnych, gojących się nieustannie rankach po odrywaniu naskórka. Zawsze jakaś zimna

sprzączka dotknie czegoś na krawędzi ubrań, zwłaszcza gdy człowiek już myśli, że jest bezpieczny i szykuje się do wieczornego obozowania lub rano zwija swoje manele.

– Zabiłbym człowieka za kawę... Ty, czekaj! A nie, skończyła się... No dobra, dosyć tego pierdolenia – powiedziałem sam do siebie na rozgrzanie, roztarłem resztki rybiego tłuszczu w rękawiczkach i sięgnąłem po mapę. – Droga powinna iść dalej i to tak porządnie jeszcze na wiele kilometrów. Bo tu jest pieprzony łańcuch górski, zresztą, gdzie nie jest? Ale ten jest cholernie stromy, szczyty może niezbyt wysokie, ale kąt nachylenia jak zęby w pysku. I co? Droga ekspresową przez tunel podziemny? Wolne żarty, a na około? Ja pierdole, prawie tydzień drogi. Niech mnie chuj strzeli, naprawdę.

Spoglądałem to na mapę, to na całkowicie zrujnowane, a właściwie to nawet wyburzone miasto i psioczyłem pod nosem na swój los. Trasa była dla mnie niemalże obca, bo nie obejmowała miast, do których zwykle wysyłano mnie z jakimikolwiek listami. Z kolei obszar między mną a drogą, którą powinienem był jechać z Elektrogorodu do Sahala był bardzo niebezpieczny, gęsto zarośnięty tajgą i na zmianę upstrzony różnymi góorskimi rozpadlinami. Piękny, dziewiczy, ale absolutnie nieprzejezdny w sensownym czasie. No i nie wspominając już o Grucznikach, na których szansa natrafienia była niska, ale zawsze jakaś. A z autochtonami to jest tak, że im bliżej dużych miast, tym bardziej agresywni i większe w nich jest poczucie krzywdy.

– Ciekawe, czy w Elektrogorodzie będą mnie nienawidzić – szepnąłem sam do siebie i aż sam się zdziwiłem. Odłożyłem mapę, zamknąłem szczelnie foliowe opakowanie i zacisnąłem dłonie na kierownicy. – Zresztą, ja tylko dostarczyłem wiadomość... prawda?

Nienawiść to bardzo ciepłe uczucie. Pogarda, wstręt i niechęć są chłodne, dystansują nas od celu, ale nienawiść... Nienawiść naprawdę jest gorąca, przyciąga i każe przebywać jak najbliżej celu nienawiści, okręca cały świat i każde zdarzenie wokół obiektu nienawiści. Nie da się być obojętnym wobec obiektu nienawiści, te dwie rzeczy się nie łączą ze sobą. Nienawiść sprawia, że domagamy się rozwiązania kwestii obiektu nienawiści, ale zwykle nawet nie chcemy jego zniszczenia, a wręcz podtrzymania, po prostu w innej formie. Chcemy mieć rację co do własnej nienawiści, podsycać to uczucie samo w sobie. W tym sensie nienawiść jest podobna do miłości.

Lód na rzece dawał jakąś szansę, ale wydawał się nazbyt cienki, bym ryzykował przeprawę, więc ciągnąłem wzdłuż koryta, szukając jakiegoś zgrubienia lub pomostu. Wtedy też usłyszałem odległy warkot silnika.

Zadrzałem, nie z zimna, a z lęku. Usłyszeć silnik na takim odludziu to jedno, ale usłyszeć znajomy stukot dwucylindrowego silnika to drugie.

Był szybki, kurewsko szybki. Wyleciał zza zasy py tak, jakby jechał po szynach. Perfekcyjna kontrola przyczepności i kierunku opadania. Szarpnięcie kierownicy nagle, mocne i to jedną ręką, bo w drugiej trzymał...

– O kurwa! – krzyknąłem i wiązka śrutu urwała mi lewe lustro.

Śruciny odbiły się od maski, zrywając lakier i zostawiając długie, szare wyżłobienia w blasze. Metalowy strzyp zawisnął niemrawo, strasząc pustym obramowaniem po szkło. Trzymałbym trochę szerzej ramiona i już zamiast łokcia miałbym paszę dla świń.

Nawet nie obróciłem się za siebie, po prostu dałem gazu w opór.

Drugi strzał przeleciał mi tuż nad głową, pofrunął gdzieś w dal i pozaczył zasypaną rzekę dziesiątkami drobnych śladów. Jeśli on miał dwururkę, to potrzebował chwili na przeładowanie. No, chyba że miał strzelbę zdolną pomieścić kilka nabołów, ale wtedy strzelanie jedną ręką musiałoby być potwornie upierdliwe.

Wykręciłem w bok i uderzyłem o skute lodem koryto rzeki. W uszach rozbrzmiał mi trzask, rozchodzący się jak dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Zaraz odbilem w drugą stronę, jadąc teraz po powierzchni rzeki, wbrew zamarzniętemu prądowi.

Skuter za mną osiadł miękko na śnieżnym kobiercu i pomknął moim śladem. Musiał być lekki, nienaładowany dróżniczymi pakunkami. Nie wiem, nadal się nie obejrzałem za siebie, po prostu jechałem tak szybko, jak to możliwe.

Zacisnąłem palce, ryzykując, że nie wyrobię na zakręcie. Skuter rzucał paskudnie na boki, stawiał opór, załadowany pod kurek i wypchany towarem. Jeszcze na domiar złego minęła kupa czasu od ostatniego tankowania z kanistrów, więc pościg nie mógł ciągnąć się w nieskończoność.

Błękitny korpus zachybotał się i odbił ku ośnieżonej promenadzie. Wewnętrzna strona zakola otwierała się zrujnowanym bulwarem, przyłączonym do dzielnicy fabrycznej. Reprezentacyjne osiedla robotnicze straszyły wypalonymi oknami bloków i zerwanymi dachami.

Płozy prześlizgnęły się gładko, trafiając w niegdysiejszą rampę dla matek z wózkami. Woląłem nie sprawdzać, czy śnieg jest dość gruby, bym mógł się wtarabanić po schodach. Z tym obciążeniem i pod tym kątem mogłem skończyć marnie.

Wyskoczyłem dobre pół metra i opadłem na chodnik, skąd zjechałem na ulicę. W ostatniej chwili dostrzegłem zasypany, wykolejony tramwaj. Maszyna leżała na boku, jakby dawno temu jakiś tłum celowo rozhuśtał ją i wywalił na drugi pas.

Kolejny strzał wałał obok mnie, rozbijając zakopany w śniegu tramwajowy reflektor. Każdy huk wzmacniał dzwonienie w uszach, a na dodatek groził, że ze strachu szarpnę

kierownicą i sam się zabiję. Im dłużej miałem ogon, tym mocniej czułem narastające bicie serca. Z przerażenia miałem ochotę sam to wszystko skończyć i zrobić coś głupiego...

Ale on na pewno na to liczył.

Zerknąłem w drugie lusterko i dostrzegłem tylko niski kształt smukłego skutera śnieżnego, bijący oślepiającymi przeciwmgielnymi światłami.

Czwarty strzał wałnął tuż przy nodze, przebijając jeden z mniejszych pojemników z Sahala. Rozszalałe serce stanęło mi na moment, gdy dostrzegłem, co się stało.

Z przedziurawionego na wylot pojemnika posypał się żwir i drobne kamienie. Zapakowana na głucho przesyłka priorytetowa od Feniksa Finkela broczyła ciężkim, bezużytecznym śmieciem z rany, która równie dobrze mogła zaraz pojawić się w moim ciele.

– Skurwysyn! – zdążyłem warknąć, nim do moich uszu dobiegł odległy dźwięk syreny przeciwpożarowej.

Charakterystyczny, nawołujący do ewakuacji odgłos rozciągał się w długie, złowrogie pohukiwania. Zmodulowane wycie przypominało wszechobecne, toczące się wszystkimi ulicami ujadanie piekielnego monstrum.

Nie miałem pojęcia, kto mnie gonił.

Nie miałem pojęcia, czemu w trefnych pakunkach znalazło się obciążenie.

Nie miałem pojęcia, czemu martwe miasto wrzeszczy potępieńczo ze wszystkich stron.

Wiedziałem tyle, że jeszcze nigdy nie byłem tak blisko śmierci.

Mogłem ryzykować na dwa sposoby: jechać za szybko i rozwalcować się o jakąś ścianę albo jechać za wolno i dać się zastrzelić. Gdybym tylko wiedział, czy jestem lepszym kierowcą niż on strzelcem.

Strzały ustały przynajmniej na moment. Na pewno nie wyprztykał się z amunicji, raczej czekał na dogodną okazję. Każda nazbyt długa prosta oznaczała śmierć. Musiał prowadzić obydwojema rękoma przez większość czasu, trzymając pokracznie obrzyna między palcami albo wciśniętego w jakiś uchwyt. Pod jedną dłoń miał gaz, pod drugą hamulec, przynajmniej tak nakazywałaby logika. Więc gdy strzelał, nie mógł zbyt szybko zahamować...

– Tylko, kurwa, jak tego użyć?! – dokończyłem na głos, skręcając w morze kontenerów.

Kolorowe blachy tańczyły po obu stronach, przyprawiając mnie o nudności. Zamarkowałem skręt w lewo, z którego w ostatniej chwili odskoczyłem. Krawędź wielkiego, żółtego kloca wypchanego odpadami minęła mnie dosłownie o centymetry.

Zerknąłem w jedyne lusterko i dostrzegłem, że mój prześladowca nie tylko nie nabrał się na ten manewr, ale nawet zmniejszył dystans.

Wjechaliśmy na teren jakiegoś wyjątkowo paskudnego osiedla, gdy ponownie zawyły syreny. Dźwięk odbijał się od sześciopiętrowych bloków z szarej, wielkiej płyty, pokrytej burą, grubą kratą z jakiejś masy izolacyjnej. Minęliśmy opuszczoną budę z jedzeniem, sklep z butami i wyskoczyliśmy na plac zabaw, z którego ktoś dzięki Bogu zerwał barierki. Zaraz za placem zabaw znajdował się osiedlowy śmietnik, nad którym ciągnęły się odkryte, wielkie rury z gazem.

Jazda osiedlowymi uliczkami była groźna i zmuszała mnie co rusz do nagłych, nieprzemyślanych decyzji, ale przynajmniej nie pozostawiała goniącemu dość czasu, by wycelował. Prowadziłem go niemal całkowicie przypadkowymi ścieżkami. Jechaliśmy po zaśnieżonych skwerach, między wypalonymi betonowymi postumentami, które niegdyś dźwigały osiedlowe ławki, a nawet przez podziemne przejścia między boczyskami.

Wystarczył jeden pierdolony źle zaparkowany samochód, porzucony kadłub, pozostawione roboty drogowe i byłby koniec.

Wreszcie znalazłem idealne miejsce, by pozbyć się pościgu. Oczyszczona z przeszkód droga wiodła prosto do podziemnego tunelu, prowadzącego na drugą stronę łańcucha górskiego. To dokładnie tam, gdzie i tak miałem jechać. Ciemność mogła być dla odmiany moim sojusznikiem.

Otwór tunelu powiększał się z każdym przejechanym metrem. Silnik warczał wściekle, próbując wydusić z przeładowanego skutera, ile się dało.

Wtem zagrzmiął strzał. Wiązka śrutu przeleciała nad moim ramieniem. Poczułem nagły zastrzyk energii, wolność była coraz bliżej, a ten cholerny bandyta spudłował kolejny strzał. Po kręgosłupie przeszło mi kojące zimno, świat spowolnił, wszystko stało się na moment klarowne i proste...

I wtedy zrozumiałem, że wcale nie chybił. To mój organizm odkładał moment uświadomienia za pomocą adrenaliny. Część gradu pocisków musiała przebić wszystkie warstwy ubrań i trafić.

Ale to wciąż nie był koniec świata...

Ogromny, krwiste czerwony kabel z windy towarowej napiął się nagle, odgradzając mi drogę. Świat przeciął na pół dystynktywny, ostry dźwięk trących o siebie metalowych włókien.

Zahamowałem, lecz nieco za późno. Tocząc się resztkami rozpędu, naparłem zdrowym ramieniem na linę. Skuter wytracił prędkość i zastygł, mruczając cicho. Niewiele

brakowało, a fiknąłbym przez linę. Gdyby nie to, że palce często muskały dźwignię, marząc o zwolnieniu choć na chwilę...

I wtedy czerwony skuter z rykiem wleciał w przeszkodę. Pojazd poleciał z rozpędu dalej i wpadł w ciemną otchłań tunelu, przewracając się na bok i krzesząc iskry kadłubem. Kierowca albo był świetnie przeszkolony, albo był jakimś absurdalnym farciarzem, bo w ostatniej chwili z niezwykłą elastycznością położył się na siedzeniu skutera. Nie wystarczająco, by uniknąć pułapki, ale wystarczająco, by nie dać sobie urwać łba.

Obcy w czarnym kombinezonie pokoziołkował w bok, gardłując paskudnie, jakby zakrztusił się własnym językiem.

Kolorowe plamy powoli, jedna po drugiej, zaczęły przepływać mi przed oczami. Wszechobecne do tej pory wycie syren ustało nagle, aż poczułem pogłos i dzwonienie w uszach.

Skoro przypominający czerwoną krewetkę skuter miałem z głowy, mogłem odjechać, nim kierowca zdoła się wykaraskać i ruszy moim śladem.

I wtedy zatrzymałem na niej wzrok i zrozumiałem, że niczego nie rozumiałem.

Zsiadłem ze skutera, wbrew wszelkiemu rozsądkowi i ruszyłem w jej kierunku. Prześlizgnąłem się pod liną, jeszcze raz spojrzałem na majaczący w mroku karmazynowy skuter, a następnie na moje przedziurawione pakunki pełne spowalniających mnie śmieci.

– Jak mogłaś? – wycedziłem przez zęby.

Masywny, skórzany but zatrzymał się o centymetry od jej żeber. Nie mogłem się przemóc, nawet w takiej chwili, choć było blisko.

Chciałem kopnąć. Myślałem tylko o tym, by moja podeszwa przeszła przez jej brzuch na wylot. Kolorowe plamy od utraty krwi zlewały się w jeden, barwny taniec. Wiedziałem, że muszę to zrobić, póki ona jeszcze w mojej głowie nie jest sobą. Dopóki była zamaskowanym bandziorem, mogłem zrobić wszystko.

A gdy jedną ręką uchyliła wizjer kasku, znowu stała się Zofią.

Następnie wyciągnęła drugą, w której trzymała obrzyna i obie te postaci scalały się w jedną, przeklętą osobę.

– Artemie Jadów, zostajesz poinformowany... – wysyczała, próbując nie pozwolić ukłuciom bólu na przerwanie formułki. Zapewne ćwiczyła ją sobie całą drogę tutaj... albo nie, albo wymawiała ją dziesiątki razy wcześniej, tylko z innymi imionami. – Zostajesz poinformowany o dostarczeniu przyśpieszonego wyroku sądowego za zdradę Federacji, szpiegostwo, szkodnictwo, korupcję...

– O czym ty pierdolisz?! – krzyknąłem, ale ona jedynie wymierzyła wyżej, gdzieś na wysokości mojego mostka. Może nie chciała celować w twarz, a może nie mogła. – Nie jestem żadnym szpiegiem!

– ...A także nielegalny przemyt i usiłowanie zastraszenia reprezentanta aparatu państwowego – kontynuowała niewzruszona. – Wyrok śmierci zostanie wykonany w najbliższym momencie przez wyznaczonego urzędnika... Przeze mnie, Artem, ty świnió.

– Jak możesz wierzyć w te bzdury?! To wszystko jakaś hucpa. Ten pieprzony list z Magnetańska, zalanie miasta... Ty wiesz, że będą relokować całe miasto?! Zniszczą wszystko i, kurwa, całą tę drogę jechałem i ten chuj, ten złamas pierdolony...

– Nie interesuje mnie zdanie wroga Federacji...

– To posłuchaj zdania przyjaciela!

– Nie ma tu przyjaciół, są tylko obowiązki...

Jej dłoń drgnęła nieznacznie. Tyle było to wszystko warte, lekkie drgnięcie przed pociągnięciem za spust.

Rozbrzmiał huk. Kula zrykoszetowała od betonowej barierki obok nas.

Odruchowo zamknąłem oczy i skuliłem się nieznacznie, lecz gdy spojrzałem, zrozumiałem, że... no cóż, nadal nie urwało mi łba. Zofia zdawała się nie mniej zaskoczona ode mnie.

Dopiero po chwili głos z tyłu głowy szepnął mi, że przecież ktoś musiał tu zostawić tę linę i ją napiąć, przez co oboje nieomal zginęliśmy.

Ubrane w wełniane szynele postaci wyłoniły się ze swoich stanowisk. Świetnie zamaskowane w śniegu i szarych płatkach tynku oraz odpadów budowlanych, sylwetki zlewały się całkowicie z otoczeniem. Dopiero wtedy, gdy zbliżyli się do nas na kilka metrów, mogłem w pełni dostrzec wszystkich z nich.

Nie należeli do żadnej formacji Federacji, ale na pewno też nie byli Grucznikami.

Poczułem chłód, oblizujący mi skórę na karku. Nagle perspektywa szybkiej śmierci stała się całkiem kusząca.

Poruszali się sztywno, jakby ich ciała zostały zlepione mrozem w jednolite, zmarznięte figury, które tylko niezwykłym wysiłkiem woli umiały się poruszać. Spod kominiarek wystawały niewyrażające niczego oczy, które przyglądały się mnie i Zofii tak, jak przygląda się człowiek krabom w pułapce – bez rozróżniania poszczególnych ofiar, bez zastanawiania się nad ich losem, bez sympatyzowania ani nawet empatyzowania. Byliśmy w potrzasku.

– Wylegitymujcie się obywatele – warknęła Zofia, wstając z ziemi powoli i z wielkim trudem. – Skąd macie broń? Czemu do nas strzelaliście? Odpowiadać!

– Musicie iść z nami – powiedział jeden z obcych. W jego dłoni dostrzegłem stary rewolwer, na którym rdza zdążyła odcisnąć swoje piętno.

– Nic nie muszę, macie w tej chwili oddać broń!

Paru pozostałych również wyjęło swoje myśliwskie strzelby i sztucery.

Gorzko skonstatowałem, że wiozłem ze sobą przez cały kraj broń od Iwana, a ani razu z niej nie skorzystałem. Co prawda nie nadarzyła się do tej pory żadna okazja, ale wiadomo jak to jest z tymi strzelbami, co to nigdy nie wypalają – głupia sprawa.

– Zofia, proszę, posłuchaj ich...

– Zamilcz! Tobą zajmę się po nich. Nie myśl, że ci odpuszczę, ja...

– To nie jest wasza decyzja – odezwał się ten sam obcy. Mówił tak, jakby naprawdę nie chciał się wypowiadać, ale w wyniku jakiegoś zrządzenia losu ten obowiązek przypadł akurat jemu. – Poddajcie się teraz.

– Rzućcie broń, jesteście na ziemi podległej Federacji!

– Nie...

Strzał był ogłuszający. Zapewne dlatego, że obrzyn wypalił tuż obok mojej głowy. Ogłuchłem na jedno ucho, w drugim dzwoniło mi paskudnie. Poczułem, jak wszystkie zęby drgnęły mi w dziąsłach, naruszając delikatną strukturę oplatających je nerwów.

– Ba... ba... ba... – wymawiałem, otwierając szeroko usta, ale nic nie słyszałem. Jakiegokolwiek dźwięki zniknęły, jakby ktoś napchał mi waty do uszu.

Coś krzyczeli, tego byłem pewny. Obchodzili ją jak stado gończych psów, przyciskające do ziemi wilczyce złapaną w jarze. Zasadzali się z każdej strony, ale jeszcze nie strzelali. Mimo że wiązka śrutu powaliła ich towarzysza na ziemię, przez co ten rzucał się w konwulsjach, plamiąc śnieg własną krwią.

Zupełnie tak, jakby śmierć była dla nich czymś zwyczajnym.

Zupełnie tak, jakby koniecznie musieli nas wziąć żywcem.

Zupełnie tak, jakby robili to często.

– Zofia, nie! – krzyknąłem, widząc, jak dróżniczka sięga do ładownicy po nabój.

Nie wiedzieli, że miała wcześniej załadowany tylko jeden z dwóch. Nie była w stanie blefować, poprawnie oceniła sytuację, przynajmniej w tym względzie.

Błysk, zapach prochu i jakieś dziwne, wyczuwalne w ziemi tąpnięcie. Nie słyszałem nic, zobaczyłem jedynie, jak Zofia osuwa się na kolana. Jej twarz wyrażała wielkie poczucie

urazy, jakby postrzelenie jej było dużym nietaktem, zbrodnią przeciwko pewnemu przyjętemu w Federacji decorum.

Przycisnęła pięść do piersi, jakby ostatni raz chciała zaszalutować i bez zbędnych emocji, wylewności i żalu odeszła.

Myślę, że nawet mnie nie ogłuszyli, bo nie musieli. To byłoby nazbyt banalne. Świat ogłuszył mnie wystarczająco, uderzył ciężkim obuchem konsekwencji. Zamknąłem oczy, wiedząc, że nie istnieje na Ziemi ani jedna rzecz, która byłaby mi jakkolwiek bliska.

Ostatnim, co usłyszałem, był śmiech, bo do słyszenia go nie potrzebowałem uszu. Dobiegał z wewnątrz, brzmiał jak gwóźdź jeżdżący po skruszonej szybie. Wiedźmie klekotanie dzioba pełnego najgorszych intencji.

* * *

Śnieg przyskał na wszystkie strony. Ciągnęli mnie na saniach za centralnym z trzech skuterów, siedząc w piątkę. Na moim nie zmieściłby się dodatkowy pasażer, a na pewno chcieli zabrać ze sobą wszystko, co miało jakąkolwiek wartość.

Nawet rozbawiła mnie myśl, że nie wiedzą, że w połowie z tych skrzynek, zamykanych cylindrów i ofoliowanych toreb znajdowały się żwir i kamienie.

Chuj z nimi, niech dźwigają.

Nie jechaliśmy długo, chyba, nie pamiętam. Jednostajny warkot silników szybko zmienił się w zwielokrotniony echem huk i syczenie płóz trących o asfalt. Zniknęło światło, a wraz z nim moja orientacja w terenie. Musieliśmy zejść nisko, do któregoś z podziemnych parkingów lub magazynów.

Niedługo później ściągnęli mnie z sań i postawili na nogi.

Spodziewałem się standardowego, podręcznikowego wręcz traktowania rodem z zatrzymań na komendzie: ciosy pod kolana, wprowadzanie głową w słupki, bicie butelką z wodą i tak dalej. Zamiast tego zachowywali się tak, jakby nie czerpali kompletnie żadnej przyjemności z tego, co ze mną robią. Byłem im całkowicie obojętny tak długo, jak wykonywali zadanie przewiezienia mnie w jakieś miejsce.

Wprowadzili mnie do windy we dwójkę, przed wejściem stało dwóch kolejnych, ale już nie w śnieżnych kamuflażach, a zwyczajnie w ciepłych ubraniach, jakie założyłby przeciętny robotnik w drodze na swoją zmianę. Obaj w walonkach, obaj pod bronią, obaj ledwie zainteresowani moją obecnością.

Trzask mechanizmu windy przywołał wizję. Ledwie powidoki, chwilowe mrugnięcia, ale bardzo ostre i dokładne. Napięta lina, strzał, upadająca Zofia. Jej twarz, twarz osoby, która zginęła, nie rozprawiając się ze mną w żaden sposób.

Gdzieś w głębi nadal nie mogłem uwierzyć, że stało się to tak nagle, tak szybko, tak okrutnie. A zarazem, choć ciężko to pojąć, było mi to nieco obojętne. Jej sympatia nie zdążyła się we mnie na nowo zagnieździć, jej antypatia nie zdążyła przewiercić serca na wylot. Pojawiła się i zniknęła w moim życiu, jak piorun na niebie, piękny błysk, groźny grzmot, dojmująca cisza i brak oczekiwania na powrót. Może zapobiegawczo nie uwierzyłem w szczęście i to mnie ocaliło. Nie dałem się znowu nabrać.

Nim dotarliśmy na miejsce, jeszcze w windzie, doszedł do mnie zapach. Potworny smród starego potu, niepranych ubrań, płynów ustrojowych. Zupełnie tak, jakbyśmy zjeżdżali do najgłębiej osadzonej otchłani, w której mieściły się jedynie rzeźnie, szamba i sortownie śmieci.

Kilka pięter niżej piekielne bramy rozwarły swoje podwoje i ukazały mi obraz nędzy i rozpacz. Dolne piętra nie przypominały magazynu ani na pewno nie były dawnym parkingiem. Nisko osadzone, wzmocnione stropy, wąskie przejścia i wielkie podpory świadczyły nazbyt dobitnie o funkcji tego ukrytego kompleksu.

To był bunkier. Tylko zamiast wojska, personelu technicznego i polityków wysokiego szczebla zasiedlały go hordy obdartusów, spoglądających na mnie z mieszaniną ciekawości i głodu.

Jeden ze strażników popchnął mnie i z impetem wpadłem na stojącego pod drzwiami człowieka. Był niski, zapewne przez to, że miał na stałe skrzywioną posturę. W wątłym świetle nielicznych jarzeniówek jego twarz błyszczała jak zalaminowany dokument. Po ramionach spływały mu długie, tłuste kudły, które zdążyły się skołtunić przez... no właśnie, jak długo? Siedzieli tam tygodnie? Miesiące? Lata?

Poprowadzili mnie korytarzami, ale nawet nie zadali sobie trudu, by mnie związać. Nie szarpałem się do tej pory, nie zrobiłem nic głupiego, nie próbowałem być na siłę śmieszny. Nie ma nic głupszego, niż pyskowanie w chwili, w której ktoś ma nad tobą pełną władzę. Nic tak nie uczy życia, jak kontakty z drogówką na rogatkach miast.

Nędza, tak można jednym słowem opisać to, co widziałem. I to nie tak, że w Federacji nigdy nie było biedy, bo trzeba by mieć naprawdę chuja na oczach, by nie widzieć tych wszystkich mas pracujących, żyjących w chatkach z gównolitu i zapieprzających na trzeciej zmianie w fabryce smrodu. Tylko że świat tak po prostu wygląda i sam fakt, że Federacja zapewniała tym ludziom warunki do mieszkania, jedzenie,

opiekę zdrowotną, edukację dla dzieci i nawet darmowe studia, to dla mnie zawsze był wielki, społeczny cud. Natomiast to, co dostrzegłem w podziemiach, nie miało nic wspólnego z cudami. Jedynym cudem było to, że ci ludzie żyli... Przynajmniej ci, którzy przetrwali, JESZCZE żyli.

W miarę zagłębiania się w kompleks mogłem dostrzec, że istniała tam jakaś hierarchia, która nie opierała się o rządy najsilniejszego w danej chwili bandziora. Ściany pokrywały symbole, w jakiś sposób reprezentujące tę społeczność. Romb z dziwnym zawijasem, który równie dobrze mógł być węzem lub rzeką, okazjnie wyryte w gołej ścianie hasła, rozgrzewające do modlitwy, wytrwania i cierpliwości.

To zawsze było coś, co uderzało mnie nawet w miastach Federacji. Żadne miasto, gdzie żyją szczęśliwi ludzie, nie potrzebuje haseł typu: przetrwamy, uda nam się, jeszcze nie jest tak do końca beznadziejnie! Jeśli ludziom żyje się dobrze, to nie trzeba ich w tym nieustannie upewniać.

Z kolei pod ziemią... Cóż, ci ludzie musieli zająć myśli czymkolwiek, by nie oszaleć w tym przykrym, betonowym kłocu, gdzie jedynymi bodźcami były sztuczne, kłujące w oczy światła, zaduch i odległy jęk pracujących ton żelazobetonu.

Sala, do której mnie doprowadzono, przypominała wnętrze jakiejś szamańskiej chałupy, namiotu czy innej jurty. Choć samo pomieszczenie było większe od klaustrofobicznych korytarzy, gdzie gnieździli się nieliczni mieszkańcy, to nadal wszystkich zrównywał ten sam poziom zbrojonego sufitu. W tym wypadku jednak ktoś porozwieszał skóry, kolorowe nici i papierowe girlandy, by zmiękczyć szorstki klimat bunkra.

Samo pomieszczenie musiało służyć za pokój narad, patrząc po rozłożonym pod ścianą wielkim stole, rozwiniętych mapach wojskowych i syczącym cicho samowarze.

Gdyby nie to, że wprowadzono mnie wbrew mojej woli, popychając kolbami karabinów, to może uznałbym, że było nawet przytulnie.

W sali zebrało się kilka osób, skupionych wokół starszego mężczyzny w garniturze i... kogoś w wielkiej teatralnej masce.

Od razu poczułem, jak sztywnieje mi kręgosłup ze strachu, a stare odmrożenia odzywają się bólem. Złe przecucia ogarnęły całe moje ciało i gdzieś z tyłu głowy, bardzo powoli i niechętnie, rodziła się myśl, że mogłem trafić w naprawdę nieciekawe towarzystwo.

Nie wiem, co dziwiło mnie bardziej – z jednej strony ubrany w porządnie skrojoną, czystą marynarkę mężczyzna zdawał się całkowicie oderwany od otoczenia, jak wycięty ze zdjęcia z wiecu partyjnego i wklejony na nowe zdjęcie z jakiegoś reportażu o nieludzkich

warunkach życia sierot wojennych. Jego czerwony krawat odznaczał się krwistą, jasną wstęgą i sprawiał wrażenie, jakby sucha, zacięta twarz wystawiała długi, ognisty jęzor.

Z kolei druga osoba, chyba kobieta, siedziała na pokrytym białym futrem zydelku, otoczonym dwoma miedzianymi misami, w których paliły się kadzidełka z żywicy. Ubrana w długie, zwiewne szaty koloru błękitu, przypominała aktorkę, czekającą na rozpoczęcie spektaklu. Z głowy zwisał jej biały welon, wczepiony w metalową maskę, próbującą udawać czyste złoto.

Musiałbym być naprawdę głupi, by nie domyślić się, że mam do czynienia z jakąś sektą. Takie rzeczy zdarzały się niezwykle rzadko, ale raz na pewien czas jakiś boży głupiec czy inny wariat łączył w sobie charyzmę, interesowność i dozę szaleństwa, tworząc istic wybuchową mieszankę. Zwykle takich ludzi nie dało się reformować, trzeba było się ich pozbyć i ja... cóż, najwyraźniej trafiłem do jakiegoś stryszku, na który wrzucono takiego szaleńca jak niepotrzebny grat.

Spojrzałem na zamaskowaną kobietę i jej łysawego konferansjera o złośliwym wyrazie twarzy, zastanawiając się, czy powinienem się skłonić. Na całe szczęście brutalny cios w brzuch posłał mnie na ziemię i pozbawił tego dylematu.

– Kto trafia przed oblicze Solmy? – spytał ten w marynarce, ciągnąc za wystający mankiet koszuli. – Jak się tu znalazł?

– To dróżnik, było ich dwóch, jeden stawiał opór, tego przynieśliśmy – streścił zdawkowo jeden ze strażników. Nieco mnie to ubodło, bo to, co dla niego było jednym zdaniem, dla mnie było istotną częścią mojego życia, ale cóż, nie przyszedłem, a raczej nie zostałem doprowadzony siłą po to, by spisywać swoją biografię. – Mamy też dwa skutery, ładunek jest zabezpieczony, już nad tym pracujemy.

– Jak ci na imię? – spytał po raz drugi, tym razem poprawiając kołnierz.

– Artem Jadow – odparłem i rozkaszałem się od razu. Dopiero wtedy do mnie doszło, że mam wyschnięte gardło, jestem cały przemarznięty i wyczerpany. Wcześniej adrenalina i ciekawość trzymały mnie w pionie, ale wraz z pierwszymi słowami uleciały ze mnie i rozplynęły się wśród dymu kadzideł. – Niosę wiadomość z Sahala. Uważam, że zaszła pomyłka, chciałbym odzyskać swój skuter i ruszyć w dalszą drogę... jak najdalej stąd.

Kobieta w masce poruszyła się niespokojnie i zabębniła palcami o kolano. Mówca zwrócił na nią przelotnie uwagę, ale zaraz obrócił się znów ku mnie.

– Z Sahala, tak? Naruszyłeś świętą ziemię i przywołujesz w tym miejscu przekłętę imię miasta grzechu i niegodziwości?

O kurwa mać, pomyślałem, facet jest odklejony, absolutnie pierdolnięty. Stary dziad, stojący pod dziecięcymi ozdobami choinkowymi pierdolił coś o świętej ziemi, gnieźdząc się w jakiejś melinie z obdartusami. Taka sytuacja nawet nie mieściła się w moich kanonach wypadków drogowych.

– To naprawdę da się wyjaśnić – wyartykułowałem powoli, wznosząc ręce tak, jakbym mówił do wyjątkowo wściekłego psa. – Po prostu zmieniłem trasę i tyle. Jestem dróżnikiem, dużo podróżuję, zdarza mi się czasem skręcić...

– Milcz! – Facet w garniturze przytknął palce do skroni i zamknął oczy, jakby tylko samo patrzenie na mnie przyprawiało go o atak migreny. – Twoja impertynencja jest porażająca!

– Co z nim zrobić, panie Gauti? – mruknął jeden z przydupasów, wpatrzony w dziada jak w obraz.

– Myślę, że Solma może w tej sprawie przemówić – odparł Gauti, zerkając ku kobiecie na stołku.

Solma przyglądała mi się długo, wykonując bliżej nieokreślone gesty dłońmi. W sali rozległa się niepokojąca cisza, której nie było w stanie przebić nawet syczenie prądu, płynącego wzdłuż rozwieszonych pod sufitem kabli.

– Powinniśmy go zabić – powiedziała kobieta spokojnym głosem. Serce stanęło mi na moment, aż musiałem się sam złapać jedną dłonią za drugą, by nie zrobić czegoś głupiego. – Jednakże Solma okaże łaskawość, by pokazać złemu ludowi, jaką mocą dysponuje. Zamknijcie go w celi, sprzedamy go niegodziwcom z przeklętej ziemi. Wpierw jednak nakarmcie go i opatrzcie jego ranę. Tak mówi Solma.

– Tak mówi Solma – powtórzyło kilku innych chóralnie.

– Świetnie – wymknęło mi się i strażnik trącił mnie w ramię, w dodatku to bolące. – Tak mówi Solma, wspaniale, dobry plan. Nie zabija się posłańca i w ogóle. A mogę odzyskać swój skuter?

– Nie potrzebujesz go – zapewnił mnie zadowolony z siebie Gauti. – Zawieziemy cię na miejsce wymiany. Masz szczęście, jutro wrócisz do swoich.

Przed oczami stanął mi obraz całkowicie obojętnego mera Feliksa, który bez żadnego zawahania odstrzeliłby mnie na miejscu wymiany. Wypuszczenie na wolność oznaczało dla mnie śmierć i miałem tylko dobę, by coś z tym zrobić.

* * *

Generator wysokich napięć buczał jak wściekła bestia. Narastający dźwięk wibrował przez ściany i wzburzał drobiny kurzu, tańczące nienaturalnie w górę i w dół. Odgłosy wydawały się tylko narastać, nigdy nie następował moment spowolnienia, spokoju, jakby z każdą chwilą przekraczano nowe, nieznane dotąd granice.

Czułem go dokładnie, niezależnie od tego, jak się ustawiłem na pryczy. Żołądek błagał o litość, bombardując mnie nieustannie ostrzeżeniami o nadchodzących wymiotach. Wszystko stale się poruszało, jakby zaraz moja otrzewna miała się rozerwać, a organy wypłynąć na zewnątrz w cieplej, parującej masie.

Próbowałem nawet spać w kacie, zrzuciwszy swoje ubrania na kupę, jak w prymitywnym barłogu. Ale nawet tam, oddzielony od stacji ładowania ścianą i dwoma metrami celi, wciąż czułem warkot potwora, wrzeszczącego prądem przez inwerter.

Robili to celowo, chcieli mnie złamać. Minuty dłużyły się jak godziny, sen był równie odległy, co wolność. Co zaś się wolności tyczy, potworna kara ironii spadła na nią jak śnieżny huragan. To, co stanowiło dla mnie wielką wartość, miało stać się moją zgubą. Wiedziałem, że jeśli ci szaleńcy sprzedadzą mnie Feliksowi, to on mnie najzwyczajniej w świecie wrzuci do najbliższego dołu i w nim zasypie. Z kolei jeśli miałbym zostać, to z pewnością zginąłbym lub czekałby mnie nawet los gorszy od śmierci.

Wiedziałem, że już nigdy nie zobaczę domu.

Nieodwracalność całej sytuacji wbiła się we mnie, jak sopel spadający z dachu. Przygwoździła mnie do tu i teraz. Poczułem, że nie ma dla mnie ucieczki i to był ten moment, w którym one wyczuły, że jestem najslabszy. W nierozróżnialnym zawieszeniu między bezsennością a snem przyszły duchy.

Mój oddech zmienił się w niewielki kłębek ciepła, podskakujący bez życia w powietrzu i zaraz sklejający się wilgocią do brudnego sufitu. Ciemność, o ile mogła, stała się jeszcze bardziej nieprzenikniona, prawdziwie czarna, do tego stopnia, że nawet najmniejsza szpara w drzwiach izolatki nie rozpraszała kompletnego mroku.

Usłyszałem szum, najbardziej przerażający i niesamowity ze wszystkich dźwięków dostępnych człowiekowi na tym świecie. Biały szum, trzaskanie rozstrojonego radia, nasłuchującego przypadkowych fal. Urządzenie ściągało do siebie wszystkie istoty, które tylko chciałyby skorzystać z okazji do uzewnętrznienia się i wyjścia na świat. Jak wielka studnia grawitacyjna, radio zaczęło ściągać do mojej celi cały drugi, równoległy wszechświat.

Padłem na ziemię, przykładając ucho do podłogi. Przez syczenie generatora nie sposób było rozróżnić ulotnych detali, ale w końcu znalazłem miejsce pod ziemią, z którego

dobiegał radiowy dźwięk. Szarpnąłem za róg pryczy i pociągnąłem ją do siebie. Jedną z czterech, żelaznych rurek, służących za nogi, zacząłem uderzać w betonową posadzkę, na próżno próbując dokopać się do ukrytego zagrożenia.

Przez moją głowę przepływały rwące potoki myśli, meandrujące znanymi koleinami, by zaraz wyskoczyć z brzegów i chwycić najgłębsze lęki.

Próbowałem się uspokoić, przystanąć na moment i zrozumieć, czy na pewno nie jest to jakiś durny koszmar albo majak czy halucynacja. Świat jest pełen takich rzeczy, które wydają się niezwykle, a okazują całkiem prozaiczne. W końcu doktor z Sahala mówił mi, że jestem chory i widzę rzeczy, których nie powinienem.

Tylko na nic się to nie zdało.

Byłem tak samo obecny w mojej wychłodzonej jak psia buda celi, jak i wcześniej. Ciemność narastała, chłód zakradał się pod skórę, a duchy zaczęły zajmować kolejne pasma, łączące ich świat z moim.

– Artem Jadów, wróciłeś – szepnęła Frida Gausel, materializując się w ciemnej izolatce.

Mimo mroku dostrzegłem lekko opalizujące, pokryte szronem ciało o całkowicie czarnej z odmrożeń skórze. Wyłamana zuchwa zwisała ponuro na jednym strzępie, a długie włosy ciągnęły się jak splątana taśma magnetyczna.

– Nie jesteś prawdziwa – charknąłem, czując, jak łamie mi się głos. – Potrzebuję tylko moich leków. Wezmę lekarstwa i znikniesz, jakby cię nigdy nie było.

– Och, ale przecież ja jestem, a lekarstw nie ma. Jesteśmy tutaj razem, we dwójkę.

Cofnąłem się o krok i wpadłem na ścianę. Spróbowałem zakopać się gdzieś pośród kołder, oddzielony od zjawy pryczą. Próbowałem zbudować jakąkolwiek barierę między mną a tym czymś, ale wszystko to na próżno.

Choćbym zamknął oczy, to nadal ją widziałem.

Choćbym zatkał uszy, to nadal ją słyszałem.

Choćbym wcisnął się w najgłębszy kąt celi i wierzgał jak szalony, nadal czułem jej lodowaty dotyk.

Serce łomotało mi jak oszalałe, zupełnie jak w koszmarze, tuż przed obudzeniem się z krzykiem. Jednak przebudzenie nie nadchodziło, bo nie mogło. Jeśli koszmar istniał, to on obudził się wraz ze mną.

– Docień ten moment – szepnęła istota, kładąc mi na policzku palec. Szczerniały opuszek przeszedł przez skórę, zostawiając dotkliwe odmrożenie. – Jest znacznie jaśniejszy niż mrok, który cię czeka.

Szum radia spłynął gdzieś w dal, do tła, zmieniając się w odgłosy rwącej rzeki. Lodowata woda piętrzyła się nieustannie, skupiona pod wybrzuszeniami z białej kry. Żywiół kotłował się i niecierpliwie trząsał, uwalniając drobiny powietrza jak echa odległego ryku bestii. Przez lata rzeka trwała w tym stanie nienaturalnego bezruchu, uwięziona z dala od swojego koryta, jak pacjent na stole chirurgicznym, obserwujący kawałki swojego ciała na metalowej tacce. Aż wreszcie z tego gniewu, bólu i frustracji narodziła się fala, gotowa zalać świat.

Tama w Elektrogrodzie ustąpiła, tak jak ustępują kajdany po latach, zostawiając trwałe, krwawe blizny. Krew rozsadza tętnice, uwolniona nagle, niegotowa na to, że wciśnie się z całą mocą w wysuszone i osłabione korytarze.

Lodowaty zator wyleciał w powietrze, strumienie wody naparły na kolejne otwarte grodzie, wyskakując po drugiej stronie w kierunku płycizny, okupującej dawne koryto ogromnej rzeki.

To wymaga czasu, ale jest nieuniknione. Centymetr za centymetrem woda podnosi się i ślizga po wyoblonych kamieniach, przykrytych grubą warstwą śniegu. Szaro-bura breja nawarstwia się i rusza dalej, krok za krokiem, jak człapiący olbrzym. Jak ogromny gospodarz, który wraca na swoje włości pijanym, złym krokiem po latach w więzieniu. Niestety w starym legowisku gospodarza zagnieździły się pasożyty, które należy przegonić. Część z nich ewakuuje się sama, tworzy długie, zwarte konwoje, jak mrówki opuszczające wielki kopiec. Nie wszyscy zdążą i nie wszyscy chcą zdążyć.

Woda wpierw przychodzi z gruntu, spod ziemi. Zalewa piwnice, rozsadza betonowe posadzki. Mróz skuwa nowe źródła, ale szybko obok wytryskują kolejne. Całe miasto zmienia się w pofalowane pole lodowych rzeźb o nieforemnych kształtach, przeobraża się w powierzchnię planety niezdatnej do życia.

Widziałem ich wszystkich, każde ludzkie życie, tak jakbym tam był. W tamtym miejscu, oddalonym o setki kilometrów, w tamtym czasie, który jeszcze nie nadszedł.

Oksana, Iwan, Sergiej, Anastazja, Maria. Imiona i życiorysy przepływają koło mnie jak kolejne prądy rzeczne. Widzę ich blade ciała, odmrożone kończyny, skrzystalizowane łzy na końcach rzęs. Widzę tych, którzy próbują uciekać i tych, którzy próbują walczyć. Nie widzę tam tylko siebie, bo mnie tam nie ma. Zostawiłem ich wszystkich, odszedłem jako pierwszy. Wszystko, co nie zostało ocalone, zostało utracone, taki jest świat.

Nie wiem kiedy, ale udało mi się odłamać jedną z nóg pryczy. Zardzewiały, ostro zakończony koniec wystarczył, aby przebić skórę i mięso przynajmniej na centymetr. Przy dobrym kącie i włożonej sile, mogło się udać.

Przyłożyłem rurę do grdyki, wycelowałem na tyle, na ile umiałem bez zewnętrznych punktów odniesienia i odsunąłem odrobinę broń od szyi. Gdyby udało mi się pchnąć dość mocno i nie zawahać się. Stłumić na moment zwierzęce odruchy i oczyścić się, odejść, uwolnić...

– Pomogę ci – szepnęła Baba Jaga, kładąc dłoń na rurce. – Razem będzie nam rażniej.

Dostrzegłem Babę Jagę. Wyglądała jak śmierć, samobójcza i wstydliva. Widziałem w jej oczach, że tak długo, jak była ze mną, nie mogłem zaznać spokoju, niezależnie od tego, co bym zrobił. Byłem naznaczony, brudny i dopiero zmycie z siebie tego znamienia pozwoliłoby mi zacząć od nowa.

I wtedy coś trzasnęło. Nie ze środka, a z zewnątrz.

Żelazna zastawa podniosła się i do celi wpadło światło.

Zjawa zniknęła tak szybko, że od razu podałem w wątpliwość to, czy kiedykolwiek istniała. Stałem rozebrany, spocony i przemarznięty na połamanej pryczy. Podłoga pode mną nosiła ślady zadrapań, a mi spod połamanych paznokci ciekła nieśmiało krew, jakby ciało nie miało dość sił, by porządnie krwawić.

– To cud, że żyjesz – powiedział ciemny obrys postaci na doskonale białym tle. – Czyli jest jeszcze nadzieja.

Drzwi zamknęły się i znów zapadła ciemność, ale inna niż poprzednio. Tym razem delikatne prześwity na krawędziach drzwi dostarczały minimum światła potrzebnego, by oczy odróżniły od siebie ciemnognatowe odcienie.

Poznałem jej głos dopiero po chwili. To nie była zjawa, istota z innego świata, moja halucynacja. Do mojej brudnej, zimnej izolatki weszła Solma.

Huragan myśli zaatakował mnie znienacka. Mogłem ją chwycić za gardło, wziąć na zakładnika i prowadząc korytarzem spróbować się wydostać. Może nawet byłbym w stanie dostać się na wyższe piętra, a stamtąd uciec do Sahala...

Szybko jednak zapal opuścił moje słabe, obolałe ciało. Głodny, zmęczony, wyziębiony i zniszczony wizjami mogłem jedynie wykrzesać z siebie minimum siły. Potem łatwo by mnie złapali, najpewniej nagle i z kilku stron.

– Jesteś dróżnikiem z Sahala.

– Z Magnetańska, po prostu jechałem z Sahala – odparłem cicho, dostosowując się do jej tonu głosu.

Mówiła spokojnie, z lekką nutą niepokoju. Jej głos nie nawykł do mówienia szeptem, jakby całe życie musiała deklamować na szkolnych apelach i przesiąknęła na stałe poczuciem nieustannego stresu.

– Chcę, byś mnie tam zabrał.

– Do Magnetańska?

– Gdziekolwiek, daleko stąd. – Nagle chwyciła mnie za dłoń. Wzdrygnąłem się odruchowo, nie panując nad własnym ciałem. Ona zacisnęła palce mocniej. Miała przyjemną, ciepłą w dotyku skórę. – Wydajesz się normalny, a mi nie pozostało nic innego.

Zaśmiałem się w duchu, ale zaraz pojąłem, że jednak tylko mi się wydawało. Chichot opuścił moje ciało mimowolnie. Zrozumiałem, że coś we mnie pękło albo przynajmniej wygięło się lub naciągnęło. Nie starczało mi siły woli, pohamowania, czegokolwiek, co pozwalało zatrzymać się na moment.

– To jakiś wasz test? Nie będę próbował uciec, możecie mnie śmiało odwieźć do Sahala, nie trzeba mi robić krzywdy.

– Nie mamy wiele czasu, więc błagam cię, postaraj się połapać wszystko w lot. Gauti, nasz nestor, chciał cię zabić, pod podłogą znajduje się odbiornik radiowy, podłączony do anteny kilka pięter wyżej.

– Zdążyłem zauważyć – odparłem, czując, że znowu zbiera mi się na śmiech. – Aż mi się zimno zrobiło.

– Jesteś tu od wielu godzin, jest środek nocy... Opuściłam swój pokój, ale muszę wrócić szybko, inaczej zaczną mnie szukać. Mają mnie za bóstwo, ale nie kontroluję ich. To skomplikowane, ale... Boże, po prostu mi pomóż. Musimy stąd uciekać.

– Czemu bóstwo miałoby chcieć uciec? – zapytałam kpiąco, ale w końcu doszło do mnie, że ona nie żartuje. Jej głos, drżące ciało, niekontrolowany oddech. To wszystko kazało mi wierzyć, że jest naprawdę przestraszona. – I co, po prostu chcesz wyjść na zewnątrz? Czemu Gauti mnie nie zabił od razu?

– Nie ma żadnego handlu z Sahalem, wyszłam przed szereg. On będzie na mnie bardzo zły, ale potrzebowałam, byś chociaż przetrwał tu noc. To, że żyjesz, to cud. Jeśli jest Bóg, to zesłał mi ciebie.

– Bardzo w to wątpię.

– Jeśli teraz ze mną nie uciekniesz, to nie wyjdiesz stąd żywy. Federacja po nas nie przyjdzie, jesteśmy tu sami. Od lat żyjemy jak zwierzęta, a ja mam dość tego wszystkiego. Chcę uciec albo zginąć, próbując.

– Jak ci na imię?

– Solma...

– Nie, jak ci naprawdę na imię.

– Telma Ingolf... Urodziłam się w Westrze, zanim ją wysiedlono. Oni myślą, że czynię cuda, tego nie da się dłużej ciągnąć. Nie mam się gdzie podziąć, mogę jechać gdziekolwiek, byle daleko stąd.

– Cóż, to jest nas dwóch, Telmo – odparłem, siląc się na uśmiech. W ciemności dostrzegłem delikatny błysk jej zębów.

Telma miała w sobie więcej odwagi, niż mogłem przypuszczać. Nie przetrwałaby tak długo, gdyby nie było w niej czegoś wyjątkowego.

Gdy tylko opuściliśmy moją izolatkę, przybrała znowu pewną siebie postać, weszła w rolę, a nawet dosłownie włożyła swoją blaszaną maskę.

Nie wiedziałem, w jaki sposób ma zamiar wydostać nas z wnętrza bunkra. Nawet jeśli wszyscy spali, a większość korytarzy pozostawała pusta, to w delikatnej, czerwonej poświacie bez trudu dało się dostrzec, że jestem tu obcy.

Doszliśmy do zakrętu, choć nie mam pojęcia, jaką trasą szliśmy w tym labiryncie betonowych tuneli. Telma pchnęła mnie stanowczo dłonią, bym nie wychylał się za winkiel.

– Odwróćcie się do ściany – rozkazała władczym tonem. Usłyszałem szuranie podeszew i zaraz Telma dała mi znak, bym szedł za nią.

Drobiała bardzo powoli, a zarazem upewniała się, by jej męskie, niepasujące do ubioru bucior, uderzały jak najgłośniejsze o posadzkę. Palcem wskazała na ziemię i zrozumiałem, co ma na myśli.

Stawiałem kroki dokładnie za nią. Jeden, za drugim, niezwykle ociężale, bez pośpiechu. Zza jej pleców widziałem, jak na końcu korytarza stoi dwójka strażników, świeżo poderwanych z taboretów i oderwanych od kart rozłożonych na stoliku.

Serce kazało mi się poderwać do biegu, ale rozum zmuszał do powolnego kroczenia.

Nie mogli mnie zobaczyć.

Nie mogli mnie usłyszeć.

Byłem tylko cieniem doczepionym do pleców ich wyciętej z papieru i blachy zaimprovizowanej bogini.

Gdy tylko drzwi za nami zamknęły się, odetchnąłem z ulgą. Telma zadrżała, jakby ten manewr kosztował ją znacznie więcej niż mnie i może to była prawda. Obróciła się szybko i przekręciła kluczyk, tkwiący w zamku. Dziwne, że się tam znajdował, ale cóż, może zaplanowała tę ucieczkę lepiej, niż myślałem. A jeśli to ja byłem jej najmniej pewnym elementem, to tylko świadczyło o mnie.

– Nie mamy wiele czasu, a na zewnątrz będzie stała warta – szepnęła udawana Bogini, wskazując stojący pod ścianą skuter śnieżny przykryty błękitnym brezentem. – Weźmy którąś maszynę i uciekajmy.

– Nie którąkolwiek, tylko konkretnie moją – odparłem cicho, buszując pomiędzy rozstawionym w magazynie żelastwem.

Pomieszczenie było naprawdę duże albo to mi się tak wydawało po pobycie w izolatce. Materiały z odzysku i palety oświetlone przez ustawione równoległe rzędy białych świateł sprawiały wrażenie, jakbym trafił do wielkiej sortowni śmieci. Z drugiej strony, w takim miejscu jak to, na pewno nic się nie marnowało.

Szukając mojego pojazdu, myślałem nad tym, ile potrzeba było jedzenia, wody, części zamiennych, paliwa i wszelkiego rodzaju drobnych ustrojstw, by to wszystko funkcjonowało. Nie byli samowystarczalni, ale z drugiej strony nikt w tych czasach nie był. Natomiast na pewno nie mogli liczyć na to, że Federacja im przyśle cokolwiek, nawet pomoc humanitarną. To jest, o ile ktokolwiek w Federacji wiedział o istnieniu tych ludzi i przejmował się ich losem.

Czułem, że każdy oddech sprawia mi trudności. Mózg nieustannie podsyłał obrazy, majaki, na poły realistyczne wizje i przemyślenia, które starałem się zbywać. Instynkt przetrwania zawsze wygrywał i potrafił mnie doprowadzić do celu niczym automatyczny pilot w zaawansowanym urządzeniu z książek fantastycznych, ale nie tym razem. Tym razem było inaczej. Tym razem ilość myśli i emocji była zdecydowanie zbyt wielka. Nie mogłem tego przetrwać na poziomie fizycznym, jakbym nieustannie próbował utrzymać alkohol w pustym żołądku.

– Ocknij się – powiedziała Telma po raz nie wiem który. Stała przede mną, trzymając mnie za twarz. – Mamy mało czasu, potrzebuję cię tu i teraz.

– Ja... potrzebuję odespać ten dzień i tyle.

– Będiesz mógł spać, ile zechcesz, ale wpierw musimy stąd uciec. Potrzebuję cię, sama nie dam rady.

Pokiwałem głową i wróciłem do poszukiwań mojego skutera. Szczęśliwie nie zdążyli go zezłomować, rozebrać na części ani zniszczyć. Jakkolwiek trzeba przyznać, że zdążyli się już zająć częścią przewożonych zapasów.

Z satysfakcją dostrzegłem, że zmarnowali sporo czasu na zdemontowanie i otworzenie prezentów od pieprzonego mera Feliksa. Rzecz jasna nie bolała mnie w żaden sposób strata kamieni i żwiru, ale dobranie się do moich racji żywnościowych było już faktycznie sporym problemem.

– Bierz tamte kanistry i przeciągnij je tutaj... Kurwa, szybko, miałem ci pomóc, to pomagam – warknąłem na zdeorientowaną Telmę. Ta zacisnęła usta w wąską kreskę, jakby chciała już odpowiedzieć tak, by poszło mi w pięty, ale zamiast tego sprawnie zabrała się za targanie pojemników z chlupoczącym paliwem. – Nie zostało tu wiele... Kurwa, gdzie jest moja pierdolona piła mechaniczna. Wiozłem ją pół kontynentu po nic...

Na zdecydowanie odchudzonym skuterze znalazło się miejsce na część zapasów z obiektu 1370, a nawet tych z Magnetańska i Elektrogorodu. Zapasowy akumulator, zestaw narzędzi, trochę drewna na czarną godzinę, olej napędowy i nawet tę pieprzoną pilę...

Stupor chwycił mnie i nie puszczał przez chwilę. Czarna trumna, w której wnętrzu spoczywał stabilizator ekosfery, leżała kompletnie nieruszona. Choć mieszkańcy bunkra próbowali dobrać się do każdego z pojemników, to ten nie został nawet zdjęty ze skutera. Miałem wrażenie, że jeszcze w Magnetańsku zajął on swoje miejsce i niezwykle cierpliwie czekał tygodniami. Po raz pierwszy przeszła przeze mnie myśl tak radykalna i skandaliczna, że aż wstrząsnęła w posadach wszystkimi moimi zasadami życia. Myśl znacznie gorsza od sprzeciwu wobec Federacji, gorsza od zaakceptowania odejścia wszystkich, na których mi kiedykolwiek zależało, a nawet gorsza od zaakceptowania końca własnego życia.

Pomyślałem, że to ja mógłbym zadecydować gdzie i kiedy użyć stabilizatora... i nikt nie mógłby mnie powstrzymać. To była myśl tak przełomowa, że aż rozbłysnęła we mnie, zagrzała mnie w sposób niemalże fizyczny. Warto było dotrwać poranka chociażby po to, by rozprawić się z tą myślą.

– Gotowy? – spytała Telma, spoglądając nerwowo na zmianę w kierunku drzwi i windy towarowej. – Mamy wszystko?

– My? Tak... Mamy wszystko. Masz to, na wszelki wypadek – powiedziałem, wręczając Telmie karabin myśliwski. Czekał na mnie tygodniami, odkąd odebrałem go z rąk Iwana. – Tu masz spust, tu lunetę, tu doładowujesz naboje. Pociągasz do siebie tę dźwigienkę i zaglądasz do środka czy...

– Wiem, nie jestem głupia – odparła twardo Telma, ale za karabin chwyciła ostrożnie, z pewnym respektem i lękiem. – Myślisz, że będziemy musieli kogoś...

– Ja nic nie myślę i niczego się nie spodziewam. Po prostu uczę się na błędach. Choćbyś miała go trzymać na darmo, to trzymaj. Strzelisz na postrach albo gdyby mieli nas złapać to... No cóż, panie przodem.

Telma syknęła z irytacją, ale szybko pokiwała głową, zgadzając się z sytuacją. Jedną ręką zrzuciła blaszaną maskę, trzymaną do tej chwili na czole i gestem wskazała na windę.

Skuter zapalił od razu, co już zakrawało na cud. Klamka zabarykadowanych drzwi drgnęła natychmiastowo, a dalej chaos potoczył się już swoim zwyczajowym torem.

Wjechaliśmy na rampę, mijając druciane, podwójne drzwi do masywnej windy, którą niegdyś robotnicy spuszczały narzędzia, materiały i pewnie siebie nawzajem na samo dno budowanej konstrukcji. Czerwone światło załało nas z góry, jakby sugerując po raz ostatni, by się wycofać. Jednak to były bzdury, lęki, bo realnie o odwrocie nie mogło być mowy.

Telma wdusiła otwartą dłoń wielki, podobny do grzyba przycisk. Sprężyna odskoczyła z trzaskiem i po piekielnie długiej sekundzie drzwi zamknęły się głośno. Od strony drzwi rozbrzmiały kolejne miarowe uderzenia, ale to już zostało za nami, gdzieś w dole, bo mechanizm beznamietnie wciągał nas wysoko, kilkadziesiąt metrów w górę, ku zimnej wolności.

Wpierw nadszedł lodowaty podmuch, a dopiero później otworzyły się naprzeciwległe skrzydła. Skuter wyrwał od razu naprzód, wioząc nas przez las betonowych filarów.

Strażnicy przy windzie spojrzeli po sobie w szoku, jeden chyba odsunął się od płonącego koksownika, a drugi nawet zdjął z pleców karabin. Mimo wszystko żaden nie strzelił.

Odetchnęliśmy z przedwczesną ulgą, w samą porę, by usłyszeć rozlegający się dźwięk koszmarnych syren. Potępieńcze wycie poniosło się ulicami miasta, podrywając do lotu mewy i zrzucając kilka najdelikatniejszych sopli.

– Nie do tunelu, tam jest pułapka! – krzyknęła Telma, gdy tylko wyjechaliśmy na ulicę.

– Tak jakbym, kurwa, nie wiedział! – odparłem, rozglądając się nerwowo.

Telma przycisnęła się do mnie, pozwalając, by zawieszony na pasku karabin huśtał się luźno w jedną i drugą stronę. Żałowałem tylko tego, że siedziałem przed nią i nie mogłem zobaczyć, jakie wrażenie na niej zrobił świat po tych wszystkich latach.

Był środek nocy. Co oznaczało, że słońce wychylało się nieznacznie ponad horyzont, zalewając świat czerwonym blaskiem. Śnieg skrzył się między pagórkami obrośniętymi zielonymi i żółtymi porostami. Żelazobetonowe szkielety chyliły się do ziemi, osypując się rdzawymi okruchami na popękany asfalt. Uciekaliśmy z wnętrza trupa.

W nerwach dociskałem gaz, próbując wymanewrować między porzuconymi ciężarówkami, dziurami i dziwacznymi wybrzuszeniami w drodze. Niektóre z nich przypominały ogromne kretowiska, znacznie większe niż cokolwiek, co mogłoby stworzyć dowolne zwierzę.

Oglądałem się przez ramię, wyszukując obławy, pułapek, nagłych mechanizmów zagłady i wszelkiego rodzaju wyskakujących na mnie zza rogu lin. Kluczenie między budynkami, wykonując slalom pośród śmieci, przyprawiało mnie o paranoiczny lęk przed zasadzką. Mimo to nic z tych rzeczy nie miało miejsca. Do samego końca odprowadzały nas jedynie tyleż przeraźliwe, co nieszkodliwe jęki syren alarmowych.

Aż w końcu i syreny zostały w tyle, a my przeprawiliśmy się przez rzekę i ruszyliśmy na północny wschód. Wiedziałem, że nie możemy wrócić do Westry i wiedziałem, że nie możemy natrafić ponownie na Sahal. Byliśmy poszukiwani w każdej ostoi cywilizacji, jakkolwiek skorumpowanej i wykrzywionej, w obrębie setek kilometrów.

– Tak sobie wyobrażałaś wolność? – spytałem, gdy wyjechaliśmy na otwartą przestrzeń.

Z nieba padał od jakiegoś czasu śnieg, który zdążył zakryć wzgórza cienką, lepką warstwą puchu. Co rusz podskakiwaliśmy na ukrytych pod nalotem kamieniach lub wręcz przeciwnie, przechylaliśmy się do wewnątrz dziur, marząc, by nie zmieniły się one w wielometrowe rozpadliny.

– Nie... Jest znacznie lepiej.

Napięcie powoli opuściło moje ciało. Pojedyncze mięśnie wciąż ciągnęły bólem, a skóra przesiąknęła zimnem jak firanka wilgocią o poranku, ale na ten jeden moment, przynajmniej na krótką chwilę znów był spokój.

Skuter mruczał z wdzięcznością po zabraniu zbędnych kilogramów i sunął lekko po świeżym śniegu, jak wąż strącający na bok piasek pustyni. Równe koleiny bieli kładły się za nami w zygzakowaty ślad. Wzgórza opadały miękko, pąsowe od nocnego, w zasadzie to już porannego słońca, wychylającego się po krótkiej przerwie ponad horyzont.

Pozwoliłem sobie na jeden, słodki błąd i wjechałem bez powodu na któryś z takich wzgórków i zakręciłem szerokim łukiem. Mieliśmy piękny widok na panoramę górskich szczyt, oblepionych różowym światłem jak kolorowym lukrem na szczycie urodzinowego tortu.

– Pojedziemy w jakieś ciepłe miejsce – powiedziałem, nie wiem czemu.

– Ty i ja? – spytała Telma.

Milczałem dłuższy czas. Była mi obca, a ja zrozumiałem, że podskórnie, dosłownie i w przenośni, szukam ciepła. Ponoć sporadycznie bite szczeniaki łaszą się bardziej niż te tylko głaskane. Cóż, ja byłem raczej skopanym szczeniakiem. Szczeniakiem, któremu ktoś zawiązał łapy i spuścił betonowego pustaka na łeb... Ale tak, potrzebowałem drugiego człowieka chociaż na moment. Nie na długo, na pewno nie na zawsze. Po prostu na chwilę.

– Zawiozę cię, gdzie chcesz, a potem zrobisz, co chcesz. Przysługa za przysługę i tyle. Ja chyba też potrzebuję czasu dla siebie... Chwilę ciszy i spokoju.

– Tak, tu można niemal poczuć tę ciszę, gdyby nie ten przeklęty motor. Rzęzi i rzęzi, jak ty tak wytrzymujesz?

– Wystarczy się wsłuchać w rytm, wygłuszyć i...

Zamarłem. Łomotanie cylindrów nasilało się coraz mocniej. Zwielokrotnione bębnienie odbijało echem pośród spokojnych, sennych wzgórz. Jeden... dwa... trzy...

– Jadą za nami – powiedziałem, spoglądając w jedyne lusterko.

Telma obróciła się, czułem to po jej ruchach. Musiała dostrzec to, co ja już wyczułem. Warkot silników, sześć płóz ślizgających się po naszych śladach. Trzy pióropusze śniegu wyrzucanego w niebo jak piana z wodotrysku.

– Zabiłaś kiedyś kogoś? – spytałem bez szczególnej nadziei.

– Bardzo wielu ludzi...

– Kurwa, naprawdę?

– Niestety wbrew sobie, Gauti często...

– Nie prosiłem o biografię. Dobra, to ułatwia nam sprawę. Oszczędzaj amunicję, strzelaj wtedy, gdy masz pewność, że trafisz. Będę ci mówił, jak będę stabilizował tor jazdy...

– Ale ja nie trafię...

– Albo ty trafisz, albo oni!

Jak na zawołanie rozległ się strzał. Odległy, niecelny, jednak bardzo znamieny. Nieobciążeni zapasami, jadący pojedynczo kierowcy przyśpieszali na długich, prostych odcinkach, nadganiając za nami. Historia znowu się powtarzała, ale tym razem nie miałem zamiaru dać się złapać.

Rzeźba terenu sprzyjała rozpędzaniu się i wyskakiwaniu z niewielkich pagórków i zdradliwych występów skalnych. Zupełnie tak, jakby sama natura szyderczo namawiała wszystkich, by zaryzykowali jeszcze bardziej i stali się własną zgubą. Uznałem, że to dobry moment, by podnieść rzuconą rękawicę.

Skuter szarpnął z miejsca, dziób nachylał się coraz niżej i niżej. Błękitny kadłub spływał miękko naturalnymi, śliskimi koleinami. Wiatr szarpał za twarz pomimo wizjera w kasku. Dopiero wtedy zrozumiałem, że Telma nie miała nawet tego, bo zwyczajnie nie zabraliśmy dla niej żadnej ochrony głowy. Zawinęła się w gruby szal z koziej wełny i naciągnęła na uszy za dużą czapkę, która podrygiwała i falowała krańcami jak opadająca na dno meduza.

Pierwszy, najbardziej wyrywny z trójki wyskoczył tuż obok mnie i zrównał się tempem. Kadłub brązowego, zaniedbanego skutera startł się z moim. Wiedziałem, że jeśli odbiję w bok, to polecę z jakąś niewyobrażalną prędkością na pagórek albo wystający kamień czy inny syf. Z kolei jeśli nie zrobiłbym nic, to niechybnie straciłbym równowagę w pewnym momencie i przekoziółkował bokiem ku własnej śmierci.

Docisnąłem na przekór i obie maszyny startły się ze sobą. Jedyne ocalałe lustro trzasnęło, urwane z wielką siłą. Na bokach obu pojazdów szybko wyrosły długie, srebrzyste pręgi zadrapań.

Huk strzału był ogłuszający. Na moment znów słyszałem tylko paskudne dzwonienie, choć jeszcze moje uszy nie zregenerowały się po ostatnim takim wypadku.

Kierowca wyprostował się nagle i zgiął w bok. Skuter jechał jeszcze jakiś czas siłą rozpędu, aż wraz z właścicielem przewrócił się na bok i zawirował w powietrzu, sypiąc odłamkami metalu i skóry.

Nie wiem, czy coś krzyknąłem, ani czy Telma odpowiedziała. Nie słyszałem nic, nawet walącego z całą mocą, przegrzewającego się silnika.

Zjazd złagodniał szybko i niemal natychmiast po nim nastąpiła szeroka, płaska połać terenu. Nic do skrycia się, żadnych skał ani drzew, tylko kilka durnych, drewnianych bud z odciągniętymi rurami. Przypominały ogrzewane, większe wygodki, które ktoś porzucił z jakiegoś powodu na środku niczego.

– O skurwysyn...

Zwolniłem, rozglądając się szybko na boki.

– Dogonią nas! – wrzasnęła Telma, przebijając się przez moją ustępującą głuchotę.

Poczułem, jak skuter zmienia nacisk na podłoże. Płozy suną płasko po cienkiej warstwie śniegu, przykrywającej śliską taflę lodu.

Drugi z jeźdźców przegonił nas od boku. Zajechał przód, zwolnił i obrócił się, trzymając w dłoniach rewolwer.

Kula śmignęła koło nas raz, drugi, po czym rozległ się nagły trzask. Długa, naskakująca z każdej strony seria dźwięków, przypominająca sekwencję upadającego domino albo zaspę śnieżną, turlającą się po zboczu lodowca.

Rudy skuter przechylił się nieco, płoza wjechała pod kątem jak rozeń w prosię i niemal od razu cała maszyna wyhamowała. Zimna woda napierała z każdej strony, chapiąc w swoje łapczywe objęcia buty, nogi, aż w końcu i całe ciało kierowcy. W czarnej, gęstej zawieszynie przez moment unosiła się dłoń w rękawiczce i wystający zad skutera śnieżnego.

Zahamowałem gwałtownie. Maszyna zbiesiła się potwornie i obróciła o sto osiemdziesiąt stopni, zrzucając Telmę. Kobieta przetoczyła się na bok zdeorientowana, ale szybko przypadła płasko do lodu, by zminimalizować obciążenie – mądrze. W trasie dobre nawyki ratują życie częściej niż dobre pomysły.

Spod maski wyskoczył spory kłęb pary, jakby skuter odreagowywał wściekłość i emocje po pościgu. Niestety i ja dałem się na to złapać i odetchnąłem ciężko.

Trzask, huk, ciemność. Uderzenie ogłuszyło mnie natychmiast, rzucając w dal jak szmacianą kukłę. Pojazd trzeciego z goniących przydzwonił we mnie bez litości. Kontrolowane, przynajmniej dla niego, czołowe zderzenie zmiotło zarówno mnie, jak i stojący skuter. Błękitny korpus pokoziołkował w bok, pryskając odłamkami metalu i tworzyw sztucznych. Jedna z płóz wyskoczyła w niebo jak oszczep i wbiła się gdzieś obok przerębla.

Ciemność zakryła mi wzrok, a w tej ciemności pojawiły się trzy kolorowe kształty geometryczne. Nie wiem, czemu mózg podesłał mi akurat takie powidoki, może nie miał siły na nic innego. Przez ułamek sekundy uroiła mi się myśl, że przypierdoliło mi tak mocno, że cofnąłem się w rozwoju i teraz resztę życia będę przeżywał zapętloną, feralną lekcję matematyki z podstawówki.

Bardzo powoli mrok ustąpił, lecz nadal obraz był wykrzywiony, zamglony i falujący. W uszach po raz kolejny dzwoniło mi i szemrało do tego stopnia, że miałem wrażenie, że znów słyszę głuche, białe odgłosy radia.

Gauti zwlókł się ze skutera, znacznie pewniejszy siebie mimo różnicy wieku wypadającej na jego niekorzyść. Zapewne otuchy dodawało mu to, że właśnie skasował mnie wraz z pojazdem, a Telmę zostawił sobie żywą.

– Wiedziałem, że kiedyś uciekniesz, ale nie spodziewałem się, że tak nagle – powiedział Gauti, zbliżając się do drżącej z zimna Telmy.

– Zostaw ją, to święta Solma – wybełkotałem cokolwiek, próbując podnieść się z ziemi.

– Nie ma świętych, durniu – odparł beznamiętnie nestor i zwrócił swoją uwagę ku mnie. Zrobił kilka nonszalanckich kroków i wyciągnął z głębokiej kieszeni futra rewolwer. – Są jedynie zasoby, ułożone w różny sposób. Przez lata mi się przydawała, ale trudno, znajdę inną uzurpatorkę. Dziś wierzę w nią, jutro w kamień, tak to już jest.

– To dlaczego...

Gauti wymierzył broń, nie kwapiąc się do dysput filozoficznych, i po prostu wypalił raz i drugi.

Wpierw nie poczułem nic, zupełnie jak wtedy, gdy Zofia mnie drasnęła. A potem nastąpiła ciemność, krew, żal, ból i strach... zupełnie jak wtedy i za każdym poprzednim razem.

Ostatnim co słyszałem, był trzeci huk. Większy, silniejszy niż poprzedni. Dobiegał jakby z daleka, ale mnie to było już obojętne.

Zapadłem się w mrok, wielką pustkę, doskonałą cichość.

– Nie zostawiaj mnie – powiedziała Telma, a głos pojawił się bardzo blisko, choć wygłuszała go jakaś dziwna bariera. – Potrzebuję cię, nie zostawiaj mnie.

Poczułem, że się poruszam. Poniekąd rozbawiło mnie to, a w pewnym momencie nawet jakby obraziło. Bo co to za maniery? Że ja tu umieram, wszystkie zmysły się wyłączają, a dotyk każe czuć, że się przemieszczam, słuch szemrze co chwila, wzrok błyska czerwonymi plamami.

Niski, drewniany sufit pełen powieszonych rybich resztek był tym, co miałem zobaczyć po raz ostatni.

– Muszę rozpalić ogień – szepnęła znowu Ingolf, ale tym razem jej głos miał echo, odbijające się od ciasnych ścian. – Miałeś to w skuterze, tak? Dobry Boże, proszę cię, obudź go... Artem! Potrzebuję rozpalić ogień.

– Akumulator – wybełkotałem, puszczając krwawe bańki. – Akumulator... zagrzej.

– W dupie mam twój akumulator, potrzebuję...

I znów ciemność, cisza, krew.

Rozdział ósmy

Wielkie, wspólne nic

Krew, cisza, ciemność znowu i... coś jeszcze. Ciepło, skoncentrowane życie. Jeśli istnieje życie w czystej formie, to jest nim ciepło, szybki ruch atomów pędzących po niewidzialnych orbitach. Jesteśmy winni ciepło wszystkim, zwłaszcza zmarłym, oni są najzimniejsi.

Organizm trzymał mnie na granicy przeżycia, w przedsionku do jakiegoś potwornie ciemnego miejsca, pustego i mroźnego. Ale jeszcze między mną a tym strasznym miejscem znajdował się stan przejściowy, jakiś przedziwny czyściec.

Duchy nawiedzały mnie w malignie, jakby szykowały się do powitania w ich świecie. Odczuwałem ogromny wstyd, potworne poczucie utraconej szansy i żalu. Jak mógłbym spojrzeć w oczy wszystkim, których znałem, gdy okaże się, że miesiącami czekali na zbawienie, które zaprzepąściłem?

Wspomnienia ożywione przez umierający umysł stawały się na moment istotami niezależnymi. Nie miałem nad nimi żadnej kontroli; przychodziły do mnie i odchodziły wedle uznania. Nigdy nie zdobyłem dla Anastazji aparatu fotograficznego...

Co za bzdura, że chwilę przed śmiercią człowiek przypomina sobie o takich rzeczach. Niepodlane rośliny w mieszkaniu, przeciekająca uszczelka w bojlerze, przyziemne i obite w ramach dowody na to, że istniałem.

Ale wszystkie te istoty, nawet jeśli byłem im winny przeprosiny i zawiodłem ich w najczarniejszej godzinie, nie odzywały się do mnie. Nie obwinały mnie. Istniała między nami przepaść, puste miejsce, gdzie nie mogła się nigdy wytworzyć nic porozumienia.

Moja żona... Moje dziecko... Moi przyjaciele. Bałem się wymawiać te słowa, jakby samo użycie ich zrywało jakąś niewidzialną plombę, za którą kotłowała się pod ciśnieniem lodowata woda, gotowa zmyć mnie z powierzchni ziemi. Gdybym mógł płakać, to bym płakał, ale na szczęście nie mogłem, więc po prostu popłakałem sobie w myślach.

Czasami ciepło przychodziło do mnie falami i rozganiało duchy. Odległy głos, odczucia płynące z ciała jak sygnały z drugiego końca niezmiernie długiego drutu telegraficznego.

– Musisz jeść – kłamała do mnie Telma, podsuwając coś ciepłego i tłustego do ust.

Nie wiem, czemu mnie nie zostawiła. Udawana Bogini, cudotwórczyni, lecząca dotykiem. Mogła wsiąść i odjechać, skoro już zrobiłem dla niej to, co chciała.

Strzał, płacz. Telma ryczy, później czuję zapach mięsa.

Znów ciemność, cisza, ciepło, kolorowe barwy i na powrót. Ciemność, ciepło, ciemność, ciepło, ciemność, ciepło i tak w kółko. Budziłem się na kilka sekund, by zrozumieć, że nie mogę się w pełni obudzić. Tak jak człowiek w koszmarze nigdy nie może krzyknąć i czuje, że im bardziej próbuje, tym bardziej się dusi. Klarowność myśli nie przychodziła do mnie w trakcie, tylko po czasie. Dopiero po iluś... no właśnie, godzinach lub dniach, zdawałem sobie sprawę z tego, co miało miejsce wcześniej.

– Czasami chodziliśmy z rodzicami na zajęcia na basen – mówi Telma do mnie lub sama do siebie, gdy piłuje drewno. – Piękny kompleks, cały w płytkach. Gdy nurkowałam, powierzchnia basenu mieniła się na lazurowo i pomarańczowo, jak jakaś ryba o zachodzie słońca albo inne cuda przyrody. Pewnej długiej, zimowej nocy polarnej widziałam zorzę, ty pewnie też, prawda? To takie cudowne, gdy ta kurtyna schodzi do ziemi, przepływa między palcami i ma się wrażenie, że zaraz cię dotknie tym czymś... nie wiem, macką? U nas się dzieci straszyło, by nie machać do zorzy, bo cię zabierze. A jak u was? Czym u was straszono dzieci?

– Agerda – wyszeptałem i znów zapadłem w ciemność.

Trollica garbiła się potwornie, jak zawsze zresztą. Jej długi, bulwiasty nos przypominał dynię piżmową, jaką widziałem na atlasach z odległych miejsc, gdzie zawsze jest ciepło. Miała włosy jak pajęczyny albo bluszcz, a skórę żółtą i parchatą niczym gąbka do mycia naczyń.

– Przepraszam, że cię zabiłem – powiedziałem, czując, że ponownie gdzieś znikam.

– Nie zabiłeś mnie. Zabiłeś siebie, lepszego siebie, który powstałby, gdybyś postąpił inaczej. Nie jesteś mi nic winny, skrzywdziłeś tylko siebie. – Agerda uśmiechnęła się z politowaniem. Z jej grzbietu spłynęło bogactwo ziemi, oprószając bezdroża przecięte liniami wysokiego napięcia. – My nie trzymamy urazy, nie umiemy. Zawsze będziemy was karmić.

I znów zimno, potem ciepło i obraz.

Jekaterina patrzy na mnie, ale mi się to tylko śni. Więc wcale mnie to nie dziwi, nie płaczę, nie krzyczę i nie uważam tego za dziwne. Nie korzystam z tego jak z okazji, tylko uznaję za stan oczywisty, domyślny.

Nie odzywa się do mnie, wkłada mi do ust łyżkę zupy. Tłusta polewka smakuje źle sprawionym mięsem, wytopionym z niego tłuszczem i resztkami krwi. Jekaterina znika, na jej miejscu pojawia się Telma, krzyczy coś, ale ja nie słyszę.

Głosy, dwa różne głosy. Jeden Telmy, drugi kogoś obcego. Pada strzał, cisza, a potem charakterystyczny odgłos lodu kruszonego czekaniem. Chlust i znowu cisza i ciemność.

– Musisz się wreszcie obudzić – mówi Telma bez przekonania. Krząta się po chatce rybackiej. Ledwo się tu mieścimy z naszym barachłem. Zmarznięty skuter czuwa pod kilkoma narzuconymi na siebie warstwami przypadkowych materiałów. – Jeśli nie wstaniesz, zostaniesz tutaj sam.

Wraca ciemność, zimno. Widzę dziada cerkiewnego, jak szczyrzy się zza śniegowej brody. Z krzacastych brwi osypują mu się igły, w dłoni trzyma butelkę.

– Wchodź śmiało, wchodź śmiało, nie wiem, jak ci tutaj trafić się udało. – Dziad zaprasza mnie gestem do wnętrza cerkwi o czerwonych kopułach. Przed ikonostasem postawiono stół, dwa krzesła, kipiący samowar i przywiązanego do nogi psa, jakby był częścią wystroju wnętrza. – Musisz wejść, bo zostaniesz tutaj sam.

– Ja już jestem sam – odpowiedziałem, przekraczając próg świątyni.

Ponownie ciepło, obraz, wychylam się na powierzchnię świadomości, jak ryba wyskakująca na moment z jeziora.

– Biorę jego skuter, jest mi to winien – mówi Telma cicho i głaszcze mnie po zszytym ramieniu. – Nie mogę na ciebie dłużej czekać. Artemie, jestem ci wdzięczna i to nie tylko za wolność. Dałeś mi szansę, by wyrzec się kłamstwa. Może i nie potrafię leczyć dotykiem, ale... nie muszę już przynajmniej udawać. Nie muszę udawać, że potrafię wszystko, bo... cudów nie ma.

Czuję pojedynczą, słoną łzę na ustach. Telma całuje mnie matczynym gestem czoło, robi znak krzyża i wychodzi.

Zostaję sam, tak bardzo, jak to jest tylko możliwe. Sam jak nigdy wcześniej, zawieszony na zawsze między niebytem i sparaliżowaną jawą wewnątrz mojej stygnącej skorupy.

Po raz ostatni zapadam w ciemność. Wiem, że jest to ostatni raz, tak jak człowiek wie, że zaraz w koszmarze stanie się rzecz najgorsza z możliwych przez sam fakt, że o niej pomyślał.

– Znajdź mnie w źródle – mówi głos spod Isteru. Rzeka rozciąga się na tysiące kilometrów, jest szeroka jak miasto, kruszy granit i kształtuje dzieje całych narodów. – Idź od najmniejszej żyłki spod magnetańskiego ratusza, aż do samego końca. Widziałeś mnie tyle razy, przyjdź do mnie. Wiesz, co musisz zrobić. Schowaj swój żywot do czarnej trumny, rozwiąż wszystkie sprawy, śmierć to dopiero początek.

I znowu ciepło, kolory i flegma w gardle.

Zrywam się z posłania i duszę się, jednocześnie próbując odkaslnąć. Gardło mam suche, spieczone od oddychania przez usta. Rozgorączkowana głowa pali jak powierzchnia nagrzanej patelni.

Ogień w kozie wygasł, zostawiając po sobie odrobinę dającego ciepła żaru. Chatka powoli wychładzała się, zostawiając mnie na posłaniu rzuconym wprost na brudne deski. Wszędzie poniewierały się resztki, te starsze po rybach i nowsze po jakimś reniferze.

– Telma! – krzychałem i żałowałem tego bardzo.

Gardło pękało z bólu, ale to nic w porównaniu do prawdziwych pęknięć świeżej skóry. Trzy rany, nie wiem, która z nich gorsza, odezwały się naraz, gdy świeża warstwa tkanki rozeszła się na boki. Obicia, fioletowe siniaki, krwiaki, dawne odmrożenia, to wszystko utwierdzało mnie w paskudnym przekonaniu, że żyję. Ani jedna pozytywna rzecz nie przytwardzała mnie do ziemi, wszystko, co dawało znać o tym, że jeszcze istnieję, to ból, krew, blizny.

– Życie kurewskie... – mruknąłem do siebie, próbując dojść, co też się wydarzyło.

Obrazy wracały do mnie po czasie, lekko zmienione, obrobione przez płytsze, nowoczesne, byśmy powiedzieli – bardziej ludzkie partie mózgu. Już nie tak emocjonalnie, nie w tak głębokiej malignie i nie tak symbolicznie zaczęło do mnie dochodzić, czego byłem uczestnikiem.

Telma musiała zajmować się mną przynajmniej kilka dni... albo tydzień lub dłużej, ciężko orzec. Z czasem jednak sytuacja albo jej własne oczekiwania w końcu złamały hart ducha i zmusiły do opuszczenia tej chatki na środku niczego.

Swoją drogą, dopiero po czasie zacząłem siąpić przemarzniętym, czerwonym kinolem i przez gęstą barierę glutów i flegmy doszedł do mnie smród niemytego ciała, kotłującego się w rozgrzanej przechowalni ryb. Środek lata, a nawet na dalekich peryferiach Sahala lód trzymał dość długo, by jezioro było zmrożone cały rok. Wystarczyłoby kilka cieplejszych dni i te wszystkie rybackie miejscówki zapadłyby się w odmęty zbiornika wodnego.

Bardzo powoli rozciągałem poszczególne członki, próbując dojść do siebie. Wiedziałem, że jeśli spróbuję od razu stanąć na nogi, to zaraz coś sobie zerwę i to w najlepszym razie. W najgorszym wypadku doznałbym wstrząsu, krew podeszłaby mi pod mózg, a ja padłbym bez życia. No, przynajmniej tak straszył pewien myśliwy, który kiedyś czekał w górskiej chacie kilka miesięcy na pomoc.

Zginając i rozginając palce, rozglądałem się po wnętrzu, oświetlonym głównie przez wpadające szparami promyki zachodzącego bądź wschodzącego słońca. W ciągu dwóch miesięcy krajobraz miał zmienić się całkowicie, a od listopada czekała mnie

czteromiesięczna, ciągła noc, gdzie na niebie świecą tylko gwiazdy, księżyc i opończa zorzy polarnej.

Tylko to było za jakiś czas, długi, niemalże abstrakcyjne odległy. Zaś w przyziemnym tu i teraz znajdowały się głównie siniaki, zadrapania i rany postrzałowe. Człowiek to czasem nawet chciałby żyć w świecie, gdzie kula z rewolweru zatrzymuje się na kilku warstwach ubrań, ale zamiast tego żyje w takim, gdzie nastolatkom wyżynają się ósemki, a czterdziestolatkowie dorabiają się hemoroidów i zapalenia wyrostka robaczkowego.

– Skurwysyn – powiedziałem do nikogo po raz kolejny i zorientowałem się, że przekleństwa to jedyne, co przychodzi mi na myśl, gdy tylko otwieram usta.

Delikatnie, jakbym odgarniał włoski z ciemniaczka pierworodnego, przejechałem palcami po wszystkich trzech ranach. Jedna po śrucinach, puszczone z odległości i jeszcze zniwelowana o moją prędkość ruchu zgodną z torem lotu. Dwie od wariata, kultysty, który okazał się nie być szaleńcem, tylko czymś gorszym – lokalnym politykiem.

Musiałem spędzić w tej chacie mnóstwo czasu, bo rany pokryły się już świeżą, żółtawą skórą, jak zasklepiiony garnek z jasnej gliny, który ktoś podgrzał i dolepił brakujące elementy. Tylko że to nie miało sensu.

Nawet jeśli Telma siedziałaby ze mną dwa tygodnie, co nie było możliwe, to rana nadal pokrywałaby się rudobordowym strupem i czerwoną pręgą. Nie mówiąc już o tym, że w miejscu postrzelenia znajdowałaby się głęboka dziura, zarośnięta świeżym mięsem o obrysie w kolorze prochu.

A tu nic, jakbym się nadział na sztachetę od płotu, a nie został posłany na drugą stronę rzeki umarłych.

Ze zmarszczonym czołem i wstydem w sercu pozwoliłem sobie tylko jeden raz podać pod wątpliwość myśl, czy Solma faktycznie nie posiadała jakichś niezwykłych zdolności... W końcu był jakiś powód, dla którego to z niej zrobiono bożka, prawda? Ot, mało to w miastach wariatów, byłych mnichów i jebaków, co udają bożych uzdrowicieli, hipnotyzują ludzi i powstrzymują krwawienia? Od zajebania ich. Tylko jakoś do tej pory w żadnego nie wierzyłem i szczerze, nie miałem zamiaru.

Dopiero wtedy przyszło mi do głowy, że wydarzenia potoczyły się tak szybko, że nawet nie zamieniłem w spokoju dwóch zdań z Telmą. Wielka szkoda, ale ja pomogłem jej, a ona mnie, więc byliśmy chociaż kwita. No i nie mogło się to potoczyć inaczej, bo gdyby te świry zatrzymały mnie na dłużej, to pewnie by mnie tam zamęczyli w tych podziemiach. Więc wpierw chciała mnie zabić przyjaciółka, a potem ocalić obca kobieta. Wszystko w równowadze.

Po niezmiernie długim czasie wstałem, podpierając się o obie przeciwległe ściany jednocześnie i wziąłem kilka głębokich oddechów. Kręciło mi się w głowie, a przed oczami latały kolorowe plamy, jak od zbyt długiego siedzenia przy rodzinnym obiedzie. Mimo to w końcu nastąpił moment przełomowy, od którego wzrok wyostrzył się, a serce uspokoiło nieco.

Wyszedłem na zewnątrz, gdzie po nierównej powierzchni jeziora wędrowały piętrzące się, białe zasypy śnieżne, niosące resztki wypatroszonych zwierząt. Krew naznaczyła lód jak cienka, karmazynowa peleryna, w którą ktoś ubrał krajobraz. Słońce wisiało nisko nad horyzontem, przeobrażając świat w purpurową karykaturę samego siebie. Wszystko, czego dotykało światło, zmieniało się w parującą, miękką masę, jak wypatroszone jelita giganta, na którego zwłokach powstała Ziemia. Gdzieś nad linię śniegu wystawały stare, przewrócone słupy energetyczne, wielokroć łamane znaki drogowe i nieudolnie sklecone punkty orientacyjne ze złomu.

Na moim błękitnym skuterze, który w tym świetle przypominał ogromny, spuchnięty po złamaniu paluch, zawieszono granatową, foliową plandekę. Widziałem, że ułamana płoza nadal leży obok. Spod materiału wystawał jeden bezkompromisowy kształt, którego żadne światło nie mogło ani skryć, ani nawet przemienić.

Czarna trumna czekała na otwarcie. A ja znałem wreszcie miejsce i czas.

* * *

Gdybym wierzył, że natura odpowiada mi na moje przemyślenia, przesyłając czytelne i jawne sygnały, to musiałbym uznać, że wpadłem na najgłupszy pomysł w historii.

Jednak ja takiej wiary nie posiadałem, więc gdy tylko rozpętał się sztorm śnieżny, przekląłem wszystko na czym świat stoi i dałem gazu.

Skuter warczał z nową mocą, posilony misją i zadowolony ze zdjęcia zbędnego obciążenia. Mimo wszystko naprawiona prowizorycznie płoza co jakiś czas drgała niekontrolowanie, grożąc zerwaniem.

Być może gdzieś we mnie tliły się resztki tęsknoty za Telmą, żal za drugim człowiekiem, ale to były tylko moje odczucia. Maszyna była wniebowzięta, a to najważniejsze.

Gdy tylko dostrzegłem, jak niebo niby gęstnieje, szarzeje i opada coraz niżej, zacząłem przeczuwać najgorsze. Jednak dopiero dostrzeżenie czarnych jak smoła, kręcących się kłębow chmur na horyzoncie uświadomiło mi, w jak głębokie gówno wdepnąłem.

Kaskada piorunów przetoczyła się po niebie jak świetlisty bicz, którym Bóg pogania swój burzowy rydwan. Anomalia pogodowa jak zawsze schodziła z gór, podobna do lawiny, lecz znacznie bardziej mściwa i niebezpieczna.

Sztorm śnieżny, zwłaszcza w zimnym klimacie, pojawiał się najwyżej parę razy w roku, a w umiarkowanym zwykle wcale. Fakt, że natrafiłem na niego właśnie po kilku dniach w drodze z Westry na zachód, świadczył dobitnie o tym, jakiego miałem cholernego pecha.

Kilka minut, dokładnie tyle dzieliło mnie od pewnej śmierci.

Nie ma tak, że istnieje szansa na wykaraskanie się ze sztormu śnieżnego albo możliwość przegonienia go czy przygotowania się na niego. Albo jest się w bezpiecznym miejscu, albo jest się martwym. Wóz albo przewóz. A mnie właśnie świat wziął na przejażdżkę z twarzą do ziemi.

Gąsienica rwała pierwsze, odważne kwiaty, przebijające się przez warstwę śniegu grubą na długość palca. Płozy ślizgały się, co rusz hacząc o rachityczne, iglaste rośliny, zakopane w białym puchu. To wszystko, co zdołało przetrwać tak paskudne, mroźne lato, musiało paść łupem atmosferycznego drapieżnika. Huragan pozostawiał po sobie zgłiszcza, rozerwane ruiny pod wielometrowymi zwałami zlodowaciałych brył.

Sztorm niósł ze sobą fragmenty lodowców, nieraz ciskając nimi na całe kilometry wprzód, nim dotarł do wybranego miejsca. Jeden z takich bloków runął obok mnie, wbijając się na sztorc w ziemię. Ten kawał musiał ważyć z ćwierć tony i być długi na dwa metry, więc należał do tych mniejszych, sięgających naprawdę daleko. Ot, taka pogodowa forpoczta dla lodowego tornada, gotowego roztrzaskać mój skuter w drzazgi.

Świat przeobraził się w zwirowy labirynt, gdzie monochromatyczne kolory zderzały się ze sobą i rozsypywały w niejednostajny szum. Nie mogłem odróżnić od siebie płaskiego terenu i pionowej ściany, dołu od góry, kolein od wzniesień. Czułem się, jakbym dosiadał asteroidy mknącej przez mgławice odłamków i resztek gwiazdowego pyłu.

I wtedy coś błysnęło nieopodal. Szczęśliwy los, jeden promień, odbijający się od wybitej szyby do obskurnego pokoiku. Oaza spokoju, prawdziwa, dosłowna arka wybawienia.

Na, jak mi się zdawało, płaskim terenie sterczała lekko przechylona konstrukcja. Skierowałem się na nią, nim jeszcze poprawnie dojrzałem kształty tego, do czego się zbliżam. W końcu i tak nie miałem innej możliwości. Szary, kanciasty budynek o nierównej krawędzi wystawał ponad śnieżne zasy. Dwa zasypane piętra spoglądały na mnie zziębniętymi od lodu oknami, jak spod spuchniętych powiek. Jeszcze wyżej znajdowało się

kolejne, choć mniejsze piętro, a wyżej już najmniejsze piętorko z jakimś balkonem i budą, jak wyjście na dach w bloku mieszkalnym. Zbliżając się do ruiny, dostrzegałem kolejne elementy, jeszcze bardziej zaburzające obraz.

Zamarznięte w powietrzu flagi, wielkie stalowe stelaże, liny mocujące obiekt do ziemi, pochyły taśmociąg i wreszcie żurawik trapowy, służący do zejścia na ląd.

Spoglądałem na okręt na brzegu rzeki, czując, że może to być najlepsze i najgorsze miejsce na przeczekanie rozszalałego sztormu.

Brawurowo i cokolwiek głupio wjechałem po rampie na pokład okrętu i rzuciłem się od razu do masywnych, stalowych drzwi. Wiatr ryczał potwornie i rzucał fragmentami światła na wszystkie strony, jak rozwydrzone dziecko ciska swoimi zabawkami. Bloki skalne większe od samochodu uderzały co rusz o powierzchnię rzeki, krusząc grubą zmarzlinę i opadając na dno w welonie uwolnionego powietrza.

Modliłem się, by zasuwą nie blokowała drzwi od wewnątrz i wyjątkowo los się do mnie uśmiechnął. Radość jak zawsze była przedwczesna i gdy tylko napałem na drzwi, te oddały mi z równą mocą. Uderzyłem raz i drugi, nim zrozumiałem, że drzwi nie tylko nie są zamknięte od środka, ale też stoją otworem, jakkolwiek wąskim. Problem w tym, że przez lata ów otwór zarósł lodem, który spajał teraz drzwi wraz z framugą.

– Ale ja, kurwa, z tobą dyskutować nie będę – ryknąłem wściekle, rzucając się do skutera.

Sztorm był tuż-tuż, ale wiedziałem, że nic nie wskóram ucieczką ani tępą siłą. Co innego inteligentną, oświeconą siłą piły mechanicznej.

Targałem ze sobą niewielką, zębatą maszynę od samego Magnetańska, nieraz przeklinając los za te trzy i pół kilograma, co i tak stanowiło naprawdę niewiele jak na to, do ilu dochodziły pełnowymiarowe piły. Mimo to w tundrze porąbanie dowolnej rzeczy na szczapy drewna, by nie zamarznąć, było nie do przecenienia, a piła i tak żywiła się tym samym, co mój skuter, więc nie musiałem nieść dla niej dodatkowego paliwa.

Pilarka zawarczała wściekle gaźnikiem, ogniwa łańcucha ruszyły w obieg, a ja nie mogłem nie wydać z siebie niemalże dziecięcego chichotu radości. Przecież mogła zamarznąć po drodze i co bym zrobił? No właśnie, a mimo to grzecznie przetrzymała mróz.

Wierzchołek prowadnicy wjechał bez litości w półprzezroczysty, nieforemny kształt. Lodowa tusza krwawiła wilgotnymi odpryskami na boki i szczękała z bólu, próbując zagłuszyć wycie wiatru.

Nawet nie wyłączyłem piły, po prostu przerzuciłem ją do lewej ręki, wskoczyłem na skuter i dałem gazu. Płozy napały na drzwi, wjeżdżając do środka bez oporów. Miękkie,

parciane torby po bokach zgięły się, grożąc wyłamaniem z misternej struktury ekwipunku, ale tylko jedna z nich rozdarła się o wystającą śrubą.

Chuj, zaszyję, pomyślałem, szarpiąc się na powrót z drzwiami.

Ledwie domknąłem stalową bramę i zaraz wielki kawał lodu wyrznął o pokład, gdzie jeszcze przed chwilą stał skuter.

Wiatr napierał coraz mocniej, okręt drżał, jakby zaraz miał odlecieć, lecz to się oczywiście nie stało. Zamiast tego przyszło mi mierzyć się z czymś znacznie gorszym.

Runąłem na ziemię, tracąc równowagę. Uziemiona pogłębiarka zachybotała się pijackim ruchem, czknęła z generatora i ruszyła przez lodową krę. Sztorm przyszedł z taką mocą, że aż wyrwał utkwioną od Bóg raczy wiedzieć jak dawna maszynę i wprowadził ją w ruch.

W pierwszej chwili nawet mi to zaimponowało, lecz fascynacja szybko ustąpiła miejsca jej starszemu bratu – strachowi.

Okręt z potwornym chrzęstem ranionego kadłuba przebijał się przez zlodowaciałą powierzchnię rzeki, prowadząc mnie na nieznane wody. Choć Bogiem a prawdą, to dla mnie każde wody były nieznane.

Wtem zaświeciła się żarówka i poczułem, że mam naprawdę przejebane.

Mózg podpowiadał dziesiątki rozwiązań, próbujących odpowiedzieć na przedstawioną mi zagadkę. Najprostszym z nich wydawało się to, że prąd po prostu wrócił. Opuszczona łódź ożyła nagle, rozświetlona girlandami diod i jarzeniówek, podświetlanych znaków ewakuacyjnych i obramowanych instrukcji przeciwpożarowych, dawno zatartych palcem czasu.

Wentylatory odbijały się beznadziejnie o zlodowaciałe zgrubienia, utworzone przez tak długi czas nieaktywności. Kable rzeziły na nowo nasączone prądem, zmiennym jak los, który go przywołał. Nawet kilka grzejników elektrycznych rozżarzyło się do czerwoności, próbując rozgrzać rozświetlony, dolny pokład.

Wszystkie pozostawione na chodzie urządzenia włączyły się samoistnie, odtwarzając ostatnie zapamiętane ustawienia i funkcje. Wszystkie... nawet podłączona do systemu nagłośnienia radiostacja.

– To jest zwyczajnie... kurwa, obrzydliwe! – krzyknąłem, sięgając ponownie po piłę łańcuchową.

Korytarze błyskały wściekle kolorowymi żarówkami, które raz świeciły mocniej, raz słabiej, a momentami wręcz wybuchały drobną supernową światła i szkła. Pokład kołysał się jak świat pijaka, a biała emaliowa farba odłaziła płatami od ścian, jakby i ona próbowała uciec z tonącego wraku.

– Tylko pod tą flagą, tylko pod tym znakiem, siostra będzie siostrą, a brat bratem! – wychrypiał system nagłośnienia, przywołując do życia przeterminowane o dziesięciolecia komunikaty. – Kurs przez Jampir, Wordogę i Trygę przy trzynastu węzłach na godzinę to zamierzchła przeszłość! Dostosowana do współczesnych potrzeb flota nowoczesnego państwa musi nieustannie przewyższać oczekiwania mas pracujących i dostarczać urobek w sposób bezwzględny i punktualny! Okrycia diamentowe ostrzy pozwalają na zwiększenie efektywności pracy naszych przyjaciół metalurgów, hutników, spawaczy...

Piła mechaniczna zawyla szaleńczo, tępiąc zęby na nitowaniach. Przerwany kabel prysnął iskrami i głośnik wreszcie umilkł na moment.

Nadal całym pokładem wstrząsały wiatry i komunikaty, lecz przynajmniej w tym jednym korytarzu mogłem zebrać myśli w spójny strumień świadomości.

Stopniowo, krok po kroku podążałem za błyszczącymi w półmroku tabliczkami, jednym z dobrodziejstw pochodnych kopalni uranu. Zawroźnienie wiatru z czasem zmieniło się w głos, lecz nie mogłem zrozumieć, co też chce mi przekazać.

Głos niósł ze sobą jakiś trudny do wyrażenia smutek i żal. Długie, przeciągłe nuty drylowały w moich uszach i przyciągały mnie do ziemi. Czułem, że słabnę z każdą chwilą i mam ochotę rzucić to wszystko w cholerę. Po prostu nie być, choć na moment. Przestać istnieć i w tym nieistnieniu odpocząć, bo bycie wiązało się z nieustannym szarpaniem się i wygryzaniem wszystkiego.

Ale to musiało zostać odstawione na potem. Na czas, w którym moja piła łańcuchowa nie będzie z dziką wściekłością piłować zlodowaciałych przejść w zardzewiałym wraku.

Sama myśl, że kiedykolwiek czułem tyle satysfakcji, by samemu nosić ze sobą radio i próbować poznać jego tajemnice, napawała mnie obrzydzeniem. Podróże naprawdę kształcą, szkoda, że w ten sposób.

Wparowałem na mostek kapitański i w powodzi przycisków oraz dźwigni zrozumiałem, że nie mam pojęcia na co patrzę. Zacząłem całkiem spokojnie od skręcenia wszystkich pokręteł w lewo, lecz narastający głos sprawiał, że moje ręce nie były w stanie nawet trafić tam, gdzie chciałem. Wreszcie chwyciłem za stojącą nieopodal starą jak i sam okręt gaśnicę, po czym wbiłem się głęboko w pierwszy lepszy pulpit.

Okrągła bańka żyroskopu trzasnęła i rozlała się żółtą plamą po ziemi. Kolejne ciosy wybijały dziury w sprężenie, wznecając strumienie czarnej krwi.

– Dobij mnie – zawył głos w głębi okrętu. – Czekałem tyle lat, skutu lodem na tym pustkowiu. Nie możesz mnie teraz zostawić. Nie mam nikogo, poza tobą, przybłądo.

– Gdzie jesteś?! – krzyknąłem, wymachując gaśnicą. – Pokaż się!

Drzwi za mną otworzyły się z hukiem, przebijającym nawet wycie sztormu. Nie wiem, czy czarna gardziel schodów była tam już wcześniej, ale rozłożyła się przede mną gościnnie, zapraszająco wręcz. Potruchtałem w dół, tak głęboko, że mrok rozciągał się i przede mną i za mną, aż w końcu nie zostało nic poza ciemnością.

Nie wiem, po jak długim czasie dobiegłem do maszynowni, lecz gdy tam dotarłem, to nogi ugięły się pode mną po dwakroć. Raz od targającego mną wiatru, a raz z potwornego strachu, jaki objął nade mną panowanie.

Siłownia okrętu pogłębiającego przypominała bardziej ciemną jamę, w której czerwone, gładkie stalaktyty zwieszają się do ziemi, jak jęczyczki podniebienia. Gorąc buchał z ustawionego centralnie pulpitu, z którego białe gałki mierników przyglądały mi się głodnym wzrokiem. Ich wskaźniki jak źrenice, poszerzały się i zwężały, przeskakując z lewa na prawo i z powrotem, myśląc, jak by mnie tu dziabnąć.

– Dobij mnie, nie musimy cierpieć we dwóch, możesz to robić sam. Na tej paskudnej pustyni, gdzie nie ma czego kochać ani czego nienawidzić. Gdzie jest wielkie nic, tak ogromne, że należy sobie wyobrazić zło, by nie oszaleć.

Zadrzałem, ale w końcu cisnąłem gaśnicą z całą siłą w sam środek, próbując dobić serce okrętu. Cios za ciosem biłem na oślep, a każde jęknięcie giętego metalu przypominało jedną, nakładającą się na poprzednią sylabę. Ha-ha, grzmiał śmiech, dobiegający zewsząd, kotłujący się w ciemności, jak ciepły oddech za zamkniętymi ustami. Odbijał się echem, smakował mnie niczym język, męczył, przesuwając od ściany do ściany, między swoimi czarnymi zębami.

* * *

Sztorm odszedł a wraz z nim Baba Jaga.

Wychyliłem się z wnętrza śpiwora, w którym przetrwałem ostatnie Bóg wie ile czasu. Po omacku odpałem latarkę, wycelowaną w niski sufit. Siłownia okrętu najlepiej trzymała ciepło z gazowej kuchenki, na której chciałem sobie przygotować kolację nim...

I właśnie wtedy dotarło do mnie w pełni, co się wydarzyło. Niemalże odruchowo wyluskałem épalnik i zrozumiałem, że fiołki są puste. Nie wiem, od jak dawna nie brałem leków i nie wiem, na jakie dawki radiacji wystawiłem swój organizm. Wiedziałem tylko tyle, że z tej podróży nie będzie już powrotu.

Nawet gdybym wrócił do któregoś z miast i zaszył się w nim, potrzebowałbym specjalistycznej opieki, której Federacja nie zapewniłaby zdrajcy ani przybłędzie. I to biorąc

pod uwagę to, że byliby w stanie mnie wyleczyć, zamiast wykorzystać jako obiekt doświadczalny lub nieudany projekt któregoś ze stetryczających naukowców.

– Jestem skończony – szepnąłem, próbując zaparzyć poranną kawę.

Był w tym jakiś spokój, poczucie ukojenia. Może nawet ulotne wspomnienie, ciągnące się cienkim sznurkiem ode mnie aż do siostry Bogny i jej pogodzenia się ze śmiercią. Jeśli konował z Sahala miał rację, to byłem zaledwie psychicznie chory i nie mogłem tym zarazić Bogny... Jeśli nie miał racji, to nieznana, śmiertelna choroba niszczyła mnie od środka. A możliwe było też to, że obie te rzeczy są prawdziwe.

Parsknąłem śmiechem sam do siebie, próbując pomyśleć o tych wszystkich niezwykłościach, które napotkałem na drodze. Czy którakolwiek z nich była prawdziwa? Niemożliwe do zrozumienia anomalie, głosy i widoki... Może to wszystko tylko halucynacje, ale jeśli tak, to świat był zbyt... banalny.

Jeśli to wszystko było tylko w mojej głowie, to próbowałem przeżyć w świecie, w którym nie warto było żyć, a bardzo nie chciałem takiej myśli do siebie dopuścić. Popęd śmierci i popęd życia walczyły we mnie nieustannie, i po najgorszej nędzy i upodleniu najsilniej zapierałem się, by jednak pozostać w tym białym, cichym świecie.

Wymieniłem bieliznę na zapasowy zestaw i spróbowałem nawet zmoczyć i wysuszyć jakkolwiek mój zajechany do oporu strój. Siłownia była na tyle odizolowana od reszty okrętu, że po nagrzeniu długo trzymała temperaturę. Problemem stawała się jedynie wilgoć i duchota, lecz wolałem to, niż przeszywający mróz.

Zjadłem na śniadanie trochę więcej, niż powinienem, zdobyłem się nawet na jakieś nieudolne rozciąganie i wyszedłem na mostek.

Z ulgą dostrzegłem, że dziury w przyrządach mierniczych w żaden sposób nie broczą krwią, a łajba jest wprawdzie tylko tym, czym ją stworzono – kolejnym okrętem wydobywczym. Na tym zresztą chyba wydobywano diamenty z dna rzecznego, a przynajmniej takie miałem wrażenie. Taśmociąg i wielkie wiertło świadczyły na pewno za tym, że okręt miał jakąś funkcję wydobywczą.

Jednak brzeg, na którym zostawiono pogłębiarkę, został dawno za nami. Teraz utknałem z nią gdzieś w świeżym lodowym paku, jak odkrywcy zimnych, północnych mórz. Sztorm lodowy musiał przesunąć okręt kawałek w dół rzeki, ale na szczęście nie przewrócił go na burtę, a to się mogło zdarzyć.

Jakbym się walnął na bok i pierdolnął skronią o wystającą rurę, to miałbym lepsze i bardziej racjonalne wyjaśnienie dla wydarzeń zeszłej nocy... albo dwóch, bo nikt mi nie zaświadczy, ile czasu minęło.

Przetrzepałem szafki na górnym pokładzie, pozbierałem długotrwałe resztki z mesy i nawet natrafiłem na kambuz, gdzie uchowały się suchary. Z obowiązkowego szkolenia wojskowego pamiętałem tyle, że zarówno wojska lądowe, jak i morskie twierdziły, że legendarne suchary wymyślono właśnie na potrzeby ich kampanii wojennych. Bogiem a prawdą, to ciężko mi sobie wyobrazić, że jakaś jedna konkretna osoba w jednym celu wymyśliła coś tak prostego jak suchy chleb, ale cóż, byłem tylko prostym dostarczycielem wiadomości.

Zabębniłem palcami o mapę rozłożoną na stole kajuty oficerskiej. Czy nadal byłem dróżnikiem? Po tym wszystkim zapewne bardziej niż niektórzy albo wcale. Nie zostały mi żadne listy do rozdania, nie miałem matecznika i nie spodziewałem się, by mogli mnie przydzielić do nowego. Czyli to by było na tyle.

W ramach odprawy dostałem kilka blizn i gorycz.

Zacisnąłem dłoń na krawędzi blatu. Miałem dość Federacji i to z całego serca. Poczułem się oszukany, obrabowany z własnego życia. Nie sposób wyrazić słowami tego, jak wiele żalu i zgryzoty kotłowało się we mnie na myśl o tych, którym służyłem całe życie po nic. Odebrali mi wszystko, a ja do końca wierzyłem, że to moja wina.

Poczułem, jak wilgoć rzęs odbiera mi bystrość obrazu. Pojedyncze łzy spadły na mapę, zakrywając nazwy miejscowości, które dawno zaginęły pod śniegiem.

Odebrali mi rodzinę i wmówili, że to moja wina. Ich niepohamowany głód, chciwość i kłamstwa ubrano w szaty dumy, a ja w tę dumę uwierzyłem i niosłem ją w sercu do samego końca. Pozostawili mnie z niczym i na żadnym etapie tego łańcucha krzywd nikt z nich nie okazał mi współczucia. Nigdy i nikt mi nie pomógł, jeśli wpierw nie zależało na tym Federacji.

Nie byłem pionierem, byłem narzędziem. A narzędzia wykorzystuje się wedle woli i uznania wobec celów, których one nie muszą ani rozumieć, ani popierać.

Posunąłem palcem wzdłuż wyrysowanego koryta rzeki. Ostatecznie wszystkie nici granatu, turkusu i błękitu kończyły się na północnym zachodzie od Sahala, gdzie z pasma Gór Awabejskich spływa Ister. Dziwaczny zygzak przebija Federacją na pół, obdarzając doliny życiem i meandrując pomiędzy kilkoma pasmami górskimi i jakby celowo, gdy tylko zbliża się nieco do wybrzeży, odbija dalej w głąb terenu. Przedziwne koryto lokalnych wzniesień i opadów prowadzi od źródła na zachodzie po morze daleko na wschodzie. Wydaje się, że w tym kraju nawet przyroda stara się podzielić ludzi, jak to tylko możliwe. Trwa od zawsze, rozsadzając miasta i wsie daleko od siebie, tworząc naturalne bariery, dzieląc i rządząc wszystkim, co żywe.

Ogromna część Federacji rozciąga się dalej na południu i na zachodzie, tak daleko od naszych spraw i problemów, że równie dobrze mogłoby jej nie być, jak jednej z gwiazd na nieskończonym niebie. Jednak to tą długą, biurokratyczną kaskadą na Magnetańsk spadł wyrok. Sahal wydał go, a Elektrogorod wypełnił. Oba te miasta zginęłyby, gdyby Ister wycofał swoje łaski. Federacja, bezwzględna i skuteczna w swoim dążeniu do podporządkowania sobie terenu wedle potrzeb i uznania, runęłaby przy najmniejszym zawahaniu się tego, co uznają za swoją własność, a od czego są całkowicie uzależnieni.

Wystarczyłaby jedna iskra w ręku śmiałka. Albo jedna czarna trumna w rękach desperata.

* * *

Gdy tylko zobaczyłem cerkiew, odruchowo zwolniłem. Wiedziałem, co mnie czeka, a mimo to rozglądałem się za alternatywną ścieżką. Niestety, w głębi serca zdawałem sobie sprawę, że od pewnych rzeczy nie ma ucieczki.

Dwie cebulaste kopuły zginały się ku sobie jak dwójka szermierzy, mierzących się w pojedynku. Krzyże służyły im za miecze o szerokich jelcach, gotowe ugodzić złotym sztychem skórę dachówek drugiego.

Zgasilem silnik tuż przed głównym wejściem do babińca. Raz dla zaoszczędzenia paliwa, a dwa z racji temperatur. Okolicę pokrywał nijaki, kaszkowaty śnieg, lepący się do soczyście zielonej trawy. Zdawało się, że zima napływa falami na zachód, ale nie jest w stanie w pełni pokonać złocistego sahalskiego lata.

Farba łuszczyła mi się na głowę całymi płatami. Pozbawione malowideł ściany straszyły pustymi przestrzeniami, na których grały jedynie szpary w kruszejącej strukturze. Po ikonostasie nie pozostał nawet ślad, tylko barierki, za którymi kotłowała się jakaś trudna do objęcia okiem ciemność. Brudne odbicia na połamanych kaflach świadczyły dobitnie, że ktoś wytargał wszystkie ławy ze środka. Cerkiew była tak pusta, jak to tylko możliwe; wybebeszone truchło straszyło swoim rozkładem.

I tylko dziad cerkiewny stał na swoim miejscu, gdzieś blisko centrum, przesuając się tuż nad powierzchnią podłogi i kołysząc jak drewno dryftowe, niesione spienioną falą.

– Nadal mnie nie odwiedzasz – rzekł smutnym głosem, odbijającym się echem w pustej sali. – Z rzadka modlisz się, gdy akurat sufit ci się spierdala na łeb. Mało w tobie radości, córy Bożej, złotego promyka łaski. Cierpisz dość, bym cię nawiedzał, ale nie dość, bym ci pomógł.

– Nie proszę o pomoc – odpowiedziałem, zbliżając się do dziada. – Już wystarczy, że mnie nawiedzasz w snach.

Pachniał pieprzem, żywicą i lizolem. Każde jego słowo pękało w powietrzu jak nagrzana szyszka w upalny dzień. Grubą szubę zmienił na dwie warstwy lnianych szat, które najlepsze lata miały za sobą. Poszyte, kremowe fragmenty zawijały się i okręcały wokół siebie, jak splecione w walce żmije.

Dziad cerkiewny obrócił się ku mnie i zmierzył wzrokiem. Pod krzaczastymi brwiami kotłowały się emocje, o których bałbym się myśleć, że istnieją.

Po raz pierwszy mogłem zobaczyć, jak bardzo jego twarz jest zmęczona, przeorana zmarszczkami i dziesiątkami lat biedy. Ludzie ubodzy starzeją się znacznie gorzej od tych, którzy żyją dostatnio. Nawet jeśli kiedyś wyrwą się z klątwy nędzy, na zawsze pozostaje na nich piętno przebytych krzywd. Niektórzy patrzą na takich ludzi z pogardą, inni ze współczuciem, większość odwraca wzrok.

– Czemu Federacja tak tępi wiarę? – spytał mnie dziad, głosem syczącego kocura. Jego słowa niosły ze sobą wielki gniew, gotowy wybuchnąć krzykiem. – Gdzie zaprowadziła ich pycha, buta i okrucieństwo?

– Wiara to relikw przesłości – powiedziałem, choć nie wiem, czy w imieniu Federacji, czy swoim własnym. – Pozostałości dawnych czasów, sprzed epoki rozumu. Gdyby świat był prostszy, nawiedzał nas mniejszą ilością stworzeń, wizji i anomalii, wtedy może koleiny losu potoczyłyby się inaczej? Może żylibyśmy w rozproszeniu, chodząc na poranne msze i dziękując Bogu za ten prosty i zrozumiały świat. Tylko świat nie jest zrozumiały i to nas, ludzi, bardzo ubodło w pewnym momencie historii. I wtedy odsunęliśmy Boga z piedestału, a on nie protestował, zaś na jego miejscu postawiliśmy człowieka. Mężczyznę, kobietę, dziecko, z bystrym umysłem, bez jednej ręki, opalonego śniegiem lub wymuskanego morską bryzą. Wiele rzeczy w moim życiu było dla mnie trudne do zrozumienia, ale nigdy to. Idea człowieka jako miary wszechrzeczy.

– Zawiodłem was? – spytał z nagłym smutkiem dziad. – Jako człowiek? Że stchórzyłem w ostatniej chwili? Że nie uwierzyłem w was wystarczająco? Że nie wystarczył mi ten świat?

– O czym ty mówisz, staruszkule? – odparłem pytaniem, cofając się o krok. Czułem, jak serce wali mi pod kurtką, a ręce drżą jak na mrozie.

– Nie umarłem za was – wyszeptał dziad cerkiewny, pokazując mi swoje dłonie. – Artem, nie zabijaj... Rozumiesz mnie? Nie zabijaj. Schowaj swój miecz do pochwy, bo wszyscy, którzy za miecz chwytają, od miecza giną. Cokolwiek chcesz uczynić, pierdol to,

mówię ci to ja, człowiek. Masz mnie głęboko w sercu, wiem to przecież. Posłuchaj mnie choć raz, zostaw to wszystko.

– Nie wiem, o czym mówisz. Martwisz mnie, jestem zmęczony twoimi odwiedzinami, staruszkę i szczerze mam dość. Nie jestem religijnym człowiekiem, a w cerkwiach bywałem tylko dla walorów estetycznych i śpiewu. – Cofnąłem się o krok, rozglądając po pustym wnętrzu. Coś zaszurało za barierkami, gdzie niegdyś stały królewskie wrota. – Chciałbym być zdrowy i mieć spokój, ale wpierw muszę o to zawalczyć.

– Jeśli chwycisz za miecz, zginiesz...

Coś ponownie poruszyło się w gęstej, nieprzeniknionej ciemności, gdzie niegdyś stało prezbiterium. Potworna ciemność zaszumiała nagle dziwnie znajomo...

– Będę musiał lecieć, to jest pożegnanie – powiedziałem, jakby podkreślenie tego miało uczynić to jakkolwiek bardziej realnym. – Wypij za mnie jeszcze herbatę, a ja się za ciebie pomodłę.

Pazury zaskrobały o czarno-białe płytki w przeciwległym końcu cerkwi.

Radiowy szum odbił się od wszystkich ścian, zagracaając powietrze jak zadymka. Potężny podmuch wiatru uderzył o ścianę cerkwi i wleciał przez wybite szyby. Resztki farby osypały się z nieba jak sztuczny, kolorowy śnieg.

– To nie bardzo udana świątynia – szepnął dziad cerkiewny i obrócił się do ciemności, rozkrzyżowując ręce. – Dla nie bardzo udanego Boga.

Rzuciłem się do ucieczki. Rumor walącego się dachu rozbrzmiewał coraz głośniejsze, jak gdyby lawina gruzu znajdowała się tuż za mną. Ściana wiatru, niosącego ze sobą odłamki uderzyła mnie w plecy i powaliła na schody. Potoczyłem się po trzech betonowych stopniach, zakrywając twarz i próbując się nie połamać.

Cisza nastąpiła tak nagle, jak została zmacona.

Gdy tylko wstałem, ruina cerkwi leżała nisko, przy ziemi, pod cienką warstwą wodnistego śniegu. Z nieba leciały pojedyncze śnieżynki, lecz same zgłiszczą wyglądały, jakby zasypało je w ciągu ostatnich paru dni.

– Jeśli jeden nas ignoruje, a drugi stchórzył... to trzeci pewnie nas nienawidzi – szepnąłem, próbując z całych sił przekonać siebie samego, że nic z tego nie było prawdą.

* * *

Zanim wszystko wzięło i się spektakularnie rozpierdoliło, moja obecność wzbudzała zainteresowanie wśród postronnych obserwatorów. Ot, jakaś forma kontaktu ze światem

zewnątrznym, człowiek inny, obcy! No to jak obcy, to nie wiadomo, co też ma ze sobą. Ludzie wypatrywali wiadomości od bliskich, nowin, zagrożenia, czy szanse na zarobek – w tym obywatele od zawsze byli świetni.

Nie umiałem sobie wyobrazić wielu osób, które dostrzeżone na rogatkach miasta potrafiłyby zrobić większe wrażenie, niż dróżnik. Istniał natomiast pewien wyjątek, który tego dnia nieomal wjechał mi na czołowe zderzenie.

Manewrowałem w polu obsianym betonowymi resztkami po wyburzeniu jednej z tysięcy inwestycji, które niegdyś były niezbędne, dalekowzroczne i odpowiedzialne, a po czasie okazały się nierentownymi, wysysającymi budżet dziurami bez dna. Żelazne druty sterczały na wszystkie strony niczym wyrastające z czarnego pieprzyka długie włosy. Obsypany rudą ospą rdzy znak informował wszystkich przejezdnych, że depczą pamięć dawniej potężnego zakładu gazyfikacji węgla.

I mniej więcej za tym znakiem przez warczenie silnika przebiło się szczekanie psa. W ostatniej chwili dostrzegłem dwójkę futrzastych bestii, wyskakujących zza przeszkody. Odbiłem w bok i wyhamowałem gwałtownie, by nie polecieć w niekontrolowany wiraż.

Znałem dróżnika, który na niemal prostej drodze podskoczył, zawirował w powietrzu i dał się wytrzewić pod ciężarem własnego skutera. Nadal lepsza śmierć niż wpadnięcie do zamrożonego szamba, ale też zawsze to miałem z tyłu głowy. Widmo gównianej śmierci było trwalsze od Federacji.

Mieszanina śniegu i miału węglowego bryzgnęła na wszystkie strony. Ujadania wzmożyły się, zupełnie tak, jakby wściekła sfora miała zaraz skoczyć ku mnie. Starłem burą masę z wizjera kasku, wiedząc, że nie zdążę wyjąć broni.

Nagle zabrzmiało krótkie, specyficzne mlaśnięcie. Jakby ktoś cmoknął z uznaniem albo posłał mi najbardziej nieudanego całusa w historii.

Spojrzałem w bok i dostrzegłem, że sześć psów stoi w dwóch równych kolumnach, wpiętych do wielkich, drewnianych sań. Na tej burej kupie futer wyróżniała się siwa kupa innych futer, te jednak spoglądały na mnie zza drewnianych okularów, chroniących przed ślepotą śnieżną, choć ostatni śnieg widziałem kilometry temu.

Gdyby nie mój kask, pewnie też już dawno bym oślepl. Śnieg potrafi zrównać wszystkie kolory w jednolitą białość, która z czasem zatracza kształty, odległości, a w końcu i ponownie kolor. Czasami w życiu jest tak białe, że robi się czarno. W zasadzie to żadna różnica, w jaki sposób człowiek jest ślepy. No, chyba że widzi tylko czerwień, wtedy robi się niewesoło.

– Uważaj, jak jeździsz – odezwał się głośno facet w średnim wieku. Nawet nie drgnął i gdybym na niego nie patrzył, to nie odróżniłbym go od tła. – Prawie mnie stratowałeś!

– Wyskoczyłeś mi na drogę – zachnąłem się dla zasady. W zasadzie to obaj mogliśmy powiedzieć to samo.

– To moja droga!

– Ta, jasne...

Ku mojemu zaskoczeniu facet powoli zszedł z sań i stanął na ziemi. Był niski jak nastolatek i poruszał się bardzo szybkimi, rwanymi ruchami. Podszedł do zardzewiałego znaku i pociągnął go mocno do siebie, wyrywając go ze sterty pyłu i gruzu.

– Moja! – krzyknął po raz drugi, wskazując na dziwny, ledwie widoczny symbol, wyrysowany na tyle tablicy. – Podpisałem, tak to się u was robi, tak?

Powiem szczerze, że zbił mnie z pantałyku. Bo facet faktycznie podpisał się na drodze, na której nieomal się stuknęliśmy. Nie miałem siły nawet tłumaczyć się, że z tym posiadaniem drogi, to chyba nie do końca prawda i nawet jakby mnie wałnął na swojej drodze, to nie czyni go wcale lepszym, ale zamiast tego po prostu machnąłem ręką.

Zostało mi w końcu mało życia.

– Przepraszam, zagapiłem się w trakcie...

– No, ty w ogóle jesteś zagubiony i przeklęty – dorzucił facet i postukał się teatralnie w głowę, po czym popędził psy. – Pierdolnięty jak siekiera o ścianę!

Zwierzęta ochoczo skoczyły do targania sań, choć nie każde zdążyło wypocząć. Jedno ze środkowej pary poruszało się na podkulonych nogach, załatwiając potrzeby naturalne w biegu.

Dopiero, gdy dostrzegłem sześć merdających nisko ogonów, oddalających się ode mnie, zrozumiałem, że coś mi umknęło.

Co on miał na myśli? Zafiksowałem się na tym, co powiedział, bo jedno to wykrzyknąć na kogoś złość podczas niedoszłej kolizji, a co innego...

Wygiąłem kierownicę, dałem gazu i posunąłem po łuku, omijając gruzowisko. Skuter warczał i charczał nie mniej od psiego zaprzęgu, ale szybko dogonił do umykającego mi obcego. Zrównałem się z nim i machnąłem ręką, lecz ten nic sobie z tego nie zrobił. Pomachałem drugi raz, na co on tylko pośpieszył psy.

Spojrzałem na prędkościomierz, momentami dobijał prawie pod trzydziestkę. Pokiwałem głową z uznaniem i poluzowałem dłonie na kierownicy.

Sanie pędziły jak złe, manewrując wśród przeszkód widzialnych, jak i niewidzialnych gołym okiem. Nauczony wieloma bolesnymi lekcjami, dostosowałem się do mojego przypadkowego przewodnika i jechałem jego śladem.

Prędko wyjechaliśmy z terenu konglomeratu aż na szerokie wzniesienie, które rozciągało się niczym wielka, nabrzmiąca fala, wywołana podwodnym ruchem jakiegoś wieloryba. Gładko szusowaliśmy przez pokryte świeżym puchem bezdroża, gdzie nie dolatywał żółtawy i czarny pył znad Sahara. Na północnym zachodzie rozciągało się pasmo wysokich gór, z których swój początek brał Ister. Szerokie żleby pokrywała platynowa warstwa śniegu, zjeżdżającego po zboczach i formującego się w przedziwne kształty. Jedne przypominały kielichy na cienkich nóżkach, inne drzewa, lecz najmocniej rzucał się w oczy centralny wobec pewnej góry, niemalże równo wycięty kształt ludzkiego ciała. Obrys napawał lękiem, miał w sobie coś zarówno z bajek o górskich gigantach, jak i konturów wymalowywanych kredą w miejscu morderstw.

Podróż ciągnęła się strasznie długo, ale co najdziwniejsze, nie wydarzyło się nic wartego odnotowania. Po raz pierwszy poczułem, że jazda nie jest dla mnie męczarnią, cierpieniem, wyzwaniem. Powoli przecieraliśmy szlak przy temperaturze oscylującej nieustannie w okolicach zera. Przy dwudziestu pięciu na godzinę wiatr nawet nie wiał z tą zwyczajową mocą, która pomimo wielu warstw ubrań wdzierała się za kołnierz i obdzierała ciało z naskórka. Jednak chyba największym zaskoczeniem było dla mnie to, że obcy jechał dokładnie tam, gdzie sam miałem zamiar się udać. W pewnym momencie zaczęło to być wręcz niepokojące, jak długi czas nie zatrzymywał się i utrzymywał kurs na północ.

W kierunku gór, do źródła, do miejsca wypełnienia trumny.

Mój umysł opanowała wizja zemsty. Zasadzona dawno temu, podlewana marnością tego, co pozostało z Federacji i mojego życia, wreszcie wykiełkowała w zgoła przypadkowym momencie. W zasadzie to każdy moment byłby tak samo dobry, by zdać sobie sprawę, że nie chce się żyć w tym świecie. Jediną możliwością, by rozwiązać ten konflikt, jest zniszczyć siebie lub świat. A tak się złożyło w moim życiu, że miałem ku obu tym rzeczom idealne narzędzia.

Jednak w pewnym momencie odbiliśmy z obranej trasy i zaczął się prawdziwy test moich przeczuć i fanaberii. Oto oddalałem się do celu mojej podróży, a obcy prowadził mnie gdzieś w głąb terenu, gdzie ogromna przestrzeń między górami zjeżdżała coraz niżej do miejsca, gdzie zbierała się woda. Drobinę śniegu padały na taflę spokojnego stawu, do którego nie dopływało żadne widoczne gołym okiem źródło wody. Z kolei przy samym

zbiorniku wodnym sterczał długi, kremowy kształt, przypominający wielką muszlę lub wydnię.

Zamachałem ponownie do zaprzęgu, lecz jadący nawet nie zwrócił na to uwagi. Zacisnąłem zęby i po prostu podążyłem jego śladem aż do brzegu zbiornika.

Zaprzęg zwolnił tuż obok wielkiego kształtu, który teraz, z bliska, wydał mi się niezwykle ciekawy, a ta ciekawość szybko wybuchła i przeobraziła się w fascynację.

Ogromny szkielet czegoś, co przypominało wieloryba, postawiony został na kilku drewnianych palach i obleczony w różne materiały, skóry i brezentowe płachty. Ten wielki namiot, przedziwna grota, rozdziawiał się długim, niskim pyskiem, pod którym ledwie bym się zmieścił w kuckach. Wykopana w zimnej ziemi dziura łączyła zewnętrzną przestrzeń niewielkiego ogródka zielnego z naniesionej ziemi oraz smoliście czarny otwór paszczy, prowadzący do nadętego wnętrza.

Siedziałem w siodle skutera jak urzeczony, widokiem o tyle niecodziennym, co dziwnie znajomym. Szeroki kojec dla psów z budami na podwyższeniach został całkowicie zawłaszczony przez obiadowe resztki i turlające się po ziemi sterty wypadłej sierści. Dookoła szkieletu obsypano niewielką elipsę z kolorowych kamieni, zaś w miejscach, gdzie izolacja opinała wielorybie żebra, zwisały drobne, wiązane z rzemyków amuleciki.

Pierwszy raz od dawna widziałem coś, co mogłem nazwać czymś domem. Nie tymczasowo wydelegowanym mieszkaniem, jednym z tysięcy identycznych, a właśnie domem. Zbudowany od zera wedle możliwości i potrzeb, dostosowany do właściciela i całym sobą oddający historię jego życia. Im dłużej spoglądałem na strukturę, tym więcej widziałem szczegółów, zdradzających codziennie zajęcia mieszkającego tam człowieka.

Obcy rozpiął swoje psy, poszeptał do nich coś w dziwnym języku, po czym każdego zaprowadził do swojej budy, przy której od razu legły grzecznie. Nie musiał ich nawet uwiązywać, bo i tak nie miały dokąd odejść i też nie było po co.

Wreszcie wrócił do mnie, spojrzał z odległości tak niewielkiej, że byłem przekonany, iż chce mnie uderzyć z zaskoczenia.

– No i dobra, włącz – powiedział dziarsko, wyciągając dłoń w rękawicze z foczego futra.

– Ano włączę – odparłem, ściskając swoją rękawiczką, szytą przez maszynę według jednolitego wzoru.

Do wnętrza lewiatana należało się wczółgać przez otwór podobny do tych, które strzegą ciepłego powietrza wewnątrz lodowych schronień Gruczników. Mnie, w przeciwieństwie do biblijnego Jonasza, wieloryb w żaden sposób nie pomógł dostać się do

środka. Musiałem z trudem przeciskać się i wiercić jak ogromna śrubka, próbująca wejść w stwardniałe drewno.

Środek wielkiego namiotu był duszny, wypełniony gorącym powietrzem i zapachem ziół oraz suszonego mięsa. Mimo tego, że właściciel musiał zostawić to miejsce wiele godzin temu, to nadal trzymało ono ciepło, jakby ktoś regularnie palił w kominku. Ot, cuda termodynamiki w służbie ludzkości.

Część podbrzusznno-ogonowa wieloryba została przesłonięta grubą firaną, zapewne po to, by dać właścicielowi poczucie intymności na swoim posłaniu. *Summa summarum* można by uznać wieloryba za dwupokojowe mieszkanie z przedpokojem, więc standard nie odbiegał wiele od życia przeciętnego mieszkańca Magnetańska.

– Ja jestem Drozd, szaman, a ty? – spytał tak po prostu facet i zaczął się rozplaszczać ze swoich grubych futer.

– Artem... Artem Ja...

– Bez nazwisk! – przerwał mi kategorycznie. – Nie potrzebuję twojego nazwiska. Artem mi wystarczy.

Szaman Drozd wyszczerzył się lekko pożółkłym zębami o szerokiej diastemie i odgarnął kosmyk brązowych włosów, zachodzących na łysinę. Dopiero gdy się rozebrał i stanął bliżej mnie, mogłem dostrzec, że jest ode mnie starszy i to znacznie.

Wewnątrz wieloryba panował przyjemny półmrok, do którego oczy szybko dostosowywały się w miarę upływu czasu. Mimo to Drozd dopomógł nam nieco, stawiając czajnik na palnik gazowy. Błękitny ogień rozświetlił ciemności jak ujarzmiony, błędny ognik.

– Ciężko być szamanem? – spytałem z głupia frant.

– Na pewno ciężiej niż dróżnikiem – odparł, puszczając mi oczko.

Serce podeszło mi do gardła. Poczułem, że ściany zaczynają się zaciskać na mnie, a wewnątrz wieloryba falować. Gigant połknął mnie i zakleszczył pysk. Za mną rozciągała się jedynie brama z białych fiszbinów, a przede mną gęstniejąca, czerwona ciemność, gdzie miałem dokonać swojego żywota.

– Oddychaj, spokojnie, po prostu oddychaj – szepnął Drozd, przykładając mi pod nos jakąś gałązkę.

Nie wiem, ile czasu minęło, ale na niskim, szerokim pniu obłożonym skórą, leżały już dwie żeliwne czarki z herbatą. Co najmniej kilka minut upłynęło, gdy tak wgapiąłem się w mrok wielorybich wnętrzności.

– Przepraszam, ja po prostu...

– Jesteś chory, widzę to – powiedział poważnie szaman, drapiąc się pod okiem tak, by ominąć kilka paskudnych pieprzyków. – I nikt cię nie obejrzał, prawda?

– Obejrzał mnie jeden doktor w Sahalu, specjalista do spraw chorób radiacyjnych.

– Patałach w dupę kopany – orzekł szaman, upijając z czarki herbaty tak gęstej, że uwierzyłbym, że to smar silnikowy. – Ludzie zapominają, że oprócz ciała i rozumu jest też dusza. To twoja dusza jest chora, ale Federacja cię nie uleczy. W Federacji dusza jest zakazana, jest tylko duch narodu, a o duszy się nie mówi.

– Nie jestem religijnym człowiekiem.

– To nie religia, to są fakty. Dusza jest nie mniej prawdziwa od trzustki, Artemie, dróżniku o błękitnym skuterze. Ciągnie się za tobą widmo nieszczęść i cierpienia. Jednak to, co ciebie spotkało, jest niczym w porównaniu do tego, co chcesz sprowadzić na innych.

Ukryłem wzrok w herbacie. Na moment w odbiciu dostrzegłem własną twarz o skórze przypominającej macerowaną pomarańczę. Czasami miałem w sobie takie ukłucie, nawet nie był to lęk ani żal, ale coś w rodzaju konsternacji, gdy spoglądałem w lustro. To mogły być dni lub tygodnie, ale prędzej czy później zdarzało mi się przejrzeć się w kałuży czy kawałku szkła i dostrzec własną twarz. Ona zawsze była inna, trochę obca. Niby potrafiłem udowodnić sobie, że to moja twarz, ale za każdym razem było to dla mnie pewnego rodzaju zaskoczenie. Krótka myśl: aha, ja tak wyglądam, no dobrze.

– Zaraziłem się Babą Jagą w jednej wsi. Nie zostało z niej nic, tylko szkielety. Chyba zmarli z zimna, głodu i wszystkiego naraz. Mieli czarne kości, jak ofiary szkorbutu, a ich dusze zmieniły się w wielką stonogę, buszującą pomiędzy wyszabrowanymi domami przy starym gospodarstwie rolnym.

– I co jeszcze widziałeś?

– Wiele rzeczy, naprawdę wiele i nie wszystkie potrafię sobie przypomnieć. Rozmawiałem z doliną, która przechadzała się przez zaśnieżone pole. Chyba zaplątała się w linie energetyczne, bo była już tak stara i... Nie, nie stara, okaleczona. Myśmy ją okaleczyli, ale nie dla samego okaleczenia. Po prostu potrzebowaliśmy kolejnych szybów wydobywczych, by sprostać planom produkcyjnym.

– Doliny to najspokojniejsze z duchów – stwierdził Drozd, kiwając poważnie głową.

– O wiele przyjemniejsze partnerki do rozmów niż góry i lasy.

– Ale najgorsza jest Baba Jaga. Męczy mnie wizjami i śmiechem, lata za mną. A ja nieustannie przyśpieszam, jadę coraz szybciej, a ona tylko się śmieje i dotrzymuje mi tempa. Bawi się mną, bo jestem pewny, że gdyby chciała, już dawno by mnie zabiła.

– Ktoś widocznie rzucił na ciebie klątwę albo zaraziłeś się nią od innych.

Wzruszyłem ramionami, nieszczerownie przykładając wagę do słów Drozda. Jeśliby nazwał grypę chorobą duszy, to nie zmieniłoby to mojego życia w żaden sposób. A gdyby lekarstwo na grypę uznał za święty eliksir, to też nic by się nie stało. Desperacja w walce o zdrowie walczyła we mnie z bezradnością i racjonalnością. Nie chciałem zostać jednym z tych, którzy oddają ostatnią parę skarpet szarlatanom w nadziei na poprawę losu.

– Po prostu jestem chory, tak myślę. Czasami ludzie są chorzy, ja jestem chory i muszę to zaakceptować.

– To po co za mną jechałeś? – spytał Drozd, wgapiając się w podwieszony z wielorybiego kręgosłupa talizman. Na prostym rzemieniu zwisało druciane okienko, w które ktoś wprasował denko od zielonej butelki. Naszyjnik co rusz obracał się i błyskał światłem odbitym z podgrzewacza herbaty. – Gdyby to była tylko choroba, to byś do mnie nie przyjechał, nie marnował życia na takie bzdury. Chcesz mnie zarazić tą chorobą?

– Nie wydajesz się przestraszony.

– Bo nie jestem, chronią mnie potężne mocne. Moja dusza jest czysta, odcięta od ludzkich problemów. Towarzyszą mi psy, ptaki, ziemia, niebo... Na pewno nie towarzyszą mi te ludzkie problemy, które nawarstwiają się w trujących miastach.

– Mimo to masz czajnik...

– Tak, mam i co z tego?

– Psioczysz na ludzkość, a korzystasz z jej dobrodziejstw.

– Artem, czy ciebie popierdoliło do reszty? Psioczę na ludzką chciwość, niszczenie siebie i innych, kompletne nieliczenie się z wolnością i prawem do samostanowienia. A nie, kurwa, przeciwko waflom kukurydzianym i kocom elektrycznym. – Drozd machnął ręką, mieląc w ustach coś, co mogło stać się przekleństwem, ale zostało rozwodnione wewnątrz herbaty do postaci pomruku. – Im szybciej zobaczysz, że w miastach nie ma nic, czego potrzebujesz, tym lepiej.

– A co z ludźmi, którzy w nich żyją?

– Niech też wyjadą. Świeć im przykładem, tylko nie zostań zakładnikiem ich oczekiwań. Wierz mi, że nie ma nic gorszego, niż powieszenie się na nierozwiązywalnym węźle... O wiele lepiej go zostawić niż przecinać. Nie walcz z tym, zostaw to w cholerę. Znasz takie przysłowie? Nie ruszaj gówna, bo gówno śmierdzi.

– Od dawna tu mieszkasz sam?

Szaman wsłuchał się na moment w dźwięki dobiegające z zewnątrz. Zawiał wiatr, napinający skórę na wielorybie. Jeden z psów rozszczękał się nagle, zaś za nim poczęły szczekać pozostałe z zaprzęgowych czworonogów.

Drozd przyłożył palec do ust i spojrzał nieufnie w górę. Kilka z talizmanów, ukrytych w ciemnościach, zaczęło drżeć do ruchu wiatru, lecz zaraz przestały.

– Od wielu lat. Kiedyś mieszkalem bliżej lasu, ale przyszły mrozy i pojechałem na zachód. Chciałem ruszyć dalej, jeszcze hen za horyzont, do ciepłego morza... ale zabrakło mi odwagi i siły. Teraz nawet mam odwagę, ale brakuje młodości. Osiadłem jak i ten wieloryb. Niegdyś tu było dno wielkiego oceanu, ale pozostało po nim tylko to... pusta przestrzeń, do której spływa energia duchowa. Przyjdą takie dni, gdy i to jezioro wyschnie, ale mam nadzieję, że tego nie dożyję.

Siedzieliśmy dłuższy czas w ciszy. Okazja do rozgrzania się wewnątrz namiotu była wartością samą w sobie, ale coraz częściej nachodziły mnie myśli, że nie mogę sobie pozwolić na odpoczynek. Musiałem być nieustannie w ruchu, żyć w ruchu, umrzeć w ruchu. W końcu sam nie byłem pewny, kiedy nadejdzie mój koniec. Moje życie przestało być moje w pełni, zostałem wyparty przez rozchodzącą się po organizmie radiację, która niczym komórki rakowe pożerała kolejne części mnie. Każdego dnia coraz dłuższe stawały się momenty terroru, koszmaru na jawie, po którym budziłem się z nagłym poczuciem, że moją świadomość ominęły pewne wydarzenia. Obawiałem się momentu, gdy wreszcie przestanę się budzić i zostanę jednym, wielkim, nieświadomym momentem. Pasażerem na tylnym siedzeniu własnego życia.

– Podoba ci się któryś? – spytał szaman, wskazując na ekspozycję złożoną z medalioników, drewnianych zawieszek i zwiniętych w tubki karteczek. – Możemy się wymienić.

– Handel kwitnie nawet w takim miejscu jak to?

– Oj, handel jest w ludzkiej naturze, tego już nie zmienimy – powiedział Drozd i zaśmiał się głośno, ale zaraz zmierzył mnie podejrzliwym wzrokiem. – No, ale obaj mamy chyba coś cennego na sprzedaż, prawda? Na pewno masz narzędzia, paliwo, jedzenie...

– Potrzebuję ich, by się dostać w pewne miejsce.

– Widzę, że się śpieszysz... Masz zamiar zrobić coś bardzo głupiego i co najważniejsze – złego. Nikt ci tego nie wybaczy, zwłaszcza ty sam. Jeśli pozbawię cię tej możliwości, to spełnię dobry uczynek.

Poderwałem się z siedzenia, gotowy do obrony. Szaman jednak popatrzył na mnie z mieszaniną zaskoczenia i zażenowania. Przysiadłem i drżącą dłońią znów sięgnąłem po herbatę.

– Złe wspomnienia, co? – spytał. – I tak chcesz żyć? Jak zwierzę uciekające przed obławą? Spalić za sobą kilka mostów i poczekać, aż wytropi cię pogoń, śmierdząca spalenizną i pyłem? Myślę, że szkoda na to życia.

– Nie zostało mi go wiele.

– A próbowałeś się leczyć?

Szaman spojrzał na mnie kpiąco i zachichotał. Jego rozbawienie szybko zostało przerwane przez ponowne ujadanie kundli. Tym razem wiatr szarpnął szkieletem wieloryba ze znaczną mocą. Płomyk pod czajnikiem zadygotał i zaraz zgasł.

Do naszych uszu dotarło dalekie, ledwie wyczuwalne echo śmiechu.

– Uuu, no faktycznie u ciebie niewesoło – stwierdził Drozd i zanurzył się gdzieś w głąb niewielkiego pomieszczenia. Szybko wrócił z poskręcaną gałązką, którą przypalił zwykłą zapalniczką i zaczął okadzać mnie dookoła jak jakaś czarownica. – Spróbuj pomyśleć o czymś nieprzyjemnym.

– Chyba przyjemnym – odparłem, zaciskając nos z całej siły. Zapach wciskał się w nozdrza i gryzł, jakby ktoś kroił przy mnie stos cebul dla całego batalionu wojska. – Żeby się zrelaksować, tak?

– Głuchy jesteś czy pierdolnięty?

– Pierdolnięty.

– Nikt nie lubi się podcierać, a raz na tydzień trzeba. A teraz morda w kubel i myśl o najnieprzyjemniejszych rzeczach, jakich potrafisz.

Oczywiście nie posłuchałem go, bo jakże to tak? Było mi nawet miło, a przynajmniej zajmująco, tak siedzieć sobie w jego domu i popijać herbatę. Natomiast nie mam zwyczaju uzewnętrzniać się przed obcymi, a już zwłaszcza przed wariatami. Jeszcze kilka miesięcy wcześniej pewnie napisałbym na niego donos do władz, ale po wszystkich wydarzeniach od wyruszenia z Magnetańska mogłem pozwolić sobie na przymknięcie oka i pewną tolerancję.

Mimo wszystko szaman nie jest prawdziwym lekarzem i nic mojej opinii zmienić nie mogło.

Nagle szaman Drozd strzelił mi siarczystą lepą w potylicę i krzyknął:

– Szaman jest lekarzem dusz!

I jak gdyby nigdy nic wrócił do okadzania mnie. Muszę przyznać, że lekko zmiękły mi nogi. Nagle wewnątrz wieloryba wydało się na powrót ciemne, straszne i inwazyjne. Wielkie, czerwono-czarne płachty materiału napierały na mnie z każdej strony jak wewnątrz żołądka, gotowego strawić poranne śniadanie.

Myślami zawędrowałem w obszary na wskroś wypaczone, splamione krwią i brudne. Obskurne zakamarki poddasza, kąty piwnic, stare szopy, o których dzieci zawsze mówią, że mieszkają w nich potwory.

Przed oczami stanęła mi stonoga, owijająca się wokół mnie setkami ramion, czułkami z czaszkami i chitynowym pancerzem ludzkich ścięgien. Fascynacja oplatała mnie cienką warstwą, izolującą od napierającego, potwornego strachu. Tyle lat ciekawość wodziła mnie na pokuszenie, ale nigdy nie zrobiła mi krzywdy, z której bym się nie podniósł. Omamiła mnie doświadczeniem i przekonała, że jestem nieśmiertelny. A to przecież bajka, na którą nabierają się głównie stare dzieci.

– Głębiej – szepnął szaman, ale jego głos dobiegał z daleka.

Bardziej od niebezpieczeństw dziczy bałem się zagrożeń cywilizacji. Całe życie spędziłem w lęku przed zawiedzeniem Federacji, przed splamieniem przysłowiowego munduru, choć moja ocieplana kurtka i tak była plamiona i cerowana tysiące razy. Wszystko, co posiadałem i każdy, kogo znałem, był w posiadaniu Federacji i za jej rozkazem mógł zostać mi odebrany. Zdrada służby to był inny rodzaj śmierci, śmierć przez osamotnienie, pozbawienie domu, pozbawienie statusu prawnego, pozbawienie relacji z innymi ludźmi. Czy tego chciałem, czy nie, musiałem być dróżnikiem. A w obliczu nieuchronnego postanowiłem uciec w przód, zostać pionierem, być dumnym z tych samotnych, zimnych podróży.

Głos szamana zmienił się w odległe pomruki, wymieszane z odbijającym się od szczytów gór śmiechem. Baba Jaga szydziła ze mnie, bo znała moje lęki doskonale. Nie mogłem się od niej uwolnić tak długo, jak pętał mnie mój własny strach.

Na dnie tych lęków, głęboko pod tymi ziszczonymi i tymi, które nigdy nie nadeszły, znajdował się jeszcze jeden. Strach, o którym dróżnicy nie myślą, tak jak pływak nie myśli o tym, jak się tonie.

Strach przed ostateczną formą samotności – zgubieniem się. Pozostaniem samemu w śnieżnej pustce, tak bardzo samotnym, że nie ma się nawet własnych zmysłów do towarzystwa. Jest tylko szum wiatru, biel na dole i biel na górze, brak kierunku. Setki kilometrów do najbliższego schronienia i świadomość, że nie da się rady. Ludzki organizm nie jest w stanie tego przetrwać, a nawet gdyby był, to jest jeszcze umysł, a także, jeśli Drozd mówił prawdę, ludzka dusza. Równie dobrze mógłbym znajdować się na pokładzie zezłomowanego okrętu kosmicznego, zawieszonego w próżni. Szanse przetrwania nie różniłyby się znacząco, a temperatury czy przyciąganie grawitacyjne to tylko szczegóły.

Można by pomyśleć, że dróżnik to ktoś, kto kocha być sam w trasie, ale ciężko mi w to uwierzyć. Gdyby nie świadomość, że mam do czego wracać, zginąłbym niechybnie

w dziczy. To właśnie to zawieszenie i przywiązanie sprawia, że człowiek wraca z podróży, tak jak ten zniszczony okręt prędej czy później zostanie wciągnięty w pole grawitacyjne ojczystej planety i wróci na jej powierzchnię. W jakim stanie, to już inna kwestia.

Potrzebowałem nowego domu.

– Weź oddech! – powiedział zdenerwowanym głosem szaman, jakby próbował przekrzyczeć wycie wichury. – Nabierz powietrza!

Ciało zareagowało szybciej niż umysł, jak to zwykle ma miejsce w chwilach, od których zależy ludzkie życie.

Tysiące ostrych, lodowych szpil wkuło mi się w twarz. Coś trzymało mnie z każdej strony, jak kaftan bezpieczeństwa albo uścisk jakiegoś egzotycznego węża. Nie mogłem otworzyć oczu, ale też i nie chciałem, czując, że gdybym tylko wielkim wysiłkiem odciągnął powieki, to zaraz jedna z zimnych igieł przebiłaby moje źrenice.

Nabierające wody uszy szalały od niezidentyfikowanych bodźców, wyławianych spośród harmidru. Krzyk szamana łączył się z krzykiem innej osoby. Ziemia drżała, woda burzyła się, jakby ktoś zaczął ją gotować pod moją twarzą, zaś wcześniej obecne wichry przemieniły się w regularną zamieć.

Poczułem, że zaczyna brakować mi powietrza. Płuca lepiły się do pustki, błagając o litość, a mięśnie napinały niekontrolowanie i rzucały mną jak w ataku padaczki. Dopiero gdy doszedł do mnie strach tak potężny, tak zwierzęcy, że tylko bliski kontakt ze śmiercią może się z nim równać, wtedy właśnie nadeszła Baba Jaga.

Coś przesunęło się z głębi mnie, jak wymioty albo odkrztuszana ość. Długi, lepki wij wyslizgnął się przez krtani i zatkał całą swoją osobą jedno z nozdrzy. Ten moment, tak przeraźliwy i odrzucający, siłą rozerwał moje powieki i kazał dostrzec jak czarny, długi na metr pasożyt opuszcza moje ciało i zaczyna skręcać się wewnątrz lodowatego jeziora. Niezdolny do wypłynięcia na powierzchnię, wygiął się w przedziwny kształt i po raz ostatni skierował na mnie swoją pozbawioną oczu jamę gębową po czym zniknął w czarnej otchłani. Woda, tak mroźna, że aż odczuwana jedynie jako gęsty, oblewający ciało ból, zagarnęła ofiarę na dno.

Drozd pociągnął mnie za kark i odrzucił na piaszczysty brzeg.

Próbowałem złapać oddech i wykaszeleć płyn z płuc jednocześnie. Niedoświadczony w nurkowaniu na zmianę rzucałem się po ziemi, myśląc, że to mój koniec, a jednocześnie co chwila łapałem się na tym, że już mogę oddychać. Wszystko to tylko po to, by szybko powtórzyć całą sekwencję i znów znaleźć się bez tchu w ciemnej masie piachu i śniegu.

– Myślałeś, że to zwykła choroba, jak rak albo grypa – wyrzekł szaman. – Potem sądziłeś, że oszalałeś. Teraz masz prawo myśleć, że jesteś przeklęty. Co byś jednak nie zrobił, byłeś tylko obiektem, który przeglądał się w różnych lustrach. Inni ludzie są zwierciadłami, w których nieustannie oglądamy się i próbujemy rozpoznać siebie na nowo. Dlatego bez przerwy wydaje nam się, że coś się zmieniło, że z każdym dniem odkrywamy siebie na nowo i ku własnej zgrozie. Raz jesteśmy dobrymi uczniami, raz złymi podwładnymi, innym razem nieudacznikami, zakałami rodziny albo bohaterami porzuconych. To wszystko tylko krzywe lustro, tak nas widzą inni. Nie dawaj się temu. Nie próbuj się podporządkować temu, za kogo mają cię inni. Nie potrzebujesz odkupywać win, nie musisz się mścić za krzywdy, nie jesteś u nikogo zadłużony własnym życiem. Idź w świat, zobacz, jak on wygląda naprawdę. Nie przeglądaj się w nim, a podziwiał go, w całej jego ohydzie i pięknie... Uznaj to za poradę lekarską, dobrze?

– Tak... – zdołałem tylko wycharczeć, czując ból z tyłu gardła.

Szaman wyprostował się z dumą i spojrzał gdzieś w kierunku jeziora. W jego oczach błysnął smutek, z jakim ogląda się po latach albumy pełne zdjęć z lepszego życia.

– Nikt nie jest twoim wrogiem, nie masz z nikim konfrontacji. Życie kończy się w momencie, w którym ty o tym zdecydujesz. Nie musisz jeździć w kółko, czekając na to, aż coś się stanie... No dobrze... To przyjemności mamy za sobą. Pogadajmy teraz o zapłacie! – Drozd klepnął mnie w plecy tak, że aż znowu się zakrztusiłem. – Myślę, że będę potrzebował stu litrów benzyny, kanister oleju napędowego, tą składaną łopatkę, co ją widziałem... A no tak! I oczywiście piłę mechaniczną. Do tego zapasowy akumulator, to sobie przynajmniej coś tam żarówkę odpalę, bo noce niedługo ciemne się zrobią i pełne koszmarów...

– Moment, chwila... Wstrzymaj konie, a raczej psy zaprzęgowe. – Zerwałem się na równe nogi i zbliżyłem do Drozda. Twarz miał ściągniętą w wyrazie jakiegoś absolutnego upojenia zwycięstwem. – Ja jestem ci wdzięczny, naprawdę. To znaczy, może jeszcze efektów nie widzę, ale cokolwiek tam odsmarknałem, to lepiej, że tego we mnie nie ma.

Wiatr ucichł, pozostawiając okolicę spokojną, skąpaną w pomarańczowej poświacie. Przejrzyste, mroźne jezioro zastygło w bezruchu, odbijając wiszące na horyzoncie słońce. Gdzieś wzdłuż łańcucha górskiego ciągnęły się pojedyncze smugi ni to chmur, ni to dymu, lecz żadna nie przypominała anomalii. Świat zdawał się tak harmonijny, jak nie był od lat.

– Artem, po co ci broń? – spytał szaman, spoglądając na mnie przenikliwym wzrokiem.

– By się bronić, może czasem polować. Nie jestem zbyt dobrym strzelcem i nawet nie miałem okazji jej użyć za bardzo, ale...

– Nie, Artem... Broń, po co ci broń?

– Mówię przecież, że...

– Artem, kurwa, odpowiedz mi. Po co wiesz ze sobą broń? Dokąd? Kogo chcesz zabić? Ilu ludzi? Dziesiątki tysięcy? Setki tysięcy?

Zrozumiałem, że mówił o stabilizatorze ekosfery i zrobiło mi się znów chłodniej. Poczułem, że zagrożenie zbliża się do mnie wielkimi krokami. Nie mogłem zaufać byle komu i pozwolić, by broń wpadła w niepowołane ręce. Sam fakt, że ktoś taki jak szaman mógł o niej rozpowiedzieć i mnie wytropić, stanowił ogromne ryzyko.

– To nie jest twoja sprawa, co z nią robisz. Ta broń to własność Federacji i została mi legalnie powierzona na czas sprawowania służby...

– Której już nie sprawujesz, prawda? Jesteś wolnym człowiekiem, a raczej skreślonym. Nie ma dla ciebie miejsca w Federacji i dobrze o tym wiesz. Cokolwiek sobie umyśliłeś, nie możesz tego zrobić.

– Powtarzam, że to nie twoja sprawa.

– Morderca patrzy ci z oczu, Artem. Nie, kurwa, gorzej... Jebany ludobójca. – Szaman szybko zmienił ton głosu. Patrzył na mnie wilkiem i cedził głoski, jakby powstrzymywał się przed kolejną wiązką przekleństw. – Po tym wszystkim, co mi powiedziałeś, myślałeś, że puszcę cię wolno?

Chłód przemienił się w mróz. Zmierzyłem szamana wzrokiem i dostrzegłem, jak jego bujna broda elektryzuje się, a w oczach tańczą dwie, błękitne kulki niczym tonie bliźniaczych stawów.

– Co ci... powiedziałem? Chuja ci powiedziałem, znachorze jebany.

– A Jekaterina i Wiera? Paczka, którą dowiozłeś, przyczyniła się do ich śmierci. Przez lata miałeś gdzieś, co Federacja robi z ludźmi, ludźmi takimi jak ja, wolnymi ludźmi! Obozy pracy, tłamszenie protestów, rozstrzelania. W piździe to miałeś, dopóki nie dotknęło to ciebie. Wyłączyłeś mózg, nie, gorzej, wyłączyłeś sumienie. Kundliłeś się na łańcuchu Oksany chuj wie po co na zadupiu świata. – Szaman wyprostował się, przybierając nową, godną pozę. Jego twarz pociemniała, zmieniła się w granitową maskę pełną śnieżnych drobin i czarnych odprysków. – Wewnątrz namiotu wszystko mi powiedziałeś. Przeczytałem sobie to z ciebie jak z otwartej książki. Byłby z ciebie niezły szaman, gdybyś urodził się gdzieś indziej, może wśród swoich, w plemieniu tak jak ja. Ale chuj w to, bo jakbyś się urodził wśród moich, to pewnie zdechłbyś w obozie pracy. Nie chodziłbyś na schadzki przodowników pracy, tylko ryłbyś łapami w zmarzlinie, budując fundamenty tego twojego zasranego rajy na ziemi.

– Przykro mi z powodu twojej rodziny – odparłem sucho, cofając się o krok.

– I ze wzajemnością, ale wiesz, jaka jest różnica? Ja postanowiłem pójść dalej. Żyć tak, by reszta mojego życia nie była jamą w cieniu tragedii. Ty się kręcisz dookoła tej jamy, szarpiesz za te blizny po nic. A gdy zrozumiałeś wreszcie, że jest to daremne, to co postanowiłeś? Wpieprzyć wszystkich do tej jamy. Jesteś pieprzonym wariatem, terrorystą i wiozłeś tu śmierć przez setki kilometrów... Ale ja ci nie pozwolę nas pozabijać. Więc domagam się zapłaty. Oddaj mi wszystko, co posiadasz, albo czarną skrzynię.

– Nie masz prawa tego żądać.

– Ja mam prawo do wszystkiego, bo to mnie chcesz zabić. Ister to mój dom, a źródło jest skarbnicą wszelkiego dobra. Widziałeś jego żyły, które karmią świat. Liczne potomstwo, bogate w cenne przymioty charakteru i ciała! To wszystko jest zbyt piękne, by przekreślił to jeden marny człowiek.

– Na nic całe to bogactwo, jeśli pasie się na nim takie bydle jak Federacja.

– Gówniane, rewolucyjne banały! – krzyknął szaman, aż powierzchnia jeziora zmarszczyła się wzdłuż i wszerz. – Maskujesz tym swoim gniewem lament tysięcy niewinnych ofiar. Jeśli zniszczysz źródło Isteru, zrujnujesz nie tylko Federację, a raczej to, co z niej pozostało. Zniszczysz wszystkich ludzi, których ta rzeka karmi. Zabijesz wszystko, co żyje z jej łaski.

– Pojawi się coś nowego.

– Nie pojawi, dobrze o tym wiesz. Świat zamarznie prędzej czy później. To wina Federacji, zgoda. Umrzemy zarówno my, jak i Federacja. Tym bardziej nie możemy pozwolić, by ukrócić nasz i tak marny czas na tej planecie. – Szaman rozkrzyżował ręce, jakby miał zamiar mnie powstrzymać własnym ciałem. – Odrzucenie, smutek, gniew, to wszystko prawda... Ale żaden z tych etapów nie może być ostatnim. Jeśli masz zamiar zrobić coś ze swoim życiem, to nie możesz się zatrzymać i oddać go, poświęcić! Złożenie siebie w ofierze to marne spożytkowanie własnego życia, a pociągnięcie za sobą tysięcy niewinnych to już zbrodnia na życiu samym w sobie.

– Nie mogę żyć z Federacją ani nie mogę się jej pozbyć, więc czego ode mnie chcesz?!

– Po prostu odejść – szepnął szaman, jakby wymawiał formułę zaklęcia. – Wszystko, co było warte opowiedzenia, zostało opowiedziane. Nie ma nic więcej do dodania. Nie jesteś godny poznania Isteru osobiście, nie jesteś chętny oddać się Federacji, nie masz nikogo, dla kogo mógłbyś żyć. Przegrałeś wszystko, co było do przegrania, a teraz na koniec próbujesz dokonać gloryfikowanego samobójstwa, by związać jakąkolwiek wstążką całe to nijakie, zmarnowane życie.

– Nie mam po co żyć, Drozd, a ty mnie nie przekonasz, że warto.
– To znajdź coś, byle daleko stąd. Nikt przecież niczego od ciebie nie chce. Nikt ci nie każe. Nikt cię jeszcze nie goni, nikt na ciebie nie czeka. W tym miejscu i w tym czasie jest tylko jedna lekcja do wyciągnięcia.

– Jaka lekcja?! – spytałem, dusząc się własnym gniewem.
– Pierdol wszystko – wysyczał szaman, wkładając w te słowa całą mądrość duchów przemawiających jego ustami. – Przed tobą jest całe życie, za tobą tylko dwie płozy odbite w śniegu. Czego chcesz więcej?

Rozejrzałem się, szukając, nie wiem czego. Słońce powoli schodziło do linii horyzontu, jakby wielkie oko Boga oglądało mnie z zaciekawieniem przez szybę terrarium. Czekałem na cokolwiek, jakiś znak lub zwrot wydarzeń. Potrzebowałem, by ktokolwiek zaprzeczył lub potwierdził to, co usłyszałem. Chciałem, by ktoś mi kazał podjąć decyzję albo przynajmniej przytaknął, że tak będzie właściwie.

Ściągnąłem ramiona i otrzepałem brudną kurtkę z zebranego w drodze pyłu. Nadal każdy centymetr mojego ciała lepił się od brudu i nawarstwionych od naprawiania szwów i łat. Sztywnym krokiem ruszyłem do skutera i odpiąłem zabezpieczające pasy.

Chwyciłem za czarną skrzynię i poczułem, że jest potwornie ciężka. Dziwny, zatęchły zapach przesiąkł ją na wskroś, nie dając się pozbyć mimo kilometrów drogi. Pachniała tak, jakby w środku zaległo się coś i zdechło. Gdy tylko przeszedłem kilka kroków z pakunkiem w ręce, usłyszałem, że wewnątrz coś skrobie i dudni jak bijące serce.

– Artem, nie zabijaj – zdążył warknąć Drozd, nim zakręciłem się trzy razy.

Zamachnąłem się z całą mocą, by dostarczyć ostatnią paczkę.

– Jesteśmy kwita! – ryknąłem, ciskając stabilizator ekosfery daleko w głąb jeziora.

Czarna skrzynia wydała z siebie ostatni jęk, jakby coś wewnątrz przestraszyło się ogromnie nadchodzącej ciemności i zimna. Wiedziałem z doświadczenia, że miała się czego bać.

Jezioro chwyciło skrzynię w mroczną, mroźną gardziel, zagarniając ją do siebie, tak jak bagno chwyta i oblepia łosia, by zadusić go w głębinach.

W górę uleciało kilka bąbelków powietrza, tafla zafalowała wzburzona, lecz z każdą sekundą coraz słabiej, jakby dochodziła do siebie po ataku gniewu. Moje serce uspokoiło się nieco szybciej niż powierzchnia wody.

– Mimo wszystko nie masz racji – powiedziałem, obserwując zaskoczenie na twarzy szamana. – Odpowiedzią na zagadkę życia nie jest mieszkanie gdzieś nad jeziorem w chacie, gdzie dotrzymuje ci towarzystwa tylko piecyk. Nie umiem żyć w tych mrówczych kopcach

miast, ale nie zostawię wszystkich. Spotkałem na swojej drodze kilka wartościowych osób i żałuję, że nie zdążyłem ich bliżej poznać. Ślizgałem się po powierzchni, jak skuter na świeżym śniegu. Teraz chcę głębi, chcę czegoś więcej. Szarpanie się o każdą drobinę ciepła to żaden honor.

– Jeszcze się spotkamy, w ten czy inny sposób – odrzekł Drozd i ponownie skierował wzrok ku jezioru, które w tak krótkim czasie przyjęło do siebie dwa różne potwory. – A wtedy odpłacisz mi z nawiązką za dwukrotne uratowanie ci życia.

Wyciągnąłem z pakunków czekany do wspinaczki, piłę mechaniczną i nawet futerał na broń. Odstawiłem wszystko obok skutera i pomachałem do stojącego niedaleko szamana.

– Na tyle wyceniasz swoje życie, Artem?

– Nie, po prostu tam, dokąd jadę, nie będę tego potrzebował.

Epilog

Motocykl mruczał jak zadowolony, spasiony kot. Slalom górską drogą ożywiał go, jak mocny deszcz syci trawę po długiej zimie. Zawijasta szutrówka rzygała co rusz żwirem na wszystkie strony, tworząc mikroskopijne lawiny.

W ostatniej chwili minąłem kozę, która wyszła nagle na drogę, przeskakując niski płot. Minąłem ptaszarnię, stodołę i wykręciłem ostro za błękitną kapliczką. Ukrzyżowany drewniany Jezus spoglądał na świat sennym, zmęczonym wzrokiem, jakby zbierał się nie do zmartwychwstania, a do wstania z kanapy po drzemce.

Na samych rogatkach wsi rozciągała się długa, zielona polana, skrząca się w promieniach południowego słońca. Czarny jak smoła byk podniósł łeb, prychnął na mnie ostrzegawczo i zaraz opadł ponownie na ziemię. W tak ciepły dzień nikomu nie chciało się ruszać.

No, może poza mną. Ja upajałem się długą drogą od górskiego zbocza, usianego wysokimi elektrowniami wiatrowymi, aż do kładącej się niżej doliny, prowadzącej ku brzegowi.

Pordzewiały znak sterczał na dwóch długich rurkach, awansując drogę z ubitej gruntówki na prawdziwy, jakkolwiek zasuszony i skruszony asfalt. Komarów witał w swoich skromnych progach w postaci trzynastu opuszczonych domów letniskowych.

Szerokie sosny kręciły wielkimi koronami w lewo i w prawo, szumem próbując dorównać temu, które wzbudzało wielkie, granatowe morze.

Motocykl zwolnił, zamienił rozemocjonowane warczenie na cichy turkot i usnął, studząc zmęczone pracą trzewia i grzejąc jasną skórę lakieru.

Rozejrzałem się po pustej, zarośniętej plaży i pewnym krokiem ruszyłem wzdłuż drewnianej promenady. Kilkumetrowe moło z brzoźowego drewna zachowało się mimo upływu lat, choć postawiona obok tablica pamiątkowa przepadła w odmętach czasu, a i zapewne samego morza.

Zzułem buty i bosymi stopami nastąpiłem na ciepły, złocisty piasek. Zrzuciłem plecak, licząc na to, że przetrzyma on na moment cały mój dobytek i wadzące mi wspomnienia. Gdzieś w końcu musiał się uchować cały ten chłód, bo na pewno nie było go tutaj.

Powoli, krok za krokiem, już nie tak odważnie i pewnie, zbliżyłem się do schodków zagłębiających się w wodę. Słońce niedługo miało zejść, odmierzając długi, upalny dzień, po którym następowała krótka, równie upalna noc.

Letnia woda dotknęła ostrożnie koniuszków moich palców, tak jak się poznaje obce zwierzę. Z pewną dozą fascynacji, szacunku i strachu pozwoliłem się objąć. Błękit zalał spragnioną, przesuszoną skórę, wydierając z niej drobiny brudu, które zapewne gnieździły się w nim od miesięcy.

Przysiadłem w pół schodów, zanurzony w wodzie po łydki i przymknąłem oczy. Wśród kołysania fal, szelestu liści i skrzeczenia mew, nie przebijał się żaden inny dźwięk. Tu wszystko zostało porzucone dawno temu i mógł to podnieść każdy, kto tylko miał ku temu powód i siłę.

I wreszcie poczułem, że moja droga się skończyła i nie zostało mi nic do dodania. Wielki ból, żal i gniew rozeszły się po wygrzanym słońcem ciele, nie skumulowały w kuli ognia, niszczycielskim wybuchu, skierowanym na zewnątrz lub do wewnątrz. Mój ból umarł przede mną, a ja zostałem z całą resztą swojego życia.

TWORZYMY DZIĘKI:

- Jan Lutze
- Paul Troffke
- Rafał Krzyżanowski
- Michał Misztal
- Kamil Szyłkiewicz
- Wirginia Jankowska
- Wiktor Ordon
- Marcin Ostoja-Hełczyński
- Barry Lidders
- Michał Nowak
- Adam Orlicki
- Anna Myszkier
- Salai
- Katarzyna Gabrysz
- Rafał Rogoziński
- Janek Buszkiewicz
- Kacper Paczyński
- Michał Nowicki
- Monika Zajączkowska
- Dawid Furmanek
- Paweł Gągała
- Sebastian Pasterniak
- Maciek Pernal
- Kamil Maciasz
- Jędrzej Wawrzeniec
- Marzena Sieprawska
- Kamila Ostrowska
- Łukasz Kulwicki
- Mikołaj Żelewski
- Julia Osiecka
- Piotr Abramik
- Iwona Pułanecka
- Jan Jaśkowiec
- Damian Adamczak
- Maddie11
- Anastazja Łomot
- Tomasz Ryczaj
- Jan Kubik
- Jan Brzozowiec
- Przemysław Kwaśnik
- Filip Szyjakowski
- Patryk Bernardelli
- Weronika Sroga
- Jakub Witczak
- Albert Pasierowski
- Zuzanna Żychowicz
- Jędrzej Ziółkowski
- Szymon Walczak
- Wawrzyniec Sokołowski
- Jacor Kracor
- Konrad Pindel
- Jakub Pietrek
- Maciej Więckowski
- Tobi Trojan
- Maria Mróz
- Mateusz Piórkowski
- Tobiasz Tomaszewski
- Piotr Niedziałek
- Julia Tomasiak
- Marcel Szubartowski
- Klaudia Tuszyńska
- Kuba Mokrzycki
- Joanna Hereda
- Wiktoria Słocińska
- Maciej Kośnik
- Przemysław Szopa
- Jakub Paciorkiewicz
- Dominik Pukos
- Kacper Kamieniarz
- Julian Pawłowicz
- Adam Kozak
- Maciej Żbik
- Emil Jankowski
- Bartosz Romanowicz
- Daria Dubińska
- Inga Mikulska
- Albert Płusa
- sp9119
- Alan Kapłon
- Grzegorz Dombrowski
- Barbara Konopka
- Weronika Jaśkiewicz
- Jakub Pierzak
- Jakub Rogala
- Jan Guzik
- Cyprian Perepeczo
- Michał Lipski
- Mateusz Wyszyński
- Jacek Kloss
- Marcin Gepner
- Karol Szewczyk
- Kate Turwon
- Damian Bociak
- Ania Jędrowiak
- Ada Benio
- Filip Siuda
- Paulina Chodyra

- Dawid Klose
- Dominik Kucharski
- Kamil Sobczyk
- Mikołaj Stężycki-Wojtasik
- Jakub Sawicki
- Przemek Piotrowski
- Cezary Kubiński
- Karol Kamiński
- Mikołaj Trawiński
- Anna Dubec
- Krzysztof Kwiatek
- Julia Świerkot
- Mikołaj Matusiak
- Klementyna Świącicka
- Kordian Rogalski
- Eryk Kawecki
- Maria Kabala
- Oskar Archi Nowogórski
- Sebastian Frączyk
- Ola Giedroń
- Maciej Musiał
- Wiktoria Kaczmarczyk
- Jan Bąk
- Katarzyna Marciniak
- Tymoteusz Całka
- Natalia Kowalska
- Rafał Gomola
- Michał Dzierwa
- Stroku
- Jakub Cisło
- Zuzanna Obajtek
- Jakub Strugała
- Ola Gościcka Kacza
- Daniel Styś
- Emilia Wyciślak
- Tomasz Pasterz
- Bartosz Pachelski
- Katarzyna Abyszkin
- Dominik "Tokar" Tokarski
- Magdalena "Zir" Łysoń
- Anna Kołodziejek
- Piotr Żurkowski
- Klaudia Dyczyńska
- Konrad Stecko
- Agred
- Wojciech Zych
- Weronika Matuszczyk
- Patryk Frączek
- Jacek Sproch
- Dariusz Gwizdak
- Marta Klapa
- Ruslan Smolarczuk
- Daniel Kowalewski
- Szymon Urzędowski
- Królowa Julia
- Alan Abramowski
- Tomasz Płoskonka
- Konrad Kordylasiński
- Szymon Trusewicz
- Mateusz Baczyński
- Wojciech Dąbek
- Miłosz Dunikowski
- Krzysztof Negacz
- Julia Podgórska
- Kacper Jaśkiewicz
- Edmund Kukowski
- Damian Kurek
- Michał Orzołek
- Tomasz Kisiel
- Jakub Hukiewicz
- Paweł Etmański
- Maciej Knap
- Mikołaj Roszczyk
- Stomolko Connor
- Kazno De
- Łukasz Strzyżewski
- Dorota Dzikowska
- Kamil Adamczak
- Daria Sawicka
- Izabela Kajmowicz
- Marta Niedźwiecka
- Maciej Chrobok
- Darek Mytych
- Piotr Walasik
- Janek Kozak
- Kacper Oleszak
- Tymoteusz Tuttas
- Bartosz Chamera
- Tymoteusz Zięciak
- Konrad Kowalczyk
- Michał Raczek
- Piotr Wiśniewski
- Dawid Owczarz
- Stanisław Lem
- Arkadiusz Kostuniak
- Karol Zaborowski
- Tomek Napierała
- Piotr Ponewczyński
- Łukasz Biernat
- Jakub Czarkowski
- Jakub Kłoka
- Grzegorz Wójcik
- Katarzyna Wysocka

- Mateusz Czernicki
- Monika Brzyska
- Magda Pakuła
- Robert Wasielewski
- Piotr Gramiak
- Aleksandra Stec
- Paulina Kozak
- Marcin Walkowiak
- Aleksandra Michalec
- D. Kl.
- Mateusz Karczewski
- Michał Dolinowski
- Wiktor Godlewski
- Leszek Wroński
- Mateusz Kuźniak
- Jan Szczepaniak
- Bartosz Gruszczyk
- Adrian "Tuńczyk" Morski
- Grzegorz Samson
- Krzysztof Szostak
- Mariusz Witkowski
- Karolina Szyłkiewicz
- Mateusz Nowacki
- Robert Solski
- Lona Wu
- Maks Joniec
- Michał Mierzyński
- Kuba Malicki
- Tash Lisiecki
- Kris Vian
- Karczemskie
- Weronika Ślęzak
- Julian Wypychowski
- Mateusz Pawlak
- Szymon Szkutnik